

PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA
Gdańsk-Wichaszcz,
Libermena 36

29071

120

1 - 38, 2
 2 - 38, 2
 3 - 38, 2
 4 - 38, 2 - 3 ~~48~~
 5 - 35, ~~8~~ - 35, 6 - 36, 8
 6 - 37, 2 - ~~37~~ - 36, 7
 7 - 36, 8 - 36, 8 - 36, 2
 8 - 37, 3 - 36, 7 - 36, 1
 9 - 37, 3 - 36, 7 -
 24 gear (36, 2)

10 - 36, 1 - 35, 9 -
 11 - 36, 6 - 36, 1 -

O WYCHOWANIU MACIERZYŃSKIEM.

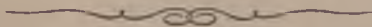


O WYCHOWANIU MACIERZYŃSKIEM

PRZEZ

ZOFIJĄ KOWERSKĄ.

*Dzieło premijowane na konkursie przez Redakcyję
„Bluszczu“ ogłoszonym.*



WARSZAWA.

Nakładem Michała Glücksberga, księgarza.

1881.

Дозволено Цензурою.
Варшаса, 3 Декабря 1881 года.

k 1562/61



29071

Od Redakcyi Bluszczu.

Redakcyja *Bluszczu*, pragnąc matkom dać w rękę odpowiedni w wychowaniu dzieci przewodnik, któryby, traktując przedmiot wszechstronnie, oparty był zarazem na naukowych zasadach; ogłosiła w roku 1874 konkurs na napisanie dzieła pod tytułem: „O wychowaniu macierzyńskim” i termin ostateczny do nadesłania rękopismów, naznaczony na d. 1 Kwietnia 1875 r.; przedłużyła następnie, dla umożliwienia większego współzawodnictwa, do d. 1 Stycznia 1876 r.

Gdy jednak z nadesłanych *czterech* prac, ówczesny komitet konkursowy nie uznał żadnej za odpowiadającą wymaganiom programatu, a tém samém kwalifikującą się do nagrody; przeto Redakcyja *Bluszczu* zmuszoną była poraz drugi rzeczony konkurs ogłosić, naznaczając d. 1 Kwietnia 1879 r., jako termin ostateczny do nadsyłania rękopismów.

Tym razem, z nadesłanych prac *ośmiu*, komitet konkursowy po odczytaniu rękopismów, uznał *trzy* prace za kwalifikujące się do ściślejszego rozbioru, mianowicie:

- 1) Opatrzoną epigrafem z Goldsmith'a,
- 2) Z godłem: „Bona fides” — i nakoniec:
- 3) Z godłem: $\triangle$ (trójkąt).

Gdy ostatnia z tych prac, zarówno przez rozległe traktowanie przedmiotu, jako też umiejętne stosowanie wyników wiedzy pedagogicznej i doświadczenia życiowego do potrzeb społec-

czeństwa, w zupełności odpowiadała wymaganiom, nakreślonego przez Redakcyję *Bluszczu* programu; przeto komitet konkursowy na posiedzeniu swém w d. 30 Grudnia 1879 roku odbytém, jednozgodnie przyznał nagrodę jej autorce, którą, po rozpieczętowaniu koperty, okazała się być, pani *Zofija Kowerska*.

Do składu komitetu konkursowego wchodziły następujące osoby: pp. *Kraków Paulina*, *Sikorska Jadwiga*, oraz pp. *Chmielewski Piotr*, *Łagowski Floryjan*, *Plenkiewicz Roman* i *Struve Henryk*.

PRZEDMOWA.

„Czego brak dziewczętom francuzkim do dobrego wychowania?” — zapytał Napoleon I-szy pani Campan, osoby, która wielkie na polu wychowawczym położyła zasługi. — „Matek” — odpowiedziała.

Matek — któreby umiały wychowywać dzieci! Oto jedno-głośne wołanie we wszystkich krajach, we wszystkich społeczeństwach. Czem są bowiem rodziny, czém są matki—tém są obywatele kraju, tém są kobiety w ogóle. Ich czyny — to plon: zasiew rzuciły matki.

Być szafarzem bożego ziarna dla dusz dziecięcych, walczyć miłością, zdobywać nią serca dla cnoty i nie uchylać się od ża-dnych trudów i pracy dla ukochanych, czy może być wznioślejsze powołanie, szczęście większe i czystsze? Te matki, które go gdzieindziej szukają, to ślepe duchem istoty, niegodne słodkiego matek imienia. Czynność ich tylko ujemna; mają dzieci z ciała, lecz nie mają ich według ducha; obca ręka, obce wpływy wychowują synów i córki tych nieszczęśliwych. Dzieciom, które osierocają moralnie, należy się litość, ale ratunek ich jest nie-podobny: tu działa przypadek jedynie.

Nietylko im wszakże ratunek jest potrzebny: czekają go nasze dzieci, dzieci matek kochających i poświęconych, tych, co całe niebo dobrych chęci składały w pracy macierzyńskiej. One chcą, pragną, kochają — ale nie wiedzą. Niczego im nie brak, tylko kierunku do pracy troskliwej, tylko przetarcia oczu do jasnego spojrzenia, tylko zamienienia miękkiego złota dobrych chęci w hartowną stal woli.

W imię miłości cóż może się stać niepodobnym?

Zebrane w niniejszej pracy wskazówki są owocem usiłowań rozświecenia jednej, pojedynczej ścieżki życia, usiłowań któremi także miłość kierowała. Podzielenie się wynikiem ich z szerszą publicznością jest tylko skróceniem drogi tym matkom, które same dojśćby mogły do podobnych wniosków. Trochę doświadczenia własnego, a więcej pracy nad dziełami innych: oto podstawa tej książki. Nie zawiera ona w sobie nowości i za nią się nie uganiam; pragnie tylko przynieść wskazówki pewne tym matkom, którym zajęcia lub brak sposobności nie pozwoliły na poszukiwania własne.

ROZDZIAŁ I.

Obowiązki matki zaczynają się przed urodzeniem dziecka. Matka wiele może dla zdrowia swych dzieci. Wpływ zachowania się matki ciężarnej na dziecię, które nosi w łonie.

Obowiązki matki względem dziecięcia zaczynają się jeszcze przed jego urodzeniem. Przez cały dziewięćmiesięczny przeciąg czasu, w którym je piastuje w swém łonie, jest ona tak nierozdzielnie z niem związana, iż jedno życie, jedna krew płynie w obojgu. Zachowaniem się swoim, może się ona przyczynić do wyposażenia małej istoty, którą na świat ma wydać, zdrowiem i siłą, oraz zapewnić jej warunki szczęśliwego życia, w prawidłowo zbudowaném ciele.

Wprawdzie nie jest ona w tym razie wszechmocną; ale nie jest też zupełnie pozbawioną możności działania. Niezawodną jest rzeczą, że gdyby każda kobieta, zostająca w stanie błogosławnym, pragnęła wydać kwitnące siłą i zdrowiem dziecię; gdyby chciała już wtedy żyć dla niego; mniej mielibyśmy między nami istot wątłych, słabych moralnie i fizycznie.

Zastanówmy się tylko, czy rzecz nie wyda się naturalną i logiczną? Przez cały czas ciąży, organizm dziecka zależy zupełnie od organizmu matki; z niego czerpie on siłę żywotną, która w krótkim stosunkowo czasie z mikroskopijnego zarodka, tworzy dziecię już żyć na własną rękę mogące. Natura działa tu zapewne w sposób tajemniczy i niedościgniony; lecz samo połączenie tak zupełne matki z dziecięciem już nam pokazuje, czem musi być organizm żywiący, dla organizmu życie przyjmującego. Tymczasem matki zbyt wcześnie poczynają niewłaściwie obchodzić się z dziecięciem; a ponieważ nie widzą go jeszcze i niedostrzegają jego cierpień; więc często nie domyślają się nawet, jak

wielkie, przed urodzeniem, zadają mu tortury. Niewiem, czy dzieć już je wtedy odczuwa, lecz nieraz przez całe życie widoczne nosi ich ślady. „Często wieki nie są w stanie odkupić błędu jednej chwili”. Jeżeli w życiu historycznym ludzkości jest to prawda; w życiu człowieka pojedynczego, tylko na mniejszą skalę, to samo się powtarza. Często długie lata cierpienia są następstwem błędów, jakich ciężarna matka dopuściła się względem dziecięcia. Ach — ileż błędów takich codziennie się popełnia! Młoda kobieta, biedna salonowa lalka, nie jest w stanie odczuć powagi i świętości stanu macierzyństwa. Ona przez cud niezbadany nosi drugie życie w sobie, w niej siła Boża tworzy dziecko, czyni ją matką, a ona swego położenia się wstydzi, nie zrzuca gorsetu podkopującego jej zdrowie, utrudniającego rozwój naturalny dziecięcia. Dla czeźej zabawy pozbawia się snu potrzebnego dwóm istotom, naraża się na upadek w tańcu, nie czuwa nad swoim skarbem i tylko utyskuje nad przykrościami, jakie stan wyjątkowy jej sprawdza.

Ta kobieta to jeszcze dziecko, którego uczucia nie wzniosły się nad poziom próżności i małostek towarzyskiego życia. Może nazawsze zostanie ona dziecięciem jak to często się zdarza; może dojrzeje umysłem; lecz czy dojrzeje w kierunku moralności i cnoty rodzinnej? To jeszcze wielkie pytanie. Kobieta kocha swe dziecko lub dzieci, ale tak lęka się zostać matką powtórnie, że jeżeli Bóg zesze jej nadzieję macierzyństwa, zdaje się jej, że w nią grom nieszczęścia uderzył. Drży na myśl boleści, jakie ją czekają, płacze nad powiększającą się rodziną a z nią powiększającemi się trudami. Zapomina, że jej zły humor, strachy, płacze, rujnują jej zdrowie, szkodzą tém samém i noszonemu przez nią dziecięciu. Wzruszenia, doznawane z tego powodu, mogą je zabić w łonie matki, a jeżeli nie, to przynajmniej rozwinać w niem zarody rozlicznych chorób nerwowych, które zrobią z niego słabą i nienormalnie rozwiniętą istotę. Dzieciobójstwo oburza nas, a przecież popełniamy je tak często na mniejszą skalę! Nie zabijamy wprawdzie dziecięcia doraźnie, lecz pozbawiamy je rozkoszy przepędzenia życia w zupełnym zdrowiu, skracamy mu życie, wydajemy na nie wyrok wiecznego niedołęstwa, nimeśmy jeszcze dziecko życiem obdarzyły.

Niereligijność wdarła się do ognisk małżeńskich. *Wola Boża* nie przewodzi już przy powiększaniu się rodzin; samolubne zamięłowanie wygod kieruje wolą człowieka. Liczne grono dzieci uważane jest za nieszczęście dla rodziców, patryjarchalność rodzinnych stósunków—za śmieszność.

O przedmiot ten potrącam mimochodem, gdyż on o tyle tylko tu mię zajmuje, o ile skrzywienie pojęć ogólne wpływa na usposobienie matek i *błogosławieństwo Boże, błogosławieństwo macierzyństwa, przemienia im w przekleństwo losu.*

Przerobić pojęcia, jakie nurtują społeczeństwo, któżby śmiał powziąć podobną nadzieję? Jeżeli jednak słowa moje dojdą jakiejś matki, nadzieją macierzyństwa do rozpacz przyprawionej, niech zwróci jej uwagę, już nie na pociechy przyszłe, z posiadania dziecięcia wypływające, lecz na bezużyteczność łez wylewanych, na szkodę wyrządzaną zdrowiu dwóch istot, przez lekceważenie położenia swego, lub uważanie go za nieszczęście. Bolesnego przejścia nie jest wstanie odwrócić, a złe zachowanie się, oraz brak panowania nad sobą, smutki nierozsądne i nienaturalne, podkopując zdrowie, samo przejście utrudniają, a już ile złego wyrządzają dziecięciu, to zostanie na zawsze niedocieczoną tajemnicą, odsłaniającą się tylko niekiedy matce w wyrzutach sumienia, jakich dozna, gdy zobaczy dziecię z trudnością znoszące ciężar chorobliwego życia, moralnie zaś i umysłowo niezdolne prawidłowo się rozwijać. Ileż to nazawsze podkopanych organizmów, ile strat rodzinnych wypływa często z małych nieostrożności matek przy nadziei będących! Jakichże wyrzutów musi doznawać ta, która, z własnej winy przyspieszwszy przyjście na świat dziecięcia, śmierć jego spowodowała, lub obdarzyła je nędznym życiem, nękanym ustawiczną chorobą. Mogła wydać dziecię silne, zdrowe, piękne przez dobrze rozwinięte ciało; bystre umysłowo, odważne, wytrwałe, (brak tych przymiotów często ze słabości fizycznej wypływa), a uczyniła je nędznym, chorem, bladym, źle zbudowanym, brzydkim, lekliwym i pozbawionym siły i energii myślenia. Nie umiała pojąć swego zadania, przejąć się jego wielkością, poczuć w sobie Boskiej iskry tworzenia. „Czas, w którym kobieta dziecię pod sercem nosi, jest świętą epoką; matka nosi w sobie przeszłość, nosi ludzkość. Duch twór-

czy przenika ją i w tym czasie nowém życiem napelnia, bo wielka twórczość wszechświata powtarza się na małą skalę w tworzeniu się jej dziecięcia. Jest ona narzędziem Bożem. Bóg tworzy przez nią na nowo świat — świat w jednej egzystencji ludzkiej zawarty^{7. *)}

Poświęcenie wielkiemu dziełu małych względów próżności i nędznych chwilowych uciech—czy miało by się nazywać ofiarą? Tylko skrzywione wyobrażenia, mogą zniewalać matkę do szukania zaspokojenia w wybrykach próżności a odwracać ją od pięknego celu zachowania złożonego w jej łonie drogiego skarbu, w całej możliwej doskonałości, jakim go Bóg chciał uczynić. Względy własnego jej zdrowia, własnych potrzeb z tém zadaniem zgadzają się wysmieniecie; zatem trochę tylko odwagi, a odrzucimy to, co nam do duszy próżność światowa wsączyła. Z pod nawałów piaszczystych, wzniesionych w duże pagórki, Holender wytrwała i mozolną pracą odgrzebuje rodzajną ziemię. I w naszej duszy, pod obcemi naleciałościami, spoczywa grunt pod ziarno Bożestworzony. Starajmy się tylko oczyścić go, odzyskać za pomocą pracy wewnętrznej, na podstawie religii i nauki dokonywanjej, a poznamy słodycz życia w ofiarach podjętych dla tych korzyści, których nie naruszyć nie może, bo je nasze dzieci i wnuki życiem swoim uwiecznią. Niech już w nas spoczywa zadatek lepszej przyszłości, a ludzkość o swoje jutro lękać się przestanie, bo ujrzy losy swoje złożone w rękę cnotliwych i rozumnych matek.

Chociaż właściwy sposób zachowania się kobiet ciężarnych jest rzeczą mniej więcej znaną; umieszczę tu jednak w krótkości główne jego warunki. Choćby żadnej matce słowa moje nic nowego nie powiedziały, może niektórym przypomną lekceważone obowiązki i ważność tychże w ich oczach podniosą.

Przestrach, gniew, i wszelkie namiętne wstrząśnienia, tak dobrze moralne, jak fizyczne; niedostateczne i złe pożywienie, jak również przeładowywanie żołądka potrawami niestrawnymi i ciężkimi, są wpływami nader szkodliwymi dla dziecięcia zostającego w łonie matki. Zbytni ruch, zbytne umęczenie, oddzia-

*) Schmit: Briefe an eine Mutter.

ływają zarówno źle, jak życie pozbawione zupełnie ruchu. W ogóle życie dotychczasowe nie powinno się zmieniać, jeżeli było pracowite lub czynne. Gospodyni domu niech nie przerywa swych zajęć, strzegąc się tylko podnoszenia rzeczy ciężkich, opierania ich na żywocie, wspinania się i podnoszenia rąk z wysileniem, dla dostania wysoko umieszczonych przedmiotów. Akuratność tylko życia pracowitego zwiększyć należy. Godzina spoczynku nigdy nie powinna być spóźniona, a jeżeli dzieci starsze przerywają sen matce, ojciec lub bona powinni wziąć na siebie obowiązek sypiania w pokoju dzieci, by matka w spokojnym śnie mogła znajdować posiłek. Kobiety, próżniacze życie pędzące, lub te, które oddane są pracy zmuszającej do ciągłego siedzenia; powinny tryb zwykły odmienić, jeżeli to jest możebnem, a przynajmniej ze dwie godzin dziennie przechadzki na świeżem powietrzu używać, gdyż to jest koniecznie do zdrowia potrzebne. Długie przesiadywanie w miękkich fotelach i na kanapach; ubranie niewygodne, buciki na dzisiejszych wysokich obcasach, które tak łatwo pośliznięcia się i upadki powodują, nadając ciału położenie nienaturalne, są dla matek brzemiennych nader szkodliwe.

„Ponieważ uważano—powiada Meier— że kobiety ciężarne, temperamentu zgryźliwego, podlegające złym humorom, wydają dzieci niedołążne; podczas kiedy matki z usposobieniem wesołym i jednostajnie spokojnem, dają, po największej części, życie dzieciom silnym i zdolnym: jest zatem rzeczą naturalną, żeby kobiety brzemiennie starały się o utrzymanie zawsze dobrego humoru”.

Panowanie nad sobą wiele, wiele tu może. Nawet dobry humor często od nas samych zależy. Możemy też od siebie wiele uczuć nieprzyjemnych odsunąć, jak na przykład uczucie bezmiernego strachu, na myśl o przyszłych cierpieniach; obawy, wywołane wyobraźnią, by spojrzenie na rozmaite kaléctwa, ułomności i brzydoty nie wpłynęło na potworność dziecięcia. Często, w mieście szczególnie, jest się narażoną na spotkanie ubogich kalék, linoskoków sztuki pokazujących i t. p. a przecież nie wpływa to na przychodzące tam na świat dzieci. Przeto nie sam widok jest szkodliwy, ale przerażenie, mające źródło w wyobraźni, pozostawioné bez steru rozsądku, wywołującé rozdrażnienie i wstrząśnienia szkodliwe dla dziecięcia i matki.

Pomyślmy, jakie to nieocenione szczęście przynieść na świat zdrowie silne, płuca oddychające swobodnie, członki elastyczne, żołądek prawidłowo trawiący, a będziemy się starały wszystko, co jest w naszej mocy, uczynić, by dziecię nasze obdarzyć tak nieocenionemi dobrami. Kto na świat zdrowo przychodzi, ma już wszelkie dane, że zostanie na całe życie silnym fizycznie. Dzieci słabe po największej części są chorowitemi i w wieku dojrzałym.

„Idźmy jeszcze jeden krok dalej—mówi wyżej przytoczony autor. Gdy się widzi, że często dzieci, nie tylko zewnętrzne, ale także intelektualne i moralne przymioty matek dziedziczą; wtedy mimowoli nasuwa się pytanie: czy to wszystko jest tylko przypadkiem, czy też, że kobieta ciężarna istotnie do tego się przyczynia? Zostawmy to pytanie bez odpowiedzi, ale nie możemy zamileć, że nie tylko usposobienie ciężarniej kobiety, ale jój, zatrudnienie, przedmioty, które jój umysł zajmują—mają wpływ na moralną stronę dziecięcia, któremu ma dać życie”. Doktor Moszyński w swoich „*Radach dla matek*” zaleca kobietom ciężarnym czytanie książek poważnych, moralnych i pożytecznych, lecz nie powieści, wyobraźnią podniecających.

Jeżeli są dane, pozwalające przypuszczać, że zachowanie się matki, przed urodzeniem dziecięcia, może wpłynąć nawet na jego usposobienie moralne; to jakże kobieta, znajdująca się w stanie błogosławionym powinna być oględną, jak swoje serce powinna zamknąć przed każdą myślą i uczuciem mniej podniosłym! Jak czujną straż nad swym umysłem sprawować powinna, by go nie zbrukała żadna myśl zdrożna. „Zaklinam was matki—woła Hufeland—odpędźcie od siebie wszelkie zło i grzeszne namiętności; bądźcie spokojne i wesołe; wzrok zwracajcie ku temu, co wieczne, co niebieskie: wtedy doznacie niewymownej radości, żeście dzieciom waszym dały warunki szczęśliwego życia na ziemi i w niebie. Wszak i Śty Augustyn powiada, że „już w łonie matki zakosztował był soli Bożej” i nawrócenie swoje przypisywał modlitwom Śtój Moniki, która, nosząc go w swém łonie, błagała Boga, by dziecię, które wydać miała, prawdziwym stało się chrześcijaninem.

ROZDZIAŁ II.

Niemowlę zaraz po urodzeniu. Obchodzenie się z niem. Karmienie uważane jako wpływ moralny na dziecię i na matkę. Matka jest najwłaściwszą mamką dla dziecięcia. Czas odłączenia dziecka od piersi i żywienie go po odłączeniu. Ubranie niemowlęcia. Łóżeczko czy kołyska? Przedwczesne zmuszanie do siedzenia i chodzenia. Pielęgnowanie skóry. Mieszkanie. Hartowanie. Manija leczenia. Lekarz. Pożywienie. Ubiór. Strój.

Wychowanie fizyczne, ta strona edukacyjnego zadania, która najłatwiej zbadać się daje, która, należąc do świata zewnętrznego, opiera się na doświadczeniach, dokonywanych zarówno na żyjących zwierzętach, jak i w laboratoryjach chemicznych i na stołach anatomicznych; ta gałąź mówię wychowania, dająca się podciągnąć pod niewątpliwe prawa fizjologiczne i anatomiczne powinnyby najwięcej do doskonałości być zbliżoną. Jakże daleką jest przecież od niej! „Generacyja dzisiejsza słabszą jest od dawniejszych”! Oto okrzyk trwogi dbalój o swą przyszłość ludzkości.

A jeżeli tak jest, jeżeli ciało nasze coraz mniej jest wytrwałe i krzepkie, coraz przystępniejsze różnym chorobom chronicznym; fałszywe wychowanie musi tu bardzo ważną rolę odgrywać i dziwić się trzeba, że jeżeli ogrom nauki, jaką nabywać musimy, zwiększył się tak, iż nadmierna praca umysłowa musi szkodzić naszemu zdrowiu; z drugiej strony, wyniki badań naukowych, mających ciało nasze na celu, nie przeniknęły jeszcze ani w rodziny, ani w ogół oświecony i nie zrównoważyły szkody, jaką rozwojowi fizycznemu przynoszą nowe, złe na zdrowie oddziałujące wpływy, nieznane przodkom naszym.

Skargi przyjaciół ludzkości na zupełne zaniedbywanie przez ogół koniecznych dla zdrowia względów podnoszą się zewsząd.

Nawoływania o „moralność fizyczną”, któraby czynną straż sprawowała w interesie naszego fizycznego dobrobytu, coraz częściej i głośniej słyszeć się dają. W przykazaniu „nie zabijaj” religija nas uczy, że zachowywanie zdrowia jest naszym obowiązkiem. Pomimo tych wszystkich pobudek moralnych; pomimo obawy, że dzieci nasze i wnuki, będą pokoleniem słabszem od naszego; jakże mało rodziców stara się o fizyczny prawidłowy rozwój swych dzieci? Gdzie są matki, które poradnik naukowy miały w ręku i jakich praw słuchają przy wychowaniu fizyczném? O! to własnego „widzimisię”, przesądów zastarzających i niewiedzień skąd czerpanych uprzedzeń; wreszcie wygodnego niedbalstwa, pozwalającego niańkom i bonom robić, co im się podoba, lub też częstokroć szkodliwszej jeszcze przesadnej własnej troskliwości.

Przed urodzeniem dziecka, matka mogła się do jego zdrowia przyczynić; po urodzeniu, tym większy wpływ może wywierać na jego rozwój fizyczny, zwłaszcza, że skutki jego nie zagadkowo, ale widocznie się przedstawiają.

„Do chwili urodzenia, życie dziecka zależy od organizmu matki. Jego płuca nie oddychają, żywi się krwią matki, w sposób podobny dożywienia się rośliny. Jest też to życie w samej rzeczy roślinne: kształcenie się i wzrastanie na obcym gruncie. Ponieważ obieg krwi w dziecięciu jeszcze nieurodzone, jest ten sam, co u matki, zupełnie od jej ustroju zależny i ma tylko na celu wzrost i żywienie się dziecka, a nie odnawianie krwi zużytej przez płuca i wątrobę, które w niem jeszcze nie działają; zatem ten obieg podlega prawom tymczasowym, nie odpowiadającym późniejszemu celowi, a odbywa się drogami, które się zamykają w chwili, w której, przez urodzenie, stósunek z obiegiem krwi matki się zrywa i dziecię już za pomocą własnych organów przy życiu utrzymać się musi. Ta gwałtowna przemiana wszystkich dróg krwionośnych w chwili urodzenia jest najważniejszą i najpotężniejszą rewolucją, jaką ciało ludzkie przez bieg życia przebywa. *)

*) Fürst: Das Kind und seine Pflege.

Dziecię z urodzeniem, wchodzi w zupełnie nowe warunki: „zależy już od funkcyj własnego serca, własne jego tętno i arteryje stanowią o cyrkulacyi jego krwi, własnych płuc oddech oswabadza ją z kwasu węglowego, a zaopatruje w tlen. *)

Gdy się zastanowimy nad owem gwałtowném przejściem dziecięcia do warunków zupełnie różnych od tych, w jakich się znajdowało przed urodzeniem; gdy pomyślimy, czém dla niego jest powietrze, z którem nagle i raptownie wchodzi w zetknięcie, a które temperaturą swoją różni się niesłychanie od temperatury w jakiej dotąd przebywało; dojdziemy łatwo do przekonania, że umiejętne pielęgnowanie niemowlęcia w pierwszych chwilach jest bardzo ważną rzeczą. Musimy racjonalném postępowaniem ułatwić mu zapoznanie się z nowém życiem przez otoczenie go z początku warunkami, o ile można zbliżonemi do poprzedniej jego egzystencji i pozycyi, jaką mu przybrać dajemy. Zadanie to już nam wskazuje, że pielęgnowanie niemowlęcia w pierwszych chwilach — musi podlegać prawom, których przekroczenie zgubne dla niego ma skutki. Jest ono zwykle w tych pierwszych dniach powierzone kobiécie fachowej, która powinna znać owe prawa i niemi się kierować. Do umysłu wszakże owych kobiet, tak rozmaite przesady i fałszywe wyobrażenia mają przystęp, że matka, znająca główne warunki prawidłowego obchodzenia się z dzieckiem, może mu oszczędzić wielu z tych „mąk”, jak je nazywa Saltzmann, którym zaraz po przyjściu na świat poddane jest dziecko. „Peryjod życia rozpoczynający się po urodzeniu, jest epoką najtrudniejszą do przebycia, a więc tą, w której uwaga najtroskliwsza i staranie najbardziej drobiazgowe są potrzebne. Ileż niemowląt umiera w istocie tylko wskutek fałszywego obchodzenia się osób, opiekujących się niemi.” **)

*) Ibidem.

**) Roseville: Guide medical des mères de famille.

Kąpiel, w której, zaraz po urodzeniu, obmywają dziecko, powinna mieć 27—28° R. „Nie mała liczba dzieci ważnych doznaje uszkodzeń, a nawet umiera, jeżeli temperatura kąpieli jest za wysoka i dziecko w zbyt gorącą wodę włożone.*). Często ręce mamek, zgrubiałe od pracy, nie są w stanie dokładnie umiarkować temperatury wody. Zapewniają one, że woda „ledwo letnia” chociaż ta dochodzi czasem do 32° R. Chorobę maleńkich dzieci, tak zwaną *sapkę* czyli ostry katar, najczęściej wprowadzają zbyt gorące kąpiele. Nawet dla delikatniejszych rąk rozróżnienie temperatury wody nie jest łatwe. Dla tego to bardzo ważnem jest przed słabością zaopatrzenie się w dobry termometr. Kąpiel nie dłużej nad 4—5 minut trwać powinna. Mydło, często używane do obmywania nowonarodzonych jest także jedną z „mak”, jakie się im zadaje. Skóra małego dzieciątka jest za nadto delikatna, żeby ją użycie mydła nie miało przyprowadzić o cierpienie. W kilku książkach znalazłam zalecenie dodawania do pierwszej kąpieli paru łyżek olejku migdałowego, oliwy, lub świeżego, niesolonego masła. Twarz, a szczególnie oczy dziecka, powinny być obmywane wodą, w osobnem naczyniu znajdującą się, a nie tą samą, w którą dziecko włożonem zostaje. Obtarte starannie do sucha dziecko, powinno być ciepło ubrane i zawinięte tak wszakże, by jego poruszenia nie były kępowane. Użycie powijaków, przytwardzających ręce wzdłuż ciała i związujących nogi razem, jest zadaniem gwałtu naturze. Dziecię przez pierwsze miesiące życia ma skłonność do utrzymywania pozycji, w jakiej znajdowało się w łonie matki. Poruszenia jego członków są jakby konwulsyjnymi ruchami, po których do zwykłego położenia powraca. Zmuszać je do pozostawania w innem jest żądaniem przeciwnem wymaganiom natury.

Po wykąpaniu i ubraniu, ile można wygodnem, nie uciskającym żadnej części małego ciała, ani gwałtu w niczem mu nie zadającym, można dziecku podać kilka łyżeczek wody letniej z cukrem; wszelkie ziółka, ulepki, — cały ten arsenał apteczny, z jakim spotyka się dziecko zaraz po urodzeniu, wszystko to jest

*) Fürst.

wielce szkodliwe i niebezpieczne: wywołuje bowiem kurcze w jego wnętrznościach. Nawet tyle zachwalony rumianek uważają dziś za środek szkodliwy, bo niepotrzebny zdrowemu dzieciąciu. Gdy jest chore, należy wezwać lekarza, lub przynajmniej w koniecznym tylko razie i to z wielką ostrożnością używać środków leczniczych; lecz gdy rzeczywiście chorém nie jest, żadnych lekarstw bezwarunkowo do żołądka wprowadzać mu nie trzeba.

W 5—6 godzin po urodzeniu, należy dziecią podać do piersi. „Pierwszy pokarm, który się w piersi matki utworzył, dla swój rzadkości i wielkiej ilości cukru, służy dziecku, jako środek przeczyszczający i wydalający z żołądka *smótkę* (pierwsze ciemne odchody)” *). Jest to naturalny i najlepszy środek dla dziecią; dla tego z podaniem piersi matki nowonarodzonemu nie trzeba zwlekać aż do dnia drugiego, jak to nieraz się zdarza.

Dziecią w pierwszych tygodniach, podobne jest do delikatnej rośliny, której powietrze, światło i ciepło powinniśmy wymierzać w dobrze umiarkowanych ilościach. Potrzebuje ono obok spokoju, zawsze jednakowo ciepłego, czystego, wolnego od kurzu i dymu powietrza pokojowego, mającego 16° R. Powinno być strzeżone od zbyt silnego światła, hałasu, przeciągów i zaziębienia. Trzeba mu ułatwić w pierwszych dniach przyzwyczajenie się do nowego świata, do jakiego w tak nagły i gwałtowny sposób przeniesione zostało! **).

Łóżeczko dziecka, ani zbyt blisko okna, ani blisko pieca stać nie powinno. Ważnem jest zachowanie jak największej około niego czystości. Suszenie pieluszek i bielizny w tym samym pokoju, jest jednym z najszkodliwszych wpływów na dziecią. „Wydało by się obrzydliwém, picie wody napojonej nieczystymi wyziewami, a pijemy powietrze, które téż same nieczystości zawiera. Dziecią, które tak zatrutém powietrzem dzień i noc oddycha, musi doznać jego szkodliwego działania. Zmoczone

*) Koehler: Poradnik dla matek.

**) Furst:



pieluszki i ubranie, natychmiast z pokoju wyniesione być powinny, a nigdy nie rozwieszane przy piecu dla wysuszenia.^{*)}

Nie dosyć jednak mieszkanie dziecka zarówno małego, jak większego, strzedz od szkodliwych i zatruwających wyziewów. Samo oddychanie mieszkańców, zużywa zapas zdrowego powietrza, „a natomiast pokój napelnia się zużytém, wydychaném i różnemi wyziewami zanieczyszczoném, przeto do dalszego oddychania już nie przydatném powietrzem, jednak zupełna nieświadomość szkodliwych z tego następstw zmusza dzieci do wciągania w płuca tego zatrutego powietrza.^{**)} Odświeżanie go przeto w pokoju jest konieczne i nieodzownie potrzebne. Wyniosłszy łóżeczko dziecinne do innego pokoju, lub przysłoniwszy je starannie, w zimie lufcik, w lecie okno codziennie otwierać trzeba. „Pokój dziecięcia zarówno małego, jak większego, powinien być jasny; przez pierwsze jednak dwa tygodnie po urodzeniu okno ma być zasłonięte firanką, najlepiej zieloną, jak najwięcej na słońce wystawioną, lepiej na piętrze, niż na dole umieszczony. Strzedz trzeba, by nie był wilgotny i by żadne złe zapachy do niego nie dochodziły, bo powietrze za duszne, napelnione niezdrowemi wyziewami, brak światła i słońca, jak również wilgoć, powoli podkopując organizm małej istoty, szkodzi jej rozwojowi, osłabia ją, a tém samém usposabia do rozlicznych chorób. W pokoju tym nie powinno być, ani kwiatów, ani flakonów zawierających perfumy, bo silne zapachy, jakie się z nich wydzielają, działają podniecająco na mózg dziecięcia i mogą spowodować konwulsyje. Również należy bacznie zważać, by w pokoju dziecinnym nie było kurzu, dymu, ni czadu, które wtedy nawet, gdy nie mogą mieć szkodliwego wpływu na dorosłych, sprowadzają złe następstwa dla dzieci i powodują katar, zapalenie oczu, utrudnienie oddechu, prawdziwy początek zacczadzenia, albo kongestyje mózgu.^{***)}

Niedorzecznym jest zwyczaj, zbliżania zaraz po urodzeniu dziecięcia do światła dla zobaczenia koloru jego oczu, lub prze-

*) H. Meier.

**) Dr. Kaczkowski: Rady dla matek.

***) Roseville.

konania się do kogo jest podobne. Oczy jego, nieprzywykłe do światła, starannie od jego działania ochraniać należy, równie jak i organa słuchu, które są jeszcze za słabe, by mogły być na hałas zbyt wielki narażone.

Bóg, dając piersiom matki pokarm, nietylko umieścił w nim najlepsze pożywienie dla niemowlęcia, nietylko karmienie dla największej części kobiet, uczynił funkcją nie podkopującą zdrowia, owszem dla organizmu korzystną; ale nadto dał w nim matce środek wychowawczy i szkołę, w której kobieta do moralnego macierzyństwa się usposabia.

Utartém jest mniemanie, że miłość macierzyńska jest uczuciem wrodzoném i—jeżeli tak się wyrazić można—przeznaczeniem. Nie myślę temu zaprzeczać; wszakże miłość ta kształci się i uzacnia przez ofiarę, a przyzwyczajenie tak wielką rolę odgrywające w życiu ludzkim i tu ma potężną władzę. Matka, chcąc odpowiedzieć późniejszym obowiązkom swoim, niech się odda dziecięciu od pierwszej chwili, niech je karmi, zarówno dla jego dobra, jak i dla swego macierzyńskiego udoskonalenia. Niech obcej kobiecie nie oddaje miłości niemowlęcia, pierwszych budzących się w niem uczuć, pierwszego jego uśmiechu; niech na nią nie przelewa praw, jakie jój samój Bóg nadał; niech w najemne ręce, nie składa wpływu na budzący się charakter dziecięcia; niech nie lekceważy spójni, jaką karmienie między nią a niemowlęciem wytworzy.

Czyś próbowała kiedy matko, zasadzić własnymi rękami drzewko w twoim ogrodzie? Ogrodnik sadził jednocześnie inne drzewa; przyjęły się wszystkie i niema między niemi różnicy. Ale na następną wiosnę poszedłszy do ogrodu, najpierw oglądasz ręką swoją posadzone drzewo, patrzysz z zajęciem, czy wypuszcza pączki, czy korę ma nieuszkodzoną. Obchodzi cię ono najwięcej, a chociaż stoi z innemi w rzędzie, o nie chodzi ci wyjątkowo; rozwijające się listki jego cieszą cię podwójnie. Jakkolwiek można by to uczucie twoje samolubnym przypisać pobudkom, jest ono tak ogólnie ludzkie i tak wszędzie się przejawia-

jące, że je za przyrodzone człowiekowi uważać należy. Dziecię, karmione własną twą piersią, będzie przez ciebie kochane z tém zwiększoném uczuciem, z jakim spoglądasz na twoją ogrodniczą pracę, nie różniącą się niczém od najemnej pracy ogrodnika. Poznasz słodycz uśmiechu dziecka, na widok podawanego mu pożywienia; jego anielskie spojrzenie, gdy pijąc pokarm z twój piersi, zdaje ci się dziękować oczkami niewinności pełnemi, a rączkami pieści cię i głaszcze. Jego wyglądający między wargami języczek, podczas gdy ssie, będzie ci się wydawał czémś uroczym; ruchy rąk i nóżek różowych—tych nóżek, które nie wiedzą jeszcze, jak ziemia bywa twarda — większą rozkosz ci sprawia, niż nie jedna marna przyjemność, jaka cię może spotkać wśród ludzi. Gdy podaniem własnej piersi uspokoisz jego żałośne krzyki, uczujesz zadowolenie, jakby z dopełnienia dobrego uczynku, a widok dziecięcia usypiającego na twém łonie i otwierającego jeszcze od czasu do czasu zaspane oczęta, wyda ci się obrazkiem tak ślicznym i uroczym, że mimowoli uczujesz błogość rozlewającą się w myślach twoich.

Nie odejmuj sobie tych rozkoszy czystych i nie lekceważ związku moralnego, jaki karmienie wytwarza. Wszystkie kłopoty, utrudzenia, niedospania wywołane karmieniem, są potrzebne do twego wychowania macierzyńskiego. Bóg chciał, byś przez szkołę tę przeszła, dał ci możność zaspokojenia wszystkich wymagań dziecięcia, jak jemu dał znowu możność objawiania tych wymagań krzykiem, którym przywołuje cię wśród nocy do swego boku, trzyma ustawicznie przy sobie, odejmuje ci możność wydalania się poza dom, w celu szukania rozrywek za obrębem rodziny.

Bezustannemi potrzebami swemi dziecię uczy matkę zapomnienia o sobie, poświęcania nowym obowiązkom wszystkich dawnych przyzwyczajęń i zachcianek, słowem — udoskonala ją, aby, obok poczucia obowiązku, zasmakowała w jego spełnianiu. Dla osiągnięcia tego celu, natura użyła środka zbawiennego, acz ostrego. Wyrzuca on kobietę z dotychczasowej kolei: ospałą — zmusza do czujności; zamilowaną w stroju — daje konieczność mniej obcisłego ubrania; lekkomyślną — przywiązuje nagle do domowego ogniska; łakomą — nakazuje wstrzymanie się od potraw,

mogących szkodzić dziećciemu. Krzyk małego tyrana zmusza matkę do opuszczenia najulubieńszych zajęć, powołuje ją nagle do łóżeczka niemowlęcia, a wszystko to w celu nauczania kobiety, iż odtań obowiązek macierzyński uważać ma za najpierwszy i najświętszy ze wszystkich.

Przypuściwszy nawet, że pokarm najemny równie zdrowym być może; wiele innych przyczyn zniewolić powinno matkę do karmienia dziecka swojego. *).

Bywają nierzadkie przykłady zabicia przez mamkę dziecka niezdrowym pokarmem, lub narażenia go na długotrwałe cierpienia przez udzielenie mu zaraźliwych chorób, którym klasa kobiet, dostarczająca mamek najbardziej podlega. Wszakże pomijając i te wypadki, pragnę zwrócić uwagę matek na często zdarzające się choroby dziecinne, wywoływane przez mamki nadużyciem jedzenia, ich popędliwością, podawaniem piersi w sposób grożący dziecku uduszeniem, zwłaszcza w razie zdręmania się. Kontrola nad tem wszystkim niesłychanie trudna—prawie niepodobna.

Rousseau utrzymuje, że kobięta najemna może mieć zdrowe mleko, jako mamka; jest jednak złą matką, bo dla zarobku opuściła dziecko własne. Zarzut podobny może we Francyi być dla niejednej ciężką niesprawiedliwością; u nas wziąć go można dosłownie. Tyle okolic kraju naszego bezustannie się skarży na brak rąk do pracy, że kobięta silna i zdrowa może zarobić na życie, nie opuszczając dziecka własnego. Była tedy złą matką. Jakże więc z ufnością można jęj powierzyć dziećcie?

Karmienie niemowlęcia, powinno się, mniej więćej, co trzy godziny odbywać. Nierozsądnie jest za każdym płaczem dziećcia pierś mu podawać. Jeżeli pora karmienia jeszcze nie przy-

*) Już w XV wieku Elżbięta Jagiellonka, w XVI Erazm Glicznier i Mikołaj Rej z Nagłowic, radzą matkom karmienie dzieci własną piersią.

szła, piérwój zbadać należy, czy dziecię nie ma wilgotnych pieluszek, czy mu co nie dolega, nim mu się poda pożywienie.

Prawie wszyscy lekarze, jakich dziełami posiłkuję się w niniejszój pracy, radzą od piérwszój chwili uregulować czas podawania dziecięciu pokarmu. Z początku częściej, jak co dwie, później co trzy lub cztery godziny; w nocy najpiérj, by dziecię wcale nie było brane do piersi, lub co najwięcej raz jeden. „Jestem zdania — mówi Roseville — że trzeba uregulować czas karmienia dziecięcia, w interesie zarówno jego, jak matki. Płacz jest jedynym jego językiem; więc nim wyraża ono: głód, pragnienie, nieukontentowanie, niewygodę, ból — słowem wszystkie żądania. Największa zaś liczba kobiet, gdy słyszą płacz niemowlęcia, mniema, że mu się chce jeść — i zaraz ssać mu dają; a jeżeli płacze często, jak to niekiedy się zdarza; wtedy ciągle przy ich piersi i we dnie i w nocy zostaje. Wypływa z tego takie przeładowanie żołądka mlékim, iż dziecię musi je oddawać, a im więcej mu go dają, tém więcej go wyrzuca. Pod wpływem tych niestrawności, tych ciągłych wymiotów, przy działaniu mléka, które, nie mając czasu wyrobić się prawidłowo, niema już własności pożywnych; żołądek się wysila, trawienie staje się utrudnioném, odżywianie idzie słabo, dziecię mizernieje. Następnie mogą przyjść zapalenia, kurcze żołądka, dyjaryja, przeciwko którym sztuka napróżno niekiedy walczyć usiłuje. Dziecię wreszcie krzycząc musi i potrzebuje. „Krzyk jest dla niego gimnastyką, najważniejszém ćwiczeniem mięśni klatki piersiowój; jest to zarazem najlepszy środek pobudzenia krążenia krwi w ciele dziecka. Każde niedomaganie objawia się u niego krzykiem, a sen i krzyk są to najlepsze środki lecznicze, za pomocą których wyrównywają się nieznaczne zaburzenia w organizmie. *)

Zbyteczne ssanie bywa najczęściej powodem krzyku, mianowicie u dziecka, którego mamka uważa karmienie za jedynie swoje zadanie. Nieraz widziałam dziecię krzyczące, od piersi odwracające się ze wstrętem i rzucające nóżkami, któremu mam-

*) Karol Reklam: Nauka zachowania zdrowia i zdolność do pracy.

ka, lub nierozsądna matka gwałtem pierś do usteczek wkładała. Była to prawdziwa męka dla biednego niemowlęcia.

Zbyt częste zresztą karmienie niesłuchanie męczy matkę. Ciągłe drażnienie brodawek, spowodowuje zbyt częste wyrabianie się mleka, osłabiające karmiącą, gdy przecież matka powinna swoje zdrowie oszczędzać. Widzimy często bardzo silne kobiety nędzniejące przy karmieniu, najczęściej dla tego, że je wyczerpuje zbyt częste wyrabianie się mleka, w skutek ciągłego podawania piersi dziecięciu, tak że niezdrowie własnym nierozsądkiem spowodowane, zmusza je często do zaprzestania karmienia.

Jeżeli przeładowywanie pokarmem niemowlęcia jest niewłaściwe; to równie szkodzi mu mleko, przepalone w piersiach wskutek zbyt częstego wstrzymywania się w karmieniu. Chyba w gwałtownej potrzebie może karmiąca na czas dłuższy oddalać się od dziecka, nie mu bowiem jej pokarmu skutecznie nie zastąpi.

Dodać tu należy, że warunki, w jakich dzieci u nas się chowają, bywają często bardzo nieprzyjemne.

Babunie i ciotce zwykle są zwolenniczkami tradycyjnego postępowania. Opowiadają, jak same z dziećmi się obchodziły i własne czyny uważają za dowody niezbitości, chociaż te czyny nie wydały zadawalających rezultatów. Ojcowie są nieobecni. Nianki są uosobieniem najdzikszych, często zabójczych przesądów. Ogół jest nieświadomy i obojętny.

Matki zatem podwójnej oględności, podwójnej siły i rozsądku potrzebują. Trzeba im się zdobyć na wielką energiją, szukać światła w nauce, strzedz się zarozumiałej pewności siebie, opartej na własnych uprzedzeniach, bo ta najwięcej dzieci gubi i gubiła.

Do matki, nie do najemnej karmicielki, należy śledzić pierwsze błyski budzącego się życia moralnego w dziecięciu. Ona pierwszy posiew w serce jego rzucić powinna, a uczynić tego nie może, jeżeli dziecko do obcej kobiety rączki z miłością wyciąga, z jej spojrzeń, słów i obejścia czerpie wrażenia i uczucia a na matkę patrzy obojętnie. „Trzeba — mówi kardynał Sadolet, w swém dziele: *O wychowaniu*, aby to dobre ziarno, które ma wydać owoce dla szczęścia żywota, siane było jak najwcześniej i rozrastało się w duszy dziecka, kiedy miejsce jest jeszcze próżne

i kiedy młody i świeży umysł nie jest zajęty myślami obcemi. Skoro się wcześniej posiów zrobiło, ziarno zakorzenia się głęboko i gruntownie.” Jeżeli zaś przy niemowlęciu jest mamka, śmiało powiedzieć można, że matka nie ma na niego żadnego wpływu, jest widzem, pośrednio tylko przez mamkę działać mogącym. A cóż to jest działanie pośrednie, gdy chodzi o duszę?

Mamka przestawszy karmić, pozostawiona nadal jako niania, zachowuje wpływ moralny przy sobie, na mocy przywiązania dziecinnego. Jeżeli zaś po odłączeniu opuszcza wychowanka, miłość jego nie od razu przenosi się na matkę. Dziecię tęskni, wreszcie obdziela uczuciem swoim wszystkie otaczające je osoby, przywiązując się najwięcej do tych, które je najbardziej psują i pieszą, a matka pragnąca zachować swoją powagę, czuje często, że jej brak podstawy, na którejby wpływ na dziecko mogła gruntować. — Straciła więc dla swych wychowawczych wpływów, bardzo drogi czas pierwszego posiewu. Do wychowania też szczególnież zastosować się dają słowa Pawła Śgo: „Kto posiada miłość—wszystko posiada”.

Pożywienie matki karmiącej, powinno być zdrowe i posilne. Mięso, owoce i mleko niech stanowią jego podstawę. Niech jej sposób życia pozostanie niezmiennym, ze zwróconą wszakże uwagą na najlepsze odżywianie, bo już nie jedna, ale dwie istoty z niego korzystać muszą. Posilne, zdrowe i lekkostrawne pokarmy dają dobre i pożywne mleko. Do pięciu miesięcy niedość obfity pokarm matki winien być zastępowany tylko przez świeże mleko krowie, rozcieńczone wodą i lekko cukrem osłodzone. Żadne inne jedzenie do tej pory jeszcze dziecku nie służy i bułeczka rozmoczona w mleku, kaszki i lekkie rosolki, bez wloszczyzn gotowane, dopiero po upływie tego czasu mogą być przyrządzane bez szkody.

Wielu lekarzy radzi odłączać dziecko od piersi w dziewiątym lub dziesiątym miesiącu; żaden nie radzi przedłużać karmienia nad rok jeden. I rzeczywiście przychodzi czas, w którym

mléko karmiącej, traci własności potrzebne do prawidłowego odżywiania dziecka; sama zatem natura wskazuje, że przedłużone karmienie, ani dla matki, ani dla dziecka zdrowém być nie może. Odłączanie nie powinno być gwałtowną, jak zwykle bywa przemianą. Można dziecię do niego przygotować, oswajając je z jedzeniem i coraz rzadszém podawaniem mu piersi; tym sposobem, dziecię prawie nie czuje przykrości odłączenia. Najboleśniej odczuwają je dzieci, przyzwyczajone przez matki, lub mamki do ustawicznego ssania, regulującego się nie rzeczywistą potrzebą wychowańca, lecz uprzedzeniem karmicielki.

Jeżeli matka ma domowego lekarza, powinna się go co do odłączenia poradzić; lecz jeżeli dziecko zdrowe, a sprowadzenie lekarza przedstawia trudności, może bez obawy je odłączyć. Jest to przejście często przykrejsze dla niej, niż dla jej małego pieszczocha. Widziałam matki płaczące rzewnie, gdy przyszła chwila odłączenia; lzy to były dziecinne; świadczyły wszakże, iż karmienie, nie tylko nie jest uciążliwém, ale owszem przywiązującym i przyjemnym obowiązkiem.

Po odłączeniu, szczególniejszą uwagę matka zwrócić powinna na higieniczne żywienie dziecka. Jadło ono już wprawdzie, ale tylko to, co miało mu raczej zastąpić nie dość obfity i posilny pokarm matki. Teraz dopiero zaczyna być stworzeniem mięsożerném i żującym; upodobania jego bywają jednak często fałszywe i nie zawsze dogadzać im można. Różowy tłuszcioch przepada za słodyczami. Na widok cukru radośnie się uśmiecha, kartofle pożera z chciwością; mięsa natomiast nie lubi, a jarzyny wypłukwa ze wstrętem. Matka musi mu tedy wydzielać i dobiierać jedzenie, powoli przyzwyczajając do rzeczy pożywnych i zdrowych, mając na ciągłej uwadze jego ustrój fizyczny. Każdy z nas wie, jak przestrzeganie higienicznych przepisów wpływa na rozwój ciała. Niektórzy badacze nowocześni utrzymują, że materyjalne warunki odbijają się na całych pokoleniach i przekształcają je. Berkeley, słynny metafizyk XVIII, wieku, używając higienicznych środków, jakie dla swych celów za właściwe uważał, wychował olbrzymia z dziecka, które znalazł żebrzące na moście w Londynie. Było ono małe i wątłe. W 16tym roku życia, w którym umarło, miało siedm stóp wysokości. W ogóle w żywieniu dziec-

ka należy wybierać raczej potrawy proste i o ile można naturalne. Wszystko to, co wybredność i smak nadużyciem stępiony do wymyślniejszej kuchni przydały, nie jest dobrem i właściwem dla dziecka. Ostre zaprawy, fasze, sosy wymyślne, nie przyniosą mu pożytku, a jeżeli nie zaszkodzą fizycznie, to dadzą mu poczucie sztucznych potrzeb i zaszczipią w niem przyzwyczajenia, które zawsze źle się na dalszym jego życiu odbijają. Jakoż przyzwyczajenia w całym ciągu wychowania ważną rolę odgrywać muszą. Już i w niemowlęctwie dziecię nabyć może niepotrzebnych nawyków, które w następstwie matce przyczyniają wiele kłopotu.

Takiem n. p. jest huśtanie dziecka, dla łatwiejszego uspiania go. Huśtane przez niankę w dzień, domaga się tego i w nocy, co męczy ją i naraża dziecię na niebezpieczeństwo, kiedy nianka znużona siada, trzymając je na ręku: zdręmnawszy się upuścić je może.

Prostym u nas zwyczajem jest wychowywać niemowlęta w poduszkach wypchanych puchem, co wielu lekarzy za szkodliwe uważa. Natomiast zalecają oni używanie materacyka, wypchanego włosieniem lub, co mi się właściwszem wydaje, materacyka z miękkiego a grubego materyjału, jak wójłok, przepikowanego, po złożeniu go w kilkoro. Pierzynka, zwłaszcza w lecie, sprządza poty, osłabiające dziecię; w zimie rozgrzewa je zbyt, narażając na zaziębienie w chwili przewijania. Niektórzy lekarze radzą wychowywać niemowlęta bez wszelkich materacyków lub poduszek. „W tych rodzinach — mówi Reclam — w których na wzór anglików dzieci noszone są, nie w poduszkach, ale od pierwszego zaraz dnia na rękach troskliwej piastunki, w położeniu, w którym w każdej chwili mogą poruszać rękami i nogami, nieskrępowane zasnurowaną poduszką; dzieci takie daleko prędzej zdobywają samodzielność w ruchach, gdyż wykształcenie ich mięśni bez porównania szybciej się w nich odbywa. *)

*) Reclam: Nauka zachowania zdrowia i zdolności do pracy.

Co do tego, czy dziecię w łóeczku wychowywać od razu należy, czy też można mu dać kołyskę, zdania lekarzy się różnią. Koehler, Roseville i Moszyński pozwalają na kołyskę. Zalecają tylko umiarkowanie jej ruchów, twierdząc, że dziecię już w łonie matki do podobnego kołysania przyzwyczajone było. Natomiast: Fürst, Meier, Reclam i Kaczorowski, bezwarunkowo potępiają ten zwyczaj. Przytoczę tu słowa ostatniego z tych powag, by dać możność matkom ocenienia powodów, na których przeciwnicy kołyski swoje zdanie gruntują. „Wszystkie części ciała dziecięcia nowonarodzonego są bardzo delikatne. Jego mózg, jako przeważna część ustroju nerwowego, jest nader miękki, prawie na pół płynny; przeto ciągle kołysanie nie pozwala temu narządowi prawidłowo się rozwijać, w skutek czego powstają nudności i wymioty a nawet zapalenie mózgu, pozostawiające, jako następstwo, nagromadzenie wody w głowie. Stąd pochodzi owa znaczna śmiertelność pomiędzy dziećmi w pierwszych miesiącach, nad czém nikt należycie zastanowić się nie chce, chociaż temu łatwo zaradzić można. Potrzeba tylko usunąć kąpiele gorące, piernaty, poduszki i kołyskę, wtedy można wychować czerstwe i zdrowe dziecię. W celu przekonania się jak zgubne bywa kołysanie dla niemowląt, niech spróbuje dorosła osoba, przy pełnym żołądku, kazać się kołysać gwałtownie; natenczas łatwo się przekona o zgubnych następstwach kołysania w ogóle, uwzględniając prócz tego jeszcze indywidualność dziecięcia, które po nakarmieniu wymaga jak największego spokoju. Dzieci przywykłe do kołysania. domagają się także w ciągu dnia, by je ciągle na rękach nosić i hojdać, co je nie ,zawsze uspakaja.”

Powyższe słowa powinny przynajmniej zachęcić matki do wielkiej pilności nad tém, w jaki sposób kołysanie się odbywa. Często bywa ono tak gwałtowne, zwłaszcza przy kołyskach wiszących na pasach, iż łatwo przypuścić, że nie może być dla dziecka właściwém i dopełniać się bez przynoszenia mu szkody.

Co do sypiania dziecięcia w jednym łóżku z matką, czy mamką, wszyscy bez wyjątku hygieniści są mu stanowczo przeciwni. Nie tylko dla tego, że śpiąca matka niemowlę zadusić może, ale „że wyziewy osób starszych są dla dzieci niezdrowe i w sku-

tek nich dzieci nędznieją, jako też różnych chorób od starszych osób nabyć mogąⁿ.

Dziecię, układające się do spoczynku, nie powinno rąk chować pod kołdrę; ma być nią tylko do pach okrytém tak, by ręce na kołdrze były widoczne. Dla tego w zimie, trzeba kłaść dziecieniu ciepły flanelowy kaftanik na koszulę nocną. Często sen dziecka jest niespokojny i wśród nocy można je znaleźć rozkrytém; kaftanik flanelowy w każdym więc razie jest korzystnym. W lecie, gdy dziecko sypia pod prześciéradłem, lub kołdrą bardzo lekką, ostrożność ta staje się niepotrzebną.

Jednem z najniedorzeczniejszych przyzwyczajęń mamek i nianiek, jest chęć przedwczesnego zmuszania dziecienia do siedzenia i trzymania prosto głowy. Widywałam nieraz dzieci obstawione poduszkami, lub zwitkami bielizny, pozostające w pozycji zgarbionój, z głową usiłującą utrzymać równowagę, lecz co chwila opadającą i chwiejącą się na wszystkie strony. Nianki muszą być bardzo strzeżone, by w podobny sposób nie postępowały z dziecieniem. Przewodniczką tu może być natura. Wtedy dopiero, gdy dziecko samo, chwyciwszy za poręcz łóżeczka, usiąść jest wstanie; można mu pozwolić pozostawać w pozycji siedzącej. Inaczej „skrzywienie zbyt jeszcze słabój kolumny pacierzowój, lub innych części kadłuba, jest smutném, często obserwowaném następstwem tak niedorzecznego postępowania, mającego na celu sztuczne przyspieszenie naturalnego rozwoju dziecka”.

Do niedorzecznych też zwyczajów zaliczyć trzeba próby stawiania dziecka na nóżki wtedy, gdy jeszcze samo nie objawia potrzeby i możności utrzymania się na nich. Wszelkie przyspieszanie w tym razie naturalnego rozwoju, nie tylko opóźnia chodzenie, ale jest szkodliwém dla zdrowia. Dziecko położone swobodnie na ziemi, na miękkiej kołdrze, samo zaczyna się czołgać, posuwać, wstawać na nogi. Pomaganie dziecieniu do chodzenia przez podtrzymywanie go pod pachy jest szkodliwe, bo ugniata mu piersi i boki. Jeszcze szkodliwsze zakładanie mu paska pod pachy i podtrzymywanie z tyłu, dla ułatwienia

mu chodzenia. Natura, sama tylko natura działać tu powinna, a gdy wreszcie naznaczy dziećciemu czas powstania na nóżki; nie trzeba się zbytecznie obawiać upadków, strzegąc je tylko od zbliżenia się do mebli z kantami ostrými, od wchodzenia na stołki, wschody i t. p. Upadek na równiej powierzchni, nie może mieć złych następstw. Dziecię jeszcze tak mało od ziemi odrosło, że upadając nie jest narażone na niebezpieczeństwo, a nawet upadek jest dla niego nauką ostrożności i rozwagi. Nakładanie dziecku na głowę watowanego wałka, mającego je strzedz od niebezpiecznych uderzeń, jest wielce przez lekarzy ganione, jako powodujące szkodliwe rozgrzewanie głowy.

Pielęgnowanie skóry dziećcięcia w pierwszych miesiącach życia dokonywa się zwykle prawidłowo. Codzienne kąpiele są nawet w najuboższych domach stosowane; lecz po skończeniu roku, dziecię często pod tym względem jest zaniedbane. Mycie bywa wprawdzie codziennie, ale kąpiele ustają, kiedy obmywanie całego ciała, przynajmniej co drugi dzień, jest dla zdrowia bardzo pożyteczne. Od trzech lat, kąpiel, brana dwa razy na tydzień wystarcza. Kąpiele te, poczynawszy od skończenia roku, powinny mieć 25° R.; brane zaś być mogą w pokoju mającym 15°. Kąpiel powinna trwać pięć minut, poczem dziecię starannie obtarte, przynajmniej przez godzinę wychodzić z pokoju nie powinno. Czystość największa całego ciała jest konieczna. Płókanie ust, mycie zębów miękką szczoteczką zalecają wszyscy lekarze. Najlepszym proszkiem do zębów, jest kręda zwyczajna, w aptece starannie oczyszczona i mialko sproszkowana.

Największa część rodziców nie zdaje sobie dokładnej sprawy, czém są dla zdrowia dziecka warunki mieszkania, w którém ono przebywa. „W niezdrowém mieszkaniu, nie może być wychowaném zdrowe dziecię”. — woła jeden ze znakomitych lekarzy. Dziecię, w skutek większej wrażliwości *swego organizmu* odczu-

wa bezporównania silniej otaczające je warunki, niż człowiek dorosły. Brak światła, zdrowego, czystego powietrza, wilgoć, dym i kurz, szkodzą dzieciom daleko więcej, niż dorosłym. Rodzice zwykle za mało na to uważają. „Najlepszy pokój w domu nie jest jeszcze za dobry dla największego skarbu, jaki Bóg daje rodzicom”. Często wszakże się zdarza, że kiedy salon jest obszerny, jasny i na południe wystawiony, dzieci mieszkają w małym, na północ położonem, wilgotnem mieszkaniu. „Dużo światła, dużo powietrza dajcie dzieciom waszym! Pan Bóg waszym rękom powierzył szafunek tych swoich darów, nie skąpcie ich wiośnie życia, obok was kwitnącej. Człowiek dorosły już tylko odnawiania, utrzymania życia potrzebuje; organizm dziecięcy tworzy, rozwija się; jemu brak każdy—podwójną szkodę przynosi”.

Mówiąc o pierwszém wychowaniu dziecka, wspomnieć należy, iż wybór niańki jest niezmiernie ważny. Łagodność, zręczność, czujność w nocy, zamięrowanie porządku i roztropność, do najpierwszych jej przymiotów należą, a matka przez pierwsze tygodnie jej pobytu, troskliwie badać powinna, czy przymioty te posiada w zupełności. Jest też rzeczą ważną, by niańka była zdrową, miała oddech czysty i nie wydzielala potu ostrego, psującego powietrze, którem dziecko oddycha.

W pierwszém dzieciństwie na rozwój sił i zdrowia wielką należy zwrócić uwagę, hartując dziecię powoli i rozsądnie. Oswajanie go z zimną wodą, obléwanie nią, zalecone jest przez wszystkich prawie o wychowaniu piszących. Jeżeli dziecię od początku jesieni codziennie (z wyjątkiem dni słotnych) na powietrzu zostaje, pora zimowa nie zaszkodzi mu z pewnością. Stósownie odziane, może ono iść na przechadzkę w południe, ślizgać się po lodzie, łopatką śnieg kopać i przenosić. Z wyjątkiem dni bardzo wietrznych, w klimacie naszym rzadko zimno wznosi się do stopnia szkodliwego dla dziecka, a oswojenie ze zmianami powietrza niezmierną mu korzyść przynosi. Ale jak we wszystkich działach wychowania, tak i w hartowaniu wielka systematyczność jest potrzebna. Wyprowadzanie nagle na zimno dziecka, które w ciepłym

pokoju kilka tygodni przebyło, zaszkodzić mu może; ale gdy obléwane zimną wodą i wyprowadzane było codziennie, większe nawet zimno zniesie bez żadnej szkody dla zdrowia. Rousseau powiada: „Ciało jest posługaczem ducha; lecz by posługacz był dobry, trzeba by był silnym i wytrwałym, wtedy tylko może odpowiedzieć wymaganiom pana — ducha”. Widzimy rzeczywiście, iż równie jak duch na ciało, tak ciało na ducha oddziałują, że rozdrażnione chorobą nerwy—tego ducha niesłuchanie osłabiają; że słaby organizm przeszkadza do pracy umysłowej i wytrwałego działania, że wreszcie samą nawet chęć działania osłabia i niszczy. Hartowanie przeto ciała oddziałują niezawodnie na ducha.

Zwracając uwagę na rozwój fizyczny, nie należy podlegać słabości niektórych rodziców wiecznego upatrywania jakichś niemocy w dziecięciu i leczenia go najczęściej bezpotrzebnie. Często słyszy się matki mówiące, iż leczą dzieci *domowými środkami*; u niektórych leczenie niemowląt staje się prawdziwą maniją. Ulepek rumbabarowy, proszek troisty, magnezycja, rumianek, olejek blekotowy do smarowania brzuszka, zioła do kąpieli, mające sen sprowadzać, nie opuszczają pokoju dziecka. Co za zgubna metoda! Wszystkie bez wyjątku nowsze poradniki lekarskie, z oburzeniem mówią o tej kuchni łacińskiej, karmiącej nieszczęśliwe niemowlęta i psującej ich żołądek przez wywoływanie w nim trawienia w sposób przeciwny naturze. A już o dawaniu dzieciom napoju na sen, o gotowaniu dla nich makówek, lekarze mówią, jak o zbrodni, zabijającej ciało i umysł niemowlęcia. Jedynym środkiem, bez lekarza stósownym, jaki dziecięciu szkody przynieść nie może—jest dyjeta karmiącej matki. Wstrzymanie się przez nią od jedzenia potraw niestrawnych, reguluje żołądek dziecięcia. Są bowiem potrawy, które spożyte przez matkę tak szkodzą karmionemu przez nią niemowlęciu, że dostaje ono po nich rznięcia w żołądku. Nie można wszakże ganić bezwarunkowo matek, które nie będąc w stanie za każdym niezdrowiem dziecięcia wzywać lekarza, same, w razach mniej ważnych, starają się je leczyć. Obłożenie brzuszka ogrzaną pieluszką, rumianek, lewa-

tywka, lub mała doza magnezyi, są w ręku rozsądnej matki środkami nieprzynoszącemi szkody, bo ich używa tylko wrazie rzeczywistej potrzeby. Ale te matki, które i zdrowe dzieci opychają lekarstwami, które codziennie rumianek podają, jako napój, a troisty proszek dają przed nocą, by spokojny sen sprowadzić; te, które bez porady lekarza kąpią dziecię w aromatycznych ziołach, nie bacząc na to, że leżące dziecię aromatu tych ziół silnie odczuwa, mając twarz bardzo zbliżoną do wody,— te matki grzszą zarozumiałością, którą przywykliśmy dobrą wiarą nazywać. „Pycha wiedzy jest skromnością w porównaniu z pychą niewiedomości.” Te słowa przychodzą mi na myśl często, gdy w pokoju niemowlęcia widzę zaprowadzony system, nie oparty na żadnem badaniu, na żadnej racjonalnej podstawie, a będący tylko zarozumiałą samowolą, której żadne dane naukowe, żadne perswazyje przepierać nie mogą. „Ile razy mam gości, tyle razy daję proszek troisty dziecku”, mówiła mi jedna matka karmiąca—„jest wtedy spokojne i mnie od zabawy nie odrywa.” Logika godna podziwu!

Wrazie choroby dziecka obowiązkiem matki jest, nie tylko zwiększona czynność i troskliwość, ale i wielka przytomność umysłu. Jeżeli dziecię niema gorączki, matka może spróbować środków domowych wyżej wspomnianych, gdy się jednak okaże gorączka, lub symptomata jakie groźnej natury, lekarz niezwłocznie wezwany być powinien.

Dziwna zaiste sprzeczność pojęć wyrobiła się u nas, co do lekarzy i ich użyteczności. Są matki lękające się więcej lekarza, niż choroby dzieci. „Ja doktora strzegę się, jak ognia” mówi niejedna z nich w zaufaniu znajomym. Z tych niektóre leczą homeopatycznie, inne pozostały wierne dawniej metodzie; ale zarozumiałość, jak w tych, tak w tamtych, jest równie wielka i równie nieuzasadniona. Inne znów matki, gorączkowo trwożliwe, wzywają lekarza za łada pozorem niedomagania, same, we własnej wyobraźni stwarzają choroby dziecinne, wmawiają je lekarzowi i rzekomym pacjentom, przyuczając dzieci do przesadnej

obawy o zdrowie własne, co w dalszém życiu istotnie się u nich w stan chorobliwy zamienia.

Jak jedne, tak drugie matki błędzą. Nie wzywając lekarza, gdy dziecko jest chore, i lecząc je same w razach ważniejszych, dają dowód lekkomyślności, lub zarozumienia; wmawiając dzieciom chorobę i wyzyskując usługę lekarza na opychanie ich coraz nowemi lekarstwami, nie mniejszą przynoszą im szkodę. Matki, ani zdrowego dziecięcia leczyc, ani jego choroby na swą odpowiedzialność brać nie mają prawa. Rady lekarza powinny być skrupulatnie wykonane, bez względu czy się dziecię na lekarstwo krzywi lub nie. Bardzo często matki pozwalają sobie sądzić lekarza, przyjmować jedną radę, a drugą odrzucać, krytykować jeden, a pochwalać inny środek, nie mając o medycynie żadnego pojęcia. Jest to zawsze oznaką zarozumiałego a płytkiego umysłu. Rozumna matka powinna lekarza wzywać tylko w razie potrzeby, ale wezwawszy go słuchać bezwzględnie. Niech się też stara, aby lekarz jej dzieci był zacnym człowiekiem, któremu, nie tylko jako lekarzowi, ale jako uczciwemu człowiekowi zaufać by mogła.

Byłam raz w domu, gdzie do chorego dziecka wezwano lekarza. Było to na wsi i, nim przybył, dziecko już zaczęło się bawić i biegać. Przyjechawszy i obejrzawszy małego pacjenta, lekarz siada i pisze receptę mikstury, złożonej z kilku środków. Od stolika wstaje z westchnieniem i mówi do mnie, jako do swojej dawniej znajomej: „Musiałem to zapisać, choć dziecko żadnego nie potrzebuje lekarstwa. Wiem, że rodzice byliby nie kontenci, gdybym o cztery mile przyjechawszy, recepty nie zostawił; zdawałoby im się, że na próżno pieniądze wyrzucili.” Lekarz, który podaje niepotrzebne lekarstwo, jest co najmniej słabego charakteru człowiekiem.

Inny lekarz wezwany do dziecka chorego tylko w wyobraźni matki, powiedział jej, że żadne lekarstwa nie są potrzebne tam, gdzie cierpienia dostrzedz niepodobna. Matka załamała ręce „Niech pan przynajmniej dla mojej spokojności cokolwiek zapisze — zawołała. Znajomość takiej logiki macierzyńskiej, skłoniło zapewne i wyżej wspomnianego lekarza do zapisania recepty i doprawdy niełatwem jest leczenie dziecka niemą-

drój matki. Niedowierzania, obawy, uprzedzenia jęj, dają lekarzowi często więcj kłopotu, niż sama choroba, a nerwy i wszystkie nerwom przypisywane kaprysy matek, są plagą doktorów dziecinnych. I tu, jak we wszystkim, miłość powinna być miłością rozumną, bo inaczej biada dziećciui!

Jeżeli położyłam nacisk na charakter lekarza, któremu powieramy dziećię, to dla tego, że choroby dziecinne trudniejsze są do zbadania, niż choroby starszych. Dziećię małe nie może powiedzieć co je boli, a mówiące już, często nie umie określić rodzaju bólu i pojąć jego przyczyny (mając nudność dziećię popolicie mówi, że je gardło boli). Zdarza się więc, że lekarz przy utrudnionych w ten sposób warunkach, nie wie, co jest dziecku, nie umie poznać choroby. Sumienny człowiek mówi w takim razie: „Szukaj pani rady u kogo innego, ja nie wiem, co jest dziecku twojemu.” Lekarz mniej sumienny, z obawy utraty praktyki w domu rodziców małego pacjenta, próbuje różnych środków, szuka omackiem nici, która by go do prawdy doprowadzić mogła; znajduje ją często, ale dziećię cierpi na opóźnieniu, lub w cięższą chorobę zapada. Matki, mieszkające w mieście są pod tym względem lepiej zabezpieczone, mogą wybierać i mieć domowego lekarza, który się staje przyjacielem rodziny, przyjacielem dzieci, wyciągających do niego rączki z zaufaniem. Taki lekarz może mieć ogólny kierunek nad fizycznęm wychowaniem dzieci i być wzywany za najlżejszym objawem choroby. Na wsi położenie jest trudniejsze; wybór lekarza niepodobny i trzeba wzywać tego, który mieszka najbliżej. Wzywać go tedy należy w razach ważniejszych, lecz słuchać jego rady skrupulatnie.

Medycyna dzisiaj wyrobiła już sobie takie uznanie, tak wysokie i tak zasłużone zajęła stanowisko, że rady dwóch największych pisarzy pedagogicznych przeszłego wieku Lockego i Rousseau, zalecających unikać i strzedz się doktorów, wydają się zacofanemi i śmiesznemi; chociaż poważny Locke, jako medyk-teoretyk,*)

*) Gliszczynski: „Locke, jego życie, ogólny charakter jego filozofii.” Locke szczególniej przykładał się do medycyny i chociaż jęj nie nauczał i nie praktykował, zjednał sobie wielką sławę w Oksfordzie.

stara się nas dobrze dla swego zdania usposobić i z najlepszą wiarą zapytuje: „Z jakiego względu możnaby nie ufać człowiekowi, który część życia swego poświęcił na zbadaniu medycyny, gdy ten człowiek radzi nie spieszyć się z uciekaniem się do leczenia i lekarzy.

W epoce pierwszego dzieciństwa wielka bacność musi być zwrócona na pożywienie, któreby, po odłączeniu, stopniowo przeprowadzało dziecię od dotychczasowego trybu, do tego, jaki wiodą starsi. Wszakże i w dalszym ciągu, przez całą epokę, wieku chłopięcego, pożywienie dziecięcia powinno być przedmiotem jak największej uwagi. Ma ono być obfite, z przewagą pokarmów mięsnych. Nauka i doświadczenie uczy nas, że z pokarmów człowiek czerpie siłę, że za ich pomocą odnawiają się w jego ciele, zużyte przez czynność dzienną tkanki, więc otrzymuje moc żywotną. Dziecię, oprócz tój samėj, co człowiek dorosły potrzeby odnawiania sił zużytych, potrzebuje ich jeszcze do wzrostu. Nadto nauka mówi, że dziecię, z pokarmów przyjmowanych, potrzebuje wyrabiać w sobie większą stóśunkowo ilość ciepłika, bo jego ciało przedstawia większą powierzchnią odnośnie do całej jego objętości, niż ciało dorosłego człowieka; — przeto utrata owego ciepłika przez promieniowanie w dziecięciu jest większa. W zalecaniu przewagi mięsa w jedzeniu dziecinném, fizjologowie mają na uwadze: że choć wszelkie pokarmy zawierają części pożywne, mięso ma ich najwięcej; zatém organizm dla przyswojenia ich sobie, najmniěj potrzebuje zużywać sił na pracę trawienia.

Ponieważ niema pokarmu, któryby zawierał wszystkie potrzebne organizmowi ludzkiemu pierwiastki i gdy te znajdują się tak dobrze w płodach roślinnych, jak zwierzęcych; zatém mięszanie pokarmów oraz jak największa ich różnaitość daje, przy przeważającém pożywieniu mięśném, najpomysłniejsze rezultaty. W naszym kraju, gdzie „pomarańcza złota” nie dojrzewa, a o dobre jabłko często trudno i stóśunkowo jest ono bardzo

drogie, dzieci za mało jadają owoców. Do pożywienia zwykłego ludzi średniej zamożności wchodzi one rzadko; — wieś za mało produkuje, miasta za mało ich spożywają. Dzieci, które do owoców mają pociąg naturalny, nie mając ich sobie dostarczanych w dobrym gatunku, zjadają, gdy im się zdarzy sposobność, wszelkie kwaśne i niedojrzałe, a szkodzące ich zdrowiu. Rodzice zamożniejsi, powinni by się starać o obfitsze obdzielanie dzieci owocami dojrzałemi; mniej zamożni jarzynami niech ten brak zastępują.

Często bardzo dzieci jedzą mało dla tego, że potrawy składające obiad nie przypadają im do smaku — że ich nie lubią; że mléko podawane na śniadanie, już im się sprzykrzyło; że do herbaty wieczornej mają tylko bulki, które im się przejadły. Jakkolwiek głośnie objawianie gustów przez dzieci, dyskusyje nad jedzeniem, przebieganie i kapryszenie, powinno dzieciom być wzbronione, bo dogadzanie sobie jest najkrótszą drogą, prowadzącą do egoizmu; to jednak zachęcam matki do nie lekceważenia sobie gustów dziecinnych i do zwracania na nie pilněj, choć skrytęj uwagi. Niech nie wie dziecko, że matka śledzi, co ono spożywa z apetytem, czego jada więcej, a czego mniej. Słyszałam nie jedną matkę mówiącą: „Moje dzieci muszą jeść wszystko.“ W tém, że dzieci, muszą brać choćby trochę każdej potrawy, do której nie okazują widocznego wstrętu, leży tylko nauka przyzwoitości towarzyskiej; ale w postępowaniu matek, o jakich wspomniałam, to jest najgorsze, że przy dysponowaniu obiadu, nie mają najmniejszego względu na gusta dzieci, i zdarza się, że cały obiad składa się z potraw zaledwie przez nie cierpianych. Zaspokoją one wprawdzie pierwszy głód dzieci, lecz nie doprowadzą ich żołądka do stanu sytości. A przecie niezepsuty i prawidłowo funkcjonujący organizm dziecinny, nie może bez szkody częstego niedostatku doznawać. Rozmawiając z wieśniaczkami nieraz słyszałam od nich, że krowa, lub wieprzak ich jest *zły do jadła*; znaczy to: że zwierzę jest wymyślne; że chyba głód ciężki zmusi je do jedzenia karmu, smakującego, a nawet tuczącego inne tegoż gatunku zwierzęta. *Muszę jadło jój krasić*, mówi wieśniaczka, *bo inaczej, nie dałaby mi i kapki mléka*; albo: *żebym temu*

prosięciu nie dogadzała, jak rodzonemu dziecku, toby nic nie rosło. Są i między ludźmi i między dziećmi takie organizmy złe do jadła, które potrzebują wyjątkowej wygody żeby mogły rozwinać się fizycznie. Rodzice rzadko kiedy na to wzgląd mają. Konstatują fakt, że dziecię jest wybrédne i patrzą spokojnie, że zaledwo dotyka jedzenia. Takie niedostateczne zaspokajanie żołądka, przynosi szkodę ogromną, bo albo wzrost odbywa się kosztem sił, albo odnowa sił zużytych odbywa się kosztem wzrostu, albo jedna i druga funkcyja dziecinna podkopana zostaje. Organizm przyzwyczaja się wprawdzie do mniejszego absorbowania pokarmów, ale dzieje się to z jego szkodą. Jeżeli dzieci nie lubią mięsa w jednym kształcie, można i trzeba pod inną podawać je postacią, zwłaszcza kiedy są głodne, aby zaspokoić głód mniej pożywnemi potrawami, nie odsunęły téj, jaka najwięcej pożytku im przynosi. Wiem, że wiele rodziców mniema, że mléko i jarzyny dostatecznie dziecię odżywiają i zdanie to nieraz potwierdzone było przez lekarzy, a kilku z nich na dowód podawało przykład dzieci własnych, rzadko karmionych mięsem, których jednak zdrowie nic nie pozostawiało do życzenia. Wszakże już dzisiaj, najznakomitsi w dziedzinie fizjologii badacze, zgadzają się na konieczność przewagi mięsa w pożywieniu ludzkim i dziecięcym. Na ich téż zdaniu opierając się, wypada zaznaczyć, że cukier i w ogóle rzeczy słodkie, podpadają, w opinii matek, zbyt surowemu uprzedzeniu. Gdyby nie to, że dzieci namiętnie je lubią, a matki znowu lubią dzieciom dogadzać; cukier byłby zupełnie usunięty z pożywienia dziecinnego. Jednak jest on tak koniecznie organizmowi potrzebny, że ten ostatni, nie mając go sobie dostarczonem w ilości dostatecznej, musi go sam wyrabiać z pierwiastków zawartych w innych pokarmach, nadających się do téj przemiany. „Cukier jest bez porównania lepszy, niż jego reputacyja. Dla tego rozwiążcie kłatwę, która go w dziecięcym świecie prześladuje. Zębów on nie psuje, owszem pomaga im zaopatrywać się w wapno. Dla żołądka jest téż pożyteczny, jeżeli nie używany nadmiernie.).*

*) Moleschott: Lehre der Nahrungsmittel.

W ogóle nie należy lekceważyć naturalnych pociągów i gustów dziecinnych. Przyczyną ich jest często potrzeba organizmu, i matki, nie okazując dzieciom zbytnej uwagi na ich wygody, powinny wszakże ich gusta uwzględniać i dbać o urozmaicenie ich pożywienia. Nadmieniam tu, że opieka rodzicielska nad synem do szkół, lub uniwersytetu chodzącym, winna baczna uwagę rozciągnąć na jego pożywienie. Chłopiec często żywi się ładą czém, żeby oszczędzić część dochodu na przyjemności i zarabia sobie na katar kiszek, często podkopujący całą jego przyszłość, bo choroba ta ma to do siebie, że niesłuchanie wpływa na usposobienie moralne i siłę władz umysłowych. Gdy jeden ze znajomych mi młodych ludzi udawał się na uniwersytet do Petersburga, lekarz, przyjaciel jego rodziców, powiedział mu: „Pamiętaj że jedzenie jest rzeczą pierwszorzędną wagi dla młodego człowieka. Nie kup sobie nowego ubrania i chodź, w podszarzaném; przechodź koło teatru, gdzie śpiewa Patti i nie wstępuj do niego ni razu; odmawiaj sobie doróżki i sanek, bądź skąpy na wszystkie zachcianki; ale niech jedzenie twoje będzie obfite, pożywne i zdrowo przyrządzone.” Że nie leży w naturze młodego człowieka, by mogąc słyszeć pierwszą na świecie śpiewaczkę, odmówił sobie tej rozkoszy, dla spożycia soczystego befsztyku; więc rodzice, jeżeli tylko są w stanie, powinni obmyśleć mu stałe stołowanie, zaspokajające dostatecznie jego potrzeby.

„W liczbie poczuć, które służą nam, jako wskazówki potrzeb fizycznych, jest poczucie ciepła i zimna; sposób ubierania dzieci, nie biorący poczuć tych w rachubę, musi być uważany za zły.” *). Często ubieramy dzieci niedostatecznie. Ich krótkie sukienki, nie dosyć je zabezpieczają i kiedy całe ciało okryte jest ciepło, nogi wystawione są na zimno. Są rodziny, gdzie nie tylko nogi, ale ręce i szyję dzieci obnażają, a rodzaj

*) Herbert Spencer: O wychowaniu.

ten ubierania nawet w zimie się nie zmienia. W wielu dziełach naukowych znajduję przestrożę, że, ubierając dzieci nieodpowiednio, przytępiamy ich wzrost, gdyż organizm te siły, jakimi by się posługiwał na pracę wzrostu, musi zużywać na wyrabianie ciepłika, którego zużywanie się w dziecku o wiele, a nawet, jak utrzymuje Liebig, dwa razy jest większe, niż w dorosłych. „Każda uncya substancji pożywczej, napróżno zużyta na utrzymanie temperatury ciała, jest umniejszeniem o tyle rozwoju fizycznego, nawet wtedy, gdy się uniknie katarów, kongestyj i innych chorób. Mniejszy wzrost, lub budowa mniej doskonała, musi być następstwem nieodpowiedniego ubrania.” Herbert Spencer stara się przekonać o tém następną humorystyczną uwagą: „Gdzie jest ojciec, któryby w dojrzałym wieku, nie mając innéj fizyologicznój potrzeby nad odnowę tkanek i tracąc bez porównania mniej ciepłika, niż jego dziecię, uznał za zbawienne chodzić z obnażonemi ramionami, nogami i szyją? Przecież ten wydatek sił, przed którym by się cofnął, gdyby szło o niego, narzuca małym istotkom, daleko mniej, niż on, do ponoszenia go zdolnym, a jeżeli nie narzuca, to nie sprzeciwia się bynajmniej, gdy go im narzucają inni.”

Zastosowanie tedy ubrania do temperatury powietrza, w jakim dziecię przebywa, jest całą mądrością w tym razie. Oprócz powyższych warunków, ubranie powinno odznaczać się jeszcze wygodą. Dziecię niech się w niem czuje zupełnie swobodnem, nigdzie nieuciśniętem, nieskrępowanem w żadnym ze swych ruchów. Gorsety i sznurówki, na które lekarze wyrzekają tak bardzo i tak jednogłośnie, niech dziewczętom przez matki narzucane nie będą. Jeżeli dorósłszy zażądają ich same, nie tak straszną przyniosą już im wtedy szkodę, jak w epoce wzrostu.

Ale w wychowaniu u nas, tyle zagnieździło się uprzedzeń i przesądów, niczém niewytlómaczonych, iż dziwić się trzeba, że, przy postępie ogólnym, trwają ciągle jak trwały, a matki nie mają odwagi zejść z bezmyślnie wydeptanej drogi. W téj ich obawie pogwałcenia ustalonej opinii i bojaźni puszczenia się nowemi tory, mają źródło wszystkie błędy wychowania dzieci naszych a w szczególności córek. Matki, choć może czują, że

być człowiekiem należy się kobiecie, postępują tak, jakby były przekonane, że Bóg ją stworzył jedynie na to, aby była ładna, pociągająca i przyjemna. Już małą dziewczynkę, wystrojoną jak lalkę, w obcisłą, często niewygodną sukienkę, uczą być ozdobą salonu. Wychodzi dziecię do gościa, który nie nie znajduje lepszego do powiedzenia jak: „Jakaś ty ładna! Jaką ty masz śliczną sukienkę” a dziewczeczka pogląda po sobie z zadowoleniem i pokazuje jeszcze buciki i pończoszki. Wyśmienita lekcya próżności! Małe dziecię wie już, że jedna sukienka jest ładniejsza, druga brzydsza, — w jedną ubiera się z zadowoleniem, drugą czasem ze łzami przywdzięwa.

Że strój jest rzeczą zupełnie od wyobrażeń zależną, że sukienka, którą dziecię bogatych rodziców uważa za brzydką, będzie bardzo piękną dla ubogiego małego; więc radziłabym przynajmniej ubierać dzieci zawsze według jednej i tej samej skali. Rodzice, mogący dać dziecku sukienki jasne, z ozdobami, haftami i koronkami, jeżeli nie potrafią nabrać przekonania, że strój wykwiniony dla dziecka najzupełniej jest niestosownym; niech je przynajmniej ubierają zawsze jednakowo, niech ono strój taki uważa za chleb powszedni i na strojnniejszy go dla gości nie zamienia. Nie będzie w takim razie szukało próżności w stroju, bo ten, jaki nosi, będzie dla niego rzeczą zwyczajną. Matka, która niema odwagi ubierać dziecięcia bardzo skromnie, co zawsze byłoby do życzenia, jakiegokolwiek jest jej mienie; niech zapyta samej siebie, na co starczyć jej może: na perkal, barchan, wełnę, flanelę, jedwab' lub aksamit i niech jej dziecię zawsze w jednakowo skromnej, lub jednakowo strojnej chodzi sukience, byle była wygodna i nie krępująca jego ruchów. Przy koniecznej potrzebie pozwalania dzieciom biegania, skakania, słowem wszelkiej swobody ruchów; sukienki te często narażone być muszą na zniszczenie, a więc, które z nich strojnniejsze, tem większy żal ich być może. Wszakże zbytek i marnotrawstwo są rzeczą względną, boć wiadomo, że często, stosunkowo do mienia kupującego,

perkal, czy wełna; daleko większym jest zbytkiem, niż dla innych jedwab' lub aksamit.

Kobięta podnioślejszego umysłu, zdolna ocenić błahość stroju, ubiera dzieci swoje czysto, wygodnie, oraz jak najskromniej. Wszak i taki ubiór nie wyklucza pewnej zręczności i piękna. Dzisiejsze sukienki bez odcinanych staników, wybornie odpowiadają temu celowi, a tani perkalik ubiera bardzo ładnie dzieci, choćby najzamożniejszych rodziców.

ROZDZIAŁ III.

Zabawa i zabawki. Gimnastyka. Trzymanie się prosto. Systematyczność w wychowaniu fizyczném.

W ruchliwości dziecięcia tkwi naturalny jego popęd do zabaw. Spójrzjmy tylko na zdrowe dziecię, od rana do wieczora niezmordowanie czynne, pracujące po swojemu (zabawa małych dzieci, jest ich pracą), nie zdolne chwili usiedzieć na miejscu, pełne przedsiębiorczości, gorliwości; a uznamy, że ruchliwość ta, jest niezbędnym, naturalnym środkiem, wzmacniającym ciało dziecka i dopomagającym mu do prawidłowego rozwoju. Ktokolwiek więc, bądź to przez fałszywe pojęcie o przyzwoitości bądź przez chęć zaoszczędzenia ubrania dzieci, przeszkadza im w ruchliwej zabawie, nie pozwala im na bieganie, skakanie, przewracanie się, wdrapywanie na drzewa;—ten staje w poprzek dobroczynnym działaniom przyrody—grzeszy przeciwko jej prawom, których się nie narusza bezkarnie.

Wolność zabawy jest prawem dziecięcia, aż do stopnia, w którym przez niewiedomość skutków, może się na niebezpieczeństwo narazić, lub gdy jego zabawa przynosi szkodę moralną. Okłada na przykład batem swego drewnianego konika, męczy kota, bije lalkę, drażni pieska pokojowego i z podniesioną paleczką za nim biega,—matka zaraz uwagę jego zwrócić powinna, i do serduszka jego przemówić, że tak postępować nie można. Jest w takiej zabawie młodego dziecka tysiące odcieni; rozsądna matka niech się im przypatruje bacznie. To mały człowiek; w czynach jego już oko troskliwe dopatrzeć może myśli—kierowniczi.

Śmiało powiedzieć można, że w ludziach dorosłych, skądinąd wychowanych starannie, bardzo wiele wad charakteru pochodzi stąd, że na zabawy ich w dzieciństwie, za mało zwracano uwagi, bacząc jedynie na wykształcenie umysłu.

Czuwanie wszakże nad dzieckiem w czasie jego zabawy nie powinno bynajmniej krępować jego swobody. Niech w zabawie pozostaje sobą dopóty, dopóki zabawa ta nie przekracza granic przyzwoitości, lub dopóki w ciągu niej nie zaczną się jego złe instynkta objawiać. Konwencyjonalność wszelka w zabawie, owo oszukiwanie siebie, jakiego dopuszczają się starsi na tak wielką skalę, niech ze świata dzieciennego będzie wygnane. Niech się dziecko bawi w całej prawdzie swojego „ja”. Często słyszy się matki i nianki mówiące: „To brzydka zabawa”, gdy dziecko biega, hałasuje, skacze, znosi różne przedmioty na środek pokoju, by z nich niby dom wybudować; kopie dołki w ogrodzie, by z nich zrobić sadzawki, albo zabija w ściężkę kołki, mające płot przedstawiać. Szczególniej bony wykwintne, uważają takie zabawy za „brzydkie”, a jednak dziecko znajduje w nich wyborną rozrywkę, wyrabia siłę, kształci mięśnie, uczy się zaradności, pomysłowości, symetrii, kształci pewność ręki i oka, nawet do pewnego stopnia i gust.

Dobrze jest, gdy zabawy kształcą siłę i zręczność; gdy dziecko coś przenosi, popycha, podrzuca, chwytą, ustawia, składa, przesuwą. Zabawa dzieci—to wrodzona ich czynność, szukająca pola do działania. Dziecię, które się nie bawi, lecz spokojnie i beczynnie przepędza całe godziny, niezawodnie musi być chore, albo przygnębione wychowaniem fałszywem, które wrodzoną ruchliwość jego zabiło.

Uspokojenie przyrodzone dzieci musimy brać w rachubę; zatem i zabawy nie możemy brać za rzecz nie przynoszącą nic dla późniejszego życia. Natura, dając im ochotę do zabaw, musiała w nich umieścić środek wychowawczy i gdy się bliżej przypatrzemy bawiącemu się dziecku, widzimy wyraźnie, że jeżeli dla dorosłych, zabawa jest wytchnieniem, rozrywką, odpoczynkiem; dla dziecka — jest szkołą. Pomijając wpływ zbawienny, nieczem zastąpić się nie dający, jaki ma na rozwój fizyczny, uczy je ona pracy, czynności, zarówno rąk, jak i umysłu, bo myśl

towarzyszy jęj ciągle. Znudzenie i bezczynność zabija tak ciało, jak umysł.

Zabawa z innemi dziećmi, jest dzielnym środkiem kształcącym charakter. „Wychowanie dziecięcia, od innych dzieci odłączonego, nie jest wychowaniem do życia” — utrzymuje słusznie jeden z pedagogów: „Połowa egzystencji dziecięcia zmarniałaby, gdyby od towarzystwa innych dzieci odłączone zostało. Wychowywanie w towarzystwie, wychowuje do towarzystwa. Dzieci z dziećmi przywykają, jak późniejsi ludzie, oceniać się wzajemnie, kochać, szacować się podług wartości, sądzić i być względem drugich sprawiedliwemi. Wśród zabaw dziecięcych, ściągają się charaktery, zwalcza kłótność, duch przeciwności, duma, zarozumiałość, skrytość i podstęp. W zabawie wspólnej, dzieci uczą się porządku, roztropności, przychylności dla bliźnich, przyjaźni, chętnego ustępowania; tam nabywają umiejętności rozumienia się i poszanowania wzajemnego, działania w zgodzie i jedności, oceniania siły, poszanowania własności i strzeżenia jęj. Tam towarzyskie cnoty się kształcą i obywatelskie życie na małą skalę się rozwija”.

Dziecię nie przesyccone zbytciem zabaw, nie zaprawione wychowaniem do coraz nowych wymagań; bawi się doskonale zabawką, na którą inne obsypywane cackami od urodzenia nie spojrzaloby nawet.

Zabawki dziecięcia nie potrzebują być wyszukane, ani kosztowne. Często wykwinne cacko spotyka los zupełnego opuszczenia, podczas kiedy dzieci wracają do swoich klocków drewnianych patyków, fasoli różnokolorowych, reprezentujących trzody bydła, do koników drewnianych i cynowych żołnierzy. Kto obserwował zabawy dziecinne, wie, że lada drobiazg: koperta rzucona przez ojca, stare pudełko подарowane przez matkę, dostarczają dzieciom równie przyjemnej zabawy, jak najwyszukańsze cacka. To téż ci, co obsypują dzieci coraz nowemi zabawkami, błędzą podwójnie: bo albo dają dzieciom rzecz kosztowną, którą, pobawiwszy się wesołą gromadką, rzuca dla staręj łopatki, którą mogą kopać i przenosić piasek, albo téż doprowadzają młodych bogaczy do przesyty.

Wśród mnóstwa zabawek dziecię się nudzi: „Mamo co ja będę robił” — pyta co chwila. „Baw się” — odpowiada matka. „Nie mam się czém bawić, te wszystkie zabawki już mi się uprzykrzyły, nie mam nic nowego, nudzę się”. To też nie tych dzieci mi żal, co, nie mając wcale zabawek, same je sobie tworzą i wynajdują; ale tych, które się już niemi bawić nie umieją.

Przy wyborze zabawek trzeba uważać, by formą swoją odpowiadały wymaganiom pedagogicznym, to jest: by kształciły gust artystyczny dziecka; przeto wszelkie twarze wykrzywione, karły, potwory, nigdy nie powinnyby się w rękach dzieci znajdować. W wielu pismach spotyka się skargi na szkodliwość farb, pokrywających zabawki; znajdowano w nich zjadliwe trucizny. Dla dzieci małych, mających zwyczaj dotykania ustami wszystkiego, zabawki malowane są najzupełniej niewłaściwe. Dla starszych dzieci, tak zwane zabawki pedagogiczne, jak łamigłówki geograficzne i t. p. nie uzasadniają zwykle swój reputacyi; dziecię bowiem zważa raczej na kontury części pojedynczych, na kolory i kształty, nie na miejscowość, figurę kraju lub części świata i chyba ktoś starszy, wspólnie z dzieckiem się bawiący, może, zwracając jego uwagę, łamigłówkę uczynić pożyteczną dla umysłu. Lalki, figurki, żołnierze, zwierzęta i t. p. kształcą wyobraźnię dziecka, gdyż bawiąc się niemi, wystawia ono sobie, że ma do czynienia z istotami żywymi. Takie wycieczki wyobraźni są naturalną potrzebą dziecięcia i w braku lalek, zwierząt i t. p. zadawała się lada przedmiotem, który fantazyja jego odziewa w kształty przedstawić się mające.

Już w najpięrszem dzieciństwie, przyszły człowiek wdrażany być powinien do małych obowiązków. Króciuchny pacierz, ułożony przez matkę, a do pojęcia dziecka zastosowany, powiedzenie dzień dobry rodzicom i domownikom; układanie zabawek, zamykanie drzwi za sobą, jeżeli już siły temu podolać mogą, stawianie bucików, w porządku przy łóżeczku, po ich zdjęciu, ściąganie kurzu na stoliku w dzieciennym pokoju, systematycznie i codziennie dopełniane, — są małymi obowiązkami, którym dziecię podolać może. Są to zapewne drobnostki; wszakże przyuczając dziecko do porządku i obowiązkowego zajęcia, zaszczepia się w niem, pojęcie obowiązku. Nie za co innego też ono je

uważa, gdy do matki przychodząc, mówi: „Już zabawki ułożyłem, kurz starłem,—czy mama pozwoli pójść na spacer?” Innym razem przychodzi zapytać, czy można wziąć książkę z obrazkami? A zabawki poukładane?—zapytuje matka.

Zajęcia dziecinne powinny jednak być krótkotrwałe, bo natura dziatwy nie znosi długiego przymusu. Powinny też być takie, aby dziecię potrzebowało wprawdzie małego wysiłku woli do ich spełnienia, ale, by nie były dla niego za uciążliwe, trudne i przykre; by obowiązek, raczej jako przyjemność w umyśle dziecka się zaznaczał — nigdy zaś jako uciążliwy i nudny przymus. Późniejsze wychowanie za jedno z żądań głównych, mieć będzie skłonienie wychowawcy do zamiłowania obowiązku; nie czyniż mu go więc wstrętnym w pierwszych latach dzieciństwa.

Do lat 7 lub 8 dziecię, uczące się nie wiele jeszcze lub nie uczące się jeszcze wcale, zostawione rozwojowi swobodnemu, wśród zabaw, jakich jego natura wymaga, nie potrzebuje sztucznego kształcenia sił za pomocą gimnastyki. Równocześnie z poczynającą się nauką na seryjo, bardzo jest korzystnem wprowadzić gimnastykę do trybu wychowawczego. W wychowaniu domowem urządzenie jej natrafia na niemałe przeszkody. Prowadzona początkowo pod kierunkiem matki, która zwykle nie była w młodości w gimnastyce kształcona, przechodzi następnie w ręce nauczycieli i nauczycielek, którzy najczęściej gimnastyki nie umieszczają w rzędzie nauk przez siebie udzielanych. Nie można się też dziwić, że rodzice znalazłszy w nauczycielach przymioty moralne i umiejętne udzielanie nauk innych, na gimnastykę mniejszą zwracają uwagę. Jest też ona u nas w zupełnem prawie zaniedbaniu. Wyjątkowi tylko rodzice, mogą i chcą dzieci w nią kształcić, jakkolwiek wielkie ona oddaje usługi w wychowaniu fizycznem młodzieży.

Póki człowiek żył w stanie zbliżonym do natury, nie śleczal nad księgami, gimnastyka nie była mu potrzebną. Polowanie, pływanie, walki z ludźmi i rzec można z całą naturą, kształciły i wzmacniały jego ciało, rozwijając je do potęgi, do jakiej obecnie sztucznym tylko sposobem za pomocą gimnastyki zbliżyć je można. Wiele matek, mniej wykształconych, uważa ją za innowacją bezużyteczną i spogląda na nią z niedowierzaniem; atoli

od najdawniejszych czasów ludzie, uspołeczniając się, do wychowania starali się ją wprowadzić. Kształcenie młodzieży greckiej i rzymskiej w walkach wszelkiego rodzaju, w bieganiu, pływaniu i konnej jeździe, niczem innym nie było, jak gimnastyką. Średniowieczne zabawy młodzieży szlacheckiej, turnieje, robienie bronią, bieganie do pierścienia, strzelanie do celu, miały to samo znaczenie, co ćwiczenie cielesne u Greków i Rzymian.

Tylko że dawniej gimnastyka traktowaną była jedynie zwyczajowo i jako wprawa do walki późniejszej i rzemiosła wojennego; dziś wkroczyła w dziedzinę higieny i opiera się na zbadaniu właściwości ciała i prawidłowym rozwoju wszystkich organów, który polega na tem, aby kształcenie się jednych z tych organów nie odbywało się kosztem drugich; słowem, gimnastyka stała się nauką, którą umiejętnie kierować należy. Dziki łowiec, czolgający się dla podejścia zwierza, wchodzący na drzewo dla ukrycia się w jego liściach, robi to samo, co mały gimnastyk, którego ruchy nie są usprawiedliwione żadną potrzebą. Sztuka zastępuje tu naturę. Ale Indyjanin, obok wprawnych nóg do biegu, ma płuca rozwinięte i zdrowe; nie podlega żadnym nienormalnym przyływowi krwi do mózgu; mięśnie rąk ma elastyczne i silne; słowem warunki jego rasowe i osobiste są inne. Biorąc więc jego ruchy naturalne za wzór do gimnastyki nowoczesnej, trzeba je umiejętnie stosować, zarówno do organizacji naszej rasy, jako też i do indywidualnych właściwości ciała dziecięcego. Takiego zastosowania może dopełnić tylko człowiek specjalnie z przedmiotem obeznany, jeżeli już nie medyk-anatom, to przynajmniej nauczyciel, znający wszystkie wyniki badań naukowych, wiedzący, jaką kolejną mają następować ćwiczenia, jakie indywidualne właściwości przeszkadzają do niektórych ćwiczeń i t. p.

Znałam młodą dziewczynkę, która od biegania na *rundlaufie*, branyam zawsze pod pachę lewej ręki, miała podwyższone lewe ramię. Mówiono mi też o chłopczyku, mieszkającym na wsi do którego co niedziela sprowadzano nauczyciela z pobliskiego miasta. Dziecię z zapałem oddawało się ćwiczeniom gimnastycznym, lecz w poniedziałek regularnie cierpiało na ból głowy. Inny chłopczyk, mający cierpienie w nodze, pozostałe po sparaliżowaniu w dzieciństwie, nie mógł wykonywać pewnych ćwiczeń;

pomimo to nauczyciel domowy niedoświadczony, wymagał ich od niego koniecznie. Można by tu przytoczyć bardzo wiele innych przykładów na poparcie mego twierdzenia, że nie dosyć jest umieć się samemu gimnastykować, żeby dziecię gimnastyki uczyć, a przynajmniej uczyć jej dziecię każde. Ponieważ rozwój wyjątkowy jednego członka, odbywa się kosztem innych; ustósunkowanie przeto ćwiczeń, mających wszystkie harmonijnie rozwijać, a nadto zastosowanie ich do potrzeb indywidualnych dziecka, nie jest rzeczą łatwą i wymaga biegłości w nauczycielu. W miastach większych, rodzice mniej zamożni, zebrawszy kilkoro dzieci, z domów bliżej sobie znanych, mogą obrać godzin parę w tygodniu, w ciągu których gimnastyki udziela specjalny nauczyciel; na wsi przecież trudność jest większa i tu chyba odpowiedniemi podręcznikami posługiwaćby się potrzeba; faktem jest wszakże, że zarówno w mieście, jak i na wsi, gimnastyka zanadto u nas przez rodziców zaniedbywana bywa.

A jednak logika sama powinna by za nią przemawiać. Dziecię w wieku chłopcym, uczy się przez kilka godzin dziennie. Siedzi nad książką, pracuje umysłem, ciało zaś jego pozostaje w bezczynności. Przez ten czas młodzieniec czerwonoskóry przeskakuje rowy, biega, ugania się za zwierzętami, kąpie się, pływa, wdrapuje się na drzewa ze zręcznością kota. Ileż ciało jego przyjęło rozmaitych położeń, ile ruchów wykonało, podczas gdy nasze dziecię, godziny te przebyło prawie w jednej i téjże saméj postawie. To téż gdy wstanie od nauki, należy mu dać możność wykonywania sztucznie tych wszystkich ruchów, jakie piérwszy naturalnie odbywa; inaczej ciało prawidłowie rozwinąć się nie może. Spójrzjmy bo na chłopca wychodzącego ze szkoły. Wybiegając, potrafi czasem kolegę, gdyż czuje potrzebę ruchu, biegu, walki; ale zaraz potem, dostraja się do przyzwoitości ruchów wszystkich przechodniów ulicznych i wraca do domu, gdzie musi spokojnie przesiedzieć czas jakiś przy obiedzie. Następnie uczy się znowu, a jeżeli w ciągu dnia miał godzinę przechadzki, kierownikom jego wydaje się, że mu nie do rozwoju fizycznego już nie brak.

Fałszywość takiego przekonania bije w oczy. Dla tego sądzę, że zakłady naukowe, zarówno męzkie jak żeńskie, powin-

nyby koniecznie udzielać uczniom swoim częstych i systematycznych lekcij gimnastyki. Jeżeli nie można chłopiąt, po ukończeniu godzin szkolnych, otoczyć dziką przyrodą i pozwolić im wśród niej bujać swobodnie, niechże przynajmniej sztuka da im możność wynagrodzenia braku tych naturalnych ruchów. W ostatnich czasach odzywały się głosy *) utrzymujące, że gimnastyka nie może zastąpić natury. Niezawodnie, że tak jest. Różnorodne ruchy, jakie wykonywa swobodnie bujający chłopiec przez godzin kilka, musi nauczyciel gimnastyki zamknąć w jednej godzinie; przecież jeżeli to nie może zastąpić w zupełności natury, daje przynajmniej ciału młodzieńca rozwinięcie, zbliżające się do rozwinięcia dziecka żyjącego w jej otoczeniu swobodnem. W wychowaniu téż dzisiejszém, gimnastyka niczém zastąpioną być nie może. Wprawdzie biskup Dupanloup utrzymuje, że gimnastyka, pływanie, konna jazda i fechtunek, udzielane w szkole, zabijają ochotę do nauki, przeszkadzają do poważnego rozwijania umysłu—ubożają ducha. Myśliciel ten oświadcza się za zupełnem wyrugowaniem tych ćwiczeń z zakładów naukowych męskich. Ośmielę się jednak powiedzieć, że to dowodzenie nie wytrzymuje krytyki. Jeżeli bowiem duch, umysł, rozwija się moralnie i dochodzi do pełni swego życia tylko przy zdrowém ciele; jeżeli choroba, niemoc fizyczna, obezwładniają zarówno ciało, jak umysł i czynią go niezdolnym do pracy; to gimnastyka prowadzona rozumnie, raczej wesprzeć może ducha, niż go osłabić. Naturalnie, należy tak ułożyć godziny, żeby dziecię, zmęczone gimnastyką, miało czas dostateczny na odpoczynek, nim się do pracy umysłowej zabierze. Widok upadku przeciętnego sił fizycznych naszego społeczeństwa, tém więcéj powinien nas zachęcić do ćwiczenia naszych dzieci w tém wszystkim, co na rozwój ciała korzystnie wpłynąć może i zdrowie w przyszłości im zapewnić.

W Anglii gimnastyka wchodzi w skład wychowania szkolnego i bardzo systematycznie jest prowadzona.

Ćwiczenia téż gimnastyczne bardzo podobają się dzieciom; znajdują one w nich przyjemność, nie tylko ze względu na współ-

*) Herbert Spencer.

zawodnictwo, jakie się między niemi obudza, ale wprost przez zamięłowanie ruchu i ćwiczeń fizycznych. Znałam gromadkę dzieci, oczekujących z niecierpliwością godziny przeznaczonęj na gimnastykę.

Taniec jest równie wybornem i bardzo przyjemnem ćwiczeniem dla dzieci. Tańczące przy dźwiękach fortepianu, bawią się doskonale, a przytęm używają zdrowego ruchu. Zastósowanie tęj rozrywki nie powinno wszakże być rozwijaniem próżności i szukaniem w nięj zadowolenia miłości własnej. Stąd nie o balach i wieczorach dzieciennych tu mowa, ale o tańcu zdrowym i swobodnym, nie wywołującym pochwał dla zręczności i wdzięku ruchów dzieciennych.

Do rzędu ćwiczeń fizycznych należy również śpiew, kształcący, nie tylko organ słuchu, ale tęż rozwijający płuca, przez wciąganie do nich większęj naraz ilości powietrza, niż przy zwyczajnem oddychaniu. Głośnie czytanie, chociaż w mniejszym stopniu, tę samę korzyść przynosi.

Jakkolwiek w każdym domu, gdzie są dzieci, słyszeć się daje bardzo często powtarzane słowa: „Trzymaj się prosto”, należy tu jednak zaznaczyć, iż proste trzymanie się, nie tylko dodaje wdzięku postaci, ale jest warunkiem zdrowia. Przy garbieniu się i podawania ramion naprzód, klatka piersiowa nienormalnie się rozwija, ciało przybiera kierunek nienaturalny. Trzeba, o ile można, obecną generacją, połowę życia spędzającą nad książką, schyloną całemi godzinami nad pisanie, strzedz od następstw tego przeciwnego naturze kierunku. Jednem [z] tych następstw szkodliwych, jest niemożność utrzymania kości pancerzowej w tym stanie sprężystości, jaka jest potrzebna do prostego trzymania się. I tu przyzwyczajenie bardzo wiele dopomaga do ustrzeżenia się złych wpływów pracy, odbywanęj w pozycji siedzącęj. Któż z nas nie znał lub nie miał jakięj babci, bardzo staręj, a jednak w ośmdziesięciu latach życia prościęj się trzymającęj, niż młoda wnuczka, zaledwie z dziecięciami na pannę wyrastającą? Babcie tę już nie siła organizmu utrzymała w po-

zyci prostej, gdyż w swym fotelu siedziała, nie opierając się o jego poręcz, ale siłą przyzwyczajenia. W młodości wymagano od niej takiego, aż do sztywności posuniętego wyprostowania i zostało ono jej zwyczajem na całe życie. W rezydencji jednej ze znakomitych rodzin naszego kraju, oglądałam krzeselko, pozostałe, po owej wygasłej już prawie generacji. Ma ono bardzo wysoką poręcz tylną, zupełnie prostopadłą, a siedzenie tak bajecznie wąskie, że tylko w pozycji, doprowadzonej do możliwego wyprostowania się, utrzymać się na niem można. Jest ono najzwyczajniejszej roboty—dębowe. Tradycja domu zachowała wiadomość, że na takich krzeselkach siadywały panny owego wielkiego rodu, dla nawyknienia do prostego trzymania się. Dzisiejsze wychowanie wyrzekło się we wszelkich kierunkach heroicznych środków, do jakich zaliczyć i owe krzesło wypada, wyglądające raczej na narzędzie tortur, niż na sposób pomocniczy w wychowaniu fizycznem. Z odrzuceniem powijaków, w jakie przez tyle wieków krępowano dziecię od chwili urodzenia, odrzucone zostały i wszystkie podobnego rodzaju środki. Nie znaczy to jednak, że należy zostawić wychowaniu zupełną swobodę; owszem, oddziaływanie innego rodzaju, wytłómaczenie podrastającemu dziecięciu szkody, jaką sobie przynosi złem trzymaniem się, zachęty, perswazyje, przypominanie, ustawiać nie powinny.

Niektóre dzieci mają zwyczaj uczyć się chodząc. Zwyczaj to korzystny dla zdrowia i można wdroić weń dziecię, a nawet niektóre lekcye pozwolić mu odbywać w ten sposób, by chodziło w koło pokoju, podczas kiedy nauczyciel siedzi. Naturalnie rzecz warunkuje się tu okolicznościami; gdy kilkoro dzieci razem się uczy, już siedzenie spokojne jest konieczne, jakkolwiek nienaturalne, więc szkodliwe. Zdarzyć się też może, że chodzenie rozprasza uwagę dziecka. Mówiąc o tém, chciałam tylko zwrócić uwagę matek, że siedzenie spokojne na jednym miejscu, oprócz, że jest dla zdrowia szkodliwem, wcale nie jest koniecznym warunkiem postępu w naukach i jeżeli okoliczności na to pozwalają, należy dziecię strzedz, o ile można, od skutków pozostawienia wciągu większej połowy dnia w pozycji siedzącej.

Przy wychowaniu fizyczném dzieci brak nam dostatecznych wiadomości. Często zarozumiałość i „wiedzimi się” własne stawiamy w ich miejsce. To téż nie od rzeczy będzie przypomnieć, iż „dwa warunki matce koniecznie są potrzebne, by tym działem wychowania mogła się z korzyścią dla swych dzieci zajmować. Temi warunkami niezbędnymi również i w wychowaniu moralném są: *„systematyczność i wytrwałość”*. Strzeżmy się uważać wychowanie fizyczne za coś dodatkowego jedynie; zawód srogi wywiódł by nas wkrótce z błędu. A przecież czyniąc je zależném od przypadku i kaprysu, traktowalibyśmy je, jako rzecz całkiem podrzędną. Młoda osoba nie dla tego jedynie powinna odbywać przechadzki, że piękna pogoda wzywa ją odetchnąć świeżem pól i lasów powietrzem; nie wtedy tylko ma kształcić swój głos w śpiewie, kiedy jęj przyjdzie zachcianka; albo oddawać się gimnastycznym pożytecznym ćwiczeniom, gdy do nich znajdzie w sobie ochotę; wszystkie te zajęcia, muszą być poddane regularnemu następstwu. Dopilnowanie zaś ich przyniesie skutki niezawodne.*)

*) Théry: Conseils aux mères.

ROZDZIAŁ IV.

Pierwsze ocknięcie się inteligencji w niemowlęciu. Jego otoczenie jest pierwszą jego szkołą. Władza assymilacji. Matka od razu swój wpływ zaznaczyć powinna. Karmienie, jako wpływ moralny na dziecko i matkę. Zbyt wczesne rozwijanie dzieci jest szkodliwe. Matka powinna poważnie do zadania wychowawczego się przysposobić. Ojciec względem niemowlęcia ma obowiązki. Siła moralna i jednostajność humoru są warunki ustalenia wpływu wychowawczego. Wpływ pobożności matki.

Od chwili, w której niemowlę zaczyna rozpoznawać osoby i przedmioty, jakie je otaczają, w której zaczyna już objawiać skłonności, okazywać radość lub niezadowolenie; od tej chwili rozpoczęło się jego wychowanie moralne. Czyśmy sobie tego życzyli lub nie, czyśmy spostrzegli budzenie się dziecięcego ducha, lub czyśmy na nie pozostali ślepi; niemowlę już jest na tej drodze, na której wszystkie napotkane wpływy, wszystkie pomoce, lub przeszkody moralne, odbijają się w jego charakterze.

Każda władza człowieka, w jakim bądź stopniu rozwinięta, szuka mimowiednie udoskonalenia się pod działaniem wpływów zewnętrznych. W dziecięciu, to naturalne dążenie do rozwoju w każdym kierunku jest tak widoczne, że codzienny prawie postęp zaznaczyć się daje. Małe ciało rośnie w stosunku, w jakim już nigdy w późniejszym wieku się nie powiększa; w pierwszych miesiącach waga jego prawie się podwaja; ruch członków z każdym dniem nabiera siły i elastyczności; pierwsze błyski inteligencji wprędce urastają do widocznej już możliwości poznawania i rozróżniania twarzy otaczających, woła zaczyna się objawiać wyraźnie; słowem wychowanie, które niemowlę bądź naturalnie, bądź wskutek wpływów otoczenia nabywa — już się rozpoczęło. Już wtedy człowiek, jakimkolwiek będzie w przy-

szłości, wszedł na drogę stopniowego rozwoju, na której postęp od rodzicielskiego wpływu zależy;—postępowanie otaczających, już wtedy może i powinno się przyczyniać do położenia podstaw tej moralnej budowy.

„Otoczenie niemowlęcia jest takim pożywieniem dla jego umysłu, jak mleko matki dla jego ciała”. Czy można o tem wątpić? Przypatrzmy się tylko szeroko otwartym oczętom jego, rączkom wyciągającym się ku przedmiotom spostrzeganym: czy ten wzrok nie pragnie przyswoić sobie wszystkiego, co przezeń do umysłu dostać się może i złożyć tam wrażenie, czyli przyczynić się do rozwoju intelligencji? Czy rączęta nie usiłują przez dotknięcie, przyswoić umysłowi pojęcia o jakości przedmiotów?

Ciało ma wyraźne potrzeby, o których zaspokojenie upomina się zaraz po urodzeniu i daje niejako wskazówki otaczającym, jakie są wymagania natury, co do jego rozwoju i wzrostu;—wychowanie umysłu, w pierwszych chwilach mądrość twórcza wzięła na siebie. Dary Boże, towarzyszące nam przez całe życie: światło, powietrze, dźwięki, kształcą zmysły niemowlęcia, uczą je obserwować, rozróżniać, wychowują jego umysł. Prawie bez naszego współudziału, dziecię uczy się rozróżniać wrażenia: ciepła i zimna, kształty przedmiotów, ich miękkość lub twardość, lekkość lub ciężar; uczy się oceniać swoją siłę, z pomocą oporu przedmiotów, jakie dotyka. Przyroda otoczyła niemowlę różnorodnymi barwami i kształtami, dzieła jój, jak i dzieła ludzkie, mające rozmaite własności i przymioty, uderzając zmysły dziecka, tworzą w jego umyśle pojęcia i kształcą je, niezależnie prawie od woli otaczających.

Czyżby charakter niemowlęcia był jedyną stroną nie potrzebującą uprawy? Czy, kiedy ciało i umysł czerpią z otoczenia wpływy i za pomocą ich się rozwijają, uczucia jedne miałyby czekać późniejszej epoki na zbudzenie się w piersi dziecka, lub w jego niemowlęctwie nie ulegać żadnemu oddziaływaniu?—Nie nas nie upoważnia do podobnego przypuszczenia. Widzimy, że przyzwyczaić można dziecię do spokojnego spania w łóżeczku, nie dawszy mu kołyski; do żądania pokarmu w pewnych godzi-

nach, jeżeli matka tylko w oznaczonym czasie piersi mu podawała; że z drugiej strony, przyzwyczajają się ono do kołysania i inaczej usnąć nie chce; że nawet do powijania, z rękami wzdłuż ciała przywiązaniem i nogami skrępowaniem, przyzwyczajają się tak, że rozwiazane i więzów uwolnione, spać nie może przez kilka pierwszych dni swobody: rączki bowiem kładzie sobie do oczu, drapie się, członki jego drgają, czując niezależność wolności — co mu spać spokojnie przeszkadza. Tych wszystkich przyzwyczajęń niemowlę nie powzięło naturalnie; nabyło je pod wpływem osób, udzielających mu opieki; — piętno ręki wychowawczej, jest tedy na niem od pierwszych chwil widoczne.

Dziedzina uczuć jest zapewne mniej widoczna; śledzenie ich postępu trudniejsze, objawy nie łatwe do zbadania, wszakże nie wątpimy, że uczucia w niemowlęciu żyć zaczynają równocześnie ze stroną intelektualną; — są to dwie siostry od siebie zależne, idące w parze całe życie, jednocześnie też do życia w dziecięciu się budzące. Z postępowania matek sądziłby wszakże można, że nie zdają sobie sprawy z tego wczesnego urabiania się charakteru w niemowlęciu. A przecież to matkę Bóg umieścił tak blisko serca dziecięcia, by mogła jaknajwcześniej wpływać na budzące się uczucia! W jej ręku złożył możność oddziaływania na jego charakter, zwiąawszy ją z niem węzłem najsilniejszej miłości, jaką serce ludzkie odczuwać jest zdolne. Miłość przez cały czas wychowania pozostanie środkiem najpotężniejszym, najwłaściwiej i najkorzystniej działającym, a matka ma od pierwszej chwili w swém ręku tę nie przewodnią, po której miękkim, nigdy nie zerwanym wątku, dostaje się wpływ macierzyński do dziecinnego serca. W ciepłym, miłośnym promieniu, rozwijają się w dziecku uczucia i, jeżeli w pierwszym roku życia rozwój ten jest na oko niedostrzeżony, w gruncie musi być równie wielki i doniosły, jak rozwój fizyczny i intelektualny.

Jest w ludzkie przekonanie, zakorzenione głęboko, iż dziecię *wdaje się* zwykle w swoje mamkę, że z mlékem wciąga jej przymioty i wady. Pewna wykształcona matka zapewniała mię, że jej dzieci usposobieniem do siebie niepodobne, mają każde charakter swojej mamki. Przekonanie takie jest fałszywe, jeżeli przymioty moralne dziecka przypiszemy mléku karmicielki. Za-

wartość mleka, co do części składowych, jest ta sama u wszystkich kobiet, z małą różnicą stosunku, która wpłynąć może zapewne na rozwój fizyczny dziecka, a temsamem wpłynąć na jego stronę moralną—ale tylko pośrednio; — nigdy wszakże, jako wpływ natychmiastowy i przenoszący w mleku mamki jej moralne przymioty i wady. Ale przypatrzmy się bliżej owemu przesądowi ludu, a zobaczymy, że jeżeli myli się on co do przyczyn, skutki obserwował od wieków i, na ich podstawie sądząc, błądzi tylko przez naznaczenie im fałszywego źródła. Łono piastujące dziecko — to pierwsza jego szkoła, nie dla tego, że łono to zawiera pokarm niemowlęcia, ale że zawiera duzę, serce, przymioty i wady, każdą matkę, każdą mamkę na osobną indywidualność urabiające.

Gdy się widzi dziecko u piersi, ssące słodkie mleko karmicielki, a jednocześnie wpatrujące się w jej oczy, co się ku niemu z miłością zwracają; wtedy ma się jakby przecucie, że ten stosunek, wiążący dziecko z jego mamką, nie ogranicza się jedynie do zaspakajania jego potrzeb fizycznych, ale, że w nim technie siła niezbadana, co przez cud sympatyj, udziela mu coś z moralnych karmicielki przymiotów. „Jest prawo duchowe, które znajduje zastosowanie we wszystkich epokach życia ludzkiego, ale które najsilniej i najgłębiej działa w wieku niemowlęcym. Jest to prawo udzielania się uczuć, prawo, że tak powiem zarazy duchowej. Każda czynna, moralna indywidualność ludzka, zwracając się ku innemu człowiekowi, obudza w nim uczucia podobne swoim. Czynne przymioty ducha, zgromadzone w osobistości silniejszej, przenoszą się na słabszą. Zarówno dzieje się to z odwagą, jak z trwogą, radością i smutkiem, z zapałem i obojętnością. Dziecię śmieje się i płacze z matką, nie znając przyczyny jej łez, lub uśmiechu; nim zacznie przemawiać językiem ze słów złożonym, rozumie już język uczucia. „Kto zna dzieci, ten wie, że w słowach powyższych zawiera się głęboka prawda. Niemowlę tak do naśladownictwa pochopte, taką ma intuicyją uczuć, jakich doznają otaczające je osoby, szczególnież te, które się niemi opiekują, że mamki i niańki, by dać dowód, jak są przez niemowlęta kochane, mają zwyczaj wywoływania w nich przeróżnych uczuć. Mamka udaje, że płacze: dziecko natychmiast żałośnie płakać za-

czyna; chowa się przed niem, taki sam objaw smutku wywołuje; pokazuje się nagle z uśmiechem na twarzy: dziecię się śmieje i cieszy. Matka gniewa się i laje służących: dziecię jeszcze mówić nie umiejące, robi marsa, mruczy coś pod nosem, naśladuje matkę, gniewa się niby; jeżeli widzi kogo z otaczających bijącego starsze dziecię, niechybnie nauczy się bić i spróbuje swych sił na kimś z rodzeństwa. Najpiękniejszy dar człowieka—mowa, jest tylko naśladownictwem i może być taką tylko, jakiej nauczyli dziecię ci, co je otaczają. Nie tylko przejmuje ono wyrażenia, ale ton, akcent, wymowę, nawet dźwięki głosu i tym sposobem idzie wśląd za usposobieniem wychowawców. Wyrażenia i akcent, w późniejszym wieku poprawić się dają; ale uczucia, jakie kierowały mową otaczających, te wniknęły głębiej i nie pozostaną bez skutku na późniejsze życie dziecka. Jeżeli w około niego przemawiano tylko w słodkim i szlachetnym tonie, unikając ostrych i grubych wyrażań, czyniąc ze słów piękną muzykę, w której podnioslejsza dusza dźwięczała; wtedy uczucia, jakie mowa otaczających budziła w dziecięciu, będą uszlachetniające, wychowujące małą duszyczkę dla dobra i piękna.

Władza assymilacyjna jest w dziecku posunięta do stopnia niekiedy prawdziwie zdumiewającego; zatem przepis działania na niemowlę nie jest łatwy. Należy pamiętać, że każdy nasz postępek odbije się w jego umyśle i zostawi w nim ślad, często zatarty w jego wspomnieniu, później otrzymanymi wrażeniami, ale niezatarty w skutkach, jakie wywrze na jego charakter. Skutki te mogą być nie znaczące narazie; gdy jednak pomyślimy, że przy ciągłym oddziaływaniu tychże samych osób na dziecię, ilość takich wrażeń zbiera się bardzo znaczna; przyjdziemy do przekonania, że co do kontroli, nad własnymi czynnościami, nigdy przesadzić nie można.

Dziecię jest zwierciadłem, w którym odbijają się przymioty i wady jego otoczenia. Dowiedziona jest rzeczą, iż nawet czyny i słowa, których nie rozumié, robią na niem wrażenie, bo zachowuje je w pamięci, aż do wieku, w którym już wytłómaczyć je sobie potrafi. Dziecię tedy jest bardzo bystrym dostrzegaczem;

a ten zmysł obserwacyjny natura dała mu na to, by jego serce i umysł uczynić przystępnymi dla wpływów wychowawczych.

Wpływ przecież nie otrzymuje się nagle, w jednej chwili. Gdy się jest matką, trzeba od pierwszych dni życia niemowlęcia wyrabiać w sobie tę siłę, która tworzy wychowawczynią. Kiedy słyszę matkę usprawiedliwiającą upór, niecierpliwość, złość i tyraniją dziecięcą tem, że jeszcze jest małe, żal mi tej matki, gdyż w dobrej wierze przypuszcza, że przyjdzie dla niej i dla wychowanka chwila, w której role się zmienia, w której dziecko poczuje się uległym jej wpływowi, ona zaś znajdzie w sobie siłę potrzebną do zapanowania nad wadami dziecka. Matce tej z góry wywróżyć mogę, że chwila ta nie nadejdzie nigdy.

Nigdzie tak, jak w wychowaniu, logika następstw nie jest widoczna. Ziarno kłólu wrzucone w ziemię, nie może wydać pszenicy; skądże więc, siejąc w sercu dziecka wady uporu, samowoli, kapryśnej niestałości, a same przywykając do słabości, nierozsądku, niedotrzymywania obietnic — to jest kłamstwa, wprowadzonego w system wychowawczy, jako pierwiastku stałego; skądże mówię, możemy nagle wzbudzić ufność w dziecku, skłonić je, by naszym słowom wierzyło, by naszej władzy ulegało by ciągle podsycanej w niem samowoli się wyrzekło, a nasz własny charakter, by się pozbył odrazu oddawna zakorzenionej w nas słabości? Wychowując dziecko, kształcimy w sobie wychowawców. Niech matki nie myślą, by powyższe słowa były frazesem jedynie; — są prawdą bo je doświadczenie codzienne stwierdza. Jakżebym pragnęła, by każda matka swoją pierwszą pociechę piastująca, chciała je wziąć pod rozwagę! Ta mała istota, ten tworzący się między nią a matką od pierwszych chwil urodzenia stósunek — to przyszłość moralna całej rodziny. Od nadania mu trwałej, niewzruszonej podstawy, zależy potem cały przebieg wychowania. Pierwsze dziecko zaraża samowolą, młodsze rodzeństwo. Matka, która pogardzała powolnym wstępowaniem na wyżynę obowiązku, nie znajdzie się na niej nagle, za jednym wysiłkiem; upadać będzie bez końca i śliska droga przyzwyczaj-

jenia sprowadzi ją znowu do jej podnóża, na którym pozostając długo, pocieszała się myślą, że jeszcze czas pielgrzymki nie nadszedł, że zawsze będzie pora ją rozpocząć, a przebyć ją można dzięki jednemu wysiłkowi. O, nie—stokroć nie! Od pierwszego przeblysku intelligencyi w dziecku, rozpoczyna się już jego wychowanie nadobre i matka swoją rolę zaznacza nieodwołalnie, dając dziecku od razu uczuć to stanowisko, jakie względem niego ma zajmować dopóty, dopóki z własnej woli cofać się z niego konsekwentnie nie zacznie, zostawiając na swe miejsce religiją i zasady moralności, które w jego duszę własną ręką winna zaszczerpić.

To stanowisko matka zajmuje czasem podstępem, na zasadzie prawa mocniejszej fizycznie istoty, to jest: używając postrachu, kar, nagród, obietnic, oszukaństwa; ale dziecię czuje dobrze, że to jest uroszczenie chwilowe, siła gorączkowa, nienaturalna która zapewni wychowancomiś tćm łćwiesze pćźniej zwycięstwo. Ale zwycięstwo kosztuje czasem tak wiele! Biedne dziecić traci na nićm najpićkniejsze przymioty serca i umysłu; — wola staje się w nićm samowolą, miłość samolubstwem, odwaga nierozwagą, wytrwałość uporem, a już w co się obraca uszanowanie dla rodziców, dla władzy wychowawczej, o to trzebaby zapytać tych właśnie matek, co, ugruntowanie swego wpływu odkładając na jutro, jutra nie doczekały nigdy. „Pićrwszy krzyk dziecka jest próbą; niedługo wszakże będzie rozkazem, jeżeli mała istota poczuje słabość matki”. Bardzo prędko dowiaduje się niemowlę, co swoim krzykiem otrzymać może i czy w matce ma wychowawczynię, czy tylko słabą i powolną sługę, którą lekceważyć można.

W dziedzinie moralnej to tylko się posiada, co się wysiłkiem rozumnej woli zdobyło i matka nie jest jeszcze uposażona w przymioty wychowawczyni dla tego, że matką została. Duszę dziecięcia trzeba sobie zdobyć przez udoskonalenie własne i wychować ją dla Boga w miłości, która przez pracę wewnętrzną rozumną miłością się stała.

Rozwijanie przecież dziecięcia, otoczenie go atmosferą pracy, pracy i miłości; wychowanie jego zmysłu spostrzegawczego, przez dostarczanie mu przedmiotów, na których mogłoby się kształcić; nie znaczy bynajmniej, że rozwój umysłowy niemowlęcia przyspieszać należy. Nie owszem nadto szkodliwszego dla inteligentnej jego przyszłości. Wcześniej rozwijające się dziecię starają się często matki i mamki rozwijać jeszcze przez uczenie go rozmaitych figlów, sztuk, przez rozbudzenie zbyteczne jego, już i tak dość wcześniej żyjącego, umysłu. Każą mu się popisywać z mądrością, uczą całych frazesów, na których powtórzenie potrzebuje wysiłku pamięciowego. Mózg dziecinny i bez tego skłonny jest do łatwego podrażnienia; pobudzanie zatem większego napływu krwi do mózgu, musi być dla niego szkodliwem. Nawet włościarki, zaniedbujące następnie najzupełniej umysł dziecinny, każą dzieciom popisywać się z mądrością i często całą rodzinę bawią owym popisem, znajdując zadowolenie miłości własnej w opowiadaniu kumom szczegółów dziecięcego rozwinięcia i w zapewnianiu, że jest ono „okropnie mądre”.

Miłość, stanowczość, łagodność, zajęcie się dzieckiem odpowiednio do jego potrzeb przyrodzonych, ale nie przesadne i przedwczesne zmuszanie niemowlęcia do rozwijania się przedczasem; oto droga właściwego z niem postępowania. „Jest miara, jest porządek w którym rozwijają się władze umysłowe. Jeżeli w wychowaniu trzymamy się tego porządku i miary właściwej—działamy zgodnie z prawami natury. Inaczej, władze umysłowe muszą być przeciążone, bo im się podaje ciągle naukę trudniejszą, niż ta, którą bez szkody przyswoić by sobie mogły, lub też jeżeli ta nadmierna uprawa przyniosła rozwój większy, niż wiek dziecka usprawiedliwia, odniesiona nieprawidłowa korzyść pociągnie za sobą nieuniknioną szkodę, wyrównywającą, a nawet przewyższającą mniemane dobro. Bo natura jest rachmistrzem surowym i jeżeli z jednej strony żądamy od niej więcej, niż wydawać powinna, reguluje natychmiast wagę, przez odejmowanie na innej drodze”.*)

*) Spencer.

Cudowne dzieci się nie chowają: jest to spostrzeżenie czynione od wieków. Zatem przyroda — ten „rachmistrz surowy” odejmuje najczęściej na zdrowiu to, cośmy zyskali na umysłowej uprawie. Wejdźmy między lud, a usłyszymy także często rodziców mówiących: „Pewnie się nie uchowa — bo zanadto mądre”. A jednak im dziecię mędrze, tem więcej je męczą nauką różnych, niezgodnych z wiekiem figlów, konceptów i słówek. W klasie wykształconej dzieje się zwykle, że przez całe dzieciństwo i wiek chłopięcy, wymagają od umysłu coraz więcej i więcej, niżby ten dawać prawidłowo powinien. Jest to jedna z przyczyn, której przypisują upadek coraz większy sił fizycznych kształcąc się młodzieży.

Przedwczesne nateżanie umysłu, sprowadza nieprawidłowe zmiany w organizmie. „Jeżeli bowiem w młodości zużycie sił, potrzebnych do pracy umysłowej, przechodzi widoki natury; ilość sił, pozostających do zużycia na inne potrzeby, zmniejsza się i schodzi niżej, niżby stać była powinna, co wywołuje w ustroju fizycznym szkody rozmaitego rodzaju.”

Charakterystyką dzisiejszego wychowania jest przewaga starań rodzicielskich, zwrócona prawie wyłącznie do strony intelektualnej. Dwa drugie działy wychowania: moralny i fizyczny, pozostawione są odłogiem i mało kto zdaje sobie sprawę z tej prawdy, że, aby mózg w pełni używać nabytej wiedzy, trzeba posiadać — zdrowie. „Odkrycia fizjologiczne wykazały, jak olbrzymi jest wpływ mózgu na funkcyje organów ciała. Trawienie, cyrkulacyja krwi, a stąd i wszystkie funkcyje organiczne, głęboko odczuwają podniecenia mózgowe”. Doświadczenie codzienne okazuje nam młodzież, wyczerpaną fizycznie przez męczące nauki, zmuszoną nieraz porzucić je wskutek zrujnowanego zdrowia, zapadającą na rozliczne cierpienia — tak, że stan przeciętny zdrowia młodzieży w ostatnich czasach pogorszył się znacznie. Czas byłoby zwrócić na to baczną uwagę rodziców, aby, o ile to leży w ich mocy, ratowali dzieci swe od skutków nadmiernej pracy umysłowej, starając się o takie rozkład czasu, ażeby

*) Spencer.

zmęczenie, wywołane nauką, prowadziło konieczny wypoczynek za sobą; żeby ból głowy, rozpalenie policzków, uczucie osłabienia, nie były próżną dla nauczycieli wskazówką, ale owszem pociągało za sobą natychmiastowe uwalnianie od lekcji; wreszcie żeby godziny nauki tak były rozłożone, by przedmioty trudniejsze, przeplatane były przedmiotami łatwiejszymi, a między jedną a drugą godziną pracy, było dane uczniowi przynajmniej kilka minut odpoczynku. Dla młodszych dzieci trzy kwadranse najwyżej na każdą naukę wystarczyć by powinno, z pozostawieniem między godzinami kwadransa odpoczynku.

Obserwując dzieci przy nauce, często nie mogłam się oprzeć przypuszczeniu, że roztargnienie ich, nieuwaga, lenistwo, nie tylko pochodzą ze złego wykładu, nie tylko są dowodem ruchliwości wyobraźni dziecięcej, ale w wielu razach objawem zapobiegliwości natury, broniącej się przeciwko nadmiarowi pracy umysłowej, tak wielkie niedobory spowodzającej w organizmie, a nawet we władzach intelektualnych. Miałam sposobność przebywania z chłopczykiem bardzo delikatnym fizycznie, choć bardzo rozwiniętym umysłowo. Gdy skończył lat dziesięć, rodzice zapragnęli przygotować go do szkół. Przygotowanie to wprowadziło do jego nauk dwa języki: rosyjski i łaciński; a że już poprzednio uczył się po francuzku, niemiecku i naturalnie po polsku; nagle więc zaczęła się dla niego nauka naraz pięciu języków, obok innych nauk szkolnych w obcym języku nabywanych. Chłopiec bardzo roztropny i ożywiony przy zabawie i rozmowie, przy lekcji stawał się leniwym, roztargnionym, chociaż tak czuł potrzebę nauki, że zawsze z ochotą próg pokoju szkolnego przestępował. Uskarżał się często na ból głowy, bywał rozpalony, osłabiony a wszystko to przechodziło po paru godzinach wypoczynku. Widocznie przeto praca była dla jego umysłu za wielka i przedwczesna; to też ten umysł, zdolny doskonale pojmować naukę, odczuwał jednak naturalną, nieprzewyciężoną niechęć do jęj przyjmowania; bronił się, jak gdyby natura złożyła w nim była jakąś ogromną władzę, niedopuszczającą nadmiaru pracy. „Jabym tak chciał się uczyć, ale nie mogę” prawie z płaczem powtarzał. Przy takiej chęci, przy wyśmienitej pamięci i jeszcze lepszym pojęciu; dziecię to okazywało pozory nieprzewyciężonego lenistwa. Było jak człowiek, który

nie może niczém przeprzeć potrzeby wypoczynku. Ma pragnienia najsilniejsze dojścia do zamierzonego celu, spieszy się i ma zamiar najszczerszy nie spocząć ani na chwilę, aż stanie u mety; tymczasem—pada wśród drogi i usypia. Potrzeba naturalna zwyciężyła jego najgorętsze pragnienia.

Kobięta karmiąca, która z rozbawionęj, młodej mężatki przedzierzgnęła się w sumienną i troskliwą matkę, niech pomyśli, że niebawem przyjdzie chwila—nadeszła już może, w której zacznie być matką karmicielką w znaczeniu moralném. Niech się do tęg chwili przygotowuje powoli, bo obowiązki jakie ją czekają, są trudne i wielkie. Najprzód niech zbada samę siebie. Grzechy swoje zna, nieraz się z nich spowiadała. Dziś niech własna jęg wyobraźnia, obok grzesznęj ludzkieg istoty, jaką tyle razy przed spowiedzią badała, stawii jęg na oczy—matkę własnego jęg dziecicia. Niech ją sądzi surowo w imię miłości i obowiązku a zawsze z przekonaniem, że jeżeli rad swych późniejszych dla dziecka nie poprze własnego życia przykładem, to niech mu lepięj nie udziela ich wcale, bo dziecko swe nauczy tylko lekceważyć ją samą i podejrywać o obłudę.

Po takiem zbadaniu własnęg osoby, niech matka rzuci wzrokiem do koła siebie. Jakiemi są osoby otaczające jęg dziecko a przede wszystkiem—jęg mąż? Jeżeli powiedzieć sobie może, że to jest ojciec kochający, człowiek, który ma o wychowaniu wysokie i nauką rozjaśnione pojęcie—to Bóg dał jęg błogosławieństwo wielkie. Niechże je umie cenić, a męża niech weźmie za współnika myśli i poglądów. Niech z nim rozmawia o wychowaniu, zdanie jego i rady bierze pod ścisłą uwagę, w wątpliwościach do niego się udaje, w punktach spornych stara się go przekonać, lub własne przekonanie odmienić, jeżeli to jęg rozum doradza. Z takich rozmów wypłynie światło zbawienne dla jęg dzieci, szczęśliwszych od wielu innych, bo posiadających jeden z najważniejszych warunków wychowania: zgodę i jedność wychowawców w poglądach i w sposobie postępowania z niemi. Gorzję, gdy

matka zmuszona jest powiedzieć sobie, iż w mężu nie znajduje pomocnika w trudnym swoim zadaniu.

Jest urzędnikiem, lekarzem, professorem, lub gospodarzem; cały dzień niema go w domu, a gdy wróci potrzebuje, spokoju. Płacz dziecka go niecierpliwi; narzeka na wesołe wykrzyki i śpiewy niańki; skoro zaś dziecko biegać i paplać zacznie, on utrzymywać będzie, że z domu uciekać trzeba, że mu głowa pęka od hałasu. Inny mąż częściej w domu przebywa: znosi obecność dziecka z godną podziwu cierpliwością; bierze je na ręce, bawi się nim, pieści i całuje; wszakże widzisz odrazu, że to nie jest baczny i rozumny dla niego kierownik. Bierze on życie lekko, próżność zagłuszyła jego przymioty, egoizm zapanował w jego sercu wszechwładnie; albo też miłość jego dla dziecka może się tylko zdobyć na pieszczoty, żarty i pobjaźanie na wszystko, ale nie pojmuje miłości rozumnego wychowawcy.

Większa zresztą część ojców wcale się nie wtrąca do wychowania dziecka w pierwszej epoce ich życia. Jakkolwiek zwyczaj podobny stan utrzymuje, rozsądna matka niech się stara pod tym względem swego męża przerobić. Dwie osoby jaśniej i dokładniej zbadać mogą przedmiot, niż jedna; powtóre, z wpływem ojca rzecz ma się zupełnie tak samo, jak z pozostawieniem, przez matkę zreformowania wychowania na czas późniejszy. Ojciec przyzwyczaja się do patrzenia na dziecko, jak na rzecz miłą, kochaną, ale do niczego, prócz wydatków materyjalnych nie zobowiązującą. O osobistym na niego oddziaływaniu niema on pojęcia i w ogóle niejasną sobie zdaje sprawę z tego, że to jest przyszły człowiek i że wszystko, co go otacza, jest zadatkiem tego, czem będzie później. Ojciec, w pierwszych chwilach myśli może, że kiedyś przyjdzie dla niego pora wystąpienia względem dziecka w roli wychowawcy; ale tę chwilę odwleka; tymczasem nie przypatruje się bliżej malłej istotce, nie bada, ani jej praw, ani potrzeb; psuje ją, pieści, pobjaźa, lub bez dokładnego zgłębienia przyczyny, podnosi głos, łaje, i na tém ogranicza swoją rolę ojcostwa. Psuje pracę matki, jeżeli to praca rozsądna; dopomaga do znarowienia dziecięcia, jeżeli postępowanie matki ku temu zmierza. Przynosi zatem szkodę wychowawcowi i to nie

tylko chwilową, gdyż tym sposobem tworzy zawiązek stósunku, w jakim do dziecka na całe życie zostanie.

Jak w rządach, nagle wprowadzane reformy, bywają zwykle przez ludzi nowych; tak w wychowaniu, chyba jakiś wpływ nowy, przybywająca bona, nauczycielka, czy nauczyciel, zaprowadzając w wychowaniu radykalną zmianę, mogą na dziecię w sposób dotąd niepraktykowany oddziaływać, rodzice zaś pozostaną na zawsze dla dziecięcia tęp, czém byli poprzednio. Ojciec, który niemowlęciu nic ze siebie nie daje, który wiedzy swęj nie umie zużytkować na dokładne zbadanie jego potrzeb, i nie zwraca uwagi na postępowanie otaczających je osób, a przede wszystkiem na postępowanie matki; taki ojciec nazawsze pozostanie zerem, pod względem wpływu moralnego na dziecię.

„Prawie zawsze — mówi Spencer — mężczyzna uważa, system panujący w pokoju dziecinnym, za sprawę obcą dla siebie. — *Ja to zostawiam kobietom* — odpowiada pytającemu o szczegóły, dotyczące się wychowania dziecka, a ton, z jakim wygłasza te słowa, najwyraźniej wskazuje, że starania o dzieciach uważa za coś ubliżającego swojej męskiej godności. To téż gdy spojrzymy z podnioslejszego nieco punktu widzenia rzeczy, niezadawalając się zwykłym konwencyjonalnym poglądem; wtedy dziwnem się zaprawdę wydaje, że gdy wychowanie wołów pierwszorzędnęj piękności jest tak ważnym dla ludzi wykształconych przedmiotem, iż nie wahają się poświęcić mu wiele czasu i głębszych naukowych badań, tymczasem wychowanie ludzi, jest dla nich kwestyją, którą zdają się poczytywać za niegodną swojej uwagi.

Mamy, które się nigdy niczego nie uczyły, oprócz języków i muzyki, mając dodane sobie do pomocy mamki pełne przesądów, uważają się za sędziów kompetentnych w kwestyjach ubioru, żywienia i ilości ruchu, jaki jest dla ich dzieci potrzebny. Ojcowie zaś przez ten czas czytają książki i artykuły gazet, uczestniczą w komitetach, robią doświadczenia i przeprowadzają dyskusyje, w celu odkrycia najlepszego sposobu tuczenia wieprzów, któreby medale otrzymały i t. p.”

Nie myślę zastanawiać się nad tęp, co u nas przeszkadza ojcom, wglądać w sprawy dziecięcego wychowania, ale to pewna,

że i u nas pokój dzieci odwiedzany bywa przez ojca, najczęściej w charakterze słabego rodzica, lubiącego wziąć w objęcia swoje pociechę, lub grzmiącego Jowisza domowego, przed którym drżą dzieci, bony i niańki; nader zaś rzadko w charakterze wychowawcy, który wie czego i dla czego tak, a nie inaczej wymaga.

Ojcowie ci chyba nie wiedzą, że wychowanie dziecka wraz z jego urodzeniem rozpocząć się powinno. Legouvė, matce pytającej go, kiedy nadejdzie pora właściwa rozpoczęcia wychowania jej trzyletniego dziecka, odpowiedział: „Jeżeli pani, wychowania swego dziecka jeszcze nie rozpoczęła, trzy lata straciłaś bezpowrotnie.

Matka niech czyni, co może, żeby zainteresowanie się ojca dziecięciem uczynić zainteresowaniem kierownika, myśliciela, badacza. Wszak to właśnie rola ojca w rodzinie. Uwagi matki wiele ująć może; umysł ojca, ten umysł wytrawny, badawczy powinien doświadczenie matki wesprzeć nauką i męską rozważą. Pokój niemowlęcia niech matka stara się uczynić dla niego krainą dobrze znaną i nawiedzaną codziennie; niech w jego wzroku szuka kontroli nad czynnościami swemi; by je uwolnić od zarozumiałej nielogiczności lub błędów w dobrej wierze popełnianych. Ojciec, patrząc rzadziej, łatwiej zwrócić może uwagę na rzeczy, których matka nie spostrzegła, patrząc na nie ciągle wzrokiem przyzwyczajenia. Moralna strona traci nieskończenie wiele na braku wpływu ojcowskiego i staje się uboższą o cały dział wrażeń, nabytków i wskazówek, jakie Bóg przeznaczył dziecięciu, dając mu ojca.

Pomijając tysiączne odcienia wad i przymiotów, jakie matka w mężu swoim odkryć może, powinna ona się starać ubezwołać pierwsze, co do wpływu na dzieci, a drugie ku ich dobru skierować. Jest to możliwem dla rozumnej kobiety. Trudniejszą, a nawet niesłychanie trudną jest rzeczą przerobienie męża, ale i tego próbować trzeba. Jeżeli jest to człowiek rozumny i kochający, a tylko z dziećmi i ich hałasem nieoswojony i po męsku niecierpliwy; można powoli przyzwyczaić go i wciągnąć do znożenia dziecka. Później ono samo wrodzonym wdziękiem przy-

ciągnie go, zainteresuje sobą, przywiąże do swęj dziecinnęj rozmowy. Do osiągnięcia tego celu potrzeba tylko trochy dyplomacyi macierzyńskiej. Jeżeli mąż twój zmarszczone ma czoło i widzisz, że się należy wybuchu niecierpliwości spodziewać, odprowadź od niego dziecię hałaśliwe i ciągle o wszystko pytające. Przeciwnie korzystaj z jego dobrego humoru i pobłażliwej gotowości odpowiadania dziecku i znoszenia jego krzyku. Słowem od piérwuszęj chwili staraj się wzmocnić stósunek ojca do dziecka i odwrotnie. Na męża ubogiego w wartość moralną, staraj się działać uczyniająco, a wpływ twój na niego niech będzie zawsze kierowany tą myślą, że jest to ojciec twych dzieci. Wierz, iż twoje usiłowania, wyrobienia w mężu przymiotów ojcowskich, nie będą zupełnie bezskuteczne; ale gdybyś widziała, że podołać temu zadaniu nie możesz, a próby twoje okazały się płonnemi, stań mocno o własnej sile i powiedz sobie, że w twoich ręku jedynie, przyszłość moralna twego dziecka spoczywa. Im więcęj przeszkód w około, a więcęj pomocy w otaczających, tęp więcęszą i wytrwalszą siłę powinnaś wyrabiać w sobie; miłość i poczucie obowiązku da ci odwagę. Smiles powiada: „Wyrobienie odwagi nie należy zwykle do ukształcenia kobiety, a przecież jest ono daleko ważniejszém, niż muzyka, francuski język, albo nauki przyrodnicze. Zamiast zgodzić się z Sir Ryszardem Steele, że kobietę uważać trzeba jako *„czułą troskę i kochania godną słabość”*; powinniśmy raczęp wyrobić w nięj odwagę, natchnąć ją silnęp postanowieniem, a przez to uczynić ją zaradniejszą, świadomszą siebie, pożyteczniejszą i szczęśliwszą.” Zdaje mi się, że nie znajdzie się nikt, coby chciał temu zaprzeczyć. Ale jeżeli męstwo i siła moralna potrzebne są kobiecie w ogółności; to w matce stanowić powinny podstawę, bez której wszystkie jęj plany i dobre chęci w niwecz się obrócą. I niech nikt nie sądzi, że owa siła i męstwo moralne wyklucza łagodność i wyrozumiałość. Przymioty te oswobodzą ją tylko od nerwowęj czułościowości, wszakże nie znikną bynajmniej. Słabość bywa popędliwą i namiętną, siła jest pogodną i wyrozumiałą.

Przez wyrobienie w sobie odwagi, matka pozyska jeszcze jeden przymiot niemałego w wychowaniu znaczenia. Jest nim jedynostajność humoru. Czując w sobie siłę wytrwałą, spokojną

a dzielną; nie da się opanować troskom codziennego żywota. Małe niepowodzenia gospodarskie, wydadzą się jój czém są: nieuniknionemi i nie nieznaczącemi wypadkami. Nieudane wielkanoce ciasto, zaledwo krótką skargę na jój usta wywoła, wraz ze spokojną wymówką, dla winnego kucharza lub kucharki, ale nie zachmurzy jój czoła, ani nie odbije się tonem zniecierpliwienia w odpowiedzi, jaką udzieli niezadługo o coś pytającemu ją dziecku. Zniebieszczona bielizna wywoła wprawdzie wymówkę dla praczki, ale będzie to tylko wymówka uczyniona z obowiązku, sama rzecz wyda się jój błahostką wobec celu, ku któremu zdąża wytrwale. Jest téż to błahostką w istocie, a przecież, ile to razy dzieci były niesłusznie łajane dla tego, że służący służył kosztowny półmisek lub wazę!

Gdy matka rozgniewana podobném wydarzeniem, opryskliwie przemawia do dziecka; w tedy w serduszkach, nie poczuwającego się do winy maleństwa, obudza się niesprawiedliwości uczucie.

Ta wytrwała i jednostajna siła, panująca nad charakterem, powinna się rozciągnąć i do rzeczy ważniejszych.

Matka w nieszczęśliwym lub niedobrym związku małżeńskim, niemoże być obojętną na swoją niedolę, a jednak obowiązkiem jój ukrywać przed dziećmi swój stósunek do męża. Jeżeli złe jest tego rodzaju, że żadna wyrozumiałość, łagodność, uległość, perswazyje i dowody przywiązania nie są w stanie mu zaradzić wtedy kobieta powinna jedno tylko zadać sobie pytanie: Jaki sposób wyjścia najpożyteczniejszy będzie dla dzieci? a znalazłszy go, iść w raz obranym kierunku, nie ulegając żadnym względom; choćby się o nie dopominało własne jój serce. Kobieta, która jest matką, powinna być matką przede wszystkim. Powołanie żony jest wielkie, ale powołanie matki — jeszcze jest świętsze.

Niemowlę i dziecko z niemowlęctwa wychodzące, nie może jeszcze pojąć Boga, może Go tylko przeczuwać, jeżeli oczy mat-

ki widzi często wznoszące się do nieba, a kolana jój zginające się w chwili gorącej modlitwy. Wówczas dziecko, niewyraźne uczucie, wywołane tym widokiem, bezwiednie gromadzi do téj skarbnicy, która dopiero w późniejszym wieku dla niego się otwiera i powoli składane w nią wrażenia, poddaje pod sąd dojrzałego umysłu.

Gdy dziecko, już na młodzieńca wyrosłe, rzuci okiem w przeszłość; gdy spojrzy ku jutrzence dni swoich i zajrzy do tego świata rodzinnego, który je wypiaستował, do tych kątów ukochanych, w których duch jego dotąd przebywać lubi—gdy z tych wspomnień powonie ku niemu technienie uczuć, jakimi karmiono jego dzieciństwo: w tedy odnajdzie ono w nich i pobożność, która z macierzyńskich słów i uczuć do jego duszy wnikała. Twarz matki, dziś postarzała, a niegdyś młoda, w jakiejże chwili wyrzyła się najgłębiej w jego wspomnieniu? Oto w téj najpewniej, w której małe rączki dziecięcia składała do modlitwy i oczy wznosiła ku niebu, zlewając w jedném westchnieniu podziękę za dziecko, które jój Bóg dał i prośbę o jego życie, enotę i szczęście w przyszłości. Ten wielki poryw myśli i uczucia, stanowiący modlitwę serdeczną, dawał obliczu macierzyńskiemu wyraz takiego zapału, że go dziecko odczuwało bezwiednie. Słów znaczenia nie rozumiało jeszcze, a już jego serce przygotowało się do uczucia pobożności. Czulo się pod opieką Stwórcy, chociaż ani Jego wielkości, ani istnienia pojąć nie było w stanie.

Taka uprawa serca pod późniejszą naukę wiary powinna się zacząć od kolébki. Jak miłość dla rodziców dla tego jest tak silném uczuciem, że wzrasta wraz z nami, że jój się od kolébki uczymy; tak miłości Boga, rzadko kiedy w wieku późniejszym rodzi się w sercu, jeżelibyśmy jój nie mieli zaszeptionej sobie w dzieciństwie.

Człowiek, wychowany w kosmopolitycznych przekonaniach, nie staje się nagle patryjotą, w chwili kiedy mu ojczyznę ukażą, — bo miłość kraju, jak każda miłość, nie jest przekonaniem — jest uczuciem, i siedlisko jój nie w głowie, a w sercu się znajduje. Wiara w Boga nie rodzi się téż w tenczas, gdy nam naukę dogmatów podają; trzeba dla niej otworzyć najprzód

serce, usposobić je, uprawić, wlać w nie miłość Bożą jak najwcześniej.

To dzieło matki. Ręka jej niech poprowadzi dziecko ku światłu wiary; niech mu w religii da wiernego stróża duszy „za którą odpowie przed Panem.”

ROZDZIAŁ V.

Wyjście z niemowlęstwa. Łakomstwo. Poszanowanie cudzej własności. Grzeczność. Temperament i dziedziczność. Nieposłuszeństwo i upór. Kłamstwo. Prawda jest podstawą wychowania. Wyobrażenia dziecka. Próżność systematycznie rozwijana.

Wyjście z niemowlęstwa jest epoką, bardzo ważną dla dziecięcia. Zaczyna mówić, może więc objawić swoje myśli; biega, może zatém podążyć za myślą krokami; ma zęby i może ich użyć na przeżucie podanych sobie pokarmów; zna wszystkich domowników, nazywa ich po swojemu i sympatyją rozmaicie obdziela; z dnia na dzień przybywają mu nowe wyrazy w mowie, nowe pojęcia w umyśle i matka spostrzega, że maleństwo ma już wyraźne skłonności, które ledwie mgły niemowlęstwa z siebie otrząsnąwszy, już pokazują się widocznie i usiłują narzucić się otaczającym. W tym wieku, dziecię wie już dokładnie, że jego matka jest stanowcza i wtedy ulega jej bez szemrania, albo że jest słaba i wtedy staje się jej tyranem; matka zatém już przy wyjściu z niemowlęstwa uczyniła dziecię szczęśliwem, to jest uległym i posłusznym, lub wiecznie niezadowolonym, to jest kapryśnym i narowistym.

Jak w późniejszym wychowaniu najskuteczniej działać można przez opanowanie i skierowanie najwybitniejszych skłonności wychowanka; tak i w pierwszym dzieciństwie, trzeba się starać odkryć najsilniejsze upodobania dziecka i za ich pomocą władzę rodzicielską gruntować. Takim upodobaniem, najwyraźniej się ujawniającem, jest łakomstwo. Dziecię, wychodzące z niemowlęstwa, jest stworzeniem, nie tylko potrzebującym jeść, ale i jeść lubiącym.

Widok matki karmiącej skłaniał je do płaczu lub uśmiechu, jedynie dla tego, że piersi jej zawierały ulubione jego pożywienie; radowało się zarówno do łyżeczki, lub do flaszki z gutta-Perkowym korkiem, jeżeli sztucznie karmioném było; teraz widok ulubionych potraw jest najsilniejszym ze wszystkich wrażeniem. Matka, okazując się stanowczą przy wydzielaniu jedzenia, władzę swoją w umyśle dziecka zaznacza. Najczęściej wszakże się zdacza, iż matka właśnie najwidoczniej na tym punkcie słabość swoją uwydatnia.

Wnoszą na przykład małego Jasia do pokoju w chwili, kiedy matka naléwa herbatę. Na stole stoją ciastka tłuste i niezdrowe, których lekarz dziecku zabronił. Matka wie, że Jaś już jadł kolacyją, że pora spania dla niego się zbliża, że, przeładowawszy żołądek malca, zgotuje mu noc niespokojną. Ale przede wszystkim boi się jego krzyku; woła więc zdaleka na niańkę, żeby go nie wносиła albo prędko serwetą ciastka przykrywa. Jaś widział ten ruch i domyśla się zdrady; doświadczył jej już nieraz, spogląda na matkę z niedowierzaniem, a pod serwetą przeczuwa zakazany owoc. Wyciąga rączki, płacze i nareszcie odkrywa serwetę. Wtedy matka się śmieje, daje dziecku ciastko i coprędzej wysyła z pokoju, a męża woła, żeby mu powiedzieć, jaki Jaś jest *rozumny* — „Zaraz poznał, że go chciała oszukać” — mówi ze śmiechem. Nie widziałam jeszcze tak mądrego dziecka”. Mąż opowiada to wydarzenie babci lub cioci i cała rodzina cieszy się z rozumu Jasia.

Matka ta już pozwoliła się osądzić dziecku. Osłabiła w niem wiarę w prawdomówność swoją i dała mu poczucie jego własnej wyższości. Zapewne w roczném, czy dwuletnim maństwie, pojęcie to jeszcze jest bardzo niejasne, i jako prawda, ledwo przed niem majaczy; ale zastosować to spostrzeżenie Jaś wkrótce potrafi. Widząc, że krzykiem i napięciem się może zwalczyć matkę, nie zaniedba tego środka przy każdej sposobności. Przeciwnie, jeżeli matka, nie chowając przed Jasiem ciastek, upieści go tkliwie na dobranoc, ale na jego napięcie się odpowie stanowczo: *nie można*, i słowa swego nie cofnie; Jaś zapłacze wprawdzie za pierwszym i drugim, a może i trzecim razem, ale za

czwartym świecie uwierzy matczynemu *nie można*—i prośby nie powtórzy.

Jeżeli dziecko jest już wstanie zrozumieć tłumaczenie; matka może mu go udzielić, może mu powiedzieć:—*„Nie można Jasiu, bo cię będzie brzuszek bolał, będziesz płakał w nocy, obudzisz mamę i niańkę i sam nie będziesz mógł spać”*.—Jeżeli w tym razie tłumaczenie jest trudniejsze, bo zawiera jedynie przewidywanie na przyszłość; w innych razach tłumaczenie matki, nawet przez małe dziecko zrozumianem być może.—*„Nie bierz na ręce kotka, bo cię udrapie. Nie bierz do buzi pieprzu, bo gorzki”*.—Dziecię było już zadraśnięte przez kotka, miało już w ustach gorzkie rzeczy i rozumie od razu tłumaczenie matki. Nigdy jednak i dla żadnych względów, nawet w chorobie dziecka nie trzeba używać kłamstwa.

Oprócz wiary w prawdomówność matki, można dziecku małemu dać pojęcie o własności i jej poszanowaniu.—*„Nie można tego brać, bo to cioci; nie ruszaj tego, bo to babci,”*—Są to przestrogi, które już wybornie zrozumieć, tém bardziej, że przyjemność posiadania jest mu wrodzona. Dziecię wie, że kołyska do niego należy; płacze skoro które z rodzeństwa w nią się kładzie; swój kółderki, sukienek, filiżanki, z której pije, nie lubi dawać nikomu, a już dziecko roczne krzyczy i łzami się zalęwa, gdy widzi inne, ssące pierś jego matki lub mamki. Dziecko, wychodzące z niemowlęstwa, wiedzieć już może, że jest wiele w domu przedmiotów, których dotykać niema prawa, bo są własnością cudzą; zegarek jest ojca i on tylko może go pokazać dziecku i otworzyć kopertę, brać go samemu nie wolno; drobiazgi na gotowalni lub półkach są matki własnością, ona je tylko pokazuje dziecku — lecz samo ruszyć ich niema prawa. Dobrze jest, aby mały człowiek, który, gdy dorośnie, poddany będzie prawom, jakie w kraju panują, od dzieciństwa wiedział, że są rzeczy dozwolone i niedozwolone, a cudzą własność otaczał poszanowaniem.

Przyzwyczajanie dziecka do grzeczności, nauczanie go, by o wszystko prosiło, za wszystko dziękowało, pożyteczne jest, nie tylko jako forma, ale jako zaszczerpienie w niem poczucia obowiązku wdzięczności za otrzymywane dary i choćby drobne przysługi. Z początku ustami jedynie ono wymawiało słowo „dziękuję,” lecz powoli słowo to zaczęło budzić w sercu uczucia wdzięczności, wprowadzić nie dosyć często napotykanę wśród ludzi, lecz piękne, wzniosłe i uzacniające serce, w którym się zrodziło.

Gdy dziecię robi małą przysługę matce, przyniesie stołeczek pod nogi, czy podniesie rzecz upuszczoną, matka powie mu też „dziękuję”, a dziecię będąc tym razem obdarowującym, nie obdarowanym, uznaje, że mu się wdzięczność należała, więc i stosunek tego uczucia, wyrażonego podziękowaniem, do otrzymanej przysługi zrozumie.

W ruchliwem i ciekawem stworzonku, zaczyna się już na dobre przejawiać temperament. Jest łagodne lub popędliwe, powolne lub prędkie, sprytne, rozmowne i pamiętające wszystko, co usłyszy, albo z trudnością pojmujące i jakby umyślowo zaspalne. Matka zapytuje siebie skąd wzięło się takiem? a w ślad za tém pytaniem przychodzi drugie:—„Czy dziecię przynosi ze sobą temperament i skłonności, czy, jak utrzymują niektórzy, dusza jego jest kartą białą, na której wszystko ad libitum napisać można?”

Pomimo, że rozstrzygnięcie téj kwestyi przedstawia pewne trudności, dla matki jednak myślącej, przedmiot ten obojętnym być nie może; dla tego też ośmielę się wypowiedzieć przekonanie moje w tym względzie — przekonanie, poparte zresztą zdaniem współczesnych powag pedagogicznych.

Dziecię przynosi z sobą temperament. Wady, przymioty, usposobienia, są w niem, jak śpiące w ziemi ziarenka owych roślin, które czasem lat kilka oczekują chwili sposobnej, żeby wzejść i rozbudzić się do życia. Dziecię, rodząc się, takie zarodki charakteru ze sobą przynosi. Jedno posiada już wtedy wszystkie wa-

runki bujnego rozrostu, inne jest wątłą i nikłą roślinką, wymagającą troskliwego a umiejętnego starania.

Natura nie może być niekonsekwentną. Czyż dając niezaprzeczenie dziecku pamięć, zdolność do muzyki, poezji, rysunku, mechaniki, rachunku, języków i to w stopniu tak rozmaitym, czyniła by duszę jego białą kartą pod względem charakteru? Wszystko, co z jej rąk wychodzi, jest pokombinowane rozumnie, skądby się więc tu wzięła taka nielogiczność? Wszak zdolności oddziałują na charakter i odwrotnie; wszak są przymioty i wady rodzinne, których nawet wychowanie nie zmienia całkowicie; przymioty i wady narodowe, przywiązane do klimatu, tradycji, rodzaju pożywienia. Jakże często podobieństwo fizyczne, nałogi, dziecię otrzymuje w spadku po rodzicach? Czyżby ich charakter nie udzielał podobnych także własności?

Papillon, w studyjum swojem nad dziedzicznością, podając mnóstwo dowodów podobieństwa, przyzwyczajęń dzieci do przyzwyczajęń rodziców, daje za przykład dziecko trzymiesięczne, które zakładało nogę na nogę zupełnie w taki sposób, jak to zwykł czynić jego ojciec. Znam młodą dziewczynkę, której matka umarła, wydając ją na świat; przykład więc działać tu nie mógł, a mającą ten sam ruch ust, to samo zacinanie się w mowie i mruganie oczami, które miała matka. Inne dziecko, nieznające babki lub dziadka swego, dawno leżącego w grobie, będzie na przykład miało ruchy, głos, tak uderzająco do którego z nich podobne, że zwracać będzie uwagę tych wszystkich, którzy znali tę babkę lub dziadka.

Charakter nie może podlegać warunkom innym, jak ciało a szczególnie jak zdolności tak wybitnie się przejawiające.

Pogląd mój zapewne podziela matka rodzin liczniejszych. Wiedzą one bowiem, jak każde z ich dzieci inne objawiało od najmłodszeo wieku skłonności, jak innego z każdym potrzeba, było postępowania,

Dziedziczność i niedocieczono, przed urodzeniem jeszcze działające wpływy, obdarzają dziecię indywidualnością; lecz wychowanie i okoliczność zmienić je mogą. „Indyjanin rodzi się ze wzrokiem niesłychanie bystrym. Wzrok ten staje się jeszcze bystrzejszym, bo warunki, w których rozwija się pokolenie, od-

działują i na jednostkę, ową przyrodzoną bystrością wzroku obdarzoną. Gdyby jednak Indyjanin znalazł się w dzieciństwie wśród społeczeństwa oświeconego i został na naukę do zegarmistrza oddany; władze jego wzroku inaczejby się rozwinęły i w krótkie widziałby lepiej z bliska, z daleka zaś gorzej, niż jego przodkowie. Tak działają na jednostkę wpływy otaczające i nadające jego rozwojowi kierunek.^{*)}

Trzeba tu często wiele i ciężkiej pracy; ale im obowiązek macierzyński był trudniejszy, im święciej został spełniony; tém więcej zasłużone błogosławieństwo, jakie na dobre matki zlewają wszystkie społeczeństwa i wszystkie narody.

W dziecięciu tedy daje się już zauważyć wybitnie indywidualność. Wady i przymioty zarysowują się coraz wyraźniej i matka śledzić je powinna starannie, bo im wcześniej pracować nad nimi zacznie, tém lepszych doczeka się owoców.

Pomówię tu pokrótce o zwykłych wadach dzieciennych.

Najwybitniej zarysowuje się: nieposłuszeństwo i upór.

Na rozwinięcie pierwszej z tych wad, składa się zarówno temperament dziecka, jak słabość, beztaktowność wychowawców i, że tak powiem, nierówność i niekonsekwentność ich postępowania. Jak tylko dziecię pojmuje zacząć, matka powinna uspokoić się niejako w sobie i znaleźć dość siły do opanowania zarówno słabości, jak niecierpliwości i uniesień, aby dziecię nie znalazło jęj nigdy bezsilną i mdłą moralnie, ani też zbyt wymagającą i niewyrozumiałą. Niech dziecię czuje, że zależność jego od matki jest zawsze ta sama, nie rozluźniająca się, ani ściśniająca kapryśnie. „Przywrócenie karności — mówi Ascher — jest daleko trudniejsze, niż utrzymanie jęj zawsze w jednakowym stopniu.”

Nie przeczę, że jedostajność, równość, spokój postępowania, jest o tyle rzadkim, o ile trudnym do nabycia przymiotem. To

*) Johann Arendt, Gedanken ueber Erziehung und Unterricht.

téż matka, nie posiadająca go w swym charakterze, musi go w sobie wyrabiać przez ciągłą uwagę na siebie i bezustanne zwracanie myśli na dziecię i jego wychowanie.

Jeżeli nieposłuszeństwo nie jest narowem, wypływającym ze słabości wychowawcy, ani z wrodzonej skłonności dziecięcia; to siedliska uporu trzeba szukać głębiej, gdyż bywa on już objawem charakteru. Dziecię, prowadzone ze stanowczością i miłością, rzadko bywa upartém do wysokiego stopnia; odrobinę uporu ma jednak prawie każde. W niektórych wada ta nad wszystkimi góruje, utrudniając niesłuchanie zadanie wychowawcy. Upór wszakże niekiedy jest silnej woli zarodkiem.

Bierne to i ślepe zastosowanie woli, ale w małym dziecku jedynie możliwe. Zdarzyło mi się raz spotkać u jednego z naszych wielce zasłużonych pedagogów matkę, która, chcąc umieścić syna w jego zakładzie, uważała za stosowne wyznać, iż jój chłopiec bardzo jest uparty: „To dobrze” odpowiedział, jakby ciesząc się z tego, pedagog. Po wyjściu matki, prosiłam o objaśnienie. „Najwyżej w człowieku cenię silną wolę”—odrzekł pedagog;—dziecko zaś które nie było upartém, nigdy jój mieć nie będzie. Jest to spostrzeżenie, które w długoletniej mojej pracy nad młodzieżą, nigdy mi nie zawiodło.”

Nie ulega wątpliwości, że jeżeli upór jest silną wolą, źle skierowaną; silna wola, jest uporem zwróconym ku dobremu i pod prawa rozumu poddanym. Matka więc z upartém dzieckiem, postępować powinna bardzo oględnie. Jeżeli upór dziecka staje w sprzeczności z wolą matki, powinien być ugięty koniecznie; ale spostrzegłszy tę wadę w dziecku, może na objawy uporu go nie narażać. Gdy na przykład dziecię ma ochotę wyjść na przechadzkę, pomimo niepogody, a matka przewiduje, że je ta ochota doprowadzi do wybuchu uporu, może bez osłabienia swój władzy wymyślić prędko jakąś zajmującą zabawkę, która by mu wybiła z głowy pierwszą zachciankę. Jeżeli może nie wymagać od niego rzeczy narażających je na zacinanie się w uporze, a są to rzeczy błahe i mogące być pominięte bez szkody dla charakteru dziecka i władzy matki; niech będzie oględna i pobłażliwa; niech się stara, by dziecię słuchało jój przez miłość, nie przez uczucie bojaźni.

Dzieci, nie mające matki, powszechnie obudzają litość dla tego, że czujemy instynktowo, iż zbawiennego pierwiastku miłości zabraknie w ich wychowaniu i że nic go zastąpić nie może. Mówiąc miłość, rozumiem miłość rozumną. Nią walcz z uporem dziecka; niech przywiązanie do ciebie stanie się tą siłą, która zwróci jego własną uporczywość ku pokonaniu osobistej zachcianki. Jest to możliwem, nawet w dziecku bardzo małym; ale jeżeli dwie wole wasze staną naprzeciw siebie, musisz koniecznie okazać się silniejszą, bo pierwsze ustępstwo prowadzi cały ich szereg za sobą i sprawi, że cię dziecko lekceważyć będzie, czego dopuścić nie powinnaś.

Z tego też względu szkodliwym jest zwyczaj matek grożenia dziecku surowością ojca, lub innej osoby w domu, której się lęka.—*„Cicho, bo zaraz powiem tatce.”*—*„Tatko idzie.”*—W tym razie najczęściej popełniamy kłamstwo obok gróźby, bo ojca niema w domu.—*„Chodź zaprowadzę cię do ojca.”*—Tu matka ciągnie za rękę dziecko, z krzykiem się jęj wydzierałające. Innym razem matka wychodzi do drugiego pokoju, pobędzie w nim chwilę i wraca ze słowami:—*„Zaraz tatko przyjdzie.”*—Podczas jęj nieobecności niemądra nianka szepnęła dziecku.—*„Nie bój się! mama nie poszła po tatkę, mama jest w drugim pokoju.”*—Co za fałsze, wykręty, kłamstwa! Jakie podanie w wątpliwość władzy macierzyńskiej, jakie podkopanie wpływu jęj na dziecko! Jeżeli dziś, kiedy ma trzy lata, poradzić z niem sobie nie umiesz i potrzebujesz straszyć je ojcem; bądź pewna, że jakimkolwiek stanie się dziecię w przyszłości, twojemu wpływowowi nie zawdzięczać nie będzie. Możesz przepędzać przy niem bezsenne noce, dawać mu się tyranizować z zapomnieniem własnych upodobań, nadskakiwać mu i drżać o nie w każdej chwili; będzie rosło, jak dziczka obok gruszy, wyciągając przeznaczone dla niej soki, zabijając jęj żywotność, wcale jednak nie uszlachetniając się jęj sąsiedztwem,

A jednak pomyślmy, co za szczęście, ślad swego przejścia na ziemi w duszy dziecka zostawić! „Patrz, oto dzień prędko przeminie—mówi Caryle—życie nasze kończy się rychło; nadejdzie noc, w której nam już o czynach żadnych nie myśleć. A gdy noc przyjdzie, to i całe szczęście nasze w nicosć się rozwieje.

Lecz praca nasza—ta nigdy nie zniknie.” A czy może być praca piękniejsza i w owoc obfitsza, jak wychowanie dzieci? Ty i one znikną ze świata, ciała wasze będą prochem, a jeszcze praca twoja krzewić się będzie we wnukach i prawnukach i po za grobem będziesz mogła powiedzieć: „żyję!”

Jedna matka, pięćdziesięcioletnia i posiwała już kobieta, niegdyś bardzo światowa i rozrywkom oddana, mówiła mi raz ze łzami w oczach: „Żałuję teraz tych wszystkich chwil, z których dzieci moje okradłam, oddając je światu. Dziś pozostał mi po nich niesmak tylko i znużenie a szczególnież żal, że na dzieciach moich obce tylko wpływy widzę. Nic z nauk swych i przymiotów nie są mi winne, a wieleż wad usunąć mogłam! Znam ich twarze — dusze ich oddaliły się od mej, bo nie mam ich zaufania.”

Drugą wadą, przejawiać się już mogącą w małym dziecięciu, jest pociąg do kłamstwa. Dziecię widzi się samém w pokoju, ogląda się więc, czy nikt nie nadchodzi i chwyta przedmiot, którego mu dotykać nie wolno. Jeżeli to przysmak, chowa się z nim i ję; jeżeli to przedmiot ciekawość jego obudzający—bawi się w kącie nim i psuje. Albo dziecię przychodzi do matki i pyta, czy może pójść na spacer? Matka odpowiada, że nie, bo jest za wielkie błoto. Dziecię biegnie do niańki i mówi:—*„Mama pozwoliła.”* Spostrzegłszy taką skłonność, bardzo często zresztą objawiającą się w dzieciach sprytnych i żywych; matka prędko tamę położyć ję powinna. Śledząc postępowanie i rozmowy dziecka, niech obmyśli środki zaradcze. W maleństwie nie może tak, jak w starszym dziecku obudzić zamięłowania prawdy, przez zaszczerpienie poczucia ję świętości i piękna; może tylko odzwyczajając je od kłamstwa i przekonać o jego bezużyteczności i szkodliwości. Postępowanie tak warunkuje się tu okolicznościami, że trudno podać najwłaściwsze i najskuteczniejsze sposoby! Matka znajdzie je z łatwością, byle je obmyślała spokojnie. Kłamstwo, które w dorosłych takim staje się nałogiem, że często popełniają je dla samej przyjemności; w dziecku wykorzeniać trzeba systema-

tycznie, najprzód własnym przykładem, potem pokazaniem dziecku na każdym kroku, że kłamcy nikt nie wierzy. Jeżeli naprzykład kłamliwe dziecko opowiada co, matka spokojnie odrzec może:—*„Niewiem, czy to prawda; gdyby to powiedział tatko albo ciocia, wierzyłabym; ty powiedziałeś nieprawdę wczoraj, więc dziś wierzyć ci niemogę.”*—Dziecię zaręcza, że mówi prawdę. protestuje przeciw niedowierzaniu okazanemu sobie: wtedy matka mówi mu łagodnie i spokojnie:—*„Więc dobrze, wierzę; ale jeżeli się kiedy przekonam, że powiedziałeś nieprawdę, niedziw się, że ci nigdy wierzyć nie będę.”*

Niestety, zdarzyło się raz w rodzinie pewnej, że dziecko, moralizowane w ten sposób rzekło:—*„I tatko mówi nieprawdę.”*—I, jako przykład, opowiedziało fakt dobrze mu znany. Jest to rzeczą straszną, że bardzo często przykładów podobnych rodzice nie szczędzą dzieciom. Jeżeli kłamstwo nie odnosi się do faktów, co przecie często się zdarza, to odnosi się do uczuć. Dzieci słyszą, że się o kimś mówi z lekceważeniem i wstrętem, a przyjmują się go z otwartymi rękami. Co za lekcycja wysmienita obłudy!

Bolesć i oburzenie ogarnia, gdy się widzi matki wszczepiające zawczasu w dziecko nieufność do słów swoich. A jednak ogół matek tak postępuje.—*„To cukierek Maryniu”*—mówi matka, podając dziecku niesmaczny proszek. Marynia, skosztowawszy, widzi, że matka skłamała i drugi raz z pewnością jęj nie uwierzy.

Marynia jest już zdrowsza, ale jęj lekarz zabronił jeść owoców; chowają je przeto przed nią starannie. Dziecię wchodzi nagle, gdy matka lub starsze dzieci jedzą wiśnie. Matka, nie mogąc ukryć spełniającego się faktu, krzywi się nagle i wstrząsa; mówi do Maryni:—*„To be! Nie dobre.”*—A inne dzieci naśladowując matkę, jak na komendę, robią miny, jakby po zażyciu trucizny. Marynia nie wierzy, napięra się i dąsa, wynoszą ją płaczącą i rzucającą się ze złością na rękę niańki. Matka Maryni, wychowuje sobie rodzinę kłamców.

Nie ganię tu chowania przed dziećmi rzeczy, których jeść nie może. Jest to tylko oszczędzenie biédnej dziecinie tortury patrzenia na owoce zakazane, a dotykające jego struny najdotkliwszój, jako łakomego zwierzątka; ale gdy dziecko owoce

zobaczy, nie wmawiaj w nie, że są nie dobre, ale powiedz ostateczne a nieodwołalne słowo: „nie można!” Obok fizycznego wychowania, miej ciągły wzgląd na moralne i wierz, młoda a nieodświadczone matko, że daleko łatwiej poskromić pierwsze zachcianki dziecka, niż następnie wszystkim dogodzić.

W wydzielaniu pożywienia, bądź jak we wszystkim wyrozumiała, łagodna, ale stanowcza. Bądź opatrnością dziecka, ale mu się przez słabość wyzyskiwać nie daj, bo oprócz szkody fizycznej, przynosisz mu nieobliczoną szkodę moralną. Wiem, że, czytając ostatnie słowa, posądzisz mnie o przesadę i powiesz, że małym rzeczom nadaję kształty olbrzymie. Jeżeli jednak życie całe składa się z drobnostek, które często w następstwach rosną do nieobliczenie wielkich skutków; to wychowanie pod tym względem jeszcze jest drażliwszej natury. Ziarna kłamstwa i uporu krzewią się prędko, a są z początku małym nieposłuszeństwem dziecka, lub figielkiem, poczytywanym mu za mądrość rzadką w tym wieku. Mamy je zrazu za rzecz błahą, a jednak w krótkie życie zatruć nam mogą i są już plamą na czystej duszy dziecięcia. Szczególniej kłamstwo, tę brudną i wstrętną podszewkę naszego żywota, odrzućmy daleko od siebie. Niech się jej dziecię dotknie jak najpóźniej, z odrazą, jaką go przejąć nie zaniedbujemy. Strzeżmy je pod tym względem od wpływu otaczających. Służący mają upodobanie w straszeniu, oszukiwaniu i opowiadaniu dzieciom fałszów; uczynmy wszystko, co tylko można, by dzieci od tego wpływu zabezpieczyć, a choćby udać się to w zupełności nie mogło, przynajmniej sami bądźmy dla naszych dzieci uosobieniem prawdy. To niezawodnie jest możebnem. W następstwie nasuną się niejake trudności, o których wspomnę niżej, wszakże ufność w prawdomówność swoją można wzbudzić do tego stopnia, że dla dzieci: „mama tak powiedziała” będzie ostatecznem rozstrzygnięciem, każdej kwestyi. Można to w dzieciach do takiego stopnia posunąć, że nie będą mogły zrozumieć, by matka w czémkolwiek mylić się mogła.

Do pewnej prawdomównej matki (byłam tego świadkiem), przybiegło raz z ogrodu dwoje dzieci, z których jedno pięć, drugie sześć lat mieć mogło.—„Prawda mamó,—zawołał Oleś,— że bratek ładniejszy od fijołka, a Julcia mówi, że fijołek ładniej-

szy?²—*„Julci lepiej się podoba fijołek, a tobie bratek,“*—odrzekła matka.—*„Ale mama niech powie, który z tych kwiatków ładniejszy?“*—*„Który ładniejszy? Nie wiem, ale ja wolę fijołek.“*—Oleś, starszy z dzieci zafrasował się:—*„Kiedy tak—rzekł—to Julcia powiedziała prawdę.“*—Matka napróżno starała się wytłómaczyć dziecku trudność rozstrzygnięcia kwestyi, gdy idzie o upodobanie.—*„Już pewno fijołek ładniejszy, mówił, kiedy mama więcej go lubi, bo mama zawsze prawdę mówi.“*—Nie umiał jeszcze chłopczyzna zastosować teoryi o różności upodobań, ale wiedział, że matka zawsze mówi prawdę. Można zaręczyć, że matka ta nie oszukiwała nigdy Olesia, że nie wmawiała w niego, iż lekarstwo gorzkie, było słodkiem; że dziad zabiera w worek dzieci niegrzeczne; że nasypianie soli na ogonek ptaka, ułatwi jego złapanie; że bocian przynosi dzieci, albo z głów kapuścianych one wychodzą. I jakże prawdomównością ułatwiła sobie zadanie wychowania, przez sam wpływ, jaki prawda zawsze na umysł ludzki wywiera, jakąż korzyść moralną przyniosła dziecku, dając mu możność szanowania matki!—Nad pozyskanym szacunkiem dziecka—drogim skarbem zaiste—rozwódzić się nie będę, jako nad korzyścią, którą matka odnosi. Chodzi mi tu przede wszystkim o dziecko.

Pragnęłabym mieć złotą wymowę, by gromy potępienia rzucić na kłamstwo i obłudę rodziców, tak czuję bezmierną krzywdę, jaka się przez to dzieciom wyrządza:—*„Lepiej, abyś mu kamień do szyi uwiązał i do wody rzucił, niżbyś je zgorszył,“*—mówi Pismo święte. A czy możesz wlać mu w duszę zjadliwszą truciznę jak nauczyć je kłamać?

Znam rodzinę, w której towarzystwo starszych, podczas zimowych wieczorów, grywa w karty dla zabawy. Cała przyjemność téj gry zasadza się na oszukiwaniu żartem ciotki, mającej wzrok bardzo krótki. Dzieci są obecne, widzą podstępnie wyciągane asy i figury; śmieją się, patrząc na ciotkę, cieszy je gdy się oszukaństwo uda, pomagają w niem nawet, podając karty pod stołem. Czy to nie codzienna nauka kłamstwa?

Miłość dla dzieci, poczucie rodzicielskiego obowiązku, niech postęпки twoje, matko, i usta oczyści z tych szumowin uczuć. Jeżeli sama prawdy pokochać nie zdołasz,

nie odejmuj dziecku twemu możności jęj ukochania. Miłość prawdy da mu szczęście i pokój wewnętrzny, którego pozbawić go nikt nie jest w stanie, da mu siłę potępienia złego, zarówno w drugich, jak w sobie; nie pozwoli mu hołdować próżności i pozorom, a postawi w jego duszy najszczytniejszy ideał prawdy i sprawiedliwości. A ty sama, jeżeli prawdy nie dasz za podstawę wychowaniu twojego dziecka, będzie to gmach budowany na piasku. Przyjdą wiatry i nawałnice—życie przyniesie je dziecięciu twojemu—i zburzą gmach, pod którego gruzami spocznie cała praca twoja. Tylko prawda jest ową opoką, na której człowiek w ewangelicznej przypowieści budował gmach swój: „*Dęły wiatry, biły gromy, a on stał nieporuszony.*” Takim będzie i gmach moralny wzniesiony ręką twoją, jeżeli dasz mu prawdę za podstawę. Cegielkę po cegielce znoś, a buduj, a umacniaj z trudem i znojem, bo tylko trud owoce przynosi. Wszystko, co możesz, czyn, by w dziecku zaszczerpić wstręt do kłamstwa; miłość twoja niech czujną straż przy niem postawi, by złe nie zaraziły go przykłady, a rozum niech bada pilnie, niech dostrzega nawet odcień złego najlżejszy, nie lekceważąc niczego.

Umejmy przecież odróżnić kłamstwo od tego, co jest tylko płodem imaginacji dziecięcia.

Dziecię bowiem ma niezmiernie żywą wyobraźnię. Już trzyletnie tworzy sobie obrazy, zadziwiające czasem dokładnością i dowcipem. Stawia na przykład trzy przedmioty na stole, z których jeden jest mamą, drugi tatkiem, trzeci starszym bratem lub siostrą. Za trzy te osoby dziecię mówi samo, zbliżając mamę do tatki, tatkę do braciszka. Posłuchajmy tylko paplania malca. Naśladuje on gruby głos ojca, co mu się wcale nie udaje; cienki matki, co mu się udaje lepiej; z zadziwiającą dokładnością powtarza wyrażenia i łajanie ojca, tłómaczenie się matki, jednostajny głos, jakim starsze dzieci wydają lekcycją. Innym razem komponuje sceny jaskrawe. Widziało gdzieś na ulicy lub na wsi matkę bijącą dziecię; więc scenę tę odtwarza, widząc w grubszym

klocku drzewa matkę, w opalanej zapalce — dziecię. Matka wymierza razy niemiłosierne; dziecię płacze, a morały, jakich mu udziela, są zupełnie te same, które mały aktor słyszał z ust swoich rodziców. Innym razem małe dziecię wystawia sobie, że jest psem. Chodzi na czworaku, szczeka, kasa niby, chwyta za suknię, żąda, by je uderzono, co znowu daje mu sposobność skowyczenia i skomlenia. Kładzie z papieru wyciętą koronę na głowę i robi poważną minę — jest królem; podłużny papier z otworem, przez który przekłada głowę, mający reprezentować ornat czy komżę — czyni je księdzem. Wchodzi na stół, przedstawiający kazalnicę i głos modelując komicznie, wystawia sobie, że każe. Chwilami przerywa sobie mowę, naśladując wzdychanie ludu. Innym razem włoży coś, co ma udawać okulary — jest babcią; stuka obcasami a czoło marszczy — to tatko. Głowa jego pełna jest podobnych pomysłów, ale przechodzą one czasem w kłamstwo i wtedy poskramiać je należy. Dziecię wraca ze spaceru i z całą pewnością opowiada naprzykład, że widział konia ze skrzydłami (kiedyś jakiś wizerunek Pegaza wpadł mu w ręce), albo ogromnego słonia, bawiącego się ze lwem: wtedy matka prędko tamę opowiadaniu położyć powinna, tłómacząc dziecku, że to nieprawda, a nieprawdy nigdy mówić nie trzeba, słowem, zostawiając dziecku imaginację, jako ozdobę żywota, nie trzeba jej pozwolić przeradzać się w kłamstwo.

Są rodziny, w których rozwijanie próżności w dzieciach odbywa się systematycznie. Zaledwie dziecię okazało pierwszy przebłysk rozumu, już każde jego słówko, każdy postępek wzbudza podziw w otaczających je osobach. Malec domyśla się łatwo, że jest przedmiotem powszechnej admiracji; widzi, że miłość rodzicielska objawia się w formie próżności i samo też próżnością przesiąka od wczesnego dzieciństwa. Im dalej postępuje w lata, tém wada ta, przy odpowiednich warunkach, coraz więcej w niem się rozwija. Dziecię za każdym słówkiem, wypowiedzianem przy innych, ogląda się, czy zwracają na nie uwagę, czy zwykły po-

dziw obudza; — cokolwiek mówi, zawsze ma na celu wywołanie pochwały.

Goście muszą wysłuchać wszystkich jego conceptów, figlów, wierszyków; wobec gości, dziecię pragnie prześcignąć się w mądrości i nienaturalności. Powoli zaczyna wyobrażać sobie, iż nie można prowadzić innéj rozmowy, jak na temat o jego doskonałościach. — „Widziałem dzieci — mówi Fenelon — które, ile razy spostrzegły, że między sobą rozmawiano pocichu myślały zaraz, że się to do nich ściągało.. Tak bowiem wobec nich postępowały najbliższe im osoby; uwierzyły przeto, że są uosobieniem doskonałości.”

W rodzinach liczniejszych próżność mniej się w dzieciach rozwija: lecz tam, gdzie mało jest dzieci, lub tylko jedno, tam wszyscy nad jęj zaszczerpieniem najsumienniej pracują. Szczególniej matki jedynaków pozbawione są właściwej miary w tym względzie i zawsze sobie wystawiają, że syn lub córka jest wyjątkowém i cudowném dziecięciem.

Niemowlę nie rozumie jeszcze pochwał, w koło niego głoszonych; ale niech już wtedy matka przyzwyczaja otaczające je niańki, bony, krewnych i przyjaciół do oględności i baczności na siebie. Piérwsze pochwały niech przyjmie zimno, niech okaże, iż ją ani tak bardzo cieszą, ani zajmują; niech odzwyczaja systematycznie wszystkich od owéj plagi wychowania rodzinnego, owéj rozplywającéj się w rozkosznych dymach, zadowolonej z siebie próżności.

Pochwała dana dziecku, niech będzie nacechowana powagą. To zachęta, której mu odmówić nie można. Ale niech mu będzie udzielona tylko w obecności rodziców i nauczycieli — nigdy przy obcych.

Gdyby rodzice mogli się domysłuć, jak brzydki, wstrętny wyraz zarozumiałości mają ich dzieci, jeżeli się w nich próżność obudzi, nigdyby się nie zgodzili na oszpecenie nim młodzieńcych ich twarzyczek.

ROZDZIAŁ IV.

Ciekawość wrodzona dzieci. Opowiadanie. Umiejętność słuchania. Nauka o rzeczach. Nauczanie początkowe. Czytanie dzieciinne. Szkodliwy wpływ bajek na małe dzieci. Bona. Nauka obcego języka. Moda francuszczyzny.

Od najmłodszego wieku dziecko o wszystko się pyta. Stwórca, dając mu tę ciekawość, dał zarazem możność oświecenia się, poznania nieskończonej liczby przedmiotów, które choć do właściwej nauki nie należą, dają jednak podstawę wiedzy wszelakię. Nie zdajemy sobie sprawy, ilu to rzeczy dziecięć nauczyć się musi, nim nadejdzie chwila nauki książkowej. Wszak wszystkie ogólne pojęcia, których przyswojenia sobie nie pamiętamy, stopniowo wchodziły do naszego umysłu. Dziecię zbliża rączkę do płomienia—nie wie, że parzy; zachołgawszy się nad staw, wpada weń—nie wie, że w wodzie utonąć może; nie wie nic o życiu, nic o sile nieprzepartej zjawisk natury, o nazwie uczuć, jakich doznaje; musi więc uczyć się wszystkiego, na co my już nie zwracamy uwagi, a co umysł jego trzyma w ciągłej pracy i natężeniu. Jeżeli z tej pracy lat pierwszych zdamy sobie sprawę; poznamy, że dziecię nauczyło się mnóstwa rzeczy, kierowane tym twórczym popędem, który intuicyją zowiemy. Wszak tylko przez intuicyją poznało ono znaczenie wszystkich wyrazów, zawierających pojęcia oderwane, nazwę uczuć i t. p. W latach czterech lub pięciu dziecię tak obszerny ma dykeyjonarz wyrazów, że już wiele rzeczy nieznanym zrozumieć potrafi. Lubi też namiętnie opowiadać.—*„Niech mi mama co opowie”*—jest jego prośbą codzienną. Słuchałoby bez końca, a matce przybysza możność, wywierania wpływu na dziecko jednym sposobem więcej i zapełnienia małej główki wielostronnemi wiadomościami. Niech z tego korzysta skwa-

pliwie. Zna już ona wybornie słownik swego dziecka; wie, jaki okres, jaki wyraz dziecię zrozumieć może, a tak umie się zniżyć do pojęcia małej główki, że z oczu w nią wlepionych, widać zaraz, jak jest pojmovaną wybornie.

Są jednak matki i niańki, nie zważające na to, czy każdy wyraz ich odpowiadania dokładnie przez dziecię jest zrozumiany; opowiadają monotonnym głosem i zamiast rozwijać, usypiają raczej umysł wychowanka. Nie będę się rozszerzać nad nieużytecznością takiego opowiadania, ale zwrócę uwagę matek na wielkie korzyści, jakie dziecię osiągnie ze słuchania umiejętnie prowadzonej z niem rozmowy — innemi słowy, gdy się je słuchać z uwagą nauczy, co jest umiejętnością wysokiego znaczenia. Nie posiada jój na przykład nasz włościanin, który tak się przyuczył słuchać kazania, nie rozumiejąc go, że już nie natęża wcale uwagi, nawet gdy kapłan przemawia językiem do jego pojęcia zastósowanym. Trzeba go dopiero obudzić podniesionym i odpowiednio modulowanym głosem, wykrzyknikami, westchnieniami, a i wtedy, jeżeli się nastroczy jakiś okres trudniejszy, do którego rozwikłania potrzebowałby niejakiego natężenia umysłu, nie robi on żadnego wysiłku z swój strony; po prostu słuchać przestaje i drzemie, albo myśli o czém inném. Wyjątki od téj reguły są rzadkie i należą do nich ludzie, którzy postawieni w innych warunkach, mogliby stać się znakomitymi uczonemi, albo myślicielami. Przyczyną téj obojętności jest, że włościan naszych nikt w dzieciństwie słuchać nie uczył. Z chłopskiem pacholeciem nikt nie rozmawia, nikt mu nic nie opowiada, chyba bajkę, a ta wcale do jego pojęcia nie jest zastósowana. Jest to bajka, w której głównie odgrywają rolę czarownice, królewicze, zbójcy, smoki, o czém dziecię nie ma wyobrażenia. To téż w szkołkach wiejskich najtrudniejszą rzeczą jest obudzić w dzieciach uwagę. Jeszcze wyuczyć je czegoś na pamięć dosyć łatwo przychodzi; ale dojść z niemi do téj doskonałości, by zrozumiały to, co sobie przyswajają pamięcią — przedstawia często nieprzewyciężone trudności i dla tego tak ciężko uczą się one czytać, dla tego tak mało zadają sobie trudu, by rzecz przeczytaną zrozumieć. Dzieje się to nie tylko przy nauczycielach złych i niesumiennych, ale i przy tych, co poświęcając się nauce wiejskich dzieci nie dla zarobku,

ale z czysto filantropijnych pobudek, całej usilności dokładają, by dzieci mogły ich objaśnienia zrozumieć, i nigdy nie używają takich wyrazów, którychby znaczenia nie znały. Niestety! dzieje się często to samo i z dziećmi oświeconych rodziców.—Matki, nie wdrażając dzieci do korzystnego słuchania, przygotowują nauczycielom bardzo ciężkie zadanie; bo obok nauki właściwej, przychodzi nauka słuchania, trudniejsza prawie od pierwszej, bo walcząca z zakorzenionym już nałogiem. Tu opatrnościowa rola matki ma rozległe pole do trudu, opłacającego się niezmierną w następstwie korzyścią. Rozmowy z dzieckiem otwierają przed nią jego duszę, ułatwiają śledzenie postępu w rozwoju umysłowym, a dziecku udzielają tysiące wiadomości, podanych z rozsądkiem, miłością, które obok umysłu rozwijają i serce.

Matka opowiada na przykład z czego się robi chleb i obok wiadomości o zbożu i mące, mówi o pracy ludzkiej, o jej pożytku, o uznojonem czole robotnika, o Opatrzności Bożej, która małemu ziarnku wrzuconemu w ziemię pozwala wydawać plon obfity.

W dalszym ciągu dziecię dowiaduje się o różnych sposobach otrzymywania soli, cukru, o wyrabianiu papieru, o sposobach dobywania rudy żelaznej o przetapianiu jej, o zastosowaniu pary do lokomotywy, fabryk i t. p.

Wzór prowadzenia takich rozmów znajdzie każda matka w dziełku: *Les récréations instructives*, które uwieńczyło zostało na wystawie londyńskiej. Jest w niem wiele rzeczy nauczających i opowiedzianych łatwo, ze ścisłością naukową, a jednak w sposób tak zajmujący, że dzieci, słuchając, ani na chwilę się nie nudzą. Zresztą do takich rozmów najdrobniejszy przedmiot może podać sposobność.—„Nie potrzeba nawet do tego książki—mówi Delbrück.—Ucząc dzieci nie naśladuj twych dawnych nauczycieli, nie szukaj po głowie formuł, określeń, wedle których uczono cię rzeczy dawno zapomnianych. Usiłuj raczej dziecku wytłómaczyć to, co sama wiesz o każdym przedmiocie, swoim sposobem—sposobem matkom właściwym, zajmując, bawiąc, uśmieszając się, kochając. Jesteś w obecności małego dziecięcia; z pewnością nie zna ono wielu przedmiotów, które ty dobrze poznałaś. Objaśniaj mu je więc, nie tak, jak tobie objaśniono, ale, jak je sama w obecnej chwili pojmujesz; mów o wszystkiem, co jasno w twym

umyśle utkwilo, nie patrząc w książkę, ale w oczy dziecięcia".— Wyraz oczu małego słuchacza powie matce, czy jest dokładnie pojmovana, czy słowa jej przynoszą spodziewany pożytek. Arago, wykładając astronomiją licznyim słuchaczom, szukał wzrokiem tego z nich, którego twarz wyrażała najmniej intelligencyi i nie spuszczał z niego oka, śledząc na nim wrażenia swego wykładu. Jeżeli w jego twarzy dostrzegł ślad najlżejszego znużenia, natychmiast usiłował jeszcze jaśniej i przystępniej się tłómaczyć. Pewnego dnia rzekł do przyjaciela:— „Tegoroczny mój kurs astronomii będzie lepszym, niż wszystkie inne. Odkryłem w mojem audytoryjum skończonego głupca, w którym przecież potrafiłem obudzić zajęcie. Podobnie matka niech usiłuje być jasną, zrozumiałą i dla umysłu swego dziecka dostępną, niech przemawia do niego językiem czystym, bo dziecię przejmuje zarówno język poprawny, jak błędny; jedno zaś i drugie, jednakićj po nićm pracy umysłowej wymaga. A jakże wiele potćm musi jej zużywać na poprawianie zepsutćj mowy! Za przestroćę w tym razie niech służy doświadczeniem wielokrotnie stwierdzony pewnik, że dziecić, źle języka uczone, trudnićj nałamać do dobrego nićm władania, niż dziecić, które się go wcale nie uczyło. W ogóle niech matki nie zapominają w wychowaniu dzieci, o sile, jaką ma przyzwyczajenie. Przysłowie mówi, że staje się ono drugą naturą. Nie nadto prawdziwszego! Bo i do trucizny przyzwyczaić się można.

Wszakże Herbert Spencer idzie jeszcze dalej.

„Nauka o rzeczach—powiada on—nie tylko, że powinna być inaczćj udzielaną, niż to zwykle ma miejsce, ale i ogarniać daleko więćj przedmiotów. Przede wszystkim należałoby ją na znacznie dłuższy przeciąg czasu rozłozć i nie ograniczać jej do rzeczy, znajdujących się w domu, ale objąć nią wszystko, co widzimy: na polach, łakach, w lasach, kopalniach i t. d. Nie powinno się kończyć z pićrwszym okresem dzieciństwa, lecz trwać przez dalszy czas młodości i to w taki sposób, by się złać mogła następnie z poszukiwaniami naturalisty i uczonego. I tu możemy iść za wskazówkami natury. Czyż jest żywsza przyjemność nad tę, jakićj doznaje dziecić, zrywając kwiat nieznaný, znajdując owad, jakiego jeszcze nie widziało, lub zbierając kamýki

i muszle? I któż nie widzi, że sympatyzując z zachwytem dziecka, jaki w niém widok tych przedmiotów obudza, można je doprowadzić do dokładnego zbadania ich własności i całej nawet budowy? Botanik, który spróbował poprowadzić dzieci w lasy i na łąki, mógł zauważyć zapal, z jakim się one przyłączają do jego pracy; gorliwość, z jaką wynajdują mu rośliny; wyteżoną uwagę, z jaką śledzą jego badania; rozbudzoną ciekawość, z jaką zarzucają go pytaniami. Uczeń Bacona, konsekwentny sam z sobą, sługa i tłumacz natury — zrozumieć, że powinien skromnie iść za wskazówkami dawanemi sobie w ten sposób. Dziecię, oswojone już z własnościami pospolitemi ciał nieorganicznych, powinno być prowadzone tym samym torem do zupełnego zbadania przedmiotów, spotykanych podczas codziennych przechadzek. Zacząć tylko należy od faktów jak najprostszych: w roślinach zauważyć barwę, kształt listków, łodyg i gałązek; w owadach: ilość skrzydeł, nówek, macek i barwę. Gdy te fakta będą już zupełnie i dokładnie zbadane, należy przejść do innych; w kwiatach obserwować: liczbę słupków i pręcików, kształt korony; czy jest kulistą, czy dwuboczną; układ liści: czy są naprzeciwległe, naprzemianległe, szypułkowate, bezogonkowe, lśniące, kosmate, ząbkowane lub gładkie? W owadach należy obserwować podział ciała, znaki na skrzydłach, ilość i budowę nóg, położenie najmniejszych organów, a zawsze w celu rozbudzenia w dziecku ochoty do samoistnego poznawania i badania. Później, gdy wiek stósowny nauki nadejdzie, można wskazać dziecku, sposoby przechowywania tych roślin, którym tyle ceny nabyte wiadomości dodały; nadto dostarczyć mu potrzebnych przyrządów do zabezpieczenia poczwerek motyli, dla obserwowania ich przemian. Jest to zabawa jedna z najżywiej zajmujących umysł dziecięcy, zabawa, która trwać może lata całe i która téż, nietylko że daje początek kolekcji entomologicznej, nietylko że podnosi urok wszystkich niedzielnych przechadzek, ale nadto staje się doskonałym wstępem do nauki fizjologii.”

W istocie, dziecię prowadzone w ten sposób jeszcze nie rozpoczęło właściwej nauki, ale o wielu rzeczach ma dokładne pojęcie i jego szczupła erudycja ułatwi mu zdobycie wiedzy w przyszłości. Jest ona wszakże mało znaczącym jeszcze nabyt-

kiem w porównaniu z nawyknieniami, jakie w ciągu nauki o rzeczach zdobywa. Nawyknienia zaś te polegają na tém, iż umysł dziecka przyucza się zastanawiać nad wszystkiém, co je otacza. Pyta o wszystko, a jego wątpliwości tak się mnożą i tak wchodzą w coraz szersze zakresy, że matka musi być bardzo wykształcona, by mogła odpowiedzieć na wszystkie dziecka pytania. Bez rozbudzenia jednak tego zmysłu spostrzegawczego na zjawiska, choćby najmniejszego znaczenia, nie byłoby odkryć i wynalazków.

Spadające jabłko z drzewa, naprowadziło Newtona na odkrycie prawa grawitacyi. Zjawisko było codzienne, pospolite; umysł przecież wielkiego męża nie spoczął, aż doszedł jego przyczyny. Daleką jestem od myśli, by każde dziecko, rozwijane według téj metody, miało być w przyszłości Newtonem; ale przywodząc ten przykład, pragnęłabym zachęcić matki do nadawania dzieciom od razu tego kierunku, który, jak widzimy, najskuteczniej do samodzielności prowadzi.

Zalecając wszakże matkom rozmowę z dziećmi, jako jeden z najważniejszych środków rozwijania ich umysłu, nie chciałam przez to powiedzieć, że jestem zwolenniczką nauki dorywczej i jakby podawanéj dziecku z nienacka. Rozmowy matki mogą i powinny być nauczające, nie zastępują przecież nauki formalnéj, którą, jako *obowiązek* traktować należy.

To święte słowo: „*obowiązek*” niech dziecię twoje przyucza się rozumieć od najmłodszego wieku. Jak z obowiązku stawiało porządknie przy łóżku buciki; tak teraz niech w oznaczonym czasie rozpoczyna swą lekcję. Podrastające maleństwo niekoniecznie ma być obciążone pracą. Nauce może poświęcić kwadrans lub pół godziny dziennie, ale niech to już będzie nauka porządna, bez odrywania się od niéj dla jakiegokolwiek rozrywki. Niech dziecię porzuca zabawki, niech nawet nie doje swego śniadania, nie dopowie innym dzieciom powiastki, skoro bijąca godzina do obowiązku je wzywa. I naukę można, a nawet trzeba uczynić zajmującą dla dziecka; ale gdy w ciągu niéj napotka trudności, niech przywyka uważać je za rzecz nieuniknioną, którą pokonać własnym wysiłkiem powinno. Ucząc jednak mało, należy uczyć dobrze, systematycznie, sumiennie, nie pozwalając

dziecku iść dalej, dopóki pierwsze kroki stawia niepewnie, bo pierwszy ten posiew—to zadatek przyszłego plonu, to podwalina gmachu przyszłej wiedzy, której rozmiarów żadne oko objąć nie zdoła—gdyż jest nieskończoną. Ale właśnie dla tego, że w tym wieku na naukę, pojętą seryjo, jeszcze pora nie przyszła; do-brzeby było, gdyby te pół godziny pracy, każda matka, pragnąca dobra swojej dzieciny, wyłącznie wzięła na siebie. Prócz niej bowiem nikt nie może lepiej ocenić sił umysłowych dziecka, roz-umić się, jeżeli sama zajmowała się niem od chwili, gdy władze jego zaczęły się budzić z uśpienia.

Z tego pokazuje się, jakie stanowisko umysłowe matka względem dziecka zająć powinna.

Kto nie idzie naprzód, ten się cofa—prawda to stara jak świat—a młoda matka z wiedzą częstokroć powierzchowną, nie ugruntowaną i nieprzetrawioną rozmyślaniem, zapomniałaby wkrótce i tej odrobiny, jaką pod przymusem szkolnym nabyła. Dziecię miałoby w niej troskliwą bonę, ale oświeconej kierowni-czki nie znalazłoby z pewnością. Pozwalając ograniczonej swęj wiedzy umniejszać się codziennie, matka musiałaby zasmakować w literaturze powieściowej wyłącznie — trudno bowiem przypu-szczać, by nigdy nie nie czytała — a z tej, dla niej samęj, nie-wielka korzyść wypłynąć może, dla dziecięcia zaś żadna.

Z tych przeto powodów sądzę, że matka, oświecając swoje małą gromadkę, sama się kształcić i oświecać powinna. Często kierunek dzieci jej wskażą, jeżeli przez wybitną do jednego przedmiotu zdolność, samę do kształcenia się w nim pobudzą. A urobienie sobie jednolitego systematu wychowawczego, wybór drogi dla chłopców, która przynajmniej w części od matki za-leży, czyż nie wymaga, by szła z postępem nauki i wiedziała czego chcieć, nie przez kaprys jedynie, ale z głębokiego prze-świadczenia, zdobytego rozmyślaniem i pracą? Ah! wiedza nigdy nie nie popsula; tylko jej brak daje nam zarozumiałych pół-mędrków.

Od takiego zarozumienia pragnęłabym niektóre matki uchro-nić. Gdy brak znajomości jakiego przedmiotu nie pozwala im dać dziecku dokładnego o nim objaśnienia, niech wstyd fałszywy wobec dziecka nie doprowadza je do kłamstwa lub wymijają-

cych odpowiedzi. Dziecię np. zapytuje, dla czego księżyc raz bywa okrągły, a drugi raz pokazuje się tylko, jako skrawek mały. Jeżeli matka czuje, że mu tego zjawiska wytłómaczyć nie może, zamiast zbywać dziecko krótkim: „Daj mi pokój!” niech raczej powie: — „Tatko, albo pan N. wie to lepiej od mamy; poprosimy go o wytłómaczenie nam tego. — „W wieczór, gdy przyjdzie ojciec, matka zażąda objaśnienia, którego sama słuchając, tłómaczy dziecku trudniejsze wyrażenia, a którychby pojąć nie mogło; następnie stara mu się rzecz wyłożyć na dotykalmym przykładzie. Bierze dwa kłębki i świecę, i, jeżeli widzi, że uwaga dziecka nie odbiega, w skutek znużenia, od przedmiotu, tłómaczy mu rzecz całą, dopóki dziecko nie zrozumie dokładnie. Jeżeli zaś okazuje roztargnienie, wynikające z umysłowego zmęczenia, odkłada dopełnienie nauki na dzień następny. Jest w takiem przyznaniu się do niewiedomości coś niezmiernie wzruszającego. Dziecię wcale nie traci szacunku dla matki, jeżeli widzi, że się kształci dla niego, że o pomoc udaje się do ojca, lub kogoś oświeconszego; traci go jedynie wtedy, gdy się przekona, że matka, dla ocalenia źle rozumianej godności osobistej, dała mu tłómaczenie fałszywe, że udaje umiejętność, nie posiadając jej wcale. Jeżeli matka nie ma w koło siebie nikogo, coby mógł odpowiedzieć na tego rodzaju pytania, ani książki, przedmiot objaśniający; niech poprostu powie dziecku: „Ja się tego nie uczyłam i nie umiem ci tego wytłómaczyć. Jak pójdiesz do szkoły, a nauczysz się, to sam mamie objaśnisz.” Jeżeli jednak do takiej ostateczności matka niekiedy dojść musi, powinna się starać wszelkimi siłami, by to jak najrzadziej się zdarzało.

Obok rozmowy z dzieckiem, przychodzi już czas czytania mu powiastek dzieciennych, życiorysów i t. p. przedmiotów. Literatura dziecinna, niedawno jeszcze tak uboga u nas, coraz więcej się rozwija. Samo wydawanie w Warszawie trzech pism dzieciennych świadczy o postępie w tym kierunku. Że jednak są

to pisma dla dzieci różnego wieku; więc spotykają się w nich artykuły napisane językiem nieprzystępnym zupełnie dla dzieci poczynających się dopiero umysłowo rozwijać.

Nie można więc dość gorąco zalecać matkom, by wieczorną przyjemność własną, jak zebrania towarzyskie, wizyty i teatr poświęcały czytaniu z dziećmi i objaśnianiu rzeczy mniej dla nich dostępnych. Będzie to składanie skarbów w sercu i umyśle dziecięcym, których *ani mól nie zje, ani złodziej nie zabierze*. Wobec tego, czémże jest zadowolenie próżności, poklask świata, lub artystyczna przyjemność, choćby najbardziej podnosząca jej ducha? Nie mówię tu o bezwzględnem wyrzeczeniu się ludzi i świata; pragnę tylko, by przedstawianie z dziećmi stało się dla matki chlebem powszednim, by serdeczny swój zapal przelewała na mały, własny świeatek, zamiast go nieść w ofierze zabawom i próżności. Ileż to ważnych objawów skłonności dziecinnych ujdzie oka matki, niekierującej czytaniem małych ciekawców, ile straconych chwil, w których mogłaby znaleźć sposobność poznania ich serc do gruntu i oddziaływania na nie skutecznie!

Jeżeli dziecko czyta samo, w nieobecności matki, cel podwójnie chybiony, bo najprzód wielu rzeczy z tego, co czyta nie pojmie, choć przedmiot mógłby zajmującym być dla niego; a po wtóre, nieprzywyklszy zasięgać objaśnień u starszych, pomija miejsca niezrozumiałe, traci wątek logiczny i nabywa wady traktowania powierzchownie wszystkiego. Lenistwo i lekomyślność już i tak jest naszą narodową przywarą; trzeba więc starać się, by dziecko, czytając rzeczy mało dla siebie przystępne, wady téj nie nabywały; owszem przyuczały się sięgać do rdzenia przedmiotu. Również gdy im się daje do czytania rzecz dla ich wieku i umysłowego rozwinięcia nieodpowiednią, zaszczerpiamy w nich umysłowe lenistwo, które staje się w następstwie najcięższą przeszkodą w nauce i męczarnią, zarówno dla nauczycieli, jak uczniów.

Dzieci do lat 9 lub 10 nie mogą przełamać trudności technicznych czytania; mało które w tym wieku czyta tak, by inne dzieci z przyjemnością słuchać go mogły. Jeżeli więc matka widzi, że w skutek tego odbiegają myślą od przedmiotu, niech sama weźmie książkę do ręki i zacznie czytać dobitnie, z wła-

ściwą modulacją głosu, a uwagę dzieci do przedmiotu przywiąże. Odtąd prośba: „Niech nam co opowie,” zamieni się na: — „Niech nam mama co przeczyta.” — Tym sposobem matka nowy wpływ na dzieci pozyska i znajdzie możność śledzenia ich rozwijających się skłonności.

Czytanie dziecinne stało się dziś potęgą pedagogiczną, jak to słusznie powiedział jeden z wychowawców niemieckich i matka brać ją w rachubę powinna. Ale potrzeba jęj rozważyć, jakie czytanie jest najwłaściwsze dla dziecka, jakie przez nie ma w niem uczucia rozwijać, jakie strony ducha powoływać do życia. Taki tylko sumienny namysł, pozwoli matce zrobić dobry wybór między książkami, jakie corocznie na gwiazdkę i w ciągu roku się ukazują. Każdą przed podaniem do ręki dziecku przeczytać powinna i przekonać się, czy odpowiada wymaganym warunkom. Temi zaś są: 1) uczucie etyczne, przenikające książkę, które stanowi o tém, czy ta przyniesie korzyść moralną dziecięciu; 2) treść zajmująca i do pojęcia dziecka zastósowana; treść bowiem nużąca umysł, zrażając wcześniej do czytania, szkodę tylko przynosi; 3) język czysty i poprawny, ale nie język starszych, którego dziecię nie zrozumie; 4) wdzięk formy, kształcący smak dziecka; i po 5) prostota w obrazach i osnowie, bo wiek dziecinny, będąc samą prostotą, nie lubi przesady, a naciąganie odczuje odrazu. Czytając dzieciom, nieraz zrobiłam uwagę, że książki, pod jakimbądź względem zbyt jaskrawe malujące obrazy, wywierały wpływ szkodliwy na dzieci, bo je rozdrażniały i wyprowadzały z uczuć dziecinnych, a zatém wiekowi temu najwłaściwszych, uczuć swobodnej pewności jutra, wesołej ufności, która pozwala dzieciom nie czuć, że żyją. Takimi obrazami są opisy okrutnego obchodzenia się z ludźmi i zwierzętami, straszne niebezpieczeństwa, na jakie mali bohaterowie powiastek narażani bywają; opisy męczeństw świętych; szczegóły igrzysk starożytnych, gdzie ludzkie i zwierzęce cierpienie sprawiało rozkosz widzom. Obrazy podobne niezmiernie podniecają uczucia dziecinne i rozdrażniają je do tego stopnia, że pewien znany mi chłopczyk, który w wieczór przeczytał szczegółowy opis śmierci synów Edwarda IV-go, w nocy spać nie mógł, miał gorączkę i ciągle w niej powtarzał: — „To książę York. Nie zabijaj go! Ja to jestem królem!” —

Smutek wogóle źle oddziaływa na dzieci, nie przypada wcale do ich ruchliwej natury, i dziecię od smutnej książki, nad którą się splotało, odchodzi z niesmakiem, cierpi nad fikcyjnym wydarzeniem, traci ochotę, zarówno do nauki, jak do zabawy, chowa się gdzieś w kącik, siedzi w nim spokojnie, bo wszystko w jego wyobraźni powleka się czarnymi barwami. Przeciwnie po przeczytaniu powiastki, nad którą się uśmieło, dziecię ścisną matkę gorąco, idzie do zatrudnień swoich ochotczo, wszystko mu się rozjaśnia i umila, śpi spokojnie, a sny ma zdrowe i wesole, tak że często można je słyszeć śmiejące się we śnie. A jak do tego rozweselenia dziecku mało potrzeba! Dowcip autora, piszącego dla dzieci, wcale niepotrzebuje być wymyślny. W jednej na przykład powiastce dziecinniej, jest mowa o Kubusiu, który tak był uszczęśliwiony z osła, kupionego mu przez babunię, że chciał podłożyć mu pod głowę własną poduszkę, gdy go ujrzał śpiącego ze łbem na ziemi leżącym. Dzieci chórem się śmiały z tej zachcianki Kubusia i nieprędko ją zapomniały. Wesoly śmiech dzieci, który im zarówno fizycznie, jak moralnie idzie na zdrowie, wywołać łatwo, byle do tego nie używać ośmieszania kalektw fizycznych, a także i moralnych, jakimi są: idyjozizm, waryjactwo, bo te tylko litość wzbudzać powinny. Kwestyja ta należy do tak elementarnej moralności, że nad nią rozszerzać się nie będę; chcę tylko jeszcze zatrzymać się chwilę nad potrzebą podawania dzieciom do czytania rzeczy naturalnych, zdrowych, niepozabawionych piękną i idealnością prostą i dziecinną, a nie technicznych grozą i okrucieństwem.

Oprócz rozdrażniającego wpływu, wywieranego na dzieci tkliwe, można je zaprawić, zwłaszcza gdy z natury są chciwe wrażeń, do zasmakowania w obrazach jaskrawych i malujących same tylko męczarnie. Znałam jednego chłopczyka, lubiącego namiętnie czytanie i opowiadanie, ale nie każdym się zadawała. Pewnego dnia, gdy mu ciotka, chodząc z nim po pokoju, o szarej godzinie, opowiadała tak zwane bajeczki, usłyszałam go mówiącego:—„Ej to nie ładna bajeczka, ja takich nie lubię”.—„A jakież lubisz?”—zapytała go ciotka.— „Lubię tylko bajeczki o niegrzecznych dzieciach, co dostają różgą, nie jedzą obiadu, kłęczą na grochu, albo są w ciemnym pokoju zamknięte”.—

Dziecina ta, zaledwo sześć lat mająca, już nie zawałala się prostemi powiastkami, w których rzecz się kończy przechadzką, przejażdżką, lub dobrym uczynkiem; potrzebowała silniejszego wrażenia! Jakże książka podawana takiemu dziecku powinna być prosta, czysta, zdrowa w znaczeniu moralném, jak powinna rozbudzać dobre jego instynkta, a usypiać drapieżność, będącą w niektórych dzieciach wadą wrodzoną. Że tak jest, dość się przypatrzeć wiejskim pacholećtom, męczącym zwierzęta, rzucającym nieszczęśliwe koty do wody, bijącym psy i konie, wybierającym gniazda ptasze, rzucającym kamieniami na niewinne żaby. I nie jest to u nich bezświadoma zabawa. Starsi chłopcy mianowicie, zaprawiają się do okrucieństwa i sprawia im ono przyjemność, z której zdają sobie sprawę wybornie. Jakóż zapytany raz przeze mnie pastuszek, topiący kota, dla czego to robił? odpowiedział mi wyraźnie:—„Strasznie lubię patrzeć, jak się biedny męczy.”

Jestem też najmocniej przekonana, że bajki, że świat czarów, czarownie, wróżek, nie jest właściwy dla dzieci młodszych, to jest do lat 7-iu lub 8-iu. Bo dziecię małe, albo przypuszcza, że usłyszana lub przeczytana bajka mieści w sobie prawdę i wtedy, z obudzoną wiarą w nadzwyczajność, umysł jego staje się skłonny do zabobonów i przesądów, albo też przywyka do robienia z własném *ja* tego rodzaju ugody, że dla rozkoszy, jakiej przy słuchaniu bajek doznaje, wmawia w siebie dobrowolnie, że to wszystko jest prawdą. Takie „*okłamywanie siebie*” niszczy w dziecku poczucie prawdy. Prawda w powiastkach powinna być opartą na prawdopodobieństwie i tchnąć naturalnością i prostotą. Bajecznemi opowiadaniem, łatwo w dziecięciu zburzyć równowagę umysłową i przechylić ją ku niewinnym z pozoru fałszom, które następnie skrzywić mogą jego charakter.— Wtedy też dopiero można dzieciom bajki opowiadać, lub je dawać do czytania, gdy już są w stanie ocenić zarówno allegoryczne, jak i fantastyczne zmyślenie.

Tym, którzy by mi powiedzieli, że wyobrażenia zyskuje na karmieniu się fantazyją bajek i że się tym sposobem rozwija,

odpowiem: że naprzód kosztem pojęć i charakteru wyobraźni rozwijać się nie godzi; a powtóre, iż życie zwyczajne, bez téj szczypty idealności, jaką zawiera powiastka, jest samo w sobie pełne poezyi i uczucia. Dobry czyn, poświęcenie dla innych choćby najmniejszej zachcianki, słówko serdeczném uczuciem natchnione—wszystko to—tém piękniejsze, im prostsze. Wyznaję, że czytając najzwyczajniejsze powiastki dzieciom, często miałam łzy w oczach i pewnego razu tonący pies, tak żywo mnie zajął, że wspólnie z dziećmi uczuła radość, gdy go nareszcie dobry chłopczyk wyratował, a wyratowawszy do domu przyniósł i uprosił matkę, by mu pozwoliła go żywić i wychowywać. Matka była uboga, musiała uszczuplić wygód rodzinie, żeby zadowolić dziecię i biédnego topielca wyżywić; ale miała litość nad zwierzęciem opuszczoném i wychowała wiernego przyjaciela dla syna. Jakżeż to proste opowiadanie, jaki przedmiot niewymyślny, a jednak trzeba widzieć, jak się nim dzieci interesują, jak Staś słuchając, woła z uniesieniem:—„Ach! żeby też ta matka dała się uprosić!”—A Zosia dodaje:—„Ej! przecież znajdzie trochę kartofli, żeby pieska wyżywić.”

Trzeba znać dzieci, żeby wiedzieć, o ile więcej zajmują je takie proste opowiadania, niż suknie złociste księżniczek, zrobione dla nich przez wróżki, niż piękni królewicze i wozy zaprzężone gołębiami. Jeżeli zyskuje tu wyobraźnia — czemu ośmielałam się przeczyć, bo wyobraźnia dzieci małych obraca się w dzieciennéj sferze i królewicze, królowny i wróżki są zupełnie nienaturalnym dla niéj przedmiotem —to zapytuję: co tu zyskuje uczucie? Czém się kształci poetyczna strona ducha, która uczucie koniecznie mieć za podstawę powinna? Starsze dzieci są już w stanie zrozumieć, że bajka jest bajką, ale młodsze, choć niby wątpią, niedowierzają, nie mogą się jednak oprzeć zabobonnéj ufności. Ta mieszanina pojęć i obrazów, mających przedstawić wzór życia, a dających same fantastyczne i nadprzyrodzone zjawiska; te dzieci—niby takie same jak i mali słuchacze, a jednak w jednym obrazie przedstawione z czarownicami i wrózkami; mając tylko pojęcia główek młodych, nie przynosząc im żadnej rzeczywistej korzyści. Dzieci nie są w stanie zdać sobie dokładnej sprawy z tego pomieszania prawdopodobnych i nadprzyrodzo-

nych obrazów. Matka mówi, że to bajka, że to wszystko nieprawda; pomimo to umysł dziecka nie wie, co sądzić o tém, co ma uważać za prawdę, co policzyć na karb zmyślenia. W niepewności ciągle powtarza: — „Ale to nie prawda, mamó? Jakżeby wóz miały ciągnąć gołębie? Prawda, mamó, że olbrzymów niema na świecie? Prawda mamó, że Pan Bóg by nie pozwolił, żeby złe wróżki czarowały dzieci, żeby królewiczów w niedźwiedzią skórę oblekały? Ej! jaki to niemądry ten pan, co tę bajkę napisał! On myślał, że mu dzieci uwierzą!” — Pomimo takich wykrzykników dziecię wątpi, czuje się owiane przesadną trwogą i, jeszcze kładąc się spać, ściska matkę za szyję i zapytuje, jakby potrzebowało utwierdzenia, jakby chciało rozwiać mimowolnie nasuwające mu się obrazy: — „Wszak wrózek nie ma, prawda mamó?” — powtarza. Mimowolnej jednak trwogi pozbyć się nie może, boi się wchodzić do ciemnego pokoju, miéwa sny przerażające. Pewna dziewczynka jadła kapustę surową białą; czerwonej zaś nie dotykała nigdy. Zapytana przez matkę o przyczynę tego, odpowiedziała: — „Nie jem téj kapusty, bo mi się zdaje, że w niej jest krew czarownic.” — O téj krwi czarownic (Hexenblut) doczytała się była w jakiejs bajce niemieckiej.

Nieraz spotykałam się z zapewnieniem, że dzieci bardzo lubią bajki czarodziejskie. Znam przecież wiele takich, które, nietylko że w nich nie mają upodobania, ale, prosząc o kupienie książeczki, lub przeczytanie powiastki, zawsze dodają: — „Tylko nie bajkę, bo ja bajek nie lubię.” —

Wielu także pedagogów uważa opowiadania bajeczne za właściwy pokarm dla dzieci od najmłodszego wieku, opierając się na zasadzie, że i ludzkość w dzieciństwie bajki tworzyła i karmiła się niemi. Tworzyła je niezawodnie, lecz nie w pierwszym dzieciństwie swoim. „Dla pierwotnego człowieka — mówi Veron — myśl o przyczynowości, zamyka się w samymże skutku. Jego intelligencja, początkowo dotyka tylko przedmiotów konkretnych. Pojęcia o genijuszach i mocach tajemniczych powstają daleko później. Bóstwami są początkowo istoty, których działalność może być najdotykalniej stwierdzoną, a więc są niemi: światło, słońce, gwiazdy, ogień, wiatry, chmury, kwia-

tyⁿ *). Autor wspomniany dowodzi dalej, że fałszywie rzecz pojmujemy, przypuszczając, że bajki dla ludzkości pierwotnej były bajkami. Były one dla niej prawdą, bo w nie wierzyła. „Cała owa cudowność, jaką według naszych wyobrażeń karmiły się ludy pierwotne, jest tylko złudzeniem, w które wprowadza nas nieznajomość warunków psychologicznych, intelektualnego rozwoju ludzkości.” Człowiek pierwotny w swoich pełnych fantastyczności podaniach, zdaje sprawę z wrażeń własnych za pomocą rysów, jakie w przedmiocie opisywanym spostrzegał. Widok dzieł natury był dla niego tęp, czem się zmysłom przedstawiał. Dla Greka, mieszkańca półwyspu, słońce rano wychodziło z morza i w morzu się w wieczór chowało. To było prawdą dla niego, prawdą na świadectwie zmysłów opartą. Ludzkość zresztą pierwotna miała język tak ubogi, że mu początkowo na przymiotnikach zbywało. Człowiek odważny poprostu nazywał się w języku owych ludów *wilkiem*, podstępny *lisem* i t. p. Te przerośnięcie zaś, mówi Max Müller, mogły z czasem stawać się nazwiskami, które, przechowując się w rodzinie, były najzupełniej zrozumiałe dla dziadka, pojmowanymi jeszcze dobrze przez ojca, ale które w dalszym ciągu wydawały się już dziwnymi dla syna, a przez wnuków zostały najfałszywiej pojęte. Mitologije pełne są historyj zwierząt, ptaków, ryb, które ważną odgrywały rolę w sprawach ludzkich, ostrzegając, broniąc, lub na zgubę prowadząc człowieka. Tradycyje o zwierzętach, chwytających kobiety, wychowujących dzieci, znajdują zastosowanie w wyrażonej powyżej teoryi Maxa Müllera.“**).

Nigdzie przecież nie znajdujemy wzmianki, upoważniającej nas do przypuszczenia, że człowiek pierwotny nie wierzył w baśnie w ten sposób powstające. Dopiero oświata wiarę tę obala. Lud nasz dotąd ma zabobonów tysiące, mnóstwo baśni, w które wierzy tak silnie, iż żadne zapewnienia człowieka oświeconego wiary tej w nim zachwiać nie mogą.

*) Eugène Veron, Du progrès intellectuel dans l'humanité.

**) Herbert Spencer, Essais sur le progrès.

Czy dzisiejsze bajki dziecinne mają za podstawę prawdę, jak to miało miejsce z bajkami ludzkości pierwotnej? Czy, podając je dziecku, chcielibyśmy w nie wmówić, że są one niezaprzeczoną prawdą? Czy możemy, gdy zapyta, czy wróżki istnieją, odpowiedzieć twierdząco?... A przecież ludzkość w kolébce bajki swoje brała za prawdę, „najnaturalniej wyrażała to, co było jej przekonaniem, co dyktowała jej wiara. Homer, gdy mówi, że Jowisz sen zwodniczy sprowadza na Agamemnona, że Minerva zachęca Achilleśa do umiarkowania, wyraża tylko to, w co Grecyja cała wierzyła. Jowisz i Minerva nie są fikcją dla niego, lubo nią dla nas się stały. *)

Czy więc przyjmiemy za zasadę, że ludzkość w pierwszjej epoce dzieciństwa bajek tworzyć nie mogła, gdyż nie miała, ani dostatecznie rozwiniętego języka, ani była zdolną dochodzić do pojęć wyższego rzędu nad pojęcia zmysłowe (konkretne); czy przypuścimy, że tworząc baśnie, wierzyła w nie, jako w prawdy nieulegające zaprzeczeniu; zawsze pozostanie wątpliwem twierdzenie tych, którzy na zasadzie badań nad ludzkością w kolébce, zalecają bajki, jako pokarm odpowiedni dla dziecięcego umysłu. Inna rzecz, co do wpływu bajek na umysł dzieci starszych, w których już obudził się rozsądek. W nich bowiem pierwiastek fantastyczny nie może zakłócić równowagi pomiędzy uczuciami i wyobraźnią, a pojęciami rozumowemi; owszem, rozszerzając ich umysłowy horyzont, nie pozwala im w prozie życia codziennego ugrzęznąć i staje się początkiem kształcenia estetycznego.

Początkowe nauczanie mimowoli nasuwa, tyle razy już u nas poruszaną kwestyją trzymania bony.

Moralisci nie szczędzili gromów wymowy, potępiając zwyczaj przyjmowania bon cudzoziemek; tymczasem te dotąd uie przestają

*) E. Véron.

do nas napływać i niejedna matka uważałaby za największe dla siebie nieszczęście, gdyby swym dzieciom nie mogła dać bony — niemki lub francuzki. Bezzaprzeczenia bony cudzoziemki bardzo wiele złego u nas zrobiły, choćby z tego względu, że przybывая szukać chleba, nie rekomendowane przez nikogo; my zaś biorąc z nich pierwszą lepszą, bez żadnego wyboru, wprowadzamy często do domu zgorszenie i zły przykład dla dzieci. Nie w tém jednakże tkwi główna złego przyczyna, ile raczej w bezwzględniem powierzaniu im dzieci i w przelewaniu na nie praw macierzyńskich. Często pokój dziecinny znajduje się na drugim końcu domu i w nim mieści się bona z wychowawcami. Jest to złe podwójne: najprzód ze względu na poddanie dzieci pod wpływ obcej, nieznanej nam osoby; powtóre, jako usunięcie ich z pod wpływu matki. Gdyby dzieci wraz z boną pozostawały ciągle pod jej okiem, złe wpływy dałyby się usunąć. Matka mogłaby się wkrótce przekonać, jakie jest postępowanie bony z dziećmi i nawzajem, jak ją dzieci traktują. Wyrugowanie bon cudzoziemek, a wprowadzenie bon polek w niczém rzeczy nie zmienia. Klasa bowiem, która mogłaby ich dostarczać, klasa — wydająca dziś panny służące i szafarki, nie zawsze także odznacza się moralnością.

Jedyną więc korzyścią wynikającą z téj zmiany, byłoby oszczędzenie dzieciom przedwczesnego trudu uczenia się obcych języków i właśnie na ten wzgląd pragnę zwrócić uwagę matek.

Ogół pedagogów naznacza rozpoczęcie nauk dziecka, w siódmym lub ósmym roku; niektórzy radzą dziewczynki uczyć wcześniej, niż chłopców. Jakóż w ogóle u nas formalnej nauki nie rozpoczynają z dziećmi przed tym czasem. Ale niektóre matki, są przekonane, że nauka mówienia obcym językiem wcale nauką nie jest i to skłania je do obarczania nią umysłu dziecka, zaledwie zaczynającego mówić. To przekonanie jest tak upowszechnione i utarte, że walka z niem staje się prawie niepodobną do dziś dnia i wbrew zdaniu najpierwszych powag naukowych, wykazujących zgubny wpływ wczesnego uczenia, spotykamy pięcioletnich lingwistów, mówiących trzema naraz językami. Matki, spiesząc tak naukę, nie wiedzą o tém, że bezpożytecznie wy-

czerpują cały zapas siły nerwowej dziecka, która mu jest do wzrostu i prawidłowego rozwoju nieodzownie potrzebną, a nadto, że kształcą tylko pamięć z upośledzeniem innych władz rozumowych, które w tymże samym czasie muszą pozostawać odłogiem.

To też smutnym i oburzającym jest widok rodzin, w których nauka obcych języków, najczęściej powierzchowna, uważana jest za główny i jedyny cel wykształcenia. Co za fałszywa i nie-logiczna zasada! „Wychowanie ma uczłowieczyć młodzieńca—powiada J. Kremer—podnieść go do zacności ludzkiej i zbliżyć do poznania Boga, by rósł niebu i ziemi na cześć”. A czyż mówienie, choćby najpoprawniejsze obcemi językami, może doprowadzić do tego?

Umiejętność mowy obcej ma w życiu tylko pomocniczą, względną wartość. W wychowaniu też należy jej drugorzędne miejsce wyznaczyć i nie pozwolić na jej rozwielenienie się kosztem sił dziecka i nauk, mających pierwszorzędne znaczenie. Zresztą obca mowa nie powinna mowy ojczystej spychać ze stanowiska naczelnego, jakie się jej słusznie należy. Wyrugowana z rozmów dzieci pomiędzy sobą i z rodzicami, z pewnością i w sercu ich zajmie podrzędne miejsce, i stanie się nazawsze niepoprawną, zaniedbaną, skoro jej tylko od służących uczyć się będą. Przede wszystkiem więc dzieci ojczystej mowy uczyć należy, jeżeli chcemy, by umiały myśleć i wyrażać swoje myśli poprawnie.

Że jednak zwyczaj uczenia obcych języków stał się u nas prawie powszechnym; przeto, nie mogąc tej zarazie zapobiedz, pragnęłabym przynajmniej do minimum znie jej następstwa wprowadzić, przez wskazanie środków, oszczędzających dzieciom nadmiernego wysiłku.

Przyjawszy więc rok siódmy dla więcej, a ósmy dla mniej rozwiniętych dzieci, za porę najwłaściwszą do rozpoczęcia nauki w ogóle; radzę dopiero w tym samym czasie rozpocząć i naukę obcych języków, wszakże nie teoretycznie, ale przyjmując do nich bonę cudzoziemkę, gdyż tylko tym sposobem, bez szkody dla zdrowia i zbytecznego wysiłku, obcą mowę przyswoją sobie z łatwością.

Przypuściwszy bowiem, że umysł dziecka, czy przy cudzoziemce, czy przy polce, *uczucój z reguł*, jednakowój poddany jest pracy; to jeszcze ustósunkowanie postępu do zużytego nań czasu, stanowczo za pierwszym sposobem przemawia, zwiększając jeszcze jego wyższość wszystkimi zdobyczami mechanicznymi i słuchowymi, jakie są każdego języka własnością. Składanie zdań poprawne, czy fałszywe, wymowa zła lub dobra: jednakowój wymagają pracy, a choćby dla tego, że, co się umieć, powinno się umieć dobrze; lepiej jest, gdy dziecię odrazu język we wszystkich jego własnościach sobie przyswaja. Natura zresztą ten, a nie inny, sposób uczenia się języka przeznaczyła dla człowieka, i złożyła w umyśle dziecka jakieś intuicyjne władze, dopomagające mu do przyswojenia sobie mowy każdej, gdy ją słyszy z ust innego człowieka.

Nie małej wagi w tym razie jest łatwość, z jaką dziecię przyswaja sobie praktykę języka, która następnie z rozpoczęciem samój jego teorii uczyni i reguły zrozumiałemi, które stósowane dotąd bezwiednie. Słowem jak w innych naukach, tak i tu metoda indukcyjna broni dziecię od zniechęcenia i niesmaku, i prowadzi umysł drogą naturalnego rozwoju.

Ale niech bona będzie tylko nauczycielką obcój mowy, a nie kierowniczką dziecka; niech się z niém bawi pod okiem matki, niech z niém idzie na przechadzkę, gdy matkę obowiązki domowe zatrzymują, ale naukę, czytanie z dzieckiem i dla dziecka, niech matka weźmie na siebie, lub ją powierzy rozumnemu nauczycielowi lub nauczycielce. W takim razie wychowaniec nauczy się mówić i rozumieć obcą mowę, moralna zaś strona na tém nic nie ucierpi.

Dotąd, zajmując się kwestyją bon cudzoziemek, mówiłam o matkach zamożniejszych, zatém nie potrzebujących ograniczać się w wydatkach, jakich staranne wychowanie dzieci wymaga. Obecnie niech mi wolno będzie zwrócić uwagę uboższych matek, na to, jak nieogłędnie wyrzucają krwawo zapracowane przez męża lub przez siebie pieniądze, jeżeli przed innemi naukami,

dają pierwszeństwo nauce obcych języków. Co za nierozsądek zużywać godziny dzieci na naukę np. francuskiego języka, którego cała znajomość wkońcu ograniczyć się musi do czytania, bez dokładnego zrozumienia rzeczy i wyuczenia się pewnej liczby, z najgorszą pronuncyacją—frasesów! Taki bowiem, a nie inny, może być rezultat owej edukacji, prowadzonej zazwyczaj przez nauczycielki początkowe, płatne tanio, a uczące bez wszelkiej metody i gruntownej znajomości przedmiotu. Ale większa część matek, nie znających owego języka i nie wiedzących, jak takie początki na nie nigdy przydać się nie mogą, zabijają czas i umysł swych dzieci dla nierozsądnej mody i z braku odwagi wyznania przed światem, że ich dziecię francuskiego języka nigdy się nie uczyło.

Dogadzając tej próżności, źle zrozumianej, a nawet nie opłacającej się, bo dziecię się francuzczyzny nie nauczy, ani nią *zaimponować* potrafi — matki opuszczają sposobność dania dziecku lekcyj, choćby trochę droższych, ale rozwijających umysł i wzbogacających go pożytecznymi wiadomościami. Ah! żeby one zrozumieć to mogły! Jakżeby się u nas średnie wychowanie kobiet i mężczyzn podniosło! Ale manija uczenia obcych języków tak nas opanowała, że we wszystkich stanach, prawie bez wyjątku grasuje. —

Słyszałam raz, jak włościanin, którego syn czytać we dworze się uczył, przyszedł prosić pani, żeby chłopca po łacinie uczyć kazała. Pani zaczęła go od tego odwodzić, mówiąc, że chłopiec bardzo źle jeszcze czyta, a pisze szkaradnie, a co do ortografii, że o niej niema najmniejszego pojęcia. Ale włościanin nie przestawał nalegać, mówiąc: „Żeby tak choć troszeczkę po łacinie go uczyć. Po polsku, to już ci każdy umieć, ale takby jakoś człowiekowi było ładnie, żeby Wojtuś po łacinie *zarywał*”. Jakaż ogromna liczba naszych współrodaków *zarywa* tak po francusku! A co się na to zużywa drogiego czasu, co środków materyjalnych, co sił umysłowych, które, w inną stronę zwrócone, dałyby plon korzystny, to trudno nawet w przybliżeniu obliczyć.

Zatem, pragnąc dobrze wychować dziecię, obliczmy piérwój przed rozpoczęciem nauki, czy możemy język obcy do wychowania wprowadzić tak, aby nauki—które prawdziwie kształcą człowie-

ka—nie na tem nie ucierpiały; aby język obcy, jako dodatkowy, pomocniczy, stanowił rzeczywiście środek ułatwiający dziecku w przyszłości zdobycie wiedzy i poznanie utworów literatury, którego z wielkich zachodnich narodów. Zastanówmy się, czy i z innych względów do przyjęcia téj wiedzy, do zrozumienia arcydzieł przygotować je możemy; a gdy się przekonamy, że środki nasze materyjalne na to nie pozwalają, dajmy dziecku gruntowną naukę we własnym języku, a jeżeli w późniejszym wieku samo poczuje tego potrzebę, wtedy można być pewnym, że, łamiąc wszystkie trudności, potrafi sobie zrozumienie obcej mowy przyswoić i zdobyć w niej klucz do otwarcia wiedzy skarbnicy.

Do jak ogromnej liczby matek odnoszą się powyższe słowa, przekonać się można z liczby kobiet i mężczyzn, wychowanych w naszym kraju, którzy popisują się w towarzystwie lichą francuzczyzną, kalęcząc ją najokropniej za każdym prawie wyrazem. W ich wychowaniu była ona celem (nieosiągniętym nawet, niestety; dla niego—wszystko inne zaniedbane zostało.

Klasa uboższych naśladuje przykład z góry idący. Kiedyś zapytałam pannę służącą, co się dzieje z jej młodszą siostrą. Odrzekła mi z *godnością*: że *kończy edukacją*, że ją rodzice umieścili u jednej panny, w której zakładzie już trzy lata przebyła i wielu rzeczy się nauczyła. Zapytałam:—„Czego ją mianowicie uczono?”—„Francuskiego, muzyki”—była odpowiedź. Gdy owa siostra przyjechała do panny służącej, wzięłam ją na egzamin. Okazało się, że straciła trzy lata na nauczaniu się czytania najszkaradniejszego po francusku i że z owego czytania nic prawie nie rozumiała. W równym stopniu znajomość muzyki zdobyła. Mimo tego w kilka miesięcy później, ogłaszała się w piśmie prowincjonalnem, jako nauczycielka, mogąca udzielać początków języka francuskiego i muzyki, a co gorzej—że i miejsce znalazła.

Zatém owa manija francuzczyzny, uważanej za główny cel wychowania, przechodzi u nas z pokolenia na pokolenie, przenika do sfer najniższych a najwięcej już opanowała te dobre i kochające matki, które jak to mówią, niebabym dzieciom przychylić pragnęły, ale które nad tém, co to jest niebo, nie zastanawiają się wcale. Dość im, gdy dziecię łamaną francuzczyzną

przemówi. Są to ofiary owczego naśladownictwa, wywołanego nie wskutek tego, że większy i wielki świat po francusku umie, ale, że po francusku mówi w swoich salonach, że patentem otwierającym do niego przystęp, po bogactwie, jest język francuski.

Z górnych tych sfer moda po szczeblach schodzi aż na dół i w tém leży wysokich sfer wina. Gdyby wielkie panie i możni panowie tylko z konieczności, gdy w chodzą w stósunki z ludźmi innéj narodowości, używali francuskiego języka, a pomiędzy sobą mówili po polsku; gdyby wychowaniu swych dzieci nie dawali pierwszeństwa francuzczyźnie, z pominięciem przedmiotów istotnie kształcących umysł: wtedy przykład ich nie wpływałby na obniżenie ogólnej oświaty w kraju, jak to obecnie ma miejsce; nie obliczając, ileby dobrego zrobiło wprowadzenie mówienia dobrze i czysto po polsku, w którym to razie rzeczywista umysłowa wartość nie potrzebowałyby się pokrywać fałszywym blichtrzem i niby znamieniem starannego wychowania, za jaki uchodzi francuzczyzna, okraszona czystym akcentem.

Rozmawiałam pewnego razu o rozmaitych kwestyjach społecznych z jedną z najrozumniejszych kobiet mi znanych. Na chwilę zapanowało między nami milczenie. Przerwała je moja znajoma naglém odezwaniem się: — „Ah! jakżebym chciała być wielką panią—największą z pań polskich.”—Spojrzałam na nią zdziwiona. Takie życzenie wydawało mi się całkiem niezgodne z podniosłością jéj ducha i pragnień. — „Dziwisz się,—zawołała wtedy—a jednak nie cofam objawionego życzenia. Chciałabym być wielką panią, by zaprowadzić w moim salonie zwyczaj mówienia tylko po polsku. Wszystkich wpływów, wszystkich podstępówbym użyła, by wyrugować francuzczyznę z towarzystw. Musiałabym dopiąć celu choć w części, wsparta urokiem wielkiego imienia i wielkiego majątku. Poświęciłabym życie temu celowi, zachęcałabym własnym przykładem, ośmieszałabym modę teatrów amatorskich francuskich, podnosiłabym wszystko co ojczyście i tym sposobem zasłużyłabym się krajowi”.—Że wielkie myśli często wielu umysłom naraz przychodzą; przypuszczam więc, że i do duszy której z wielkich pań naszych zakolała, lub zakolące myśl podobna, a dobroczynny jéj wpływ zejdzie powoli

i do biednych dzieci klas uboższych, branych na tortury źle u-
czonój francuzczyzny, która wedle przekonania zaślepionych ma-
tek ma im otworzyć kiedyś wstęp do salonów i zbliżyć do ludzi,
mówiących i piszących po francusku. Żadne małpowanie nie ma
u nas większego upowszechnienia, jak wyżej wspomniane, choć
jest najniedorzeczniejsze ze wszystkich.

ROZDZIAŁ VII.

Obowiązki matki postronne. Światło wiedzy. Poczucie obywatelskie. Praca na byt rodziny. Zarząd domowy. Obowiązki towarzyskie. Gościnność. Równoważenie w wychowaniu wpływów światowych przez oświecony wpływ rodzicielski. Co przez postęp rozumieć należy?

Gdyby obowiązki matki postronne nie miały wpływu na dzieci i ich charakter; gdyby, co do tych obowiązków, zdania nie różniły się tak stanowczo, że ideał matki prawie w każdego pojęciu jest inny; książka ta byłaby o cały jeden rozdział uboższą. Dla wyżej wspomnianych przyczyn jednakże, nie mogę pominąć milczeniem, tak niesłychanie ważnego wpływu, jakim jest przykład macierzyńskiego życia na młode pokolenie. Dziecię bowiem z przykładu matki moralny pożytek lub zgubę odnosi.

Przede wszystkim niech matka pracę wychowawczą podejmuje, nie tylko dla swego dziecka, ale dla kraju i przyszłości—niech sama czuje się obywatelką. Obowiązki macierzyńskie nie uwalniają jęj od tego, by nie miała znać potrzeb społeczeństwa, do którego ona i jęj dzieci należą. Owszem, im te potrzeby pozna dokładniej, tęp szerszy pogląd sama na własne obowiązki zdobędzie. Nie powinna tęp uchylać się od przyjmowania udziału w jakiejkolwiek pracy społecznej, zwłaszcza, gdy przy dostatkach, może rozporządzać swym czasem. Stowarzyszenia dobroczynne, opiekowanie się ubogimi rodzinami, dziewczętami potrzebującymi pracy, szerzenie oświaty w kółkach sobie dostępnych, wreszcie czynne popieranie instytucyj i wszelkich przedsięwzięć, mających dobro ogółu na celu — otwierają dla jęj działalności aż nadto szerokie pole po miastach. — Na wsi, do rzędu prac obywatelskich zaliczam wzorowe prowadzenie domo-

wego gospodarstwa, które obok materyjalnych korzyści, daje przykład i zachętę innym do pomnażania krajowego bogactwa. Zresztą ogrodnictwo, pszczolnictwo, prowadzone umiejętnie, może także dział jej pracy stanowić. W zakresie znowu moralnym do niej należy opiekowanie się szkołkami wiejskimi, gdzie ku temu miejscowe nie zachodzą przeszkody, starania o chorych, wywieranie jak najrozleglejszego wpływu na nieoświeconych prostaczków. Jak zaś w mieście, tak na wsi, może dopomagać do rozwoju literatury krajowej, przez popieranie wszelkich pożytecznych wydawnictw i t. d. Kobięta rozumna, nie zaniedbująca swych dzieci, znajdzie czas, jeżeli nie na wszystkie, to na jedno z tych pożytecznych zajęć. Tym sposobem da dzieciom przykład społecznej pracy—inaczéj wyrosną bez poczucia solidarności z krajem, do którego należą, nie znając uboższych, nieoświeconych współbraci, nie rozumiejąc ich potrzeb. Kobięta zresztą światła, potrafi to poczucie obowiązków obywatelskich urzeczywistnić w życiu stósownie do położenia i stanowiska, jakie w społeczeństwie zajmuje, a témsamém wdrożyć dzieci do pracy społecznej, gdy wiek ich na to pozwoli.

Obowiązki matki nie uwalniają téż kobiety od wzięcia udziału w pracy na byt rodziny, jeżeli położenie tego wymaga, lub mąż w pracy potrzebuje jej pomocy, jak to często się zdarza przy gospodarstwie rolném i wielu innych powołaniach. Mąż nie będzie ukrywał przed kobietą, rozumną, stanu swych interesów, ani dochodów i wydatków; owszem, weźmie ją za doradczynię i współniczke w traktowaniu tak ważnego przedmiotu, jakim jest byt materyjalny rodziny. Matka nie powinna się usuwać od przyłożenia w tym razie całej usilności swego rozumu, wiedzy, doświadczenia, dobrych chęci i pracy, żeby z bark męża ująć część ciężaru.

Mill nazywa: „kulą u nogi męża” taką żonę, która nie może pojąć, ani jego dążności, ani celu podjętej pracy przez niego. Spełnianie ubowiązków macierzyńskich, nie może usprawiedliwiać kobiety, jeżeli jest taką kulą u nogi swego małżonka; prze-

ciwnie dla samego przykładu, jaki winna swym dzieciom, obowiązkiem jej nieść pomoc w pracy mężowskiej. Widok takiej doskonałej spółki rodzicielskiej, wpłynie lepiej na dzieci, niż najbardziej natchnione słowa, największa troskliwość macierzyńska.

Kobięta nie umiejąca pracy z mężem podzielić, oceniać jego przekonań, zasad i dążeń; nie czująca potrzeby podążać z nim ku wyższemu udoskonaleniu, ku światłu i cnocie: najczęściej złą jest matką. W roku 1865 wytoczona była przed kratki sądowe *Trybunału Sekwany* sprawa jednego z takich małżeństw niedo-branych, która nabyła wielkiego rozgłosu.

Żona jednego z generałów francuskich wybierała się na bal. W chwili, gdy już była ubrana, wszedł mąż i, zdziwiony zamiarem żony, przypomniał jej, że ich córeczka była chora i doktor zawyrokował, że stan jej zatrważający. — „Pojadę — odpowiedziała żona — ale na balu będę tylko dwie godziny. Obiecałam być i uchybiłabym konwenansom, gdybym obietnicy nie dotrzymała”. — „Ale twoja córka jest umierająca!” — zrobił uwagę ojciec. — „Zabawię tylko godzinę”. — „Jeżeli w takiej chwili opuścisz dom — odrzekł mąż — nie wrócisz do niego więcej.” — Żona pojechała, lecz i generał dotrzymał słów, nie przyjął jej więcej do domu. Skarga, jaką ta zła matka zaniósła przed sąd, została odrzuconą. Trybunał uznał słusznym postępek męża.

Lekkość, beczynność, brak światła, wyradza takie matki potworne.

Nawet kobięta bogata nie powinna uchylać się od zarządzania domem, służącymi, od wglądania w każdy kącik „swojego królestwa”, gdyż tylko tym sposobem utrzymuje się owa karność i ład domowy, bez którego wszystko się rozpada i w rozstrój przechodzi. Ład ten jest dla dzieci praktyczną lekcją ekonomii, bez której zarówno majątkowe, jak i życiowe sprawy muszą paść w deficyt. Jest taki stósunek nierozzerwalny między porządkiem i karnością wewnętrzną, a ładem umysłowym i moralnym, że gdyby mi kto powiedział, iż pewien młodzieniec nie odebrał sobie życia dla tego jedynie, że jego matka była rządna, spra-

wiedliwą i umiejącą utrzymać karność — panią domu; nie zaprzeczyłabym temu bynajmniej, choć z pozoru rzecz się paradoksalną wydaje. Ład bowiem, jaki panuje w domu rodziców, mimo woli i w gospodarstwie umysłowem dzieci odbić się musi.

Obowiązków towarzyskich, nie powinna też zaniedbywać matka, gdyż rzeczywiście są one obowiązkami. Nie można warunkowo zerwać z ludźmi, bez przyniesienia sobie i otaczającym niezaprzeczonej szkody moralnej. Człowiek nie jest stworzony do samotności, ani do zasklepienia się wyłącznie w kółku rodzinnem, — zamknięty sam z sobą i w samym sobie, przyzwyczajają się do tego, że w rozumowaniach swoich zawsze ma rację. Ścieranie się opinii przynosi światło. Sprawiedliwie też ktoś powiedział: że strzedz się trzeba człowieka, który widuje ludzi tylko jednego stronnictwa, bo człowiek ten niezawodnie będzie głupi lub uparty.

Kobięcie, szczególniej matce, potrzebna jest ta nauka życia, która się tylko w stosunkach z ludźmi zdobywa, również jak śledzenie dążeń, zboceń, wad i przymiotów swojego czasu, co wszystko w wychowaniu ważne zastosowanie mieć może. Nie trzeba też, by matka popadła w jedną z wad, którą nazwę samolubstwem rodzinnem. Ta admiracja samęj siebie, rozszerzona tylko do kółka rodzinnego, zapominająca o reszcie świata, szczególniej jest szkodliwą przez wpływ, jaki na chłopców wywiera; zacieśnia bowiem ich poglądy, odejmuje ich pragnieniom owe piękne i bezinteresowne dążenia, których miłość ludzkości jest źródłem, a koncentruje wszystkie ich uczucia w światku rodzinnym, od którego schodzą do jeszcze cieśniejszego obrębu, jakim jest własna osoba. Dziewczęta mniej przy takim porządku rzeczy mają do stracenia. Ich powołanie skromniejsze co do usług, jakie oddać mogą krajowi i towarzystwu, za to bardziej pożyteczne dla rodziny; ich uczucia tliwsze i wylewające się w tysiącnych, drobnych, rodzinnych poświęceniach, nietyle biernym czynią ów egoizm familijny; wszakże i one od dzieciństwa powinny oddy-

chać życiem pełnem, z jakim zapoznać się bez stósunków z ludźmi nie mogą.

Mówiąc o niezaniedbywaniu przez matkę stósunków towarzyskich, nie miałam bynajmniej na myśli świata próżności, formy, mody, wyścigów w zbytkach, bogactwie i kokieterji, w czem ludzie szukają wrażeń dla zabicia nudy—owej „*bladéj córy próżniactwa*”; mówiłam jedynie o kółku przyjaciół dla serca, o kółku ludzi myślących dla umysłu. Stósunki, w których oddycha się swobodnie i zawsze coś zyskuje dla uczuć i myśli, należy cenić i przekazywać synom i córkom w spuściznie. W tym kółku i dzieci znaleźć mogą towarzystwo właściwe wiekowi swojemu; — matka nieraz z niemi odwiedzać może przyjazną sobie rodzinę, a rozmowa o dzieciach ze znajomemi matkami, obustronną korzyść przynosi. Doświadczenie jednej matki, posłużyć może drugiej, a dobra rada, choćby rzadko napotkana, jest rzeczą nieocenioną.

W życiu towarzyskiem tak pojętém, dzieci mieć będą przykład gościnności, grzeczności i uprzejmości domowej. Cnota ta staropolska, często do przesady u nas doprowadzana, miała jednak źródło swoje w sercu, w uczuciu braterstwa i solidarności narodowej. Żyje ona jeszcze i w niektórych rodzinach zamieszkałych po miastach. Od kobiety, pani domu zależy, by goście czuli się, jak u siebie, by żaden przymus nie nasunął im myśli, że są ciężarem a nie przyjemnością. Dzieci niech widzą matkę spieszącą tam, gdzie siedzi gość osamotniony i nie poszukiwany przez innych; gdzie panienka nieładna i nieśmiała, rozmyśla nad nierównością darów natury, gdzie nudny i trochę głuchy staruszek oczekuje miłosiernéj osoby, któraby go cierpliwie słuchać chciała. Podobny przykład rozbudza w dzieciach poczucie potrzeby małych poświęceń towarzyskich, które wnoszą równowagę w niedobre zgromadzenie, a dają delikatną pomoc tym, co towarzystwu niewiele ofiarować mogą, choćby ofiarować pragnęli, — i tym, co potrzebują podania sobie ręki życzliwej, by zwyciężyć nieśmiałość, fałszywy wstyd, od których tak trudno wyswobodzić się niektórym charakterom.

Nieraz spotkałam się ze zdaniem, że matka interesująca się sprawami społecznego znaczenia i nie zaniedbująca towarzyskich stósunków, obowiązkom swoim macierzyńskim zadossyć uczynić nie może; — mojem zaś przekonaniem jest, że, aby im odpowiedziała godnie, powinna czuć się czynnym członkiem społeczeństwa, wśród którego żyje; idzie tylko o to, by, mając wychowanie dzieci za zadanie najwyższe, umiała innym obowiązkom właściwe miejsce przeznaczyć, i obrócić je na korzyść i udoskonalenie swych dzieci, które tylko w takim razie prawidłowo mogą rozwinać wszystkie przymioty, jakimi od natury obdarzone zostały.

Póki dzieci są małe, matka może być pewną swego na nie wpływu, choćby w innych nie wzbudzała uznania dla swych umysłowych, obywatelskich i towarzyskich przymiotów. Ale wpływ ten zachwieje się bardzo od chwili, kiedy córki dorastające i dorosłe zaczną wyrabiać sobie własny sąd o życiu i świecie; kiedy synowie, młodzieńcy marzący już o przyszłości, z gorącą pewnością zwycięstwa w walkach życia, obejrzą się na matkę i zobaczą, że w swój wychowawczej pracy, zapomniała już o szerszych życia potrzebach, że ta matka nie może im dać rady skutecznej. Pełen uszanowania syn, nie powie tego, ale pomyśli, że matka nie zna wymagań towarzystwa, nie zna nie z tego, co leży poza obrębem kółka rodzinnego i wpływ jej osłabnie do tego stopnia, że dwudziestoletni syn już zdania jej przy swoich planach na przyszłość w rachubę brać nie będzie. Nie chodzi mi tu o cierpienie matki, widząc, że syn kocha ją jedynie przez wspomnienie lat dziecinnych, ale już jej radom, jej doświadczeniu i rozumowi nie ufa; chodzi mi o potrzeby młodzieńca, któremu oświecona rada, roztumné i znające życie kobiety, tak bardzo przydać się może. Córki bezwiednie tego samego doświadczały. To, że nie widziały matki w stósunku do innych ludzi, da im o świecie fałszywe pojęcie; opowiadania matki, niestwierdzone przykładem, popadną u nich w podejrzenie, nie co do jej prawdomówności, ale co do jej pojęć; wprowadzone przez matkę w towarzystwo ujrzą ją nieobytą z niem, bez znajomości, bez wpływu, bez związanych stósunków, a jeżeli córki te będą o tyle wyższe, że nie doznają wstydu za pocziwą kobięcinę, drze-

miącą na kanapce, o którą nikomu nie chodzi; to przynajmniej będą miały żal do ludzi za to osamotnienie matki; żal do niej, że zerwawszy z towarzystwem, nie poznała jego wymagań. Przykłady takiego stósunku niejednokrotnie w mojem życiu widziałam. Objawy niedowiarstwa w macierzyński rozum i doświadczenie, zaczynają się zwykle między 15tym a 18tym rokiem chłopcía. Czuje ono dorastające własne skrzydła, zdaje mu się, że niemi bez pomocy niczyjój latać potrafi; szersze horyzonty uśmiechają mu się; wszystko, co przychodzi z zewnątrz, silnie na nie działa; wpływ świata stacza walkę z wpływami rodziny, które uosobione w zadomowionój i zakrzętanój w ciasném kółku matce, popadają u dziecięcia w podejrzenie. Przypisuje im ono jakieś osobiste, interesowne pobudki a wzrok i słuch wyteża ku obcym, często wrogim wpływom. Obcy ludzie żyją w świecie, działają w sferze obywatelskiej, pracują umysłowo, czytają—zatem wiedzą. A matka? Cóż ona wie? Umieć dzieci strofować, dbać o ich wygody i moralność, jest enotliwa, prawdomówna, uległa względem ojca — nie więcéj. Tak myśleć będzie podrastające chłopię, bo w tym wieku nie potrafi ono jeszcze ocenić zasługi domowych cnót matki. Dopiero gdy pozna inne kobiety—lekkie i wietrzne córy Ewy; gdy córka rozejrzy się po świecie i sama zaciągnie obowiązki rodzinne i doświadczenia wszystkich trudów macierzyństwa: wtedy dopiero matka doczeka się swych cnót cichych uznania. Nastąpi to około 22go lub 25go roku życia jój dziecięcia. A więc mniej więcéj 7 lat trwać będzie ten cichy stan nieufności, niedowierzania i jakby niewyraźnój nagany, czy żalu do matki, za jój zardzewienie w rodzinie. Często niestety niedowierzanie to objawia się lekceważeniem dla słów i zdania matki, i choć nie występuje zbyt widocznie, badawcze jednak oko dostrzeże je z łatwością. Towarzyszyć mu będą nieraz wszelkie pozory uszanowania, ale niemniej przeto wpłynie na obniżenie stopnia szacunku dla matki, zasługującej skądinąd na największą miłość i cześć. Nawet oświecona, rozumna i obyta z życiem matka, spostrzeże niejednokrotnie, że przez ponętę, jaką ma nowość dla młodój istoty, wpływy postronne większe na duszy dziecka czynić będą wrażenie, niż tego oczekiwało jój macierzyńskie przewidywanie.

Przychodzi czasem na młodzińca taka chwila wrażliwości na to, co mówi. *ktoś, świat, moda, zwyczaj, książka*, że matka z całym zasobem umiarkowania, rozumu, doświadczenia, znajomości serca ludzkiego, przenikliwości, dyplomatycznej umiejętności działania w porę, ledwo zrównoważyć potrafi wpływ postronny. A cóż dopiero mówić o poczciwej kobiecie, która pod względem doświadczenia towarzyskiego, nauki, życia obywatelskiego i stosunków społecznych, została tam, czém była w swoich latach 18tu.

Zważywszy, że to rozglądanie się chłopięcia za wpływem zewnętrznym, następuje w wieku niezupełnej dojrzałości, a więc w wieku potrzebującym jeszcze kierunku, rady, zachęty, oddziaływania rodzicielskiego; a zrozumiemy, jaka krzywda wynika dla dzieci z podobnego stosunku.

Są to wszystko skutki bezpodstawnego wychowania, jakie kobieta odbiera.

W wychowaniu męskim pedagogowie trzymają się przynajmniej jednej zasady. Uznali oni niektóre przedmioty za podstawowe, jako rozwijające umysł wszechstronnie. Do takich, obok matematyki, należy nauka łacińskiego i greckiego języka. Są one nietylce celem, ile środkiem. Nie idzie tu już bowiem o samą znajomość n. p. literatury greckiej, ile o wyrobienie, o rozwinięcie umysłu. Na takiej gimnastyce spędza młodzież męska całą epokę chłopięcego wieku. Aby kiedyś być dobrym lekarzem, prawnikiem, gospodarzem, inżynierem, pracuje chłopię przez całe lat 7 lub 8, na polu, nie mającém z jego późniejszą specjalnością żadnego na pozór związku. Tymczasem wychowaniu kobiety, zwłaszcza domowemu brak wszelkiej myśli przewodniej. Nikt nie zadaje sobie pracy pomyśleć, jakie mianowicie nauki i w jaki sposób wykładane, mogą najodpowiedniej wykształcić rozum istoty, powołanej do najtrudniejszego w świecie zadania, bo wychowania dzieci do przyszłego życia i obowiązków społecznych. Wszystko tu zależy od mody, panujących przesądów, jest dziełem przypadku, bezmyślności, kaprysu i takie też przynosi owoce. Biorąc rozbrat z nauką i książką, w ośmnastym roku życia, młoda dziewczyna jest zbiornikiem idei cudzych, nieprzetrawionych w umyśle, pochwytanych nieporządnie, a tém samém nie usposabiających jej do samodzielności, i logicznego zdawania sobie sprawy, za-

równy z wiadomości nabytych, jak i z uczuć myśli i własnych postępów. Epoka bezobowiązkowości i próżniactwa—wiek, w którym otrzymuje nazwę dorosłej panny, dopełnia rozpoczętego przez wychowanie dzieła.

Był czas, gdy tak zwane *prawa kobiety* dawały powód do bardzo żywych dyskusyj. Jak zwykle w takich razach, dwa przeciwne obozy, w padając w przesadę, zapomniały o wszelkiem umiarkowaniu w tej walce na słowa.

Przesadny i lękliwy konserwatyzm chciał utrzymać kobietę w ograniczającej ją pod każdym względem bierności; rzekomi znów obrońcy jej praw pragnęli ją, nie tylko wyswobodzić od wszelkich obowiązków rodzinnych, ale nadto i wprowadzić na szerszą życia arenę.

Tak niepomierne jednak tych ostatnich żądania i apostołowanie całej sprawy przez niedojrzałe lub przewrócone umysły, sprawiło, że ogół, wyczekujący ostatecznych walki wyników, zraził się w końcu fałszywem stosowaniem w praktyce nowej idei i przed jej następstwami cofnął tak daleko, że stanął aż po za linią postępu. Do dzisiaj też przez kobietę światłą większość rozumie taką, która zatopiona w księgach, zapomina o domu i dzieciach i, powierzając je niańkom i bonom, zaniedbuje najświętsze obowiązki, jakie na nią macierzyństwo włożyło. Ale jeżeli nauka niedokładna, według słów Bacona, odwodzi umysł od Boga, a prawdziwa zbliża ku Niemu; to równem prawem można powiedzieć, że fałszywe światło odwodzi od obowiązku, prawdziwe zaś czyni obowiązek ten świętszym i spełnienie jego ułatwia. Bez nauki i odpowiedniego przygotowania umysłu, bez znajomości psychicznych własności dziecka i zasad pedagogiki, wyrobionych pracą stuleci, matka nie podola nigdy, swemu zadaniu. Dobre chęci, intuicja macierzyńska i miłość dzieci, nie zastąpią umysłowych jej braków. To też, gdy odczuwa je w sobie, niech pracą stara się je usunąć. Jak w pierwszych latach, oświecając umysł dziecka przez rozmowę, skierowaną, ku zjawiskom otaczającego je świata, pracowała nad sobą, by mu ich zrozumienie ułatwić; tak obecnie niech kroczy naprzód w zdobywaniu wiedzy, z rozwijającym się jego umysłem, jeśli chce w późniejszych latach zachować matki powagę. Bez postępu

niema udoskonalenia. Bez udoskonalenia trudno być mistrzem w jakimkolwiek zawodzie.

Wspomniawszy powyżej słowo: *postęp*, tak często na dużywane w naszych czasach, pragnęłabym w interesie matek określić bliżej jego znaczenie. Wszak udoskonalając moralnie i umysłowo swe dzieci, powinny urobić sobie jasne pojęcie na czém on rzeczywiście polega.

Od najdawniejszych czasów, ludzie wiekowi skarżyli się na upadek cnót dawnych i przeszłość za wzór do naśladowania współczesnym stawiali; twierdzili zawsze, iż *dawniej lepiej bywało*, że czasy na gorsze się zmieniły. U pisarzy starożytnych, znajdujemy mnogie dowody téj skłonności ludzkiej. Narody téż całe lubią tak oglądać się na kolébkę swoją i otaczają ją poezją i wielkością, jak ludzie starzy, którzy, wraz z dzieciństwem i młodością własną, widzą zaginioną już nazawsze, dla nich samych i dla świata całego, poezją uczuć i wrażeń.

Że wszelkie takie ludzkie właściwości i skłonności przyrodzone znajdują w dawniej epoce przeciwstawiane sobie prądy nowe i kierunek krańcowy, który, wychodząc z zasady, że wiary dawne są fałszywe; świeżo wytworzone posuwa do największej przesady; — więc i stara cześć świata dla przeszłości, mająca wiele stron dziecinnych i niewyróżmowanych tak została sponiewierana obecnie przez młode pokolenie, że nic już dobrego widzieć w niej nie chce i wszystko, co do niej należy, pogardliwie nazywa: archeologiją, zgnilizną.

Nie jest to tak dziwném, jak się może wydawać na pozór.

Zdobycze naukowe naszego wieku są tak wielkie i takie jeszcze w bliższej przyszłości obiecują dopełnienia, że uwierzono w ich moc absolutną, zdolną rozwiązać nam wszelkie życia zagadki. Zarozumiałość własna z jednej strony, z drugiej ślepa wiara w naukę, włożyła nawet w usta jednego z filozofów nowoczesnych zdanie, że: „nauka dała dymisyją Ojcu niebieskiemu,

wyprowadziła go za granicę swoich krain, dziękując mu zresztą za Jego dotychczasowe usługi^{*)}.)

Co jednak nauka postawiła na miejsce zburzonego przybytku? Oto negując dawne wiary, zdobyła się zaledwie na hipotezę materyjalną. — Na pierwszój, owój dawniej, wierze wlanej w serca wszystkich plemion, ludzkość dorobiła się zasad etycznych, najwznioślejszych; na drugiej, zaczyna się dorabiać egoistycznej obojętności na wszystko, co nie jest interesem indywidualnym, wreszcie nicości duchowej, tak słusznie przez sąsiadów naszych *nihilizmem* nazwanęj.

„Jest to rzeczywiście smutnym do zaznaczenia kontrastem — mówi Flamaryjon — że wspaniały i niezrównany postęp nauk pozytywnych, że zdobycze, w dziedzinie natury stopniowo otrzymywane przez człowieka, podnoszące tak wysoko nasz umysł, straciły nasze serca w tak głębokie poniżenie. Bolesnie jest czuć, że kiedy z jednéj strony rozum coraz więcej swą potęgę zaznacza, z drugiej uczucie wygasa i życie wewnętrzne duszy ustępuje przed roszczeniami ciała“.

Niezawodnie smutny to widok i każda istota myśląca, a szczególnie matka, kierująca wychowaniem młodego pokolenia, powinna wznieść się na to bezstronne stanowisko, z którego mogłaby dojrzeć, co w pochodzie ludzkości dzisiejszój jest rzeczywistym postępem ku dobremu, tym postępem, który szczęście ogółu, a uzacnienie jednostek ma na celu; co zaś szkodliwą mrzonką pysznych swą wiedzą uczonych, lub interesowaniem wyznaniem ludzi, szukających wiary najwygodniejszój — takięj, któraby ich drogiemu *ja* największe przyniosła korzyści.

Postępem więc, jest umocnienie w nas poczucia sprawiedliwości i wyrozumiałości; porównanie wszystkich wobec prawa; uprzystępnienie dla wszystkich nauki, już to przez stóśowanie jój przymusowe i przez mnożenie się zakładów naukowych, już to przez popularyzowanie nauki, za pomocą przystępnie pisaných i tanich książek. Postępem jest tolerancyja, która uwolniła sumienie od twardych więzów wiekowych, która z pomocą świa-

^{*)} August Comte.

ła, na wieki obaliła świat czarów, duchów nieczystych, opętanych, strachów, upiorów, uroków, dni feralnych, urodzin pod nie-szczęśliwą lub szczęśliwą gwiazdą. Postępem, jest wyswobodzenie myśli ludzkiej od praw, przepisanych przez silniejszą materyjalnie ciemnotę. Już dziś nikt nie pokutuje w więzieniu, za odkrycie ludzkości nowej prawdy, za podbicie dla niej nieznanej dotąd potęgi, a sławy naukowe znane są i szanowane powszechnie. Prawdy odkrywane pod mikroskopem fizjologa, pod skalpelem anatoma, w laboratoryjum chemika; wielkie pomysły, które lądy i morza okrywają wozami i statkami parowemi, przebijają góry, które przez cud elektryczności pośredniczą w rozmowie o tysiące mil odległych osób i „w jednej chwili pozwalają nam liczyć pulsacje całej ludzkości”—to postęp.

Zastósowanie do prawodawstwa najszczytniejszych przepisów ewangelii: litość nad zbrodniarzem, zniesienie tortur i w niektórych państwach kary śmierci, pociecha religii i pracy niesiona więźniowi; usunięcie z drogi zbłąkanej kobiety pokusy dzieciobójstwa przez urządzenie żłobków; wyrwanie małoletnich przestępców z przepaści zbrodniczych i kształcenie ich na użytecznych członków rodziny ludzkiej; niezliczone instytucje dobroczynne, stowarzyszenia wreszcie rolnicze, przemysłowe, handlowe —to postęp.

Ale materyjalistyczna teoryja szczęścia osobistego, oparta na używaniu; ale cielec złoty, jako bożyszcze żywota; obojętność dla zasad, martwota ducha, schlebianie bogactwu, podstęp rozwijany dla zysku, egoizm wysuszający serca, związki rodzinne rozluźnione, zatracające się uczucie obywatelskie, wiara zachwiana, szalone teoryje i pragnienia zburzenia porządku społecznego,—to negacyja tylko postępu.

Tak! istnieją wyższe duchowe cele. Uszlachetnianie się ludzkości, nie tylko na wiedzy, nie tylko na zdobyczach naukowych spoczywa: jest życie ducha w którym zwalczanie jednostkowego samolubstwa stanowi podstawę wyższej doskonałości.

Nauka jest potęgą! — Ale potęgę tę równie ku szkodliwym, jak ku pożytecznym celom zwrócić można. Nie sama wiedza, ale przekonania, stanowiące o jej zastósowaniu, można uważać za rozstrzygające o jej wartości i przyznać, że jak w jednostce, tak

w społeczeństwach zasady i urobienie charakteru na pierwszym planie kłaść i za najwyższy postęp uważać należy. Spójrzijmy w nasze serce, odszukajmy w niem iskry Bożej, pod nawałem żądz samolubnych, a rozświeci nam ona spoczywające w głębi zawsze to samo pojęcie cnoty i moralności.

Wielkie idee, czyny szlachetne, szczerne poświęcenia zachwycają nas, jak zachwycały naszych praociców przed wiekami; w sumieniu naszym znajdujemy czynów tych oddźwięk w szlachetnym porywie, lub pokorném uznaniu, żeśmy uczuciem i męstwem nie dorobili owych wielkich mężów, w których duch był silniejszy od ciała.

W tym przez wieki niezmiennem, zawsze jednakiem poczuciu i pojęciu cnoty; w tym ich oddźwięku serdecznym, jaki się w nas znajduje, widzimy jasny dowód, że wysokie prawa dla ducha pozostały te same, co przed wiekiem; że stare wiary, ewangeliją oczyszczone z samolubnych przymieszek, są do dziś dnia najpewniejszymi stróżami postępu duchowego i że pozostaną takimi, choćby szkoła materyjalistyczna, wszelkimi możliwemi dowodami branymi z przyrody, chciała dowieść, że prócz samolubnych pobudek niema innych praw i natchnień dla człowieka.

Prądów tych strzedz się trzeba i dziecię przed niemi, o ile można, ochraniać. Wpływ rodziny, religii, miłości, niech przeciw nim oddziaływa. Dziecię niech się czuje potomkiem duchowym bohaterów, męczenników i myślicieli przeszłości, niech spuściznę ich przechowa jego serce a tradycja ogólna ludzka i narodowa niech w jego wychowaniu właściwą rolę odegra.

Jeżeli niektóre teoryje filozofii nowoczesnej pracują nad obaleniem wiary, nie odkrywszy poprzednio zagadki życiowej, o której tyle tylko wiedzieć można, że umysł ludzki nigdy jej nie odkryje — to téj ich nowatorskiej dążności niszczenia, nie dając jej nic w zamian, strzedz się szczególniej w wychowaniu należy.

Wszak i materyjalizm ma swoją pedagogikę;*) często w dziełach skądinąd bardzo dobrych, spostrzegamy ślady jego wpływu;

*) Naprzykład Pedagogiczne artykuły: Laskera.

umiejmy więc odróżniać ziarna od kłólu. Ilekroć światło nauki i indukeyi prowadzi do odkrywania praw najlepszego fizycznego wychowania, ilekroć dotyczy prawidłowego nauczania i podania dziecięciu nauki w stopniowaniu najwłaściwszém dla umysłu; tyle razy możemy mu zaufać, jest to wiedza nie przechodząca pojęcia człowieczego; ale moralne wychowanie rozwijajmy, jak dawniej, na zasadach z ewangelii czerpanych.

Byłoby smutną rzeczą, próbki moralności odbywać na charakterze dzieci naszych; dla tego, że zwierzęta w „walce o byt“ kierują się instynktem zachowawczym i indywidualnymi pragnieniami, wprowadzać zasadę egoizmu do praw moralnych, rozkrzewiać w sercu dzieci chwast nie potrzebujący uprawy, jakim jest samolubstwo, a duchowi ich odjąć wszystko to, co w pojęciu własném człowieka do godności istoty wyjątkowej podnosi. Uczynić go tylko *częstką ogólnej natury*, jakaż to smutna, jak poniżająca teoryja! Smutna i poniżająca dla człowieka, ale stokroć więcej dla dziecka, gdy ją piastunką jego duszy czynimy.

Nie jeden dzisiejszy uczony materjalistycznej szkoły, własném dowodzeniem zaślepiony, miał jednak matkę, która jego charakter na dawnych prawach urabiała; kiedyś, dzieckiem będąc, czuł w sobie duszę nieśmiertelną; to go czyni jeszcze *wyrozumiałym* dla cnoty, uważa ją za *nieszkodliwe*, a nawet *pożyteczne przyzwyczajenie*. Lecz dziecię wychowane od urodzenia w potwornéj zasadzie odnoszenia wszystkiego tylko do własnój osoby, poczyta już bezinteresowną cnotę za śmieszną i szkodliwą a miłość dla rodziców za przesąd.

Nie bierzmy filozoficznych teoryj za jedno z nauką. I dzisiejszych uczonych doprowadza ona do rozmaitych wniosków. Postęp wiedzy nie jest, ani skutkiem wyrugowania z umysłów wiary i ideałów dawnych, ani owo wyrugowanie koniecznie za sobą prowadzi. Jedni uczeni szukają w nauce dowodów, obalających religiję, inni znajdują w niej tém silniej popierające ją zasady.

Herbert Spencer, z którego dzieła o wychowaniu parę ustępów przytaczałam, wypowiada w innéj swéj pracy p. t. „*Prawa i przyczyny postępu*“ zdanie następujące: „Pomimo pozorów

przeciwnych, nieustraszone naukowe poszukiwania bezprzestanku zmierzają do dania t $\acute{e}$ m silniejszych podstaw religii.“ I dalej: „Uczony, przekonany szczerze, że idzie tam, dokąd prawda go wiedzie, staje się po każdym poszukiwaniu głębiej przekonany, że wszechświat jest zagadką nierozwiązalną. Zarówno w świecie zewnętrznym, jak w świecie wewnętrznym, widzi się on wśród zmian ciągłych, których ani początku, ani końca odkryć nie może“. Uczony angielski kończy swoje *studyjum* następującymi słowy: „We wszystkich kierunkach poszukiwania doprowadzają uczonego do znalezienia się wobec niezgłębioności; im dalej postępuje, t $\acute{e}$ m wyraźniej odgaduje, że sam jest dla siebie zagadką. Poznaje on jednocześnie wielkość i ograniczoność umysłu ludzkiego; jego potęgę wobec tego, co podpada pod miarę jego doświadczenia, jego bezsilność wobec tego, co owo doświadczenie przechodzi. Czuje żywo niezbadaną naturę faktu najpospolitszego, pojętego w samym sobie. Za prawdę, tylko uczony widzi, że absolutna wiedza jest niepodobną; tylko on wie, że w każdym objawie życia spoczywa niezgłębiona tajemnica“.

Nie potępiamy jednak bezwzględnie dzisiejszego postępu;—wskrzeszając w naszej wyobraźni przeszłość, umiejmy z niej wybrać to, co rzeczywiście wielki $\acute{e}$ m w niej było, nie rzucając gromów na czasy dzisiejsze za to, że są inn $\acute{e}$ mi od dawnych. Ludzkość postępuje niezawodnie we wszystkich kierunkach a że są stronni $\acute{e}$ twa wstecz, w moralności, czy nauce, idące, to postępu ogólnego niezmienia.

Starajmy się tylko z darów, jakie niesie teraźniejszość, wybrać te jedynie, które, ubogacając nasz umysł, nie zubożają ducha.

Dobro przedwieczne rozsiane jest po wszechświecie; umiejmy tylko patrzeć, a znajdziemy je, w mniejszej lub większej części, w każdym narodzie i w każdej prawie jednostce.

Każda epoka, każde społeczeństwo przedstawia dla wychowawcy naukę i korzyść, bo albo daje przykłady cnót i myśli, godne zastósowania, albo stron ujemnych i skutków, jakie sprawiają.

Takie doświadczenie z dziejów przeszłych i współczesnych zawsze należy porównywać z naszymi narodowymi skłonnościami. One niech będą miarą w zastosowaniu, bo wychowanie powinno być narodowem na ojczystej tradycyi opartem, pielęgnującym przymioty plemienne, a na wady spadkowe podwójne baczenie zwracającym.

ROZDZIAŁ VIII.

Wiek chłopięcy.—Religija.—Miłość rodzinna.—Wpływ ojca w rodzinie.

Wiek dziecięcy jest czasem największego stósunkowo postępu. W pierwszych trzech latach dziecię największy obszar wiedzy zdobywa; później przyrost jój staje się coraz mniej widocznym. Jeżeli jednak pierwsze lata dziecięcia można dokładnie podzielić na pewne epoki umysłowego rozwoju; to wiek chłopięcy, poczynający się od lat 7-iu lub 8-iu, już trudniej się nadaje do takiego podziału. Dla tego mówiąc o nim, przestane oznaczać dokładniej lata, w jakich wychowaniec do przyjęcia danych wpływów staje się zdolnym, a mówić będę w ogólności o całej epoce wieku chłopięcego, który obejmuje czas od 7-go lub 8-go roku, do lat 16-tu lub 17-stu. Jakkolwiek różnica postępowania matki z dziećciem 8 letnim, a 18 letnim młodzieńcem musi być wielką; mówienie z osobna o każdym dziale wychowania i o każdój z tych epok, przedłużyłoby pracę moję nad miarę, zwłaszcza że uchwycenie pory do działania właściwej, zależy tylko od rozumu wychowawcy; żadne więc dzieło pedagogiczne nie może dać co do tego wyraźnych wskazówek.

Wiek pierwszego dzieciństwa jest wiekiem naśladownictwa; jeżeliby zaś kto dla wieku chłopięcego szukał znamienia i pragnął go podobnie, jak pewną epokę historyczną jednem słowem określić; to najwłaściwiej powinien by go nazwać *wiekim wiary*. W samój rzeczy ufność w własne siły, wiara w przyszłość i wogóle serce, usposobione do przyjęcia przekonań przez rówowników wpajanych, są tego wieku najwłaściwszą cechą.

Na ten wiek zatém, w którym wrażenia przyjmowane zaczynają już nabierać samowiedzy, kiedy tajemniczy nerw, łączący serce z umysłem, kształci się i działać konsekwentnie zaczyna; na ten wiek przypada zdobycie raczej wiar, niż przekonań i poglądów, będących większej dojrzałości udziałem.

Zrozumiemy się.

Szesnastoletni młodzieniec, lub dziewczica, mają już zapewne przekonania i poglądy, lecz charakterystyką tych poglądów nie jest zasada na krytyce i rozmyślaniu oparta, ale raczej niewyrozumowana, młodzieńcza wiara, nie pytająca o źródło, skąd ona wypływa. Niech matka zrozumie tę właściwość wieku i wyzyska ją na korzyść udoskonalenia i szczęścia dziecięcia, niech na tym gruncie, którego żyzne łono otwiera się dla przyjęcia zasiewu, pracuje bez przerwy. Rolnik wybiera najdorodniejsze ziarno do rzucenia go w ziemię; matka niech z wiar ludzkości, weźmie dla dziecięcia te, które dla współbraci najwięcej przyniosą pożytku, najbardziej uzacnią duszę młodą. A więc najprzód niech mu da wiarę—wiar, której potrzebę i pragnienie człowiek, rodząc się przynosi— t. j. religiją.

Religija jest najpewniejszą piaszczką duszy. Między pokusami i niebezpieczeństwami, przeprowadzi ją czystą, jeżeli już nie w pierwotnej dziecięcej czystości, to przynajmniej w odzyskanej białej szacie przez żal szczery za grzechy.

Dopóki dziecko jest małe, nie trzeba religii ujmować dla niego w formy suchej i trudnej nauki, jaką jest katechizm, zwracający się tylko do rozumu, a nie kształcący uczuć dziecka. Nauka religii elementarna wcale niepotrzebuje być dogmatyczną; matka może nie mówić dziecięciu o łasce, wolnej woli, darach Ducha świętego, cnotach kardynalnych i t. p. Niech tylko je nauczy widzieć Boga w jego dziełach. Niech mu objawia piękności natury, jej nieprzebraną różnorodność, jej bogactwo i mądrość, w której ujawnia się wszechmocny Bóg; niech zapala duszę dziecka pragnieniem doskonałości przez czytanie i opowiadanie żywotów świętych i męczenników, którzy śmierć za wiarę

ponieśli, pamiętając o starannym wyborze, jaki w czytaniu dla dzieci zawsze czynić potrzeba.

Pamiętam, jak ogromne i moralnie kształcące wrażenie zrobiło na mnie w dzieciństwie czytanie chrześcijańskiej powieści—*„Fabijola.”* Każdy w swych wspomnieniach odnajdzie pamięć podobnego wrażenia, któremu zabrakło tylko dalszego ciągu, by się stało nicią przewodnią żywota i dało nam wielkie i nieporównane szczęście, jakie leży w pewności, że droga, którą postępujemy jest drogą udoskonalenia.

Historyja biblijna i życie Pana Jezusa, zawiera téż w sobie wiele rysów dla umysłu dziecka właściwych i kształcących. Taka nauka religii nie udziela się jedynie w godzinach na to przeznaczonych, ale wszędzie i zawsze winno ją dziecię na swój drodze spotkać. Modlitwa ranna i wieczorna, owa krótka a zupełnie do pojęcia dziecięcego zastosowana modlitwa Pańska, daje powód do rozmowy o Bogu, jak równie każde zdarzenie, każdy wypadek, każdy postępek dziecięcia. Rozmowa ta niech płynie z serca do serca, niech dziecię odczuje wiarę matki w jej głosie, spojrzeniu, gdyż jeżeli inne przedmioty uważamy za źle wykładane, gdy nauczyciel niemi się nie przejmie; to nauka wiary przestaje nią być zupełnie, jeżeli jej nie ożywia natchnienie, przejmujące uroczystém namaszczeniem, uszanowaniem, uwielbieniem i miłością dla Boga. Nie z głowy i dla głowy uczyć jej należy, lecz zapalić nią serce dziecka, jeśli chcemy postawić ją u steru jego żywota.

Starsze dziecię powinno od takiego, czysto uczuciowego pojmowania, przejść powoli do nauki zasad wiary, katechizmu, historyi Starego i Nowego Testamentu, przepisów kościelnych i t. d. Radziłabym matce, by do téj nauki dała dziecku oświeconego nauczyciela, posiadającego najprzód warunek zajmującego wykładu tak, aby dziecię lekeji religii oczekiwało z przyjemnością, a słuchać jej mogło z podniesieniem ducha. Gdy do niej przychodzi z niechęcią, a wśród wykładu usypia; lepiej mu jej wcale nie dawać. Drugim przymiotem nauczyciela jest taka znajomość przedmiotu, która by na każde zapytanie dziecka znalazła odpowiedź jasną, dobitną i przekonującą.

Od lat 8-iu dziecię w niedzielę i święta obowiązkowo do kościoła chodzić powinno, chyba że zbyt wielkie zimno, lub gorąco w świątyni narażałoby jego zdrowie. Ludzie nieprzyzwyczajeni do tego obowiązku, mają go sobie za ciężar i jego potrzeby nie odczuwają.

Wybór spowiednika, jeżeli dziecię jest katolickiego wyznania, równie jest ważnym, jak wybór nauczyciela. Jeżeli odbycie pierwszej spowiedzi pozostawia dziecię zimnem, nie dodatni, ale ujemny wpływ na duszę jego wywiera.

Powtórzę tu raz jeszcze, że wszystkie te spełniane obowiązki religijne i nauka religii, nie powinny uwalniać matki od ciągłej baczności na to, by dziecko ję żyło otoczone atmosferą wiary, miłości, uwielbienia dla Boga. Przy każdym niebezpieczeństwie, wstrząśnieniu moralnem, doznaniem szczęścia lub niedoli; niech dziecię widzi ze słów i uczynków matki, że myśl o Bogu towarzyszy ję nieustannie. Taki tylko przykład pobożności działa stanowczo; spełnianie obowiązków religijnych i wykonywanie obrzędów kościelnych nazimno, zaszczepla w duszy dziecka tylko indyferentyzm, a z czasem doprowadza je do zupełnej niewiary.

Dla matki dzisiejszj, pragnącej wychowywać religijnie swe dziecię, zadanie nie jest łatwem; okoliczności nie dopomagają ję w niem i dzieło wielkie, samo z siebie, dziś prawie na apostolską pracę urasta. Niech matka wie to naprzód, że wszystkie wpływy zewnętrzne: ludzie, książki, kierunek nauki nowoczesnej, walczyć z nią będą o wiarę dziecka. Niektórzy filozofowie dzisiejsi zaprzeczają istnieniu Boga; inni, jak z łaski przyznają, że Bóg jest dla tego jedynie, że bez tego przypuszczenia, początku wszech rzeczy odkryć nie umieją, ale obalają zupełnie wzniosłą teorię zbliżenia się do Boga przez życie cnotliwe. A jednak teoria ta, iluż to wielkich czynów, ilu poświęceń, ilu wzniosłych myśli i uczuć stało się źródłem; jak potężnym wreszcie może być czynnikiem w wychowaniu, jakim bodźcem dla dziecka i pomocą dla nauczyciela, jaką nakoniec daje siłę przyszłemu rycerzowi w walce z życiem i jak silnym przyobleka go pancierzem! Wszak go uczy zwyciężania złych skłonności, znoszenia niechęci i niepowodzeń z podniesionem czołem, pogardzania, próż-

nością, uwielbienia dla cnoty. Jakiemże prawem rodzice odrzucają taki czynnik z życia swych dzieci? A odrzucają go coraz częściej, niestety!

W niewielu wprawdzie rodzinach wyrzeczone zostało słowo ostateczne: niema Boga, niema wiary; ale przykład, postęпки, cele są dosadniejsze, niż słowa i to, co nazywano dawniej wychowaniem chrześcijańskim, znika zpośród nas coraz więcej.

Że zupełny brak zasad moralnych coraz częściej jest zjawiskiem; że egoizm, chęć używania i nadmierne pragnienie samolubnego szczęścia, coraz więcej serca ludzkie ogarnia; to przypisać należy, nietylko obecnemu ustrojowi społecznemu rozwojowi potrzeb dawniej nieznanych i trudności wywalczenia sobie materyjalnego bytu; lecz i wielkiemu oziębieniu uczuć religijnych i usunięciu ich na drugi, a nawet ostatni plan w wychowaniu nowoczesnem.

Nie śmiem przemawiać dłużej w imieniu wielkiej prawdy niepotrzebującej niedołącznych słów moich, by zajaśnić całą swoją potęgą, i myślę, że każda dobra i kochająca matka, czuje potrzebę religijnego w wychowaniu kierunku. Nietyle więc o pocuciu tej potrzeby mówić pragnę, ile o wielkiej trudności wprowadzenia jej w życie, przy postronnych wpływach i gorszących przykładach.

Wielu ojców zgadza się wprawdzie w zasadzie na kierunek religijny w wychowaniu dzieci, ale zachowaniem się swoim przeoczy mu bezustannie. Wszyscy w ogóle młodzi mężczyźni, jakich dziecię widuje, składają się potrosze na ogólne wrażenie, z którego dziecię nie zdaje sobie sprawy z początku, ale które wkrótce zamienia się w przekonanie: że mało kto ze znajomych mu mężczyzn jest pobożny; że na braku pobożności nie się w szacunku ludzkim nie traci i że nawet ta w pewnym stopniu okrywa śmiesznością mężczyznę.

Rozumna matka powinna najprzód często w nieobecności dzieci kwestyją tę z mężem roztrząsać i starać się nakłonić niewierzącego lub obojętnego do systematycznego postępowania z dziećmi w tej mierze. Niech mu rozgrzeje serce, własnem pragnieniem dobra dzieci; niech mu da pojąć, jak

potężnej dźwigni na życie całe ich pozbawi, jeżeli im wiarę odejmie; wreszcie nich zwróci jego uwagę na rozdwojenie pojęć, jakie wrzuci im w duszę, jeżeli przy zimnej nauce o Bogu, nie da im nigdy przykładu stósowania jój w życiu.

Ale jak człowiek niewierzący może kłamać wiarą? Wprawdzie czyni tak wielu; lecz dopełnianie formy, bez odczucia jój ducha, tak mi się wstrętném wydaje, że nie chcę podawać tu matkom rady, by do podobnego kłamstwa chciały zachęcać swych mężów. Dzieci mają bardzo bystry zmysł spostrzegawczy i dojrzą wkrótce udawania; zatem po długim namyśle, muszę uznać za najstósowniejsze w tym razie wychowanie dzieci w gorliwości największej dla wyznania własnego, obok wielkiego i świętego poszanowania dla wszelkich religij i wyznań innych. Owo uczucie tolerancyi, którego Chrystus nauczał swoim z Samarytanami postępowaniem, niech od pierwszych chwil będzie dziecku wpajane; niech mu matka mówi i tłómaczy, że zarówno katolik, jak luteranin, lub izraelita wart jest szacunku, jeżeli wiara jego pomaga mu do czynienia dobrze, że żadną religiją pogardzać nie należy, owszem szanować wszystkie, tém więcej, że wszystkie uznają istnienie przedwiecznego Boga, Stwórcę świata, jako téż i istnienie duszy nieśmiertelnej. Niech dziecię wie, że nie należy mu szukać chluby z tego, że się urodziło w religii, którą uznaje za najlepszą, ale że tylko czuć się powinno szczególnie i dziękować Bogu, że ją wyznaje.

Mając takie od dzieciństwa wszczepione uszanowanie dla każdej religii, dziecię nie zadziwi się zbyt znacznie i nie straci szacunku dla ojca, gdy się dowie, że ma swoją wiarę, różną od wiary matki, że dla tego nie chodzi do kościoła i u spowiedzi nie bywa. Takie objaśnienie będzie zgodne z prawdą. Na zagadnienie małego ciekawca, w co wierzy ojciec, — matka może nie dać bliższego objaśnienia, ale powiedzieć: że ojciec wierzy w Boga, że jest chrześcijaninem, a jeżeli są różnice w jego wyznaniu, to dziecię nie potrzebuje o nich wiedzieć, bo człowiek obowiązany jest tylko znać zasady własnej wiary.

Czego jednak stanowczo od ojca wymagać trzeba, to téj sumiennosci, któraby uszanowała dzieło matki i wiarę dziecka, któremu powątpiewanie nigdy na myśl nie przyszło. To poczucie

uczciwości rodzicielskiej mają w części ojcowie; są wszakże tacy, co nie powstrzymują się wobec dzieci od rozpraw religijnych, od szyderstw względem kościoła, sług jego i dogmatów. Choćby nawet byli przekonani, że wiarę od kościoła odłączyć można, nie powinni dawać podejrzawać dzieciom tego rozdawania, które pojąć może zaledwo umysł dojrzały.

Mało jest kobiet, nie mających żadnej wiary; mało zatem matek, któreby dziecku zaszcześcić jej nie mogły; są jednak i takie.

Na czém ich obowiązek polega? Nie śmiem rozstrzygać. Czy należy im kłamać przed dziecięciem wiarę, której nie mają i powierzyć jego kierunek religijny kapłanowi wyznania, do którego dziecię należy? Czy, jak radzi Esquiros dla swego Emila, nie mówić mu nic — nic wcale o Bogu, i zostawić przyszłości i potrzebie jego serca uwierzenie w Boga? Czy idąc za własnem przekonaniem powiedzieć dziecięciu, że Boga niéma? Ostatni sposób, wyznać trzeba, byłby najracjonalniejszy; ale dreszcz mię przejmuję na myśl, że takiemu eksperymentowi poddanemby miało być dziecko, któremuby tém samém na całe życie pociecha wiary, jej moc uzacniająca, utrwalająca w dobrem i pozwalająca ufać w przyszłe życie, odjętą została. Mało matek zgodziłoby się na to dla szczęścia dziecka, dla jego moralnej przyszłości, jeżeliby ją miały na względzie; to zaś, co większa część z nich wybiera, to jest kłamstwo uczuć religijnych, jako takie, wstrętném mi się wydaje. Dla tego nie śmiem orzekać i pragnę sumieniu matki zostawić sprawę wiary, wykazawszy tylko wpływ jej niezmiernej wagi na całe życie człowieka.

Wiara jest czynnikiem nieskończonej doskonałości; kto ma pod tym względem wątpliwość, niech spojrzy na jej wpływ w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, na jej działanie we wszystkich społeczeństwach, na zadziwające skutki, jakie do dziś dnia wywiera na naród żydowski, który zachowała narodem przez wieki prześladowania, rozprószenia, dając mu siłę oporu biernego przeciw rozkładającym czynnikom. Edgar Quinet w swojej pracy: „O duchu religii” powiada: że „religija jest źródłem życia narodów, a każdej duszy przyrodzoną i najgłębiej tkwiącą potrzebą; dowodzi też przykładami historycznymi, że „spokój

żywoła i myśli na nią się głównie zasadza, a walka, dramat, rozterka wewnętrzna zaczyna się dopiero, gdy przychodzi zwątpienie.”

Rozważywszy, jakim wiara jest czynnikiem dla rozwoju uczuć etycznych dziecka, jakim jest dla niego warunkiem szczęścia i spokoju; spojrzymy jeszcze na nią ze stanowiska, jakie sobie pedagogika dzisiejsza za punkt wyjścia obrała.

Nowocześni pedagodowie zalecają w wychowaniu dziecka, zarówno moralném, jak intelektualném, trzymanie się wskazówek, jakie nam daje postęp stopniowy, przez który przechodziła ludzkość. I tak, to, co otaczało kolébkę ludzkości, winno otaczać kolébkę dziecięcia, a wszystkie uczucia, pojęcia, nauki mają postępować w takim porządku, w jakim zdobywała je ludzkość, počawszy od stanu dzikości, a kończąc na rozwoju, w jakim się znajduje. Otóż przez długie wieki, których przebieg podają nam dzieje, wiara była podstawą społeczeństw i życia jednostek; od ślepej wiary, zaczynały wszystkie ludy, zarówno bałwochwalcze, jak wyznające jednego Boga; zatem biorąc tę rzecz, nie z punktu uczuciowego jedynie, ale na zasadzie filozoficznych wniosków, musimy przyjść do przekonania, że wiara jest właściwszą, najnaturalniejszą piastunką młodości.

Matka powinna dobrze rozważyć tę kwestyją, a także gło-wa rodziny—ojciec. Wspólny wynik swych rozmyślań niech rodzice zamieniają w stały i ścisły systemat, aby ich dzieci nie błądziły w ciemnościach, gdy idzie o kwestyją tak wielkiej wagi i by wyrastali z nich ludzie przekonani, a nie obojętni. Rodzaj to najmniej ludzkości przynoszący korzyści. Cytowany już przezemnie Quinet, powiada że: „przeczenie jest jeszcze wiarą, ale grobem jój, obojętność.” Ojcowie kościoła myśleli to samo i kiedy w dziejach wiary wielu widzimy nawróconych, z pomiedzy przeczących, mało ich dostarczyła klasa obojętnych. Tak, obojętność jest grobem, bo idzie z nią w parze bezmyślność i zastój, czyli brak wszelkiego postępu. Od niej to szczególniej strzeż dziecię, by żyć mogło — nie wegetować, wzlatywać — a nie pełzać.

W końcu wspomnę tu jeszcze o smutnych rozdwojeniach, o dramatach serdecznych, do jakich różność wiary daje powód

w rodzinach. Ileż to matek cierpi nad niedowiarstwem synów, ile łez wylanych nad zatwardziałością mężów i zięciów!

Jeden z moich znajomych, wdowiec, nie mający wiary żadnej—oddał swoje dwie córki do zakładu Sercanek, gdzie wychowano je na dobre katoliczki. Starsza z dziewcząt, wróciwszy do domu, poszła wkrótce za męża i nie wiem, czy dostrzegła stan duszy ojca; ale druga, przenikliwa i myśląca, wprędce odkryła różnicę własnych pojęć z jego pojęciami. Ponieważ zostawała w korespondencyi z przełożoną zakładu, w jakim była wychowana; zapewne więc do niej udała się po radę, gdyż rozpoczęła trudne dzieło nawrócenia ojca. Dyskutowała z nim, prosiła, błagała, modliła się, suszyła na jego intencyją. To wyrodziło pomiędzy nimi stósunek dziwniej natury. On martwił się troską dziecięcia, ona wyczerpywała się w tej walce, w której czuła, że siły jej są zasłabe, rozum zamało w argumenta zasnobny; za to jej serce cierpiało. Taki stan trwał lata całe. Miłość zobopólna zwiększała się między nimi codziennie; ale nawrócenie nie przyszło. Wreszcie ojciec umarł nagle, a córka wstąpiła do klasztoru w tém przekonaniu, że ofiara z własnej osoby okupi może zbawienie ojca.

To są, niestety! skutki różnicy wiary między sercami blizkiemi sobie uczuciem. To też rodzina, będąca kółkiem zamkniętym w sobie, powinna niejako skupić się w okolo jednej wiary, w niej znajdując jedne spójnią więcej, a nie rozdwojenie, rozbrat pojęć i uczuć.

W pojęciu dziecka i jego uczuciu, zaraz po Bogu, występuje rodzina. Jest to zupełnie naturalna kolęja i dziecię każdą, nawet nie zdającą sobie jeszcze sprawy z swych myśli, widzi Boga na niebie, jako Pana i Stworzyciela wszech rzeczy, a Opatrzność jego uosobioną w rodzicach. Rodzina, rodzeństwo, dom rodzinny były dotąd światem dziecka; wszystkie jego wspomnienia z nimi się łączą i żadne późniejsze szczęście czy niedola, nie są w stanie zatrzeć, ani ich pamięci, ani ich wpływu. Od rodziców zależy, by wpływ ten i pamięć były uzacniającemi; by do nich myśl

wracała po pociechę i zachętę w dobrem. Od rodziców też zależy, by w sercu dziecka otworzyć czyste źródło miłości braterskiej, tego uczucia silnego, bezinteresownego, a dającego najwyższe pociechy.

Szukając w rodzinach przyczyny mniejszej lub większej miłości braterskiej, jako też przyczyny zupełnego jej braku; każdy dojść musi do przekonania, że wszystko od rodziców zawisło, gdyż serce ich—to ognisko i skarbnica, z której cały zasób, uczuć czerpią ich dzieci. Gdy widzą od dzieciństwa matkę, karmiącą własną piersią młodsze rodzeństwo, jej poświęcenia i zapominanie o własnych upodobaniach dla potrzeb rodziny; gdy ojciec daje im widok przywiązania i szacunku dla matki, pracy dla rodziny; gdy czują, że w niej złożył całe szczęście i wszystkie nadzieje swoje: niemogą oprzeć się poczuciu solidarności rodzinnej, owemu pierwiastkowi miłości braterskiej. Rodzice tedy, chcąc tym skarbem wyposażać swe dzieci, niech przede wszystkim dają im przykład wielkiego przywiązania i solidarności małżeńskiej. Niech dzieci widzą ich zgodność pod względem systemu wychowawczego — rzecz która im wpadnie w oko najłatwiej — niech nie słyszą sprzeczek z zaciętym prowadzonych uporem, wobec których zmuszone będą sądzić własnych rodziców. Starsze dzieci niech się wcześniej przyuczają do opiekowania się młodszymi, do pamiętania o ich potrzebach; niech czują, że są obowiązane do dawania im dobrego przykładu i pomocy w każdym wypadku.

Wpływem, najbardziej podkopującym miłość braterską, jest różnica, jaką między dziećmi robią niektórzy rodzice. Takt i sprawiedliwość, te dwa niezbędne przymioty wychowawców, powinny ich ochronić od okazywania dzieciom owęj różnicy, choćby serce do tego ich skłaniało. Pragnęłabym, aby w niemi dla wszystkich dzieci równe się miejsce znalazło. Zdarzyć się może, że jedno z dzieci wybitnymi przymiotami pociągnie rodziców, że zasługiwać będzie na ich wyłączne umiłowanie, że się serca ich oprzeć większemu przywiązaniu nie potrafią. Niech w takim razie najprzód usiłują przewyciężyć własne uczucia; niech pamiętają, że dziecię nie jest winne, jeżeli mniej hojnie uposażone od natury zostało i, że jeżeli wolno względem

obcych ludzi rządzić się sympatyją, względem własnych dzieci, tylko sprawiedliwością i obowiązkiem kierować się trzeba. Wszakże przypuściwszy już, że rodzice mają dla jednego z dzieci owo wyłączone przywiązanie; to i w takim razie wymagać od nich należy takiego panowania nad sobą, któreby nie tylko dzieciom, ale nikomu z otaczających różnicy owęj zauważyć nie pozwoliło. Oprócz wyrządzającej się tym sposobem dzieciom niesprawiedliwości, dzieje się im krzywda moralna, bo cierpi na tём zarówno charakter wybranego — jak i mniej ukochanych. Pierwszy zaprawia się do egoizmu i zarozumiałości; drugie do zazdrości, zawiści, szemrania i krytykowania wychowawców, których niesprawiedliwość czują. Rzuca się także tym sposobem kość niezgody między rodzeństwem, odbiera się dzieciom jedno z najpiękniejszych i najsilniejszych uczuć — miłość braterską, którą rodzice, a szczególnie matka, od pierwszych chwil dziecka zaszczepiać w jego duszy powinna.

Mówiąc o wpływach rodziny na dziecię w epoce wieku chłopięcego, trzeba zaznaczyć wpływ ojca, który, w dobrze prowadzonym wychowaniu, wielkie i prawie niezbędne musi mieć znaczenie, szczególnie gdy idzie o synów. Ojciec, ten naczelnik rodziny, jęj głowa i siła, a jednocześnie czynny członek społeczeństwa, zatem mający z niём bezpośrednie zbliżenie i przez nie wyrobiony na beznamiętnego sędziego i człowieka, który w zetknięciu się z różnorodnymi sprawami żywota, nabrał zdolności wszechstronniejszego obejmowania przedmiotu i większej dośrodkowości myślenia; ojciec powinien wnieść do rodziny i wychowania element siły i energii męskiej. Tymczasem bywa on często biernym i obojętnym widzem czynności swych dzieci, gdyż czas, jaki mu pozostaje od pracy zawodowej; tak obcym bogom poświęca, że prawie nie wie, co się dzieje w rodzinie. Dzieci są dla niego ciężarem, a wychowanie nudnym zajęciem pozostawionem matce, która: „jakoś to tam poprowadzi.” Od czasu do czasu skarży się biedak, że dzieci dorosły już do kieszonki ojcowskiej i zaopatrzenie z nięj ich potrzeb materyjalnych,

danie im nauczycieli, uważa za spełnienie wszystkich swych obowiązków. Z siebie, z ducha swego, nic dać dzieciom nie chce, a nawet nie przypuszcza, by co dać był obowiązany.

Trudno jest niezawodnie taki kierunek myśli męża przerobić, obojętnego własnym rozgrzać zapalem; wszakże matka dobra i rozumna powinna w tym celu robić usiłowania od pierwszych chwil małżeństwa i macierzyństwa swojego, by dzieciom jój nie zabrakło wpływu ojca, tak potrzebnego w wychowaniu, nietylko synom i córkom, ale i matce, której pojęcia wtedy tylko nie zacieśniają się i nie maleją, gdy pomiędzy nią i jój drobiazgową pracą domową, a ruchem i postępem świata, stoi rozumny męzczyzna.

Nieraz kobieta sama czyni ognisko domowe niemiłym i obojętnym dla męża. Za przykład stawić tu można te próżno i lekkie niewiasty, które strój, zbytek, zabawę cenią jedynie, a nie mając dość obfitego źródła dochodów na zaspokojenie tych wszystkich upodobań, zmuszają męża do nadmiernej pracy, do zapomnienia o potrzebach moralnych rodziny, dla dostarczenia jój w pocie czoła, a czasem w poniżeniu godności własnej zdobywanego grosza. Tak jest, niestety! Mało kobiet pojmuje świętość rodziny i doniosłość jój moralnego w społeczeństwie znaczenia; wiele z nich uważa ją, jako wygodną spółkę jedynie. Takie zaś trudno, by pojęły jedno z najważniejszych zdań kobiety, jakim jest podnoszenie wszystkiego w koło siebie w sferę dobra i piękna, by w rodzinie stworzyć dla męża świat, w którymby, znajdując wypoczynek po walkach i zawodach, poznał całą cześć zadowolnych rozrywek i zdobył przekonanie, że na ukojenie trosk jego, Bóg stworzył cichy zakon rodzinny, którego słodką atrakcją jest miłość szlachetnej kobiety.

ROZDZIAŁ IX.

Miłość bliźniego. Miłość ojczyzny i rzeczy ojezystych. Prawda. Sumienie.
Honor. Szczęście.

Ludzkość, ta każdego z nas rodzina w Chrystusie, zajmuje zwykle w naszém sercu tak małe miejsce, że do wyjątków zaliczeni być mogą ci, którzy ten święty ogień przechowali w swęj piersi. Miłość bliźniego w życie wprowadzona, zachwyca nas wprawdzie, jako oderwany obrazek, wzruszający nasze poczucia artystyczne; lecz niema w nas rzeczywistęj miłości tego uczucia braterstwa, jakie winno łączyć ze sobą wszystkich członków ludzkości.

Niezdolni odczuwać szlachetniejszych pragnień, naznaczamy i dla dzieci naszych tę samę ciasną drogę, jaką dążymy do szczęścia. Nie chcemy zrozumieć, że dla kochającego ludzkość człowieka, praca dla nięj podjęta, równe szczęście przynosi, jak dla egoisty samolubne używanie; tylko, że natura egoisty sama z siebie jest mniej wrażliwa, mniej szczęściu dająca przystęp, bo ograniczona i zubożona ciasną sferą osobistych pragnień; gdy przeciwnie miłość bliźniego, jak słońce oświeca i rozgrzewa serce, czyni je zdolniejszym do przyjęcia wznioślejszych uczuć i jeżeli boleść łatwiejszy do niego przystęp wtedy znajduje, to i uczucie szczęścia jest w nięm stokroć silniejsze, żywsze, tak, że jedna godzina więcj go przynosi, niż rok cały pociech egoistycznęj natury. Jesteśmy zatęm w błędie, jeżeli zaprawiamy dziecię do samolubstwa dla szczęścia przyszłego; tym sposobem bowiem pozbawiamy je uzacniającego uczucia, przez które człowiek, bez względu na religiję, stan, lub położenie, zostaje w ścisłym związku z całą ludzkością i zarówno szczęście ogólne,

jak i powszechną niedolę podziela. Przez to uczucie, staje się on żywym członkiem ludzkiej rodziny; żyje, jakby zdwojoném życiem, skoro obok osobistych dążeń, bierze czynny udział w nadziejach i pracy ludzkości.

Miłość bliźnich jest obrazem miłosierdzia Bożego, jest uczuciem, które wydało wszystkie instytucje, osładzające żywot biédaka; uczuciem, które ogarnia troskliwą opieką opuszczone przez matkę dziecko i dla małoletniego zbrodniarza niesie ratunek w umoralnieniu i nauce. Ale jest to uczucie czynne, dające się w innych obudzić jedynie przykładem. Przykładem téż odwozicie należy dziecię, od pychy i dumy — tych wad, które najwięcej oddalają człowieka od owęj przestronnej miłości, o jakiej wyżej mówiłam. Nic téż wstrętniejszego nad widok matki, która wobec dziecka, czezą tylko formę religijną spełniając, kłęką przed krzyżem i nicosć swęj wielkości u stóp jego wyznaje, a jednocześnie pogardza bliźnim, i gwałci na każdym kroku zasadę ewangeliczną równości. Klasy uprzywilejowane umiały od wieków do miary swęj dumy rzekomą równosć przykrawać; stąd tysiące uprzedzeń weszło nam w krew i stały się regulatorami wszystkich naszych postępów. Matka niech dobrze zbada własne usposobienie, by nie dawała dzieciom widoku sprzeczności między zasadą i czynem, ale jednę drugą stwierdzała.

Znałam pewną, bardzo bogatą panią, na której cześć cała okolica śpiewała hymny pochwalne. Jeżdżąc bowiem na spacer, pani ta, zaglądała do chat włościańskich, przywoziła dzieciom koszulki wspierała ubogich i dla chorych sprowadzała lekarstwa. Była ona sama rozczulona swą opatrnościową rolą i niemiernie się w nią podobała sobie. Ta sama jednak dobroczynna pani umiała najboleśniej zranić człowieka, stojącego niżej od niej choćby o jeden szczebel towarzyskiej drabiny. Miało dar przekręcania nazwisk, niehistorycznych, niepoznawania ludzi, którym chciała dać poczuć ich niższość; sam wzrok, którym mierzyła ubogiego sąsiada, przypadkowo spotkanego w gabinecie męża, był wysoko impertynencki; słowem, duma jęj, znosiła stósunek z ludźmi, kłaniającymi się jęj nisko do kolan, lecz występowała natychmiast na jaw, skoro znalazła się w zetknięciu z ludźmi, zbliżonymi do niej wychowaniem, ale nie mającymi prawa zali-

czać się do tak zwanego *towarzystwa*, które tylko „*dobrze urodzonych*“ do swego grona przypuszcza. Córki téj pani, z których najstarsza 14, najmłodsza 8 lat miała, tak rozumiały wybornie taktykę matki, że umiały ją stósować, z zadziwiającą na ich wiek biegłością.

Litować się trzeba było nad temi młodem sercami, już pozbawionemi jednego z napięknieszych przymiotów dzieciństwa—owej wdzięcznej, naiwnej nieświadomości odcieni towarzyskich, i wyradzających się z nich: zawiści i pychy.

Jeżeli jednak zasmucić może głęboko widok takiej rodziny pyszałków; boleśniesz jeszcze wrażenie sprawia zawiść uboiego do bogatszych od siebie. A przecież są rodzice, postępowaniem swoim rozwijający najczęszciej bezwiednie w dzieciach ową nieubłaganą nienawiść do wszystkiego, co tylko wyżej od nich stoi w hierarchii społecznej. Jeszcze dziecię nie jest wstanie wymawiać dobrze wyrazów, a już o jego ucho obija się gorzkie słowo niechęci przeciw tym z bliźnich, których los hojniej swemi dary opatrzył. Jest to szkoła stokroć gorsza od szkoły pychy i dumy, — słowo przeradza się tu w kamień, co kiedyś rozbije okno bogacza; wreszcie w doraźne sądy rewolucyjne i w komunę. I pycha możnych i zawiść biędnych są to wysoce niechrześcijańskie uczucia, mające wspólne źródło w egoizmie; przecież dumą płodniejszą jest w dobro; jeszcze coś tworzy, choćby z chęci wyniesienia się wyżej, tymczasem zawiść umie tylko burzyć i niszczyć.

Niech téż matka wcześnie przyucza dziecię do dobroczynności; tylko nie do owéj bezpłodnej, objawiającej się w jałmużnie, udzielanej jedynie dla pozbycia się żebraka; ale w poświęceniach, czynionych z własnej osoby. Wynoszenie grosza, danego przez matkę ubogiemu dziadkowi, niewielką przynosi korzyść moralną dla dziecka — broni je zapewne od zupełnej obojętności na potrzeby bliźniego, ale go nie usposabia do litości czynnej. Niech dziecię daje; to, co do niego należy obdziela biędnych jałmużną, ale kosztem własnej przyjemności, z pieniędzy, które otrzymało

na własność; niech zresztą poświęca wolną chwilę na odwiedzenie n. p. chorego dziecka, jeżeli to bez narażenia własnego zdrowia może uczynić, niech je rozrywa w chorobie, pokazuje mu obrazki, czyta mu coś i o jego potrzebach pamięta. Jeżeli mu nawet zechce oddać swoją wieczorną herbatę, niech matka nie pośpiesza z nalewaniem mu drugiej filiżanki, bo inaczej odjęła by mu zasługę dobrego uczynku, pamiętając, że daleko większa wypływa stąd korzyść moralna, niż strata na zdrowiu z niewypitej herbaty.

Kształcenie owęj niesamolubnej pamięci o drugich, jest ważnym środkiem urabiania serca i charakteru. Niech dziecię zawsze ma obowiązek pamiętania o kimś. Choćby od niego miał zależeć dobrobyt psa, lub kanarka: staranie o nich już usposobią jego serduszko do ofiar. Tém więcęj niech będzie gotowe na każde zawołanie ojca i matki; niech młodszym dzieciom ustępuje w zabawach, niech pamięta, że babcia lubi mieć stołeczek pod nogi, że ojciec po obiedzie zapala cygaro i potrzebuje zapalek; że matka lubi przylépkę od chleba, dla niéj więc zachować należy ją; że ciocia lubi mieć bukiet na swoim stoliku i trzeba jéj go uwić z najpiękniejszych kwiatów; że braciszek lubi czekoladowy a siostrzyczka migdałowy cukierek. Ową pamięć serca, można i należy rozwijać; dzieci do niéj prędko i łatwo się naginają. Jest to zaiste ruda złotego kruszczu—miłości bliźniego.

W ciągu téj pracy nad sercem i umysłem dziecka matka ani na chwilę nie powinna zapominać, że obowiązkiem jéj wychować w chrześcijaninie—obywatela kraju. Jéj synowie, czy córki, mają żyć na ziemi, która ich wydała — podzielać losy wszystkich jéj mieszkańców, tworzących jedną rodzinę; wśród nich mają zawiązać w przyszłości najserdeczniejsze stósunki, utworzyć rodzinę, która ma przyjąć udział w pracy społecznej; syn więc przyszła głowa rodziny; córka — przyszła kapłanka domowego ogniska, powinni ukochać swój kraj. Dla tego zaraz po nauce wiary, a często z nią razem, isé powinna nauka rzeczy ojczystych.

Nim się zacznie systematyczny kurs historyi, przeszłość narodowa dostarczyć może rysów pięknych, szlachetnych, podnoszących umysł dziecka. Obok zbierania najpiękniejszych kwiatów z przeszłości naszej, dla ubogacenia niemi duszy wychowanka, nie należy ukrywać przed nim i wad narodowych, jako jedynych przyczyn doznanych w przeszłości nieszczęść i upadku. Niech prawda kieruje słowami matki, czy nauczyciela, a dziecię obok pięknych i chwalebnych czynów przodków swoich, które uwielbia, niech się uczy boleć nad błędami i potępiać to, co było złem w istocie.

Obok takiej epizodycznej historyi, służącej raczej do kształcenia wyobraźni i uczuć, niż wiedzy, niech się dziecię dowiaduje o znakomitych miejscowościach i pamiątkach krajowych; niech mu matka opowie o okolicach kraju, które zwiedziła sama; niech mu pokaże pamiątkowe zabytki miasta, w którym mieszka, lub okolic rodzinnych, jeżeli na wsi przebywa. Jeżeli czas i mienie pozwala ję na to, niech latem odbywa małe przejażdżki z dziećmi, do słynniejszych miejscowości kraju naszego. Zabierze ję to kilka dni zaledwie, a takie wrażenia niezmiernie silnie działają na wyobraźnię dzieci, zaszczipią w ich sercu miłość dla rodzinnego kraju, dając im poznać jego piękności i zabytki.

Jak smutne i nienaturalne jest zaniedbywanie rzeczy krajowych, zostających w najbliższym stósunku z naszą przeszłością i przyszłością, na korzyść sław i znakomitości zagranicznych, tego i rozbiierać nie będę, a uznając korzyść, wpływającą dla dziecka z wiadomości ogólnie ludzkich i wszechkrajowych, chciałabym tylko, by ojczyste zajmowały pierwsze miejsce i występowały przed oczy dziecka w charakterze swojskim, rodzinnym, a zatem przemawiającym silniej do jego uczuć i wyobraźni.

W latach 9-ciu lub 10-ciu historyja ojczysta z epizodycznej zamienić się powinna na systematyczny, jakkolwiek nie zbyt obszerny kurs, zwiększający objętość swoją z każdym rokiem tak, żeby w latach 18-tu lub 20-tu, młodzieniec lub dziewczica, znali dzieje narodowe dokładnie i w rozleglejszych ramach, niż historyją innych narodów.

Z nauką historyi winna się łączyć nauka literatury ojczystej. Są to dwie siostry rodzone, gdyż jedna drugą objaśnia, do-

pełnia, tłumaczy; obie zaś wspierają się i wiążą z sobą za pośrednictwem języka.

W pierwszej epoce dzieciństwa, matka powinna się starać nauczyć swe dzieci czysto i poprawnie mówić językiem własnym; następnie powinna ten język dać im poznać z reguł.

Fałszywem jest pojęcie, że umiejętność gruntowna mowy własnej sama z siebie się zdobywa, że nad nią pracować nie potrzeba. Dość jest z uwagą przysłuchać się rozmowie kilku nawet wykształconych osób, przeczytać kilka listów, jakie pospolicie się pisują i odbierają, by się przekonać, że poprawność mowy i stylu nie jest rzeczą wrodzoną i że brak pracy na tém polu daje się bardzo między nami uczuwać. Mieszkańcy niektórych części naszego kraju tak źle mówią i piszą, że boleśnie jest słyszeć naszą piękną mowę, oszpeconą taką masą naleciałości obcych i błędów prowincjonalnych. Barbaryzmy różnego rodzaju zmieniają cały tok i charakter naszego języka i doprawdy można zapłakać nad tą brzydką mieszaniną słów, mieniającą się być polską mową.

Zadaniem matki jest, o ile możność pozwala, ten stan rzeczy polepszyć. Jest ona dla dzieci swoich duszą i ogniskiem rodziny, z jęj to serca płynie słodka moc, stanowiąca spójnię rodziny; niech usta jęj przechowują w czystości język, owę spójnię rodziny szerszej—narodu. A jakże łatwo jest, nie mówię dojść w tym razie do doskonałości, ale do niejakiego postępu! Prawie każda kobieta, umiejąca czytać, lubi zajmować się książką; niech więc obok czytania dla treści, zwróci uwagę na język książkowy. Wprawdzie i tam niekiedy znajdują się błędy; wogóle jednak język książkowy, jest o wiele poprawniejszy od zwykłej naszej mowy, a o całe niebo wyższy od mowy mieszkańców niektórych naszych prowincyj.

Starając się, by dzieci poprawnie pisały językiem ojczystym, matka oszczędza im nie jednego upokorzenia w przyszłości, i o wiele im późniejsze stósunki z ludźmi ułatwia. Człowiek, który umie myśl swoją ująć w słowa, a następnie przelać ją na papier w formie poprawnej i wdzięcznej; człowiek, który pisząc, nie jest krepowany obawą popełnienia błędu gramatycznego, czy ortograficznego; człowiek taki, mówię, czuje się już członkiem

koła ludzi myślących. Jest prawie narażeniem się na śmieszność mówić o rzeczach tak powszechnie znanych i przemawiać w imieniu téj prawdy, że pisownia języka ojczystego jest w wychowaniu rzeczą pierwszorzędnéj wagi; przecież widzieliśmy na przykładach, jak często bywa zaniedbywana. Znam panny utalentowane i mówiące trzema językami, które listu ortograficznie napisać nie potrafią. Inni, młodzi i starzy nie mają pojęcia o znakach pisarskich, w nie jednym z ich listów, na czterech zapisanych stronicach, nie znajdziesz ani jednego przecinka.

Dziewczynki wychowywane w domu i w nim, jako dorosłe panny pozostające, mają większą sposobność pracowania nad własnym językiem; ale chłopcy, skoro progi rodzinne opuszczą, nie wszędzie i nie zawsze mogą się kształcić w tym kierunku. Obowiązkiem przeto rodziców zapłacić, o ile można, niedostateczność szkolnego wychowania przez lekcye prywatne języka i literatury ojczystéj.

Zdarzyło mi się spotkać młodego człowieka, kończącego 8-mą klasę, który najnaiwniej się zapytywał, kto to był Konrad *Wainrod* (*Wallenrod*), o którym właśnie w jego obecności mówiono. Ręczę za autentyczność faktu, dodam jeszcze, że młodzieniec ten był wybornym matematykiem i dziś jest profesorem! Bolée trzeba nad takimi faktami, ale im się dziwić nie można.

Matki myślące, powinny dzieci swoje kształcić za wszystkie te sieroty, nie mające gdzie po za obrębem wychowania szkolnego nabyć znajomości rzeczy swojskich, za wszystkie dzieci nieoświeconych i obojętnych rodziców, pamiętając na to, że bezwyznaniowość we wszystkich kierunkach odziera ducha ludzkiego z najpiękniejszych przymiotów, obezwładnia go i przytępia.

Wiek chłopięcy jest wiekiem zapалу; niechże go roznieca to, co naród ma najpiękniejszego; niech dzieje i literatura ojczysta wystąpią przed wzrokiem dorastającego chłopięcia w całym majestacie swoim. Odzieje to dla niego ziemię rodzinną w urok nowy, obcy dla tych, co nie znają, ani jéj przeszłości, ani utworów, jakimi natchnęła naszych wieszczów i historyków. Miejsca, w których przebywać będzie, przemówią do niego językiem wymownym i potężnym, mową umarłych wieków, mową poezyi—téj kochanki języka.

Tu widok dawnego szlaku tatarskiego przypomni mu czytana kiedyś powieść Szajnochy: „O niewoli na wschodzie”. lub inną: „Mściciele” i oto jego wyobraźnia stworzy mu obraz, w którym snuć się będą dzikie hordy tatarskie, uprowadzające lud bezbronny, i najkorzystniejszy z łupów—dziewice polskie na sromotę skazane. Tu znowu widok sadu da mu rozkosz innego rodzaju. Pospolita kapusta, marchew i buraki, przypomną mu arcydzieło wieszcza i szepnie sobie:

Był sad. Drzewa owocne zasadzone w rzędy
 Ocieniały szerokie pole; spodem grzędy;
 Tu kapusta, sędziwe schylając łysiny,
 Siedzi i zda się dumać o losach jarzyny;
 Tam, płacząc strąki w marchwi zielonéj warkocz
 Wysmukły bób, obraca na nią tysiące oczu;
 Ówdzie podnosi złotą kitę kukuruza;
 Gdzieniegdzie otyłego widać brzuch harbuza,
 Który od swéj łodygi aż w daleką stronę
 Wtoczył się, jak gość, między buraki czerwone.

Na tle tego obrazu wystąpi wdzięczna postać Zosi, niefortunna wyprawa „ostatniego z Horeszków, chociaż po kądzieli” i pospolity wiejski ogród warzywny da mu rozkoszną chwilę poetycznego zachwyty.

I niech nikt nie sądzi, że tego rodzaju wycieczki umysłowe poza obręb rzeczy dotykalnych kształcą jedynie fantazyją i artystyczną stronę ducha; są one uszczęśliwiającym czynnikiem. Człowiek, do którego zrozumiałym głosem przemawiają pamiątki narodowe i natura; który umie się wznieść od codziennych życia kłopotów do téj sfery, w której myśl sama sobie wystarcza, taki człowiek nieszczęśliwym być nie może.

Oprócz względu na szczęście, jest jeszcze wzgląd inny, subtelniejszej natury. Młodzież dzisiejsza, narażona jest na niezdrowy powiew socjalistycznych idei. Najławniej czepiają się one niedoświadczonych głów, szukają sere, pragnących dobra ludzkości (nie mówię tu już o tém, że socjalizm najwięcej rekru-

tuje sobie adeptów między ubogimi, nienawidzącymi bogatszych i w nowych idejach szukającymi zmiany dotychczasowego położenia)—podstępny więc swym językiem wyzyskują to pragnienie na korzyść swych mrzonek. Badając, co najskuteczniejszą straż przy młodem sercu spełniłoby mogło, jakie uczucie dać naszemu dziecku na odparcie ze wschodu i zachodu wiejącój na nas zarazy; należy przyjść do przekonania, że owym kordonem sanitarnym, może najskuteczniej być miłość ojczyzny. Jest to uczucie pochłaniające porywy obywatelskie młodzieńca, wykluczające mrzonki o zlaniu się narodów w handlową i przemysłową spółkę, mówiącą językiem międzynarodowym i uważającą patryjotyzm za czułośćkowość nie naczasie już dziś będącą. Sama ta myśl, że przewrót społeczny naraziłby kraj rodzinny na straszne klęski, może wstrzymać młodzieńca na brzegiem przepaści.

Nie lekceważmy tego względu; przyszłość może nam przynieść potwierdzenie obaw dzisiejszych.

Ktoś nazwał prawdę słońcem moralnem i nazwa ta wybornie charakteryzuje jej naturę. Nauka dąży do odkrycia prawdy; wszystkie jej dociekania prawdę mają na celu; nawet hipotezy uczone są prawdą względną; świat myśli, uczuć, bezwiednie ciąży ku niej — ona jest atrakcyjną siłą i jednym z czynników ruchu umysłowego.

Mniemam, że kłamców dla tego jest tylu na świecie, że nie dotknąwszy nigdy ustami rozkosznego źródła prawdy, nie wiedzą, ile mieści w sobie słodczy i poczekających własności. Przyzwyczajeni od dzieciństwa do kłamania przed sobą i drugimi, nie wiedzą, jakiej wewnętrznej szczęśliwości przyczyną jest prawda. Od nas zależy, by naszym dzieciom dać zakosztować jej urok, by go wyssały z mlekiem matki, poczerpnęły z przykładu i atmosfery moralnej, jaką je otoczymy; by usta nasze oczyszczone, jakby ognistym cheruba kamykiem, były dla dziecięcia organem prawdy bezwzględnej. Słowa są myślami i uczuciami pod postacią żywą, są jakby zdawkową monetą skarbnicy moralnej, jaka w nas spoczywa; by jednak nie zamieniły się wnąd-

ny, fałszywie dźwięczący alijaż, trzeba skarbnicę oczyścić z tego wszystkiego, co może szczerę złoto zaśniedzić.—„Oczyśćcie dom” —woła ksiądz Robak do współobywateli. Na każdą matkę takby należało zawołać. Tak, oczyśćcie dom z fałszu, obłudy, zarówno z większego, jak i najdrobniejszego kłamstwa, bo jeżeli małe dziecię już kłam w życiu i słowach rozeznać umiało, podrastające chłopię dosłodzi wszystkich jego odcieni; nauczy się na przykładzie rodziców wypaczać własne uczucia.

Przez takie w młodości przyzwyczajenie, myśl i wogóle moralna strona nasza tak chronicznie słabą i nielogiczną się staje, że już fałsz i prawda przestaje dla niej dwa oddzielne pojęcia stanowić i zléwa się niejako w coś pośredniego, zawsze gotowego do ustępstw, a coby można nazwać rozluźnieniem sumienia.

Tylko dom rodzicielski może dziecku dać przykład prawdy, jako zasady życia i prawdomówności czystej a odważnej. Szkoła, świat, towarzystwo, raczej zepsuć, niż korzystny wpływ pod tym względem wywrzść mogą. Dostyć jest przypatrzeć się im bliżej, by dojść do tego przekonania. Panuje tam co najwyżej zasada Lykurga, potępiająca tylko niezręczne kłamstwo, takie, które pozorów prawdy przyjąć nie może. Czystej miłości prawdy tylko w rodzinie można zaczerpnąć. Rzadki, jak Alcybijades, na swój drodze Sokratesa napotka.

Od ogólników pozwolę sobie zejść do zastósowania, do niektórych przypadków, stanowiących punkt sporny pomiędzy wychowawcami. Jednym z takich jest kwestyja: czy dziecko należy chować w zupełnej niewiadomości środków, jakimi w przyszłości rozporządzać może, czy też mu je wyjawić, skoro tylko będzie wstanie to pojąć? Czy mu powiedzieć:—Będiesz kiedyś bogate, jesteś piękne, jesteś zdolne, masz talent; lub też chować je w niewiadomości tych darów z obawy, by nie urosło w pychę, zarozumiałość i próżność? Otóż ośmielę się powiedzieć stanowczo, że jak we wszystkiem, tak i w tym względzie, prawdą tylko rządzić się trzeba.

Gdyby mię zapytano: jakie warunki najkorzystniej wpływają na wychowanie dziecka?—odrzekłabym, że mierność majątkowa i powierchowność, ani piękna, ani brzydka rażąco; że jednak przepis ten do wszystkich zastósować się nie daje; więc trzeba

brać dziecię jakim jest i w kole, w jakim przeznaczenie je umieściło. Ubogie, widzi od urodzenia ciężką pracę rodziców, wysilenia nadludzkie matki, żeby dom i ubiór dziecienny był czysty; jój oszczędność, jój genialne pomysły, by obiad jak najtańszym kosztem uczynić smacznym, by ojciec spracowany mógł mieć kawałek pożywnego mięsa; widzi nieraz ojca z zasepioném czołem, pogrążonego w myślach i wie, że je troska o chleb sprowadza; wie od najmłodszych lat, że jest członkiem rodziny biednej: jemu więc o tém mówić nie potrzeba.

Pragnęłabym jednak dla moralnego dobra dzieci, by ubóstwo nie było owém połączaném ubóstwem, oszukującym innych, a uczącym dzieci od urodzenia próżności, fałszu i obłudy, tym razem najwięcej poniżającej osobistą godność człowieka. Niech uboga matka nie wstydzi się swego ubóstwa, niech je nosi z godnością i nie myśli, że ukrywanie go kosztem prawdy, szlachetną dumą nazwać się może. Nie straszniejszego nad nędzę złoconą, bo się pod nią moralnej nędzy domyślać należy, bo za nią kryją się niezaspokojeni wierzycciele, łzy i przekleństwo ludzkie; kryją się niesnaski rodzinne, wykrety, podstępne kłamstwa i niedotrzymane zobowiązania.

Takie przykłady zabijają w dzieciach uczucia osobistej godności i sprawiedliwości i nie są tak rzadkie, jakby się to zdawało, a trafiają się zarówno pomiędzy obywatelami [ziemskimi, jak i mieszkańcami miast, którzy nie umieją sobie odmówić wygod i przyjemności, na jakie ich stan majątkowy nie pozwala. To téż, o ile ubóstwo, noszone z godnością, obudza mimowolny szacunek i korzystnie wpływa na charakter dziecka, o tyle złocona nędza najgorszy wpływ wywiera na każdego z tych niewinnych aniołków. Poza nieuczciwością i niesprawiedliwością, chowa się zawiść, zazdrość, nieżyczliwość, pragnienie dóbr, zbytku i używania.

Na bogatszego od siebie człowieka, dziecię uczy się patrzeć z nienawiścią i zazdrością, a w ślad za tém idą niezdrowe marzenia, i bogactwo staje się celem życia, do którego, by dojść, wszystkie środki są godziwe. O, biedna matko! która musisz ochraniać dziecię przed tak zgubnymi wpływami, jeżeli ojciec przykładem je psuje! Czyń, co możesz, by je wyrwać z przepaści,

wszystkimi sposobami przeciwdziałaj zgubnemu wpływowi. Niech tylko ciebie dziecię nie schwyta nigdy na kłamstwie. Mów z niēm otwarcie, że wierzyciel ojca jest człowiekiem, który wyświadczył dogodność, pożyczając pieniędzy, że teraz upominając się o ich zwrot, jest w swojēm prawie; że jeżeli ojciec oddać mu ich nie może, to jednak słusność wszelka leży po jego stronie. Jeżeli dziecię jest już w stanie to zrozumieć, możesz dodać, że gdyby ojciec nie mógł zwrócić wierzycielowi pieniędzy, to ono, gdy dorośnie powinno dopóty pracować, dopóki nie zbierze potrzebnej sumy na jego zaspokojenie.

Gdy matka jaki grosz zaoszczędzi, może w obecności dziecka włożyć go do szufiadki i powiedzieć, że jest to drobiazg w porównaniu do zaciągniętego długu, ale i ten grosz przeznacza na jego spłacenie i nie pozwoli sobie żadnego niepotrzebnego wydatku, żadnej przyjemności, bo pieniądz ten do wierzyciela ojcowskiego należy.

Drugim wpływem, wynikającym z życia nad stan, a szkodliwie oddziałującym na dziecko, jest przyzwyczajenie go do wygod i trybu niezastosowanego do majątkowego położenia, w jakim prawdopodobnie się znajduje. Gdy dorośnie i samo sobie zostawione już będzie, nie mu się nie wyda godniejszēm pożądaniam, jak owe wygody, w jakich żyli rodzice i powiększy falangę pieczeniarzy, oszustów, wydrwigroszów i tych ludzi niepewnego rzemiosła, którzy niewiadomo z czego żyją, a jednak jadają zawsze najdroższe nowalije i palą najlepsze cygara. Los córek może być jeszcze gorszy, a sposób dostarczania sobie wygod życia jeszcze smutniejszy. Niezadowolenie, jakie się spostrzega w nowoczesnych pokoleniach, wypływa z potrzeb, wzrastających w stósunku większym, niżeli wzrastają środki dostateczne do ich zaspokojenia. Dla tego danie, jak najmniej zbytowych wymagań, ochrania wychowanka od chorobliwego niezadowolenia.

Mierność ucziwa, na bogactwo nie pozująca, niewiele zostawia do powiedzenia. Dziecię najkorzystniēj wśród niēj się rozwija; matka najwięcej zwykle mu się oddaje, bo ani wymagania życia wielkoświatowego, ani ciężka praca na chleb od domu jēj nie odrywa.

Dziecię bogatych rodziców powinno wiedzieć, że jest bogatém; ale bogactwo owo niech mu będzie na każdym kroku przedstawiane, jako rzecz wielkie obowiązki na człowieka nakładająca.

Niech pamięta, że od bogatego człowieka więcej się wymaga, niż od ubogiego, że mając środki po temu, więcej doskonalić się winien, że sam Chrystus powiedział: iż bogacz trudniej, niż ubogi do królestwa niebieskiego się dostaje i że jeśli ubogi żadnych obowiązków, prócz miłości bliźniego, względem bogacza nie ma, bogacz ma ich względem ubogiego tysiące. Niech zresztą oswaja się z tą myślą, że w naszym kraju wiele jest do zrobienia, że bogatemu następuje się wiele przedsięwzięć, w które włożony pieniądz, przy umiejętnym kierunku, przyniesie zarówno jemu, jak i pracownikom nieobliczone korzyści. Również bogata w przyszłości panna, powinna mieć poczucie szerszych obowiązków zaszczerpione z dzieciństwa. Niech jej za wzór służą dawniejsze matrony, co wkoło siebie rozlewały wpływ dobroczynny na wszystkich, przestrzegając czystości obyczajów, miłując wszystko swojskie. Niech więc zresztą, jak za granicą i u nas kobiety rozumne i duchem obywatelstwa ożywione wspierają swym majątkiem i wpływem literaturę i sztuki, jak zasługują się krajowi, stając na czele opiekuńczych i dobroczynnych towarzystw. Zbyt czynnem byłoby mówić, że przykład winien tu współdziałać ze słowami, bo czyn zawsze od nich jest wymowniejszy.

Prawda, wydająca mi się być najcenniejszym środkiem wychowawczym, którego pominięcie zawsze szkodę przynosi, nie powinna powstrzymywać matki od powiedzenia dziecku, że jest piękne, jeżeli niém jest w istocie, a nie tylko w jej wyobrażeniu. Piękność zresztą nie jest rzeczą, którąby się ukryć dała; dziecko zdobędzie prędko przeświadczenia o niej; oświecają je co do tego spojrzenia niebaczne słowa obcych; wyjawia mu ją zwierciadło i matka udająca, że piękności dzieci nie widzi, prędko przez nie o obłudę posądzoną zostanie. Może więc, a nawet powinna mu powiedzieć, byle ze spokojem, po prostu:—Bóg dał ci ładną powierzchowność; tak jakby mówiła: że słońce świeci, lub deszcz pada; niech następnie doda, że piękność zależy od gustu i że się często ją traci.

Gdy dziecię jest nieco starsze, matka winna mu wyjawić obowiązki, jakie nań spływają z tym darem piękności. Może mu powiedzieć, że jeżeli dziecko garbate, lub pod innym względem upośledzone fizycznie, może być skwaszone, patrząc na innych z zawiścią i zazdrością; to dziecię piękne powinno czuć wdzięczność dla Boga, że je uczynił miłym i powabnym dla oka innych ludzi, że mu dał powierzchowność, od której wzrok nie odwraca się ze wstrętem, ale owszem z upodobaniem na niej spoczywa; że jest to jednak dar o tyle cenny, o ile odpowiada mu piękność duszy, dobroć serca; o ile nie oszukuje wzbudzonej sympatii, ale owszem stwierdza ją przez odkrywanie, przy bliższem poznaniu, przymiotów serca i umysłu.

Chłopcu powiedz, że piękność w mężczyźnie, jest mało cennionym darem, że niewiele może mu dopomóc do świetnego ukończenia nauk, lub w jakimkolwiek zawodzie, w którym tylko zdolność, nauka i praca pozyskuje uznanie i że raczej szkodę, niż korzyść przynosi, jeśli z innymi przymiotami nie idzie w parze, bo zwraca oczy na nicosć moralną, pięknymi przyodzianą kształtami.

Dziewczynkę starajmy się zachwycić obrazem pięknej powierzchowności połączonej z piękną duszą i wskażmy jej zasługę, jaką może mieć osoba piękna, jeżeli sympatyją, jaką sobie zjednywa, wyzyskuje dla dopięcia wyższego, moralnego celu, zapalając umysły ku wszystkiemu, co piękne i szlachetne, co ku enocie i spełnieniu wzniosłej jakiejś idei prowadzi.

W istocie do pięknej osoby wszyscy się garną i dziecię twoje dozna tego od najmłodszego wieku, że ludzie będą brzydsze dzieci omijać, by się rozkoszować jego widokiem. Wcześniej bardzo dojdzie twoja pieśzczołka przyczyny tej różnicy, i jeżeli wmawiać jej będziesz, że niczem od innych dziewcząt się nie wyróżnia, sprawisz, że jej skromność będzie kłamaną skromnością, pod którą pycha nurtować zacznie, a dziecię przestanie ufać i wierzyć ci bezwzględnie, o co najusilniej starać się powinnaś.

Nie uznawszy piękności dziecka, nie będziesz mogła walczyć z egoizmem, który, jak utrzymują niektórzy badacze ludzkiej natury, bywa jedną z wad pięknych osób.— „Piękność” —

mówi jeden z nich—usposabia do uprzejmości, ale rzadko idzie w parze ze zdolnością do głębszych uczuć.*) Piękna kobieta od dziecka przywyka do panowania, do odbierania hołdów, do grzeczności, i usłużności mężczyzn, do tego, iż wszyscy przywiązują uwagę do każdego jej słowa, a wszystko to wyrabia w niej śmiałość, zarozumiałość i egoizm.

Matka wyprzedzić powinna te wady, i piękne dziewczę, okryte puklerzem skromności w świat wprowadzić. Wszak i tak wiedzieć będzie, że piękność panowanie jej zapewnia, ale ustrzeże się hypokryzyi—wady o tyle brzydszej, ile pospolitej.

W jednym tylko wypadku surowość prawdy powinna być przez litość i miłosierdzie złagodzona, a to w razie, jeżeli dziecię upośledzonem jest od natury. Każdy litościwy człowiek w stosunku z idyjotą, postępuje tak, by nieszczęśliwego utrzymać w przekonaniu, że się niczem od innych ludzi nie różni; przy fizycznych niedostatkach i kalectwach dzieci, ta sama litość powinna łagodzić bolesną prawdę.

Byłoby nieludzkością powtarzać bezustannie garbatemu dziecku, że życie jego wyjątkową kolęj nieszczęścia przebieść musi, że widok jego jest wstrętny dla oka, że gdzie się obróci, śmiech złośliwy, lub politowanie obudzić musi. Takie postępowanie napęłniłoby żółcią serce nieszczęśliwego dziecka, zrobiłoby je do zbytku nieśmiałem, bojącem się śmieszności, stroniącym od ludzi, obraźliwem i niebawem kalectwo fizyczne musiałoby wykrzywić moralną stronę człowieka. Niestety! samowiedza wyjątkowego położenia przyjdzie dla niego przy starciu się z ludźmi; zawsze jednak delikatność i litość dobrych sprawi, że nieszczęśliwy nie poczuje całego ogromu swego nieszczęścia i, jeżeli podejrzliwość nie zostanie w nim rozbudzoną wychowaniem, nie jeden uśmiech złośliwy ujdzie jego uwagi; nieśmiałość nie zabije w nim przymiotów towarzyskich, które każą zapomnieć o jego wstrętnej powierzchowności.

Jeżeli obowiązkiem matki jest dać każdemu ze swych dzieci to, na co jej serce, praca, poświęcenie zdobyć się może;

*) Mme de Rémusat, *Essais sur l' education des femmes*:

to upośledzonemu od natury, podwójną miarą wydzielać wszystko powinna. Nie mówię, by dla niego miała być słabą aż do zaniechania środków karności, gdy tego się okaże potrzeba; ale by jej macierzyńska opieka, umiała je skutecznie osłaniać przed upokorzeniem, cierpieniem miłości własnej i wszystkiemi tęp, co wsączając po kropli gorycz w jego serce, zabiłoby w niemi spokój, ufność w siebie i miłość bliźniego.

Sposób obchodzenia się z takiem dziećciem, niech będzie nacechowany przezornością i delikatnością siostry miłosierdzia, która wie, jak miejsca zranionego dotykać, by o ile można, oszczędzić cierpienia choremu i resztę organizmu wstanie zdrowia utrzymać. Dla tego, jeżeli rodzice kaléki mają środki wychowania go w domu, nie radziłabym oddawać chłopca do szkół publicznych, dziewczynki na pensyją; bo tym sposobem rzuca ich na pastwę szyderstwa dzieci rozmaitego, często bardzo zaniedbanego wychowania, zatem nie mających względu dla biednego kaléki.

Tę samą umiejętną a litościwą troskliwość, potrzebują także umysłowe upośledzenia, (nie mówię tu już o zupełnym idyotyzmie). Mówić dziecku pozbawionemu np. pamięci i zdolności, że nie jest ono wstanie nauczyć się niczego, że nie nigdy umieć nie może; że między rodzeństwem i towarzyszami jest paryją umysłowym; znaczyłoby to zabić w niemi wszelką ochotę do zdobycia pracy, choćby małych okrucich wiedzy, pozbawić na zawsze szlachetnej ambicji, oraz pragnienia przełamywania trudności z braku uzdolnienia wynikłych. I tu matka podwójną miarę trudu podjąć powinna, by wybrać dla dziecka najstosowniejsze pole do pracy, by je zachęcić, wesprzeć, umocnić, nie paraliżując jego usiłowań przez własne zniechęcenie się do bezowocnego nad niemi trudu. Jeżeli dziecko samo brak zdolności w sobie poczuje, niech mu to bolesne przekonanie gorącym współczuciem osłodzi. Niech powie:—„Nie masz zdolności, moje dziecie, ale praca wiele może, zwycięża ona największe trudności. Zresztą nietylko człowiek uczony jest pożytecznym obywatelem kraju, dobry rzemieślnik przynosi mu też korzyść i zaszczyt.

Sumienie jest tak pokrewnym prawdzie przymiotem, tak stoi z nią w bezpośrednim stósunku, że można je nazwać poczućciem prawdy ku nam samym zwróconém. Ale dla każdej prawdy trzeba podstawy, trzeba wykrytego przez nią samą prawa, na którémby się mogła dalej rozwijać. Sumienie — wewnętrzna potrzeba posiadania praw etycznych — dała ludziom religiją i przekonania. I dziś téż sumienie tylko na téj podwójnej podstawie kształcić się może.

Znaném jest wprawdzie i często powtarzaném, że sumienie jest darem wrodzonym, że je każdy z sobą na świat przynosi. Przekonanie to jest prawdziwe, jeżeli pod nazwą sumienia, rozumiemy władzę wewnętrzną sądzenia naszych czynności; jest fałszem, jeżeli przypisujemy jój wrodzony wstręt do złego, a zamiłowanie dobra. Ocenić czynności własne umie każdy człowiek, będący w pełném posiadaniu władz umysłowych; ale stanowisko, z którego je sądzi, zmienia się dla każdego. To, co przez jednych za dobro jest uznawane, w przekonaniu innych może być poczytane za występki. Lichwa n. p. i dzisiaj jeszcze przez jednych uważaną jest za niktzemne wyzyskiwanie, podczas, gdy drudzy uważają pobieranie, choćby najwyższych procentów, za zysk najnaturalniejszy od kapitału posiadanego otrzymywany.

Wrodzoną zdolność sądzenia, rozwija w dziecku świat zewnętrzny i życie. Doświadczenie uczy je, że ogień pali, woda zatapia, uderzenie sprawia ból; że przyjemność wypływa z zadowolenia pragnień, smutek zaś rodzą przeszkody ich zaspokojeniu stawiane. W téj szkole naturalnej kształci się sąd — sumienie.

Lecz będzie ono darem Bożym zmarnowanym, jeżeli nie damy mu poznania, co jest dobre, a co złe, jeżeli go nie wespierzemy na religii, i przekonaniach z niój płynących.

Głos tego wewnętrznego sędziego stanie się bardzo słabym, jeżeli zagłuszą go namiętności i paradoksalna argumentacja; słowem jeżeli pracą wychowawczą nie rozwiniemy i nie umocnimy téj szlachetnej ducha ludzkiego władzy. Praca nad sumieniem należy do najdelikatniejszych działań edukacyjnych; musi ona bowiem, kształcąc wychowanka na podstawie religii, śledzić jego myśli, słowa i uczynki bez wzbudzenia podejrzeń, rozwijających

skrytość charakteru, a jednocześnie zdobywać sobie zaufanie i szczerość, bez której niepodobna w tym kierunku krokiem naprzód postąpić. Trzeba zarówno być baczny dostrzegaczem i sędzią, nie zniżając się nigdy do roli szpiega; stać się dla dziecka okiem opatrności, zawsze na nie zwróconem, nie ograniczając zbyt mocno jego swobody; słowem—tak sprawiedliwość własną uczynić jasnowidzącą, aby ta nigdy się ku słabości, ani nadmiernej surowości nie przechyliła, aby nigdy w podejrzliwość nie popadła, a z drugiej strony nie grzeszyła zbytnią wyrozumiałością; aby nigdy nie dała się owładnąć słabością macierzyńską — tą słabością, co się admiracją dla własnych dzieci ujawnia, lub tą drugą, co pragnąc widzieć w nich doskonałe istoty, przesadza ich złe skłonności i błędy.

Z subtelności i drobiazgowości tego działania widzimy, że tu główna rola raczej matce, niż ojcu przypada w udziale; ojciec wszakże, nie schodząc do szczegółów, nie wywołując takiej ufnej ze strony dziecka szczerości; może, i musi działać w szerszych zarysach, dodając do pracy matki to, co jest tłem i perspektywą w obrazie i od czego sam przedmiot odbija dopiero wyraźnie i dobitnie. Weźmy przykład najbliższy: przypuszczam, że matka pracuje nad obudzeniem w dziecięciu wstępu do kłamstwa, usiłowania jej muszą być drobiazgowo i powolne; ojciec zaś, z oburzeniem w głosie, mówi przy obiedzie o kimś ze znajomych:—„To człowiek podły, nikt mu ręki nie podaje sfalszował podpis ojcowski, popełnił czyn haniebny—kłamstwo. Nie przyjmę go więc w moim domu.—Dziecię patrzy na ojca z szeroko rozwartymi oczami, myśli i kombinuje.

Ta energiczna apostrofa uwydatnia przed jego sumieniem słowa i pracę matki—jest ową perspektywą dla obrazu. Nie wiem, czy zdołałam dokładnie określić myśl moją; niech sobie jednak czytająca matka uprzytomni różnicę wpływu ojcowskiego, a macierzyńskiego; niech pomyśli, że ojciec przedstawia dla dziecięcia pracę poza domową, szersze stosunki, obowiązki publiczne; matka zaś dom, miłość, rodzinę; a poczuje, jak oba te wpływy, działając na sumienie dziecka, działają przecież odmiennie i wzajemnie się uzupełniają.

Czujność i delikatność sumienia rozbudzić można do tego stopnia, że człowiek, nie tylko złe popełnione, ale nawet ominiętą sposobność uczynienia dobrze sobie wyrzuca. By to otrzymać, niech matka wspólnie z dzieckiem rozważa jego postęпки, pokazuje mu z uczuciem miłości chrześcijańskiej, co dobrego mogło uczynić, jak mogło ustąpić siostrze lub bratu, jak go do posłuszeństwa zachęcić, jak młodszemu rodzeństwu winno przyświecać przykładem; jak ma cenić pracę służących i uczynić ją, o ile można, dla nich lżejszą, przyjemniejszą, jak im winno grzeczność największą; jak powinno być wdzięczne tym wszystkim, co pracują nad jego wychowaniem; jak to nigdy pieniędzmi nie można zapłacić niańce za nocne czuwanie, tracenie zdrowia przy pielęgnowaniu, gdy było chore; jak cenić dobroć, cierpliwość tych wszystkich, co od dzieciństwa nad niem pracowali, by je rozwinać, tak cielesnie jak duchowo; jaką to gorącą wdzięczność winno czuć dla Boga, który mu dał taką opiekę, jak Muza to dziękować czynem, kochając i dobrze czyniąc bliźnim; jaką szlachetną litość nad zwierzętami mieć należy, nie wyzyskując ich usług aż do udręczenia; jak słabszego przed mocniejszym bronić, a nawet niszcząc szkodliwego chrabąszcza, oszczędzać mu udręczeń i nie pastwić się nad żadnem stworzeniem. „Dzieci z urodzenia dobre i zanie wychowane—mówi Legouvė—docho-
dzą do tak niewzruszonej uczciwości, jaką zaledwie zna cnota. Nie ich nie zmięsza, nie z drogi nie sprowadzi. Jeszcze wolne od wszelkich stósunków z ludźmi i rzeczami, nieświadome wszystkiego, co się nazywa porozumieniem, ugodą, zachowują duszę nieugiętą dla prawdy, i to nie jak sprawiedliwi i mądrzy—w skutek wyrozumowanej woli—lecz, że ośmielę się użyć tego wyrazu, z głupoty, po prostu dla tego, że nie innego nie rozumieją. Nieraz próbuję szukać dziecko sofizmatami. Przedstawiam jego instynktownym skrupułom uludne rozumowanie, oparte na wymaganiach okoliczności, na koniecznych ustępstwach w życiu i t. d. Doprowadzę malca do milczenia, lecz go nie przekonam. Gdy po długiej rozmowie zażądam od niego po raz ostatni, ażeby mi objawił swoje zdanie; srebrny głosik wyda tenże sam dźwięk, co i na początku rozmowy; odezwie się jedną, jedyną nutą, jaką zna—nutą sprawiedliwości i prawdy. Jest to niejako

instrument, którego nie podobna odstroić, jest to kamerton, którego gdy się dotkniesz, niezłomnie wydaje swoje *la*, pokazując ci, o ile od tonu zбочyłeś”.

Do tego stopnia rozbudzone i ugruntowane sumienie dziecinne musiało być uprawiane przez szlachetną matkę. Taką też matkę przedstawia Legouvė w swėj pedagogicznėj powieści.

Sumienie światowe — honor jest uczuciem szlachetném, nie należy więc jego rozwijania lekceważyć. Daje nam ono pragnienie takiego uregulowania życia, by mu nikt nie miał nie do zarzucenia, by na niem najmniejsza nawet nie powstała skaza.

Honor jest białą szatą, którą najłżejsze dotknięcie brudu kala bezpowrotnie; noszenie jėj zmusza do oględności i uwagi na siebie, do chodzenia tylko czystemi i otwartemi drogami. Sumienie chrześcijańskie strzeże nas od grzechu w obliczu Boga; honor od grzechu w obliczu świata. Poczucie honoru jest zatem uznaniem solidarności ludzkiój i przyznaniem prawa sądu, jakie ma towarzystwo nad pojedynczym człowiekiem. Stąd wyrosły sprawy i sądy honorowe, oczyszczanie honoru, bronienie honoru przyjaciela lub kobiety.

Kształcąc poczucie honoru, nie należy brać dumy i pychy za szlachetną godność osobistą; a tém mniej pojmować go w duchu pogańskim, jak to ma miejsce na przykład, gdy człowiek dopuściwszy się jakiego niecenego czynu, wyobraża sobie, że pozbawiając się życia, ocalić zdoła swój honor, albo też, że ubliży sobie, gdy przeprosi obrażonego przez się człowieka. Często bardzo honor źle pojęty staje się chorobliwém uczuciem, którem człowiek opanowany, podobny jest do owego manijaka, co dobywał oręża wtedy, gdy nikt nie napadał na niego.

Uczucie to objawia się najczęściej u ludzi ubogich, przez los pokrzywdzonych, stojących na stanowisku zależném; spotyka się nierzadko u nauczycieli i nauczycielek domowych, czyniąc stósunek z nimi bardzo przykry i trudny.

Do pogańskiego pojmowania honoru przyczynia się niezawodnie apoteozowanie starożytności, karmienie jėj umysłowemi

plodami młodzieży przez całą epokę wieku chłopięcego. Wpływ rodziny powinien pojęcia skrzywione nauką sprostować. Jeżeli szkoła daje młodzieży za pokarm duchowy utwory, w których się odzwierciedlają pojęcia czysto pogańskie; rodzina powinna zaszczerpić w niej pojęcia chrześcijańskie i duchem ich ożywiać uczucie honoru—to źródło wielu czynów szlachetnych.

Zbytecznem byłoby mówić, że zarówno przy kształceniu sumienia, jak uczucia honoru, krasomówstwo słowa musi iść koniecznie w towarzystwie o wiele skuteczniejszego krasomówstwa przykładu. Poparcie uwag czynem jest nieodzownym warunkiem powodzenia w pracy wychowawczej.

Rodzice pragną szczęścia swych dzieci. Zbierając mienie, pragną otoczyć synów i córki dobrobytem, na którym szczęście materyjalne polega; kształcąc ich umysł, chcą je wzbogacić duchowo, zapewnić im szczęście, jakiem wiedza obdarza. O przygotowaniu jednak ducha do tego, by szczęście człowiek w samym sobie znajdował, mało kto myśli; a przecież jedynie w nas samych, w naszym uczuciu i charakterze, można zbudować przybytek dla tego niebieskiego gościa.

Umiejętność odczuwania szczęścia jest władzą, którą, ogólnie biorąc, za niezależną od okoliczności uważać można, bo nie okoliczności, lecz nasze pojmowanie i ocenianie tychże, stanowi tu o wzbudzonem uczuciu. Księga żywota zawiera dla każdego to, co w niej jego oczy wyczytać są wstanie. Są ludzie nie pragnący jęj nawet otworzyć, a utyskujący nad tēm, że przed nimi leży zamknięta. Inni, otworzywszy, przerzucają jęj karty niedbale, nie zatrzymując się nad żadną z piękności, bogato w niej rozsianych. Tych ludzi nie uszczęśliwić nie jest wstanie; powoli wypala się w nich ognisko, które umiejętnością odczuwania szczęścia nazwaćby można.

Wypala się i znika, bo ludzie ci nie szukali szczęścia na właściwej drodze; oni żądali go od świata, — widzieli je w zewnętrznych bytu warunkach, a odwracali oczy od życia zawartego we własnej ich piersi. Nie starali się nabyć umiejęt-

ności życia, za pomocą tych sił, jakie w nich samych spoczywały; ich zapoznanie też wprowadziło ich na drogę nierównej walki, której skutkiem jest zużycie bezowocne czynności duchowej, wyężdżającej się ku niedoścignionemu celowi. Uganianie się za szczęściem, zależnem od warunków zewnętrznych, jest zapoznawaniem woli Bożej, która jedyne ognisko szczęśliwości w nas samych złożyła.

Zważmy, jak szczęśliwymi czyni ludzi spokój ducha, tak doskonale w sobie utwierdzony, że jego siła, przy starciu się z rzeczywistością zewnętrzną, nienaruszoną zostaje.

Męczennicy chrześcijańscy uśmiechali się do swoich katów, bo duch ich od cierpień fizycznych był silniejszy. Matka Machabeuszów cierpiała, lecz jednocześnie radowała się w duchu i w jego głębi była szczęśliwą, bo spokojną się czuła. Mędrzec starożytny, odpowiadający potężnemu Cesarowi, że cała jego władza nie wystarcza na odjęcie mu szczęścia, był człowiekiem niezrównanie szczęśliwym.

Oderwijmy się tylko od zwykłego punktu zapatrywania się na to, co w świecie szczęściem się nazywa, jak: dostojęństwa, tytuły, zabawy, bogactwo, a nie trudno będzie nam pojąć, że szczęście takie—jest czerzą marą.

Nie mówię tu o odrzucaniu wszelkiego materialnego dobrobytu, jako o rzeczy do szczęścia niepotrzebnej. Dostatek, pozwalający nam nakarmić i odziać nasze ciało wygodnie, jest wielkim czynnikiem do urabiania się prawidłowo naszego ducha, zatem do uposażenia go w tę siłę, która sama w sobie szczęśliwość znajduje; ale sam dobrobyt szczęściem nie jest. Wszystko, co splywa z zewnątrz utrzymuje nas w ciągłym niepokoju, obawie, w bezustannem pragnieniu. Nigdy zupełnego szczęścia nie czujemy. Dobro posiadane—to tylko szczebel, po zajęciu którego, wyciągamy pożądliwą rękę po dobro jeszcze większe, pragniemy się wspinać coraz wyżej i nie możemy nigdy osiągnąć spokoju. Wyężona nadmiernie nie pragnień naszych zrywa się co chwila, a sama myśl, że to, w czem umieściliśmy szczęście, jest rzeczą znikomą, nietrwałą i zależną od okoliczności — już nam zdrój szczęśliwości zatrzuwa.

A jednak dążenie do szczęścia jest przyrodzoną potrzebą człowieczeństwa natury. Dopóki ludzkość istnieć będzie, szczęście nie przestanie majaczyć przed jej okiem, jako pojęcie nigdy nie określone w jego znaczeniu ogólnem i przedstawiające się coraz w innej formie dla każdego z jej członków. Do *swojego* szczęścia człowiek zawsze dążyć będzie. Uczynić mu je przystępnym za pomocą wychowania, czy to nie piękne, nie wielkie zadanie?

Doskonalenie się moralne, gdy do niego rodzice dzieci swe zaprawiają, stanie się dla nich szczęściem bezporównania większém, niż może niém być zbieranie skarbów dla bogacza. Miłość rodzinna, miłość ludzkości—to źródło rzeczywistego szczęścia! Samolubnych uciech może człowiekowi zabraknąć; tych, któremi dusza jego się nasycza, gdy żyje dla drugich, nie zabraknie mu nigdy. —

Uczmy zatem dzieci nasze kochać silnie—co ukochania godne, kochać jak najgoręcej, lecz kochać rozumnie i czynnie, nie czułościowo, nie powierzchwną serca—lecz jego głębią. Taka miłość zasłoni je od cierpień próżności, zarozumienia i pychy; zasłoni przed ranami miłości własnej i tę miłość własną w szlachetną godność osobistą zamieni. Samo cierpienie i boleść, jaka w życiu każdego spotykać musi, stanie się dla nich szkołą męstwa, a nie upadkiem, podniesie je na taką wyżynę doskonałości, do jakiej już nie dosięga cały tłum poziomych żądz, pokuszeń i namiętności.

Do takiego szczęścia, które właściwie jest dopiero owocem lat dojrzałych i dojrzałych przekonań, rodzice tylko przez kształcenie uczucia i woli dziecię przygotować mogą.

Jeżeli jednak taką jednolitość i hart ducha można nazwać spokojem szczęścia, ową pogodą, panującą zawsze na szczycie, choćby poniżej przepływały chmury, niosące gromy i nawałnice; to obok niego jest jeszcze zdawkowa moneta szczęścia codziennego, małego szczęścia, co jak ptak skrzydłem, umie uderzyć i spocząć na każdym przedmiocie, rzucić swój promień na każdą ciemność, jaskrawe światło przysłonić, stanąć zawsze wpoprzek maluczkich nędz żywota i nie dać im przystępu do przybytku naszej szczęśliwości.

Jednostajność humoru, zawsze wypogodzone czoło, zadowolenie łatwo sprowadzone lada kwiateczkiem na ścieżce żywota znalezionym, to są skarby, w które dzieci łatwo zaopatrzyć możemy. „Trzeba mieć dumę w ducha całości, a pokorę w każdej życia chwili” — mówi Krasiński. Całość ducha — jego dumna wyżyna, niech będzie w sobie zamkniętym światem, nieprzystępnym wpływom zewnętrznym; ale „pokora w każdej życia chwili” — to łatwość otworzenia serca na najmniejszy szept natury, na wdzięk ludzkiego słowa, na uśmiech niemowlęcia, na piękno, gdziekolwiek oko pochwycić je może, lub ucho dosłyszeć i zgromadzenie w sobie tych darów Bożych, które nas otaczają, a których tylu z nas nie dostrzega nawet na maluczkie „pokorne” szczęście każdej chwili.

Matka może dzieciom dać takie szczęście, ukazując im, skąd jego źródło wypływa. Niezależnie od pracy nad pogodą i szczęśliwością wewnętrzną, może otworzyć im oczy na wszystkie te małe pociechy, jakie tak hojną ręką Stwórca na naszej drodze rosypał. Słońce, powietrze, kwiaty, zwierzęta, śpiew, słodycz rodzinnych i towarzyskich uczuć — to wszystko raduje, pociesza, byle umieć uśmiechem przyjąć każdą przybywającą rozkosz.

Śmiech, wesele, radowanie się dzieci za każdym, najmniejszym darem chwili, jest bardzo pocieszającym dla ich przyszłości objawem.

Bywają dzieci znużone, skwaszone, wiecznie niezadowolone, wiecznie pragnące nadzwyczajności, których nie nie bawi; te już mają zaród choroby, zniczekceniem zwaną, a toczącą powoli, lecz wytrwale organizm duchowy. Niech matka zbada przyczynę choroby, skoro ją dostrzeże. Czy dzieci nie posiadają za wiele i nie otrzymują ciągle nowych zabawek? Czy ich umysł nie zbyt pospiesznie w kierunku niedzielnym był rozwijany? Czy nie są przegnębione wymaganiami nadmiernymi i krępującymi ich ruchy? Może nieukontowanie i wieczne skwaszenie kogo z otaczających daje im przykład takiego usposobienia, lub opiekunowie dzieci nie umieją dzielić ich wesołości i do niej zachęcać?

Któryś z pisarzy niemieckich zły humor nazwał: „katarem duszy”. Jakkolwiek ten termin medyczny zabawnie wygląda w tym razie, dobrze wszakże określa rzecz samą, gdyż zły humor, jest rzeczywiście stanem chronicznym ducha. W dzieciach jest on zupełnie nienaturalnym i musi chyba być wywołany fałszywem postępowaniem. Najłatwiejszym sposobem zaszczepienia go dzieciom nazawsze, jest dogadzanie wszystkim ich kaprysom, ich bezustannie wzrastającym zachciankom, które przeradzają się w żądania, nie mogące być nigdy zaspokojonemi.

Dziecię starsze, jeżeli postępowanie nauczycieli z niem jest właściwe, może już pojąć szczęście pracy, a przynajmniej doznawać wielkiego zadowolenia, po każdym jej dziennem spełnieniu. Postęp w pracy umysłowej, może je napępniać radością i utrzymywać jego ducha w zdrowiu, jakie daje zawsze znajdowanie przyjemności w dokonywaniu obowiązku i taki stan zależy najczęściej od sposobu postępowania nauczycieli i rodziców. Kto dał zasmakować wychowawcowi z tej czary największej szczęśliwości — ukochania swych obowiązków, ten może mu zapewnić szczęście, a niezawodnie spokój wewnętrzny całego żywota.

Kończę ten rozdział, przytaczając zdanie Spencera: „Szczęście jest najlepszym ze środków tonicznych”. Znaczy to, że szczęście daje nam zdrowie, ułatwia trawienie, zatem do funkcyjonowania prawidłowego naszego organizmu się przyczynia. Ci przeto rodzice, którzy usposobili dzieci swoje do łatwego zadawalania się i radowania każdą najdrobniejszą przyjemnością, ci zapewnili im potężny środek, ułatwiający im wzrost i silne rozwijanie się ciała.

ROZDZIAŁ X.

Nauka nie jest wszystkim. Charakter. Pracowitość. Wola. Odwaga. Porządek. Dobroć.

Często zdarza się, że nawet najlepsze matki, które wyrzekły się samolubnych celów, żyją tylko dla dzieci i w nich umieścily szczęście swoje,—że takie matki nie zdają sobie sprawy, jakie stanowisko w wychowaniu ma zająć nauka, a jakie edukacyja moralna. Matkom tym zdaje się, że nauka jest to *panaceum* doskonałości i szczęścia; wśród troski o danie jej dzieciom, spuszcza ją z oka cel główny—kształcenie charakteru. Jest to rzecz nader zwyczajna. Dziecię chodzi do szkół lub na pensyję; ma oprócz tego godziny lekcyj prywatnych, a jego postępy naukowe, tak dalece zadawalają matkę, że moralna strona dziecka nawet nie zwraca jej uwagi. — Wśród rozmowy z niem, zawsze i zawsze występują tylko dobre stopnie, nagrody, pochwały szkolne, promocyje, patenta, rzadko kiedy troskliwość jej ściąga się do przekonań i poglądów wychowawcy. Dziecię, które się źle uczy, z jakiego bądź powodu, stokroć więcej ją martwi, niż to, które okazuje złe skłonności; — a choćby chłopiec, odbierający nagrody i promocyje, był samolubem, pyśzałkiem, zawistnym lub niewdzięcznym, matka z dumą i upojeniem na niego spogląda. Znajomi i przyjaciele mimowoli także przyczyniają się do tego:—„Jakie to szczęście — zwykli mawiać wobec rodziców — mieć takiego syna, jak państwo! Uczy się dobrze, podobno pierwszym jest w klasie! Zawsze go moim chłopcom stawiam za przykład.” Osoba stawiająca tak za przykład chłopca, odbierającego nagrody, wie dobrze, że jest niezdolnym samolubem, nieuczynnym i nieużytecznym, ale nad temi

przywarami nie zastanawia się wcale; zapomina o nich, albo je lekceważy, bo celująca nauka chłopca ze wszystkich wad go rozgrzesza.

Starannie wychowywane dziecko, znaczy w pojęciu ogółu dziecko, uczące się tego wszystkiego, czego zwyczaj uczyć każe. Taka opinia, wprowadza w błąd wielu rodziców. Nie przychodzi im nawet na myśl, że nauka bez charakteru, bez zasad moralnych, może wprowadzić dać światu jednego uczonego więcej, ale nie da rodzicom wdzięcznego i kochającego syna, krajowi obywatela, rodzinie uszczęśliwiającego i uzacniającego ją członka.

Nie chcę tu bynajmniej umniejszać czei, jaką ludzkość ma dla nauki, rozumiem jej wpływ potężny na intelektualną i moralną stronę człowieka; ale pragnę zaznaczyć, że sama nauka nie jest jeszcze wszystkiem, chociaż w wychowaniu zajmuje tak wybitne stanowisko. Nauka — jest jakby majątkiem, który sam w sobie przedstawia kapitał martwy. Czemże jest majątek w ręku skąpca, w ręku złego lub rozrutnego człowieka? Jest nieużytecznym lub źle używanym środkiem. To samo dzieje się z nauką, gdy jej nie wesprze charakter. W ludziach samolubnych, chciwcach zmateryjalizowanych, staje się ona sługą przekupną, wyzyskiwaną ze złą wiarą; w ludziach słabych, chwiejnych, bez odwagi, siły i męstwa, jest orężem w ręku tchórza, który go ani użyć, ani wywalczyć nim w życiu nie nie potrafi; w niewytrwałym, lekkim próżniaku, choćby miał największe zdolności, będzie zawsze owemi skokami zająca, którego wszystkie zółwie, niezawodnie wyprzedzą do mety.

Jeżeli więc naukę i jako rzecz wziętą samą w sobie i jako środek pedagogiczny, wysoko cenić należy; to jednak nie trzeba nigdy do tego stopnia dać się oslepić jej blaskiem, aby nam z oczu zniknęły wszystkie inne człowieczego ducha własności.

Nauka jest wyzwoleniem z więzów umysłu ludzkiego, jego usamowolnieniem; ale wolność, ten dar niebieski, jest darem niebezpiecznym lub nieużytecznym, jeżeli nie umiemy nad nim panować i kierować nim przez siłę woli, energiją, pracę, wytrwałość,

szlachetne dążności i przekonania, słowem przez charakter. Nawet powodzenie w życiu, więcej nierównie od niego, niż od nauki zależy. — „Ludziom nie powodzi się w życiu — mówi biskup Dupanloup *) — częściej przez brak charakteru, niż rozumu. Jest to uwaga, codziennie doświadczeniem stwierdzana. Człowiek lekkomyślny, słaby, chwiejny, zniechęcający się, łatwy do opanowania przez innych, ustępujący i uginający się przed napotykanymi przeszkodami — człowiek taki nie wzbudza zaufania; jakiegokolwiek są przymioty jego umysłu, zawierzyć mu jednak niepodobna. Charakter nie tylko jest siłą, stałością i energiją męską, ale także stwarza godność, podniosłość moralną, szlachetność duszy, w potrzebie — heroizm. Z niego wypływa wierność wspaniałomyślna, wytrwałe poświęcenia, usługi bezinteresowne, chwalebne zaparcie się, niezwalczony opór, gdy idzie o dobrą sprawę.” Dodać tu należy, że nawet rozum, nie przez samą naukę się kształci i bynajmniej nie jest jęj równoznacznikiem.

Nie lekceważąc tedy nauki, jako środka rozwijającego umysł, pamiętajmy, że nie jest ona w stanie zastąpić dziecku moralnej edukacji, jaką tylko przykład życia rodzinnego dać może, — „Naród jest zawsze tém, czém jest rodzina.” — Ona jest źródłem, z którego wypływają przyszłe przekonania, a zatem czyny młodzieńca lub dziewczyny.

Powierzenie dziecięcia szkole (o nauczycielach domowych wspomnę poniżej) nie uwalnia zatem rodziców od pracy wychowawczej, o ile im na to okoliczności pozwalają. Szkoła, u nas szczególnie, nie urabia ducha, a lenistwo, jakie rodziców skłania do ulżenia ciężaru własnym barkom i złożenia całej odpowiedzialności za moralny kierunek na szkołę, pociąga zwykle najsmutniejsze skutki za sobą. Téj to przyczynie przypisać należy, że dzieci zdolne, obiecujące, umysłowo rozwinięte, nie ziszczają w dalszym życiu, powziętych o nich nadziei; że często w połowie drogi przychodzi zniechęcenie, podanie ucha i serca podszeptom niskich namiętności, słowem że młodzieniec nie wytrzymuje

(*) Lettres à un homme du monde.

próby pierwszej walki życiowej, upada w niej i podnieść się więcej nie umie.

Pomyślmy tylko, ile obiecujących, genialnych dzieci, wyrasta na tuzinkowych ludzi dla tego, że zdolnościom wrodzonym wychowanie nie dało podpory w silnym charakterze. Dusze słabe, wychowaniem nie wzmocnione, nie są zdolne do samoistnych wysiłków. Potracane wpływem ubocznym, podszeptami namiętności, idą za prądem, który je unosi i, rozumiejąc nawet, co dobro rzeczywiste stanowi, oddalają się coraz bardziej od niego. Nie brak im nauki, lecz charakteru. Gdyby go posiadały, mogłyby zdobyć tyle wiedzy, na ileby starczyła ich siła umysłowa. Ignacy Lojola, w 36-ym roku życia nie nie umiał. W tym wieku dopiero, postanowił nauczyć się po łacinie i po grecku, nadludzką pracą, w której upadał, a siłą woli podnosił się zawsze, zdobył niezwykłą biegłość we wszystkich naukach swojego wieku. Silną wolą zwalczył wszystkie przeszkody, a niemałemi były one dla człowieka, który znał się tylko na sztuce wojennej. Wiedza jego była zdobyczą charakteru. — Wszyscy wielcy uczeni, zawdzięczali swą wiedzę, nie tylko zdolnościom wrodzonym, ale i wytrwałej pracy, bez której nawet geniusze obejść się nie mogą.

Jeżeli zatem chcesz dać dziecięciu twemu wiedzę, umiejętność korzystania z niej, powodzenie, szczęście, cnotę wytrwałą, daj mu silną wolę, odwagę, pracowitość, daj mu poczucie obowiązku i przekonania. Przez nie to tylko syn twój dopełni obowiązków obywatelskich, rodzinnych i wogóle obowiązków człowieka; przez nie córka twoja, uniknie pokus, na jakie naraża życie, spełni obowiązki macierzyńskie i „będzie głowy męża koroną.” Nie pozwoli sobie wejść na owe ścieżki, tak kwieciste na wstępie, na które mogłaby zaprowadzić ją wyobraźnia, temperament lub wreszcie serce zbłąkane. Tylko przekonania, odważnie wyznawane, ochronią twe dzieci od kłamania czynem, od zdrad, odstępstw, podłości, intryg, służalstwa, próżności, niemądrej pychy, zarozumiałej nicości, plotek, oszczerstwa i fałszu. Uczucia nasze, przekonania, wiara — to nic innego, jak czyny nasze. Jest rzeczą jasną, że aby nimi kierować w duchu

chrześcijańskim, musimy siłą przekonań opanować nasze namiętności,—inaczéj one zapanują nad nami.

Jedną z wad nie występujących jaskrawo, a jednak podkopujących powoli a podstępnie naszą moralną istotę, jest lenistwo. Na piérwszy rzut oka, lenistwo wydaje się nam błędem małej wagi w dziecięciu, które pozwalamy sobie zdrobniale leniuszkiem nazywać. Prawie bawi nas ten brak wytrwałości i łatwe zniechęcanie się naszego malca, jego wieczne wyręczanie się we wszystkiém już to niańką, już to którém z rodzeństwa. Przypatrzmy się jednak bliżej, a przekonamy się, że ów błąd mały, mieści w sobie zarody wad bardzo szkodliwych w następstwach.

Ateńskie prawa Drakona naznaczyły karę śmierci na próżniactwo, uważając je za kradzież, popełnioną na ogóle i państwie. Podobną sprawiedliwość wymierza naród pracowitych pszczół na trutniach próżniaczych. W istocie społeczeństwo, dając jednostce do spożytkowania tak wielką ilość wyprodukowanych przez siebie przedmiotów, ma prawo żądać od niej w zamian pracy, ma do niej prawo i rodzina, wreszcie samo wrodzone człowiekowi pragnienie szczęścia, które bez poczucia rozkoszy pracy, nigdy osiągnięciem być nie może. Ktoś powiedział, że przez lenistwo powinniśmy stać się pracowitymi, gdyż tylko po pracy bezczynność jest przyjemnością. Zdanie to jest tylko zręcznie wypowiedzianym frazesem, albowiem wszelka praca potrzebuje wysiłku woli, gdyż lenistwo jest ospałością téj woli, jest jéj bezsilnością, omdleniem. Próżniak często czuje potrzebę pracy, a jednak nie ma siły do przezwyciężenia lenistwa; zatem wyrobienie pracowitości i kształcenie woli, jest prawie jedném i tém samém. Zaznaczyć tu wszakże wypada wielki wpływ, jaki przyzwyczajenie wywiera na zamiłowanie pracy. Ze wszystkich przymiotów ten najłatwiej się zdobywa mocą przyzwyczajenia i z tego względu przedstawia on dla matki obszerne pole, na którém łatwiej, aniżeli na innych, doczekać się może owocu swoich trudów. Dla dojścia do niego, niezbędném jest wprzód zbadanie natury lenistwa w dziecku.

Są dzieci ospale i nieruchliwe, w których lenistwo zdaje się wypływać ze stanu ich zdrowia, ze zbytycznej tuszy, z wody w głowie, lub tym podobnych przyczyn. Rzadko kiedy stan takiej nieczynności, spotyka się w dzieciach zupełnie zdrowych,—zatem oddziaływanie na stan fizyczny i wzmacnianie organizmu zalecać tu należy. Gdy przecież zdarzy się, że dziecko pomimo zdrowia, do tego stopnia jest apatycznym, iż go żadne zajęcie, żadna czynność nie pociąga ku sobie, a obok tego nie można w niem podejrzывать upośledzenia władz umysłowych; trzeba się starać rozbudzić to życie, zatrzymane w swym biegu z jakichkolwiek powodów. Martwe członki, obezwładnienie ciała, leczy się środkami pobudzającymi; należy zatem i w moralnym świecie podobnych środków poszukać. Niepodobna, aby dziecię czegoś nie lubiło; niechaj to, co lubi, będzie zniewolone zdobywać sobie; niech jego słaba wola wzmagą się, zrazu na małe, później na coraz większe wysiłki. W takim apatycznym moralnie i fizycznie dziecku, zamięłowaniem najwydatniejszym będzie zapewne jedzenie; niechby mu ono nie przychodziło bez pewnego trudu. Przypuśćmy, że takie dziecko znalazłoby się, jak Robinson na odludnej wyspie, i musiałoby samo wynajdywać i zdobywać sposoby do utrzymania życia. W takim razie, jakkolwiek leniwe i do lenistwa przyzwyczajone, musiałoby się zdobyć na jakiś pomysł, któryby w czynie urzeczywistnić pragnęło. Wiem, że sztuczne wynajdywanie środków, zmuszających do pracy, nie jest łatwe; trzeba się jednak uciec do niego i wyszukać sposobu, aby dziecię upodobaniom swoim, lub potrzebom, dogadzać mogło tylko za pomocą pracy odpowiednio zastosowanej. Jest to środek ostry, jak owe zniewolenie do pracy dorosłych próżniaków, zapomocą pompowania wody, która im grozi zatopieniem, jeżeli na chwilę zaprzestaną roboty.

Matka naturalnie potrafi ustósunkować wysilenia dziecka do jego możliwości. Znajdując w niem chroniczne lenistwo, nie powinna rąk opuszczać, ale owszem słabą wolę dziecka własną wolą zastąpić. Wola ta, pobudzająca wolę dziecka do działalności, w początkach nie wiele może skutkować; zwolna jednak, może w niem wywołać ocknięcie się woli własnej i przekonania o potrzebie pracy.

Nie zatrzymuję się dłużej nad lenistwem, wypływającym z zupełnej bezwładności moralnej lub fizycznej, gdyż przykłady takiego stanu są niesłychanie rzadkie. W zwykłych przypadkach wada ta objawia się inaczej. Dziecię, czynne i ruchliwe w czasie zabawy, ucieka od wszelkiej pracy, czy to umysłowej, czy ręcznej; gadatliwe i rzeźkie w chwilach swobody, staje się ospałym, ciężkim lub roztargnionym, gdy idzie o nateżenie uwagi, lub o przyłożenie rąk do systematycznego zajęcia. Jest to dowodem braku woli i przekonania o potrzebie pracy w samym wychowawcu; niekiedy jednak bywa następstwem braku taktu wychowujących, jeżeli ci, narzucają dziecku pracę nad siły, pracę niezgodną z jego umysłowym rozwinięciem, albo upodobaniem. Może nauka podawana dziecku jest za sucha, bez życia; może nieudolność nauczyciela winna temu, że uczeń niedosyć interesuje się przedmiotem, że go ten przedmiot, zamiast rozbudzać, usypia; może wreszcie, zniewalając dziecię do pracy nad wstrętnymi dla niego przedmiotami, pomijamy właśnie takie, do których czuje pociąg wrodzony. Znana jest historyja Linneusza, którego świat roślin pociągał od dziecka. Oddany przez ojca do kolegium, gdzie go poddano nauce języków umarłych, uważany był przez profesorów za nieuka, a zmartwiony ojciec oddał go do szewca, który go bił i uważał za próżniaka do niczego. Niezmiernie wybitne powołanie zdołało zwalczyć przeszkody i znieść tamy, jakie mu stawiano. Ale jak wszystko na świecie, tak i powołanie rozmaite ma stopnie, siłę i rozwój. Często trzeba go się doszukiwać w dziecku; często niedostrzeżone, leży w uśpieniu i czeka sposobnej chwili, która może nie nadejść nigdy. Do rodziców należy odkryć je i obudzić. Dziecię, z trudem i niechęcią uczące się obcego języka, może ma pociąg do jakiejś gałęzi wiedzy, o której mu jeszcze nie wspomniano. Odkrywszy taki pociąg, nie należy powiedzieć sobie obojętnie: nie czas jeszcze dla niego na historyję naturalną, dosyć będzie, gdy się zacznie jęć uczyć w latach czternastu; bo takie lekceważenie indywidualności dziecka byłoby niedarowanym błędem. Naprzód, idąc w jego wychowaniu za naturalnym popędem, otwiera się dla niego daleko szersze pole postępu; powtóre—rozwija się w nim zdolność myślenia, zamiłowania pracy, umiejętność uczenia się,

poczucie potrzeby i pragnienie wiedzy. Dziecię, które nauczy się pracować nad jednym przedmiotem, z pewnością i nad innym pracować potrafi, a zamięłowanie, rozbudzone do jednej gałęzi wiedzy, da mu poczucie potrzeby ćwiczenia się w innych. Weźmy za przykład w tym razie historiją tych uczonych, którzy własnem usiłowaniem i wybitnemi zdolnościami w pewnym kierunku, doszli do najwyższego stopnia wiedzy. Najczęściej spotykamy w ich życiorysach wiadomość, że w wieku już dojrzałym, a nawet i późniejszym, nauczyli się dopiero którego z nowożytnych języków, dla czerpania w jego literaturze wiadomości potrzebnych do uprawiania umiłowanego przedmiotu. Umiejętność pracy umysłowej uprzystępiała im zatem trud uczenia się obcej mowy.

Nauka o rzeczach — jeżeli tylko w nią wychowawca umie wlać życie, jest dzielnym środkiem do pokonania umysłowego lenistwa. Przez interes bowiem, jaki obudzamy w dziecku do poznawanych przez nie przedmiotów, budzi się w nim zmysł spostrzegawczy, zaostrza sąd i myśl pewnej sprężystości nabywa. Ale obok tych korzyści występują na jaw inne strony ujemne. Dziecię okazuje wstręt do późniejszej i systematycznej nauki. Doświadczyłam tego kilkakrotnie, że dziecię przywykłe do nauki w żywem udzielanej słowie, niechętnie spotyka się z nauką właściwą, chociażby starano się podać mu ją, w formie jak najprzystępniejszej. Męczy je pisanie kaligrafii, lub dyktanda; zżyma się na trudności ortografii, niecierpliwią je przykłady matematyczne; gramatyka roztargnionem je znajduje i więcej zajmuje je przelot muchy lub motyla, niż rozbiór prawideł języka. Rozbudzony jego umysł niechętnie zatrzymuje się przez czas dłuższy na jednym przedmiocie, odbiega go uwaga co chwila, reguły gramatyczne nie przykuwają jój do siebie. Podczas gdy nauczyciel mówi mu: „Rzeczownikami są wyrazy: drzewo, woda, dom...” — dziecię zapytuje nagle: — „A jakie drzewo?” — i więcej je zajmuje chęć dowiedzenia się, czy to był dąb, czy brzoza, niż to prawidło gramatyczne, że wyraz drzewo jest rzeczownikiem.

Jak jest męczącym dla nauczyciela takie usposobienie dziecka, czy je nazwiemy lenistwem, czy zbytnią ruchliwością umysłu, ten

tylko ocenić może, kto sam czegoś podobnego doświadczył. Dla zaradzenia téj męczącej niesforności myśli dziecięcej, ośmielałam się podać radę, aby od najmłodszego wieku odłączać naukę właściwą od téj, którą dziecię bawiąc się zdobywa i przeznaczyć choćby kwadrans, choćby pół godziny na naukę formalną, odrazu nadając jęj obowiązkowy charakter.

Niewiem, czy nauczanie dojdzie kiedy do tego stopnia doskonałości, na jakimby nowocześni pedagogowie widzieć je chcieli, mianowicie co do tego, by stopniowo, a jednak ciągle, przyczyniało się do rozwijania umysłu, tak, aby ten żadnego trudu, żadnego większego nie uczuwał wysiłku. Dotąd wszakże, nie jest ono na tym stopniu i nie prędko na nim się znajdzie, jeżeli tylko znajdzie się kiedy. Nauki szkolne potrzebują mozołu, pracy, wysiłków; złą przeto usługę oddają dzieciom swoim rodzice, którzy zaniedbują wdrażania ich do pracy obowiązkowej.

Zwrócenie czynności umysłowej dziecka na dany przedmiot, zatrzymanie ruchliwości jego myśli w obrębie ściśle oznaczonym, zależy w wielkiej części od taktu i pedagogicznego uzdolnienia nauczyciela, a szczególniej od tego, aby pierwszy nauczyciel dziecka, był człowiekiem poważnie traktującym swoje zadanie. Znałam zdolnego nauczyciela, który uskarżał się, że wciągu swego zawodu często odziedziczał uczniów po nauczycielkach początkowych, lub bonach, i znajdował umysł powierzonych sobie dzieci znarowiony złą nauką tak dalece, że samo odrobienie złego więcej mu dawało trudu, niż posiew nowego ziarna. Jednym z takich narowów, nabytych, wskutek złego uczenia, jest właśnie lenistwo myśli — wada ciężka do wykorzenia, i w takim razie nauczyciel winien być tém zdolniejszy, tém pracowitszy i wytrwalszy, im więcej jego uczeń lenistwu myśli i roztargnieniu podlega.

Jednym ze środków, pobudzających dziecię do pracowitości, jest praca odbywana z niem razem, Wiek dziecięcy jest wiekiem naśladownictwa; w téj epoce przykład działa silniej i skuteczniej, niż słowa. Dziecię chętniej kopie lub grabi w ogrodzie, gdy widzi towarzyszy swoich pracujących społem. — Ochotniej wykonywa na fortepianie sztuczki, ułożone na cztery ręce, niż na dwie; słowem przy każdym zajęciu zachęca je widok pracy,

równolegle z jego pracą idącęj. Nie mam tu wcale na myśli podpowiadania, lub dopomagania dziecku w nauce; przeciwnie niechby dziecko jak najwcześniej przywykło iść drogą samopomocy, a jak najmniej posilkowało się korepetycjami. Ile razy wszakże praca równocześnie wykonywaną być może, niechby przewodnik mający leniwego ucznia, zniżył się do dania mu z siebie przykładu. Rozumié się samo przez się, że rada ta stosuje się więcej do pracowitości fizycznęj, niż umysłowęj. Umiejętność oszczędzania czasu jest jednym z tych drogocennych nabytków, w których zastosowaniu przykład wiele może.

Byłoby do życzenia, ażeby ekonomija czasu, tak ważna w życiu późniejszém, znalazła rozumne zastosowanie i w wychowaniu; żeby dziecko nie używało dziesięciu minut czasu na spełnienie czynności, która w pięciu dokonaną być może. Ćwiczenia wojskowe dają nam miarę tego, iż żołnierz powolny, może, bo musi, wyrównać w czynności towarzyszowi żwawszemu; w zakładach naukowych, w konwiktach czas, przeznaczony na ubieranie się, nie może być przedłużony; jedzenie odbywa się również w czasie stale ograniczonym. Przy robotach wydziałowych, fabrycznych, na sztuki, możemy się przekonać, czém jest przyzwyczajenie, ta edukacja pracy dla ekonomii czasu. Zużywanie tego daru Bożego na błahostki zostaje często przyzwyczajeniem na całe życie. Marudne ubieranie się kobiet jest nałogiem często niepoprawnym, na który słusznie narzekają mężowie, na którym cierpi ład i porządek domowy. Jakże więc drogocenny nabytek życiowy daje matka córce, ucząc ją zarówno przykładem, jak pewną karnością wychowawczą, prędkiego ubierania się, jak i téj przytomności umysłu i sprężytości, która pozwala nam wprowadzić ład i pośpiech w każdą naszą robotę. Umiejętność prędkiego uczenia się jest również zdobyczą ogromną. Często dziecko, nawet najzdolniejsze, całe godziny trawi nad nauceńiem się rzeczy, na którą przy dobrej woli i pracy, [starczyłby kwadrans.

Trzeba je budzić, zachęcać, wskazywać sposoby praktykowane, przemawiać do rozsądku, wykazując szkodę, jaką sobie wyrządza marnowaniem czasu; wreszcie tak rozłożyć godziny, aby rychlejsze nauczenie się zadania, stanowiło o dłuższym czasie

zabawy, spaceru, konnej jazdy i t. p. Umiejętność usłużenia sobie samemu, pakowanie i układanie rzeczy, ślanie łózka, czyszczenie ubrania i dokonywanie tego wszystkiego, w jak najkrótszym czasie, daje nawyknięcia nieocenione w dalszym życiu.

Pracowitość jest to przedłużenie życia przez wyzyskanie najdrogocenniejszego a niepowrotnego daru — czasu; jest ona nieocenioną cnotą, nie tylko z powodu produkcyjnej wartości swojej, ale i jako środek hartujący ducha.

Jeżeli w dziedzinie ducha zechcemy doszukać się czynnika, który największą różnicę między ludźmi stanowi, który jednych nad drugich wyżej podnosi; wtedy uznamy, że tym czynnikiem jest wola, która zawsze u ludzi zjednywa sobie jaknajwyższe uznanie. Inne cnoty bez jej współudziału istnieć nie mogą. W niej to mają swe źródło: cierpliwość, wytrwałość, praca, panowanie nad sobą i t. p. Lecz wola ma wyrodne swoje rodzeństwo, które odróżnić od niej należy, a temi są: samowola i upór. Rodzinne ich pochodzenie jest to samo, tylko pierwsza patrzy ku górze, ku światłu — tam umieściła prawa moralne, którym podlega; — drugie zapatrzone w siebie i w ciasne kółko własnych interesów, działają w ograniczonym jego obrębie. W takiej też formie wola zwykle objawia się w dzieciach. Są samolubne i uparte, to jest, mają mniej lub więcej silną wolę, ale nie mają jeszcze przekonań, praw moralnych, któreby tą wolą kierować mogły. Ich brak zastępować w nich powinna wola rodziców, aż do czasu, dopóki wychowanie nie wyrobi w nich silnych przekonań. Bez tego steru, czemże jest wola? Często siłą dia społeczeństwa szkodliwą. Posiada ją zbrodniarz, intrygant przewrotny a wytrwały — i wtedy zamienia się ona w siłę ujemną, dającą podporę grzechowi. Jakkolwiek nie można im odmówić wspólności pochodzenia, przecież historia i życie pokazują nam, że wola, prawom moralnym ulegająca, wzmacnia się tym samym i w potęgę o wiele przechodzi samowolę. Dosyć jest przypomnieć sobie straszny dramat prześladowania chrześcijan, gdy

słabe dzieci i podrostki znosiły męczeństwo z wypogodzonem czołem,— ażeby dojść do wniosku, iż silne przekonania, tworzą silną wolę. Zastępując tedy dzieciom z początku owe moralne prawo przez nakazanie posłuszeństwa i karność wychowawczą, nie trzeba zapominać, że środek ten jest tylko zastępstwem chwilowem i że przekonania i wiara powinny być wpajane w serca dziecięce o tyle, o ile serca ich do nich dorosły; że kierunek życia zawisł od przekonań, zatem że je szczególnie i przede wszystkim wpajać należy i na ich korzyść powoli ze swych praw rodzicielskich czynić ustępstwa tém większe, im dziecko bliższe jest dojrzałości.

A jakiż sposób wpajania przekonań? Oto—wierzyć samemu i mieć własne przekonania tak niewzruszone, aby apostołstwo ich spływało samo z siebie na dzieci; aby je wyrażało każde słowo, czyn każdy, a nawet spojrzenie każde. Tak się przekazuja wszystkie uczucia: wiara, patryjotyzm, miłość i uwielbienie dla cnoty, przekonania polityczne, wyobrażenia ogólne,—słowem wszystko, co w dziedzinie myśli i uczuć jest rodzicielską własnością.

Już wyżej wspomniałam i tu jeszcze powtórzę, iż w wymaganiu posłuszeństwa, trzeba wielkiego taktu, spokoju, i wyrozumiałości. Nie należy wymagać zawiele i bez potrzeby woli dziecięcej pogwałcać, bo się ją pozbawia hartu; ale przez wymagania swoje trzeba być żywem uosobieniem prawa moralnego, i równie jak ono, niezmiennym tak, żeby dziecko czuło w nas nie samowolę władzy rodzicielskiej, ale potęgę władzy wyższej, mającej swe źródło w przekonaniach i sumieniu.

Życie dawniejszych epok łącniej, niż dzisiejsze, kształciło odwagę. Tegoczesne warunki towarzyskie stawiają człowieka w stosunkach uregulowanych przez cywilizacyją do tego stopnia, że wszystkie niespodziane wypadki są w niem rzadkością. Obok tego, wiele czynności, w których dawniej wola i odwaga kształcić się mogły,— dzisiaj stały się jedynie machinalnym procesem.

Podróże na przykład dawniejsze były prawie walką z żywiołami,—dzisiaj nie jeździmy już, ale wożą nas, przy zupełnem obezwładnieniu naszych osobistych pragnień i upodobań. Na oznaczoną godzinę i minutę staje się w miejscu, choćby najodleglejszém i nasza energija w niczém przyłożyć się nie może do przyspieszenia chwili przybycia. Jeść nam każą na przeznaczonój stacyi, wsiadać do wagonu na odgłos dzwonka, słowem indywidualność, nasza ginie. Odwaga osobista żadnej wspólności nie ma z parowemi wozami, telegrafami, drogami bitymi i komfortem życia. Wystawmy sobie Herkulesa w wagonie? Jakżeby on czuł się upokorzonym! Zmalałby w swęj śmiałości na widok siły, wobec którój jego maczuga byłaby nitką pajęczą. I na nas te wielkie, mechaniczne potęgi działają w tensam sposób, choć sobie z tego nie zdajemy sprawy; pokorniejemy, uczymy się mniej liczyć na osobiste męstwo nasze i, dumni potęgą umysłu, czujemy nasze ramię bezwładném. Nawet rzemiosło wojenne, przedzierzga się dzisiaj w machinalną działalność mass zostających, pod rozkazami rozumu i rozwagi jednostek,—odwaga osobista mniejszą nierównie, niż dawniej odgrywa w nim rolę. Do tak umechanizowanych warunków bytu, dodajmy jeszcze upadek w nas sił fizycznych, rozmiękczenie nerwów, tkliwość na cierpienie, blade czki i katary, a dojdziemy do wniosku, że im okoliczności mniej się przykładają do wyrobienia w nas odwagi, tém usilniej starać się nam trzeba o zaszczerpienie jój przez wychowanie.

Młodzieniec przepędza dziś w mieście kilkanaście lat wieku chłopięcego; — w mieście, jeżeli jest na uniwersytecie, wchodzi w wiek dojrzały, a miasto dzisiejsze—to wielka machina, w którój tryby, każdy, kto żyje w niém, wpleciony być musi. Na odwagę osobistą niéma tam miejsca, wywalczyć śmiałością nie się nie uda i na tém zgiełkliwém polu wszędzie tylko siła ukazuje się pod postacią pieniędzy.

Utyskując tedy na brak dziarskości i odwagi w młodzieży, przyznajemy, że temu brakowi dziwić się nie można, bo z jednéj strony zewnętrzne warunki, z drugiejj wynikający z nich stan naszego zdrowia, nie pozwalają nam ćwiczyć się w odwadze. I jest to zaczarowane koło, z którego wyjść trudno;—słabe nerwy czynią nas tchórzliwymi;—życie, bez niespodzianych wypad-

ków, wystawiających na szwanki nasze osobiste bez pieczeństwo, nie hartuje naszych nerwów.

Dzieci miejskie, ślęcząc nad książką kilka godzin dziennie, a potem ubrane modnie i starannie, wyprowadzone na przechadzkę do ogrodu, gdzie im nawet na trawnik stąpić nie wolno, gdzie tylko, zachwycając się zdaleka kwiatowym kobiercem, chodząc po równych, żwirowanych ulicach—takie dzieci trudno, aby wyrastały na odważnych fizycznie ludzi. Dzieci na wsi chowane, więcej mające do czynienia z naturą, wdrapujące się na drzewa, przewracające koziołki na kopach siana, jeżdżące konno, bawiąc się w sypanie okopów, których potem jedna część zapasników broni, gdy druga zdobyć usiłuje; dzieci te więcej mają sposobności do wyrabiania w sobie siły, do kształcenia zręczności i odwagi. Że gry takie wyrabiają odwagę, za dowód mogą służyć znane słowa Wellingtona, który zwiędzając raz szkołę Etońską, której był wychowawcą, zawołał, wstępując na plac zabaw:—„Tu zostało odniesione zwycięstwo pod Waterloo!” — W Anglii wielką przywiązują wagę do zabaw chłopców na wolnym powietrzu, i przypisują im własności, nie tylko rozwijające ciało, ale nadto wpływające korzystnie na charakter, przez kształcenie odwagi, przytomności umysłu i szlachetności; podstęp w zabawie, noszą na sobie piętno zdrady.

Młodzież angielska, z takim zapalem oddaje się tym zabawom, tak ją one interesują nawet w wieku dojrzałym, iż słusznie przypisują im w części wysoką moralność młodzieży, która po skończonych naukach dziennych, bieży ochocza na pola gier, a zmęczona do syta parogodzinną zabawą, nie ma już ani czasu, ani ochoty na szukanie przyjemności zakazanych, ani czytanie gorszących książek, które wyświadczały tyle złego młodzieży naszej.

O ile można dostarczajmy dzieciom sposobności do zabaw tego rodzaju. Są one zdrowe, zarówno fizycznie, jak moralnie. Dziecię, niezgrzybiałe duchowo przed czasem, zasmakuje w nich niezawodnie: gra w palantą, zdobywanie okopów, gimnastyka, pływanie, konna jazda, gonitwy do mety, — będą dla nich rozkosznym spędzeniem czasu. Naszym szkołom słusznie zarzucić można zupełne wykluczenie takich rozrywek dla młodzieży, ale

ponieważ zarządzenie temu nie od nas zawisło, rodzice powinni się starać, o danie zarówno chłopcom, jak dziewczętom, sposobności i zachęty do gier tego rodzaju; równie, jak do gimnastyki, dającej zręczność, która z odwagą ma taki stosunek, że tam gdzie zręczny chłopiec zdecyduje się na czyn odrazu, ciężki i niezgrabny, choćby równie odważny, nie zaufa sobie, bo nie będzie czuł się w możności dokonania go.

Niezręczność krępuje i onieśmiela. Któż z nas na przykład w dzisiejszym stroju, chód utrudniającym, krępującym kolana, nie poczułaby, że nim zdoła przebiec ulicę dla dania ratunku starszemu lub dziecku zagrożonemu przejechaniem, powóz tymczasem stratuje je z pewnością? Strój zaś wygodny, nieutrudniający poruszeń, zachęciłby niejedną, w podobnym razie, do odważnego kroku, bo uczyniłby jej poruszenia swobodnemi, nie krępującemi w zręczności.

A teraz zważywszy, że odwaga kształci się praktyką a zręczność ośmiela do czynu, dochodzimy do przekonania, że wyrobienie zręczności, jest już zadatką odwagi. Powtórzę tu jeszcze, że zwykle zabawy dziecinne mianowicie te, którym się dzieci z własnego pociągu oddają, jak najmniej powstrzymywane być powinny; chyba, że przechodzą granicę przyzwoitości, lub że grożą bezpieczeństwu małych zapaśników.

Ujmowanie tych zabaw w jakieś karby, ściśnianie ich dla tego, że sukienki powalaćby się mogły, że dziewczynkom nie wypada skakać przez baryerę, lub bawić się w wojsko; że chłopiec z drabiny spaść może, lub że piłką w oko dostanie, byłoby odjęciem dzieciom sposobności nabywania siły, odwagi, sprytu, zręczności. Matka pamiętać powinna, że więcej dzieci ulega przypadkom z przyczyny wrodzonego, lub wychowaniem nabytego niedołęstwa, niż z żywości.

W Anglii, gdzie, podług zdania większej części pedagogów, matki najstaranniej dzieci wychowują, wolność ruchów, samodzielność i zaradność, rozwijane są od dzieciństwa. Często tam widzieć można dziesięcioletnie dzieci, odbywające dalekie podróże, chodzące po mieście i dające sobie radę we wszystkim.

Jeżeli takie pozostawienie dzieci samym sobie jest narażeniem ich na różne niebezpieczeństwa; to z drugiej strony, zwią-

zanie zupełne ich wolności, jakie się u nas spotyka, zły wpływ wywierać musi, tak na nieśmiałość, jak na ruchliwe, a odważne natury.

W pierwszych nie rozwinię zaradności tak w życiu koniecznej; drugie — zmusza do wysoków szalonych w chwili, w której uwaga starszych jest od nich odwróconą. Dzieci usposobienia burzliwego, krępowane ciągle w swoich ruchach, szukają tylko chwili, aby wybuchnąć, a wybuchy takie bywają często-kroć szalone.

Krępowaniem nie wyrobimy w nich tej godności człowieka, którą wykształcić można tylko okazywaniem zaufania. Niech dziecko widzi, że w jego rozsądek wierzą, że się nie boją jego wybryków, że ufają jego przysięgom, że go nie podglądają i nie szpiegują. To w nim obudzi szlachetną chęć odpowiadania godnie owemu zaufaniu, a jego gwałtowność zwracać się zacznie ku własnej osobie, by z wrodzoną odwagą opanowywać nierozsądne i niebezpieczne zachcianki. Niech kierownicy pamiętają, iż żywość, kierowaną tylko i opanowywaną być winna, ale nie tłumioną, gdyż bez niej nie wyrobiłyby się: wola i stanowczość charakteru.

Smiles, w wyborném swoim studyum nad charakterem, przytacza liczne przykłady wielkich ludzi, gwałtownych z natury, którzy przez panowanie nad sobą, potrafili ową gwałtowność przerobić na niezwalczoną energiją, wytrwałą pracę i siłę woli niezłomną. Wogóle, wszystko to, co powiedziałam o uporze, da się zastosować do wrodzonej żywości; potrzeba jej tylko kierunku, aby została przymiotem. Pewien myśliciel utrzymywał, że prawie każdy złodziej, mógłby stać się bardzo użytecznym członkiem społeczeństwa, a nawet znakomitym człowiekiem, gdyby jego wrodzoną przedsiębiorczość, jego spryt, odwagę i przemyślność, wychowanie skierowało ku dobremu. Gdy pomyślimy, czém są w człowieku przekonania, poglądy i zasady; będziemy skłonni do przyznania prawdy powyższym dowodzeniom.

Odwaga fizyczna niezawsze idzie w parze z odwagą moralną; dla tego ściśle rozróżnić je należy. Często człowiek, umiejący z najwyższém męstwem bronić własnego życia, lub życia

innych; żołnierz zahartowany w bojach, bohater w walce, w życiu zwyczajném, okazuje się słabym. Czy to, że czyny odwagi rycerskiej, spełniają się zwykle w chwili entuzyastycznego podniecenia i mniej wytrwałości, a więcć zapалу i chwilowej przytomności umysłu wymagają; czy to, że moralna odwaga jest poczuciem stale i wytrwale w nas czuwającym; dość, że historyja pokazuje nam ludzi odważnych ramieniem, a upadających w walce z namiętnością, nie umiejących naprzykład oprzeć się nałogowi pijaństwa, lub chyłących czoło pod niepowodzeniem życiowém.

Widzimy wielu z nich, ulegających na przykład wpływom złej i podstępnej kobiety; innych niezdolnych oprzeć się rozmiękczającym rozkoszom życia; — innych, którzy przy odwadze w boju, nie mają jej do obrony własnych przekonań; — nieustraszeni wobec orężnego nieprzyjaciela, boją się słowem odważném narazić na pośmiewisko, nagane, lub na utratę popularności. Z drugiej strony widzimy ludzi wątłych i słabych ciałem, czujących się niezdolnymi do czynu znamienującego odwagę fizyczną, posiadających przecież wolę niezłomną i odwagę moralną. Do rzędu tych ostatnich, możnaby zaliczyć wiele kobiet, umiejących z bohaterską odwagą znosić przeciwności, wytrwać w obowiązku, pomimo jego trudów i ciężarów, ukryć cierpienie tak głęboko, że go nikt z otaczających nie dostrzeże, spełniać tysiące cichych poświęceń, które nieraz życie ich wyczerpują; a pomimo to lekających się psa, krowy, wydających okrzyk za lada stuknięciem i hałasem.

Jest między nimi wiele takich, które oddałyby swe życie za dziecko, ale obrony dać mu nie potrafią. Niemało się tu przyczyniają bez wątpienia względy fizyczne, rozdrażnienie nerwów: ale nie wszystko im przypisywać należy. — Marek Aurelijusz, filozof, posiadający zatém odwagę myśli, dzielny i nieustraszony żołnierz, mający zatém odwagę rycerską, jest przecież słabym dla Lucyjusza Verusa i pozwala mu na szaleństwa, pochłaniające zasoby państwa; pobłaża rozpuście Faustyny, czyni piętnastoletniego Komodyjusza kapłanem, konsulem, Cezarem, pomimo, że widzi jego występne skłonności, a nawet może w nim podejrzywa ojcobójcze zamiary. Jest zatém słabym moralnie,

nie ma odwagi potępienia czynnie występków, jakie potępia w zasadzie.

Ze sceny i z powieści znany jest typ klnącego wiarusa, dla którego huk armat jest muzyką, zapach prochu przyjemną wonią, a który boi się żony, jak ognia, lub daje się prowadzić na pasku przez lada kogo. Ale poprzestańmy na tém — wszak każdy z doświadczenia życiowego, znajdzie pewno przykład stwierdzający powyższe dowodzenie.

Odwaga moralna jest przede wszystkiém zaparciem się siebie, oderwaniem się od naszego samolubnego *ja*, dla jakiegoś wyższego celu, leżącego po za obrębem naszych własnych korzyści. Jest panowaniem nad sobą, zwalczaniem przyrodzonych popędów, słabości i ślepych instynktów. „Panowanie nad sobą, to jedyna prawdziwa wolność, jaka jest dana każdemu”. *) Zrzeka się téj moralnej wolności, kto pozwala słabościom i namiętnościom podbić siebie w niewolę. Walka odważna w samym sobie, dla zbliżenia się do doskonałości, do Boga — jest dopiero pasowaniem się na człowieka.

Odwaga, z jaką odpychamy podszepty samolubnych zachcianek, chrześcijańska odwaga wyznawania prawdy zawsze i wszędzie, — to jest najszczytniejsze uposażenie duszy.

Odwaga pokonania próżności dla pokornej chrześcijańskiej zasługi; odwaga w szukaniu nagrody jedynie w zadowoleniu własnego sumienia, za czyny potępiane przez innych; zamilczenie własnego usprawiedliwienia, gdyby ono miało bliźniego potępić: oto są czyny wewnętrznej odwagi — czyny, składające się czasami na bohaterstwo, jeżeli na jego wywołanie złoży się odpowiednio okoliczności.

Równowagę wewnętrzną — jedynie odwaga dać nam może. Przez nią tylko jesteśmy w stanie opanować uczucia, dochodzące nieraz do samobójczego lub zbrodniczego szału.

Utrzymują, że obłąkani byli zwykle ludźmi słabego charakteru; łatwo temu uwierzyć. Uczucia lub myśli, którym nie potrafili odważnie stawić czoła, zwichnęły w nich równowagę

*) Smiles.

władz umysłowych, zwracając całą siłę ducha ku jednostronnemu obłądowi; nie mieli siły zatrzymania się na pochyłości, zabrakło im odwagi na taki wysiłek męstwa.

Być niezmiennie posłusznym prawu moralnemu, jakie nam sumienie dyktuje; ideę obowiązku postawić nad ideę szczęścia: na to potrzeba odwagi, męstwa i siły. Ale, gdy się raz doszło do tej wysokości, na której nie mają już do nas przystępu drobne próżnostki, cierpienia miłości własnej, rozterki wewnętrzne i namiętności słabej duszy właściwe; wtedy można być pewnym, że się posiada wolność ducha i szczęście prawdziwe; a to oboje—zdobywa się jedynie przez umiejętność panowania nad sobą. Jest to zrazu twarda i surowa reguła, jakiej człowiek sam się poddaje. Na tej drodze wychowuje on w sobie nowego człowieka, niepodobnego w niczem do tego, czém był; owszem, oddalonego od niego o całe nieba, jakie dzielą istotę, ulegającą ślepym instynktom od istoty, kierującej się jasnowidzeniem przekonai.

Karność, jakiej się człowiek z własnej woli, dążąc do osiągnięcia ideału etycznego, poddaje, winni rodzice zastąpić dzieciom — karnością wychowawczą. Smiles powiada, że: „ta moralna karność, działa z taką siłą, z jaką działa prawo natury—kto jęj raz uległ, ten się jęj później nieświadomie poddaje i, jakkolwiek ona właściwie urabia i rozwija charakter wprzód, nim życie skryształizuje go w przyzwyczajenie, to przecież tego wpływu, działającego w ten sposób, nie czuje się wcale”.— Powiedzieć raczej należy, że dziecko, czując wpływ, nie rozumie go jeszcze w całej sile; poddając mu się zaś, uczy się posłuszeństwa prawu, jakie z czasem odezwie się w jego własnem sumieniu.

Żeby jednak ten głos sumienia dziecko mogło dosłyszeć i zrozumieć, potrzebuje matka wielkiej miłości Boga, miłości cnoty, prawdy i pracy, zapалу do wszelkiego dobra, aby mogła przelać go w dziecko. Należy też od kolébki zaszczipiać w niem ten słodki zaród miłości uszlachetniającej tak, aby matka pod względem cnoty była w jego wyobrażeniu tém, czém jest pojęcie żywe względem pojęcia oderwanego.

Gdy chodzi o karność, prawo i siłę moralną, jaką się rządzi rodzina, niepodobna ominąć ojca—jako człowieka energicz-

nego, silnego umysłem, którego czyny przejmują dziecię podziwem, a słowa uszanowanie w niém wzbudzają. Matka nie powinna być osamotnioną w téj pracy nad urabianiem charakteru dzieci. Niech one nie usłyszą nigdy z ust ojca takiego zdania, któreby nie dało się dostroić do ducha zdań wpajanych przez matkę. Niech praca tych dwojga idzie równolegle, chociaż natura ich wpływu musi być o tyle różną, o ile różnić się musi charakter kobięcy od męskiego.—Odwaga jest przymiotem męskim; niechże ją zarówno synowie, jak córki czerpią z przykładów ojca. Jego słowo energiczne, śmiałe przystąpienie do każdego dzieła, każde zdanie wypowiedziane bez wahania, godność ludzka, zazdrośna o swe prawa, tryskająca z każdego czynu, oto dla dzieci szkoła odwagi.

Że jednak wartość każdego czynu, uzacniającego duszę, zależy od uczucia, jakie go podyktowało; ponieważ grosz wdowi, będzie więcej ważył na szali zasługi, niż pyszne dary bogacza; więc i w czynach odwagi, w małych dziecinnych próbach na tém polu, trzeba uważnie śledzić, jakie było uczucie, które je natchnęło. Czy to nie była duma, junactwo, próżność, butna chęć pokazania się, ambitne pragnienie zaćmienia towarzyszy.

Miłość macierzyńska, niech się w tym razie nie da zaślepić pozorem, niech dojdzie do gruntu rzeczy; niech raczej powoduje uczucie, a nie same czyny bada, niech junackiemu synowi, lub ambitnej córce stara się zaszczepić, zamiast pogańskiej dumy, chrześcijańskie pragnienie zasługi. Niech takim dzieciom, jak najrzadziej powtarza: „Co o tobie powiedzą ludzie?” — „Zobaczysz jak się z ciebie śmiać będą”. — „Wszyscy będą uciekać od ciebie”. — „Świat daruje wszystko, prócz śmieszności” — i tym podobnych zdań, często powracających na usta matek. Takie stawianie czynów dziecka ambitnego, w świetle uznania światowego, zamiast uśmięczać, rozkrzewia pychę w jego sercu. Nie trzeba zapominać, że duma, próżność, interes, jako pobudki nawet dobrych czynów, nie przestają wyrządzać moralnej krzywdy dziecięciu; czyn bowiem jest powierzchowną rzeczą,—uczucie zaś kierujące czynem o wartości jego stanowi.

Niemalój wagi zaletą, jaką bezustanku od najmłodszego wieku w dzieciach wyrabiać należy—jest zamiłowanie porządku. Jakkolwiek jest to przymiot wyłącznie powierzchowny, jeżeli się tak można wyrazić, ma on przecież wpływ bezpośredni na rozwój myśli.

Zaszczepiając w dziecku zamiłowanie porządku, daje mu się zarazem zmysł logiczny, poczucie obowiązku, umiejętność oszczędzania czasu, wreszcie poczucie piękna, jakie z ładu i symetrii kształcącej oko wynika. Wszystko to cywilizuje i umoralnia dziecko, rozwija w nim zmysł praktyczny, i artystyczne poczucia.

Jeżeli porządek potrzebny jest mężczyźnie, dla kobiety jest on jednym z nerwów życia, którego brak prawdziwe kaléctwo stanowi. Dziewczynka przypuszczona do współudziału w macierzyńskich staraniach upiększenia wszystkiego wkoło siebie, zamiłuje porządek z łatwością, a dusza jej powoli otwierać się będzie na wrażenie piękna, tak uzacniającego charakter i przynoszącego tyle szczęścia w życiu. Mianowicie dla kobiety, przeznaczonej do życia zaciężnionego kółkiem rodzinném, odczuwanie piękna i roztaczanie go w koło siebie, jest zadaniem niemalój wagi, zwłaszcza ze względu na przyszłe jej powołanie—kierowniczkę rodziny. To też ściereczka, lub skrzydełko w rękę malój dziewczynki jest pocieszającym widokiem. Obowiązkowe to porządkowanie nie ma być przeciążającym, zwłaszcza w pierwszych latach, bo natura dała dzieciom potrzebę zmiany i nowości.

Jestem przekonana, że między wpływami edukacyjnymi, które się składają na naukę życia, niepoślednie miejsce zajmuje porządek, a gdy się zastanowimy nad wadami naszych kobiet, tém lepiej jego ważność poznamy. Wszak najwięcej grzeszemy brakiem wszelkiej systematyczności, dokładności w naszych spostrzeżeniach, porządku w naszej nauce i myślach; grzeszemy przerzucaniem się w ostateczności, nieumiejętnością beznamiętnego sądzenia, czyli brakiem logiki—owego ładu umysłowego—który ma niezaprzeczoną i ścisłą związek z ładem zewnętrznym, czyli zamiłowaniem porządku.

Kobieta musi żyć sercem, jest to droga wytknięta dla niej przez Stwórcę; lecz sercu temu należy dać wiernego stróża, w mo-

ralnych zasadach, opartych na umiejętności logicznego myślenia — to jest: należy uporządkować jęj istotę wewnętrzną. Niemaló się do tego przyczyni systematyczność i ład, zaszczerpione w dziecku, i dla tego podwójnie starać się trzeba o dawanie z siebie w tym kierunku przykładu.

Kładąc nacisk na porządek dziewcząt, niechciałam bynajmniej dać do zrozumienia, że chłopcu jest on mniej potrzebny; ale pragnęłam tylko uwydatnić moje co do tego przekonanie, że porządek kobiety winien być jeszcze bardziej drobiazgowy, wykwinniejszy, powiedziałabym nawet estetyczny.

„Nigdy nie byłam zdania — mówi pani Guizot w swych „*Listach o wychowaniu*” — by trzeba było przyspieszać rozwijanie zbytniej czułości w dzieciach; ale mam przekonanie, że trzeba je strzedz od szorstkości i sobkostwa w stósunkach. Wiém, ile potrzebujemy się nauczyć, by się stać dobrymi; ile dobroć prawdziwa wymaga jasności sądu, prawości serca, rozsądku i panowania nad namiętnościami.

Może téż niéma zarodu enoty, godnego więcéj uprawy i wymagającego tak wielkiéj troskliwości i wytrwałości przy jego rozwijaniu, nad dobroć. Słabe i zależne dziećie ma zwykle mało sposobności służenia bliźniemu; przez żywość i różnorodność swych pragnień jest skłonne raczéj do dogadzania sobie i przekładania osoby własnéj nad wszystko. Trzeba obudzić w niém współczucie; nauczyć je, że mogą być dla niego sprawy droższe, niż jego własne; dać mu je poznać, dać mu je pokochać, często jego uwadze je przypominać. Praca to trudna i delikatna, z której usunięty być winien wszelki pozór nakazu, bo jeżeli z dobroci uczynimy dziecku obowiązek, niemeśmy jeszcze natchnęli je samém uczuciem; przyjmie je ono, jako objaw zewnętrzny, jako formę powierzchowną i tak, jak w pewnych godzinach uczy się swych lekcyj, bez żadnéj ochoty do nauki, tak spełniwszy akt dobroci, uzna, że się wywiązało najzupełniéj z obowiązku, niepoznawszy nigdy samego uczucia.

Otwórzmy więc serce dziecka dla dobroci i wspaniałomyślności, owego zbytku szlachetnego, cechującego charakter wybrane. Dobroć jest jednym z objawów siły i odwagi wewnętrznej; ujawnia bowiem uczucie kierowane przez wolę, a nie chwiejność i słabość, szukającą podpory w utartym towarzyskim zwyczaju. Tymczasem w pojęciach ogółu, słabość często przybiera miano dobroci i dla tego chciałabym uwydatnić twych dwóch uczuć różnicę.

Dobroć wprowadza równowagę w uczucia i przekonania nasze, broni nas od stronności, niewyrozumiałości naprzód powziętych, upartych sądów. Nie pozwala nam trwać przez zarozumiałość i upór w opinii, której nie uznajemy; pozwala na przyznanie się do błędu, ale bynajmniej nie obezwładnia przekonań naszych wobec przekonań innych. Dobroć staje się słabością, jeżeli w potrzebie nie umie przybrać *charakteru wytrwałości*. Trzeba umieć wytrwać w głęboko odczutem przekonaniu, ale trzeba też umieć natychmiast od niego odstąpić, skorośmy zostali przekonani. *) „Człowiek o którym się wie, iż gotów dać się przekonać i że miłość własna nie zasłania mu nigdy prawdy, taki człowiek zjednywa najprzód szacunek dla zdania, którego broni z wytrwałością.

Sąd jego obudza zaufanie, gdy się go czasem słyzy potępiającego zdanie własne, które z dobrą wiarą porzucił. Jego przekonanie będzie dawało rękojmię prawdy i światła, gdyż upór i uprzedzenie z szali przeważającej odrzucił. Wszyscy lubią jego towarzystwo, bo nikt nie boi się z nim wymiany słów nie użytecznych; nie jest bowiem zdolny utrzymywać paradoksu dłużej nad chwilę, w której przekonany został, jak nie jest zdolny zmienić przekonania przez słabość i chęć przypodobania się.**)

Dobroć uwydatnia się jeszcze w skromnym szafowaniu wiedzą i nauką, jaką się posiada, w umiejętności nie upokarzania nią nigdy osoby, z którą się rozmawia. Mianowicie dla

*) Palmerston, któremu w parlamencie zarzucono, iż zdanie swe zmienił—odpowiedział, że tylko człowiek głupi zdania swojego nigdy nie zmienia.

**) Théry, Conseils aux jeunes personnes.

kobięty wykształconej, dobroć taka jest prawdziwą ozdobą i przearadza się w skromność, przez chęć nienarzucania się nikomu, nieurazania nikogo na upokorzenie, wobec posiadanej przez siebie nauki i wiedzy.

Posłuchajmy, co o dobroci téj mówi Théry w swoich: *Zasadach dla matek*:

„Skromne używanie nauki podwaja jej wartość. Niewiedomość jest zapewne bardzo smutną rzeczą, ale gdy idzie o szczegóście domowe, nie wiem, czy pedantka zarozumiała nie jest w warunkach gorszych od kobiety nieoświeconej. Ta nie wie, co jest dobrem, — tamta je psuje. Młode dziewczę, które, postępując w nauce, zachowuje pamięć swego niedoświadczenia i słabości; które pozostaje skromnem i nieufajcem sobie, nawet wtedy, gdy przychodzi dać poznać innym to, czego się nauczyło; podnosi swoją zasługę w stosunku do tego, co odmawia własnej próżności. Niema wówczas nikogo, coby téj zasługi nie uznał, nie głosił, nikogo — komuby przyszło na myśl ją umniejszać choćby o odrobinę.”

„Młoda osoba, kryjąca bez przesady i afektacyi naukę gruntowną, jaką odebrała, nie tylko wzbudza szacunek, ale zdobywa i uznanie dla siebie. Obok wyższości, jaką w niej każdy uznaje, widzi się jeszcze chęć nienarzucania się nikomu z ową wyższością. Jest w tém uwaga delikatna zwrócona na innych, która każdego zniewala do okazywania dla niej sympatyi. Jest téż w takiej skromności dowód pojmowania bardzo subtelного obowiązków kobiecości i tytułów, za pomocą których kobięta dowodzi swego rzeczywistego powołania; to téż poszanowanie mądrości, jej zdrowego sądu, zwykle utwierdza jeszcze przywiązanie i szacunek, jaki przymioty jej wzbudzają ogólnie.”

Nie potrzeba dodawać, że wyżej przytoczone zdania i do męzczyzn zastosować się dają.

ROZDZIAŁ XI.

Kary i nagrody. Pieszczoty. Posłuszeństwo. Rozkład czasu. Wakacje
Zabawa w wieku chłopięcym. Czytanie. Teatr.

Medycyna posiada bardzo dzielne środki lecznicze w gwałtownych truciznach, które zwykle w aptekach zajmują osobne szafki z wyraźnym napisem: *veninae*. Publiczność, wchodząca do apteki, patrzy z niejaką trwogą na te zapasy, które może wystarczyłyby do wytrucia połowy ludności miasta; administrowane jednak ręką zręcznego lekarza są dobroczynnie działającym środkiem. I wychowawcy mają do rozporządzenia takie środki zabójcze dla moralnej strony dziecka, które przecież stosowane przez nich umiejętnie, są lekarstwem przynoszącem korzyść dziecieniu. Środkami temi są: kary i nagrody.

Jeżeli lekarz namyśla się długo, bada stan chorego, *stadium* w jakim znajduje się choroba, własności indywidualne organizmu, nim się zdecyduje na zapisanie ostrego środka, obliczając z góry jego działanie; — wychowawca o tyle jeszcze oględniejszy być powinien, że w rzeczach, moralnej strony dotyczących, niema danych, mogących mu naprzód dokładnie ujawnić działanie trucizny, które, jeżeli zbawiennem nie jest, musi być koniecznie zabójczem. Rodzice i nauczyciele, niestety, niedosyć zdają sobie z tego sprawy i stosują kary i nagrody często nieumiejętnie, niezręcznie, bez należytego obliczenia okoliczności i pod wpływem chwilowego uniesienia.

Nie będę tu mówiła o rozmaitych sposobach karania dziecka, bo nie jakość kary trzeba brać na uwagę, ale jój działanie

na wychowanka, a każdy wie, że często jedno niezadowolone spojrzenie matki, więcej działa na dziecię tkliwe, niż bicie na krnąbrne, zatwardziałe i znarowione złem prowadzeniem. Zatem poczynawszy od takiego karzącego spojrzenia, od słówka łagodnego wyrzutu, a skończywszy na karach największych, wartość ich warunkuje się jedynie wpływem, jaki wywrzeć mogą na charakter dziecka.

Jestem mocno przekonana, że jak bicie małego dziecka potrzebne jest tylko dla wyjątków, tak konieczność karania starszego, jest prawie zawsze dowodem braku umiejętności pedagogicznej w przewodnikach. Jeżeli wychowawca od początku umiał zachować właściwy takt w postępowaniu i, obok jednostajności humoru, kierował się wyrozumiałością do tego punktu, w którym wystąpić powinna stanowczość; dziecię z pewnością nie będzie potrzebowało być ostreimi sposobami karane. Jeden z pedagogów niemieckich radzi, by wychowawca usunął się, gdy dojdzie do przekonania, iż jedynie obawą kary może wychowanka prowadzić. Jest to dowodem, mówi ten pedagog, że wychowawcy brak potrzebnej zręczności i taktu. Lepiej więc by dzieło zaczęte komu innemu do dokończenia zostawił. Ale teoria ta, jakkolwiek nie jest pozbawiona słuszności, nie daje się stosować w praktyce, gdy owymi wychowawcami są rodzice, bo choć niezawodnie konieczność karania z ich nieumiejętności lub niedbalstwa wypływa; nie mogą przecież wpołowie opuścić dzieła i dziecko bez kierownictwa zostawić. Niech jednak pamiętają, że karę, jaką zmuszeni są wymierzyć, sprowadziła raczej ich nieudolność, niż charakter wychowanka; że źle wymierzona jest istotną trucizną, podniecającą w dziecku myśli buntu i krytyki względem rodziców, że je niepotrzebnie rozdrażnia i wyradza w niem upór, zatwardziałość lub apatyczne zezwierzęcenie.

Gdybym wychowywała Emila, jak Rousseau, lub Esquiros, to jest, gdybym urodzone w mój wyobraźni dziecię przeprowadzała przez wszystkie szczeble wychowania, o karze dla niego nie wspomniałabym nawet; ale że niekażde dziecię ma wady i przymioty Emila; że nie każda matka jest taką, jaką stworzyć może wyobraźnia; więc muszę przypuścić, że w niejednej rodzinie kary,

jako środek edukacyjny wystąpić muszą. Chcę jednak ostrzedz matki, uciekające się do niego, by dobrze zbadały, jaki kara wywrze wpływ na ich dziecię i, czy zamiast przytłumić złe skłonności, nie rozbudzi raczej nowych, tkwiących głębiej w jego naturze, a podkopujących szlachetne przymioty człowiecze. I zbrodniarz boi się kary, a jednak zbrodnię popełnia; obawa nie zmienia jego złych skłonności, czyni go tylko ostróżniejszym. Jeżeli kary w wychowaniu podobny wpływ wywierają, trzeba je za ujemny czynnik uważać. Skutki tymczasowe, wywołane obawą, powierzchownie zadawałające; będą z drugiej strony powoływały do życia cały szereg przyczajonych złych skłonności: obłudę, chytrość, podstępna uniżoność, oschłość, skrytość, kłamliwość.

To też żadna teoryja *a priori* postawiona, nie może tu mieć zastosowania, bo kara do tego stopnia warunkuje się usposobieniem dziecka, jego zdrowiem, wychowaniem, czyniącém je mniej lub więcej wrażliwém; wreszcie wadami i przymiotami jego charakteru, stopniem jego oświecenia, wiekiem, upodobaniami, a nawet położeniem towarzyskiém; że tylko wychowawca rozumny, może jój rodzaj i stopień w danym wypadku zastosować właściwie. Wogóle co do kar i nagród wszelkie naprzód postawione zasady, wszelkie pewniki przykrojone tendencyjnie do obmyślenia z góry teoryi—mogą w błąd tylko wprowadzić. Nawet Spencer nie wyszedł zwycięsko z określenia, jakimi być kary powinny.

Przyjąwszy bowiem naturalne skutki za zasadę wychowawczą karności; odrzuca wszelkie kary obmyślane i stosowane dowolnie, uznając za dostateczną przykrość, jaka bezpośrednio ze skutków przewinienia dziecka wynika. Jakoż zasada wydaje się logiczną — i jest nią w wielu wypadkach. Dziecię gubi, lub łamie zabawkę—naturalną karą dla niego jest to, że się niema czém bawić; jest marudne i spóźnia się z ubraniem na godzinę wyznaczoną na spacer; zostaje w domu i kara wypływa z przewinienia logicznie; rozdziéra i nie szanuje sukien, musi samo naprawiać sobie ubranie i t. p.⁴

Zastanowiwszy się jednak głębiej, teoryja ta wytrzymać krytyki nie może. I tak Spencer powiada: „Dziecko uderzone

za to, że przez nieuwagę lub złośliwość stłukło zabawkę siostrzyczki, otrzymuje karę zupełnie niezastósowaną do przewinienia. Ojciec sztucznie karze przestępcę, a odkupując córeczce zabawkę, karę naturalną bierze na siebie. I syn i ojciec na tém cierpią niepotrzebnie. Gdyby ten ostatni wymagał poprostu restytucyi; gdyby powiedział synowi: że jego pensya będzie mu zatrzymywana aż do chwili, gdy wzrośnie do summy potrzebnej na odkupienie zabawki; wtedy mniejby było kwasów obustronnych, a skutek jednaki. Otóż powyższe rozumowanie w praktyce okazuje się błędnem. Najprzód dziecię—dajmy na to pięcioletnie nie może mieć sobie wyznaczonej pensyi, bo jeszcze nie zna i nie pojmuje wartości pieniędzy; a tymczasem w gniewie umyślnie psuje zabawkę siostry. Powtóre: zepsucie zabawki jest tu, według mnie, przewinieniem najmniejszym, a ukarana powinna być złość, a tém więcej złośliwość, jakiej dopuściło się dziecię. Przez złość rozumiem uniesienie chwilowe, z żywości temperamentu pochodzące; przez złośliwość zaś, wyrabiające się w charakterze uczucie zawziętości, czy zawiści. Ale przypuściwszy, że mały winowajca ma lat 8 lub 9; że ma wyznaczoną sobie pensyją, co tylko w rodzinach zamożniejszych zdarzyć się może—to jeszcze obawa utraty pensyi, niekoniecznie może powstrzymać od dalszych tego rodzaju wykroczeń. Popsuje w chwilach złości jedną, drugą i trzecią zabawkę i będzie się z siostrą tém brutalniej obchodził, że każdą wyrządzoną jój krzywdę uważać będzie za usprawiedliwioną, skoro ją pieniędzmi opłaci.

Zapytuje teraz, jaka może być kara naturalna za czyny tego rodzaju? I jaką znowu naznaczyć dziecku ubogiemu, które nie pobiera pensyi, a jednak psuje w złości dom z klocków, wystawiony przez siostrę, lub rozdziéra sukienkę skromnej lalczki, jaką uboga dziecina od kogoś ze znajomych w podarunku dostała? Siostra jest młodsza i słabsza, nie umie się bronić, nie może odplacić bratu tą samą monetą, a więc naturalna kara w tym razie jest niemożliwą.

Siła przed prawem i dla téj siły uciemiężającej innych, kary naturalnej niema, póki się nie znajdzie siła potężniejsza jeszcze, która zresztą zwycięstwo swoje znowu na brutalnej sile oprzeć musi. Idźmy jednak dalej. Karą, jaką Spencer naznacza

dla dziecka, któreby się dopuściło kradzieży, jest zwrot skradzionego przedmiotu, lub odkupienie go z własnych kieszonkowych funduszków. Lecz czegoż taka kara dziecię nauczy? Oto, żeby w takiej tajemnicy spełniło następną kradzież, by się nikt nie domyślił jej sprawcy; żeby łakocie skradzione spożyło w sekrecie tak, by kieszonkowe pieniądze nie na tém nie ucierpiały. Nie mówię już o tém, że daleko więcej jest na świecie dzieci, nie mających kieszonkowych pieniędzy, niż takich, które je posiadają.

Wykazanie niedostateczności środków Spencera zdawałoby się prowadzić do ukazania na lepsze.

Wyznam jednak otwarcie, że ich nie mam i że z udzielaniem rad w tym względzie na samych ogólnikach ograniczyć się muszę. Nie powiem na przykład, jaką miałyby według mnie być kara dla dziecka, dopuszczającego się kradzieży; ale czuję macierzyńskiem sercem, że restytucja, lub wynagrodzenie z kieszonkowych pieniędzy byłoby czémś niedostatecznóm, za małym, nie powiem już w stósunku do samego przestępstwa, ale ze względu na nikczemność uczucia, jakie dzieckiem kieruje, i tę boleść, jakiej matka doznaje. Instynkta złodziejskie w dzieciach, wychowywanych starannie, zapewne bardzo są rzadkie; lecz jeżeli je matka dostrzeże, musi z siebie nieszczęśliwemu dać coś więcej nad proste ocenienie wartości skradzionej rzeczy, musi coś więcej w nióm obudzić nad obawę stracenia kieszonkowych pieniędzy. Potrzeba tu całej potęgi miłości, religii, przykładu i pracy, by wykorzenić w nióm złe popędy i dać uczuć całą ohydę popełnionego występku.

Kłamstwo jest przestępstwem téjże saméj natury. Jego naturalnym skutkiem jest niewiara, jaką kłamca obudza. Okazanie téj niewiary małemu dziecku wystarcza czasem do poprawienia go, jedynie przez ukazanie mu strony niepraktycznej kłamstwa; ale gdy ta wada ma za podstawę wewnętrzne uczucie, które urasta do podstępu i fałszu w czynach; logiczny skutek kłamstwa nie wystarcza do jego wykorzenienia. Dowody tego widzimy codziennie, już nie na dzieciach jedynie, ale i na starszych, których to przekonanie, że nikt im nie wierzy, wcale z téj wady nie poprawia.

Kara zatem nie zawsze może być logicznem następstwem przewinienia i dla tego tak trudno podać na nią przepisy. Jakąkolwiek jednak obmyślimy, nie wystarczy ona nigdy do zabicia, nie czynów już, lecz uczucia, kierującego czynami i dla tego towarzyszyć jej powinna praca wychowawcza, nie na suchej moralizacyi oparta, ale na pociągnięciu ku dobremu i prawdzie własnym przykładem i miłością, tą słodką wychowania sternicą; wreszcie na ukazaniu dziecięciu potęgi piękna i jasności, jaka cnotę opromieniać zwykła. Wiem, że to, co tu powiedziałam, jest ogólnikiem i teorią bardzo abstrakcyjnej natury; ale kto się raz dotknął pracy, tak trudnej i subtelnej, jak wychowanie; ten wie, że stereotypowych miar i środków w niej niema, że charakterzy wychowawców i wychowańców rozmaicie oddziałują na siebie i są różne w każdej rodzinie; że nadto odmienne okoliczności i względy towarzyszą każdemu wychowaniu, a nawet każdemu postępkowi dziecka i że tylko miłość rozumna, to jest taka, która czerpie jednakową dozę uczucia z serca, a światło i spokój z głowy, może wyjść zwyczajem z zadania. Matka posiadająca taką miłość, jeżeli tylko dziecko prowadziła od lat najmłodszych, nie będzie potrzebowała poszukiwać dla niego kar dojmujących.

Jedna z moich znajomych miała jedynaka popędliwego, przy najlepszym sercu. Gdy chłopiec się uniósł, powiedział niegrzeczne słowo bonie, lub służącej, matka wołała go do osobnego pokoju i Oleś po wysłuchaniu jej uwag, sam sobie karę naznaczał. Kara, którą sobie dziecko samo naznacza i za sprawiedliwą uznaje, do skutecznych wpływów edukacyjnych zaliczoną być może. „Jeżeli chcecie, by się dziecko bało wstydu i kary—mówi Montaigne—nie przyzwyczajajcie go do niej.”

Zostawiając rodzicom wybór kary, gdy zastosowanie tego ostrego środka za konieczne przez nich uznanem zostanie; należy tu zaznaczyć, że pomimo rozciągłości władzy, jaką nad dziećmi posiadają rodzice, nie mają oni prawa wyznaczać kary *okrutnej, szkodzącej zdrowiu i poniżającej godność człowieka*.

Okrutna i szkodząca zdrowiu jest tak rzadko stosowana i tylko przez wyjątkowych rodziców, że o niej mówić nie będę. Szkodliwość jednak kar poniżających, jest mniej przez ogół po-

jęta, bo wpływ jej zgubny, nie ujawnia się odrazu; dotyka moralnej strony, zatem ani faktami stwierdzić, ani obliczyć się nie daje. Zabija przecież ducha przez odejmowanie mu poczucia godności ludzkiej i wstydu. Zatarcie zupełne wstydlivosti w duszy ludzkiej zaledwo się w skończonych zbrodniarzach spotyka, i wyradza w nich cynizm; upokarzające zaś kary odejmują człowiekowi to, co go strzeże od takiego cynizmu.

Kara zresztą niech będzie skutkiem przewinienia dziecka, nigdy skutkiem złego humoru, popędliwości i niecierpliwości wychowawców. Postępki tych ostatnich, wypływają często z usposobienia despotycznego, nie znoszącego sprzeciwiania się sobie. Każdy samodzielny postępek dziecka, najlżejszy opór, wprawia ich w rozdrażnienie, gniew, groźby, a więc i kary. A jednak, gdy idzie o wychowanie, „najwyższa doskonałość zależy na połączeniu za pomocą mądrego umiarkowania siły, która powstrzymuje i słodczy, która przyciąga.*)

Dziecię czuć powinno, że wychowawca jest łagodny, sprawiedliwy, umiarkowany i wyrozumiały; a już najbardziej w chwili, gdy naznacza karę, widzieć powinno, że naznaczając ją, cierpi, a nie raduje się. Dla tego to słowa zdradzające radość z wykrycia przewinienia, jak np.—Aha! przecież cię złapałem; teraz mi się nie wykręcisz, poczekaj, pokażę ci ja, kto z nas silniejszy,—są w najwyższym stopniu naganne. Zasmucenie złym postępkiem dziecka, słowa tchnące żalem, że się je znalazło winnym, pokuta naznaczona tak, jakby ją dyktowało prawo beznamienne, nieodwołalne, a nie chwilowa popędliwość wychowawcy; oto kara, mogąca mieć wpływ dodatni. „Nie idzie tu bowiem o zemstę nad współzawodnikiem, albo nieprzyjacielem, ale o poprawę powierzonego nam dziecięcia.”**)

Wyśmiewanie dziecka tylko ujemne skutki spowodzić może. „A to ślicznie ci się udało!—Cieszę się, że się naraziłeś na śmieszność; bardzo dobrze, że się ludzie przekonają, co wart jesteś!” są słowa, których wychowawca nie ma prawa wyma-

*) Rollin, *Traité des études*.

**) Dupanloup.

wiać. Nic też smutniejszego, jak obsypywanie dziecka znieważającami przezwiskami. Dziecię tkliwe, wychowane w otoczeniu ludzi przyzwoitych i delikatnych w obejściu, dozna głębokiej obrazy; nagana wyda mu się niesprawiedliwą, a bolesne upokorzenie odejmie w jego oczach słuszność czynionych mu zarzutów. Dziecię przywykłe do gburowatego obejścia nie poczuje obrazy, ale samo gburowatęm się stanie. W jednym i drugim razie wychowawca ubliża sam sobie, schodzi z podniosłego stanowiska, na jakięm tylko spokój i umiarkowanie utrzymać go mogą. Daje dowód braku wychowania i przykład nieumiejętności panowania nad sobą. Wszak jeszcze Seneka wyrzekł, iż „złość jest wadą, jakże więc może być środkiem poprawy wad w innych?”

Przekonani jesteśmy, że przykład w wychowaniu niezmiernie ważną odgrywa rolę, że dziecię, patrząc na postęпки przewodników, ich wad i przymiotów nabywa; a pomimo to pozwalamy sobie na szorstkość obejścia, nieumiarkowanie, popędlliwość, wreszcie niesprawiedliwość. Czy tym sposobem osiągamy cel wychowania, którym jest wszczepienie zamiłowania cnoty?

Nie należy też czynić kary z nauki. Uczenie się wiérszy przepisywanie prozy, pisanie konjugacyj i deklinacyj, obrzydza książkę i czyni wstrętną naukę, gdy zadaniem wychowania jest zachęcić do niej.

Rozgniéwany nauczyciel, naznaczając takie uczenie się na pamięć, lub przepisywanie, nie zdaje sobie nawet sprawy z umęczenia, jakie dziecku gotuje, podwaja, potraja karę w uniesieniu, bo mu łatwo powiedzieć:—„Przepiszesz to dziesięć, dwadzieścia razy”.—Dziecię nabiéra nienawiści do książki, przywyka do nauki machinalnej i niechętnie a niedbale spełnia swą pracę.

Wogóle wszelka kara jest ostatecznością. — „Udawaj się do niej—mówi Fenelon — dopiero wtedy, gdy już wszelkie inne środki cierpliwie wypróbowane zostały.”—Jeżeli nie możemy być pewni, że kara jest sprawiedliwą, strzeżmy się ją stósować. Nic tak nie oburza, nie drażni, nie tak długo w pamięci nie zostaje, jak doznana niesprawiedliwość.

Lepiej w niepewności udać, że się tłómaczeniu dziecka zupełnie wierzy; lepiej dziesięć razy winę przepuścić, niż nie będąc pewnym, że kłamanie, za kłamstwo je karać.

Wzgląd, który powinienby wstrzymywać matkę od nadużywania środków karnych, głównie jest ten, że jak kary, tak nagrody fałszywie stósowane, wprowadzają w błąd sumienie dziecka. Uczy się dobrze, grzecznie się sprawuje, żeby pojechać na spacer, lub dostać jakich łakoci—i już pojęcie obowiązku i cnoty skrzywione, cel chybiony, charakter bowiem nie nie zyskuje, a owszem traci, bo się usposabia do interesowności i cnoty z wyrachowania.

Jeżeli nagroda i kara tak ważną odgrywa rolę w dzisiejszem wychowaniu, przypisać to należy bezmyślności wychowawców, którzy nie zadają sobie żadnego trudu, by obliczyć następstwa środków przez siebie używanych. Że obietnica nagrody lub obawa kary odnosi rzeczywiście skutek chwilowy, używają jej bez umiarkowania zarówno matki, jak nauczyciele, nauczycielki i zakłady wychowawcze, nie bacząc, że tym sposobem osłabiają zamięłowanie i poczucie obowiązku, stawiając w jego miejsce pojęcia fałszywe.

Przy takich warunkach dziecię zatracą zdolność sprawiedliwego ocenienia słuszności, obowiązku, potrzeby nauki. Nieraz słyszałam, jak dziecię zachęcane do niej, zapytywało:—„A co mi mama da, jeżeli dzisiejsze lekcye odbędę dobrze?” — „Co mi mama da, jeżeli będę grzeczny?”—Albo:—„Będę grzeczny, ale jak mi mama przyrzecze, że jutro pojedziemy do lasu, lub w sąsiedztwo”.—„Mama nie wzięła mię wczoraj z sobą na spacer, to ja za to dziś lekcyi się nie nauczyłem.”—Przykłady tego rodzaju postępowania z wychowancem częściej się zdarzają, niżby się zdawało i przy tém szamotaniu się z dzieckiem pospolicie brannem za wychowanie, kary i nagrody muszą przeważną odgrywać rolę, bo dają matce pozory władzy, to jest chwilowe jej zastósowanie. Że jednak równie jak człowiek dorosły i dziecko potrzebuje zachęty; więc może nią być dla niego pieszczota macierzyńska, a matka rozumnie kochająca taką wagę nadać potrafi swemu pocałunkowi, że dziecię uważać go będzie za najśłodsza nagrodę.

Ale pieszczoty niech nie będą dla dziecka chlebem powszednim; udzielanym przez słabą matkę dla jej własnego zadowolenia. Takie pieszczoty męczą dziecko i tak mu powszednieją,

że słyszałam zepsutą jedynaczkę mówiącą: — „Ah! jak mnie mama nudzi; ciągle mię mama tylko całuje a całuje!” — Otóż żeby dziecko czegoś podobnego nie powiedziało, lub nie pomyślało, należy być skąpą w pieśczołach, które bynajmniej nie rozwijają serca, lecz tylko rozmiękzają nerwy. Gdy matka wystroi dziecko, jak laleczkę, obsypuje je pieśczołami, bo jój się mały aniołek podoba; gdy zarumienione wychodzi z kąpieli, całuje znowu, bo jest ładne, a ciało ma delikatne jak atlas; dziecko powie jakiś koncept, lub nawet słówko złośliwe, znowu obdarza go pocałunkiem, bo dowcipne. Póki dziecko jest małe, nie mu to nie szkodzi; ale już czteroletnie instynktem odgadnie, czemu je zawdzięcza. Pocałunki te podniecają jego próżność, ale nie obudzą uczuć szlachetnych. Matka rozumna wie, w jakiej chwili może obdarzyć dziecko pieśczołami. Gdy dziecko ma zachcianki uporu, a jeszcze z nim walczy przez posłuszeństwo i miłość dla matki; wtedy pocałunek utwierdzić je może w dobrém postępowaniu.

Gdy spełni czyn godny pochwały, uścisk matki słodkim mu będzie, bo poczuje, że nań zasłużyło. W trudnościach nauki pieśczoła macierzyńska stanie się dla niego zachętą i pomocą. Dla tego nie trzeba lekceważyć tego wielkiego w wychowaniu czynnika i kierować nim z rozsądkiem; inaczej rozproszy się on w drobnych czułościach okazywanych dziecku nie w porę, tak jak często nie w porę czoło matki się zachmurzy, a głos jój groźnie się podnosi.

Takie z pozoru małe rzeczy składają się na takt w postępowaniu, ów przymiot tak działający na dziecko, jak ręka dobrego jeźdźcy na znarowionego rumaka.

Jedną też z największych zdobyczy macierzyńskiego wpływu, jaki się otrzymuje przez miłość, kierowaną rozumnie, jest umiejętność zapobiegania postępkom dziecka, przez które może zasługiwać na karę.

A że to do pewnego stopnia daje się osiągnąć, już to przez przyzwyczajenie do posłuszeństwa, już przez taktowne obejście i wpływ, jaki zawsze rozum i stanowczość na dziecko wywiera; to nie może najmniejszej wątpliwości ulegać.

Często jedno spojrzenie matki zażegnawa wybuch złego humoru, niecierpliwości i złości; często jedno jój słowo może za-

chęć do pracy i umocnić w zachwianem na chwilę dobrem postanowieniu.

Jednym ze sposobów utrzymania tego wpływu jest wielka oględność w wymaganiu posłuszeństwa, szczególnie, gdy dziecię podrastać już zaczyna. Posłuszeństwa wymagać bezwarunkowo należy aż do chwili dojrzałości chłopięcia; ale matka, nie ustępując nigdy w rzeczach ważnych i nie pozwalając nawet przypuścić, że może kiedy ustąpić, powinna w rzeczach mniejszej wagi zostawić dziecku swobodę. Zbytnie wymagania i surowość usposabiają do buntu i nieufności. Niewolnicy byli zawsze skryci i zamknięci w sobie. Swoboda w możliwych i rozsądnych granicach nie zawraca głowy młodzieńca, skoro wyjdzie z pod rodzicielskiej opieki. Wszak dziecię wychowuje się do tego, żeby umiało sobą rządzić, gdy dorośnie; jedynym więc na to sposobem jest przygotowanie go stopniowe do tego samorządu.

Dodać tu należy, że takie postępowanie matki powinno być dobrowolnem ustępstwem, ale nigdy słabością, którą dziecię natychmiast odczuje i skorzystać z niej potrafi.

Wogóle nad ślepe posłuszeństwo, przekładać należy posłuszeństwo uzasadnione na rozumnych powodach, to jest, wymagać od dziecka takich tylko rzeczy, których potrzebę samo uznać jest w stanie. Tym sposobem otrzymuje się wpływ gruntowny; dziecię uczy się ufać matce i widzieć w niej, nie surową zwierzęczkę, lecz uosobione sumienie swoje i opatrność ku dobremu wiedzącą, a jednocześnie nabywa doświadczenia, bez którego na nic się nie zdadzą wszelkie wskazówki.

Weźmy na przykład fakt najpospolitszy: Dziecię przy nauce rachunków dowiaduje się o wartości pieniędzy; w przykładach arytmetycznych kupuje i sprzedaje daną ilość materjałów, za daną ilość pieniędzy; słyszy nieraz rozmowę rodziców o cenie przedmiotów, o drogości lub taniości produktów, objaśnia mu się o uszy mnóstwo szczegółów, dotyczących się rodzicielskich dochodów; matka mówi mu o oszczędności, o dobrem użyciu grosza; powiastki opowiadają mu o dzieciach, co pieniądze przeznaczone,

na łakocie, oddają ubogim; widzi nieraz kupno, lub sprzedażę wobec niego dokonywane; czy jednak daje mu to poznać rzeczywistość wartości pieniądzy? Bynajmniej. Wić ono wprawdzie, że piernik za trzy grosze kupić można, a bułka zwyczajna dwa kosztuje; ale samo ustósunkowanie dochodów z rozchodami zrozumieć dopiero wtedy, gdy będzie miało w ręku pieniądze i władzę ich zużytkowania. Dowie się wtedy przez własne doświadczenie, że wielu rzeczy odmówić sobie trzeba, że nie należy słuchać wszystkich zachecianek wypróżniających kieszenie, a pozostawiających żal, iż się na blahe rzeczy wyrzuciło pieniądze. To doświadczenie, równie, jak wiele innych, dziecię zdobyć musi samo; żadne moralizowanie zastąpić go nie może.

Zaprowadzenie systematyczności w rozkładzie czasu zarówno jest potrzebne w wychowaniu domowém, jak publicznym.

Najprzód więc godzina udawania się na spoczynek powinna być dla dzieci ściśle oznaczona. Wychowaniec, kładący się spać o rozmaitej porze, wstawać też będzie codzień o innej godzinie; rodzice zaś którzyby wymagali, by dziecię, idące spać, kiedy mu się podoba, wstawało zawsze o tej samej godzinie, naraziliby jego zdrowie na niezawodną szkodę. Dzieci nie mają zwykle skłonności do przyznania się, że im się spać chce; szczególnie wśród zabawy o spoczynku myśleć nie lubią.

Gdy są goście, lub się wydarzy coś, co dzieci zajmuje; udanie się na spoczynek wywołuje protestacje bez końca, jeżeli dzieci nie są od najmłodszego wieku przyzwyczajone do niezmiennej akurataności. Usypiające już powtarzać jeszcze zwykły, że im się spać niechce; dla tego zważać na to nie trzeba i, gdy bije dziewiąta, dzieci powinny niezwłocznie udawać się na spoczynek. Matka niech też przerwie zajęcie swoje lub zabawę, by zmówić z nimi paciérz, po którym zaraz do łóżek iść powinny.

Porę wstawania ureguje sama natura. Budzenie dzieci ospalszych, konieczne w zakładach naukowych, w wychowaniu domowém miejsca mieć nie może. Jedne dzieci więcej, inne mniej

snu potrzebują; byłoby więc nie uznawaniem dróg natury, gdybyśmy utrzymywali, że taka wrodzona ospałość bez szkody dla zdrowia może być gwałconą codziennie. To też nie należy dziecka budzić; czas wstawania wskaże sama natura, byleśmy nie zapomnieli naznaczyć czasu udawania się na spoczynek. Znam pięcioletnie dziecko, śpiające zwykle po 10—12 godzin; zdarzały się wypadki, że to samo dziecko po dniu letnim, spędzonym na świeżem powietrzu, spało zrzędu godzin czternaście, a jednak, niemniej było zdrowe, silne, żwawe i wesołe.

Dziecię obudzone niech wstaje natychmiast; zalecają to wszyscy pedagogowie. Leżenie bezczynne w łóżku, zarówno dla ciała, jak dla moralnej strony jest niedobre. Gnuśność fizyczna, zaraża gnuśnością umysł. Godzin porannych nie należy zresztą tracić na próżno, bo w godzinach tych umysł jest świeży, wypoczęty, do wszelkiego naukowego zajęcia zdolniejszy, niż w ciągu reszty dnia, czego doświadczenia i ludzie dorośli. Ci, co pracują najchętniej w wieczór i w nocy, doznają sztucznego podniecenia nerwowego, choć sobie nie zdają sprawy, jakiego rodzaju jest czynność ich umysłu, i ile na tém zdrowie ich cierpieć musi. Im mniej czasu dziecko straci na ubieranie się i spożycie śniadania, im wcześniej po wstaniu rozpocznie lekcycje, tém większa z nich korzyść odniesie.

Rozkład umiejętny i ścisły czasu jest konieczny, nie tylko dla tego, że dziecko rozmaitych uczy się przedmiotów, ale, że trzeba umieć urozmaicić pracę dziecka, i tak umieć rozłożyć naukę, by przedmioty trudniejsze następowały po łatwiejszych i odwrotnie. „Żądać od dziecątka więcej, niż godzinę na jedno i to samo zajęcie, byłoby dowodem nierozumienia szybkości, z jaką dziecko wyczerpuje swoją siłę nerwową; trzeba odwoływać się naprzemiany to do jego umysłu, to do pamięci, ochoty do pisania, zapału do gimnastyki, aby wyzyskać, co dziecąc dać z siebie może, nie męcząc go bynajmniej. Dziecię daje niewiele, gdy się dla niego niema téj oględności; daje więcej, niżby można przypuszczać, jeżeli się umie ustósunkować czynność wszystkich władz jego.”

„Ta metoda mądrze stosowana w wielu zakładach, jest zanadto zaniedbywana w innych, jako też w wielu rodzinach,

gdzie dzieci powierzone są osobom, często pełnym poświęceń, lecz małego doświadczenia w sztuce wychowania."*)

Równie jak rozkład czasu, ważnem jest umiejętne stósowanie rekreacyj, czyli dłuższych wypoczynków udzielanych dzieciom wśród pracy.

W wychowaniu domowem nie bywa zwykle dwumiesięcznych letnich wakacyj, ani kilkodniowego bezrobocia podczas świąt Wielkiej-nocy, Bożego narodzenia, Zielonych świątek, karnawału, ani świąt podwójnego wyznania, i wychowawcy mogą, pracę dnia każdego skracając, nie mniejszy postęp w naukach dzieci otrzymać. Pomnażanie godzin codziennę zabawy kosztem jednorazowych, dłuższych wakacyj, jest zarówno dla zdrowia dziecka, jak dla jego naukowych postępów bardzo korzystnem. Umysł nie wysila się i nie nuży, ciało rozwija się swobodnię, a obok tego unika się owego rozbujania, rozpróżnowania, znużenia, napadającego dzieci wśród długotrwałych wakacyj.

Często jednak rodzice, nie dając dzieciom dłuższych wypoczynków, nie przyznają im prawa uczenia się mniej każdodziennie. Umawiając nauczyciela lub nauczycielkę i chcąc jaknajwiększą korzyść z ich wiedzy dla dziecka otrzymać, wymagają 5ciu a nawet 6ciu godzin nauki, po których dziecię musi jeszcze na dzień następny się przygotować. To za wiele i bez złych następstw dla zdrowia wychowanka taka praca podejmowaną być nie może.

Lekarze utrzymują, że dziecię po obiedzie wcale się już uczyć nie powinno; my zgodzimy się na jedną godzinę pracy poobiednej, mającej na celu przygotowanie się na dzień następny, ale więcej nie obciążajmy dziecka, a zostawmy mu kilka godzin rozrywki, o ile można na świeżem powietrzu. Również w dniu bardzo upalne, dzieci zmniejszoną pracę mieć powinny i odbywać ją rano, póki jeszcze chłód nocny czyni temperaturę

*) L' abbé H. Chaumont L' éducation, ses difficultés et son but.

mieszkania znośną. Na wsi rzadko kiedy upał bywa przykrym i w cieniu drzew, na świeżem, otwartem powietrzu uczące się dzieci mniej doznają zmęczenia.

Zakłady naukowe, dając dłuższe jednorazowe wakacje, mają na względzie zdrowie uczniów i nauczycieli, potrzebujących często kuracyi, wiejskiego powietrza, swobody, wypoczynku po męczących egzaminach. Mają też na celu połączenie dzieci z oddalonymi rodzinami, by związki naturalne i najbliższe nie zrywały się i nie obojętniały; by odetchnięcie dłuższe swojskiem powietrzem, odżywiło te uczucia, które w szkole nie znajdowały podniety.

Matka—ta dusza i ognisko rodziny, ma tu piękną rolę. Ona to siłą miłości, powagą życia, w którym czyni, słowa i przekonania zawsze z sobą w zgodzie zostawać powinny, może nawiązać wszystkie przez oddalenie zerwane lub rozluźnione węzły i ciepłem uczucia rozgrzać ostygłą w dziecku wiarę i miłość rodzinną.

Rozrzewnienie, z jakim się młodzieniec rozgląda po znajomych kątach, z jakim dziewczica wita to wszystko, co otaczało jej kolébkę, jest najlepszem przygotowaniem gruntu pod pracę matki.

Ma ona obowiązek garnięcia dzieci do siebie, odnowienia i wzmocnienia owego prądu, jaki niegdyś łączył umysł ich z jej umysłem; odszukania w nich wszystkich tych przymiotów, jakie tak starannie rozwijała w pierwszych latach dzieciństwa; dopatrzenia wad i usterków, jakie świat w nich rozwinał; słowem ma zdobyć nanowo i w całej pełni to, co mogła ze swego wpływu przez rozłączenie utracić.

Wśród swobody wakacyjnej, pozwalającej dziecku na ujawnienie zachcianek, wad i przymiotów, łatwem jest śledzenie kierunku, w jakim się charakter wychowanka rozwija. Trzeba tylko umieć patrzeć bacznie, bez narzucania się zbytecznego, nie gderając, co odstręcza dziecię, nie wymagając wiele. Pogadanki z matką, umiejacą zaufanie obudzić, oddziałują w takich razach nader korzystnie. Niech matka nie uważa ich za stratę czasu dla siebie. Chwil, które syn, czy córka, w jej towarzystwie spędzają, nie może im żadna nauka, żadna książka zastąpić.

Czas wakacyjny powinien dzieciom upływać swobodnie, wesoło, o ile tylko można w ciągłym ruchu i pracy fizycznej. Można je zachęcić do pracy nad ojczystym językiem, do przechadzki, mającej jakiś cel naukowy np. układanie systematyczne zielnika, wreszcie do wspólnego czytania; ale krępować ich uciążliwymi wymaganiami nie należy i nie można. Zaznajamianie ich ze stroną praktyczną życia, ku czemu zawsze prawie skłonniemi się okazały, powinni rodzice mieć na ciągłej uwadze. Nauki szkolne, z natury swój oderwane, nie zaprawiają do zaradności, nie otwierają dziecku oczu na stronę życia praktyczną. Za ojcem idącym w pole, do stajni, stodół, i t. d.; za matką czyniącą przegląd gospodarstwa kobiecego, lub zajętą kuchnią, śpiżarnią, apteczką, dziecię idzie z ochotą. Obok towarzystwa rodziców zawsze korzystnego ma w tym razie młodzieniec lub dziewczeczka pożyteczną naukę praktyczności. Starsze dzieci mogą wyręczać rodziców w pracy domowej. Zaufanie okazywane pochlebia młodym. Z przyjemnością wypełniają zlecenia, zaprawiając się jednocześnie do przyszłego życia.

Podczas wesoło spędzanych wakacyj, może przyjść jednak chwila, w której dziecię, do obowiązkowej pracy przyzwyczajone, zaczyna się nudzić, niezajęte niczem, nawet zabawą i więcej beczynnością znużone, niżby pracą być mogło. Ruchy ciężkie i powolne, świadczą o ospałości zarówno ciała, jak umysłu, a twarz przybiera wyraz niezadowolenia i skwaszenia. Wtedy trzeba dziecku wymyślić jakieś zajęcie, pracę, naukę zajmującą a choćby zabawę, byle je ze stanu odrętwienia wyprowadzić.

Wakacje uczniów należących do zakładów średnich, zwykle bywają krótsze; nadto władze gimnazyjalne przeznaczają im jakąś pracę do uskutecznienia; ale wakacje uniwersyteckie są bardzo długie, za długie. Młodzież pracowitsza znajduje sobie zajęcie; ale mniej pracowita, zamożniejsza, wśród długich wakacyj, wskutek beczynności i bezobowiązkowości najzupełniejszej, oddaje się zbyt, albo owemu gnuśnemu rozleniwieniu, co to leżenie w łóżku do 10tej za przyjemność uważa, albo zbyt rozhukaną zabawie, nieznającą ani granic, ani wędzidla. I jedno i drugie rozluźnia hart i karność ducha tak, że zdarza się, iż powróciw-

szy do zakładu naukowego, młodzieniec nie znajduje już w sobie dostatecznej siły do zapanowania nad lenistwem lub upodobaniem do ciągłych rozrywek. „Młodzież nasza rozbisurmaniona” —mówił, lat temu kilka, jeden z najszanowniejszych profesorów we Lwowie, skarżąc się na niechęć do nauki młodzieży uniwersyteckiej. Takiemu rozbisurmanieniu się chłopca podczas wakacyj, zapobiegać trzeba o ile można. Niech zabawa będzie najweselsza, ale niech nie przechodzi w szal i niepomiarowaną żądę coraz nowiej rozrywki; niech szczególnież bezobowiązkowość nie wyradza gnuśnej apatii i lenistwa, z którego ziewający i wiecznie znudzony młodzieniec, nawet otrząsnąć się nie pragnie.

Wreszcie nadmienić wypada, że rodzice nie powinni zachęcać młodzieńca do przedłużania własnowolnie wakacyj. Często chłopiec utrzymuje, że się jeszcze koledzy nie zjechali, że w ciągu pierwszych dni nie się nie robi, że niema potrzeby stawiać się punktualnie na oznaczony termin. Takim zachciankom rodzice powinni się w imię idei obowiązku sprzeciwić. Przypuszczając nawet, że wszystkie argumenta ucznia lub pensjonarki są prawdziwe, należy ich zachęcić, by się na dzień, na godzinę oznaczoną stawili.

Poddawszy się bowiem raz władzy szkolnej, władzę tę, jako prawo, uważać są obowiązani. Wszelkie zatem wyrabianie fałszywych doktorskich świadectw, lub kłamliwych zaświadczeń, że obecność, np. pełnoletniego studenta uniwersytetu jest koniecznie dla załatwienia spraw rodzinnych potrzebną, podczas gdy rzecz idzie o uczestnictwo w tańczącej zabawie, jest w każdym razie ubliżającym rodzicielskiej powadze. Kłamstwo jest nieszkodliwe z pozoru, ale rodzice, mający być dla dzieci swych uosobieniem prawdy, po napisaniu zaświadczenia takiego, stracili niezawodnie coś z szacunku syna, gdy tymczasem powiedzenie:—„Ja ci takiego świadectwa napisać niemogę, bo byłoby to kłamstwem”—może rozgniewać chłopca na chwilę, ale dając mu uczuć powagę niezachwianych zasad rodzicielskich, przejmuje go dla nich szacunkiem.

Uczeń klas niższych, zupełnie od rodziców zależny, zawsze na dzień oznaczony stawić się w szkole powinien. Iluż to jednak ojców dla blahych powodów, opóźnwszy podróż do miasta

wobec syna kłamliwemi przyczynami przed dyrektorem usprawiedliwia go, przekładając rumienienie się wobec dziecka, nad zadanie sobie małego przymusu!

Dziecię małe bawi się ciągle, jest to jego potrzeba; powoli nauka odrywa je od zabawy, coraz mniej na nią czasu mu zostawia, aż wreszcie zupełnie mu go zabiera.

Jest to zadanie gwałtu naturalnej potrzeby zabawy, do której chęć, acz się z wiekiem zmniejsza, nie ginie przecież zupełnie i kiedy człowiek dorosły potrzebuje rozrywki, témbardziej potrzebuje jej dziecię.

Małe bawi się ciągle, ludzie dorośli często, a chłopię — prawie nigdy. Czy to logiczne i naturalne? Bynajmniej.

Dziecię, uczące się, powinno bawić się często; powinna mu być dostarczana sposobność spotykania się z młodzieżą jego wieku, sposobność tańcowania byle nie w nocy, lecz w dzień; bawienia się z towarzyszami na świeżem powietrzu w gry rozmaite, jak w piłkę, palanta, wolanta, serso, kręgle i t. p.

Panienka wychowująca się w domu za całą rozrywkę ma zwykle przechadzkę z nauczycielką lub matką. To za mało. Dajmy jej od czasu do czasu zabawę, któraby się naprawdę bawiła, któraby ją wzmacniała fizycznie, strzegąc od przyszłej niedokrwistości i niedołęstwa.

Do rzędu zabaw dziecięcych zaliczyć wypada czytanie. Owóż patrzac na dzieci poczynawszy od lat 13tu lub 14tu, mianowicie na dziewczęta, zauważyć można, że wiele z nich zawiele czyta.

Po spędzonym pracowicie dniu nad nauką, dziewczynka, wsparta na oknie, korzysta często z ostatniego promyka słońca, żeby się oddać ulubionemu czytaniu. Rano ledwo wstała, już bierze książkę do ręki, bo śniadanie za kwadrans dopiero podadzą; lekcye już umieć — więc czyta. Niedzielę niezmiennie spędza na czytaniu i widziałam raz taką zaczytaną dziewczynkę, która wstając z fotelu, w którym przez trzy godziny siedziała w jednej pozycyi, potoczyła się nagle i o mało nie upadła. Umysł, wyobra-

źnia, nerwy, tak w niej były natężone, że spowodowały nicnormalny przypływ krwi do głowy.

O ile czytanie w miarę jest rzeczą niezmiernie korzystną, o tyle przesada w niem jest dla dziecka bezporównania gorsza, niż zupełne zaniedbanie książki.

Są dzieci (chłopcy szczególnie), które ukończywszy lekcye, bawią się, biegają, harcuja na koniu, nie czytając nic prawie. Tych tryb życia jest zdrowszy od czytających zawiele; zdrowszy nawet w pojęciu moralném; umysł ich miéwa chwile wypoczynku, rozwija się praktyczniej, bo na życiu nie na fikcyjach książkowych; zachowuje całą swą naturalną wrażliwość, kiedy przeciwnie dzieci czytające do zbytku, lubią wprowadzić podrażnienie wyobraźni za pomocą pomysłów cudzych, na ich tle wiele marzą; lecz wrażliwość ich wyczerpuje się przez zbytek pokarmu. Pochłaniając zbyt prędko, nie mają czasu przetrawić rzeczy przeczytanej, a już pożądamy nowój. Odwraca to ich od praktyki życiowej i przytępia zmysł spostrzegawczy.— „Dziwna bo to rzecz, książka!—mówi Żmichowska.—Komu nie jest straszydłem, temu najsilniejszą pokusą się staje; byle w nią oczy wlepić, to już ich na świat otaczający do koła odwrócić się nie chce; zwolna przytępia się władza, którąby *zmysłem spostrzegawczym* nazwać można; wie się o tém, czego się nie widzi; umie się to, czego się nie zna, i przybywa ludziom uczony, który z ludźmi żyć nie potrafi.” —

Nie taka to jednak uczoność grozi po największej części naszej młodzieży, która czyta prawie jedynie książki lekkie, bawiące. Te, pochłaniane nadmiernie, łatwiej jeszcze wytrącają z kolei życia praktycznego i trzeźwego myślenia. Dzieci „łakomie chłoną całe setki tomów i tomików; przywykają godzinę po godzinie myśleć cudzą myślą, cudze uczucie odczuwać; wrażenia ich, jak woda przez przetak uchodzą, zmieniają się i nikną. Młody, bezzilny jeszcze, niezaopatrzone balastem doświadczenia żeglarz nadpowietrznych krain, co dzień prawie przenosi się w inne okolice, w inne wieki, między inne ludy, a żaden bohater urojony, czy prawdziwy, nie ostoi się w pamięci jego dość długo, by mógł nabrać wartości ideału. Wszystko przesuwają się, miga, niby słupy telegraficzne po obu stronach spieszego na kolei żelaznej

pociągu; ze zbytku wywiązuje się przesyt, z przesyty najgorsza z chorób — apatya. Samodzielność rozumna wątleje; grunt charakteru mięknie; zasady, przekonania, uczucia chwieją się za byle naciskiem losu i okoliczności, a społeczeństwu przysposabia się cała warstwa szkodliwych, lub, w najlepszym razie, nieszczęśliwych próżniaków.”*)

Można ustrzedz dzieci, szczególnie córki pod okiem matki wzrastające, od takiego przesyty, będąc bardzo, ale to bardzo surowym w wyborze książek dla dzieci, z własnego już popędu czytających.

Przy takiej surowości, biblioteczka dziecinna nie wzrośnie zbyt, bo żadna literatura nie zawiera wielkiej ilości podobnego rodzaju książek zupełnie dobrych; gdyby wreszcie liczba ich wzrastała zbyt, trzeba i dobremi nie szafować nad miarę, bo i arcydzieła przesyty wywołać mogą. „Nie należy rozpraszać wrażliwości dziecięcej, ale ją skupiać i nateżać ku wyborowym, szlachetnym, prawdziwie pięknym wzorom.” **)

Nietylko zbyt i dla wieku niestosowne czytanie, wyczerpuje wrażliwość dzieci, pobudzając je do życia wczesnego i zaprędkiego; w większym jeszcze stopniu działają w tym kierunku przedstawienia teatralne. Rodzice, prowadzący dzieci do teatru, starają się wprawdzie wybrać dzień przedstawienia sztuki moralnej, nie mieszcząc jej w sobie dwuznaczników, scen gorszących i nieszlachetnej dążności; ale ani chcą, ani umieją zdać sobie sprawy z nienaturalnego wyczerpania, do którego staje się powodem prawie każda sztuka dla starszych pisana. Dla dzieci rozumiałabym teatr dziecinny, ale bezwarunkowo nie rozumiem dla nich teatru dorosłych.

Teatr działa na starszych tak silnie dla tego, że przez nagromadzenie licznych materyjałów życiowych i zamknięcie go w stosunkowo małym zakresie czasu i przestrzeni, skupia nie-

*) Gabryjela Żmichowska.

**) Gabryjela Żmichowska.

słuchanie i natęża ciekawość. Wypadki idą tu olbrzymiemi krokami w przeciągu godziny, fikcyjne osobistości przeżywają lat dziesiątki, kochają podwójnie, nienawidzą bezmiernie. Każda z nich żyje, jakby nie jedno, ale dwa serca miała w łonie, a gdy takie uczucia uplastyczniają się jeszcze żywą grą artystów, nabierają siły wymowy, która nawet do umysłu wyziębłego ogółu przemawia. Dla dzieciennęj wyobraźni jest to pokarm zasilny, zannadto wyczerpujący, rozdrażniający nerwy, narowiający umysł, któremu po obrazach jaskrawych, proste i dzieciinne smakować przestaną.

Niektóre matki prowadzą dzieci na przedstawienia niewłaściwe dla młodego wieku, tłumacząc się tćm, że dzieci jeszcze nie rozumieją. Jeżeli to prawda, po cóż je trzymać w gorącu i dusznćm powietrzu do godziny jedynastćj, co musi być szkodliwć dla zdrowia; jeżeli zaś wbrew zapewnieniom matek rozumieją sztukę, po co wćześnie przytćpiać ich wrażliwość, dawać im obok złego wpływu na zdrowie, owo wćczesne wyziębienie uczuć i zepsucie smaku przez zbyt ostre i silne przyprawy, po co je nadmiernie rozdrażniać, ich tkliwość zbytćcznie wyzyksiwać? Znajome mi dziećci po przedstawieniu „Zbójców” Schillera, dostało silnćj gorączki.

Dziecko nawet starsze, daleko lepiej się bawi na ślizgawce, przy grze w kćgle, w piłkę, lub tańcząc, niż niezdrowo spędzając wieczór w teatrze. Jeśli zaś koniecznie rodzice dzisiejsi chcą prowadzić dzieci na widowiska teatralne, należałoby obmyślić osobne przedstawienia wyłącznie przeznaczone dla dzieci.

ROZDZIAŁ XII.

Nauczyciele domowi, prawa ich i prawa rodziców. Przekonania i charakter nauczycieli. Korepetycje i korepetytorowie.

„Godność nauczyciela, jego powaga, podniosłość i ważność zadania są w naszych czasach nieraz lekceważone i—powiédzmy szczerze—znieważane niegodnie.

Nie będę poszukiwał przyczyn tych zniewag, téj niewdzięczności społeczeństwa; ale wyrażę tu moje przekonanie: mówi mi ono, że pomiędzy wszystkimi powołaniami, niema większego i ważniejszego dla szczęścia ludzkości, a więc godniejszego poszanowania, jak zawód nauczycielski.”

Powyższe wyrzeczenie biskupa Dupanloup’a, określające wysokość i zasługę zawodu nauczycielskiego, muszą znaleźć odzwiek w każdym podnioslejszym umyśle. Ta zaś część, która mieści w sobie oskarżenie społeczeństwa o niewdzięczność, a nawet o znieważenie powołania przewodników młodzieży, jest zarzutem, na który może zasługują tylko jednostki, ale który każda matka, każdy ojciec przed własném sumieniem stawić powinni i zapytać się: czy do takiej opinii nie dorzucają cegielki własnemi czyny, czy w ich domu, u ich stołu i ogniska nie dzieje się krzywda jednostce, spełniającej owo podniosłe powołanie; czy w swojej duszy i umyśle nie znieważają jęj przez niewyrozumiałość lub uprzedzenie niesłuszne.

Bardzo często, znając obowiązki innych względem nas, przeczamy własne i nie chcemy uznawać praw cudzych, nie umiemy uwzględnić indywidualnych potrzeb i usposobienia osób, z któremi żyjemy. Z takiej skłonności wypływa, że rodzice skarżą się

zwykle na nauczycieli nawet wtedy, gdy wyjątkom sprawiedliwość oddają; nauczyciele zaś oskarżają rodziców o niewdzięczność i niewyrozumiałość, nawet gdy sami nie doznali złego obejścia.

I jedni i drudzy niezawodnie mają słuszość, co do wyjątkowych położeń,—i jedni i drudzy błędzą, gdy mówią ogólnikowo, bo wtedy czerpią swe przekonania z uprzedzeń, tak właściwych ludziom, którzy źdźbło w oku cudzém przemieniają na belkę, a własnej belki i za źdźbło nie poczytują. Działoby się jednak inaczej, gdyby każda strona, bacząc na drażliwość miłości własnej, raczej prawo strony przeciwniej, niż własne w swym umyśle i sumieniu ważyła.

Rodzice jednak, ze względu na swe stanowisko, zawsze mają większy obowiązek okazywania wyrozumiałości dla człowieka, którego na kierownika swych dzieci wybrali. Od nich przynajmniej powinien wychodzić pierwszy krok dla zawiązania z nim przyjaznego stósunku; do nich należy przygarnąć przybysza, otoczyć go ciepłem własnego ogniska, dać mu miejsce w rodzinie i patrzeć nań okiem życzliwem. Wprawdzie pojmujemy całą trudność, zwłaszcza w początkach podobnego stósunku. Jakóż samo zbliżenie się do człowieka zupełnie obcego, z którym nas często połączył kantor stręczeń, a nie uczucie sympatyj, czy szacunku—wyradza niedowierzanie. Nasze serce nieraz już zrażone przy zetknięciu się z ludźmi, mimowoli się kureczy, gdy mu nagle zostaje narzucony stósunek bliski, do którego nie zostało przygotowane żadnem uczuciem przejściowem. Węzły sympatyj zadziergają się najłatwiej, gdy jęj sobie nie nakazujemy, gdy przychodzi ona niespodzianie, wtedy powoli opłatywa nasze serce, aż je sobie zdobędzie nadobre. Tu zaś dzieje się przeciwnie. Łączy nas interes, potrzeba, nie uczucie przyjaźni; a jednak chodzi o to, by to uczucie wlać w ten stósunek tak bliski, bo zawiązany w interesie dziecka. Sympatya jest to ptak nieuglaskany, przywabić go lub odpędzić trudno; leci gdzie chce, spoczywa, gdzie mu się podoba, na skrzydłach swych niesie zarody przyjaźni, przywiązania, miłości; — gdy mu chcesz usłać gniazdko w twém łonie, tępłacniej go odstraszysz, a gdy go się najmniej spodziewasz, przybywa zapukać do twego serca. Zdarza się, że żyjemy z kimś lata całe, a nigdy jego obejścia

twarży, głosu, charakteru polubić nie możemy. Jest nam bliskim w życiu; w uczuciu zawsze pozostanie dalekim.

Lecz i pod względem uczuć rodzice są w korzystniejszym od nauczycieli położeniu. Wśród miłych sobie twarzy, wśród uciech rodzinnych, znajomych i przyjaciół dobrowolnie wybranych, spotykają w osobie nauczyciela lub nauczycielki jedynie nieznaną i mimowolnie niedowierzaniem przejmującą istotę; dla niej zaś przeciwnie, wszystko tu jest obcym i nieznanym, nawet ten kącik, który ma swym pokojem nazywać. Oprócz tego uczucia rodzicielskie, mianowicie macierzyńskie, mają władzę jakby rozszerzania serca, podobnie do ciepła, pod którego wpływem każde się ciało rozpręża. Matka, kochająca własne dzieci, nie mniej przeto zdolną jest ukochać dziecko innej matki, które los skazał na osamotnienie serdeczne. Podobna rozszerzalność obcą jest sercu takiego pod dach nasz przybysza; ono się raczej kurczy pod wpływem chłodu i przymusu, jaki na pierwszym wstępie spotyka. Niech więc każda matka zdobędzie się na współczucie dla tej istoty oderwanej od łona własnej rodziny, która wobec skupionego i jednolitego ciała członków domu, do którego wchodzi, musi się czuć sierotą w znaczeniu moralnym. Wreszcie za ustępstwami ze strony rodziców, za wspaniałomyślnym poświęceniem, raczej własnych przyzwyczajęń, upodobań i miłości własnej, niż wymaganiami podobnych poświęceń od nauczycieli, przemawia zależność tychże od domu, w którym przebywają. Są gośćmi — my jesteśmy gospodarzami. Oni przyjmują — my dajemy. Jestto wprawdzie tylko wymiana usług, lecz właśnie ich względną różnicę należy wziąć pod ścisłą rachubę. Nauczyciele dają naukę i opiekę naszym dzieciom; my im dajemy pieniądze, mieszkanie i wygodę; — oni czerpią z dziedziny nienujętej, bo umysłowej i moralnej; — my z kieszeni, a zatem to, co im dajemy, ma dotykálną wartość — są to pieniądze, posilek każdodzienny; należy więc mieć pewną względność i delikatność wywdzięczając się tym sposobem za usługi moralne.

Nie jedna nieobyta ze światem osoba, rumieni się, gdy z nieśmiałością, przy uścisku ręki podaje doktorowi zapłatę. Czuje bowiem całą nierówność, jaka zawsze istnieć musi, między usługami nauki, wiedzy, współczucia i pracy w dziedzinie intelektualnej,

a groszem, który je opłaca. Stósunek rodziców do dobrego i sumiennego nauczyciela jest mniej więcej taki sam,—oni raczej, nie on, są obowiązani do wdzięczności; od nich powinien wypływać ten zdrój uczuć życzliwych, który tak łatwo serca domowników pociąga.

Skargi nauczycieli i tych, co w ich imieniu przemawiają, nastrajają się często na zbyt wysoką nutę, co musi zauważyć każdy, kto na tę kwestyją zapatruje się bezstronnie. Lecz niestety! zaprzeczyc nie można, że trafiają się rodzice, którzy, nie tylko nie uznają za stósowne uczynić pierwszego, przyjaznego ku nauczycielowi kroku, ale jeszcze okazują mu lekceważenie i rzekomą wyższość swoją. Jakże oni uwłaczają samym sobie, nie umiając w nauczycielu uszanować swego zastępcy! Powierzają mu skarb najdroższy — dziecię, jedyną osłodę, jedyny cel życia, a tego opiekuna swęj pociechy lekceważą i nie uznają za równego sobie. Największą krzywdę wyrządzają oni własnemu dziecku, osłabiając w niem uczucie poszanowania, dla przewodnika intelektualnego i moralnego, jakoteż i dla nauki samęj, której nauczyciel jest przedstawicielem. To są ludzie złej woli, albo tak płytkiego umysłu, że nie zdają sobie sprawy z cierpienia, związanęj z nimi roczną umową osoby i z niekorzystnego wpływu, jaki zimny i wiecznie na odpornęj stopie utrzymywany z nauczycielem stósunek na wychowanka wywiera. Różnorodność charakterów wyrządza tu tysiączne odmiany przykrości, małych i większych zadraśnień, a nawet bolesnych cierpień dla serca lub miłości własnej

Prawo władzy nauczyciela nad uczniem jest zwykle wyznawane tylko w zasadzie, ale w zastosowaniu, w praktyce, rzecz się ma całkiem inaczej. Zdarza się nawet, że rodzice wobec dzieci wykrywają śmieszności nauczyciela, krytykują jego postępowanie, dają rozkazy wbrew przeciwnie jego zaleceniom i mają sobie za przyjemność okazywać mu, że nie jego, lecz ich wola spełnić się powinna.

Nie mówię tu o wypadkach, w których dobro dziecka nakazuje rodzicom sprzeciwianie się woli nauczyciela; ale o nierozsądnem, na niczém nieopartem, lub tylko siabość rodzicielską mającém za źródło lekceważeniu władzy nauczyciela. Jedna taka siabość już rzuciła zamęt w wyobrażeniu dziecka; już ono

wie, że nauczyciel nie jest ostatnią instancją, że jest władza wyższa i wola nie zawsze z wolą nauczyciela zgodna, do której uciekać się można. Nie zaniedbuje też odwoływania się do niej, co chwila wynajduje pretekst do szepnięcia skargi do ucha słabiej matki, w której mimowoli coraz większa wyradza się podejrzliwość względem nauczyciela. Najlepsze jego chęci są mu poczytane za złe; wychowanie wchodzi na rozdroże niejednorodności i braku systematu, co wszystko zwichnąć może, zarówno charakter, jak naukowe postępy. Praca i usiłowania nauczyciela przynoszą tylko część tej korzyści, jakaby przynieść mogły; stąd wyradza się w nim niezadowolenie z powodu pocucia nieprodukcyjności własnej pracy, mającej wszelkie powodzenia warunki, a rozbijającej się o okoliczności zewnętrzne.

Człowiek, sumiennie spełniający swój obowiązek, cierpi wtedy dotkliwie, lecz w bezskutecznych usiłowaniach nie ustaje; inny, mniej sumienny, przychyła się do wymagań rodzicielskich i z użytecznego nauczyciela staje się szkodliwym rezydentem.

Jak dawniej było bezwzględne panowanie rodziców, tak teraz panowanie dzieci w rodzinach coraz wyraźniej się zaznacza. Któż nie zna domów, w których siedmioletni malce wyrokuje w rozmaitych kwestyjach, wtrącają się do rozmowy rodziców, przyznają sobie prawo rozprawiania o zasługach i wartości osób dorosłych, co rodziców cieszy, jako dowód niezwykłego rozumu dziecka. W takich domach opowiadanie gościom wobec dzieci, o różnych wadach i przyzwyczajeniach nauczycieli, zachęcanie ich prawie do złośliwych uwag, odbywa się najnaturalniej. Nauczyciel spostrzega, że jest przedmiotem krytyki, a wtedy można zrozumieć cierpienie jego miłości własnej. Samo skrępowanie uczuć pod wyteżonem okiem niechęci już obejście się jego rzeczywiście śmiesznym uczynić może i człowiek, który wśród swoich obracał się swobodnie, wśród obcych kroku stąpić nie umie.

Zdarza się, że taki stan rzeczy jest winą stron obu. Ale w tej chwili mówimy o rodzicach jedynie i ich przekroczeniach przeciw nauczycielom, a za pośrednictwem ich przeciwko dzieciom własnym. Postępowanie ich najczęściej grzeszy słabością i lekomyślnością. Spostrzegają, że dziecię potrzebuje już nauczyciela, więc naprzód utyskują na to, zwlekają, wybierają się do

miasta dla poszukiwań, wkońcu biorą pierwszego lepszego. Nie stawiają sobie wprzód pytania, jakie prawa rządzą tego rodzaju stosunkiem, lecz pozwalają temu stosunkowi stać się tem, czém go uczynią ich wady, słabości, lekceważenie, wreszcie sympatyja, jaką wzbudza nauczyciel. A przecież obowiązek rodzicielski jest wcale inny. Nakazuje on przede wszystkim sumienne poszukiwania, powzięcie starannych informacji o człowieku, któremu chcą dziecko powierzyć. Następnie ścisłe zbadanie tego, co temu człowiekowi od nich się należy i co z tego stosunku wypłynąć ma dla moralnej wychowanka korzyści. Czy sympatyja połączy, czy nie serca rodzicielskie z sercem nauczyciela; czy oddziaływanie wzajemne tych istot, pod jednym dachem żyjących, wykrzesze lub nie iskrę przyjaźni; prawa nauczyciela są wyraźne i jedne zawsze i wszędzie. Szukać, dobiierać, przebiierać dowiadywać się—wolno rodzicom; ale raz umową z nauczycielem związawszy się, niewolno im praw jego naruszać.

Jeżeli możecie wzbudzić w sobie życzliwość, rozgrzewajcie nią serce nauczyciela; nietylko już dla tej przyczyny, że jest on waszym bratem w Chrystusie, że jest gościem u waszego stołu, domownikiem i codziennym towarzyszem waszym, ale i dla tego, że życzliwość waszą odda dzieciom waszym a uczniom swoim. Jeżeli uczucie zadowolenia można nazwać opromienieniem życia, to porównanie to zawiera w sobie i pojęcie tego odblasku, jaki istota zadowolona w swém sercu, rzuca na otaczających w słowie, w czynie, i w każdym niemal spojrzeniu. Nie dziwujcie się, jeżeli nauczyciel, przygnębiony podejrzliwością, niechęcią i lekceważeniem, jakie go na każdym kroku spotyka, obchodzi się z swym uczniem zimno, jest skwaszony i znudzony, gdyż tylko oddaje to, czém go sami poicie.

Gdyby życzliwość i sympatyja nakazywać się mogła, powiedziećby należało, że ją względem nauczyciela uważać za obowiązek należy; ponieważ jednak uczucie to od nas jest niezależne, więc to tylko można powiedzieć, że rodzice wszystko, co mogą, uczynić powinni, by do niej usposobić swe serce. Gdyby im się to nie udało, postępowaniem swém okazywać tego nie powinni. Największa grzeczność, uprzejmość i względność niech otoczy człowieka, którego dziecię powinno kochać i szanować. Słowem

rodzice ze wszech miar powinni się starać uprzyjemnić pobyt nauczycieli w swym domu, uwzględniać ich upodobania i przyzwyczajenia. Lecz i nauczyciele nie powinni pozostawać nieugiętymi. I oni, jeżeli chcą na życie znośne zarobić, niech też starają się przylgnąć do domu, w którym przebywają, nie narzucać zbyt wysokich wymagań, przykroć się wreszcie do możliwości rodziców. Zdarza się, że nauczyciel lub nauczycielka, przebywszy lat kilka w domu zamożnym, gdzie stół, otoczenie i wygody były wykwinne i zbyt wysokie, dostaje się do innego, gdzie pomimo najlepszych chęci, rodzice nie są w stanie takim ich zbytkiem otoczyć. Płacą stósunkowo do swój zamożności bardzo wiele, robią nieraz wysiłek, by dzieciom dać wychowanie staranne; ale całego domowego trybu zmienić nie mogą, i nawet niepowinni, choćby ze względu na moralne dobro swych dzieci. Widywałam nauczycieli, okazujących w takim razie przy obiedzie, że jedzenie jest złe, że im nie dogadza; utyskujących przed domownikami na to, że do takiego nie są przyzwyczajeni.

To już brak względności i niedelikatność.

Wszak nauczyciele mogą zasięgnąć informacji o domu, do którego się dostają;—niechże się dowiedzą, rozmyślą się dobrze; ale raz dostawszy się, niech starają się nagiąć do jego zwyczajów, które nie wypływają ze złych chęci rodziców, lecz z konieczności ich materyjalnego położenia.

Szczęra chęć nauczyciela przyczynienia się do utrzymania dobrego stósunku, szczególnie w takich razach jest konieczną, gdy rodzice są niżsi od niego umysłowo i jeżeli zmuszony jest nad nauką dziecka wyłączny objąć kierunek. Niech to jednak czyni z największą delikatnością, taktem i względnością dla charakteru władzy rodzicielskiej; niech nigdy nie da dziecięciu podejrzenia, ani braku oświecenia w rodzicach, ani swój roli samostannego kierownika z pozostawieniem na uboczu rodziców.

Do wspólnego pożycia z obcymi, trzeba się przysposobić przez wyrobienie w sobie zapasu dobrych chęci, wyrozumiałości, gotowości do ustępstw i gdy takie usposobienie znajduje się jednocześnie i w nauczycielu i w rodzicach, którzy mu swe dziecię powierzą, wtedy życie staje się, nie tylko znośnem dla stron obu, ale nawet szczęśliwem.

Tylko ściśle zjednoczenie się rodziców i nauczycieli może pod względem wpływu na wychowanka prawdziwy przynieść pożytek. Wszystkie te uwagi, jakie obie strony czynić sobie mają prawo, w celu ułożenia do równowagi owego jednolitego wpływu niech mają miejsce w nieobecności dziecka. Jeżeli rodzicom się zdaje, że nauczyciel postępuje z uczniem niewłaściwie, niech mu uczynią stósowne uwagi; ale pierwsza skarga, jaką dziecię osmiele się zanieść na nauczyciela, niech będzie surowo przez rodziców skarcona, by uczeń zrozumiał odrazu, że między rodzicami i nauczycielem zgoda i jednolitość w poglądach panują. Obok takiej w obliczu dziecka zupełnej sankcyi, co do naukowego kierunku nauczyciela, praca nad charakterem musi też iść równolegle; dla tego to przekonania wychowawcy powinny, być mniej więcej zgodne z przekonaniami rodziców.

Bywały niejednokrotne bardzo smutne rodzinne zajęcia, bolesne rozdarcia rodzicielskiego serca, z powodu przejęcia się ucznia zasadami nauczyciela, wprost przeciwnymi zasadom rodziców. Bezwyznaniowość jest dziś najczęściej spotykanem w młodych ludziach, kończących nauki, zjawiskiem; należy też przestrzedz matki przed zgubnym wpływem, jaki podobny kierunek wywiera na dzieci. Młodzieniec przesiąkły materjalizmem nowoczesnym, powinien przynajmniej zobowiązać się, że nie będzie wygłaszał swoich zasad wobec dzieci i uzna potrzebę czynnika religijnego w wychowaniu. Ktoby nie uznawał téj potrzeby, mógłby ślad swego wpływu na duszę dziecka na całe życie zostawić, całą moralną pracę macierzyńską wniwecz obrócić i, napelniwszy głowę nauką, serce ucznia ograbić ze wszystkich świętości.

Najważniejszą zaletą w charakterze nauczyciela — mojem zdaniem — jest prawdomówność i szczerość. Często obietnice dawane przy umowie bezwarunkowego zgadzania się z przekonaniami rodziców, bywają tylko dowodem jego nieszczerości; praktyka bowiem okazuje następnie, że wszystko było fałszem, w piękne słowa przybranym. Szczerość jedynie może nam dać rękojmię dostateczną; faryzeuszostwo ze względu na zły przykład i wpływ na dzieci, wydaje mi się gorszą wadą, niż różność przekonań występująca szczerze. Walka ze szczerością jest

łatwiejszą; z podstępem staje się niepodobną. Nawet nauczyciel bezwyznaniowy, jeżeli jest szczery i uznaje prawa rodzicielskie w kierowaniu przekonaniem dziecka,— byle złożył zapewnienie, że im w tym względzie przeszkód stawiać nie będzie,— nawet taki nauczyciel, mówię, mniej jest szkodliwy, od owych osobistości kłamliwych, których uczynki w wiecznej są ze słowami niezgodzie. Dziecię odrazu spostrzega, że nauczyciel jest innym w swoim pokoju, niż się przedstawia wobec rodziców; że to wszystko, co mówi o swojej pracy i gorliwości jest kłamstwem. Już sama różnica wyrazu twarzy w obejściu uderza je; dostrzega tysiące niekonsekwencji, małych i większych fałszów; zaczyna pojmować korzyści obłudy, aż wkońcu, gdy się nadarzy sposobność, naśladuje wygodną teorią posiadania daru wymowy na to, aby posłużyła do skrywania głębiej swych myśli.

Pewna nauczycielka opowiadała mi, że gdy przybyła do nieznanego sobie domu dla zajęcia się wychowaniem dziewięcioletniej dziewczynki, mała uczennica, przy pierwszej lekcji, dała jej następną naukę zjednania sobie rodziców:—„Niech mię tylko pani, zawsze chwali przed tatkiem i mamą, a będą panią wszyscy w domu lubili. Panna X., która od nas za mąż wyszła, zawsze mię przed mamą chwaliła; mama ją też za to bardzo kochała. Czy dobrze, czy źle lekcją odbęde, niech pani mówi, że jeszcze pani tak zdolnego i pracowitego dziecka nie widziała, a będzie pani u nas dobrze, jak w niebie.” Taka panna X. była zbrodniarką, — ona w sercu młodem nazawsze zaszczerpiła obłudę!

Na dziecko przekonania polityczne, czy społeczne, mniej robią wrażenia, niż charakter jego przewodników. Jeżeli więc tylko można, niech przekonania nauczyciela zgadzają się z przekonaniem rodziców, ale charakter jego niech koniecznie będzie prawy, otwarty, szczery i jasny. Prawda w uczuciach, słowie, i w czynach— oto najlepszy wzór uczciwości dla wychowanców.

Rodzice powinni zadać sobie pytanie: jakie są prawa nauczycieli, co do potrzeb ich osobistych; co im się należy pod względem wygody, swobodnego czasu i wolności osobistej? Prawa te powinny być wyraźnie przy umowie określone, aby tym sposobem zabezpieczyć obie strony od wielu nieporozumień i nieprzyjemności.

Dziecię, którego wychowanie we wszystkiem na prawdzie oparte być powinno, niech wie, jeżeli się o to zapyta, że rodzice płacą jego nauczycielowi; ale niech się zarazem dowie z ust matki, że jeżeli czas i pracę opłacić można, to pieniądź nigdy nie jest w stanie wynagrodzić za dobro moralne, za naukę udzielaną, za życie umysłowe, jakie nauczyciel w uczniu rozbudza; niech dziecko wie, że za takie dary płaci się jedynie sercem, miłością i uczuciem wdzięczności.

Rodzice, na wsi mieszkający, w wyborze nauczycieli podwójnie oględni być powinni, gdyż dla nich zmiana musi być trudniejszą. Zobowiązania co najmniej roczny termin mieć muszą, a nauczyciel, zostający ciągle w domu, jest nie tylko przewodnikiem umysłowym, ale i moralnym. W mieście rzadko kiedy dziecko ma stałego nauczyciela. Chłopcy, zwłaszcza sposobni się do szkół, prawie zawsze powierzani są przychodzącym na godziny. Dla rodzin uboższych takim przewodnikiem jest zwykle uczeń klas wyższych lub uniwersytetu; dla zamożniejszych zaś pedagog z powołania i wyznać należy, że dzieci tych ostatnich najkorzystniej są uposażone: zostają bowiem ciągle pod wpływem rodziców. Uczeń klas wyższych, lub student uniwersytetu, przychodzący na godziny, bywa zazwyczaj miernym pedagogiem; nad sposobem nauczania nie pracował on nigdy; jest młody i niecierpliwy; przyszłość ucznia go nie obchodzi, zajęty jest wyłącznie własną przyszłością i groszem ciężko zarabianym, dla utrzymania się w teraźniejszości. I nie może być inaczej, gdyż położenie to z natury rzeczy wypływa. Trzeba też, oprócz wiadomości zasięganych poprzednio o takim nauczycielu, aby matka przynajmniej z początku była przy jego lekcjach obecną. Zachowanie się dziecka, jego uwaga, trzeźwość umysłu, odpowiedzi jasne, oczy niezaspane, dadzą jej poznać wymownie, czy nauka udzielana przynosi korzyść rzeczywiście lub

wprowadza umysł w stan chorobliwego wyteżenia i ospałości. Każde słowo nauczyciela powinno być zrozumiane przez ucznia, każda rzecz przedstawiona jasno i, o ile można, na dotykalnych przykładach.

Zachęcając rodziców do sumiennego zbadania, co się nauczycielom od nich należy, nie podobna przemilczeć, że i rodzice mają swoje prawa, do których nauczyciele nagiąć się powinni. Do rodziców należy przeprowadzenie ogólnego planu wychowania, którego są twórcami i zarazem stróżami; nauczyciel nie może wnosić praw nowych; musi się do raz ustanowionych zastósować, chyba, że jak najczęściej się dzieje, nie ustanowiono żadnych i wszystko zostawiono na wolę przypadku. W każdym razie nauczyciel czuć się powinien tylko zastępcą, nie bezwzględnym kierownikiem.

Słyszałam nauczyciela, skarżącego się, że matka wtrąca się, nie tylko do jego postępowania z dzieckiem, ale i do nauki. Mogła to być nierozsądna i nie dość oświecona matka, która swoim wpływem wywierała złe tylko skutki; wszakże *wtrącanie się* rodziców do dzieła intelektualnego wychowania dzieci jest w wielu razach jedyną rękojmnią postępu.

Nauczyciel, kierownik młodej duszy i umysłu, jest człowiekiem najczęściej zupełnie nam nieznanym; czynne więc oko matki powinno bacznie śledzić, tak postępów w nauce, jak i wpływu wywieranego na dziecko.

Matka powinna od pierwszej chwili starać się przyzwyczaić osobę, zajmującą się nauczaniem do rozmowy o dziecku, i jego naukach; do udzielania jej własnych spostrzeżeń i poglądów, jako też badania poglądów i spostrzeżeń osoby dopomagającej jej w nauczaniu i wychowaniu. Często rozmowa taka lub uwaga, gdy jest rzucona dorywczo i niespodzianie, obraża nauczyciela, albo budzi w nim podejrzenie, że dziecię skarżyło się na niego, że rodzice mu nie dowierzają; że są z niego nie zadowoleni; odpowiada więc dumnie, lub usprawiedliwia się, jak oskarżony. Aby tego uniknąć, niech matka od pierwszego dnia zaznaczy w umyśle nauczyciela swoje stanowisko; niech zaraz przy umowie ostrzeże go, że jakkolwiek składa w jego ręce część praw rodzicielskich, przecież sama się ich nie wyrzeka;

niech się przeto nie dziwi, że rodzice, jako naturalni opiekunowie, czynnie będą się interessować jego dziełem.

Zachęcając wszakże matki do sumiennego śledzenia postępowania nauczycieli domowych, trudno dosyć wymownych słów dobrać, aby je przekonać o zgubnym wpływie zarozumiałości, jaka się w nich niekiedy wyradza z fałszywego, a bardzo rozpowszechnionego przekonania, że matka wie najlepiej, co dziecku potrzeba.

Matka, niestety, nie wie, jeżeli nad zdobyciem tych wiadomości nie pracuje. Nim więc uczyni zarzut postępowaniu nauczyciela, niech się dobrze zastanowi i, o ile może, niech zasięgnie rady pedagoga doświadczonego i pism pedagogicznych, które czytać powinna; bo tylko pracą nad teorią wychowawczą może się sama oświecić i znaleźć drogę właściwą w praktyce. Nie mówię tu o zaufaniu pierwszej lepszej rozprawie pedagogicznej; ale o badaniu przedmiotu, o rozmyślaniu nad nim, na podstawie prac dokonanych w tym zakresie.

Rozmowy z dziećmi, mające na celu rozwijanie ich umysłu, czytanie z niemi, badanie ich skłonności, śledzenie zdolności — wszystko to powinno być przygotować już do pewnego stopnia matkę, i co do wyrobienia sobie systemu, najlepszego sposobu nauczaniu, i co do wytworzenia sobie ogólnego ideału wychowawczego. Zważywszy jednak trudność zadania, pragnęłabym, aby matki nie lekcewały niczego, co je w tym względzie oświecić może; aby naprzykład zasięgały rady znanych sobie pedagogów i porównywały ich zdania ze zdaniem pedagogicznych nowatorów, jakich dzieła czytać się im zdarzy. Taka praca sumienniej, a nie zarozumiałej matki będzie niezawodnie korzystną dla dzieci, tém bardziej, że wielu nauczycieli domowych traktuje swój przedmiot nienależnie, jak się któremu z nich podoba, a im mniej są zdolni, tém więcej bywają zarozumiali.

Praca nauczycielska jest piękną, jest powołaniem szczerem, wielkiem; ale patrząc na to, jak niekiedy bywa spełniana, dochodzi się do przekonania, że mało kto z prawdziwego zamiłowania jęj się oddaje.

Dla mężczyzn zawód ten jest zwykle tymczasowem zajęciem; po największej części oddają mu się ludzie młodzi, potrzebujący zarobku na dalsze prowadzenie własnych nauk, lub dla wytechnienia po pracy uniwersyteckiej lub szkolnej. Nie jest to więc dla nich zawód, do którego czuliby jakie powołanie; jest to tylko chwilowa i zawsze przymusowa praca, do której nawet specjalnego przygotowania nie posiadają. Zważywszy, ile kierunków pracy przedstawia się dla wykształconego mężczyzny, zgodzimy się na to, że nauczycielstwo domowe jest ostatniem ze źródeł chlebobajnych, z jakich się czerpać odważa. Jest to zawód, zamykający przed nim wszelką nadzieję awansu, wszelką rachubę na stworzenie sobie własnej rodziny i trzeba być pewnego rodzaju moralnym kaléką, trzeba doświadczyć wyjątkowego, nader dotkliwego niepowodzenia w życiu, aby zawód nauczyciela domowego obrać za stałe zajęcie.

Co do kobiet—rzecz się ma całkiem inaczej. Dla nich jest to jedyne, przystępne naukowe powołanie; garną się więc do niego wszystkie, których niższe lub wyższe wykształcenie upoważnia do szukania na drodze umysłowej pracy sposobu do życia. Często nienawidzą swego zawodu, skarżą się na jego trudy i niekorzyści, ale innego obrać nie mogą i trwają w nim aż do późnej starości. Procent nieudolnych i mało umiejących między niemi jest znaczny. Jeżeli się jednak trafi zdolna i sumienna nauczycielka, położenie jej wśród obcej rodziny o wiele może być znośniejszem od położenia nauczyciela. Zwłaszcza dla kobiety z sercem, wychowanie obcych dzieci staje się pewnego rodzaju macierzyństwem moralnem, w którym, niezaspokojone jej uczucia, pewne zadośćuczynienie znajdują. Gdy rodzice spostrzegą, że obca osoba oddaje ich dzieciom serce, niechże rozszerzą dla niej kółko rodzinne i przyjmą ją do niego. Powinowactwo takie nie ze krwi, lecz z wyboru, trwać może nawet wtedy, gdy materyjalne względy zmuszają nauczycielkę do szukania innego miejsca, lub gdy wychowanie swych elewek ukończy.

Na święta, wakacje, przybywa sierota do cudzego ogniska, witana z najserdeczniejszą radością. W niem zaczerpuje nowych sił do pracy i obléwa rozstanie się z obcy-

mi tak gorącemi łzami, jak gdyby z własną żegnała się rodziną.

Wielu pedagogicznych pisarzy zgadza się co do tego, że matki same ze swemi dziećmi powinny korepetycje odbywać. Wiem, że nie wszystkie ządaniu temu zadosyć uczynić mogą, bądź z braku naukowego przygotowania, bądź z braku czasu, zwłaszcza jeżeli położenie materialne zniewala je do pracy na chleb codzienny. U nas dawanie tej naukowej pomocy chłopcom, chodzącym do szkół, lub przysposabiającym się do zakładów naukowych publicznych, uniemożliwia obcy język wykładowy, którego matki nieposiadają wcale, lub znają bardzo niedokładnie. Wszakże te, dla których powyższa przeszkoda nie istnieje, niech pomyślą nad radą, jaką podają teoretycy na polu edukacyjnym. Rada ta wydaje się być bardzo dobrą i pomyślaną głęboko.

Jedna spójnia więcej pomiędzy umysłem dziecka i matki, jedna sposobność więcej oddziaływania na umysł i duszę młodą—są korzyści niemałego w wychowaniu znaczenia, których lekceważyć nie można. Oprócz tego matka najlepiej się przekona o pracy i kierunku, jaki umysłowi dziecka dają nauczyciele domowi, czy publiczni.

W ostatnich czasach odzywały się głosy tak przeciwnie wszelkim korepetycjom, że je za zupełnie nieużyteczne, za szkodliwe nawet uznano. Zdaje mi się, że kamień potępienia rzucić można jedynie na złe korepetycje. Takie rzeczywiście, zamiast rozwijać umysł, utwierdzają go w gnuśności.

Zdarza się, że korepetytor, jak najspieszniej od obowiązku uwolnić się pragnący, sam robi za ucznia zadany przykład matematyczny, pisze wypracowanie, które następnie uczeń przepisuje. Takie korepetycje są nauką próżniactwa i kłamstwa, bo uczeń w szkole pracę cudzą za swoje podaje; jeżeli rozumie

zadanie zrobione przez korepetytora i wytłómaczyć je umie zawsze praca jego, jako niesamodzielną, nie zapewnia trwałego nabytku wiedzy. Nadto dobrowolna ugoda z własnym sumieniem, pozwalająca dziecku bez zarumienienia się, podać nauczycielowi pracę cudzą za własną, jest dla charakteru zgubnym zaprawianiem się do fałszu. Zatem korepetycyje niesumienne przynoszą w wychowaniu szkodę podwójną: zaprawiają umysł do lenistwa, charakter do fałszu.

Atoli korepetycyje dobrze prowadzone pomagają do systematycznego postępu przez dopilnowanie dziecka, by z zadanych przedmiotów nie zaniedbywało niczego i każdą lekcję przyswajało sobie gruntownie; takie korepetycyje są dla wielu dzieci koniecznym dopełnieniem nauki szkolnej i warunkiem postępu.

Rodzice przeto obowiązani są zbadać, jakim jest pomocnik naukowy ich dzieci. Oddalenie ich od miasta utrudnia wprowadzić taki nadzór, ale nie czyni go niepodobnym. Usilnością i staraniem wiele dokazać można. Zasiągnięcie wiadomości o wartości korepetytora jest w każdym razie możliwe; współubieganie się zaś o to zajęcie jest tak wielkie, że zmiana jest łatwą.

Korepetytor nie jest nauczycielem, tylko jego pomocnikiem; wszakże i on potrzebuje pedagogicznego uzdolnienia, które nabywa się wprawą, doświadczeniem, lubo czasem bywa intuicyjnie. Zdarza się często, że młodzieniec podejmujący się tej pomocniczej nauki, nie posiada zgoła owego uzdolnienia. Wyższe klasy szkolne mogłyby pomieścić w nowym programie naukę pedagogii, przez co młodzież początkująca zyskałaby zdolniejszych pomocników. Że jednak uczeń klas wyższych lub uniwersytetu, nie posiada żadnych zasad pedagogicznych prócz tych, jakie nabył własnym doświadczeniem, lub jakich domyśla się instynktowo; tém oględniejszym przeto być potrzeba w przyjmowaniu pierwszego lepszego; jego niedoświadczenie bowiem może zwichnąć zupełnie umysł dziecka i zabić w nim drogocenną dążność do odkrywania i dochodzenia w dziedzinie naukowej wszystkiego pracą i wysiłkiem własnym, co jest koniecznym postępu warunkiem.

Nauka o rzeczach może umysł dziecka uczynić tak sprężystym, tak chwytającym wykład nauczyciela, że korepetycje mogą być dla niego zbytteczne i w takim razie, wyznaczyć trzeba, że nauka najlepiej jest prowadzona: bo obok wykładu szkolnego występuje samodzielność ucznia przy odrabianiu tłumaczeń, wypracowań i zadań wszelkiego rodzaju.

ROZDZIAŁ XIII.

Charakter chłopców i dziewcząt wczesnie swe właściwości ujawnia. Duma męska chłopca. Zaufanie do rodziców nie może być obowiązkiem. Matka powinna wziąć na siebie nauczanie choćby jednego przedmiotu. Objawy zewnętrzne uszanowania. Listy do dzieci oddalonych. Wpływ matki na syna chodzącego do szkół. Drażliwość chłopca na sądy ludzkie, jako wpływ wychowawczy, spożytkować należy. Rodzice wobec niepowodzeń naukowych chłopca. Zwyczaj przemówek i docinków. Oględność postępowania wobec drażliwości chłopięcej. Poszanowanie indywidualności chłopca. Ratowanie go wrzasku upadku moralnego. Starszy brat wobec młodszego rodzeństwa. Kwestyja ko-bięcia odnośnie do chłopca. Wiadomość o zepsuciu niesie w sobie zarazę zepsucia. Co jest dobre towarzystwo? — Złe książki. Miłość piękna jest obroną przeciw zepsuciu. Kształcenie poczucia piękna. Roboty ręczne. Formy towarzyskie. Wiadomości pedagogiczne dla chłopców. Pragnienie dobrobytu i używania. Wpływ ojca.

Sądzę, że niezmiernie korzystnem jest dla dzieci płci obo-jęj wychowywanie wspólne, aż do oddania chłopców do szkół. To, co w naturze męskiej jest trochę szorstkiego i dzikiego łagodnieje pod wpływem tkliwszej, delikatniejszej natury dzieć-wczęcej; dziewczynki znowu przejmują od chłopców usposobie-nie do zabaw ruchliwych, rozwijających ich fizyczny organizm tak nadwątłony w dzisiejszém pokoleniu; stają się odważniejsze, energiczniejsze i łatwiej umieją potem radzić sobie w potrzebie.

Razem przebyte dzieciństwo, wspomnienia lat pod okiem matki spędzonych, utrwalają téż i czynią rzewniejszém przywią-zanie wzajemne.

Takie wspólne wychowanie do lat 12tu, a nawet 15tu, nie zacięra przecież różnic przyrodzonych. Zwykle z rozpoczynają-

cym się wiekiem chłopięcym, przymioty chłopców i dziewczynek zaczynają przybierać cechy ich plei właściwe. Tkwiły już one w związku od pierwszych chwil życia, przejawiały się nawet w większej hałaśliwości i swawoli chłopców, w spokojniejszym i tkliwszém usposobieniu dziewcząt; ale teraz chłopiec zaczyna już być dumny ze swęj męzkiej siły, obraża się, jeżeli go kto nazwie dziewczyną; ma wojownicze i rycerskie zachcianki; pogardza lalką siostry, marzy o koniu, siodle i butach, podczas kiedy dziewczynka staje się trochę gosposią, lubi krzątać się z kluczykami, szyć lub zajmować jaką inną robótką. Młodsze, a szczególnie najmlodsze z jej rodzeństwa, zajmują ją niezmiernie. Chciałaby je nosić i pieścić, tulić do siebie; — prosi matki i niańki, żeby jej pozwoliła wziąć je na ręce, upewnia, że go nie upuści; słowem — ma instynkta kobięce, zupełnie różne od instynktów brata.

Matka, spostrzegłszy tak ujawniające się właściwości natury męzkiej i kobięcej, powinna też i kierunek swego wpływu do nich stósować; chłopca instynkta wojownicze — uszlachetniać, pokazywać mu nizkość siły brutalnej, która powinna ulegać rozumowi, sile woli i wytrwałości.

Już ośmioletniemu dziecku, powiedzieć można: „Pan Bóg stworzył cię mężczyzną i dał ci siłę, nie dla tego; byś jej na uciemiężenie drugich, ale raczej na obronę słabszych używał.” Chłopiec w tym wieku, bierze zwykle na seryjo swą misyją bronienia młodszego rodzeństwa, przed mogącym je spotkać niebezpieczeństwem na odległym spacerze. „Jak zobaczycie psa, to się chowajcie za mnie — mówi on, strojąc minę poważną. — Może on być wściekły, a ja jestem silny, mam gruby kij, to was obronię.” Przykłady i życiorysy sławnych ludzi, silnie na jego umysł działają; zachwyca się męstwem bohaterów, podziwia Demostenesa, przełamującego wadę zająkliwego mówienia i z tej walki wychodzącego wielkim mówcą.

Matka, korzystając z owego zachwytu, mówi mu, jak to człowiek pracą i silną wolą do wszystkiego dochodzi; jak dziecię może przewyciężyć trudności, pokonywać swe wady, gdy tylko zechce silnie — całą duszą.

Dumą męską chłopca łatwo ku szlachetnym celom rozumna matka skieruje. Nie należy jej też ścięrać, ale tylko uzacniać. Pokora prawdziwej wiedzy i rozumu przyjść może w wiekiem jedynie; w chłopięciu wiara w siebie jest samowiedzą ducha i matka powinna dawać mu uczuć, że wierzy w nią także. Jeżeli na przykład przy czytaniu o czynie odwagi, lub poświęcenia, którego z dzieci wsławionych, chłopiec twój zawoła z uniesieniem: — „Jabym tak samo postąpił! — nie okaż mu powątpiewania, ale owszem powiedz, że ufasz, iżby tak uczynił w istocie. Nie mów mu o potrzebie pokory, bo jeszcze na nią czas nie przyszedł, a w dziecku może ona być tylko sztuczną, kłamliwą, lub dowodzić słabości, a nawet podłości charakteru. „Charakter prawdziwie wielki — mówi Smiles — znajduje ostateczne udoskonalenie w cierpliwości i pokerze” ale to już udoskonalenie ostateczne: a nie zdobycz wieku chłopięcego. Wszak ufność i wiara we własne siły, to potęga młodości; w wieku dzieciennym ufność ta dochodzi do zupełnego sił własnych nieobliczania, a im dziecko młodsze, tem mniej wierzy w niepodobieństwo. Zachciewa mu się księżycą i wyciąga po niego rękę.

W wieku chłopięcym już wie, że księżycą dostać nie można; ale im jest silniejsze, żywsze, więcej rozwinięte, tem więcej sobie ufa.

Często można słyszeć dzieci mówiące: — „Jak będę duży jak będę taki, jak tatko...” — I dopiero puszcza wodze fantazyi. Zdaje mu się, że, gdy będzie tyli jak tatko, potrafi ujeżdżać konie dzikie, zwalczać lwy i tygrysy. Te marzenia matka podchwytować powinna, bo jej zawsze coś z ducha jej dziecięcia odkryją. Powiedzą jej, czy duch ten nie pełza w zachciankach używania próżniactwa. Może się zdarzyć, że matka usłyszy: — „Jak będę duży, to nie będę nic robił, tylko jadł same cukierki, wszystkie książki w domu popalę, a pić będę nie wodę z sokiem, ale sam sok”. — Niech matka nie lekceważy sobie takiego kierunku myśli dzieciennych. Są one zawsze objawem czegoś, co się wyraża w charakterze i co z całą usilnością wykorzeniać lub rozwijać należy.

Poznanie wychowawca jest pierwszym warunkiem umożliwiającym wpływ na niego; w każdej zatem okoliczności trzeba szukać strony odsłaniającej pewną właściwość jego ducha.

Na takiem spostrzeganiu matka poprzestać powinna, nie wymagając od dziecka nigdy spowiedzi, jaka należy się tylko—Bogu. Zaufanie nie nakazuje się i nie można czynić z niego obowiązku dla dziecka, w którym, może ono tylko być natchnieniem, nigdy rozmysłem.

Dla stwierdzenia przykładem powyższego zdania, przypuśćmy, że matka zapytuje chłopca, o czém myśli w téj chwili? Na dziewięć dziesiątych razy dziecko śmieje się i twierdzi, że o niczém nie myślało, wykręca się, próbuje wymijających odpowiedzi, lub kłamstwem stara się uwolnić od natręctwa.

Pomimo że zaufanie do rodziców, a szczególnie do matki jest nader ważną w wychowaniu pomocą, ośmielę się jednak twierdzić, że zaufanie to, zupełne w pierwszych latach dzieciństwa, musi w następstwie znacznie się osłabić. Może ono trwać w całej pełni odnośnie co do wyjawiania przez dziecko własnych postępków; ale dziedzina myśli i ducha, im więcej się urabia, kształci i wyosabnia, tém więcej się zamyka w sobie, lub szuka żywiołów sobie podobnych, które rzadko młodzieniec w duszy matki znajduje. Sama różnica wieku czyni to niepodobnem; uszanowanie, jakie matka wzbudzać powinna, bywa też jedną tamą więcej.

Ale nie wywołując, nie wymagając zwierzeń, matka może czytać w duszy dziecka, byle patrzeć dobrze umiała. Wpływ jej łagodny, a nie narzucający się, działać może i powinien aż do zupełnej dojrzałości wychowawca.

Mało jest matek, któreby mogły czegoś uczyć dzieci. Na przeszkodzie staje im często brak wykształcenia, lub zajęcia domowe. Byłoby jednak pożądaném, by matka, choć jeden przedmiot wzięła na siebie np. naukę ojczystego języka. To łatwiej odkryłoby jej trudności nauczania; uczyniłoby ją wyrozumialszą dla nauczycieli i dałoby jej możność śledzenia rozwoju umysłowego dzieci; pokazałoby jej nadto w praktyce dwa cele nauki: siłę jej kształcącą umysł i wpływ jej na moralny dziecka kierunek, wytworzyłyby jedną spójnię więcej, łączącą umysł dziecka

z życiem intelektualn^{ym} matki. Nie jest to wzgl^{ąd} mal^{ej} wagi. Umysł chłopca, przygotowuj^{ącego} się do szkół, wst^{ępuje} w zakres nauk zwykle przez kobiety, a zat^{em} przez matkę, nie uprawianych; marzenia jego już wychodzą z^{aczynają} poza obr^{ęb} rodzicielskiego domu; jego upodobania do koni, psów i myśliwstwa odrywają go od uciech kółka rodzinnego i często już w tym wieku między umysłem matki i syna tworzy się przepaść, niewidoczna dla mniej spostrzegawczego oka, zap^{pełnia}j^{ąca} się pozornie obustronn^ą miłości^ą, ale niemniej przepaść, z poza któr^{ej} trudno już matce śledzić rozwijanie się ducha i umysłu dużego chłopca, kierowanego w nauce przez obc^ą r^ękę, a poza obr^{ębem} godzin pracy oddaj^{ącego} się ruchliw^{ej} zabawie na śwież^{ym} powietrzu, w któr^{ej} matka za nim nie pod^{ąż}y.

Często patrząc na chłopca, hasaj^{ącego} na koniu, łyżwuj^{ącego} po zamarzłym stawie, lub bawi^{ącego} się piłką z towarzyszami, matka czuje, że jak nie pod^{ąż}y za nim w zabawie, tak i w nauce straciła już ni^ę rozwoju jego intelektualnego i że myśl^ą i duchem stała się obc^ą dla niego. Moralizowanie nie nawróci go do ni^ę, bo jest to sposób sztuczny i skutkować może tylko, gdy ma dane z życia poczerpnięte. Niech więc matka nie omija żadn^{ej} sposobności utrzymania spójni duchow^{ej} między sobą a synem.

Schodząc do coraz drobniejszych szczegółów wychowania macierzyńskiego, nadmienić muszę o zewn^ętrzn^{ych} objawach uszanowania dzieci dla rodziców.

O ile niegdyś dochodziły one do takiej przesady, że syn dwudziestoletni wobec ojca usiąść nie śmiał; o tyle teraz skłaniają się one w wielu rodzinach ku obejściu tak pełnemu swobody, że aż w lekcw^{aż}enie często przechodzi. I tu utrzymanie średn^{iej} miary jest rzeczą korzystną dla dzieci, a oszczędzającą rodzicom przykrości—często nawet boleści. Zacz^ąwszy od życzenia dnia dobrego i dobr^{ej} nocy rodzicom, do czego dziecię od najmłodsze^{go} wieku przyzwyczajone być winno; wreszcie dziękowania im i grzecznego proszenia o wszystko; oznaki uszanowania dla rodziców objawiać się powinny w ust^{ęp}stwach wszelkiego rodzaju.

Rodzice zrzekać się tego nie powinni i dopiero dla dorosłego dziecka matka może pozwolić sobie rozkoszy ustępowania miejsca najwygodniejszego i najlepszych kawałków z podanego półmiska. Każdemu z nas zdarzyło się widzieć pieszczone dzieci, tak przyzwyczajone do ciągłych poświęceń matki, że je uważały już, jako z prawa sobie należne. To zapewne wyradza zdarzające się często w wieku późniejszym zupełne zapomnienie o wygodach i upodobaniach rodziców.

Dla powracającego ze szkół syna, nie tylko przygotowuje matka, co dom ma najlepszego; ale z radością ustępuje mu miejsca sobie należnego. Syn uważa téż, że jęj obowiązkiem jest dostarczanie mu wszystkiego w najlepszym gatunku. Rzuca na przykład przed nią koszulę nie dość pięknie uprasowaną, oświadczając, że on w takiej bieliźnie chodzić nie myśli, a matka bieży coprędzej, wydając polecenie, by prano koszule synowskie.

Pewien niemłody już człowiek, opowiadał mi, że matka jego, osoba wielkiego serca, przyzwyczaiła go do takiej o jego wygody dbałości, że ją uważał za rzecz zupełnie zwyczajną. Dorosłym już będąc młodzieńcem, oddawał się gospodarstwu bardzo gorliwie i objeżdżanie folwarków zabierało mu tak wiele czasu, że wracał zwykle po minionej dawno obiadowej godzinie. Zastawał jednak zawsze przyrządzone dla siebie z obiadu najlepsze kawałki, przy czém uwzględnione były jego upodobania i gusta. Raz zdarzyło się, że matka za interesami do miasta powiatowego wyjechała i wróciła późno głodna i zmęczona. Podano jęj resztki z obiadu. W zupie rakowej nie było ani jednej szyjki, pieczone składało się z najgorszych części drobiu, legumina była niekształtnym kawałkiem, jaki zwykle zostaje po obdzieleniu wszystkich.—„Kto pomyślał o zostawieniu mi obiadu?”—zapytała łagodnie matka.—„Nie wiem, zapewne służący.”—odparł syn najnaturalniej. Matka ledwie dotknęła jedzenia. Udała się do swego pokoju, gdzie ją syn w godzinę później zastał płaczącą. Łzy te zrobiły na nim wrażenie, odkrył w końcu ich powód i dopiero zrozumiał, że bez winy rozmyślnęj serca rodzą się przyzwyczajenia, oddziaływające jednak na oziębienie uczucia i że to ostatnie trzeba wzmacniać w dzieciach, czyniąc je baczniemi na względy należne rodzicom.

Że dziecienną pamięć do tego przyzwyczaić można, mogłabym stwierdzić przykładami. Znam matkę, dla której dzieci wybierają zawsze najpiękniejsze owoce, znoszą jej kwiaty, stroją w nie jej pokój, żadne nie dotknie nigdy przylépki, bo ją mama lubi, okrawają białe skórki od własnych kawałków chleba, niosąc je na serwecie matce i błagając, by je przyjęła, chodzą na palcach, gdy śpi, przestrzegają, by nie robiono hałasu, gdy gra na fortepianie; z oszczędności własnych obmyślają dla niej prezenta, a najmłodsza dziewczynka, odpowiedziała komuś, co ten stósunek chwalił:— „Niech się pan nie dziwi, przecież mama to nasza jedynaczka”.—Nie każdej matce zapewne dany jest ten rodzaj taktu i, że tak powiem, wdzięku macierzyńskiego, który wywołuje taką ciągłość poświęceń; ale każda, wymagając od dzieci małych dowodów szacunku i pamięci, może nie zrzekać się praw nabytych, gdy dzieci wieku późniejszego dochodzą.

Gdy dziecię z domu do szkół się oddała, prąd rodzicielskiego wpływu ustaje; potrzeba więc starać się podtrzymywać go sztucznie i zawrzeć w słowie pisaném—w liście. Ale wpływ rodzicielski siedł w towarzystwie wpływów rodzinnych i domowych; był w ciągłym połączeniu z ruchem i życiem uorganizowanego światka, zwanego domem rodzinnym;— otóż listy powinny być żywém jego odbiciem i mieć na celu przedewszystkiém dziecię.

Często matka przywiązana i słaba pisze dla wylania na papier własnych uczuć, dla ukojenia tęsknoty i zaspokojenia potrzeby własnego serca. I te uczucia, jako naturalne, a mające miłość za podstawę, powinny znaleźć miejsce w listach rodziców. Wszakże obok nich jeszcze czegoś więcej wymagać się godzi. Jak książki pisane dla dzieci, tak list rodzicielski powinien tchnąć spokojem, uczuciem, prostotą; nie należy go przepelniać suchemi morałami, złośliwemi przycinkami, ani ową logiką zwykłych wychowawców: *Ja ci mówię, więc tak być musi*. Przedewszystkiém powinien zawierać obrazek dokładny, a jednak nie pozbawiony pewnej idealności tego, co się w domu dzieje.

Drobne szczegóły najwięcej interesują dziecię; stawiają mu w oczach dom rodzinny—to ognisko, z którego wszystkie dobre uczucia płynąć dla niego powinny. Obrazek taki przywodzi mu na pamięć dobrą, łagodną, uśmiechającą się do niego matkę, słyszy głos ojca, szezebiot młodszeo rodzeństwa, czuje się prawie owianem rodzinnem powietrzem, a wślad za tém przychodzi myśl płodna w zachęte, jak ten jego światek witać go będzie, gdy na święta, lub wakacje przyjedzie; jaką radość sprawi dobra cenzura; jak matka ły w oczach—słodkie ły szczęścia—mieć będzie, czytając ją; jak potem oczy do nieba wzniesie, dziękując Bogu, że syn jój, lub córka nie wyrasta na próżniaka, że obowiązkom swoim odpowiada.

Każdy, kto był od swoich oddalony wie, że list, nie przynoszący z sobą tego rodzinnego powietrza, nie dający tego obrazka wiernego życia rodziny, mało robi wrażenia, choćby myśli w nim zawarte były złote. Dopiero wraz z tém żywem, swojskiem technieniem, rada macierzyńska lub ojcowska zapada w głąb serca dziecinneo, a nie prześlizguje się po niem, spowita w nudę suchego moralu, który dziecię pominie, szukając wzmianki o rodzeństwie, ulubionym kucyku, ogródku dziecinnym i tysiącu drobiazgach miłych pamięci i sercu.

Pewna matka poleciła mi, jadącć do miasta, oddanie listu synowi chodzącemu do szkół, uczniowi klasy 3-ćj. Sprowadziwszy chłopca do siebie, oddalam mu list matki, zachęcając, by nie zwlekał czytania przez delikatność, nakazując mu przedłużyć ze mną rozmowę. Chłopiec rozerwał kopertę, przebiegł oczami list tak spiesźnie, że m widział, iż go dokładnie przeczytać nie mógł i dopiero na ostatniej stronnicy zatrzymał się dłużej i wyraz zawodu znikł z jego oblicza.—„Cóż ci mama pisze?”—zapytałam.—„Ej nie”—odpowiedział. — „Jako nic. Przecież widziałam zapełnione cztery stronnice.” — „Doprawdy nie, tylko Staś (młodszy braciszek) pisze mi — tu oczy chłopca rozjaśniły się, że *Kozak* (tak się mój konik nazywa), będzie dostawał codziennie garniec owsa tćj zimy; nie będzie już taki słaby na wiosnę, jak przeszłego roku. Biédak pocił się i męczył, ledwiem wsiadł na niego. Dobry tatko, że mu każe garniec owsa dawać, muszę się postarać mieć same *piątki*, żeby tatuś widział, że i ja

pragnę mu zrobić przyjemność.”—Wzięłam list z rąk chłopca i zobaczyłam dziecięcym pismem u spodu napisane słowa:—„Ściśkam cię serdecznie. Tatko powiedział, że Kozak będzie dostawał codziennie garniec owsa téj zimy. Staś.”—Potém przeczytałam list matki. Był cały zapełniony radami, przypomnieniami danych zleceń, morałami; od nich się zaczynał i na nich się kończył. Poczęłam znowu nalegać na chłopca, żeby mi zdał sprawę z tego, co matka pisała. Zmieszał się, wykręcał, wreszcie powiedział mi, że matka zalecała żeby się dobrze uczył, żeby bieliznę w porządku utrzymywał, żeby codziennie mył zęby. Ani o bieliznie, ani o zębach, nie było w liście ani jednego słowa i roztargnienie chłopca pomieszane z pragnieniem dowiedzenia się czegoś o domu, nie pozwoliło mu nawet zapamiętać treści listu. Kilka słów dodanych przez brata do reszty słowa macierzyńskie usunęły na stronę.

Wspomnianego tu chłopczyka ani usprawiedliwiać nie chcę ani twierdzić, że wszystkie dzieci tak mało przywiązują wagi do rad rodzicielskich; ale wszystkie bez wyjątku przyjmują je chętniej, gdy wraz z niemi, szczegółowe wieści o domu im przychodzą. Dziecię nie lubi rzeczy oderwanych, jego czynna, ruchliwa natura ma wstręt do nich; podane żywém słowem, są jeszcze życiem; ale ujęte w martwą literę listu, stają się czczym wyrazem. Ośmielę się téż twierdzić, że na stu chłopców, 99-ciu po przeczytaniu listu, o jakim wyżej wspomniałam, myślałoby jedynie o *Kozaku* chrupiącym owies, a suche rady matki, przed tym miłym sercu obrazem ustąpiłyby musiały.

Więc nie dawać rad piśmiennych? Strzedz się morałów listownych? Nie, tylko je podawać w formie dla dziecka sympatycznej, takiej, któraby się gwałtem jego umysłu chwyciła, w serce zapadła, a taką formą jest niechybnie, jak rzekłam, rozbudzenie jego uczuć rodzinnych, przez szczegóły, jakie mu się daje o życiu rodziny i tego, co ją otacza. Czy nie byłaby dla dziecka daleko wymowniejsza forma takiego naprzykład morału?—„*Kozak* będzie w zimie dostawał obroku. Ojciec pomyślał o zrobieniu ci téj przyjemności, byś na wiosnę mógł po polach hasać do woli. Dobry, kochany ojciec, myśli o waszych wygodach i upodobaniach. Myśłmy téż i my o tém, co mu pociechę

przynieść może. Wystawiam sobie jego radość, gdy przywiesz dobrą cenzurę, a pan X. zaświadczy o twojem dobrym sprawowaniu.” — Albo: — „Myślimy tu o tobie wszyscy, Staś, Zosia, a nawet mała Marynia, mają twoje imię często na ustach, przy każdej potrawie, którą lubisz, mówią o tobie. Marynia chciała ci wczoraj posłać klusek z sêrem w liście; ledwie ją wyłómaczyła, że poczta takich posylek nie przyjmuje. Staś uczy się chętnie; bodźcem dla niego jest myśl, że w tém samém gimnazyjum, co i ty umieszczonym będzie. Chciałby cię naśladować we wszystkiém — pamiętaj, by to naśladownictwo tobie chlubę, jemu pożytek przyniosło. Obiecałam mu, że gdy przyjedziesz, pokażesz mu swoją cenzurę; powiedziałam téż, że będziesz miał białe i czyste zęby, myte codziennie; to go zachęca do poddawania się niemiłej dla niego operacyi. Nie lubi szczoteczki i proszku, ale wiadomość, że i ty ich używasz, osładza mu codzienną torturę, tak jak tobie osładza ją wiadomość, że ja sobie życzę, byś zęby czysto utrzymywał. Jest to dla zdrowia koniecznie potrzebném.” —

Może ktoś powiedzieć, że taka dyplomacyja, starająca się osłodzić pigułkę, nie jest na miejscu między rodzicami a dziećmi. Na to odpowiem, że jeżeli to jest dyplomacyja ze strony rodziców, dzieciom nie wyda się nią bynajmniej, bo jest to tylko zastosowanie się do kierunku myśli dziecka, do naturalnych jego poglądów i, że tak powiem, przykrojenie własnych pojęć do jego miary, co w wychowaniu jest sztuką najpotrzebniejszą, bez której żadne usiłowania nie przyniosą zamierzonych skutków. Pomyślimy zresztą czém dla starszych jest forma;—jak nauki, sztuki, wielkie myśli, pragną się odziać w szatę jak najprzystępniejszą najwdzięczniejszą, gdy przychodzą kołatać do serca i umysłu czytających, a nie będziemy się dziwić, że i dziecku osłodzona pigułka, nie tylko więcej smakuje, ale większą korzyść przynosi, niż gorzki proszek, na który się krzywi.

Każdy chłopiec, po wyjeździe do szkół, musi przejść przez silnie oddziaływającą na wyobraźnię wiadomość zepsucia. Jest to

wprawdzie tylko teoryja złego, poczerpnięta z opowiadań kolegów, którzy także po największej części znają tylko jego teoryję. Dla dziecka jednak wychodzącego z pod skrzydeł matki, nieznającego jeszcze brudnych stron życia, i o namiętnościach niskich nie mającego pojęcia; takie naraz odkrycie zasłony, czyni wrażenie podobne do tych, jakie sprawiają widziadła w gorączce.

Chłopiec szepce po kątach z kolegami, czasem wpada mu w rękę książka wyobraźnię jego niesłychanie podniecająca; słowem dziecię, żyjące dotąd naturalnem dla niego życiem, zrywa jabłko z drzewa wiadomości złego. I zapobiedz temu niepodobna.

Matka w domu przygotować go do tego nie może, bo jej obowiązkiem otoczyć dziecię przykładami najczystszej moralności, atmosferą spokoju, wrażeniami, wypływającymi z uczuć dobra i piękna.

To też matka, zamieszkała w mieście, powinna być dla syna przeciwstawieniem tych wszystkich kobiet, które go zaciekawiać zaczynają; ta, która na wsi mieszka, niech korzysta z wakacyj, żeby walczyć o duszę dziecka z wpływami świata, mającymi przed jego niedojrzałą wyobraźnią i wytwarzającymi w jego myśli świat zupełnie różny od tego, w który wprowadziła go matka.

Rozumna kobięta niech wtedy bada upodobania dziecka, bo przez nie panuje się najłatwiej. Jeżeli chłopiec lubi czytanie, niech mu podsuwa rzeczy zajmujące, ale dobre, proste i jasne; jeżeli lubi rozmowę (wcześniejsza nauka o rzeczach zwykle upodobanie do niej zaszczerpia); niech matka stara się zniżyć do jego pojęć, niech urozmaica rozmowę i przez nią budzi w chłopcu podnioslejsze uczucia. Wpływ matki na syna w tym wieku nie może się już ująć w formy stałe i musi się warunkować usposobieniem dziecka i tysiącznemi okolicznościami; ale, niemniej starać się o niego trzeba, zostawiając wolność dziecku aż do tęg granicy, na której matka musi powiedzieć stanowcze: *nie*, którego nigdy na żadne prośby cofnąć nie powinna. W ogóle, jak najmniej praw, ale gdy je trzeba było ustanowić, należy je w całej rozciągłości wykonać.

Wypada tu ostrzedz matkę, że w tym wieku chłopiec bywa najmniej doskonałym. Latać jeszcze nie umie, a już chodzeniem pogardza; pozory wydają mu się do tego stopnia rzeczą ważną, iż mniema, że gdyby miał podartą podeszwę, wiedziałoby o tém całe miasto. Obraża się też, jeżeli go ktoś dzieckiem nazywa, słowem na młodzieńca pozuje. Jest to wiek fałszywych, boleśnie piekących wstydów, złe ukrywanych miłości własnych i tych wszystkich uczuć przejściowych, które niezmiernie oszczędzać i umiejętnie traktować należy, żeby zamieniły się w szlachetne przymioty, a nie zeszły na niziny samolubstwa, pychy i podłości. Nadmienić trzeba, że uczucia te, które nazwaliśmy przejściowemi, są w skutkach dla chłopca pożyteczne.

Owa wielka obawa opinii ludzkiej, z którą rozsądnie walczyć należy, skłania go przecież do uwagi na siebie; daje mu przyzwoite obejście, staranność mowy i ubioru cechującą ucywilizowanego człowieka; wreszcie pobudza go do pracy nad kształceniem własnego umysłu. Zważmy, że młodzi ludzie pozbywający się owęj miłości własnej, która skłania do dbałości o formy, ubiór i mowę przyzwoitą są zwykle opanowani przez jakąś ideję niedojrzałą, trawiącą często najpiękniejsze siły narodu. Nowatorowie wszelkiego rodzaju afiszowali zwykle pogardę dla form zewnętrznych; nihiliści rossyjscy i socyjaliści zachodni, odznaczają się tём zaniedbywaniem zwyczajowych ustaw—słowem dążność do obalenia porządku istniejącego idzie zwykle w parze z pogardą dla form ustalonych zwyczajem.

Dbalność zatém człowieka ucywilizowanego o piękno zewnętrzne i opinią ludzką jest rzeczą pożądaną, bo daje rękojmnię, że umysł, trzymając się dróg wypróbowanych, ubitych i szerokich, nie zejdzie na niebezpieczne manowce. Czulość zbyt uczuciowa na sądy ludzkie z czasem przeminie, a świat, czyniąc młodzieńca na swoje zdanie drażliwym, staje się mimowiednym sprzymierzeńcem rodziców, by jego pojęcia utrzymać w obrębie umiarkowania i rozsądku.

Dopiero zerwanie tój równowagi, miotanie się przeciw prawom społecznym, walka z pojęciami narodu i ludzkości, a co dzisiaj tak często daje się wśród młodzieży spotykać, jest dla matki najboleśniejszym widokiem. Czuje ona, że dziecię wydartém

jój zostało; serce pęknać jój może, gdy usłyszy słowa podobne do tych, jakie znajoma mi matka usłyszała z ust syna, a przypominające bluźnierstwa Franza Moora:—„Rodzice, wydając mię na świat, wcale o mnie nie myśleli — dogadzali sobie; zatem nie im nie winienem; dając mi życie nie wyświadczyli mi żadnej łaski, wychowywali mię dla zaspokojenia własnego instynktu i nie więcej.” — Co matka na to odpowiedzieć może? Czy przypomnieć synowi niedospane nad kolébką noce, serdeczne łzy, jakie wylewała nad jego cierpieniem, poświęcenia każdorodzinne, jakie na jego wychowanie się składały? Ależ to było tylko dogadzanie instynktowi macierzyńskiemu; zatem czyn sam w sobie miał już zapłatę i wychowanice nie winien jój wdzięczności żadnej.

Nie potrzeba tu dalszych komentarzy. Fakt sam za siebie przemawia, jeżeli nie do duszy każdego człowieka, to do duszy każdej matki bez wyjątku.

Mniej rozdzierającym zapewne, smutnym przecież bardzo dla matki jest widok wyrządzanej krzywdy moralnej dziecku bez próżności zapobieżenia złemu. Taką krzywdą są niepowodzenia naukowe, nie z winy wychowawca wypływające.

A jednak zdarza się często, że zamiast pociechy ujętej w formę zachęty do pracy na innej drodze; zamiast wiary w zbudowaną na tej drodze przyszłość, chłopiec cierpiący i zniechęcony znajduje w ustach rodziców gorzkie słowa, powracające za każdą sposobnością. Słowa te rozjątrzają ranę i wprowadzają umysł w ten stan chorobliwej drażliwości, z której tak łatwo przechodzi się do zupełnego zniechęcenia.

Często też zdarza się, że zdrowie nie pozwala chłopcu na szkolną, systematyczną naukę.

We wszystkich tych wypadkach młodzieniec napotyka na niewyrozumiałość rodziców. Mają oni żal do syna, że mu się nie powodzi i, nie badając, czy winien jest temu, lub nie, do przykrości wypływających z samego położenia rzeczy, dodają jeszcze tysiące wyrzutów i przyczynków nie bacząc, że do tego niepowodzenia, może sami przyczynili się, nie dawszy mu gruntownej podstawy w początkowej nauce, lub zaprzęgszy go zbyt wczesnie do pracy nadmiernie wyczerpującej jego siły. Może też do

tego przyczyniać się w równym stopniu brak uwagi na prawdziwy rozwój sił fizycznych, nieumiejętne lub niedostateczne odżywianie, co wszystko, przy zupełnej nieznajomości higieny i praw fizjologicznych przez ogół rodziców bardzo często się zdarza.

Przykłady zatrzymania się młodych ludzi wśród nauk są u nas pospolitsze, niż powszechnie sądzą. Rozbiieranie przyczyn zbyt dalekoby nas zaprowadziło; dość będzie zaznaczyć, że złe, przechodzi miarę wyjątkowych przypadków; że każda okolica posiada mnóstwo młodzieży bez patentu dojrzałości, że liczba uczniów zmniejsza się niesłuchanie w wyższych klasach i to w stósunku nigdzie niepraktykowanym; że zatem wśród wielu rodzin spotyka się ofiarę własnego próżniactwa, rodzicielskiej niedbalstwa lub ciemnoty, wreszcie zbiegu nieszczęśliwych okoliczności. Gdy matka ujrzy syna na takim rozdrożu powinna zebrać całą siłę umysłu, całą energiją charakteru, by powziąć postanowienie i wspólnie z ojcem natchnąć niem chłopca.

W każdym więc niebezpieczeństwie tylko wielka przytomność umysłu, ocalić może i w tym razie matka powinna ją zachować, a odrzuciwszy wszelkie niewczesne żale, wymówki, oczekiwania i bezpłodne lamentacje, stanąć od razu na punkcie praktycznego wyjścia.

Panowanie nad sobą tak potrzebne wychowawcom i tu znajduje zastosowanie. Nie myśląc o doznanym własnym zawodzie, trzeba ratować dziecko, dać możność postawienia się znowu na stałym gruncie pracy, wyszukać cel, do którego mogłoby dążyć.

Chłopiec, tracący czas na bezcelowe i bezczynne siedzenie w domu, odzwyczajając się od pracy, oswaja się ze swoim położeniem; wyszukuje usprawiedliwiających go powodów i w końcu zadawała się niemi.

W mieście szuka rozrywek, zabija czas wałęsaniem się po ulicy; na wsi poluje, jeździ konno, stara się jak najwięcej czasu spędzić poza domem, by uniknąć niezadowolonych spojrzeń rodzicielskich; ale powoli beczynność umysłowa zaczyna mu dogadzać; robi projekta dla zaspokojenia własnego sumienia, oddała przecież, o ile można, ich urzeczywistnienie. Projekta te mnożą się coraz bardziej; dziś usłyszał o *jakiś*, *gdzieś* szkole, do której egzamina zdać bardzo łatwo; jutro tłómaczy sobie, że

prywatnie do uniwersytetu się przygotowuje; pojutrze marzy, że pojedzie kształcić się za granicą; innym razem, że jako wolny słuchacz przygotowuje się do egzaminu; to roi o agronomicznym zakładzie, to go szkoła handlowa zachwyca swemi przymiotami i tak schodzą nieraz *lata całe*. A rodzice? I oni powoli przyzwyczajają się do takiego stanu rzeczy. Ojciec utyskuje czasem przed starym przyjacielem na to, że „nie wie co z chłopcem robić;” matka czasem wzdycha, to znowu z upodobaniem patrzy na tryskającą zdrowiem twarz syna, na lekki puszek zapowiadający wasy; w sekrecie zwierza się mężowi, że syn bardzo wyprzystojniał, na co mąż zapowiada, że „kobięty za nim przepadać będą” i tak powoli dojrzewa młodzieniec *do niczego*—ciężar społeczeństwa.

Jeżeli rodzice mają zasoby, żyje z nich, marząc tylko o bogatém ożenieniu; jeżeli są ubodzy, musi szukać jednego z tych zajęć, do jakich nie trzeba żadnych kwalifikacyj. Zostaje nauczycielem domowym, praktykantem gospodarskim, dozorcą przy jakiejś fabryce, lub urzędnikiem najniższego stopnia i z musu zaprzęga się do pracy nieumilowanej, którą w duchu przeklina, spełniając ją niedołężnie i niedbale.

Zwrócić tu należy uwagę matek na szkodliwy, a stósowany w takich razach prawie w każdej rodzinie zwyczaj docinków i przymówek czynionych dzieciom. Póki wychowańcy są mali, przestrogi dawane im są w sposób zrozumiały i jasny, wymówki formułowane dobitnie; gdy jednak wychodzą już z dzieciństwa, rodzice czują, że wobec nich nie umieli zachować władzy moralnej, opartej na szacunku; czują, że duchowo dziecię przestało być pod ich wpływem, że rady i wyrzuty doprowadziłyby je mogły do buntu wyraźnego, do samowoli; używają zatem sposobu okrutnego, a działającego zwykle wprost przeciwnie oczekiwaniu t. j. docinków i przymówek. Korzystają z każdego zdarzenia, z każdej rozmowy, żeby dorzucić słówko przykre dla dziecka: —„O, znam ja takich paniczek—mówi ojciec—którzyby chcieli roztrwonić mienie całej rodziny. Nie umieją jeszcze zapracować,

a na nic sobie nie żałują z kieszeni ojcowskiej.”—„Niech chłopiec tylko przestanie nosić buciki a włoży buty”—mówi matka.—„To już matka u niego nic nie znaczy, już jej uwagi ma za nic, zdaje mu się, że ona nic nie wie, nic nie umie, na niczem się nie zna, że jej wymagania są śmieszne; gdy mu co radzi, rusza ramionami—taka to młodzież dzisiejsza!” — Albo:—„Niema gorszego nieszczęścia, jak mieć dzieci! Piastuj to, strzeż, pilnuj, pielęgnuj, ucz, staraj się o wygody, żeby potem doczekać się, że tyle dbają o matkę, co o piąte koło u wozu.”—Albo:—„Szczęśliwi państwo X., doczekali się pociechy z syna; skończył dobrze nauki, nie tak jak inni, co i t. d.”—Podobna taktyka jest jakby rzuconym pierwiastkiem ciągłego fermentu do źródła uczuć rodzinnych. Zamąca je, ostudza, zaprawia kwasem i goryczą.

Drugim złem, jakie przynosi, jest oswajanie dziecka z niezadowoleniem rodzicielskim. Niezadowolenie to może być karą, której wychowaniec najbardziej się lęka, jeżeli ono jest wywołane złem jego postępkami. Jest to — jakby nagle odsłaniające się rozdarte i zranione serce rodzicielskie — widok wstrząsający do głębi.

Ale gdy stan taki przechodzi w ciągle rozdrażnienie, dziecię oswaja się z niem tembardziej, że samo w nie wpada i wtedy obawa wywołania niezadowolenia rodzicielskiego przestaje być dla niego bodźcem dobroczynnym.

Niezawodnie nagana i oznaki niezadowolenia często są nieuniknione; ale zawsze rodzice powinni się starać wyczerpać inne środki łagodniejszej natury. „W biegu codziennego życia rozsądniej jest dodawać odwagi pochwałą i uznaniem, niż bezustannie robić zarzuty; rozsądniej ufać, niż posądzać; odwoływać się do przywiązania, niż ganić i upominać.” *)

Smutną jest rzeczą, że powyższa beztaktowność rodziców objawia się zwykle właśnie w wieku, w którym zwiększona dra-

*) Principles of education by the author of „Amy Herbert“.

żliwość młodych i sama ich niedojrzałość wymaga bardzo rozumnego obejścia. W życiu codziennem często małe błędy zatruć mogą szczęście; drobne zaś objawy delikatności, najcięższe położenie znośnem uczynić; zatem i w postępowaniu z młodzieżą małych względów lekceważyć nie trzeba.

Pewna młoda osoba wyznała mi, że długo nie mogła ojcu darować upodobania, jakie miał w wymawianiu, z intencją, w jęj obecności, nazwiska młodego człowieka. Nazwisko to wywoływało zawsze na jęj lica rumieniec. Nie kochała go wcale, ale że ją nim prześladowano, więc się czerwieniła zwyczajem niektórych panien.

Przy obiedzie, wobec zgromadzonej rodziny, nauczycieli, młodszego rodzeństwa i dwóch praktykantów gospodarskich, ojciec nieodmiennie wymawiał, patrząc na nią, to nieszczęsne nazwisko. Pomimo, że idąc do obiadu nacierała sobie szczotką policzki, żeby już, o ile można, mieć twarz czerwoną; zmieszanie zawsze ją ogarniało i wywoływało uśmiechy otaczających. Młoda dziewczyna pragnęła wtedy wyjazdu ojca z domu, pragnęła dla siebie choroby, pragnęła, żeby się dom spalił, co by może uwolniło ją od liczego zgromadzania się na obiad tylu świadków uparcie wracających rumieńców. Jest to przykład jeden z tysiąca, w których brak delikatności rodziców i umiejętności odczuwania wrażeń młodzieńczych, sprowadza brak zaufania ze strony dzieci, a nawet rodzi tłumioną niechęć.

Matka szczególniej może i powinna odczuwać te małe drażliwości, niepokoje; to budzenie się miłości własnej w dziecięciu. Syn jęj napisał sonet miłosny, który ona przypadkiem znalazła. Jeżeli widzi, że się chłopiec z poetyckimi próbkami kryje, niechże nie czyni, jak jedna moja znajoma, która sonet wobec kilku osób przeczytała przy zarumienionym i błagającym, by tego nie czyniła, synu. Ta matka już nazawsze straciła zaufanie synowskie.

Inna spostrzega noszony przez młodzieńca medalijon, którego jęj nie pokazał; jeżeli przypuszcza, że zawiera tajemnicę (często najniewinniejszą), nie powinna wymagać, by go jęj pokazał. Już wtedy niech matka zrozumie, że serce jęj dziecka ma prawo do właściwości nienaturalnej przez niedyskrecyją choćby

nawet matki. Często w biografjach i autobiografjach spotykamy się z faktem, że czternasto lub piętnastoletni młodzieniec, pała tajemną i nieśmiałą miłością do jakiejś figlarniej kuzynki, lub starszej od siebie słynnej piękności. Rumieńce, załęknięcie, wiązane dla niej bukiety, zdradzają go. Ludzie obcy się śmieją, ale matka śmiać się nie powinna, ale traktować to uczucie syna z niezmierną oględnością i delikatnością. Jeżeli nie przynosi mu ono szkody, jeżeli od nauk nie odrywa (często chłopiec dla zwrócenia na siebie uwagi ubóstwianego ideału bierze się do nauki i z podwójnym zapalem) trzeba je uważać za to, czem jest w istocie — za marzenie krótkotrwałe a jednak samo w sobie piękne, bo żyjące najezystszą poezją, najpoetyczniejszego z uczuć, jakim jest pierwsza miłość. Matki jednak, albo się z niego nasmiewają i obrażają chłopca w najdotkliwszy sposób, albo też, bojąc się następstw, robią z tego rzecz bardzo ważną; stawiają przeszkody, moralizują syna, śledzą młodych i przeszkadzają ich rozmowie. W jednym i drugim razie dowodzą wielkiej nieznajomości serca ludzkiego.

W pierwszym młodzieniec wzburzony zamyka się w sobie, kryje się przed matką, unika jej, nie może się oprzeć uczuciu, pewnej ku niej niechęci; w drugim, stawiane przeszkody wywołują opór, a uczucie samo z dziecinnego marzenia urasta na uczucie poważne, którego konsekwencyj już się obawiać wypada. Chłopiec ledwo przed samym sobą wyznał, że kocha, lub nawet nie wyznał jeszcze, a już swojej miłości bronić musi, już mu trzeba występować do walki o dobro, którego z samowiedzą nie posiadał jeszcze; urasta więc we własnem przekonaniu na bohatera, a nieśmiała skłonność do ładnej kuzynki na nieszczęśliwą miłość pozować zaczyna, lub się w nią rzeczywiście przeradza. Niech matki pamiętają, że są uczucia zbawienne, gdy stoją w mierze właściwej i, że dopiero po przekroczeniu jej, stają się szkodliwemi. Nie powinniśmy też zapominać, że jak my, tak nasze dzieci, jesteśmy wypiastowani przez cywilizacyją o niezmiernie delikatnych odcieniach. Składają się na nie zarówno nauki, jak sztuki i literatura, teatr i towarzyskie stósunki. Przy takim rozdrabnianiu się wrażeń naszych, rozpadają się i uczucia na odcienia, o jakich człowiek na niższym stopniu cywilizacyi stojący,

niema pojęcia. Rodzice na to skarżyć się nie powinni, bo większa wrażliwość dzieci daje im sposobność wszechstronniejszego oddziaływania na nie. Wybór tylko środków z niezmierną oględnością traktowany być powinien.

Gdy syn z chłopięcia już się na młodzieńca przekształcił, gdy ten dojrzałości bliski; rodzice muszą uznać w nim prawa indywidualności. Przekonania jego szanowane przez rodziców być powinny. Nie znaczy to, by im rozsądnie z nimi walczyć nie było wolno, ale tylko że ich lekceważyć nie powinni. Przypominanie im wieku i własnego doświadczenia, jako niezawodnej gwarancji słuszności, jest teorią fałszywą pomimo kredytu, jaki sobie u nas wyrobiła. Słowa: — „Ufaj mi, jako ojcu” — nie przekonywają bynajmniej, a słowa: — „Co ty tam wiesz! Z takimi młokosami i mówić nie warto” — obrażają miłość własną chłopca i wyradzają w nim upór.

W ogóle rodzice z dziećmi dorastającymi nie umieją rozmawiać. Dowody ich zwykle są nieobmyślane i słabe, a słów i frazesów za wiele. Dają się też unosić skłonnościom własnego charakteru z zupełnym nieuwzględnieniem charakteru młodzieńca. Uniesieni rodzicielskim zapalem, mówią czasem rzeczy raniące duszę młodą i zasłuchani we własnej wymowie, nie dostrzegają nawet, że młodzieniec albo w duszy lekceważy ich słowa, albo też osłania się obojętnością, przez którą żaden argument już się przedrzeć nie zdoła.

Grunt dyskusyj jest też bardzo niebezpieczny dla rodzicielskiego wpływu. Dyskusja beznamiętna, prowadzona w dobrej wierze, a jednak żywa i nie grzesząca obojętnością jest rzeczą tak rzadką, że prawie do rzędu umiejętności zaliczyć ją trzeba. Zwykle przekracza ona właściwą granicę i odrazu staje na punkcie upartej i gorączkowej walki, w której już nie chodzi o przekonanie, ale o tryumf zadraśniętej miłości własnej. Pomijając wzgląd, że podobna dyskusja uwłacza rodzicielskiej powadze, że przyzwyczajają syna do stawiania przeciw niej wyraźnego oporu i zamykania się w dumnej pewności o prawdzie własnych prze-

konań; trzeba jeszcze zaznaczyć, że dyskusja taka, nie pogardzając żadną bronią, często używa słów obrażających i nie dających się usprawiedliwić przy spokojnej rozwadze. Wogóle gdy wychowanie przestało już być wamaganiem z jednej, a posłuszeństwem z drugiej strony, powinni rodzice we własnem pojęciu określić dobrze naturę wpływu, do jakiego nad dzieckiem mają prawo.

Sądzę, że wpływ ten możnaby nazwać *naturalnem oddziaływaniem*, a więc oddziaływaniem doświadczenia, wytrwałości, logiki życiowej, wreszcie wszystkich tych dodatnich przymiotów, jakie mogą się znaleźć w wyższym stopniu w rodzicach, niż w synu.

Oddziaływanie to więc stanie się tém, czém je uczyni moralna, osobista wartość rodzicielska i zmieniać się musi koniecznie stósownie do okoliczności, oraz indywidualnego usposobienia dzieci.

Przestrzedz tylko rodziców należy, że jak panowanie nad sobą było podstawą ich wpływu na małe dzieci, tak i nadal powinno jego podwaliną pozostać. Umiejętność obchodzenia się z niemi nazwaćby można dyplomacyją, gdyby ta nazwa nie nosiła w sobie pojęcia: podstępu, kłamstwa i fałszu.

Nielatwo wszakże wznieść się na stanowisko, z którego dane indywiduum moglibyśmy osądzić bezstronnie. Ileż tu warunków zbadać trzeba, jak ustósunkować oddziaływanie jednych stron ducha na drugie! Zadanie to byłoby trudne, gdybyśmy nawet przypuścili, iż żadna głębia moralna przed nami się nie utaiła; a co jednak jest niepodobném, gdy weźmiemy na uwagę, że człowiek moralny jest tajemnicą, którą odgadywać można, ale która odczytać się nie daje. Poznanie gruntowne dzieci przez rodziców jest tém trudniejsze, że bezstronność ich zawsze jest podejrzaną wobec uczucia, przywiązania i miłości własnej, dopatrującej przymiotów, jakich w dziecku niema, lub pragnienia widzenia takiej doskonałości w dzieciach, że małe wady urastają w oczach zaślepionych na grożące całej przyszłości występki. Zważywszy tę zależność sądu rodzicielskiego, musimy raz jeszcze powtórzyć, że nie należy się spieszyć z ostatecznym wyrokiem. Pojęcie o złém i dobrém jest i pozostanie zawsze jedno i to samo; ale odcienia charakteru, jego odrębności i wybitności niech rodzice uważają

za wyłączną własność dorastającego człowieka i, jako taką, niech ją szanować umieją.

Ileż to dramatów rodzinnych powstało z niewyrozumiałości rodzicielskiej, ile nieszczęśliwie przebytych młodości! Historyja przedstawia liczne ich przykłady, a i dzisiejsze rodziny nie są wolne od zamieszek, spowodowanych tą niewyrozumiałością. Często popycha do niej sama miłość rodzicielska. Bezstronność nie zawsze bywa jej udziałem; zapomina ona często, że jak niema bezwzględnej doskonałości, tak też niema zła absolutnego. Dawni rodzice przeklinali swe dzieci, często nie przebaczały im, aż na łożu śmiertelném; dzisiejsi, jakkolwiek do téj ostateczności rzadko się posuwają, jednak występne dziecię nazawsze w swęj duszy odsądzają od wszelkiego dobra. Uczucie to, jakkolwiek naturalne, bo je zraniona miłość wywołuje, jest niesprawiedliwém i fałszywém. Człowiek najgorszy nawet ma często w głębi duszy popędy ku dobremu; przychodzą na niego chwile, w których potrzebowałby tylko zachęty, podania sobie ręki życzliwéj, by się w jego sercu ocknęła energija, pozwalająca mu powstać z upadku. Uchybiał obowiązkom swoim, ugiął się w walce z namiętnością, ale poszukajmy tylko w jego łonie iskry Bożej — może da się ona rozdmuchać i rozplomienić w ogień szlachetnego pragnienia.

Rodzice, opuszczający dziecię występne, nie szukający dla niego ratunku, czynią zupełnie tak, jak gdyby w niebezpieczeństwie życia zostawiali je własnym siłom.

Często wśród największego upadku, pozostają niektóre szlachetne strony ducha nienaruszone. Człowiek, straciwszy jedno płuco, żyć może, jeżeli drugie zdrowe zostanie, i lekarz, któryby tylko chorą stronę badał i wydał wyrok śmierci na pacjenta, uczyniłby tak samo, jak owi rodzice, co dla namiętności syna do kart, lub rozrzutności, odsądzają go od czci i wiary.—„Niech mi się więcéj na oczy nie pokazuje!”—woła ojciec, a matka, płacząc po kątach, zbiera ostatni grosz w sekrecie przed mężem i posyła nieszczęśliwemu dziecięciu, dając mu tém dowody zarówno miłości, jak słabości.

A jednak gdyby ci rodzice chcieli się doszukać tych stron ducha, które pomimo upadku, zostały jeszcze nienaruszone; mo-

żeby zdołali wyrwać dziecię z niebezpieczeństwa i ocalić jego zdrowie moralne. Czyż matka, która urabiała serce syna, nie zdoła przypomnieć sobie, jaka struna dźwięczała w niem najsiłniej? Czy nią była miłość rodziny, kraju, wreszcie pragnienie sławy, odznaczenia się? Czy ocuciwszy tę dawną skłonność, nie dałoby się odbudować zwalonego gmachu choć w części? Czy matka chrześcijanka ma być podobną do owęj pogańskiej matki, niosącej pierwszą cegłę do zamurowania żywca syna? — Nie, ona powinna odczuć, co w duszy jego spożytkowaćby się jeszcze dało na korzyść cnoty i odważnie stanąć do walki z pierwiastkiem złego, zagłuszającym popędy szlachetne. Są rzeczy, na których wspomnienie największy zbrodniarz łyzy wylęwa. Jeden zadrży na dźwięk wyrazu: „matka”, inny wzruszy się na wspomnienie kraju rodzinnego, cnotliwie spędzonej miłości i t. p. Więc nie leż, nie marnego grosza posyłanego ukradkiem, oczekiwać należy od tej chrześcijanki, gotowej umrzeć za prawdę; oczekiwać raczej od niej potrzeba pracy, walki, wytrwałego poświęcenia, zdolnego odkupić duszę młodą. Historyja nawróceń podaje nam fakta zadziwiające, a najczęściej dokonywają się one pod wpływem pomocy, jaką jedna dusza drugiej podaje, pewnego rodzaju atrakcyi moralnej, która siłą dodatniego wpływu pociąga ku światłu.

Takie porwanie za sobą w dziedzinę wyższych pragnień musi być wypływem pracy nad temi stronami ducha, które się jeszcze zepsuciu oparły; im więcej przeto serce umiłowań posiada, tém łatwiej odkryć w niem dobrą sprężynę. Przyuczać zatem należy dziecię, by od kolébki ukochało to wszystko, co uwielbienia i miłości godne. Własnym przykładem i uczuciem ustrzedz je od powiększenia zastępu obojętnych, bo w sercu tych, gdy upadną, najtrudniej doszukać się pierwiastku zbawienia. Natury głęboko czujące mają czém zły postępek odkupić, ale obojętni, ubodzy uczuciem—ci dopiero w dziedzinie ducha tworzą zastęp umarłych. A niestety, młodzież dzisiejsza, młodzież męska szczególnie, ma pochopność do wygaszania w sobie żywego ognia entuzjazmu. Wielu z niej pozbywa się młodzieńczej wiary w dobro;—wystudzona pierś nie przyjmuje w siebie iskry, jaką rzuca natchnione dzieło mistrza, czyn bohaterski poświęcającego się człowieka. Oko

w którym ogień zapalu wygasł nazawsze, nie widzi już dobra w ludzkości, odszukuje w niej raczej błędów.

Ah! od młodości staręj strzeżmy dzieci nasze, bo w imię czego przemówimy do tych młodzieńców zgrzybiałych, którzy „nil admirari” uważają za kardynalną życia zasadę? Pieniądze i używanie—oto ich jedyne bogi, a te nie tworzą, owszem wyczerpują resztki dobra pozostałego w duszy.

Mówiąc o uroszczeniach egoizmu, wspomnę tu o stósunku starszego brata do młodszego rodzeństwa. Stósunek ten ulega często zmianie na gorsze, gdy dorastający młodzieniec, jako gość tylko w domu przebywa. Odzwyczajony od domowego trybu, staje się on szorstki dla młodszych sióstr i braci; zdaje mu się, że ma nad nimi prawo wyjątkowe, dyryguje więc rodzeństwem, lub je lekceważy, zamykając się w swój studenckiej powadze. Są to egoistyczne przejawy. Spostrzegłszy je, niech matka zbada napróżd sama siebie, ojca, otaczających—może wpływy uboczne złe oddziałują na stósunek rodzeństwa.

Niech też poszuka, co by mogło dawną spójnię między dziećmi przywrócić. Znam przykład, że matka dostrzegłszy w starszym synu owe samolubne zachcianki, które go skłoniły do uważania się za istotę używającą innych praw, niż młodsze rodzeństwo, powierzyła mu podczas dłuższej nieobecności ojca, opiekę nad dwoma znacznie młodszymi braćmi. Powiedziała mu, z jakich wad pragnęłaby chłopców wyleczyć, jak w tém kierunku męski jest im potrzebny, jak z tchórzostwem Ludwisia postępować należy ogłędnie, żeby go powoli oswajać ze wszystkim, a nieosłabić jego systemu nerwowego przez zbytne wstrząśnienia; jak Władzia trzeba odzwyczajać przykładem i zachętą od marudztwa i powolności. Dodała, że w téj opiece nad młodszymi, starszy brat powinien zastąpić ojca, że ufa jego rozumowi, dobroci i cierpliwości. Chłopiec dumny z takiego zaufania przeniósł się do pokoju młodszych braci: Ludwisia zaczął uczyć konno, Władzia obietnicą spaceru nakłaniał do prędkiego ubierania się i mycia — słowem, oddał się cały narzuconej mu roli opiekuna.

Matka, o której wspomniałam, miała niezawodnie do czynienia z bardzo dobrym młodzieńcem; ale zacytowałam tu jej przykład, jako dowód, że szukając, znaleźć można sposoby na utrzymanie karności między rodzeństwem, co w dalszém życiu tysiącem błogosławieństw się oplaca.

Wspomniałam wyżej, iż matka powinna być dla syna żywém przeciwstawieniem, już nie mówię zepsutych, ale lekkich i zalotnych kobiet. Było to może przestrogą zbyteczną; każda bowiem matka, dbająca o cnotę swych dzieci, rolę swoją dobrze pojmując, innym zaś próżno byłoby wmawiać potrzebę tego, nie zrozumiałyby jej, a nawet niema prawdopodobieństwa, by słowo niniejsze przeczytały.

Rola wszakże matki nie ogranicza się tym razem do czynnego przykładu. Wiele kobiet, cnotliwych w gruncie, ma zamiłowanie w skandalicznych wypadkach, które stanowią ich rozmowy towarzyskięj przyprawę; inne znów używają występków znanych sobie kobiet za tło, od którego by ich cnota mogła jaśniej odbijać i dla tego nie unikają rozmowy, w której dwuznacznych napomknieniach ukrywa się zwykle daleko większe zło, niż rzeczywiście było spełnioném. Szkodliwy wpływ takich rozmów zasadza się właśnie na zbyt ujawniającém się upodobaniu w nich, w zaciekawiających półsłówkach, w tym niby naganiającym tonie, w którym znać brzydkie zadowolenie z możności potępienia bliźniego i upowszechnienia skandalu. Gdyby matka powiedziała poważnie dorastającemu synowi:—„Pani X. stała się niewierną mężowi, jej występki sam w sobie karę niesie w serdeczném cierpieniu, wyrzutach sumienia, utracie szacunku nie tylko znajomych, ale i własnych dzieci. Żałujmy jej, ale nie przyczyniajmy się ani jedném słowem do pozbawienia jej dobrej sławy, gdyż ta jest skarbem jej dzieci.” Takie poważne słowa matki, dobry tylko wpływ wywrzeć by mogły.

Ale ileż złego przynosi ciekawa jej żądza skandalu — tego obliczyć trudno. Rozmowy światowe, dalekie od rządzenia się chrześcijańskim sumieniem, odzierają chłopca z dziewiczości

pojęć, brudzą jego myśl i wyobraźnię, rozciekawiają go. Potępiana zwykle surowo kobieta, a usprawiedliwiany kochanek, daje mu fałszywe pojęcie o błędzie, który w jego nieskażonym umyśle przedstawiał się, jako równy dla stron obu; tymczasem towarzysztwo stara się go przekonać, że tak bynajmniej nie jest, że na nią kamieniem rzucić trzeba, *on* ledwo na zarzut nierozwagi zasługuje: „Nie potępiajcie, abyście potępieni nie byli” jest pięknym ewangelicznym przepisem, wykreślonym, niestety! z towarzyskich ustaw.

Obok rozmowy skandalicznej, występuje ojcowska słabość, przypominanie sobie dawnych sukcesów. Poważny kierownik rodziny nie opowiada wprawdzie o nich wyraźnie, ale półsłówkiem, półśmiejchem daje do zrozumienia, że był kiedyś niebezpiecznym Don Żuanem. Żona do dziś dnia prześladuje go jakąś dawną słabością; gdy wyjeżdża, daje mu żartem zalecenie, by nie za nadto patrzył w oczy słynnej piękności, którą ma spotkać. Czasem jój zazdrość jest prawdziwa. Dzieci spostrzegają, że przy wymawianiu pewnych imion kobiecych, matka rzuca na męża spojrzenia badawcze, że go podejrzewa, śledzi, boi się zdrady, i lada słówko staje się dla niej powodem do poważnych podejrzeń. Oprócz tego, że zazdrość jest najnierozsądniejszą z wad, gdy się ukryć nie umie tak, by jój żadne oko nie dośledziło, jest i z tego względu niemądrą, że od niczego nie broni, owszem owoc zakazany tém ponętniejszym czyni; jest zaś, gdy daje z siebie dzieciom widowisko, tém samém, co owe skandaliczne rozmowy. Ojca lub matkę podejrzewają, nie ufają im — zatem jest prawdopodobieństwo, że zbłądziłby mogli. Gdyby nie robiła ojcu scen zazdrości, kto wie, czy ojciec nie szukałby poza domem zakazanych uciech.—Gdyby ojciec matki nie pilnował, nie śledził, możeby cnota jój nie była tak niewzruszona. — I oto dzieci powątpiewają o gruntowności rodzicielskich przekonań.

Godzi się żądać więcej jeszcze, mianowicie by nawet żart tego rodzaju usunięty był z rodzin przez cały czas wieku chłopięcego. Takie żartobliwe przestrogi i uwagi jak: — „Tylko mi tam żony nie zbałamuc.”—„O, moja żona pozawraca dziś głowy wszystkim starym kawalerom i studentom.”—„Wszystkie kobiety się w nim kochają, zdaje się, że i moja żona nie jest obojętna

dla niego" — są w wysokim stopniu niemoralne i gorszące. Chłopiec 17-to letni słucha tych żartobliwych przyczek z zupełnym zrozumieniem rzeczy, z uśmiechem domyślnym i powoli rozwiewa się przed jego okiem pojęcie nienaruszalności związków rodzinnych. Matka—ten uosobiony ideał świętości lat dziecińczych, staje się dla syna taką, jak wszystkie, kobieta;—ojciec—ten wzór męskiej doskonałości jest słabym niewiesticich wdzieków czcicielem. Jakkolwiek świat tego ostatniego upodobania za błąd nie poczytuje i, jakkolwiek syn dorosły mógłby już patrzeć na nie, nietylko z wyrozumiałością, ale nawet mógłby go za błąd nie poczytać; przecież w wyobraźni chłopięcej, w skutek absolutnego pojmowania rzeczy właściwego temu wiekowi, obleka się ono w szatę niedarowanej słabości.

Widziałam dzieci nienawidzące kobiety, o którą ich matka była zazdrośna. W stosunku *do niej* nie było nic nad uznanie wysokich zalet umysłu i uwielbienia dla jej muzycznego talentu; w stosunku *jej do niego* — nad przyjazne i wdzięczne usposobienie za okazany szacunek. Nie będziemy się wdawać w dochodzenie psychiczne, czy ten stosunek mógłby się być przedrodzić w uczucie głębsze i żywsze, gdyby temu były okoliczności sprzyjały; to pewna, że nie był niczem więcej nad przyjaźń, która zerwała się z chwilą, gdy podejrzyszwana kobieta, dowiedziała się o zazdrości nieufnej żony. Pewnego razu, gdy goście liczniej się zgromadzili na imieniny tej ostatniej, przyjechała i nienawistna sąsiadka. Usłyszałam wtedy trzynastoletniego chłopca mówiącego:—„Po co ona tu przyjeżdża? Mama powinna by kazać ją za drzwi wyrzucić. O! patrz Maryniu, jak tatko się wita z nią; pewno przywiozła z sobą nuty, żeby wszyscy jej śpiew admirowali. Jak zacznie śpiewać, to my wtedy hałasujemy, ile będziemy sił mieli.”—Tatko pewno koło niej przy herbach usiadł—rzekła 12-to letnia Marynia — zawsze koło niej siada, a ona nie się *nie wstydzi*. Słyszałam, jak tatko do niej mówił, że już nie miał *nadziei*, żeby przyjechała.” Mała więc—gromadka śledziła i podglądała czynności ojca; miała za złe, że obwiniona *nie wstydziła się*, gdy przyjaciel i sąsiad miejsce obok niej zajmował;—miała żal za frazes najprostszej grzeczności o utraceniu nadziei przyjazdu sąsiadki; słowem potępiała ojca i niewinną kobietę, bo

matka była do tyła słabą i nierozważną, że przed dziećmi swoją zazdrość odkryła. Jakże ona w ich pojęciu poniżyła godność ojca, jak skaziła ich charakter, ucząc je szpiegować go!

Gdy się zastanowimy, czém w życiu mężczyzny jest *kwestyja kobięca*, dojdziemy do przekonania że nie należy nic lekceważyć, co tylko może wpłynąć na ustalenie pojęć chłopca w tym względzie. Matka wprawdzie pośrednio tylko może wpływać na syna w wycieczkach jego wyobraźni, serca i natury, w tę tajemniczą krainę, na której bramach wyryty jest wyraz: *kobięta*; może przecież usposobić go do podniosłego pojmowania, zarówno obowiązków rodzinnych, jak i swego do kobiety stosunku. Weiss w swoich:—*„Zasadach filozoficznych”* podaje idealny wizerunek mężczyzny, w którym powiada: *„Każdą kobietę, której łaski posiadał, starał się uczynić uczciwym człowiekiem i zrobić z niej istotę godniejszą szacunku, niż była poprzednio. Ta, która była jego kochanką, nie przestała nigdy być jego przyjaciółką.”*—Mądrość Weiss’a jest może mądrością pogańską, lecz zawsze jest to mądrość szlachetna; jeżeli surowego Józefa trudno wychować w młodzieńcu dzisiejszym, nie dajmy mu przynajmniej popaść w niekzemny donżuanizm, lub zezwierzęcenie niskie, traktujący kobietę, jako rozrywkę jedynie.

Język nasz cnotę dosadnie i właściwie nazwał *surowością obyczajów*. W matce ta surowość rozciągnąć się powinna dalej, niż postęпки i słowa, powinna ująć w swe karby nawet jej uśmiech i spojrzenia. Patrząc na przykład na jakiś dwuznaczny illustrowany koncept którego z pism humorystycznych, niech się matka wobec dzieci nie uśmiecha znacząco, podając dziennik w obieg towarzystwu. Jest to drobiazg, ale dorastający syn nie powinien pochwytować myśli matczyniej, lubującej się w trywialnych i bezecnych przedmiotach. Przeczytała koncept, może go zrozumiała—ale jest wyższa nad zadowolenie żadnej szkandalu, ciekawej domyślności. Może zresztą konceptu nie zrozumiała wcale, ona tak czysta w życiu, w myśli tak poważna, że nie wie, co brud, nie dotknąwszy go nawet wyobraźnią! Dziecię nienaprowadzone uśmiechem, nie doszukuje się znaczenia grubego, trywialnego dwuznacznika i myśl jego o tyle mniej jest

zbrudzoną. Jeżeli jednak nieszczęśliwy zwrot rozmowy sprowadzi ją, pomimo usiłowań matki, na tór skandalicznego opowiadania; niech milczeniem swoim i powagą potępi taką rozmowę, niech energicznie broni każdego niedowiedzianego czynu, każdej oskarżonej na wiarę pogłosek kobiety.—„Chcąc uczynić ludzi cnotliwymi, trzeba ich za cnotliwych uważać”—Możnaby to zdanie moralisty inaczej obrócić: —„Chcąc uczynić dziecię cnotliwem, nie trzeba w nie wmawiać, że ludzie cnotliwymi nie są.” Ileż to razy kobieta właśnie dla tego cnotliwą pozostała, że ją za taką miano i nie ośmielono się rzucić pierwszego słówka, prowadzącego następnie do namiętnych wyznań. Jacy mężczyźni najwięcej kobiet z drogi obowiązku sprowadzają? Oto ci, co najmniej w cnotę kobietą wierzą, Niech więc młodzieniec nie zostanie odartym z tej wiary. Niech ją utwierdzą w nim przykłady życia matczynego, jej słowa technące niezłomnem przekonaniem, że ludzie są lepsi, niż ich bliźni malują.

Takie usposobienie dziecięcia dla ludzkości jest tém samem, co szukanie dla niego dobrego towarzystwa, dobrej książki, jest wpływem uczniającym. Przebywanie w towarzystwie ludzi dobrych i rozumnych, ustrzeże dziecię, od lgnienia sercem do złych i głupich, a nawet uczyni mu wstrętnym z nimi stósunek. Gdy jak najmniej wie o zepsuciu, będzie się go strzegło i gardziło nim z pewnością.

Wiadomość o złem ma siłę zarazy. Doświadczono już szkodliwości ogłaszania i upowszechniania szczegółów popełnianych zbrodni, samobójstw, zręcznych kradzieży i t. p. Jestto jak nasienie chwastu niesione wiatrem i szukające tylko roli właściwej, by w nią zapuścić korzenie. Traupmann, 17-to tetni zabójca ufającej mu kobiety i jej sześciorga dzieci, sprawca zbrodni spełnionej, jakby dla zadowolenia dawno w wyobraźni pielęgowanego zamiaru; wykształcił się na czytaniu gazety sądowej, gdzie sławniejsze zbrodnie opisywano nieraz z najdrobniejszymi szczegółami. Czytaniu temu oddawał się z namiętnością i z niego czerpał zarazę.

Historyja samobójstw przedstawia nam to samo zadziwiające zjawisko. Rozgłaszane przez gazety szczegóły oryginalnego sposobu odbierania sobie życia, wywołują naśladowców. Co za

przestroga dla przewodników młodzieży! Mają do czynienia z dziecięciem — istotą daleko pochopniejszą do przyjmowania wszelkich wrażeń, niż człowiek dorosły. Tymczasem mało wychowawców to rozumieć. Pochwycenie przez dziecię grubijańskiego słowa gdzieś na folwarcznym dziedzińcu uważają rodzice za coś wielce zdrożnego; ale sami po kropelce wsączają w duszę dziecka truciznę, przez osvajanie go z zepsuciem, które czerpie słuchając różnych skandalicznych kawałków. Zwykle przy młodych panienkach takich opowiadań towarzystwo się wystrzega; lecz dorastającego chłopca wciąga w nie i wcale jego obecnością krępowaniem się nie czuje. A przecież zbrukać może, nie tylko bezpośrednie zetknięcie się z życiem, ale i wyobrażenia skierowana ku przedmiotom brudnym a sprośnym.

Potrzeba dobrego towarzystwa dla młodzieży, jako ogólnie uznana, nie wymaga obrony — każdy ją rozumie; należy tylko zwrócić uwagę na dziwaczne pojęcia, jakie nieraz mają rodzice o tém, co się dobrém towarzystwem nazywa. Jakoż pewna matka opowiadała mi, że gdy syn jój ukończył gimnazyjum w prowincjonalném mieście, sama odwiozła go do Warszawy, gdzie miał chodzić na uniwersytet. — „Porobiłam mu stósunki — mówiła — mam tam dawne znajomości; wprowadziłam go do kilku domów; pani więc, dobre towarzystwo to koniecznie potrzebna szkoła dla młodego człowieka.” — Usłyszawszy to w teorii logiczne zdanie, zapytałam, jakie to są domy, do których przystęp ułatwiła synowi. Wymieniła mi je. Pierwszeństwo pomiędzy niemi trzymały salony paru pań zepsutych do szpiku kości próżniactwem, zbytkiem, strojem, kokieterją, o których miłostkach mówiono głośno i których życie nie do naśladowania nie przedstawiało. Zawolałam więc: — „Jako? tam pani syna wprowadziłaś?” — O, pani X. należy do dystygowanego świata.” — odebrałam odpowiedź. Ona jest z domu Y... W jój salonie spotyka się najlepsze towarzystwo. Chłopiec nabierze *manijer*, nie zapomni *francuskiego*, porobi sobie stósunki. Bardzo jestem

kontenta, że tam bywa. Pisał mi że pani X. jest dla niego nader uprzejma. Jak to dobrze nie zaniedbać stósunków w świecie!”

A teraz po opowiedzeniu faktu, który sam za siebie mówi, wypada zapytać matek, czy jest on jedyny w swoim rodzaju? Czy to była jedyna matka, która tak *umyślnie* do stolicy podążała, by syna wprowadzić w świat największego zepsucia, to jest tego, które nie rzuca się w oczy ohydą, ale owszem jest eleganckie i pociągające swemi wykwintnemi formami.

Dobre towarzystwo jest szkołą—prawda; ale dobre, w znaczeniu moralném, nie dowodzące wartości urodzeniem, stóskami i majątkiem. Dziś już syn mojej znajomej spożywa owoce nauk owego *dobrego towarzystwa*. Skończył wprawdzie kursa, ale nie nie robi, nie chce mu się nawet pracować na kawałku ziemi rodzinnej, jaki posiada. Wypuścił go w dzierżawę, a sam w owym wielkim świecie, który był jego szkołą, kręci się jak nędzny satelita. Podobno jest doskonałym *walserem*, nadto ma wiele zimnej krwi przy kartach, czuje się przecież nieszczęśliwym, bo jest przekonany, że szczęście zaczyna się dopiero na tym szczeblu, na którym człowiek może trzymać powóz i parę koni w mieście, a jego majątek umniejszający się z rokiem każdym na tę pierwszą potrzebę życia mu nie pozwala. Matka sama opowiadała mi o tém *pokierowaniu się* syna. Ubolewała nad jego rozrzutnością, ale w jej tonie przebijało się niejako zadowolenie z tego, że syn ma takie wytworne upodobania. Gdy w jej opowiadaniu przyszła kolej na teorię pierwszego szczebla drabiny szczęśliwości, matka z nśmiechem zakonkludowała: —„Jemu trzeba się było urodzić księciem i milijonerem.”—Fakt jest prawdziwy, a jak smutny!

Kto uważniej patrzył na życie młodzieży, ten zapewne doszedł do przekonania, że łatwiej jest rodzicom zaszcześcić w chłopcu przyzwyczajenie i zamiłowanie dobrego towarzystwa, niż dobrej książki. Młodzież uboga, potrzebująca obok zdobywania nauki zarobić na utrzymywanie daniem korepetycyj, ma czas tak zabity pracą, że ani towarzystwo, ani książka nie sta-

nowi dla niej ważniejszego życiowego wpływu. Młodzieniec ubogi ma czasem *przyjaciela*, rzadko ma *towarzyszy*; praca jest dla niego matką, żywicielką, zarówno ciała jak ducha, pochłania wszystkie jego żywotne nadmiary i zostawia go wyczerpanym wobec intelektualnych rozrywek. Tak jest najczęściej, jeżeli nie zawsze.

Młodzieniec zamożniejszy, przyzwyczajony w domu do towarzyskich uciech, słuchania muzyki, odbywania wspólnych spacerów, wycieczek, bywania w teatrze, na koncertach, do odwiedzania z rodzicami znajomych, jest od dzieciństwa wciągnięty w życie towarzyskie i, jeżeli rodzice postarają się, by ta nić upodobań towarzyskich nie zerwała się wraz z oddaleniem się chłopca z domu, mogą postarać się dla niego o znajomości korzystne moralnie, uprosić jaką szlachetną znajomą, lub znajomego o wyrozumiałą a życzliwą chęć przyciągnięcia chłopca i ochronienia go od szukania złych stósunków, przez ofiarowanie mu dobrych.

Ale zła książka, to opętanie naszego wieku, nie dla tego by złe książki były dzisiejszym wytworem, ale że pochoch do czytania wzmógł się do stopnia nigdy przedtém nieznanego. Już dzieci siedmioletnie czytają czasem z namiętnością;—upodobanie to rozwija się z wiekiem i dochodzi często aż do przesytu, wywołanego zupełnem osłabieniem wrażliwości. Dla przesycionych i wyczerpanych, wymyślono *powieść sensacyjną*; dla nich to dostarcza literatura francuska obrzydliwych utworów, zalegających wystawy księgarskie wszystkich stolic, a nawet miast prowincjonalnych. Niestety, nietylko przesyconym i zepsutym utwory te wpadają w rękę; zdarza się, że powieść zatruta zmysłowością wyrafinowaną, jest pierwszą książką, jaką pochłania młodzieniec, wychodzący z pod skrzydła matki. Jakiś usłużny kolega, traf, przypadek, podsuwa dziecięciu truciznę i cała praca wychowawcza matki, jój usiłowanie, by dziecko, o ile można, doskonałym uczynić, obraca się w niwecz wobec zepsucia, jakie wytwarza rozbewstwiona, zezwierzęcona wyobraźnia, a przechodzącego w niektórych sensacyjnych utworach miarę, nawet rzeczywistego życiowego zepsucia. Trzeba zadrżnąć, gdy się widzi całe szeregi złych książek, następujących się usłużnie spojrzeniom publicz-

ności—zadrżać, gdy się pomyśli, że nabyć je może młody człowiek, uczeń z czwartej lub piątej klasy i za ta książka rozbudzi w nim śpiącą snem dziecięcym naturę, rozstroi spokojne nerwy, oszpeci duszę, podkopie zdrowie przez nienaturalne podniecenie.

A sposób zaradzenia złemu?

Niepodobna odebrać książki, z którą się młodzieniec tai, niepodobna go upilnować. Wymóźdz przyrzeczenie, że czytać złych książek nie będzie? Zbyt to hazardowny sposób. Młodzieniec może do złego ziarna, zasianego przez książkę, dodać złe ziarno niskiego czynu — złamanie obietnicy. Żadna straż materyjalna nie zapobiegnie złemu. I więźniowie znajdują sposoby dostawiania zakazanych rzeczy i ukrywania ich tak przemyślnie, że nawet oko więziennego stróża ich nie dojrzy.

Jedyna obrona, jaką matka dać może, jest dostarczenie chłopcu tego, co mu złą książkę wstrętą uczyni.

O zasadach moralnych, przekonaniach, mówiliśmy już powyżej; obecnie więc dodać tylko należy, że obroną przeciw złej książce jest zdolność odczuwania piękna i jego zamięlowanie. — „Jabym może i lubił złe romanse, gdyby niemoralność nie była tak brzydka!” — mówił mi raz młody człowiek, mający upodobania artystyczne i umiejący odczuć piękno wszędzie, gdzie je natknął. Nie jestem świętoszkiem i wiem, że się narażam na śmieszność; niemniej przecież wyznam, że przy czytaniu złej powieści taki mnie ogarnia niesmak i wstręt, żem jeszcze żadnej dokończyć nie mógł.” — Uwierzyłam mu tém łatwiej, że sama podobnego niesmaku doświadczałam, ile razy chęć poznania tego rodzaju literatury włożyła mi w rękę powieść sensacyjną. Już nie chrześcijanka, ani miłośniczka moralności cierpiała we mnie wtedy, bom była do znalezienia złą przygotowana; ale umysł mój od tej brzydoty odwracał się ze wstrętem, jak się oko odwraca od przykrego widoku. Zatem wszystko, co się w młodzieńcu da spożytkować na korzyść zamięlowań artystycznej natury, starajmy się wyzyskać.

Dowiedziona jest rzeczą, że jak pamięć nasza przyjmuje pewną tylko ilość pokarmu i że gdy już jest w pełni wyzyskana, nie może objąć dodawanych sobie ciężarów, tylko odrzucając część dawnych; tak i to, co zadawała nasze upodobania, ma ograniczoną nad człowiekiem władzę, czyli, że używanie zarówno zmysłowe, jak intelektualne, zużywa w człowieku daną ilość wrażliwości i jakiegokolwiek rodzaju była przyjemność, zmęczenie, czy zadowolenie wywołane nią, albo nas czyni niezdolnymi do przyjęcia jakiegobądź, choćby innéj natury wrażenia, albo zaspakaja naszą żądzę przyjemności do tego stopnia, że innéj nie pragniemy. Weźmy pierwszy lepszy przykład. Mało kto, po wieczorze wypełnionym słuchaniem pięciu aktów opery, pomyślałby o upragnioném w innym razie zwiedzaniu galerii obrazów; albo o poranku muzycznym, po nocy spędzonej na tańcu. Takto zależność upodobań jednych od drugich i kompensowanie się ich wzajemne schodzi od wrażeń zewnętrznych aż do najgłębszych tajników naszej istoty. Myśl, wyteżona w jednym kierunku, usuwa swoje siostrzyce chociażby najpowabniejsze i najgodniejsze przyjęcia. Bolesć silna nad jednym przedmiotem, czyni człowieka niezdolnym do uczucia innéj bolesti. Matka, której dziecię umiera, mogłaby obojętnie patrzeć na śmierć wielu innych ludzi. I w świecie fizycznym można znaleźć zastosowanie téj teorii, jak na przykład: rozwijanie się jednych członków kosztem innych i t. p. Prawdę tę rodzice spożytkować powinni dla dobra dorastających dzieci. Małe pacholę, człowiek dorosły, starzec nawet, potrzebują rozrywki; jak umysł tak ciało szukają odświeżenia się w wrażeniach przyjemności, i rozrywka ta jest rzeczą godziwą, bo naturalną, a zdrową równie w pojęciu fizyczném, jak moralném. Dział przyjemności jest może najwięcej urozmaiconym i najmniej może dającym się obliczyć życia ludzkiego — czynnikiem. Przebiegłszy cały szereg zabaw, od najbardziej roznamiętniających człowieka dzikiego, do najsubtelniejszych rozkoszy umysłowych, którym się oddaje człowiek, stojący na najwyższym szczeblu cywilizacji, widzimy: że jak pierwsze nie potrzebują żadnego poprzedniego przygotowania umysłowego, tak drugie wymagają studyjów rozlicznych i najwyższego intelektualnego rozwoju, a pomiędzy nimi leży cały bezmiar szczebli rozmaitych, które sto-

niem przygotowania warunkują przyjemność. Gdy nadto, opierając się na prawie ograniczonej możności przyjmowania wrażeń, uznamy, że przyjemności wyższego rzędu zabijają pragnienie niskich i pospolitych rozrywek; pojmimy, jak ważnem jest dla młodzieży przygotowanie jęj do odczuwania przyjemności podnioslejszej natury. Są niezawodnie istoty obdarzone wrodzonym popędem do oddawania się uciechom szlachetniejszego rodzaju. Ale poetów i artystów się nie urabia—oni się rodzą; a że są to tylko nieliczne wyjątki, zatem wyjątkowe tylko matki mogą iść za wrodzonym popędem wychowawca. Ogół znajduje w swych dzieciach pospolite pragnienia, urastające często na niesforną żądzę jakiej niskiej namiętności. Otóż, jako zabezpieczenie od niej, trzeba się starać rozbudzić w dziecku upodobania podnioslejszej natury.

Matka wykształcona i czuć umiejąca może podjąć to zadanie względem swych dzieci. Jak przy zaszczepieniu zamiłowania porządku przykład jęj działa najskuteczniej; tak i tu przykład wzmacnia się jeszcze, przez udzielający się zapal, jaki towarzyszy wszelkim artystycznym upodobaniom. Słowo matki ożywione zapalem łatwiej objawi chłopięciu piękności dzieła sztuki, niż zimna rozprawa, choćby najuczeńska.

Pierwiastek też piękna, wpleciony w życie rodzinne, jest dobroczynnym wpływem na dzieci i, nawet wtedy, gdy dziecko nie okazuje uzdolnienia do uprawy jakiegoś talentu, należy go starannie w niem pielegnować i rozwijać.

A jednak wyznajmy! Mało jest rodziców, którzyby się o to starali.

Jeszcze gdy chodzi o muzykę, chętnie dajemy jęj miejsce w wychowaniu; ale gdy zdolności dziecka do tęg sztuki się nie nadają, innych ani odszukać staramy się, ani też ujawniającym się nie dajemy poparcia w nauce. Gdy wszakże muzyce prawie wyłącznie powierzone jest kształcenie artystycznych stron ducha naszych dzieci, starajmy się pojąć dokładnie, czem ona dla nich być może i powinna. Wiele matek i każda prawie nauczycielka domowa uczyła się grać na fortepianie; każde prawie powiatowe miasteczko ma nauczyciela gry fortepijanowęg; każdy dom średnio zamożny i zamożniejszy posiada fortepijan. W spółe-

czeństwie zatém, muzyka stała się do tego stopnia popularną, iż kształcenie się w niej jest dla każdego prawie dziecka możliwém.

Te jęj upowszechnienie uciążliwe dla mieszkańców miast, umęczonych słuchaniem gamm i ćwiczeń rozmaitych, nie powinno rodziców zniechęcać; przeciwnie znajdując w społeczeństwie przygotowanie muzykalne, niech z téj pomocy korzystają w celu rozbudzenia w dzieciach zdolności i zamiłowania artystycznego. Mając podstawę, niech jęj nie lekceważą; łatwiej bowiem wyzyskać środki, jakie się już posiada, niż na innęj drodze je stwarzać. Trzeba tylko już posiadane umieć spożytkować należycie na korzyść dzieci, których zdolności przyrodzone do tego się nadają. Uznanie, jakiem ogół otacza muzykę, ma jednak cechę takiej konwencyjonalności, że kwestyją tę należałoby postawić wyżej nad wymagania mody i zarzuty jednostronnej krytyki, jakiej niejednokrotnie była przedmiotem, szczególnież ze względu na zbyt wybitne miejsce, jakie zajmuje w wychowaniu ko-bieć.

Uważana zwykle, jako zabawa, rozrywka i środek podoba-nia się, muzyka sponiewierana w naszych czasach została. Wywołuje ona przecież zbyt podniosłe i głęboko wnikające do duszy wrażenia, by jęj zadanie do tak błahych tylko ograniczać korzyści. Począwszy od wzruszenia, wywołującego spazmatyczne łkanie, aż do wesołości objawianęj tańcem i śmiechem; muzyka porusza w naszém sercu całą gammę uczuć. Z tonami jęj przychodzą do nas stare wspomnienia *), wzruszenia dawno w sercu usłpione, myśli, któreśmy już za stracone mieli. Jest więc ona czémś co działa tak silnie na duszę naszą, że ją porywa swoim rytmem, budząc w niej szereg wrażeń nieujętej i subtelnej natury. „Cała seryja uczuć jest nieznana człowiekowi nieumieją-cemu odczuć muzyki.”—mówi pani de Staël. Rychter to samo

*) Jest starożytna szwajcarska melodyja zwana *Ranz*: (le Ranz des vaches). Musiano zakazać grywania jęj wobec najemnych szwajcarskich żołnierzy od ojczyzny oddalonych, bo pieśni ta budziła w nich taką tęsknotę, że dezercyjja stawała się ogólną.

innemi słowy wyraża. „Muzyka — powiada on — mówi nam o rzeczach, których nie widzieliśmy i nigdy nie zobaczymy.” Spencer w filozoficznem studyjum nad muzyką stawia hipotezę, że muzyka kształci w nas uczucia, z których dziś jeszcze nie możemy zdać sobie sprawy, ale które z biegiem postępu i cywilizacyi zajmą ważne miejsce w życiu człowieka; że zatem zadaniem muzyki jest przygotowanie ludzkości do tych uczuć wyższego rzędu, nieznanych jeszcze, a przeczuwanych zaledwie, które kiedyś przyczynią się do jej uszczęśliwienia. Ten sam uczony utrzymuje, że cywilizacyja zasada się na usiłowaniu przetworzenia skłonności, czyniących nas antagonistami, a na rozwijanie tych, które wykształcają z nas towarzyskie istoty; — wszystko zatem, co budzi wspólność uczuć i sympatyję społecznia nas, wiąże, cywilizuje. Czy muzyka tego posłannictwa nie spełnia znakomicie?

Gdy zejdziemy do wykazania dobrodziejstw, jakie przynosi w rodzinie, cóż zobaczymy? Oto dziecko, usypia przy nucie piosenki; przerywa płacz na dźwięk fortepianu i skacze na rękę piastunki, z niewypłakanemi jeszcze łezkami w oczach;—inne prowadzi matkę za suknię do fortepianu, przy którym usiąść ją zniewala, a gdy wesoly zabrzmie krakowiaczek, dziecię skacze, trzepie rączkami i oczy całej rodziny z weselem zwraca ku sobie. Gronko dziątek starszych śpiewa za matką ulubioną piosenkę, która łagodzi ich dąsy, swary i napętnia serca błogim spokojem. Starsi, zasluchani w dźwiękach, płynących z pod palców jednego z członków rodziny, łączą się w wspólnym zachwycie. Zmęczona trudem i kłopotami rodzinnymi pani domu przychodzi do fortepianu po wytchnienie, po szczyptę poezyi, po złotą nić natchnienia. Szara godzina — godzina marzeń, schodzi jej na pojeniu się czystą dźwięków rozkoszą, nie zatruwającą zdroju jej uczuć niezdrowemi pragnieniami i tęsknotą. Szczęśliwy, kto posiada „na słodką Hebe żywota swego” takie źródółko rozkoszy, którego nawet wielkie niełaski losu nie są w stanie zamącić. Lecz dla matki muzyka jest czémś więcej, niż pocieszycielką, jest środkiem do rozgrzewania własnym zapalem tego małego światka, jaki ją otacza. I ona i jej

dzieci posiadają jeden więcej dar upiększający życie, i jeżeli ważnem jest odnalezienie jak największej liczby środków skupiających i dostrajających do jednego podnioslejszego tonu uczucia szerszego kola; niemniej pożytecznem jest posiadanie jak największej ilości sposobów wiązania tysiącami niemi w jedną nierozdzieloną całość tego małego ognia społecznego łańcucha, tego świata w minijaturze—co się rodziną nazywa.

Muzyka więc ma ważne do spełnienia zadanie, zarówno w społeczeństwie, jak w rodzinie. Uznajmyż więc prawa jej do zajęcia miejsca w wychowaniu, jeżeli zdolności upoważnią nas do obarczania dziecka pracą, która musi być długą, mozolną i poważną, jeżeli ma przynieść pożądane owoce. Powierzchnowa i niedokładna nauka nie może postawić muzyki na tym stopniu, na którym zadaniu swemu odpowiedzieć jest w stanie.

Jakaż być jednak może przyczyna, że mężatki zupełnie muzykę zarzucają właśnie w chwili, gdy jako żony i matki prawdziwy i wzniosły cel jej wśród tworzącej się rodziny osiągnąć by mogły? Oto najprzód: zbyt małe a najczęściej żadne wykształcenie w zasadach, które sprawia, że kobieta, zapomniawszy lub sprzykrzywszy sobie sztuki wyuczone przez nauczyciela, nie posiada dosyć przygotowania do prowadzenia dalszej samodzielnej pracy i powoli resztę jakiej takiej wprawy utracą. Najwięcej jednak do powierzchownego traktowania muzyki przyczynia się uważanie jej za środek zadowolenia próżności, zwrócenia uwagi, zjednania sobie hołdów a nawet zdobycie męża; bynajmniej zaś nie dla tego, ażeby mu potem jego domowe życie przyozdobić, trudy osłodzić i mieć jeden więcej środek utrwalenia jego miłości.

Smutną jest rzeczą muzyka uprawiana jedynie dla zadowolenia próżności, nie z tego bowiem uczucia powinno wypływać naturalne zadowolenie, lecz z przekonania, iż się innym robi przyjemność. To też niech córki nasze wiedzą, że pochwały i grzeczności są zdawkową monetą w salonach ustalony kurs mającą; niech zwrócą uwagę, że najczęściej po natrętnem domaganiu się śpiewu lub gry od osoby posiadającej jeden lub drugi z tych talentów, wszyscy w czasie produkowania się jej prowadzą najbardziej ożywioną rozmowę.

Ale jakkolwiek zwyczaj ten jest dowodem najwyższej niedelikatności, nie może być jednak powodem do odmawiania gry lub śpiewu, jeżeli się jeden z tych talentów posiada. Dajmy towarzystwu, co dać jesteśmy w stanie, a starajmy się obojętnie znosić upokorzenia próżności, gdy nie otrzymujemy spodziewanego uznania.

Do uprzyjemnienia towarzystwa często staje na przeszkodzie prawdziwym nawet talentom trudna do pokonania lękliwość, którą wielu za wygórowaną miłość własną poczytuje. Dla przełamania jej trzeba skłaniać młodzież do grania wiele na 4 ręce, do towarzyszenia na fortepianie innym instrumentom, do śpiewania w duetach, do brania udziału w muzyce zbiorowej; udział ten bowiem, niewątpliwie znakomicie kształcąc, nie daje tyle podniecia dla miłości własnej, nie uczy śmiałości przedwczesnej, bo nie zwraca na siebie uwagi wyłącznej. Gdy się osobistość własną topi w ogólnem usiłowaniu, z ogólnej summy uznania bierze się też tylko cząsteczkę.

Zresztą zamilowanie sztuki dla sztuki samej, wpojone przez matkę, umiejacą uwydatnić wszystkie jej piękności, wykazać całą szlachetność jej dążeń i celów; uchroni dziecię, od uważania muzyki za środek zadowolenia próżności.

Nauka śpiewu zaniedbana u nas zupełnie w początkowym wychowaniu, w wielu krajach wprowadzoną została do szkół elementarnych i ludowych. Już siedmioletnie dzieci są jej poddane. Nauka taka, nie mając nawet do artyzmu pretensyi, kształci słuch, uzdalnia go do oddawania wszelkich modulacyj w mowie, deklamacyi w poezyi, daje pewność intonacyi, rozumienie rytmu, podnosi uczucia i bardzo przyjemnie zajmuje dzieci. Musi jednak być umiejętnie prowadzoną, ściśle do skali głosu zastosowaną, nie męczącą i nie nadwężającą jego organów. Często przy takiej nauce wychodzi na jaw talent rzeczywisty, odkrywa się głos piękny i silny, który bez niej niczyjś nie zwróciłby uwagi.

Rysunek, tak potrzebny chłopcu we wszystkich zawodach technicznych, tak kształcący oko i rozagę jest u nas w takim zaniedbaniu, że niejedna nawet wybitniejsza zdolność zmarniała w skutek tego, że rodzice nie mieli pojęcia o konieczności jej kształcenia.—„I cóż mu przyjdzie z tego rysunku”—mówiła mi

jedna matka—ani to z tém wystąpić w salonie, ani zająć towarzystwo. Co innego muzyka. Łada walc zagrany na fortepianie zwróci uwagę wszystkich.”—Trzeba tu dodać, że środki kształcenia się w rysunku nadzwyczaj są trudne. Nauczyciele domowi rzadko kiedy nauki téj podjąć się mogą, miasta powiatowe nauczycieli rysunku nie posiadają.

Oprócz tych dwóch wybitnych kierunków: muzyki i rysunku, jest jeszcze wiele innych, na które mało zwracamy uwagi. Deklamacyja jest u nas najzupełniej zaniedbana. W ostatnich wprawdzie czasach, w Warszawie, zaczęto ją traktować jako talent, mogący być jednym z towarzyskich przymiotów; ale każda nauka, czy sztuka, zaszczipiona na pniu towarzyskim, musi najprzód przyjąć się i zyskać prawo obywatelstwa, nim wyda trwałe owoce. Deklamacyja amatorska u nas, nie otrzęsła się jeszcze z pieluch nieśmiałości i rutyny; traktowaną jest téż wyjątkowo tylko i musi czekać długie lata, nim stanie z muzyką narówni.

A jednak kształcenie w deklamacyi, jeżeli nawet nie doprowadzi do uczynienia jéj talentem, rozbudza w wychowauku zdolność odczuwania poezyi, rozumienia piękności poetyckich utworów, kształci zmysł artystyczno-literacki, bez którego największe utwory naszych mistrzów mogą dla nas pozostać martwemi i niezrozumiałemi. Często widzi się ludzi najzupełniej obojętnych na piękności poezyi. Niezawodnie wychowanie uczyniło je takimi, pozwalając ich wyobraźni i uczuciu usnąć leniwie, podczas gdy inne wrodzone przymioty rozwijały się ich kosztem. Wychowawcy mają przecie w literaturze naszej liczne utwory, na których mogliby zaprawiać dzieci do rozumienia i odczuwania poezyi. Mickiewicz, Pol, Syrokomla trzeźwością uczuć i przystępnością formy w wielu swych poematach i drobniejszych wierszach, zupełnie nadają się dla młodocianego wieku. Grażyna, Pan Tadeusz prawie cały, Kęs chleba — oto utwory, które, nie mówiąc dziecku o miłosnych cierpieniach kochanków, stawiają mu przed oczy przykłady poświęcenia się dla ludzkości i kraju — słowem uczucia wzniosłe, poruszające w każdéj epoce życia najszlachetniejsze struny serca.

Minęły czasy, w którój poezycja, źle zrozumiana, groziła zagładą wszelkich praktycznych i zdrowych poglądów; dziś możemy

ją śmiało dzieciom naszym dać na upiększenia życia i uszlachetnienia uczuć. Nie lękajmy się, by wpływ jój uczynił syna naszego podobnym do obrazu młodzieży, jaki nakreślił Chateaubriand w r. 1822.— „Młodzieniec modny powinien przedstawiać na pierwszy rzut oka człowieka nieszczęśliwego i chorego; powinien mieć wyraz zaniedbania w całej postawie, paznokcie długie, brodę nie zapuszczoną, nie wygoloną, ale jakby wyrosłą przypadkiem, zostawioną przez zapomnienie wśród godzin rozpacz; kosmyki włosów rzucone na wiatr, wzrok głęboki, nieziemski, obłąkany, złowrogi; usta zaciśnięte pogardą dla rodzaju ludzkiego, serce tęskne, bajroniczne, przesiąknięte wstrętem do życia, owiane tajemniczością bytu.”—Dalecy dziś jesteśmy od owych urojonych cierpień, które w tamtoczesnych osobistościach urastały na prawdziwe i rzeczywiste nieszczęście. Dziś poezycja niema już takich ofiar, gdy z jój skarbnicy wybierzemy dla dziecka pokarm właściwy, możemy tylko do jego szczęścia i udoskonalenia się przyczynić.

Nietylko deklamacja, ale i czytanie głośne jest u nas w zupełnem zaniedbaniu. Ci, których głośnego czytania z przyjemnością słuchać można, do wyjątków należą. Gdy dziecię zwyciężyło techniczne trudności czytania, przez jakiś czas jeszcze każą mu się w niem wprawiać, na to jedynie zwracając uwagę, aby czytało płynnie i dokładnie. Przyznać trzeba, że zwykle dzieci nie mają dosyć umysłowego zasobu, by mogły ożywić nim chłód słowa pisanego, a co jeszcze więcej im utrudniamy, dając do czytania książki, których treści i wyrażeń zrozumieć nie mogą. Gdy zaś dziecię wchodzi w epokę wszechstronniejszego rozwoju, ćwiczenie to znika z programu wychowawczego, a już o podniesieniu go do wysokości sztuki nikt nie myśli.

Dzieci, nie mające zamiłowania do przyjemności podniosłjszej natury, mogą nabyć zamiłowania do pracy ręcznej.

Przed dziewczętami otwiera się rozległy świat *robót kobiecych*, przeciwko którym przyznajemy się do niejakiego uprzedzenia, ale uprzedzenia do tego działu, w którym na wytworzenie

czegoś bardzo zagadkowo i względnie tylko pięknego, zużywa się nieskończona ilość czasu i zdrowia, przez długie pozostawanie bez ruchu w jednakowej pozycji. Krzywda często z tego powodu wyrządzana oczom i zdrowiu jest nieobliczona i niewynagrodzona nigdy. Sądzę nawet, iż uczenie córek haftu, mozolnych atłasków i pajęczków, wyrabianie koronek i gipiur, nie należy do obowiązków matki.

W wychowaniu musi być bardzo uwzględniona korzyść, jaką dana ilość czasu przynieść może. Że w pracach powyższych zużycie czasu jest stosunkowo nieskończenie większe, niż osiągnięta korzyść; przeto oprócz szycia pięknego, ręcznego i na maszynie, robienia pończochy i kroju sukien, żadnych innych robót nie wprowadzałabym do wychowania dziewcząt; chyba że wychowanie ich wyłączałoby kształcenie umysłu i na przyszły zarobek ręczny liczyćby musiały. Dziewczęta uczące się, niech pająkom zostawiają snucie pajęczyn, a w chwilach wolnych od pracy umysłowej niech raczej zajrzą do kuchni, gospodarstwa, ogrodu; niech coś uporządkują, ustawiają, lub wreszcie niech na świeżem pobiegają powietrzu. A jeżeli ich sukienka nie haftowana, ale gładką szlarką była obszyta, nic—ale to nie na tym nie tracą; ani się mniej będą podobać, ani gorzej zabawią—nawet wdzięk ich sukni wcale się przez to nie zmniejszy.

Gdy już same sobą rozporządzać będą, mogą wtenczas nauczyć się onych tak dobrze zwanych—nie robót, ale *robótek kobiecych*. Matka wszakże niech godziny przeznaczone na owe *robótki*, zamieni na godziny przechadzki, gimnastyki, lub pracy w ogrodzie.

Dla chłopców roboty ręczne, uważane jako rozrywka, składają się z zajęć pożytecznych i kształcących ciało. Tokarstwo, stolarstwo, ogrodnictwo, myśliwstwo, rybołówstwo i tym podobne zajęcia, wyrabiają siły i uczą praktycznej zaradności—tęj nauki rąk, której tak brak ludziom, pracującym umysłowo.—„My, ludzie nauką lub interesami zajęci—mówi Legouvė—zbyt zależni jesteśmy od łaski wszelkiego rodzaju rzemieślników. Potrzebujemy pomocy do wbicia gwoźdźcia.”

Chłopcy na wsi chowani, umiejący zaprzęgać, odprzegać i siodłać swego konia;—noszący mu siano, zajęci jego wygodami

jeżdżący na furach zboża lub siana, zwykle posiadają większą wprawę w rękach, niż dzieci miejskie.

Rousseau uczy Emila stolarstwa. Nasi chłopcy niech też coś rękami robić umieją, a upodobaniom ich do ręcznych robót niech rodzice nie stawiają zapory. Zajęcia te bowiem, równie jak zamięlowanie w sztukach, wywiera wpływ umoralniający. Praca fizyczna wzmacnia ciało, zużywa nadmiar sił, które pozostawione sobie zwykle obudzają popędy zmysłowe; zamięlowanie zaś artystyczne, nadając podnioslejszy kierunek myślom, utrzymują umysł na tej wysokości, do jakiej nie dosięga zepsucie.

Zbyt powierzchowne byłoby mniewanie, że przyjęte zwyczaje, manijery, formy towarzyskie — cała ta zewnętrzna szata cywilizacyi, jest czezą i nieużyteczną łupiną. Kształcenie się bowiem form towarzyszyło zawsze postępowi, szło z nim równolegle, a nawet może w pewnym stopniu do jego rozwoju dopomagało; nie powinno zatem być w wychowaniu lekceważone, gdyż uzupełnia estetyczną stronę wychowania, budzi wstręt do wszystkiego, co traci gburowatością lub stanem poniżającym człowieka.

Zachowywanie form towarzyskich strzeże nas od obrażania miłości własnej tych, z którymi przestajemy, a nie wykluczając bynajmniej szczerości, życzliwości i naturalności, czyni stosunki nasze z ludźmi przyjemnemi i pożądanemi.

Należy wszakże odróżnić cześć dla form towarzyskich, od poczucia potrzeby ich zachowywania. Ludzie, którzy z nich sądzą o wartości człowieka i przede wszystkiém cenią blichtr powierzchowny, popełniają tysiące niesprawiedliwości i pomyłek; sami też coraz bardziej ubożeją moralnie skutkiem zacieśniania swoich poglądów.

Formy towarzyskie nie przeszkadzają do wewnętrznej doskonałości i obok niej mieścić się mogą; naznaczywszy więc przyzwoitości obejścia się drugorzędne miejsce w wychowaniu, zaniedbywać nie należy jój uprawy. W Anglii liczba i poszanowanie form dochodzi do przesady; nie przeszkadza to przecież społeczeństwu angielskiemu do posiadania licznych i gruntownych

zalet. U nas kodeks przyzwoitości towarzyskiej nie jest tak obszerny; dość jednak ma wyraźne przepisy, by wprawne oko po chwilowej nawet rozmowie z człowiekiem, choćby naukowo najwykształceńszym, nie dostrzegło, że nie miał w domu przykładu owej przyzwoitości form, która jest jakby masońskim znakiem, po którym się ludzie starannie wychowani poznają. To też matka, przyswajająca dziecku poprawne formy towarzyskie, oszczędza mu niemało cierpień, na jakie jego miłość własna może być narażoną w przyszłości.

Nie mam zamiaru wyliczać tutaj owych towarzyskich przepisów. Matka, która form tych nie zna, nie potrafi ich swemu dziecku przekazać. Chciałabym tylko zaznaczyć miejsce, jakie w wychowaniu zająć powinny.

Ale jeżeli sposób jedzenia, trzymania sztuców, mitygowania głosu, chodzenia, śmiania się i t. d. można do form owych zaliczyć i w wychowaniu im—mniej więcéj, wybitne miejsce zaznaczyć; to delikatności w obejściu i mowie trudniéj w dziecku zaszcześcić. Przy zbliżeniu się do ludzi, w stósunkach rodzinnych, w postępowaniu ze służącymi, delikatność ta, troskliwa uwaga i wyrozumiałość dla upodobań osób, z którymi się żyje, wyraża już do rozmiarów cnoty i jest nią rzeczywiście, jeżeli treść znajduje w sercu. W tym razie same nawet pozory już są wielkim nabytkiem, bo uszczęśliwiają otaczających; uczynią żonie lekkiem pożycie z mężem, sąsiadowi dają przyjemny stósunek towarzyski, sługom pana uprzejmego, który choćby nawet był wymagającym, wymagania swoje w przyzwoitej formie wyraża.

„Bądźcie zawsze pełni życzliwości, szlachetnej uprzejmości i towarzyskiego wdzięku względem tych, co do was przemawiają—mówi Silvio Pellico, w swém dziele: *O obowiązkach człowieka*. Grzeczność taka, dając obejście się wdzięczne, usposabia do uczuć życzliwych. Ktokolwiek w obejściu się swoim jest gburowaty, podejrzliwy, pogardliwy, usposabia innych do nieżyczliwości i niechęci.

Czytając jedno z dzieł pedagogicznych nowoczesnych, spotkałam się z myślą, która głęboko w umysł mój zapadła i choć

rozwiązania praktycznego dla niej nie znalazłam, pragnę ją podać matkom, jako temat do rozmyślenia. Gdy uznają jej ważność, będą mogły choć w części stósować się do niej w wychowaniu. Autor pomienionego dzieła, Herbert Spencer, krytykując dzisiejsze wychowanie szkolne i program nauk wykładanych młodzieży męskiej, zastanawia się nad nielogicznością pominięcia w nim pedagogii. Temu spostrzeżeniu nie można odmówić słuszności.

Ta młodzież—wszak to przyszli ojcowie. Niektórzy wprost z ławy szkolnej lub uniwersyteckiej wstępują w związki małżeńskie—tworzą rodzinę. Jakikolwiek jest ich fachowe powołanie, powołanie człowieka jest jedno, i obowiązki rodzicielskie wybitnie w nim występują. Nie przecież w wychowaniu publicznem młodzieży do nich nie usposabia, nie jej nie daje wskazówek do dopełnienia najtrudniejszego ze wszystkich zadania — wychowania dzieci.

Nauka, kształcąc człowieka, kształci niezawodnie i wychowawcę; uniwersyteckie wykłady medycyny, filozofii, psychologii, fizjologii, zostają w bliskim związku, bądź z fizycznem, bądź z moralnem wychowaniem dzieci; ale pedagogii dla wszystkich, jako dla przyszłych ojców rodziny, nie znajdujemy u nas w żadnym uniwersyteckim programie; gimnazyjalne zaś nauki, prawie nie wspólnego z przyszłym powołaniem rodzicielskiem nie mają.

Błąd to, którego krytykowanie nie wchodzi, ani w zakres mojej kompetencji, ani w zakres pracy, mającej tylko na celu podanie matkom, o ile można, praktycznych wskazówek wychowawczych i rzucenie w ich umysł jak najwięcej tych myśli, co ożywione dobrą wolą i miłością macierzyńską, wpływają następnie dobroczynnie na młode pokolenie.

Otóż wobec faktu, że wychowanie gimnazyjalne nie, a uniwersyteckie bardzo mało chłopca do obowiązków rodzicielskich przygotowuje; wobec wreszcie tego drugiego faktu, że sama intuicja nie wystarcza do ich sumiennego i uczciwego spełnienia; musimy się zapytać, co matka uczynić może dla uzupełnienia braków publicznego wychowania i jakim sposobem najskuteczniej wpływać ma na to, by małżeństwo przyszłe nie występowało w umyśle syna, jako mara miodowych miesięcy i uciech rodzin-

nych jedynie, lecz jako twardy obowiązek, zaciągnięty względem przyszłości.

Zadanie to jest tém trudniejsze dla matki, że przygotowanie do moralnego ojcostwa nie może być udziałem wieku dzieciennego, ani nawet większej części wieku chłopięcego. Trzeba być dojrzałym duchowo, żeby mózdz innych do życia przygotowywać, a dojrzałości bliskim, by mózdz zrozumieć ważność tego zadania i do niego się przysposobić w teorii. W wieku zaś bliskim dojrzałości, chłopiec najczęściej oddalony jest od matki i do tego tak zajęty przedmiotami szkolnemi, że go trudno nową nauką obarczać. Wreszcie opinia publiczna tak jest do podobnej innowacji nieprzygotowana, że chłopiec naraziłby się na śmieśność, gdyby obok nauk szkolnych, czy uniwersyteckich, pracował nad pedagogiją w tej myśli, że kiedyś ojcem zostanie.

Byłoby jednak do życzenia, by na przykład w dwóch najwyższych klasach gimnazyjalnych, pedagogija wykładana była, jako nauka obleczonej szkolną powagą i, by professor, upoważniony samym przedmiotem, miał możność w ten sposób odzywać się do uczniów: — „Będziecie ojcami, pamiętajcie, byście obowiązki rodzicielskie, nietylko jako dostarczenie dzieciom bytu uważali, lecz jako niesioną im ofiarę z ducha, przykładu i moralnej pracy waszej.” —

Otóż myślę, że taki rodzaj przygotowania do ojcostwa, zakładający się na obudzeniu poczucia ważności obowiązków rodzicielskich i płynącej z nich odpowiedzialności, rodzice powinni dać synowi.

Wychowawcy pospolicie są krótkowidzami; matce niejednej nawet przez myśl nie przejdzie, że ten młodzieniec, którego wąż zaledwie, jako mgławica ukazywać się zaczyna, za lat kilka ojcem zostanie. Marzenie jój sięga zaledwo zwykłego powieściowego zakończenia — pomyślnego ożenienia się syna. Bajeczna istota, jaka go ma uszczęśliwić, jest bogata, bardzo bogata, dobrze urodzona, jaśniejąca przymiotami, więc „*będą bardzo szczęśliwi.*” Tylko oni mają mieć dzieci! — Niech więc matka o tém pamięta, że młodzieniec, mający zawrócić głowę pięknej księżniczce, to przyszedł ojciec!

Gdy matka patrząc na syna powie to sobie, już uczyniła pierwszy krok na drodze przygotowania go do obowiązków ojcowskiego.

W tej pracy jednak wszelka natarczywość byłaby nie na miejscu. Wielkie i wymowne słowa o przyszłych obowiązkach ojcowskich młodzieńca, mogące mieć znaczenie w ustach profesora pedagogii; w ustach matki powinny się raczej rozdrabniać na małe i jakby przypadkowe napomknienia. Praca jej powinna być cicha, nie narzucająca się, łagodna, a nawet nie nadająca sobie takiego znaczenia, jakie ma rzeczywiście. Syn może nie wiedzieć, że w nim potrosze kształcą ojca rodziny; może się nie domyślać, że matka zasięga jego rady, co do pracy wychowawczej nad młodszymi dziećmi, żeby wywołać rozmowę pedagogiczną. Matka, rozumnie tą rozmową kierując, może doprowadzić do tego, że syn sam wyrzeczy słowa mądrej rady, że się przedmiotem zainteresuje, że mu w myśl zapadnie nie jedno zdrowe ziarno. — „Moje dziecko — mówi pewnego razu matka — przeczytaj ten artykuł i streść mi go w kilku słowach. Wiesz, że mię przedmioty pedagogiczne zajmują; powiesz mi więc w krótkości to, na co autor użył słów wiele.” — Chłopiec czyta artykuł nie dla siebie, ale dla matki, a wynosi z niego korzyść, której dziś nie czuje i dopiero w przyszłości owoc z niej wyciągnie. — „Chciałabym — mówi innym razem matka — dać do czytania twój siostrze to oto dzieło (przypuśćmy, że niem są: „Ojcowie i dzieci”, Legouve’go), przeczytaj je, proszę! Jesteś w wieku, w którym możesz osądzić, co dla młodszej siostry może być do czytania pożytecznym.” — Albo: — Przypatrz się, proszę cię, jak nauczyciel mojej siostry postępuje z jej dziećmi, chciałabym wiedzieć, jakim znajdziesz jego wpływ na nie. Powiesz mi, co sądzisz o ogólnym kierunku tych dzieci i co należałoby zmienić w postępowaniu ich rodziców z niemi.” — I znowu gotowy temat, do rozmowy o wychowaniu i jego niektórych skutkach, o roli ojca w rodzinie i jego wielkiej odpowiedzialności.

Rozmowa ta nie wypadła jako luźne moralizowanie, posługujące się ogólnikami, brzmiącemi górnolotnie, ale miała dane poczerpnięte z życia. Takich okoliczności, w których matka może w tym kierunku działać na syna łatwo znaleźć tysiące. Tylko

rodzice zdają się zapominać, że poza obrębem karyjery ożenienia i materyjalnego bytu, jest jeszcze szczytniejsze nad wszystkie inne — powołanie ojcowstwa.

Podając matce radę, by w udzielaniu wiadomości pedagogicznych synowi, oraz zaszczepianiu w nim przekonania o ważności i wielkości powołania rodzicielskiego postępowała ostrożnie, jakby tylko podsuwając działające wpływy, a usuwając się sama z widowni czynnej — podając tę radę, nie mieliśmy bynajmniej na myśli, że w tym dziale pracy wychowawczej należy jakąś tajemniczość zachować, ale że umysł dojrzewający syna daleko większą korzyść odniesie z myśli i doświadczeń, które będzie uważał za zdobycz własną, niż z tych, które widocznie tylko matce będzie zawdzięczał. Te ostatnie przychodzą mu z zewnątrz, jako natarczywe oddziaływanie, mieć będą raczej dla niego pozory osobistych wymagań, niż konieczności życiowej. Nabytki własne najwięcej się cenia i dla młodzieńca dorastającego są jedynie możliwe. Dla tego też nie radziliśmy matce przemawiać do niego z wysokości swego doświadczenia i osobistej wartości, a raczej dopomagać mu do gromadzenia samemu zapasu rodzicielskiej mądrości, by się w nim znalazła gotowa, gdy ją przyjdzie stosować.

Znajomość higieny i praw fizjologicznych, jako podstawy fizycznego wychowania, jeszcze łatwiej naprowadzić może chłopca na robienie w tym przedmiocie własnych spostrzeżeń i doświadczeń.

Tak pracująca matka nie zastąpi zapewne formalnego wykładu pedagogii, ale czy ma obowiązek przygotowywania przyszłości swych wnuków, o ile to jest w jej mocy, niech sercem osądzą te matki, które już babkami zostały.

Umić patrzeć jasno jest jedną z pierwszych zalet wychowawcy. Lecz to jeszcze nie wystarcza. Powinien umiść i przewidywać. Na to nie trzeba mu zasklepić się w ciasnym kółku własnego otoczenia, ale często jasny i beznamiętny wzrok wytężyć na wady wieku, prądy i kierunki społeczne, na których

wpływ wychowaniec wcześniejszy, czy późniejszy, narażony być musi. Odziać jego pierś w puklerz, przeciw działającym tym wpływom przekonań, jest to uzbroić przyszłego człowieka w siłę odporną przeciw złym dążnościom, jakie wraz z dobrami duch epoki niesie w swém łonie.

Materyjalizm, owo ostatnie słowo fałszywego postępu, rzuca długi cień swój na wszystkie życia dziecinne przejawy. Podobny do stunowego potwora, ślad swego przejścia w stu naraz tropach zostawia i, chociażśmy zdołali część ich w duszy naszej zatrzeć do szczytu, część ich przecież znaczna prawie bez naszej wiedzy w niej zostaje.

Młodzież nasza, nawet ta, która z obdarowań duchowych się nie wyzuliła, zaczerpnęła z owych prądów społecznych aspiracyje, przeciwko którym rodzice walczyć powinni. Jedną z nich jest gorączkowa żądza dorobku, ale nie tego dorobku sprawiedliwego, w którym zasługa pracy, lub wyjątkowych zdolności i zasobów intelektualnych odgrywa rolę regulatora; lecz dorobku nagłego, nieumiarkowanego, zastósowanego tylko do miary życzeń, nie do miary zasługi. Wytrwale zdobywcze pracy, pragnienia zadawalające się powolnym i do wartości czynów zastósowanym postępem, popadły u młodzieży w pogardę; natomiast chęć przeskoczenia odrazu wszystkich szczebli drabiny i znalezienie się u szczytu, zapaliła jej głowy.

Na loteryi życia poszukuje się dziś tylko wielkich losów; ci, co dostają mniejsze, uważają się za pokrzywdzonych. Nikt nie patrzy na zasługę własną, nie pragnie znaleźć pracy wedle sił, jakie w sobie czuje, lecz przykrawa wszystko do miary dochodu, do miary dobrobytu, jaki upragniona posada przynosi. Koszt życia powiększył się w ostatnich czasach—to prawda; ale więcej jeszcze wzrosły wymagania. Młodzieniec, rozpoczynający karyerę, skarży się i utyskuje na niedostateczność wynagrodzenia, jakim przedtem zadawała się jego zwierchnik. Pierwsze szczeble, małe dochody, drobne oszczędności, powolne postępy, cierpliwa zasługa, już dziś nie wchodzi w rachunek. Zważywszy na ubóstwo naszego kraju, na małą liczbę posad do zajęcia i napływ obcych funkcyjonaryjuszów, widzimy, że wielkie aspiracyje młodzieży naszej, muszą najczęściej narażać ją na zawód. Jakże

siły jój zużywać się muszą na walkę bezowocną, na pragnienia, które się nigdy nie ziszcza, a które tak wysoko nieraz zmierzają!

Spółczeństwa ludniejsze, zamożniejsze od naszego i większy procent ludzi wykształconych dostarczające, mają u siebie mnóstwo posad maluczkich, zajmowanych przez wychowanców szkół wyższych i uniwersytetów. Lekarze za całą klientelę dwie, lub trzy wsie mający, objeżdżają codziennie konno wszystkich swoich chorych i zadawałają się bardzo skromném honoraryjum; rolnicy są zadowoleni, jeżeli za swą pracę maluchny procent od kapitału włożonego pobierać mogą; nauczyciele szkólek ubogich, wszelkie kwalifikacyje naukowe posiadający—są tam bardzo częstém zjawiskiem.

U nas młodzieniec, który skończył wyższy zakład naukowy, marzy odrazu o nadzwyczajnej karyerze i, jeżeli spotka go zawód, co najczęściej się zdarza, czuje się nieszczęśliwym. Ludzie z bardzo małą wiedzą agronomiczną chcieliby, jako rządcy, pobierać pensyje ogromne, na tój często jedynéj zasadzie, że pochodzą z rodziny niegdyś zamożnej. Młodzież nasza nie bada swych, często zbyt szczupłych zasobów umysłowych, nie oddaje się pracy, z poczuciem obowiązkowości sumiennej; pragnie tylko używać i to zwykle nie w stósunku do dochodów. Czuć w sobie zasoby i podług nich obierać rodzaj pracy; chcieć ją uczynić pożyteczną i korzystną materyjalnie — to prawo każdego; lecz nie badając sił własnych, sumienia, zasługi, pożądać bez miary, pogardzać małemi dochodami, nie umieć zastosować się do nich — to można nazwać nieszczęściem całego życia.

Wobec tak niepohamowanej chęci wyniesienia się i dostatku, niech rodzice starają się synom dać umiejętność poprzestawania na małym, gdy chodzi o dobrobyt materyjalny i patrzenia jasno we własne sumienie, które pozwoli im szukać czegoś więcej w pracach, niż dobrobytu jedynie. Ustrzczenie ich od zużywania sił w kierunku pragnień nadmiernych, i umiejętność korzystania z tych sił w obrębie bliskich i możliwych zdobyczy, byłoby darem nieocenionym. Gonienie na pustyni za złudnemi widmami fata morgany sprawia, że podróżni tracą kierunek drogi, błądzą i giną.

Uganiecie się gorączkowe za dobrobytem wymarzonem zwykle tak samo się kończy. Pogardzamy drogą odpowiednią do sił naszych, a rzuciwszy się na inną, upadamy zwyciężeni trudnościami. Widok takiego roznamiętnienia młodzieży do łatwego i niezasłużonego dorobku, pogarda jej dla stanowisk skromnych, ale pożytecznych i godnych szacunku, brak poczucia obowiązku względem społeczeństwa, wśród którego się żyje; powinien być dla rodziców ważną wskazówką, iż w pierwotnem wychowaniu zaszła jakaś nienormalność, którą jednak usunąć trzeba. Ma ona swoje źródło w tém, iż nie wdrazamy dzieci do oszczędności i poszanowania pracy.

Są pojęcia, które wychowawca musi dopiero stworzyć w umyśle dziecka; inne znajduje już wyraźnie i wybitnie od lat najmłodszych w nim zarysowane. Takiem jest pojęcie własności.—

Czasem jednak stworzyć bywa łatwiej, niż istniejącem już pokierować, i możemy się przekonać na przykładzie ludzi dorosłych, jak rozsądek i umiarkowanie rzadko towarzyszą posiadaniu, jak trudno między skąpstwem, rachunkowością a rozrzutnością znaleźć miarę, jak oszczędność rozsądna i znająca swe środki jest, zwłaszcza u nas, rzeczą rzadką. To prawie cnota; choć dobrze zrozumiany interes własny powinienby strzedz od rozrzutności, zarówno jak od skąpstwa, téj namiętności okradającej nas z uciech życia i środków czynienia dobrze, nie już dla społeczeństwa, ale nawet dla najbliższego otoczenia. Życie wszakże nas uczy, że w dziedzinie moralnej ostateczności częściej występują na jaw, niż umiarkowanie i że jeżeli gdzie, to u nas, rzadko się zdarza, by kto umiał należycie oceniać własne położenie materyjalne i umiał do niego zastosować swoje wydatki.

Wychowanie nie może pominąć tak ważnej ze względu na życie późniejszej kwestyi i musi odpowiednio pokierować owém pojęciem własności i zamilowaniem posiadania, jakie w wychowaniu złożoném przez naturę zostało.

Już i dzieci okazują skłonność do przeceniania lub lekceważenia własności. W niektórych chciwość objawia się na każdym kroku; chciałyby wszystko mieć dla siebie samych, pożądają zabawek, jakie widzą u innych, nie lubią dzielić się niczem z rodzeństwem.

Inne dzieci gonią znów za nowością, napięrają się ciągle czegoś, a obok tego lekceważą wszelką osobistą własność, psują zabawki, niszczą książki, nie dbają o rzeczy, których tylko co z upragnieniem pożądały. — „To moja zabawka, więc mogę ją psuć” — mówi niedbale dziecko, tak, jak później nie jeden młodzieniec trwoni majątek dla tej dobrej racyi, że majątek do niego należy.

Widzimy przecież, że nieogłędne szafowanie własnem mieniem, brak rachunku, prawie niechybnie w dorosłych przemienia się w nieposzanowanie mienia cudzego i rozrzutny człowiek, byle kredyt znalazł, gotów równie mało cenić własność innych, jak swoje. W dzieciach rozrzutność łączy się też zawsze z nieposzanowaniem mienia rodziców; skąpstwo zaś rodzi chciwość, która mieści w sobie chytrą zazdrość, ową niezdrową żądzę — rodzicielkę najniższych ludzkich postępów.

Ocenianie właściwe i rozsądne tego, co się posiada; umiejętność zadawania się udziałem, jaki nam przypadł; oględność na przyszłość, prowadząca do umiarkowanej oszczędności; rozumne staranie się o przysporzenie majątku, nie zarażone wszakże odcieniem brudnego skąpstwa, ani chciwój zazdrości: jest nader rzadkim, a jednak koniecznym w każdej moralnej istocie przymiotem. Taki też ideał mieć powinniśmy przed oczyma, jeżeli do życia wychowujemy człowieka.

Chciwość należy wykorzeniać od lat najmłodszych, strzegąc, by wpływy postronne jój nie rozwijały; przyuczając dziecię chciwe do dzielenia się wszystkiem z rodzeństwem, i starając się, by zasmakowało w rozkoszach miłości rodzinnej i chrześcijańskiej.

Pieniądze przedstawiają nam posiadanie w formie oderwanej, gdyż kawałek metalu, czy papieru, może się dla nas zamienić w używanie i użytkowanie najrozmaitszego rodzaju. Przedstawiają one zarazem w swém obiegu pracę ludzką, uosobioną w sztuce monety, lub bilecie bankowym. Ocenienie zatem właści-

we tej materyjalnej potęgi, będącej tylko konwencyjonalną siłą, nie jest rzeczą łatwą. Wielu dorosłych ludzi nie zna wartości pieniędzy, to jest nie zna ich wartości względnej, nie umie pojąć, jaką doniosłość przedstawia ich własne mienie, do jakich przeto wydatków mogą mieć prawo. Ważną jest zatem rzeczą oswajanie wczesne dzieci z rzeczywistą wartością pieniędzy, przeważnie ciężką zdobywanych pracą. Dziecię uczące się, nie ma czasu zarabiać; zatem i mowy być nie może, by pracą mogło zdobywać pieniądze. Płacenie dziecku za dobre postęпки i naukę zawsze wydawało mi się czémś głęboko demoralizującym i wstrętném. Jakóż tym sposobem zabija się w niem poczucie obowiązku, owęj rdzennęj zasady, bez której człowiek na pożytecznego członka w społeczeństwie nie wykształci się nigdy. Wszakże dziecię może posiadać pieniądze, jako stałą pensyją miesięczną, wyznaczoną sobie przez rodziców, jeżeli możność ich na to pozwala. Trzeba tylko wymagać, by rachunki z wydatków ściśle były prowadzone przez dzieci i, sprawdzając je, wrazie jakiegoś nadużycia zawsze stósowne robić uwagi. Jakkolwiek należy im zostawić swobodę, co do rozporządzenia tą pensyją, bacznie wszakże czuwać nad tém należy, by nigdy nie zaciągały pożyczek lub nie brały na kredyt sprawunków, gdyż wrazie przeciwnym byłoby to nauką nieporządku, któremu interesa nasze tak często podlegają. — „Nie bierz na kredyt, płac zawsze gotowizną, a nie potrzebnych rzeczy kupować nie będziesz”, — mądrą tę radę Tańskieję nie zawadzi przytoczyć. Oprócz praktycznego względu oswajania dziecka z rzeczywistą wartością pieniędzy, udzielana pensya da rodzicom możność łatwiejszego poznania skłonności wychowanka, jeżeli tylko troskliwie zwracać zechcą uwagę na jego wydatki, a tém samém skierowywania jego skłonności na taką drogę, jaką sami za właściwą uznają.

Uboga młodzież męska i żeńska zarobkuje wedle sił i możliwości. Tymczasem dzieci zamożniejszych rodziców, dochodząc do wieku, w którym pracowaćby mogły, oprócz pracy naukowej dla siebie i gospodarczej w rodzinie, żadnej innej zwykle nie wykonywują. Dla dania im pojęcia dokładnego o wartości pracy i pieniędzy, należałoby je zachęcać do jakiegoś zajęcia zarobkowego, które na każdym stanowisku każdy znaleźć może. To dałoby

im jasne pojęcie o trudności produkowania korzystnego, o stosunku pracy do wynagrodzenia, o wartości pieniędzy i stosunku różnych prac do siebie. Młodzież, której uczucia przechodziłyby zwykłą miarę pospolitości, mogłaby zapracowane pieniądze przeznaczyć na cele dobroczynne. Uznanie w sobie możliwości zarabiania daje bardzo przyjemne uczucie niezależności. Takie uczucie uzacenia człowieka, czyni go odważnym i wytrwałym. Młodzieńca, czy dziewczę oswabadza od niskiego uganiania się za świetnym majątkowo małżeństwem, uwalnia ducha od więzów zawisłości od materyjalnego bytu.

Jakiż nacisk potrzeba położyć na ważność wpływu ojcowskiego, gdy idzie o wychowanie synów!—Uderzyły mię słowa jednego z naszych literatów:—„Rzadko kiedy uda się matce wychowanie charakterów męskich; wychowanie trudne i z tysiącami tajemnic psychologicznych złożone, jakich dusza kobiety we własnym doświadczeniu odgadnąć nie miała sposobności.*) Jeżeli tak jest rzeczywiście, jeżeli matka wobec zagadki charakteru męskiego jest do pewnego stopnia bezsilną; jakże ważnym jest wciągnięcie ojca do pracy wychowawczej i jak rola jego staje się wielką przez ów wpływ charakterowi męskiemu właściwy.

Do ojca należy wprowadzenie syna w koło mężczyzn zacnych, mających wyższe cele społeczne.—Towarzystwo z kobiet i mężczyzn złożone, jest szkołą innego rodzaju: kształci ono poglądy moralne, gusta estetyczne, przymioty towarzyskie, uczy znajomości ludzi; ale koło mężczyzn poważnych i myślących zaznajamia z życiem rzeczywistym i jego potrzebami; z położeniem obecnym i przeszłością kraju; wyrabia opinie społeczne i polityczne; daje kierunek tym porywom młodzieńczym, które tak potrzebują celu, że chwytają się pierwszej lepszej mrzonki, przywiązują się do najniepraktyczniejszej, najszańszej idei, której z całym fanatyzmem służyć gotowi.

*) S. K. Rodzina jako stowarzyszenie się do szczęścia.

Są rodziny, towarzystwa, społeczeństwa całe, w których młodzież odstrychnęła się zupełnie od starszych i niema już z nimi żadnego punktu stycznego, bo pomiędzy nimi zaległa niezgłębiona przepaść—różnicy przekonań. Obejrzyjmy się jednak w koło, czy i u nas podobne symptomata nie dają się odczuwać. Grono starszych wzdycha, narzeka i trwoży się o przyszłość; niezdrowe idee, mające już i u nas apostołów, zaczynają nurtować grono młodzieży.

Umiějmy walczyć z temi idejami. Żadne moralizowanie, żadne straszenie następstwami nie tu nie pomoże.

Jedyną skuteczną obroną przeciwko przekonaniom fałszywym jest utrzymanie zdrowych i pożytecznych zasad w stanie żywotnym i w ciągłej organizacyi. To zadanie ojca. On to powinien ten nierozzerwalny łącznik pomiędzy duchem własnym a duchem syna utrzymać. Jeżeli sam mieszka w mieście, gdzie chłopek kursa naukowe odbywa, niech nie pozwoli na rozdział umysłowy, jaki tak często dzisiaj się zdarza; niech go pociąga za sobą ku takim osobistościom, których czyny i słowa pociągnąć mogą w sferę wyższych dążeń. Jeżeli zaś ojciec mieszka gdzieindziej, niech czyni, co może, by syna zbliżyć do ludzi zacnych, wytrwałych, z przyjaźnią i miłością na młodzież patrzących.

A jednak ze smutkiem wyznać potrzeba, że coraz rzadziej, w towarzystwie ojców, dają się widywać młodzi ludzie, którzyby z ich rozmów na seryjo prowadzonych korzystać chcieli. Gdzie są wtedy synowie?—Jakim ulegają wpływom?—Gdyby ojcowie chcieli połączyć się w usiłowaniach, by odwieść synów od zgubnego dla nich odstrychania się od ich towarzystwa, oddaliby tém społeczeństwu nieocenioną usługę; ale nie należy pozwolić na pierwszy krok rozdziału; trzeba umieć zbliżyć do siebie młodzież, a przede wszystkiem nie zalegać pola samemu w pracy umysłowej i być dla syna uosobieniem doświadczenia nie tylko życiowego, lecz społecznego i dziejowego.

Historyczne podręczniki szkolne są przepełnione błędami; uczeń o tém wie—i dzieje tracą wartość dla niego. Natomiast fałsze innego rodzaju obiegają niedojrzałe umysły. Broszury socyalistyczne i komunistyczne spotykają się już w ręku naszej młodzieży. I gdy syn coraz więcej porzuca pracę systematyczną

szkolną, dla oddawania się przedwczesnemu uspołecznianiu i politykowaniu, na podstawie danych usłużnie pomiędzy młodzieżą rozpowszechnianych; ojciec nie z prawdy życiowej i historycznej wyczerpać nie usiłuje dla przeciwstawienia jej mrzonkom synowskim. A jednak wiedza i rozum poparte uczuciem ojcowskim stanowi wpływ potężny na umysł dziecka. Synowie nie są bez winy, ale i ojców należy powołać dziś przed sąd opinii publicznej, bo nam chodzi o najdroższe ideały, wypastowane wiekami w łonie społeczeństwa; idzie nam o dzieci nasze.

Ojcowie i dzieci!

Kwestyja ta w innych społeczeństwach już oddawna będąca na porządku dziennym i u nas zaczyna być kwestyją palącą. I u nas ojcowie powinni zrozumieć niebezpieczeństwo, wziąć się za ręce, otrząsnąć z ospałej bezwładności, bo zło zapowiada się groźnie. Idzie tu o przyszłość, o społeczeństwo; wreszcie o dzieci, które straciwszy najdroższe skarby ducha, zaniedbawszy się w pracy naukowej i siebie samych i kraj cały mogą wtrącić w odmet nieszczęścia.

ROZDZIAŁ XIV.

Szkoła. Przysposobienie umysłu do nauki szkolnej. Rodzice wobec szkoły. Nauki humanitarne. Kierunek realny. Wybór szkoły średniej. Wybór powołania.

Nie potrzeba dowodzić, jak wychowanie publiczne jest niezbędnem dla chłopców. Społeczeństwo nasze, równie jak rodzice, rozumieją to dobrze i nie ma podobno takich, którzyby nie usiłowali syna swego przez wychowanie szkolne przeprowadzić.

Wielka ich część wszakże nie zdaje sobie sprawy z tego, czém szkoły stać się mogą dla przyszłości naukowej dziecka, ani czém jest sama nauka dla człowieka, ani wreszcie jakie są obowiązki rodziców względem intelektualnego wychowania dzieci. Szkoły dla wielkiej liczby ojców i matek przedstawiają się, jako złe konieczne, jak ospa, którą zaszczerpić trzeba, lub odra, którą przebyć musi. Od dzieciństwa straszą chłopca wojakiem, w którym, jako prosty żołnierz służyć będzie musiał, jeżeli naukowo wyżej się nie wykształci; straszą śmieśnością, jaką się okryje, jeżeli patentu, dojrzałości nie otrzyma. Nie starają się przecież rozbudzić w chłopcu czystego zamiłowania nauki, któreby, doprowadzając do celu, uwolniło go od tego stanu duszy, w jakim znajduje się bardzo często młodzież szkolna. Stan ten odznacza się zniecierpliwieniem, spowodowanym długoletnimi studjami, niespokojnem wyczekiwaniem chwili porzucenia ich nazawsze, uważaniem szkoły za miejsce męki, wymyślonej dla torturowania młodzieży, a nie przynoszącej żadnej korzyści. Takie jest dzisiaj pojmowanie rzeczy przez młodzież i rodziców mianowicie, gdy chodzi o studia klasyczne. Rodzice poczytują je za uciążliwą i trudną naukę, a jednak nie sta-

rają się przygotować umysłu dziecka do jęj przyjmowania. Słyszałam profesorów gimnazyjalnych, skarżących się na brak rozwinięcia umysłu dzieci, które posiadają nieraz dostateczną naukę, aby były, dajmy na to, do klasy piérwszėj przyjęte, ale mimo to całkiem są nieprzygotowane do dalszėj uprawy. Zmysł spostrzegawczy, zdolność kombinacyi są w nich zupełnie uśpio-
ne; — trudno pojmują, brak im zamięłowania do nauki, a przede wszystkim wiary w swe siły. Rodzice tak zaniedbanego dziecka nie stawili sobie zapewne nigdy pytania, w jaki sposób dziecku naukę uprzystępnicby można? Chłopiec zostawiony był samemu sobie aż do chwili, w którėj wzięty na wakacyje uczeń klasy V lub VI-ėj, przygotował go do klasy wstępnej lub piérwszėj, i rodzice w swojém sumieniu zaspokojeni, dziwią się późniėj, że chłopcu ciężko idą nauki, że ma złe stopnie i po dwa lata w jednėj zostaje klasie. Ani rozumieją tego, że jeżeli nauki klasyczne, nie mające najczęściėj bezpośredniego zastosowania z późniejszym zawodem człowieka, uważane są za przygotowanie do każdėj naukowej pracy, do rozbudzenia umysłu dziecka przez naukę o rzeczach; przygotowanie go przez uprawę zmysłu spostrzegawczego, i naukę myślenia jest ich główném zadaniem.

Najczęstszym wszakże błędem rodziców jest niezrozumienie swęj roli odnośnie do szkoły. Zespolenie się w działalno-
ści z nauczycielami domowymi jest potrzebą powszechniej uznana i zastosowaną po wielu domach; lecz zespolenie się z działaniem naukowem szkoły to rzecz prawie bezprzykładna.

Przekonaniem stale w nas ugruntowaném a jednostronném jest ogólna niewiara w dobrą wolę szkoły. Nietylko jęj dążności społeczne, które tu pomijamy, ale nawet jęj naukowa strona jest między nami zdyskredytowana zupełnie. Jakkolwiek taka namiętność sądu nie zadziwia bynajmniėj, wszakże nad zwyczaj byłoby korzystnem gdyby rodzice mieli więcj bezstronności i gdyby rozróżnić umieli w pojęciu własném — nauki, od tendencyi społecznej i narodowej. Nawet widząc braki i niekonsekwencyje szkolnej nauki (mówię tu o nauce wziętėj samej w sobie) nie należy podawać jęj w podejrzenie w oczach dzieci, bo nauka powinna zawsze występować przed niemi, w całym

majestacie powagi; inaczej dziecko będzie ją uważało za ciernistą i niewygodną drogę, którą przebyć potrzeba jakimkolwiek sposobem, byle dostać ów przywilej na rzucenie w kął nazaw-sze wszystkich ksiąg klasycznych — zwany patentem dojrzało-sci. Wreszcie nikt nie broni rodzicom dopełniania, o ile można, braków wychowania szkolnego; ale dyskredytowanie nauki w oczach młodzieńca jest błędem nie do darowania. Choćby nawet rodzice byli przeciwni kierunkowi klasycznemu — co ła-two zdarzyć się może, gdyż zdania pod tym względem są po-dzielone, a jednak z jakichkolwiek powodów oddali syna do gimnazyjum klasycznego; niechże go nie napawają gorzką nie-chęcią do przedmiotów, nad którymi zmuszają go sami praco-wać. Odarcie z wiary w pożyteczność nabywanej wiedzy jest odjęciem najdzielniejszej naukowej zachęty.

J. K. Plebański, w doskonale opracowanym, jakkolwiek nieco stronnym artykule swoim: „O pedagogicznem znaczeniu nauk klasycznych” skarży się, że młode pokolenie „straciło zmysł do studyjów klasycznych.” Czy przyczyną tego nie jest właśnie brak wiary w ich pożyteczność? Czy rodzice, dyskredytujący ich znaczenie w umyśle dzieci, nie przyczyniają się do tego bra-ku zamięłowania, do zatracenia dobrowolnego zmysłu nauki, jaka umysłowi za pokarm jest podawana? Przypuściwszy nawet, że nauka szkolna jest niewłaściwa, że kierunek jój fałszywy; to jednak, gdy się jój raz dziecko poddał, niechże je ona nauczy chętniej i rzeźwiej pracy, a już tém samém przyniesie mu korzyść ogromną.

Rodzice, nietylko niepowinni osłabiać zamięłowania do nau-ki, ale mają tysiące sposobności przekonania dziecka, że lata jego nie marnieją na bezpożytecznej pracy. Ze strony rodziców nie będzie to kłamstwem, ale dowodem konsekwencji w postę-powaniu i braku zarozumiałego zaufania co do wartości własnych, naukowych przekonań. Będzie konsekwentnością, bo oddając dziecko do szkolnego zakładu, dało się tém samém dowód zau-fania temuż zakładowi; będzie brakiem zarozumiałości, gdyż za-równo kierunek klasyczny, jak realny mają gorliwych obrońców i powagi naukowe za sobą; mają wreszcie racyjną bytu, gdyż jeżeli jeden wykołysał cywilizacyją nowoczesną, to drugi może

poradki humanistyczne

szukać w tém chluby, że jest dzieckiem wielkiego tegoczesnego postępu nauk pozytywnych i jeszcze większy ich postęp zwiastuje. Wiemy aż nadto, że oddanie chłopca do szkół nie zawsze jest wynikiem wolnej woli rodziców, że działają oni często pod wpływem zmuszającej okoliczności, jaką jest najczęściej konieczność korzystania z jedyne go zakładu, jaki się najbliżej znajduje, bo szukanie innej szkoły połączone jest z trudnościami, które nie każdy zwyciężyć jest w stanie. Ale owa konieczność postąpienia wbrew własnej chęci nie powinna wpływać szkodliwie na dziecko, zniechęcając je i dyskredytując w jego oczach raz obrany kierunek.

Jakkolwiek wpływ matki na obiór powołania syna warunkuje się bardzo wielu względami, nie może ona jednak obojętną zostawać na jego umysłowy kierunek. Z tego powodu pozwolę sobie choć w krótkości zastanowić się nad wykształceniem humanitarném—owej spuściznie ubiegłych wieków, jako też o nowych systematach, usiłujących osłabić wiarę w tę alfę i omegę wychowania dawnego. Ograniczę się na przedstawieniu obu tych kierunków ze stanowiska, z jakiego na nie zapatrują się ich stronnicy, moje bowiem wyrokowanie w tym względzie, uważałbym za nie dającą się niczém usprawiedliwić zarozumiałość.

Zapatrując się beznamiętnie na tę sprawę, dostrzegamy w obu obozach wielką do dziś dnia krańcowość, lubo każdy prawie pisarz pedagogiczny zaczyna od zapewnienia, iż rzecz starał się zbadać bezstronnie. Gdy się jednak ich zdania ostatecznie porówna, widzi się między nimi taką przepaść, iż ma się ochotę przypuścić, że prawda musi znajdować się pośrodku, lub nawet poza obrębem dotychczasowych pojęć. Są w istocie głosy nieśmiałe, przemawiające za szkołami mieszanemi, jakich próby widzimy już w krajach, gdzie nauczanie jest swobodne, lub za kształceniem młodzieży na podstawie czysto narodowej, to jest: biorąc język, historję i literaturę własną za punkt wyjścia do urobienia ducha wychowańca. Wszakże spór główny, trwający od wieków, a od początku naszego stulecia zaostrza-

jący się coraz więcej, toczy się głównie na podstawie dwóch wrogich sobie kierunków, dwa wybitne tworzy naprzeciw siebie obozy. Jeden trzyma się wiernie chorągwi klasycyzmu; drugi nauki fizyko-matematyczne i przyrodzone radzi podawać młodzieńcowi, ufając im zarówno, jako pożytecznej wiedzy i jako nauce, kształcącej w młodzieńcu człowieka.

Nie ulega wątpliwości, że cywilizacyja nasza wypiąstowana została przez studyja humanitarne. Wykarmiła się ona arcydzielami ludów umarłych i przyznać trzeba, że w dawniej epoce były one deską ratunku dla tonącej cywilizacyi. Zachowane po klasztorach średniowiecznych zabytki działalności umysłowej Greków i Rzymian, stały się światłem, rozpraszającym ciemności barbarzyńskiej Europy i źródłem *odrodzenia*. Wszyscy też prawie bez wyjątku ludzie, którzy, bądź-to w literaturze, bądź w naukach zajaśnili w ciągu wieków minionych, byli doskonałymi humanistami. Dziwić się nie można, że jako punkt wyjścia do studyjów swoich brali działalność ludów umarłych, przewyższających cywilizacyją epoki późniejsze. Jeszcze mniej dziwić się trzeba ustawodawcom, opierającym publiczny wykład nauk na podstawach już znanych, kiedy innego kierunku szukać dopiero było potrzeba. Tym sposobem nauki humanitarne oddały ludzkości usługi, których zapoznawać nie należy, a wartość ich cywilizacyjna, długiem doświadczeniem stwierdzona, jest do dziśdnia pobudką dla rządów i zakładów prywatnych do utrzymania ich przeważnego pływu w wychowaniu publicznem.

Przyjrzyjmy się, czém są owe nauki humanitarne. Na pierwszym planie widzimy: język i literaturę grecką i łacińską. Jako przedmioty pomocnicze przedstawiają się: geografia i historyja powszechna. Wreszcie matematyka, oraz język, literatura i historyja ojczysta uzupełniają całość wykładanych przedmiotów. Nauki przyrodzone zaledwie trzeciorzędne miejsce w tym systemie zajmują i wykładane są w sposób niemal elementarny. Gdy teraz poszukamy praktycznego zastosowania tych wszystkich nauk, zobaczymy, że jest ono prawie żadne. Studyja gimnazyjalne mają stanowić naukową podstawę dla starożytników, lingwistów, historyków, pisarzy beletrystycznych, wreszcie dla dyletantów wszelkiego ro-

dzaju, czyli dla ludzi bez powołania. Zważywszy, że pierwsi, to jest badacze dziejowi, językoznawcy i ludzie pióra są wyjątkami w narodzie, a drudzy, to jest dyletanci, wyjątkami byćby powinni; musimy przyznać, że użyteczność, czyli życiowa wartość nauk humanitarnych przedstawia się zagadkowo i nie one to są bezpośrednimi twórczyniami wynalazków, dających krajom bogactwo a społeczeństwom — pracę. Przemysł, handel wre coraz więcej przyspieszonym życiem, a studia klasyczne są dla niego uosobieniem dawnego mytu — węża pożerającego ogon własny, karmiącego się samym sobą, bez oglądania się na żadne inne warunki bytu. Nawet najwięksi zwolennicy klasycyzmu w nauce, nie dla jego dotykanej użyteczności upatrują w nim jedyną zbawienną szkołę dla młodego umysłu. Przekonania ich opierają się na przyczynie głębiej ukrytej: oni wysławiają, nie wartość życiową, lecz wartość pedagogiczną humanijorów, stawiając na poparcie zdania swego wiekowe doświadczenie. „Nauki humanitarne, mówi biskup Dupanloup, nie są celem, ale środkiem — nie są dziełem samem, lecz sposobem i uprawa umysłowa zupełna tylko przez nie może być osiągnięta. Nic zgubniejszego jednak, jak branie ich za cel. Jeżeli humanijora upadły tak bardzo w opinii publicznej, to dlatego, że zbyt często czyniono cel z tego, co było tylko środkiem. Ograniczano się do nauczania greczyzny i łaciny, a zapomniano o rozwijaniu umysłu. Cel humanijorów, to rozwijanie, podnoszenie moralne człowieka. Ten cel, tak wielki i wzniosły zastąpiono ograniczonym celem nauczania. Na humanijora same rzucano błędy tych, co ich nauczali i tym sposobem w walce przeciw nim zapewniono sobie tak łatwe zwycięstwo.” — Ten sam autor powiada dalej: — „Nauki humanitarne powinny dążyć do rozwijania umysłu i podniesienia wszystkich władz inteligencji. To odróżniać ich będzie od wszelkiej nauki, dążącej do zaopatrzenia umysłu w wiadomości mniej lub więcej ważne, lecz bez związku bezpośredniego i natychmiastowego rozwijania się i podnoszenia władz umysłowych.

Zwolennicy klasycyzmu pedagogicznego ukazują nam długi szereg ludzi sławnych, znakomitych uczonych i poetów, którzy geniusz swój, swoją pracowitość, gust wreszcie, wykształcili

na klasycyzmie. Studyjom nad arcydziełami starożytnemi przypisują owi zwolennicy dawnego kierunku rozbudzenie się literatur narodowych, na co sędzę, że niezupełnie przystać można, gdyż jeżeli literatura klasyczna kształciła gust, zabijała z drugiej strony samodzielność i oryginalność, a przez długi czas wyzyskiwała siły literackie narodów żyjących na korzyść umarłego języka łacińskiego. Wiemy, że „Boska komedyja” o mało po łacinie napisaną nie została, tym sposobem sława Dantego z pewnością by o wiele zmalała. Nasi Sarbiewscy, Janiccy, może byliby się stali poetami narodowymi wielkiej siły, a nawet genijuszu, gdyby nie rutyna klasyczna i dawanie przez nich pierwszeństwa mowie umarłej nad swojską. O ile wszakże z drugiej strony nauki humanitarne, wpływając na oświatę i cywilizację w ogólności, wpłynęły na wydawanie przez ludzkość mężów znakomitych; to już kwestyja, w której otwiera się szerokie pole do zbierania dowodów na cześć humanijorów. Zwolennicy klasycyzmu naukowego powiadają dalej, że tylko na jego podstawie da się utrzymać związek pojedynczych społeczeństw, z powszechną cywilizacją Europy; że tylko za pomocą dokładnego zbadania starożytności, można dojść do zrozumienia historyi wieków późniejszych i pojąć, czém dla nich była złota nie tradycyi starożytnej, snująca się wytrwale przez wieki, a utrzymywana niewidzialną siłą potężnego ducha, który przetrwał samę śmierć tego, co było jego formą zewnętrzną — śmierć języka i narodu, który nim mówił. Historyja położyła na nim kamień grobowy, a on ten kamień odchylił i odżył w umysłach i sercach ludzkich. To świadczy o niepożytej jego potędze. Dzieje starożytne to nauka życia, jakiej żadne inne przedstawić nam nie mogą. Naród grecki i naród rzymski, dają nam dowód jasny i niezbitý tego, co stanowi o sile i potędze społeczeństw. Widzimy jasno w historyi obu tych ludów, że tylko wartość osobista jednostek stwarza wielkość narodu; że wielkość ta upada w tym samym stosunku, w jakim przychodzi zachwianie się i upadek obyczajów. Historyja ta jest jakby zamkniętym życiowym rozdziałem, w którym odnaléźć można przyczynę każdego wydarzenia i śledzić skutki każdego błędu, każdego postępku aż w ich następstwach najbardziej oddalonych.

Żadne inne historyczne badanie takiej moralnej i filozoficznej korzyści przynieść nie może; żadne nie urabia umysłu młodzieńca do tak logicznego zapatrywania się na życie ludów, jak ta przeszłość skamieniała, skryształizowana w wielką, skończoną całość.

Jest w téj przeszłości spokój i jawność, jakiej żadna inna nie przedstawia epoka. Polityka nie jest tam tą nędzną, przekupną i kłamliwą walką, jaką jest w naszej epoce. Obradowanie nad sprawami państwa odbywa się na forum lub na rynku w Atenach; wielcy mężowie nie w podstępie, lecz w głośnym objawieniu swego zdania szukają ratunku dla ojczyzny, żyją dla idei dobra publicznego. Są to przykłady, w których nie jedno późniejsze poświęcenie czerpało siłę. I dzisiaj dla młodzieży nie ma zbawienniejszej szkoły. Potrzebuje ona dla swoich lat młodych piastunki rozważnej i doświadczonej, a spokojnej i uspakajającej; taką jest starożytność. Przejęcie się ruchem świata, nauką, której celem jest zarobek, której końca się nie widzi, ulegającej codziennie postępowi, a więc zmianie—taki stan umysłu nie jest pożądanym dla wychowanka. On powinien mieć za pokarm duchowy naukę, której zamknięte szczelnie koło nie pozwalałoby na żadne niespokojne poza jej obrębem błądzenie, któraby owszem podnosiła go na tak idealne wyżyny, na które życiowy gwar i inne nauki wejśćby mu nigdy nie pozwoliły. Życie zresztą umarłych ludów tak różniące się od wszystkiego, co nas otacza, uczy młodzieńca patrzeć wyraźniej, bo mu daje nieznaną dotąd miarę porównania.

Wzrok jego poznaje nagle barwy nowe, o jakich dotychczasowe życie nie dało mu pojęcia i te to barwy dopiero pokazują mu wyraźnie, czém są kolory dzisiejsze. Język zdobywany mozolnie, przy czém żaden szczegół nie może przejść niedostrzeżony, jak to przy nauce pamięciowej nowożytnych języków ma miejsce; język ten mówię, dopiero uczy poznawać, czém jest mowa ludzka. Jakoż języki starożytne przez swoje bogactwo i gramatyczną niewzruszoność są źródłem nieprzebranych skarbów, wśród których jednak nie może być żadnej niespodzianki. Wszystko tam skamieniałe, okryte powagą i spokojem śmierci.—„Niewzruszoność tych języków i tych literatur, pozwala oprzeć naukę

gramatyki i piśmiennictwa na podstawach trwałych, których kaprysy zwyczaju nie przyjdą zmieniać i naruszać w różnych epokach; formy gramatyczne nie będą się chwiać i nauka elementarna nie będzie narażona w każdym wieku na rewolucyjną, zgubną dla utrwalenia myśli i jej obrazu zawartego w słowie; przepisy wymowy będą stałe i określone, wykształcenie literackie młodzieży nie będzie poddane prawom mody, tak niepewnym i często tak niemądrym.^{7*)}—Języki te i literatura są jednolite—nasza cywilizacja jest pochodzenia mieszanego; tam mamy, mianowicie w literaturze i w języku greckim — czystość i oryginalność zupełną myśli ludzkiej, mamy historiją postępu, niezawikłą żadnymi wpływami. LiteratURY i języki nowożytne przeciwnie wynikają z przetworzenia się i mieszania różnych pierwiastków.

Widok takiego pochodu historycznego i umysłowego, gdzie wszystko było zdobyczą zasługi, logiką następstw, racjonalnym trybem postępu; widok taki pomaga młodzieńcowi do odkrycia w sobie wiecznego, nieskażonego przez wieki pierwiastku duchowego, który, poddany ćwiczeniom zmiennych wpływów dzisiejszej epoki, zatraciłby swą czystą, naturalną dążność niezależności od wpływów materyjalnych, nie potrafiłby się skupić w sobie i uciszyć wśród „niezachwianych ideałów dobra i piękna”, jakie starożytność stawia nam przed oczy. Do poddania umysłu młodzieńczego takiej szkole potrzeba całości i dokładności obrazu, a nie możnaby go zdobyć bez znajomości języków starożytnych. Tłómaczenia odzierają areydziała z ich oryginalności, tracą ich ducha, nie pozwalają wcielić się myślą w ich życiowe tchnienie, które z poza wiekowych zasłon wydrzczyć trzeba za pomocą wszechstronnego w nie wniknięcia.

Humanizowanie, czyli uczłowiczenie młodzieńca musi odbyć się za pomocą oderwania jego umysłu od zgiełkliwego prądu teraźniejszości, a przeniesienia go w świat pierwotny, gdzie wśród niezmaconego naśladownictwem życia, młodzieniec nauczy się rozróżniać piętna wiecznych, przeznaczeniowych, przez Boga w sercu

*) Dupanloup.

człowieka złożonych dążeń, od niestałych, chwilowych prądów, jakie wstrząsają chwilą obecną.

To mu daje niezależność sądu, rzecz tak zawsze rzadką i tak zawsze pożądaną i cenioną—rzecz, na której cała moralna wartość człowieka spoczywa. Małeckie w swoich prelekcjach o filologii klasycznej uważa się nad młodzieżą, której wśród burz życia, w wieku namiętności, urabiania się i wyzwalania osobistości, brak światła „*lampy greckiej*, bez której trudno trafić do portu”.

„W starożytności klasycznej—mówi I. K. Plebański—spoczywa ta siła żywotna, która z gruzów i ruin klasycznych, z powagą mistrzyni, jeszcze dzisiaj do nas się odzywa. Na stósunkach życia klasycznego, odznaczającego się naturalnością i prostotą, uczy się młodzież pojmować jasno, nie tylko nasze dzisiejsze sprawy, ale wnika duchowo we wszystko, co tylko z ideją człowieczeństwa ma związek, przez co wyrabia w sobie jasny pogląd na wszystkie stósunki ludzkie tak, że w późniejszym wieku może samodzielnie pojmować daleko zawilsze, więcej skomplikowane interesa teraźniejszości.”

Pedagogika dzisiejsza, radzi w edukacji młodzieży postępować temi samemi ślady, jakimi postępowała ludzkość przy swém cywilizacyjnem wychowaniu. Kształcenie umysłu na humanijorach ma być tak dalece naturalną, najwłaściwszą edukacją ducha, że ta innym żadnym kierunkiem osiągnąć się nie daje a „wartość jej jest niedocieczona, a jednak stwierdzona przez wieki tysiącznemi przykłady”. Rozumieją to ludy i rządy—i Anglija, Ameryka, Prussy, Rosyja na krok od dawniej tradycyi nie odstępowały w programach swych gimnazyjów klasycznych. Słyszałam jednego z naszych znakomitych profesorów, dowodzącego z zapałem najwyższym, iż Francyja dla tego upadła w swym pojedynku z Prusami, że duch obywatelski zatracony w niej został przez tysiące szkół specjalnych, technicznych i realnych, z wykluczeniem przewagi wychowania humanitarne.

A teraz co do właściwości kształcących: logikę, sąd, pracowitość, wymowę, pamięć, zdolność myślenia i kombinacyi zawartych w nauce języka greckiego i łacińskiego, zwolennicy humanijorów dowodzą stale i z wielką siłą, iż żadna inna nauka

zalet tych nie rozwija w takim stopniu, ani nie kształci ich tak równolegle i jednostajnie; żadna nie zaprowadza tak doskonałej równowagi pomiędzy władzami ducha jak one.

Nauki temają tak konsekwentnie, tak równo wyrabiać wszystkie strony umysłu, że młodzież, która przebyła studyja klasyczne, ma być lepiej przygotowaną nawet do tych zawodów, do jakich inni przygotowują się specjalnie; tak że młodzieniec, wstępujący do politechniki, po przebyciu gimnazjum klasycznego, większe robi postępy, lepiej rozumuje, bada, dochodzi do większej specjalnej naukowej wiedzy, niż młodzieniec, który przebył realija. „Matematyka, jako główny przedmiot wykładany w szkołach, nawet matematyków nie wyrabia!” — powiada biskup Dupanloup.

Czy tak jest w istocie? Czy jest to tylko stronnictwem zaślepieniem? Nie śmiem orzekać. To przecież zdaje się nie ulegać wątpliwości, że matematyka, ta podstawa nauk ścisłych, aczkolwiek rozwija rozum, w żadnym przecieŜ stosunku nie zostaje z najdroższymi interesami ludzkości, w których prawa ducha jednostki i całych społeczeństw występują na życiową arenę.

Języki starożytne, których ojcostwa względem języków nowożytnych nikt nie zaprzecza, mianowicie język łaciński, jest cennym nabytkiem, jako źródło języków romańskich, jako język kościoła katolickiego i wreszcie, jako język naukowy wieków przeszłych, dający klucz do skarbów wiedzy ubiegłych stuleci. Uczony spotyka na każdej drodze potrzebę posiadania go, jeżeli zajrzeć zechce w dawniejsze księgi naukowe. Słusznem téŜ jest, aby katolik go rozumiał, gdy do niego kapłan od ołtarza boŜego przemawia. — „To nie jest język umarły — woła de Maistre — to język nieśmiertelny!”

Język naukowy u wszystkich cywilizowanych ludów jest wprawdzie dzisiaj bogaty i nie potrzebujemy się już, jak dawniej, posługiwać łaciną; jednakŜe w kaŜdym języku jest mnóstwo technicznych wyrazów i nazw naukowych, które wykazują greckie lub łacińskie pochodzenie i źródła ich wśród świata starożytnego szukać potrzeba. KaŜda nauka ma dąŜność szukania własnego źródła, kaŜda znajduje go w staroŜytności i jej językach. Można rzeczywiście powiedzieć, że język łaciński „zmarłych powstał na pra-

wdę podobny do tego, którego od dwudziestu wieków wysławia, raz zmartwychwstawszy—nie umrze więcej.” *)

A teraz powtórzmy tu za przyjaciółmi humanijorów, że złe ich nauczanie, jest najważniejszą przyczyną zdyskredytowania nauk klasycznych w opinii publicznej; że nie jedna szkoła zdaje się nie domyślać roli, jaką mają do spełnienia w życiu człowieka, że posługuje się niemi, jako środkiem jedynie tylko do zakuwania umysłu młodzieży. Wreszcie przytoczę tu jeszcze słowa I. K. Plebańskiego.

— „Myliłby się bardzo, ktoby sądził, że jakakolwiek bądź nauka języków klasycznych zapewnia wskazane powyżej pedagogiczne korzyści. Mając od tylu lat zwrócone oko na trudne warunki kształcące się młodzieży, przekonałem się nieraz, że dla niej nauka języków klasycznych może się stać taką torturą, o jakiej fantazyja najokrutniejszych wrogów nawet nie zamarzyła. Dzieje się to wtenczas, gdy bez znajomości metody pracy filologicznej, bez rutyny i nauki pedagogicznej, traktujemy w szkole języki klasyczne w sposób niewłaściwy zadaniu téj nauki. Wtenczas cel jest zupełnie chybiony, czas dla młodzieży stracony, a umysł młodzieńczy przytłumiony bezmyślnymi trudnościami, z niekłamanną przyjemnością goni myślą za gotowemi, nader łatwemi, jak sądzi, rozkoszami przemysłu, rzemiosła lub handlu.”

Co za smutna rzecz usłyszeć, iż młodzież po ośmiu latach pracy, chybiła celu, straciła bezkorzystnie drogi czas, a umysł jej bezmyślnymi trudnościami przytłumiony został! Dość jest spojrzeć na niejednego młodzieńca skończonego, aby się przekonać, że taki wypadek studyjów nie jest rzadkiem zjawiskiem. Piękne jest założenie klasycyzmu pedagogicznego, że szkoła nie tylko uczyć ale i wychowywać powinna; że przygotować należy do życia w szkołach średnich przez uczyłowiczenie ogólne, nie przez fachowe kształcenie młodzieńca; lecz gdy złe wykonanie założenia nie przynosi, ani nauki, ani podniesienia umysłu na wyżyny idei człowieczeństwa; gdy nawet, jak to w wielu razach widzimy, nie daje dokładnej znajomości języka łacińskiego, a tém mniej zaopa-

*) De Maistre.

truje młodzieńca w ową „lampę grecką”, przeprowadzając go jednak przez całą „grecką torturę”; wtedy nie dziwny się, jeżeli wiara w humanijora upada w społeczeństwie i w rodzinach i, że szukając w ciemności, chwytamy się z zapalem nowych kierunków, których dotykalna korzyść, jako widoczniejsza, łatwiej wzrok nasz zatrzymuje na sobie.

Zwolennicy nauk humanitarnych, zarzucają kierunkowi realnemu, iż zajmuje się wyłącznie objawami świata zewnętrznego, nie dając szerszego naukowego poglądu na objawy ducha; że kształci techników, ale nie zdola wpłynąć na równomierne rozwinięcie w człowieku wszystkich władz moralnych i intelektualnych. Na niższym stopniu nauki w gimnazyjach nie należy specjalizować wiedzy. Fachowe ukształcenie nie może być udziałem dziecka. Dopiero umysł przygotowany i rozwinięty do pewnego stopnia, może obrać powołanie, którego nikt narzucać nie ma prawa.

Przeciwnicy humanizmu pedagogicznego, mają o tyle łatwiejsze pole do potępienia go, że przedstawia się on w niecielesnej formie duchowych jedynie korzyści; że cała jego budowa jest natury czysto filozoficznej, abstrakcyjnej; że na całą i jedyną obronę swoją stawia długo-wiekowe doświadczenie. Ale wiara ludzi w doświadczenie, w ostatnich czasach zachwiała się, jak nigdy. Patrzymy wszyscy przed siebie, szukając postępu. Mało kto z wiarą w przeszłość spogląda, starożytna ufność w rozum, który, o tyle był potężniejszy, o ile głowa zawierająca go była bielszą — dzisiaj upadła zupełnie. Jak wielo-wiekowa teoria obrotu słońca około ziemi, upadła, obalona pociągnięciem pióra jednego człowieka; tak widzimy codziennie nowe wynalazki, rugujące nazawsze stare wynalazki ludzkiego rozumu. Na samą myśl o nowym odkryciu akcyje dawniejszych przedsiębiorstw spadają; przemysł nieufny i lękliwy ze swęj natury, tak już dzisiaj wierzy każdej nowości, że pierwsza na przykład wiadomość o wynalazku światła elektrycznego obniżyła akcyje towarzystw oświetlania gazowego. Doświadczenie wieków przestało być argumentem doświadczenia.

W wychowaniu intelektualném, metoda indukcyjna, obaliła dawnego o słomianych nogach olbrzyma — dedukcyją. Czy humanijora ze swoją czysto abstrakcyjną dyjalektyką miałaby zastać nienaruszone dla tego, że przez wieki dzierżyły berło ducha i nauki? To już dla dzisiejszych pokoleń dostatecznym dowodem być nie może. Żądza dociekania, owa piękna, lecz czasem tak zgubna właściwość umysłu ludzkiego, doprowadziła do tego, że nowatorowie każdą wiarę poczytali za przesadę — i zapragnęli oswobodzić się od wpływu tego wszystkiego, co tylko nie było ich własną zdobyczą; co było podane ręką obcą i cudzego doświadczenia nosiło na sobie piętno, to wszystko wydało się napojone naleciałością przesady i uprzedzenia, było: „trudni mi do skruszenia kajdanami ciemnoty.”

Najpierwszym warunkiem przy badaniu, mówi Tyndall, jest uczciwa chęć przyjęcia prawdy takiej, jak nam ją natura przedstawia i porzucenie wszelkiej wiary naprzód powziętej, jakkolwiek drogąby nam była.” Cóż w obec takiego poszukiwania stać się musiało z władzą humanijorów idealnej natury? Zapytano, jaki stósunek mają one z życiem, z potrzebami człowieka? a nie znalazłszy w nich żadnej utylitarniej i bezpośredniej korzyści dla młodzieńca, wydano przeciw nim wyrok potępienia. „Ślimacza skorupa nauk humanitarnych” czémże się wydać musiała młodym pokoleniom? Para, która je przenosi z miejsca na miejsce, dała im, jakby potrzebę wyrównania jej szybkości we wszystkich życia przejawach. I jest rzeczą bardzo zrozumiałą, że podczas kiedy przemysł wre coraz pełniejszym życiem; kiedy słowo pisane, a niesione parą, już nam się wydaje powoli wlokącą się wieścią i ledwo szybkość elektryczności zadowolić nas może; długa nauka szkolna, nie mająca z późniejszą działalnością dotykającego stósunku, musiała wywołać opozycyją. W ogóle charakter kontemplacyjny dawnych studyjów zamienił się w dzisiejszych pokoleniach w gorączkową walkę z naturą, aby jej wydrzeć tajniki i poddać ją sile rozumu, a razem z tym nowym kierunkiem podkopaną została teoryja komentowania rzeczy przeszłych a powstała praca dla przyszłości.

Dzisiejsi ludzie śpieszą się, nie mają czasu jednej epoce, zdawna umarłej, poświęcać dziesięciu lat życia; nie mają czasu

dla podziwiania Ilijady w oryginale przygotowywać się tak długo, bo na nich czeka prac życiowych tyle — tyle wynalazków jest jeszcze do zrobienia z dnia na dzień!

Nie samym chlebem człowiek żyje; — przyznając nawet tę prawdę, zwolennicy realnego kierunku wychowania powiadają, że wszystkie arcydzieła starożytności w tłómaczeniu czytać można, co nawet naukę języków umarłych czyni dla wielu bezcelową; że literatury nowożytne posiadają równie godne uwagi arcydzieła, że Dante, Szekspir, Goethe nie mniejsze smugi światła za sobą zostawili, jak Homer, Eschiles i Wirgilijusz. I nie do tych ostatnich uciekają się dziś najchętniej ludzie spragnieni pokarmu duchowego, nie u nich szukają natchnienia poeci, nie w ich fantazyi ludzie pospolici znajdują pierwiastek piękna, jakiego brak im w życiu codzienném. Nie umniejsza to zalet arcydziełom umarłych cywilizacyj i w historyi postępu ludzkości; będą one zawsze miały miejsce pierwszorzędne, tylko ich usługi przestały mieć dla dzisiejszych pokoleń tak doniosłą wartość, jaką miały przed wiekami.

Nauki pozytywne zrobiły w naszych czasach tak ogromny postęp, że spójrzawszy z jednej strony na ogrom pracy, jakiej każda gałąź wiedzy wymaga; z drugiej na krótkość życia ludzkiego; przeciwnicy dawnego wychowania, ubolewają nad strawionym przez młodzież czasem i zużywaniem zdrowiem dla nauczania się języków umarłych, z którymi jej przyszłość niema nic wspólnego. A kształcenie pamięci, sądu, inteligencji?... I na to jest odpowiedź. Nauki ściśle otwierają pole daleko szersze dla gimnastyki umysłowej, niż mogą to uczynić języki. Poszukiwania w dziedzinie przyrody, są wysiłkami, które z młodzieńca czynią człowieka. Nie „lampa grecka” może ocalić wśród trudów życia, lecz „pochodnia natury.”

Jeżeli humaniści przypisują nauce języków i literatur starożytnych zdolność rozwijania sądu, logiki i jasności poglądu — tę samą kształcącą władzę przypisują realijom ich zwolennicy. Humanisci czynią zarzut naukom realnym, że te odwodzą od ducha prawdziwej religijności; pozytywista, Herbert Spencer, powiada zaś wyraźnie ku naszemu zdziwieniu, że kształcenie w naukach fizycznych, przyrodniczych i matematycznych tém swą

wyższość nad zwykłą edukacją zaznacza, że daje umysłowi uprawę religijną. — „Ma się rozumieć, dodaje uczony angielski, że nie używamy tutaj wyrazu *religijny*, w znaczeniu ograniczonym, w jakim zwykle jest brany, lecz w jego znaczeniu najszerszym i najpodnioslejszym. Zapewne, że nauka przeciwna jest przesądom, które w świecie często za religiją są poczytywane, ale nie jest przeciwną religii prawdziwej, którą te przesady zasłaniają nam tylko. Zapewne, że część nauki bieżącej przesiąkła jest niereligijnością; ale ten duch nie panuje w prawdziwej nauce, w tój, co zgłębia więcej, niż powierzchwnie przedmiotu.

Były głosy, nawet z łona kościoła wychodzące, które osłabienie w naszych czasach wiary przypisywali powierzaniu lat młodości naszych dzieci naszemu wpływom pogańskiej starożytności — i przypisujące większą pobożność kobiet, niż mężczyźni temu, że panny na wzorach chrześcijańskich, młodzież zaś męska na wzorach pogańskich się kształci.

Zwolennicy kierunku realnego śmieją się z dowodzenia, że humanijora są jedynym sposobem harmonijnego wykształcenia wszystkich władz umysłu i ducha. Jakto? — wołają — więc inna szkoła jest potrzebną do nabycia nauki, a inna jako przygotowanie umysłu do jej nabywania? Co za nielogiczność! Byłby to jedyny w przyrodzie wypadek, w którym dla dopięcia celu, trzeba by szukać środków nienaturalnych. Tylko chodząc, uczymy się chodzić, a tu — aby się nauczyć chodzić, każą nam pozostać w pozycji leżącej. We wszystkich kierunkach wprawa nabywa się pracą na polu saméjże działalności. Chcąc na przykład grać na fortepianie, nie wprawiamy się do gry na flecie; a umysł miałby potrzebować innéj nauki, jako gimnastyki umysłowej, a innéj, jako bezpośredniéj życiowéj wiedzy? Co da nam w przyszłości znajomość warunków życia, świata otaczającego, nas samych, jako istot z ciała i ducha złożonych, czy język grecki i łaciński? Czy czeze słowa, choćby przez Cycerona związane w barwną całość, mogą nam zastąpić umiejętność zachowania naszego zdrowia, lub umiejętność zapracowania na życie? Patrząc na młodzieńca, który zdawszy egzamin dojrzałości, rzuca książkę grecką na ziemię, wołając z zapalem, że już w życiu swojém nigdy do niej nie zajrzy, przypomina się trywialny

koncept przepisu, bardzo trudnej do wykonania i skomplikowanej potrawy, którą, z mozołem w końcu sporządziwszy, należy za okno wyrzucić.

Wreszcie jeżeli do naszego szczęścia, nie tylko względy cielesne i utylitarne przyczynić się mogą; jeżeli nauki, sztuki, poezycja i filozofija mają w jakimś stopniu na to szczęście się składać; to nauka natury, połączona z nauką języków obcych, żyjących i języka ojczystego, wszystkim tym warunkom odpowiada dostatecznie. Jeżeli zaś chodzi o moralne doskonalenie się, to, jak utrzymuje jeden z angielskich uczonych, nauki humanitarne czynią młodzieńca zarozumiałym i dumnym ze swęj wiedzy; przemawia on z wysokości epoki, z jaką ogół żadnej styczności niema; czuje się w posiadaniu jakiegoś magicznego, abstrakcyjnego klucza, którym, jak go nauczono w szkole, otwierają się wszystkie zamki, zdobywa się wszystko, co w dziedzinie umysłowej jest do zdobycia. Wynalazki, nad jakimi inni pracowali długie lata, wydają mu się łatwą i naturalną zdobyczą, bo dotknawszy tylko powierzchni nauki, nie zna, ani jęj trudności, ani jęj rozległości. Nie korzy się on przed mądrością i logiką praw rządzących naturą; półbogowie, których czyny komentował, wielkość pojedynczych ludzi, od których humoru nieraz losy świata zależały— te wszystkie ludzkie, nie boże drogi, dają mu nadmierną dumę człowieka.

Nauki, mające za cel naturę, czynią człowieka pokornym. Prawdziwy uczony uderza czołem przed niezgłębionością, którą spotyka u kresu każdej nauki. On oblicza odległość gwiazd i słońce rzuconych w przestwór, ale z pokorą wyznaje, że nie zna i nigdy poznać nie jest w stanie siły twórczej, wobec której umysł jego czuje się małym i słabym.

Żeby dostateczne dać wyobrażenie o krańcowości przekonań, dodać wypada, że z swęj strony zwolennicy pedagogiczni nauk humanitarnych, oskarżają także realija o wbijanie w pychę młodzieży. Powiadają, że ciągle postępująca wiedza, codzienne prawie odkrycia, dają młodzieży przekonanie o bezkrańcowości zdobyczy umysłu ludzkiego i bezmierną napawają go dumą.

I jedni i drudzy są może w błędzie. I jedni i drudzy za mało biorą w rachubę to, że nie nauka sama, ale sposób

j jej udzielania stanowi najczęściej o jej pedagogicznej wartości.

Streszczając to, cośmy tu powiedzieli, o sprzeczności kierunków i wyobrażeń, nie trudno dojść do przekonania, że szkoły średnie nie jednemu jeszcze ulegną przetworzeniu. Chodzi tu głównie o to, aby wszystkie władze intelektualne i moralne, złożone w młodzieńcu przez Boga, doszły w przeciągu nauki od lat 10-ciu do 18-stu tego stopnia rozwinięcia, żeby na ich podstawie mógł on sam odkryć w sobie te wszystkie zdolności, któreby stanowiły o przyszłym jego powołaniu, a tém samém i obraniu właściwego fakultetu, czy innego specjalnego zakładu. Ustósunkowanie zatem nauk, z uwzględnieniem umysłowych moralnych zasobów, złożonych przez naturę w dziecku, jest zadaniem do rozwiązania.

A teraz, gdy przychodzimy do praktycznego zastosowania, to jest do roli rodziców przy oddawaniu syna do szkoły, musimy zwrócić ich uwagę na to, że i w tym razie, jak w wielu innych, dokładne ocenienie zdolności syna, a więcéj jeszcze jego przyszłych środków, materyjalnych jest nieodbitcie potrzebne.

Zdolności dziecka są jego prawem, którego rodzicom zapoznawać nie wolno; ale na zdolności mniejszy nacisk kładziemy dla tego, że jest to nieznana kraina, w której odkrycia nie są łatwe. Często zdarza się, że nagle, w pół drogi, zdolność inny przyjmuje kierunek, że dziecię traci, lub nagle nabywa pamięci, że się rozwija niespodzianie i późno, lub wielkie obietnice lat dziecinnych zawodzi. Przyczyny takich zjawisk tkwią, bądź w fizycznym stanie dziecięcia, bądź w kierunku, jaki mu pierwotne wychowanie nadało, bądź téż, gdy idzie o dzieci rozwijające się późno, w naturalnej ich umysłu dążności do nieprzyjmowania niewłaściwego kierunku, który później sama natura, lub wpływy edukacyjne, odnajdą szczęśliwie.

Dla takich to zjawisk obserwowanych codziennie przez pedagogów, dla uprzedzeń, jakim często rodzice podlegają, wreszcie dla wpływów okolicznościowych, jakimi są: rozwijanie z zamiło-

waniem w dzieciach przez nauczycieli domowych pewnych stron umysłu, z zaniedbaniem innych, co wyradza powołania fałszywe i zwiechnięcie zdolności; dla takich przyczyn radzę rodzicom bardzo oględnie wyrokować o zdolnościach dziecka. W zasadzie trudno zaprzeczyć, że zdolności wybitne istnieją, że się objawiają od lat najmłodszych; ale strzedz się należy zbytniego zaufania do lada ich objawu, który może być sztucznym i chwilowym.

Materyjalne środki rodziców, prawidłowe rozwinięcie władz umysłu dziecka, stanowią wzgląd bez porównania wyższy, niż wybitna zdolność w pewnym kierunku. Takie twierdzenie potrzebuje bliższego określenia i wykazania, że ze względów praktycznych, rzeczywiście tak, a nie inaczej ta okoliczność się przedstawia. Kierunek humanitarny, który, jak widzieliśmy, w obozie swych największych zwolenników nie przedstawia się, jako wychowanie przynoszące bezpośrednią korzyść życiową, lecz jako przygotowanie do nabycia wiedzy specjalnej; kierunek, mówię, humanitarny, prowadzi za sobą może korzystniejszą, lecz dłuższą pracę, wymaga koniecznie uzupełnienia przez nauki wyższe — przez uniwersytet. Inaczej jest on rzeczywiście dziełem nieskończonem, do celu nieprowadzącem. Szkoły techniczne, rzemieślnicze, technologiczne, handlowe, realne dają znowu naukę, która, w razie zatrzymania się w połowie drogi, zapewnia możność korzystania w jakibądź sposób z nabytą wiedzą — słowem dają zarobek. Zatem, jeżeli rodzice ubodzy widzą w swym synu zdolności mierne, z których wnioskować o przyszłości naukowej nie mogą; niech nie ulegają pokusie oddania go do gimnazjum klasycznego.

Chłopiec ubogi, który, nie tylko się uczyć, ale i na życie własne w ciągu nauki zarabiać będzie zmuszony, z pewnością nieukończy gimnazjum i tylko powiększy zastęp, tak liczny w naszym kraju młodzieży, która żadnego zakładu naukowego nie przeszła. Niech tacy rodzice szukają raczej szkoły, dającej synowi wiedzę, której utylitarne korzyści byłyby niezaprzeczane. Jeśli wśród takiej nauki, brak zdolności lub niemożność oddawania się jednocześnie nauce i zarobkowej pracy na życie, zatrzymują go w połowie drogi, zdobędzie przynajmniej zasób pożytecznych wiadomości, które go uzdolnią do skromnego może, ale fachowego zajęcia.

Pomyślmy, że dla ubogiego chłopca praca w szkołach podwaja się. W niższych klasach nie ma on korepetytora; więc postęp, przy niedostatecznym rozwinięciu i przygotowaniu domowym, jest dla niego cięższy, przy większej pracy i gorszym pożywieniu. W klasach wyższych znowu, widzi on zwykle wysychające coraz bardziej źródło rodzicielskiej pomocy. Albo młodsze bowiem rodzeństwo potrzebuje wychowania, albo też na pierwsze jego kroki tak się wyczerpała możność rodziców, że na dalsze już jej zabrakło. Musi więc, żyjąc najskromniej, często nie jedząc obiadu, pracować umysłowo na przyszłość własną i zabijać się pracą korepetytorską. To jest zaledwie możliwe dla młodzieńca zdolnego; mniej zdolny, upada pod ciężarem takiego życia, traci zdrowie, energiją, w końcu opuszcza szkoły i szuka chleba, jako rzemieślnik, albo wykonawca gospodarski, lub urzędnik niższego stopnia.

Jeżeli był w zakładzie technicznym i opuścił go nieskończywszy, — coś mu jeszcze z jego wiedzy na życiową korzyść przypadnie. Jeżeli wyszedł z gimnazjum klasycznego, dajmy na to z klasy V lub VI-jej, bardzo mało umie on rzeczy kształcących człowieka, nie umie zaś nic, coby zarobkową pracę ułatwić mogło.

Zatém rodzice ubodzy, słuszniej uczynią, jeżeli dzieci mniej zdolne oddadzą do zakładów technicznych; chyba że mieszkają w mieście, mogą synowi zapewnić zdrowe pożywienie, okrycie, — słowem wygody życia, któreby mu pozwoliły całą usilność zwrócić wyłącznie na kształcenie się własne. Dzieci zdolne i żądne wiedzy stanowić mogą od powyższej reguły wyjątek. Jakkolwiek ciężką i wyczerpującą organizm będzie ich praca w gimnazjum; wszelako można mieć nadzieję, że ich zdolność, chęć do pracy i powołanie naukowe, potrafią zwalczyć trudności; że zdołają ukończyć gimnazjum klasyczne, a potem uzdolnią się fachowo na uniwersytecie.

Gimnazjum klasyczne otwiera wszystkie drogi; jego uczniowie zarówno do uniwersytetu, jak do politechniki są przyjmowani; młodzieniec zatém, który je ukończył, ma zupełnie rozwiązane ręce przy obiorze powołania. Szkoły realne uzdalniają młodzież jedynie do zakładów politechnicznych. Ktoby chciał

po ich skończeniu wstąpić na uniwersytet, musiałby wprzód poddać się egzaminowi z nauk objętych, programem gimnazyjów klasycznych. Jest to względ niesłychanie ważny. Nawet ubodzy rodzice, jeżeli ze zdolności syna rokować mogą, że gimnazyjum klasyczne ukończy, względ ten na uwadze mieć powinni.

Szczęśliwiej zaś położeni rodzice, którzy mogą synom swoim zapewnić niezależność materyjalną, ci niechaj raczej wybierają gimnazyjum klasyczne; chyba że wybitny brak zdolności do języków, a natomiast widoczne zamiłowanie do matematyki, lub nauk przyrodzonych, nie zostawia wątpliwości co do powołania dziecka.

Rodzice bogatsi grzeszą słabością, częstokroć więcej, niż ubodzy. Tych ostatnich samo położenie stawia w konieczności, szukania dla chłopca zakładu najbliższego i trzymania się przy nim wytrwale. Ta okoliczność zapewnia przynajmniej tę wielką korzyść, jaką daje jeden i niezmienny system wychowania i ten rodzaj karności, jaką w chłopcu rozbudza przekonanie, że nie-mogąc szukać gdzieindziej nauki, musi koniecznie wytrwać na jednem miejscu i w raz obranym kierunku.

„Lepszy zły system, niż żaden.” Tymczasem rodzice bogatsi, w swą pobłażliwość dla dziecka, zawsze przyznają mu słusność i, raz doszedłszy do tego wniosku, że szkoła nie nie warta, przenoszą je do coraz innego zakładu. Znam młodzieńca, który żadnej szkoły nie skończył, właśnie z tej przyczyny, iż go z naszych szkół przeniesiono do Poznania, stamtąd do Galicyi, a gdy i tu nie otrzymał patentu, miał się przygotować w Rydze do politechniki na wydział agronomiczny. Gdy zaś i ten zamiar spełził na niczém, zamierzył udać się do Instytutu rolniczego w Puławach. Tu jednak znowu stanęła mu na przeszkodzie trudność zdania egzaminu w obcym języku; powrócił więc w progi rodzinne, gdzie przez lat parę karmił się z rodzicami tą błogą nadzieją, że pojedzie do Grignon i tam zakład agronomiczny ukończy. Ale nasunęły się różne względy i uwagi rodzicom; już to

odległość miejsca, już bliskość Paryża, tak niebezpiecznego dla natury hulackiej syna, wreszcie niski kurs naszych pieniędzy; wszystko to opóźniało wyjazd do chwili podniesienia się waluty. Tymczasem skończyło się na tém, że ów młodzieniec pozostał w domu i zmarnował się, jak wielu innych.

Często uprzedzenia osobiste rodziców, co do tego lub owego w wychowaniu kierunku, przynoszą wielką szkodę młodzieży. Jeżeli rodzice w życiu doznali niepowodzenia w swym zawodzie, niepowodzenie to, przypisują rodzajowi pracy, nie sposobowi jej traktowania i tak dalece zaślepiają się, iż żadnemu z dzieci nie pozwalają wstępować w zawód, jaki dla siebie sami obrali. Pewien nauczyciel muzyki, opowiadał mi, że syn jego ma niepospolite zdolności muzyczne, ale nie będzie się uczył grać na żadnym instrumencie, bo muzyka chleba nie daje, a jej nauczanie jest przeklętym rzemiosłem, nad które stokroć lepsze jest powołanie szewca lub krawca. Syn byłby może wyrósł na muzyka, ale nie wolno mu było dotknąć się fortepianu, a każda próba ukradkowa dziecka sprawadzała pioruny gniewu ojcowskiego.

I inni rodzice mówią:—„Syn nasz musi być gospodarzem rolnym. My, i ojcowie nasi, na tej drodze dorabialiśmy się chleba. Niech więc i on na zagonie pracuje”.—Więc musi być rolnikiem, choć zdolności jego byłyby go może sławnym okulistą zrobiły.

Są rodzice znowu, którzy nie wymagają od dzieci bezwarunkowego posłuszeństwa, gdy chodzi o wybór powołania; ale chłopiec tyle w domu nasłuchiwał się utyskiwania rodziców na powołanie prawnika lub agronoma, że chociażby jego zdolności najdoskonalej nadawały się do jednego z tych powołań, to przecież powzięty wstręt i obawa popechną go na inną i często niewłaściwą drogę.

Trafiają się wszakże położenia, w których rodzice przy wyborze zawodu syna, mają obowiązek utrzymania się stanowczo przy swój woli, choćby ta miała się sprzeciwiać żądanom dziecka, a to wtedy, gdy chwilowy, a w młodości często zdarzający się zapal do jakiego zawodu, skłania go do porzucenia raz powziętego zamiaru, do ustania w połowie drogi i kapryśnego przerzucania się na inną.

Dla objaśnienia przytoczmy przykład, w którym dajmy na to, syn ubogich rodziców wyobraża sobie, że ma uzdolnienie poetyckie dla tego, że udało mu się zręczny ułożyć wierszyk; upaja się więc i rozgorączkowszywa myślą przyszłej sławy i oświadcza rodzicom, że pragnie iść na wydział historyczno-filozoficzny, bo ten wydaje mu się najwłaściwszy dla jego literackich zdolności. — „Więc po ukończeniu tego wydziału — mówi ojciec — życzysz sobie być profesorem?” — „Profesorem za nic w świecie!” — woła syn. — „Uczyć drugich! to najostatniejsza z prac ludzkich, wolałbym cieśłą, niż profesorem zostać!” — „Z jakąż więc myślą wstępujesz na wydział literacki?” — „Czuję w sobie natchnienie, którego nie godzi się zabijać studjami prawniczemi lub medycznemi, ani też suchą nauką matematyki.”

Ojciec lub matka, nie mając żadnych dowodów genialności syna, a pamiętni na nędzny żywot tylu poetów, którzy kończyli częstokroć na łożu szpitalném, lub bacząc na tych wszystkich nieszczęśliwych, którzy, tworząc dla chleba, tracili ostatki iskry bożej i stawali się kalékami moralnymi; mają prawo czynić uwagi synowi, przedstawiając mu, że sami żyją tylko z pracy, że dzieciom nie są w stanie zapewnić środków utrzymania, że więc mają prawo żądać, aby syn obrał sobie zawód, mogący zapewnić chleb powszedni; że w każdym kraju pisanie wierszy, nie poparte zdobytą sławą, nie zapewnia utrzymania, a w naszym i sława go nie daje.

Rodzice zatém mają prawo zwalczać nawet upór syna wszystkiemi możliwemi środkami perswazyi. Jednakże i tu należy im się odezwać do niego głosem doświadczenia, które niezawodnie dobrze radzi, gdy zachęca do wyrobienia sobie niezależności, jednego z najwyższych darów nieba.

Głos doradczy zostawiony jest zawsze rodzicom, byle tylko ten był wynikiem namysłu, a nie kapryśnej, pełnej uprzedzeń samowoli. Taki głos ma prawo wystąpić, gdy rodzice wiedzą, że syn ich przy obieraniu zawodu działa pod wpływem cudzej namowy, lub fałszywego obliczenia korzyści, jakich spodziewa się w przyszłości.

Ale najwięcej chybionych powołań wypływa z pragnienia zdobycia sobie jak najspiesznieszego karyjery. Pragnienie to, gdy

występuje zbyt wybitnie, staje się gorączką, zamącającą zdrowy pogląd na rzeczy. Młody chłopiec, kończący szkoły, słyszy o młodym człowieku, którego los, lub wybitne zdolności, umieściły na stanowisku wysokiem i przynoszącem znaczne dochody; więc spragniony dobrobytu, rzuca się w zawód nieodpowiedni zdolnościom, a zatém gotujący mu w przyszłości rozczarowanie i zawody. I tu rodzice stać na straży powinni. Znają oni syna najlepiej; wiedzą, jakie od dzieciństwa objawiały się w nim zdolności; niech więc używają téj wiedzy na osiągnięcie dobroczynnego wpływu nad młodzieńcem. Niech jednak zawsze będzie to rozumne przemawianie doświadczenia, a nie gorzkie słowa upokarzające miłość własną.

Największa odpowiedzialność spływa na rodziców, gdy syn, skończywszy gimnazyjum, pomimo otrzymanego patentu dojrzałości, jest jeszcze umysłowo tak niedojrzały, że potrzebuje kierunku. Jego chwiejne przekonanie, sąd niewyrobitny, oglądają się za cudzém zdaniem.

Takie usposobienie nie jest rzadkie w naszej młodzieży. Wszak często w latach 18-tu kończy chłopiec gimnazyjum. Przebywanie wśród umarłych wieków starożytności nie mogło mu dać doświadczenia życiowego, ani oświecić o znaczeniu niektórych nauk. Prawo przedstawia mu się jako wyobrażenie ogólne; ale o tém, co jest praca prawnicza, jakie jest zastosowanie prawa w jego urzędowych rozgałęzieniach, jaką zatém przyszłość w zastosowaniu przedstawia, tego młodzieniec nie może wiedzieć w sposób ujawniający mu wyraźnie powołanie do tego zawodu. Medycyna znów—to chlebobdajne źródło. Ale czém jest medycyna, jako nauka, jakiemu rodzajowi pracy poddaje umysł? Młodzieniec nie zdaje sobie sprawy i nie wie, czy ma do niej powołanie. Miara, podług której sądzi w tym razie o swoim usposobieniu, jest możność znoszenia widoku krwi i ran ludzkich, lub wstręt do ciał nieżywych i widoków wzbudzających odrazę.

Jest to kwestyja nerwów jedynie. Ze względu na nie trudno sądzić o powołaniu. Nie jeden bowiem, patrzący z krwią zimną na ludzkie i zwierzęce cierpienia, w umyśle swoim, ani w charakterze nie ma żadnych danych do zostania lekarzem inteligentnym i zamiłowanym w swoim zawodzie.

Zdarza się tedy, że młodzieniec po skończeniu gimnazyjum, nie wie jeszcze o tém, jakie powołanie otworzy przed nim największe pole zasługi i szczęścia. Ogląda się więc niespokojnie za wpływem, mogącym go oświecić i popchnąć na jedną z dróg, stojących przed nim otworem. Od kogóż najsprawiedliwiej i najlogiczniej oczekiwać ma tego wpływu stanowczego? Nie można zaprzeczyć, że powinien on wyjść od rodziców. Tak też dzieje się zwykle, ale bądźmy szczerzy; jeżeli chłopiec sam siebie zbadać nie może, rodzice nie lepiej z tego zadania się wywiązują. Tysiące różnorodnych względów nimi kieruje, z wyjątkiem logiki i sprawiedliwości. Nie mogą otrząść się z uprzedzeń. Jedni na urojonej zasadzie, że prawnicy u nas „z głodu umierają”— albo: że lekarz „zawsze chleb znajdzie,” oddają syna na medycynę. Inni o zarobkach inżynierów mają przesadne pojęcie; inni widząc, że inżynierom o znalezienie pracy już dziś trudno, wpadają w przesadę i utrzymują humorystycznie, że inżynierów teraz już na podkłady pod koleją żelazną używają. Zawód nauczycielski znów taką niechęć obudza, że mało kto na profesora się kształci. Często bardzo, mrzonka, żart, frazes piękny lub złośliwy, stanowi o powołaniu. Ktoś rozgłosił jakąś niedorzeczną wiadomość, inny żartował w towarzystwie z kandydatów do posad sądowych, jakiś przybysz odpowiedział wieść najmniej podobną do prawdy, a jedynie zrodzoną we własnej wyobraźni, i już staje się to dla rodziców wskazówką, której się trzymają, jak nicy zbawienia, choć rzeczywiście jest ona pajęczą przędzą ludzkich przywidzeń.

Jeżeli już koniecznie o powołaniu syna stanąć trzeba, gdy on sam na postanowienie zdobyć się nie umie, czy nie może, niechże to będzie przynajmniej na podstawie znajomości jego charakteru i umysłowych zdolności. Takie stanowienie będzie miało przynajmniej jaką taką rękojmię słuszności, będzie wypływało z logicznej zasady i choć nieomyślność nie jest rzeczą ludzką, choć z uprzedzeń osobistych wyléczyć się trudno; będzie to jednak przyznaniem praw indywidualności dziecka, na którą wpływy zewnętrzne powinny oddziaływać w sposób naturalny; nigdy, jako siła kępująca despotycznie i wyrokująca nieodwołalnie.

Ileż to powołań zwichniętych, ile obowiązków narzuconych, a tém samém i źle spełnianych! Obliczyć tego trudno, rozpamiętywać jednak warto, bo i dziś jeszcze niejedni rodzice, uważając dziecko za własność, sądzą się być w prawie postępowania z niem samowolnie.

O przesądach piętnujących niektóre zajęcia i prace pogardą, niechęć tu mówić, bo one w pewnych tylko, nielicznych kołach panują. Ogół czuje już szacunek dla każdej uczciwej pracy, choć jeszcze sam systematycznie pracować nie umie, wierząc w tradycyjne: „Jakoś to będzie”.

Miejmy jednak nadzieję, że i to znamię lekkomyślności ustąpi z latami. Już od czasu naszych praocjów, których ojczyzna „nierządem stała” i którzy w dobrej wierze powtarzali tę potworną zasadę, wiele w krwi narodowej się zmieniło, i w tym razie zmieniło się na lepsze.

ROZDZIAŁ XV.

Wpływ matki na córkę i powołanie kobiety. Zdrowie. Nowicyjat macierzyństwa. Gospodarstwo domowe.

Wielcy ludzie mieli znakomite matki, — stało się to już prawie pewnikiem psychologicznym. Że wielkich kobiet ludzkość małą stósunkowo liczbę posiadała; stąd trudno oznaczyć, o ile matki wpływały na ich przymioty: historyja zaś kobiet zacnych i szlacheśnych, nie przechodzi ograniczonego kółka współczesnych i ginie wraz z pokoleniem, które je wydało.

A jednak oznaczenie stopnia oddziaływania matek na córki wykazałoby dopiero całą ich wpływu doniosłość. Przysłowia — owa mądrość ludów — zostawiły ślady istniejącego od dawna przekonania, że podług matki, córkę sądzić należy: „*Jakie ziele, taka nać; jaka córka, taka mać. Niedaleko jabłko pada od jabłoni*” Mówi się też i nie bez słuszności: „Chciałbym, żeby syn mój wziął żonę z *dobrego gniazda*. Dobre gniazdo — to przede wszystkim dobra i cnotliwa matka. Tak, dwa razy ona córkę porodzić powinna, raz — dając jój życie ciała — co trwa chwilę; drugi raz, dając jój życie ducha — co trwa wiecznie, bo wpływ jój wywierany na nią, od epoki dzieciństwa, do chwili jój dojrzałości, sięga dalej, bo aż na pokolenia następne, którym znów ona z kolei da życie.

Wychowanie córki nie koniecznie oddala ją z domu. Najkorzystniej jest, gdy się pod okiem matki całe jój wychowanie odbywa i to ciągłe zetknięcie czyni matkę niejako szafarzem darów moralnych i umysłowych, jakie dziewczętkę mają ubogacić. Odpowiedzialność też się zwiększa, dzieło kierownictwa prawie na dzieło twórcze urasta.

Gdy pomyślimy, jaką rolę w składzie moralnym człowieka odgrywają przekonania, religija, poglądy, nauka i przyzwyczajenia, czyli to wszystko, z czém się człowiek nie rodzi, lecz co przez wychowanie nabywa, łatwo poznamy, czém może być wpływ ciągły, naturalny i nieodstępny, jakim jest wpływ matki na córkę.

Jakaż wszakże ma być owa spuścizna moralna, jako przekaz macierzyński, wpływający na młode dziewczę?

Skargi na złe i fałszywe wychowanie kobiet powtarzają się nie tylko u nas: francuscy, niemieccy, angielscy moralisci prawie jednogłośnie utyskują na nicość moralną kobiet. Buckle, zastanawia się nad tém, jak wielkie mogłyby one oddawać usługi ludzkości, „gdyby ich umysł nie był poddany fałszywemu, pełnemu przesądów i potworności systemowi, który nazywa się ich wychowaniem, a zależy na staranném usuwaniu od nich wszelkich pożytecznych wiadomości, a troskliwém nauczaniu wszelkich niedorzeczności dopóty, dopóki ich piękny i czysty umysł nie ulegnie zupełnemu skażeniu.” Spencer, przypuszcza ironicznie: „że osoby, zajmujące się wychowaniem dziewcząt, działają pod wpływem przekonania, że nie jest wcale rzeczą pożądaną wykształcenie w kobiecie siły fizycznój; że zdrowie czerstwe i siła są zaletami plebejuszowskiemi; że pewna delikatność, wytrwałość obliczona na krótkie przechadzki i łatwo, małemi dozami zaspakajający się apetyt, połączony z tą nieśmiałością, która towarzyszy słabości — są przymiotami stósowniejszymi dla kobiet światowych”.

Uczony angielski dodaje wprawdzie, że mu nikt podobnych wyznań nie robił, ale wyobraża sobie, że w umyśle każdej wychowawczyni ideał panny dobrze wychowanej bardzo jest podobny do nakreślonego powyżej, a jeżeli tak jest, to wyznać trzeba, że zaprowadzony system wychowawczy powszechnie jest do tego ideału zastosowany wybornie. Zdanie Milla o losie mężczyzn, związanych z próżnemi i bezmyślnemi niewiastami przytoczyłam powyżej.

Co do zapatrywania się na wychowanie dzisiejszych kobiet wolalam zacytować zdania myślicieli angielskich, niż francuskich i niemieckich, bo te dają nam dopiero miarę wielkości wymagań,

skoro w kraju, w którym kobieta najlepiej stosunkowo spełnia swe posłannictwo i gdzie rzeczywiście stoi na wysokim stopniu oświaty — jej wychowanie za fałszywe i bezpodstawowe uznano.

U nas też nie lepiej się dzieje.

Rzadko kiedy piękne, wrodzone kobiecie przymioty, właściwie rozwinięte bywają. Zwykle wychowanie jej grzeszy słabością, brakiem wszelkiej systematyczności. Czy jednak są tu winne matki jedynie? Nie będziemy się nad tem zastanawiać. Zaznaczymy tylko, iż od matek zależy, by stan rzeczy się poprawił; by w warunkach dzisiejszych, które od razu zmienić nie mogą, wychowało się jednak dziewczę lepiej do życia przygotowane, niż owe kobiety, na które tyle, niestety! słusznych utyskiwań słyszymy.

Starajmy się tylko kwestyją powyższą postawić na gruncie praktycznego zastósowania. Jeżeli moralistom wolno podawać społeczeństwu projekta reform idealnych; jeżeli im wolno stawiać wymagania urzeczywistnić się mające tylko przy zmianie wszystkich okoliczności zewnętrznych, któremi są: prawa krajowe, zakłady naukowe, stan obecny społeczeństwa i t. p.; to przecież matka, jakkolwiek władza jej moralna nad dzieckiem jest wielką, nie ma prawa odbywania nad niem prób, które w swych następstwach mogłyby się zgubnemi okazać.

Byłoby to nadużyciem władzy macierzyńskiej, samowolą.

Postęp jest zawsze możebny, ale trzeba go budować na utworzonej przez życie podstawie. Wolno było Platonowi, w swojej „Rzeczypospolitej” komunistycznej, porównać kobietę z mężczyzną do tego stopnia, że naznaczył jej nawet miejsce w szeregu bojowym i od służby wojskowej nie uwolnił; ale czy wolno było matkom na zasadzie reformatorskiej mrzonki, utworzyć legijon z swych córek i popchnąć je tém samém na drogę niewłaściwą niewieście?

Owóż, nie dochodząc bynajmniej, czy próby dzisiejsze, w różnych krajach praktykowane, co do otwarcia kobietom wszystkich zawodów, w jakich dotąd pracowali mężczyźni, przyniosą pomyślne rezultaty; czy te kobiety uznane zostaną przez społeczeństwo rodzinne za zdrowe i pożyteczne nabytki dla jego dobra i postępu; nie dochodząc, czy przypuszczenie kobiet do uni-

wersyteckich egzaminów i wydawanie im stopni naukowych, jest objawem rzeczywistej potrzeby społeczeństw, czy tylko uroszczeniem chwilowem, bez istotnej życiowej wartości, przejdźmy do kwestyj dla nas bardziej żywotnych.

Zważmy przede wszystkiem, iż przepisy krajowe uniedostępniają dla kobiet większą część posad naukowych, zajmowanych przez mężczyzn, jak np. posady inżynierskie, katedry profesorskie, adwokatura sądownictwo i t. p. Szkół wyższych dla kobiet nie posiadamy. Zatem matki, które marzą o wprowadzeniu córek na drogi nowe, *marzą* jedynie.

Nie jest to w nich rozzumnem ogarnięciem myślą przedmiotu, ale tylko *mrzonką*, pod którą domyślać się trzeba chęci usprawiedliwienia własnych błędów, popełnionych w wychowaniu swych córek; zrzucenia z siebie winy na okoliczności, społeczeństwo, przesady, uroszczenia męskie i t. p. Matka niezawodnie musi widzieć trudności wychowania córki, na zdrowego i czynnego członka społeczeństwa. Musi dostrzedz, jak trudno nauczycielce domowej, którą jej dała, rozwinąć wszystkie władze umysłowe dziecięcia, jak towarzyskie wymagania nie zgadzają się z postępem, z jakim przecie godzić wychowanie należy. To wszystko niech matka widzi i czuje; ale stawiając odważnie czoło przeciwnościom, niech nie wpada w marzycielstwo i kierunku praktycznego nie opuszcza ani na chwilę dla idealnych dążeń, bo do tego niema prawa.

Zadanie do spełnienia na świecie jest inne dla mężczyzny, a inne dla kobiety, to matka powinna dobrze rozumieć. Różnic moralnego usposobienia nie należy zapoznawać w wychowaniu; przepaść bowiem dzieląca obie płci pod względem powołania, nigdy zapełnić się nie da tak, jak różnic fizycznych nie zmienić nie może.

Bóg, nie niższe, ani mniej ważne stanowisko naznaczył kobiecie w ludzkości, tylko inne, niż mężczyźnie; nie mniejsze skarby duchowe w niej złożył, lecz je uczynił różnemi od tych, jakimi obdarzył mężczyznę. Mówiliśmy wyżej, czem jest dla społeczeństwa rodzina.

Wielkie zadanie jej słusznie cenione, choć nigdy nieocenione dostatecznie, nakreśla zarazem granice dla działalności i powoła-

nia kobiety. Dopiero gdy w nich naznaczymy jej miejsce, widzimy, że na żadnym stanowisku, ani takiej zasługi, ani tak odpowiedniej pracy dla siebie znaleźć nie może, jak na stanowisku żony i matki. Tam dopiero przymioty jej kobiece jaśnieją w całej pełni; tam uczucie miłości, którą Bóg w sercu kobiety umieścił, staje się słońcem ożywcem.

Nie możemy wątpić, że Bóg do tego, a nie innego powołania przeznaczył kobietę, tę — a nie żadną inną wytknął jej drogę.

Wychowanie zatem zapoznaje cele boże, jeżeli nie kształci przede wszystkiem kobiety na żonę i matkę.

Uzdolnienie córki, by sobie dała radę, jeżeli za mąż nie pójdzie, powinno być dopiero drugim zadaniem wychowania; pierwszym niech będzie zawsze uzdolnienie kobiety do spełnienia powołania przeznaczeniowego.

Opinia publiczna w ostatnich czasach na błędną weszła drogę;—widok smutnego położenia niezamężnych kobiet, nie mających przed sobą innego nad nauczycielstwo zawodu, przejął nagle trwogą myślących wychowawców. Zaczęto więc obawiać się o to: czy kobieta, zostawszy panną, da sobie radę, niż o to, czy zostawszy żoną i matką powołaniu temu godnie zadosyć uczynić potrafi.

Jest rzeczą nieprzyznawaną może głośno, ale uznaną po cichu, że na matkę kobiety usposabiać nie trzeba, że każda obowiązkom macierzyńskim odpowiedzieć potrafi. Wychowanie nie uczy też pospolicie niczego, co by z obowiązkami temi miało jakikolwiek związek. A jednak takie tylko wychowanie można nazwać rozumnem, które, uwzględniając przyrodzone przymioty i skłonności, widzi, jako cel zawsze przed sobą, przyszłe powołanie, prawdopodobną działalność życiową wychowawicy.

Jednym z bardzo ważnych darów dla człowieka, na jakimkolwiek stanowisku przeznaczenie go umieścić; darem, którego brak tak bardzo w życiu naszych kobiet uczuwać się daje—jest zdrowie.

„W dzisiejszych czasach ogólnego upadku fizycznego rozwoju niewiasty — mówi doktor Lutostański — gdy czerstwa, zdrowa i hoża panienka należy do wyjątków godnych zazdrości dla rówieśniczek; — gdy zdrowa kobieta znikła z horyzontu domowego pożycia, a na jej miejscu pojawiły się chorowite postacie, nie wychodzące z opieki lekarskiej, jakby przeznaczone do pompejańskiej ciszy i żałoby; staranie o fizyczne wychowanie dziewcząt należy do najważniejszych obowiązków matek i wychowawczyń, do powinności, które wkraczają już w dziedzinę zadań społecznych, gwałtownie domagających się ratunku dla upadającego tętna życia.”

Brak zdrowia niepozwala kobietom wydawać na świat dzieci zdrowych. Wpływ bladaczki, którą wszystkie, z małemi wyjątkami, przechodzimy, fizjologowie uważają za niesłychanie zgubny dla rozwoju, zarówno fizycznego, jak umysłowego przyszłych pokoleń.

Wpływ ten na nas samych już jest widoczny.

Niedokrwistość czyni z nas niedołężne, wrażliwe, do niczego istoty, odejmuje nam energiją, wolę i siłę do pracy; pozwala naszym nerwom nad całym organizmem brać górę; wreszcie, z ilości przeznaczonego, osobistego szczęścia, wydzięra nam część bardzo znaczną, bo na odczuwanie go nie mamy siły i, skracając nasze życie przez zabójczy wpływ choroby, jeszcze je skracą tym sposobem, że działalność jego ogranicza przez odjęcie sił, zarówno fizycznych, jak moralnych. Zdrowie też, ze wszystkich skarbów, jakie człowiek zdobywa, jest jednym z najgodniejszych uwagi, a dla kobiety, jako przyszłej matki, ważniejszym może nawet, niż dla mężczyzny, bo jest siłą, pięknnością, wdziękiem. Matki, tyle dbające o rozwijanie talentów w córkach, nie domyślają się chyba, że zdrowie, to jeden z najgłówniejszych środków podobania się. Mówią, że była moda bladych i wątłych kobiet. Dziś przeszła ona zupełnie. O zdrowie dla kobiet wołają nie tylko pedagogowie, fizjologowie i myśliciele wszelkiego rodzaju, ale i kandydaci do stanu małżeńskiego.

Domowe wychowanie zamało baczy na danie dziewczętom silnego i trwałego zdrowia; pensyje, ogólnie biorąc, mniejszy jeszcze wzgląd na nie mają; a jednak fakt ogólnego osłabienia ko-

biét, powinienby w wychowawcach zwrócić na siebie pilną uwagę.

O higienicznym sposobie życia i pożywieniu mówiliśmy w innym rozdziale; tu wspomnijmy jeszcze, że między wpływami rujnującemi zdrowie dziewcząt zamieścić wypada: ubiór obcisły i niewygodny, barbarzyńskie sznurówki, buciki o zbyt wysokich obcasach, za mało ruchu a i ten zanadto przepisami określony, za mało świeżego powietrza i przebywania wśród ogrodów, pól i lasów, wreszcie zbyt wczesne zasadzanie dziewcząt do nauki i złe nauczanie, zabierające dwa razy więcej czasu, niżeli go na dobre potrzeba.

Często 7mio lub 8mio letnie dziewczątka po kilka godzin są zajęte, bo rodzice dziś spieszą się z nauczaniem niesłychanie. Czują oni, że do lat 16tu, epoki, w której dziewczęta zwykle się uczyć przestają,—córka ich ma dużo wiedzy do nabycia, a czasu przeznaczonego na to mało; zatem chcieliby zacząć wcześniej, by w określonym czasie przebyć więcej drogi. Jest to jednak zgubna i fałszywa teoryja. Umysł wysila się na pracę przedwczesną i nadmierną; zdrowie zamiast się rozmacniać, słabnie z wiekiem i następuje obezwładnienie ogólne, tak często napadające młodzież wśród rozpoczętej pracy naukowej.

Złe uczenie przyczynia się téż niesłychanie, nie tylko do powierzchownego wykształcenia kobiet, ale i do osłabienia ich zdrowia.

Uczą je zawiele rzeczy na raz, wykładają w dzieciństwie przedmioty, które dopiero szesnastoletniej panience rzeczywiście korzystać przynieśćby mogły, a wykładają je źle, bez systematu, powierzchownie i jakby jedynie dla zabicia czasu i zdrowia. Ubolewać często trzeba dla jak błahych rezultatów dziewczę zarabia sobie na bładaczkę! Nie umie nie, a jednak zabito już w niej zdrowy i rzeźwy krwi obieg, co to w sobie niesie siłę, energiją—wszystkich przyszłych czynów zadatek.

O naukach, źle udzielanych, a zatem zabijających czas bezpożytecznie, dałby się napisać długi rozdział. Co to papieru pochłonęły nieskończone, a zawsze w końcu złe tłumaczenia z jednego języka na drugi; co to mazołu nad gramatyką języków, niepoznanych przed tém praktycznie; co za zabójczy sposób wy-

kładania geografii, podobnej do dykcjonarza, bo napelnionej tylko szczegółowem wyliczaniem miejscowości; co gamm granych źle, bez równoległego zastósowania biegłości, tak, że ze zdobytego mechanizmu, prawie żadna nie wypływa korzyść dla sztuki. Bez przesady powiedzieć można, że w zwykłych wypadkach polowa czasu wystarczałaby na otrzymanie tych samych, a nawet większych korzyści.

Na pensyjach wykład bywa lepszy, niż w domowem wychowaniu, ale zdrowie nie więcéj na tém zyskuje.

Zaliczywszy do wpływów szkodliwych na zdrowie brak dostatecznego ruchu, świeżego powietrza i zawczesną i złą naukę, postawię jeszcze w ich rzedzie chorobliwe rozwijanie się wyobraźni, wywołane złém wychowaniem i nauką. Jak dla żołądka są rzeczy, które go wzmacniają lub osłabiają; tak i dla umysłu są niezawodnie nauki posilne i rozstrajające. Większa część nauk, jakie podają kobietom, zaliczyć wypada do rzędu tych ostatnich; wykładane bowiem nie systematycznie i za pobieżnie mają raczéj na celu powierzchowne oznajmienie z przedmiotem, niż rozwój władz umysłowych.

Nie wszyscy wychowawcy mają dokładne pojęcie, czém jest w zwykłych warunkach głowa 16to-letniej dziewczyny. Co za ciekawość i rozmarzenie, jaka żądza wrażeń i namiętność do powieści, wykradanych i czytanych w sekrecie, jakie bicie serca przy scenach miłosnych, których szczególniej szuka się w romansie z opuszczeniem wszystkiego, co z niemi nie zostaje w związku. Czytanie takie wprawia w stan gorączkowy wszystkie dziewczęta z żywém uczuciem i wyobraźnią — i zdrowie ich cierpi na tém niezmiernie. Jeżeli jeszcze przyłączy się do tego ideał wcielony i dziewczę wyobraża sobie, że kocha, to się już miara złego dopełnia. Dla zaradzenia mu byłoby dobrze, nie zaczynając nauki tak weześnie, jak to zwykle ma miejsce, przeciągnąć ją aż do dwudziestego roku życia dziewczęcia. Te cztery lata (od 16-tu do 20-tu) przyniosłyby jój pożytek naukowy ogromny, dałyby pojęcie o tém, czém jest nauka i praca, wpoilyby w nią do niej zamiłowanie, a ochroniły od owego niezdrowego marzenia, od czytania powieści dla scen miłosnych, obmyślania

sytuacyj, w których się we własnej wyobraźni urasta na bohaterkę romansu.

Doświadczeni lekarze wiedzą, ile zguby zdrowiu takie rozmarzenie przynosi.

Jedna młoda, znana mi chora na bladaczkę osoba, poszła zasięgnąć rady u nie żyjącego już dziś doktora Dietla, w Krakowie.— „A jak wiele czytało się tam romansów, i co o ideale marzyło?” — zapytał staruszek, wpatrując się w bladą dziewczynę.

Logika, zdrowy sąd, praktyczność, o tyle dobrze na zdrowie wpływają, o ile je rozmarzenie i egzaltacja podkopują. Brak trzeźwości umysłowej, jakim się w życiu tyle kobiet odznacza; zarzucana im miękkość charakteru, brak ciągłości w myślach i działaniu, niedojrzałość sądu i upadek siły moralnej — oto są wady ogólne kobiet, szkodzące im na każdym stanowisku, lecz szczególnie na stanowisku matki i żony. Wady te po większej części wypływają z wątłego zdrowia, lecz bardziej jeszcze z fałszywego wychowania, ze źle i bezpożytecznie spędzonych lat młodości, owych próżniaczych dni, rozpoczynających się od skończonych lat szesnastu. Praca — oto wzmacniający czynnik dla władz człowieka! Bez niej zarówno wiedza, jak i charakter muszą być chwiejne i słabe; tymczasem my, narzucając zbytnią i niestosowną pracę kobiecie w wieku dzieciennym, nie wymagamy jej od niej wtedy, gdy ją podjąć i korzystać z niej odnieśćby mogła.

Jako dziecko—uczy się, pracuje często nad siły i potrzebę; jako żona i matka ma do spełnienia surowe obowiązki, którym jeśli ma odpowiedzieć sumiennie, musi mieć zasób moralny i umysłowy niemal, musi zupełnie o samej sobie zapomnieć. Tymczasem te dwie epoki oddzielone są kilkoma latami zupełnej bezobowiązkowości, z uwagą zwróconą jedynie na własną osobę, przy czém tak nauka, jak i przygotowanie się do obowiązków matki, najzupełniej są zaniedbane. A przecież dopiero w tym wieku nauka rzeczywiście korzyść przynosi. Praca dziecięcia jest tylko przygotowaniem do niej; lecz świadomość, zamiłowanie, zrozumienie jej potrzeby, może być tylko starszego wieku udziałem.

łem, bo wtedy dopiero duch przemawiać wyraźniej zaczyna i obudza się pragnienie własnego udoskonalenia. Kto w tym przedmieście rozmawiał z nauczycielami i profesorami, ten wie, że jeżeli w tym wieku panienki poddane są nauce systematycznej, do której poprzednio przygotowane zostały, to pracują z niezmierzonym zapałem i dopiero rzeczywistą korzyść odnoszą. Często wprawdzie zapal ten przechodzi w przesadę i dziewczyna traci rumieńce nad książkami; ale dzieje się to dla tego, że czuje ona, iż i tak odstąpiła niesłuchanie od przyjętego zwyczaju, przeciągnąwszy naukę poza lat szesnaście, że rodzice niecierpliwą się jej studjami; że wobec towarzyszek, w *świat wprowadzonych*, okrywa się śmiesznością; że trzeba jej się tedy spieszyć z nauką, bo czas nagli i dzieje się wykroczenie przeciwko wszystkim prawom i obyczajom społecznym.

Gdyby dziewczeczka przy pracy mogła mieć spokój zupełny pod wyżej wspomnianymi względami, gdyby kierunek jej usiłowań był ujęty w systemat, zawierający zarówno studia, mające na celu rozwój jej umysłu, jak przyszłe jej obowiązki żony, matki i gospodyni domu; byłoby to ugruntowaniem w niej wszystkich rozstrzelonych dotąd nabytków moralnych i umysłowych, które jej przyniosło życie i książki.

Dzisiejsze kobiety są słabe, miękkie, chwiejne; trzeba więc, by matki wykorzeniały te wady w swych córkach, by nauką pojętą seryjo, a nie obliczoną na popis, podparły rozsadek i wolę; by systematycznem a gruntownem jej udzielaniem usunęły tak powszechne wady naszych kobiet, jak lekkość i niestałość. Tego gruntu potrzeba córkom naszym, jak okrętowi kotwicy, by go fala nie porwała. Ale gdzież go mają szukać, kiedy już w szesnastu latach stawiają im tylko do osiągnięcia dwa cele: zabawę i dostanie męża! Jakże żądać od osoby, która kilka lat spędziła na takich zajęciach, by potem zrozumiała, co to jest twardy obowiązek i życie pojmowane, jako praca, zasługa i dopełnienie raz przyjętych obowiązków?

Śmiać się trzeba z tych mężczyzn, co narzekając na stan obecny, zamykają oczy na istotną złego przyczynę. Wszak są ojcami, mogliby do nowej ery dać hasło. Prawodawcy, wydając prawa nowe, muszą przypuścić, że ludy już są do nich przygoto-

wane i dorosłe i tak je traktować, jakby prawa owe weszły już w ich krew i stały się przyzwyczajeniem. I ludzie pragnący postępu, zwłaszcza ci, co czują, jak zgubne jest próżnowanie młodych panien, niech przypuszczają, że społeczeństwo już dorosło do pragnienia posiadania żon i matek rozumnych i wytrwałych; niech córkom swym, od lat 16tu, zamiast stroju, zabawy, próżniactwa i wycieczek, mających na celu szukanie męża, dadzą naukę życia i światło dla umysłu.

Nie chcę przez to powiedzieć, że zabawa z życia dorastających i dorosłych panien zupełnie wykluczoną być winna. Rozrywka po pracy jest ze wszech miar pożyteczną; ale rozrywka, jako jedyny cel, w wieku nieustalonych jeszcze przekonań i przyzwyczajzeń, musi wyrzucić najzgubniejsze skutki na przyszłość moralną, zarazem na zdrowie przez zbytne podniesienie nerwów i wyobraźni.

Ustósunkowanie w wychowaniu względów, dotyczących strony moralnej, intelektualnej i fizycznej dziecka tak, by utrzymywana równowaga nie dozwalała żadnej z tych stron kosztem innych się rozwijać—oto zadanie, do którego zmierzać ustawicznie trzeba i trzeźwo się na nie, o ile można, zapatrywać. Tymczasem rzeczą ludzką, a bardziej może jeszcze rzeczą kobiecą, jest wpadać w przesadę i, na przykład, dla dania dziecku jak najrozsądniejszej wiedzy, zapominać i przeoczać warunki dotyczące zdrowia, albo znowu tworząc sobie strachy, i drżąc wiecznie o zdrowie dziecka, obawiać się skutków-jego pracy umysłowej i wszelkiego przymusu do tego stopnia, że troskliwość macierzyńska przechodzi, nie tylko w pobażanie lenistwu, ale prawie w zachęte do niego.

Wychowanie chłopca wzięte jest niejako pod kontrolę społeczeństwa. Wiek wstąpienia do każdej klasy oznaczony jest ściśle; wymiar nauki również określony, stawia matkę w konieczności regulowania stopnia intelektualnego jego rozwoju do programu szkolnego. Często, niestety! i charakter i fizyczna strona cierpi na tém i matka z boleścią patrzeć musi na demoralizację

zuający wpływ towarzystwa kolegów, na ujemne oddziaływanie szkoły na moralną stronę i powietrza miejskiego na zdrowie, upadające pod nadmiarem pracy umysłowej. Wyboru jednak niema. Chłopiec czuje potrzebę nauki, pracować pragnie i tamy stawiać mu nie można.

Ale dla chłopca przyszła obywatelska i chlebobajna praca, streszczając się w szkolnej nauce, daje mu zarazem daleko większą, niżli pannie swobodę; przeto nawet ucząc się, w wyższym stopniu w sobie praktyczność i samodzielność wyrabia.

Tymczasem dziewczynka zupełnie w innych znajduje się warunkach.

Wiedza, czy to w domu, czy na pensyi zdobyta, mało jej daje nauki życia, która nie w książkach, lecz w praktyce życiowej się mieści. Gdy nowicyjatem przyszłego życia dla mężczyzny jest świat, jak długi i szeroki; dla dziewczynki jest on w domu rodzinnym zawarty, bo rodzina stanie się prawdopodobnie polem jej pracy życiowej. Zostanie matką, jej rękom powierzone będą dzieci, zatem obok światła, wiedzy, nauki, dajmy jej coś więcej, coby ją przygotowało do życia. Chłopiec, który się uczy medycyny, na przykład, kształci się jednocześnie na człowieka, mogącego na własny i rodziny byt zapracować, wreszcie na ojca o tyle, o ile wychowanie dzieci zostaje w stosunku z gałęzią wiedzy przez niego wybraną. Dziewczynka ucząc się trzech języków, muzyki, geografii, historyi, rysunku, odrobiny nauk przyrodzonych, pośrednio tylko kształci się na matkę, raczej na nauczycielkę, niż wychowawczynią; niema bowiem do czynienia z dziećmi, nie oswaja się z obchodzeniem z niemi;—jako gospodyni nie kształci się również, nie uczy się tej mrówczej domowej pracy, która nie zależy na naukowem oderwaniu myśli, lecz właśnie na skupieniu jej w koło drobnych życia objawów.

To za mało matki rozumieją. Pragną dla córek wiedzy, pojmując ją najczęściej fałszywie, biorąc blichtr za jej istotę; a jeśli do pewnego stopnia przyuczają ich umysł do skupiania się abstrakcyjnego, to nie wprowadzają je w nowicyjat przyszłego życia. Dziecię małe rozpoczyna od nauki doraźnej, tej, jaką zdobywa w godzinie lekcji; potem stopniowo powierzana mu bywa praca samoistna coraz większa; musi się do lekcji przygotowy-

wać, wzmagać się na wysiłki naukowe własne, pisać ćwiczenia, rozwiązywać zadania, a im postępuje dalej, tém się wymagania zwiększają.

Co do nowicyjatu jednak przyszłego życia rzecz się ma wcale inaczej. Dziewczynka mała styka się jeszcze z pracą domową i gospodarską; jeszcze, uprosiwszy matkę lub szafarkę, pomaga im niby w ich zajęciach, jeszcze czasem je wyręcza, w przygotowaniu zastawy stołowej. Ale z czasem i ta nawet mała praktyka znika zupełnie. Dziewczynka zamknięta w pokoju szkolnym, lub oddana na pensyję, nie wie o ruchu domowym; nawet spaceru jej są *abstrakcyjnej* natury. Idzie z nauczycielką w godzinie na to przeznaczonęj na przechadzkę w stronę, gdzie droga najrówniejsza, aleja najcienistsza, ale, ani robota w polu, ani pasące się bydło, ani praca w ogrodzie, nie zajmuje jej w sposób praktyczny. Przechodzi koło nich zadumana, lub wesoła, lecz myśli ku nim ani na chwilę nie zwróci. Z młodszem rodzeństwem, z dziećmi, wogóle nie ma do czynienia wcale; czasem zachwyci się wprawdzie jakim wystrojonem dzieckiem w ogrodzie publicznym, lecz jest to poryw czysto artystyczny. Ochronki w miastach, ogródki dziecinne są dla niej światem nieznanym; nie ma wyobrażenia, ani o pielęgnowaniu niemowląt, ani o obchodzeniu się z dziećmi.

Stosunek dziewczynki do prac domowych i rodzinnych powinien iść w kierunku odwrotnym.

Małe czynności ręczne i gospodarskie dziecka, pod okiem matki dokonywane, zajęcie się młodszem rodzeństwem, powinny z wiekiem, równie jak nauka, przeradzać się w zajęcia obowiązkowe i samoistne tak, by dorosła panna, wtajemniczona w ruchy wszystkich kół i kółek domowej maszyny, stała się w końcu żywym członkiem pracowitej spółki rodzinnej. Że przy takim rozdzieleniu pracy, czas na naukę się umniejsza; więc, jak to już mówiliśmy powyżej, przedłużyć ją wypada do lat 20tu, nie mówiąc już o tém, że później sama jeszcze panienka naukowo pracować nad sobą powinna i zawodowo się kształcić.

Dziewczka, mająca młodszes rodzeństwo w domu, może praktykę przyszłego macierzyństwa pod okiem matki odbywać. Dziewczynka 10 letnia, nie nie wiedząc o zasadach pedagogicz-

nych, znajduje wyborny nowicyjat przyszłych obowiązków w obchodzeniu się z młodszym o lat 6, na przykład, braciszkiem. Gdy z nim idzie na spacer pod opieką niańki, matka zleca dzieweczce pilnowanie, by zaraz po zachodzie słońca włożono mu paltocik; strzeże, by nie pił zimnej wody, jeżeli jest przy zabawie spoczynny; by nie wychodził do zimnej sieni bez stósownego okrycia, by nie stawał przed płomieniem pieca lub kominka, bo nie tylko sukienka zapalić mu się może, ale takie grzanie się katar spowodować; by nie brał zapalek do ręki, bo małe dziecię nie umie się jeszcze z niemi obchodzić; by mając w ręku scyzoryk lub nożyczki, któremi może już strugać drzewo, lub wycinać figurki z papieru, nie biegał z niemi, bo, upadając, mógłby sobie oko wyklóć, lub skalęczyć się i t. p.

Wiadomości powyższe dotyczące się wychowania fizycznego, posiada każda matka i niepotrzeba uczyć ich dziewczynki; ale oddaje się nieocenioną usługę przyszłym jej dzieciom, jeżeli się ją przyucza do praktyki, to jest do uwagi zwróconej na malca do troskliwości o jego zdrowie i potrzeby.

A pod moralnym względem co za zdobycze! Jak dziewczynka, wprawiona przez matkę, umie się obchodzić z uporem dziecka, jak je umie zachęcić do posłuszeństwa, zająć opowiadaniem moralnej bajeczki, wmówić mu grzeczność i delikatność dla sług, jak je uczy chodzić na palcach, gdy rodzice śpią, jak umie je zachęcić do zrobienia przyjemności komuś z otaczających, jak je namawia do podania mamie stołeczka pod nogi, jak mu przypomina, by dziękowało za wszystko, by dla bony było względne.

— „Daj pokój teraz pannie Emilii, ona i tak dosyć się z tobą namęczyła, pozwól jej trochę poczytać.” — „Czy mówiłeś paciérz?” — „A widzisz, o jedzeniu myślisz, a nie modliłeś się do Boga, co nam dał wszystko i mamę kochaną i tatkę i wszystko, co widzimy, co jemy, w co się ubieramy.” — „Nie bij pieska, on dobry, on nam służy, on nas pilnuje, w nocy nie śpi, czuwa, by nam zły człowiek czego nie zabrał. I jego pan Bóg stworzył, jak ciebie, a choć on nie ma takiego rozumu, jak ty, co jesteś człowiekiem, przecież czuje, kto go lubi i pieści, a kto się z nim źle obchodzi. Czy ty byłbyś kontent, żeby cię kto bił?” — A co za troskliwość dzieweczki, gdy dziecię jest chore! — „Mamo, jemu

tak w skroniach pulsa biją! Możeby mu wody zimnej do głowy przyłożyć, możeby go nie okrywać tak gorąco?" — Mała kobięcina z czułością przemawia do chorego, pieści go, zabawia, wynajduje prawdziwie genialne czasem sposoby, żeby dziecię rozzerwać, skacze w koło niego, rysuje mu, wystrzyga i ustawia żołnierzy: czasem jęj czułość dochodzi do prawdziwego poświęcenia. Czy to nie praktyka macierzyństwa?

Jedna taka siostrzyczka, widząc, że matka nie mogła namówić chłopczyka, w skutek długiej choroby od kąpieli odzwyczajonego, by wszedł dobrowolnie do wanienki, uprosiła matkę, by jęj pozwoliła spróbować wymyślonego przez się sposobu. Kazała opróżnić wanienkę, wysłała ją suchem prześcieradłem i dziecię, ubrane w koszulkę, wsadziła w nią, jak w wózek, obiecawszy mu, że je będzie wozic po pokoju. Przez jakiś czas posuwała dziecię z wanienką, bawiąc je, rozśmieszając; potem nakładała w wanienkę klocków i zabawek drewnianych, następnie zachęciła dziecię, by z naczynia napełnionego letnią wodą, samo ją nabięrało i wlewało sobie na nóżki, przelęwało w kubeczki, bawiło się nią. Gdy dziecię zajęte już było tą zabawą, zaczęła sama ostrożnie coraz więcej wody dolęwać do wanienki, aż nakoniec uszczęśliwione dziecię znalazło się w kąpieli.

Tym sposobem przełamała jego wstręt do wody.

To są wszystko małe rzeczy, drobiazgi nie uczące może niczego w teorii, ale dające ogromne praktyczne zdobycze, w przyuczaniu małej kobięciny do zajęcia się dzieckiem, do prowadzenia i poświęcania się dla niego.

Gdy pomyślimy, że największa część wykroczeń rodziców względem dzieci wypływa z egoizmu, dojdziemy do przekonania, że niesamolubne wysiłki siostry dla rodzeństwa są do macierzyństwa podwójnie dobrem przygotowaniem.

Zwykle wszakże, szczególnież w zamożniejszych domach, odsuwają dziewczeczkę uczącą się od młodszego rodzeństwa, by jęj w pracy nie przeszkadzało; gdy zaś dorośnie, prowadzi żywot wyłączny, zostawiając najobojętnięj młodsze dzieci z bonami i nauczycielami. Nie poczuwa się względem nich do obowiązku żadnego. To też szczytne poświęcenia braterskie i siostrzane zwykle tylko w ubogich rodzinach się zdarzają. Tam to widziéć

można pierworodnego chłopca, największemi ofiarami rodziców niezamożnych doprowadzonego do jednej z wyższych klas, utrzymującego młodszego brata w jednej z klas początkowych, dającego mu korepetycje i tym sposobem stawającego się moralnym ojcem chłopięcia.

Z niezamożnych też domów wychodzą te zacne siostry, co pracą nauczycielską zdobywają grosz potrzebny na wychowanie młodszych sióstr lub braci; co odmawiają sobie, nietylko przyjemności, ale prawie pierwszych potrzeb życia, by zadaniu podołać. Nie jedna z takich odmówiła rękę człowiekowi, którego kochała, bo, zaciągawszy własne rodzinne obowiązki, nie byłaby mogła braci w szkołach utrzymywać. Tak ciche poświęcenie życia całego — nie jest że wzruszającym i godnym uwielbienia obrazem?

W rodzinach zamożniejszych, dorosła panna zajęta sobą jedynie, nie znajduje chwili czasu na poświęcenie jej rodzeństwu. Nie czuje obowiązku dania mu nic z własnej duszy, lub z intelektualnych zasobów. A przecież, jakże korzystne dla stron obu byłoby zajęcie się starszej młodszemi! Jeżeli w nauczaniu dzieci nie ufa sobie, jeżeli widzi, że nauczyciele lepiej się od niej wywiązać z tego potrafią, niechby wzięła na siebie myślenie o potrzebach dzieci, chodzenie z niemi na spacer i rozmowę dla nich pożyteczną, a z serca siostrzanego płynącą; niechby młodszą siostrzyczkę wzięła do swego pokoju i urabiała grunt jej moralny, niechby wreszcie dzieliła zabawę z dziećmi, z czego i onaby moralną korzyść odniosła.

Doprawdy! dziwić się nieraz trzeba obojętności starszego rodzeństwa względem młodszego.

Matka, zajęta wprowadzaniem w świat dorosłej panny, obmyślaniem dla niej strojów i konkurentów, zaniedbuje młodsze dzieci; dla dorosłej zaś córki ten mały, krzykliwy światek staje się nieznośnym ciężarem.

Słyszałam jedną taką siostrę, ubolewającą nad tem, że dzieci wszystko jej rozrzucają, suknie gniotą i zazdroszczącą jedynaczkom ich błogosławionego żywota. Zapewne w tem utyskiwaniu nie było winy serca; ale była wina bezobowiązkowości starszej siostry względem młodszego rodzeństwa. Nie pracowała nad niemi, nie była z niemi związana żadnemi moralnemi węzły, a widząc

się pierwszą w domu, posuwała egoizm aż do odczuwania ciężaru tej licznej rodziny, krępującą trochę jej ruchy i zamiary.

Kto się baczniej przypatrzył zwykłemu położeniu dorosłej panny w domu zamożniejszym, ten wie, że staje się ona celem marzeń i poświęceń rodzicielskich. Dla niej kupują nowe meble, dom się urządza i na wystawniejszą stopę prowadzi; toaleta matki się odświeża, żeby wstydu córce nie zrobiła; ojciec nawet przyzwyczajenia i narowy swoje stara się poskramiać, żeby nie odstraszyć gości; córka starsza występuje na pierwszy plan do tego stopnia, że młodsze dzieci schodzą na ostatni. Co za zgubny dla całej rodziny system!

Rodzice zaniedbują obowiązki względem młodszych, starsza panna w egoizmie się rozrasta; rodzeństwo czuje jej niesprawiedliwość, zniechęca się do siostry i spójnia rodzinna sama z siebie się rozrywa. Są przykłady rujnowania się rodziców w celu wydania świetnego starszej córki; przykłady pozostawienia młodszych, w najtrudniejszych warunkach bytu dla tego, że potrzeby dorosłej panny zjadły ich mienie.

Oprócz, że jest to nieogłędnością i niesprawiedliwością, wpływ moralny na rodzinę staje się w najwyższym stopniu demoralizującym.

Jak każda wspólność jest spójnią w rodzinie, tak każde wyosobienie się jest tej spójni nadwyreżeniem. To też dorosła córka powinna być tak wychowana, by się zawsze czuła członkiem rodziny, by umiała dzielić jej pracę, dążenia, by знаła położenie rodziców i umiała się zastosować do niego. Zamożność ich nie upoważnia jej bynajmniej do próżniactwa. Oprócz pracy naukowej, powinna, odbywając nowicyjat przyszłych obowiązków, dzielić zajęcia matki, zajmować się młodszymi dziećmi, gospodarstwem, myśleć o potrzebach domowych i wygodach rodziców, wreszcie kształcić się zawodowo i w naukach, potrzebnych przyszłej wychowawczyni.

Gospodarstwo kobiece, tak ważna umiejętność dla przyszłej żony i matki, jest, jako teoryja, niezmiernie łatwą do nabycia

i dla tego zapewne bywa w wychowaniu dziewcząt lekceważona. Matki, opierając się na przekonaniu, że dziewczynka zostawszy panią domu, *byle chciała*, łatwo gospodarstwa się nauczy; wcale jej do niego nie zaprawiają. Przekonanie takie jest błędne, bo w tym razie *chcieć* bardzo trudno, osobie przez wychowanie do niepraktyczności i niezaradności przyzwyczajonej. W gospodarstwie kobiecém teoryja daleko mniej warta od praktyki, a bez tej ostatniej jest niczem dla tego, że praktyka wyrabia się dopiero przez przyzwyczajenie do pracy gospodarczej, do ранnego wstawania, do stósunku ze służącymi, do utrzymywania między niemi karności, do umiejętności wymagania w miarę, a jednak dostatecznie; wreszcie pamiętania o ich wygodach i zrobienia sobie dokładnego pojęcia o tém, co od nich zwierzchnicze, a co nawzajem im od zwierzchniczki należy.

Ale jest jeszcze coś, bez czego żadna teoryja nie przyniesie korzyści, a co koniecznie za pomocą przyzwyczajenia wyrobić trzeba; jest to zainteresowanie się gospodarstwem i ekonomiją domową.

Gospodarstwo kobiece jest rzeczą drobiazgową, zabiierającą wiele czasu na drobne czynności, potrzebującą wyćwiczonęj pamięci, rozpraszającą się na szczegóły najdrobniejsze, wiele logiki i zmysłu spostrzegawczego, oka otwartego zawsze na małe i najmniejsze tryby tej maszyny. Tego nie nauczy teoryja żadna i koniecznie do tego trzeba wprawy. Jest wiele mniejszych i większych pań wiejskich, które teoryją gospodarską znają dostatecznie a nawet gotowe wcale zadowolająco wytrzymać dysputę o wszelkich działach kobiecego gospodarstwa; gotowe narzekać na naszą polską nieogledność, nieumiejętność spożytkowania tysiącznych wiejskich produktów i wyciągnięcia z gospodarstwa korzyści; rozprawiających o niesumienności sług i potrzebie pilnowania ich na każdym kroku; ale przypatrzmy się bliżej ich życiu, a przekonamy się dopiero, że rozprawiając pięknie w teoryi, w praktyce ani czasu sobie rozłożyć, ani na wytrwałą pracę zdobyć się nie umieją; że gospodarstwo nie, lub bardzo mało zyskuje na ich teoretycznych wiadomościach. Od dzieciństwa czas ich pochłaniały języki, talenta ręczne, *nie roboty lecz robótki*, wychowanie oddzielało je od domowej pracy zupełnie i doszły do tego, że

już nawet *chcieć* nie umieją. Przyzwyczajenie stało się ich drugą naturą. Próźnowanie, okryte pozorem umysłowej pracy, zasadzającej się na powierzchowném czytaniu, najczęściej powieści, wyrabianiu niepożytecznych haftów i koronek, które u sąsiadek podziw wywołują, wstręt do wystawiania się na zmiany powietrza psujące pleć; późne czuwanie, a zatem i późne wstawanie — oto wrogi pracy gospodarskiej. Wystrzyżone z kretonu barwiste kwiaty, przeniesione na atlas, lub tiul są ładną a nawet zajmującą robotą, bo już artystycznego smaku wymagającą, ale, patrząc na takie wyroby, pochłaniające uwagę, a więcej jeszcze nieskończoną ilość czasu, trzeba pomyśleć, że matka i pani domu, która im się z zapalem poświęca, pewno interesuje się mało gospodarstwem i nie ma ochoty wstawać z kanapy, gdzie, ubrana starannie, oddaje się haftowi lub czytaniu wzruszającej powieści, dla dojrzenia roboty sêrów lub masła.

Do gospodarstwa potrzeba przede wszystkiê zainteresowania się czynnego, jako podstawy, a na niê dopiero teoriy budować można. „Gospodyni wiejska”, książki z przepisami, kalendarze z zasadami gospodarczemi, to wszystko może być źródłem postępu w teoriy, lecz jedynie dla tych, co mają dosyć interesu dla têt gałęzi i już praktycznego przygotowania, by postępu pragnąć i umieć go stósować.

Jeżeli dziewczynka idzie z matką parę razy na tydzień do obory i widzi obchodzenie się z cielętami, przychodzi po kilku takich wizytach do interesowania się *Bieliszką*, *Granichą*, *Kwiatulą*.—„A czy pojone?—zapytuje już sama.—Trzeba im podesłać świeżej słomy, trzeba je lepiej czyścić. Mamo, *Kwiatula Bieliskę* od złoju odtrąca, jest silniejsza; trzebaby je przegrodzić”.—„Czy dziś pójdziemy do obory? Ja tak lubię moją Granicę, chciałabym, żeby jak najprędzej urosła. Pewno nie ma za drabiną, możeby tatko pozwolił dawać jêt koniczynę; ona daleko lepiej lubi koniczynę, niż siano”.—Ta dziewczynka, jeżeli dalsze wychowanie nie odsunie jêt od gospodarstwa domowego, już ma pierwsze i najlepsze dane na zostanie dobrą gospodynią, już ją praca gospodarska zajmie czynnie, nie będzie dla niêt abstrakcyją, ale utrwali się w jêt pamięci i sympatyi. Tylko rzeczy spełniane z zamiłowaniem, mogą być spełniane dobrze.

Śmiało twierdzić można, że prawie każda dziewczynka ma usposobienie na gosposię, ale matki często z rozmysłem odsuwają córki od ruchu domowego, już to, by się od nauki nie odrywały, już to dla oddalenia ich od sług, z któremi zetknięcie się uważają za szkodliwe. Przyszła pani domu i gospodyni w największym żyje od nich oddaleniu. Prosi o wszystko grzecznie i za wszystko dziękuje—trzeba jęj oddać tę sprawiedliwość; ale po za tém, nie o nich nie wie.

A przecież każde przyzwyczajenie wchodzi w krew i owa egoistyczna, wygodna dobroć, co to jest dobrem bierném, nie przynoszącém nikomu krzywdy wyraźnej, ale wyrządzającém ją domowi przez rozprężenie, jakie wprowadza, to zgubne przyzwyczajenie słabości, nabywa się wychowaniem. Często bardzo słabość ta nie da się już pokonać w dalszém życiu i mężatka, pani domu, utyskuje na sługi, zanosí na nie skargi do męża, daje się owładnąć jakiejś przebiegłej szafarce lub pannie służącej, której może nawet nie ufa, ale czuje, że stanowi w zarządzie domowym siłę, jakiej sama nie posiada. „*Jakoś to będzie*” staje się dewizą kobięcego gospodarstwa i domowego ładu. Często kobięta dobra, mało wydająca na własne przyjemności i potrzeby, zupełną abnegacją okupować musi brak inicjatywy i umiejętności pomnożenia dochodu przez pracę i utrzymywanie domowej karności. Największa siła, na jaką zdobyć się może, jest podejrliwość.

Nie wie, ile masła do obiadu potrzeba; więc podejrzywa, że kucharz kradnie; nie wie, ile krowy dają mlęka i co jedzą; więc ma przekonanie, że szafarka jest nieuczciwa, że mlęko na stronę gdzieś się rozechodzi. Niejasne ma pojęcie o tém, co się znajduje w spiżarni, więc mówi: — „Musi tam jeszcze gdzieś być mąka. Jakto, wszystka mąka wyszła? To być nie może!” — Przeczy—ale na jakiój zasadzie? Sama nie wie. Podejrliwością nieuzasadnioną zraża do siebie służących, a często w tych razach, gdy malwersacyja jest widoczna, pozwala w siebie wmówić, wszystko, co tylko kto zechce.

Nieraz w radach dla matek spotyka się zalecenie, żeby dzieci ze służącemi nie miały żadnych stósunków. Zaczyna Klementyna Tańska tę radę także podaje. Pomimo tak ustalonego

mniemania, ośmielę się twierdzić, że dziewczynka młodsza nie nie traci na widoku pracy i życia służących, jeżeli to zbliżenie w obecności matki ma miejsce, bo choć czasem obije się o jęj uszy jakieś słowo grube lub przekleństwo, dziewczynka wie, że powtarzać go nie można, że to są słowa brzydkie do wymawiania i przykład służących, przeciwważony uwagą matki, raczej odstręczy ją od grubijaństwa, niżby ją do niego miał zachęcać. W obecności matki żadne inne zło dziecięciu nie grozi. Im więcćj dziewczynka godność swą osobistą odczuwać zaczyna (nie mówię tu bynajmniej o dumie zwierzechniczki, ale o poszanowaniu w sobie godności ludzkiej); tém śmiejćj można jęj pozwalać na rządzenie służącemi, pilnowanie ich robót, kontrolowanie zajęć.

Przykład macierzyński, światło wiedzy, podnoszące umysł i serce, ochronią dziewczeczkę od zasmakowania w domowych plotkach i rozterkach, jakie zawsze niesłychanie zajmują służących. Matka powinna tu stać na straży, nie przed wiadomością, że się ekonom z szafarką kłóci, lub Marysia Nastkę wybiła, ale przed znizeniem się umysłu dziewczeczki, aż do zasmakowania w plotkach tego rodzaju i słuchania o nich relacyi.

Często się zdarza, że zamożniejsze panienki hodowane, jak roślinki w cieplarni, bynajmniej nie pogardzają tego rodzaju wiadomościami, nieraz wielce obudzającemi ich ciekawość. Jakaś zaufana pokojówka, podczas czesania panienki, znosi jęj plotki i rozmowa idzie w najlepsze o tém wszystkiem, o czem w mniemaniu rodziców dziewczęcę nie ma pojęcia.

Panna nie uniknęła zatém zgorszenia, a pracy gospodarczćj się nie nauczyła.

Powiedzmy tu jeszcze, że, o ile występki w romansie francuskim, lub życiu klas oświeceńszych, okryty pięknemi zasłonami i wystawiony ponętnie, rozbudza fantazyją, a przez nią i czysto zmysłowe uczucia, o tyle występki wszelkiego gatunku w ludzie naszym noszą charakter tak gruby i wstrętny, że popsuć dziewczeczki nie mogą.

Złodziejstwo, pijaństwo, nawet rozpusta kobiet, zwykle w pijaństwie szukająca podniety — są to odstręczające obrazy dla duszy, na rzeczach podnioslejszych wykarmionćj. Nawet do owćj

pilnowanej i odosobnianej panienki przedrze się zawsze wieść o występku i zepsuciu; więc cel odosobnienia chybiony, a umiejętność pracy nie osiągnięta. Nasze prababki przepędzały często długie wieczory zimowe na przędzeniu z czeladzią; dorastające i dorosłe dziewczęta towarzyszyły matkom przy tém zajęciu; słuchały rozmów i opowiadań wieśniaczych, a przecież cnota ich i obyczajność dotąd jako wzór służyć nam mogą, gdyż stoją o całe niebo wyżej od tych wypieszczonych sfrancuziałych kobiet, jakie późniejsze pokolenia wydały.

W pierwszych tém mniej było chorobliwej wyobraźni, im ręce więcej były pracą zajęte; w drugich mała i powierzchowna oświata, połączona z bezczynnością zupełną, wyradzała sentymentalizm, smutki nieokręślone, marzenia niezdrowe, niezadowolenie z życia, gonienie za *nieznaném*, oczekiwanie *niespodzianego*, brak energii i umiejętności dawania sobie rady.

Dawne polskie niewiasty od dzieciństwa do pracy gospodarskiej przyuczane, nietylko nie traciły niewinności i cnoty, ale nabywały niepośledniej siły moralnej. W nieobecności męża umiały rządzić liczną służbą, dzieci w pobożności i enocie chować i takim je dla siebie natchnąć szacunkiem, że wola matki była prawem dla dorosłego nawet młodzieńca. O, bo czynność, przy obowiązkowej pracy, ma władzę wzmacniania charakteru.

Od dawien dawna znakomite matki nie pogardały domowemi zajęciami i umiały je pogodzić z macierzyńskimi obowiązkami.

Len przedząc, wychowywały bohaterów.

To też postać *zadreptanej*, zakrzętananej i wiecznie zafrasowanej gospodyni, biegnącej rozpaczliwie w tę i ową stronę, tu zapominającą kluczyków, tam zostawiającą robotę, - więcej zajętej schowaniem niedopalonego kawałka świecy, oszczędzeniem kawałka cukru lub mydła, niż spokojną i wyrozumowaną pracą jest nowoczesnym wytworem.

Ta gospodyni bez głowy i taktu była kiedyś panną, wychekującą konkurenta z założonemi rękami. Umiała trochę francuzczyzny, trochę gry fortepijanowej, wyrabiała jakieś robótki, dużo czasu spędzała przy toalecie, a gdy się nagle po zamążpójściu ujrzała w konieczności zajęcia domem, pojęła pracę

z jęj strony drobiazgowęj i konserwatywnęj jedynie, a nie z szęrszego stanowiska, z któreg0 gospodarstwo przedstawia się, jako gałąź przemysłu, w któreg0 potrzebne jest doświadczenie, umiejętność, spokój, porządne rozłożenie czasu, energija i pamięć baczną na wszystko.

Usunięcie od pracy domowęj, oprócz chronicznęj słabości i niezaradności, daje nadto dziewczynce kierunek myśli tak niepraktyczny i pozbawiony wszelkięj logiki, gdy chodzi o sprawy materyjalne, że nawet poczucie potrzeby i miłość macierzyńska, nie zdoła natchnąć kobiety owym tak pożytecznym zdrowym rozsądkiem, któreg0 brak nam zarzucają powszechnie. A zarzut to jest słuszny. Bo naszą narodową wadą jest niepraktyczność; a w kobietach rozwija się ona jeszcze przez wychowanie, odsuwające ją zupełnie od życia rzeczywisteg0. Życie dla dziewczki —to praca rodzinna, gospodarska; dla tego wdrażajmy do nięj córki od dzieciństwa. Dziewczę dorastające niech już coś pożyteczneg0 spełnia, ale nie dorywczo i po amatorsku, lecz obowiązkowo i stale. Matka naturalnie baczyć powinna, żeby dziewczka na dęszcz, na zimno, błoto i niepogodę, miała stósowne okrycie, zabezpieczające ją od przeziębienia, tak zgubneg0 w tym wieku. Spódniczki, majteczki i obuwie, powinny być ciepłe i dokładnie otulające, ściśle zastosowane do pogody. Widmo *czernonych rąk* przestrasza matki; niech więc dadzą córkom rękawiczki, właściwe na każdą porę roku; ale niech dla trochęj biel-szjęj ręki i twarzy nie odejmują im wdzięku zdrowia, pracowitości, wesołęj i rzeźwjęj czynności i codziennie uprawianęj energii przy obowiązkowém zatrudnieniu. A gdy- w ten sposób do przyszleg0 powołania ją zaprawią, twardy obowiązek nie spadnie na barki słabe i nieprzygotowane; poniosą go one rzeźwo i ochoczo.

ROZDZIAŁ XVI.

Oświata i praktyczność. Pensyje. Wychowanie zawodowe. Hygiena. Towarzystwo. Przejście z dzieciństwa do młodości. Wybór męża. Rodzice po wyposażeniu synów i córek. Zgrzybiałość ich, a uawet śmierć przynoszą dzieciom naukę.

Każdy zawód potrzebuje uzdalniającej nauki. W wychowaniu kobiet klas zamożniejszych **prawda** ta nie znajduje zastósowania i kiedy mężczyźni całe lata trawiają na przysposobieniu się do przyszłego zawodu, kobiety spędzają młodość na przygotowaniu się do krótko trwającej chwili, w której mają prawo myśleć o podobaniu się, zjednaniu sobie serca męskiego i wyborze dozgonnego towarzysza. Bo nie ludźmy się; wychowanie panien naszych, skierowane jest ku temu celowi. Matki nie wyznają może tego głośno, lecz w sercu swém bez przestanku pielęgnują myśl przyszłych powodzeń córki. W wielu z nich myśl ta kieruje wszystkimi edukacyjnemi pracami. I nie w tém błąd, że myślą o téj w życiu ich córek stanowczej chwili, ale że poza nią niczego więcej nie widzą. Doczekać chwili, w której córka ma rolę narzeczonej odegrać, wreszcie zostać mężatką, szczęśliwą, bogatą i wystrojoną, to cel wszystkich ich marzeń; ale czy z niéj będzie silna, wytrwała i rozumna towarzyszka pracy mężowskiej, czynna i rządna władczyni małego królestwa domowego, wreszcie światła i pojmująca swe obowiązki matka — o to się wcale nie troszcza. Nauka, jakiej dla niéj pragną — to błyskotliwa, salonowa zręczność i ogłada, która może podobać się konkurentowi, zachwycić *epuzera*, ale nie może wystarczyć późniejszego życia zadaniu. Matki nie rozumieją tego wcale, ale co dziwniejsza, nie rozumieją tego i ojcowie, ani młodzież męska, wstępująca w związki małżeńskie. Kobiéta zdaje się być

dla nich cackiem, tém miłszém, in jest lżejsze. Nie dziw, że panny ani chcą, ani rozumieją potrzeby otrząśnięcia się z bezmyślnéj bezobowiazkowości, w jakiej lata całe spędzają. Dziewczę, żyjące poza obrębem wszelkich praktycznych zajęć, porównywane w poezyi do kwiatu, wyobraża sobie, że kwitnąć w słońcu i rosie bożej, zachwycając przechodniów, jest jedyném zadaniem jéj na świecie. Pozuje na kwiat, zapominając, że przychodzi chwila, w której wonne listki owoc odsłonić powinny, że inaczej będą piękném, lecz niepożyteczném zjawiskiem.

Uspasabiając dziewczynkę na matkę i gospodynię, nie zapominajmy, że będzie téż ona żoną. Rodzice przypuszczać zawsze powinni, iż może znaleźć człowieka umysłem i sercem wyższego; dla niego więc dziewczkę wychowywać powinni. Niech ten człowiek wyższy znajdzie w niej oddźwięk dla każdego przez siebie wyrzeczonego słowa, niech nie będzie zmuszony, części swéj duszy zostawiać zawsze samotną przy domowem ognisku, ze smutném przeświadczeniem, że żona, ani pojąć, ani odczuć jego dążeń nie umie. Niech będzie naukowo przygotowaną do tyła, by mogła zrozumieć i ocenić pracę męża. Kto nie zna trudności nauki i jéj zadania, nigdy nie potrafi pojąć zasługi uczonego, a czy jest co boleśniejszego, jak wśród swoich, najbliższych sercu, być zawsze i na każdym kroku zapoznanym? Historyja wielkich ludzi przedstawia nam wiele przykładów takiej niestósowności wyboru, okupionéj następnie całém życiem niesmaku i tęsknoty. A czy niejedna wielkość nie zmarniała wśród codziennych małości, jakimi napawał ją wytrwale domowy światek i mała, nędzna istota, jako dozwonna towarzyszka, przywiązana do jego boku?

Niech więc matka nie zacieśnia koła wiedzy swéj córki przez względy zwyczajowe; owszem niech to koło rozszerza, o ile można, o ile umysł dziewczęcia do tego się nadaje. Jest to prawo kobiety, jako człowieka, by umysłowe jéj zdobycze, ograniczone były tylko jéj zdolnościami. Będzie żoną i ma sprostać mężowi w głębokości i powadze myśli; będzie matką i ma

prowadzić młode pokolenie drogą postępu, a czyż do tego nie trzeba światła? Może okoliczności zrządzą, że na jej barkach spocznie cały ciężar rodziny; że owdowiawszy na utrzymanie dzieci zarabiać będzie musiała, lub zostawszy panną niezależny byt wyrobić sobie zechce. Warunki, w jakich dziś zostaje kobieta, coraz twardsze i uciążliwsze się stają. Minęły czasy, gdy z Tańską zgodzić się było można, że: „aby dopełnić przeznaczenia swego, kobieta nie potrzebuje, ani nadzwyczaj mocnej duszy, ani zbyt oświeconego umysłu. Dziś i jednego i drugiego potrzebuje ona koniecznie; jej człowieczeństwo coraz wyraźniej w ludzkiej rodzinie się zarysowuje i, o ile z oznak dzisiejszych sądzić można, z czasem stanowisko to rozszerzyć się może. „Wszelki jednakże postęp nieodzownie w swych początkach łączy się z zamieszaniem i nadużyciem. Zdanie to da się zastosować do dzisiejszego kobiet położenia. Porównywając ogólne zacofanie w wychowaniu kobiecym z pojedyńczymi wybrykami, musimy przyznać, że obecnie żyjemy w czasach zamętu, z którego z czasem dopiero wyniknie dodatni rezultat. Matka z sercem przewidującym, z umysłem dojrzałym, niech się stara czas ten wyprzedzić i, przystępując do wychowania córki, odrzuci z jednej strony niepraktyczne wnioski, a z drugiej stłumi obawę o to, co na jej usiłowania powie przesadna i płytka *opinia ludzka*.

Jaknajwięcej światła! O, tak, ale obok niego żadnego zaniedbania w tém, co się odnosi do praktyki życia. Samo światło, niech, o ile można, zwrócone będzie ku potrzebom życiowym, niech ma na celu umiejętność radzenia sobie we wszystkich położeniach skutecznie. Zwykle kobieta, którą wychowanie obdarza wyższem wykształceniem, jest pochłonięta przez nie zupełnie. Jej władze, zdolności, dążenia, zwrócone są jedynie ku wiedzy oderwaną. Stąd wyrodziło się w społeczeństwie uprzedzenie do kobiet uczonych.

Widziałam raz na balu młodą osobę, umiejacą po łacinie, z której po cichu wszyscy się wysmiewali jedynie z powodu tej łaciny.—„Nie mam odwagi zamówić tego Cycerona do mazura, choć mię gospodyni domu o to prosiła“ — mówił obok mnie jeden z tancerzy do przyjaciela.—„O, że ja się do tego dykcyjo-

narza ani zbliżę, to pewna — brzmiała odpowiedź. — Z umarłemi językami niechęć mieć nie do czynienia, kiedy tu jest tyle różowych, żyjących języczków.“ — I młodzieniec pobiegł w stronę, gdzie mignęła niebieska suknia, wywieszona w kokieteryi panienki, mającej w głowie i sercu pustki.

Nie chcę tu bynajmniej przedstawiać łaciny, jako koniecznej umiejętności dla kobiety, jakkolwiek mogłaby ją posiadać, gdyż filologiczne studia są gałęzią wiedzy bardzo dla kobiety właściwą; chcę tylko dać przykład uprzedzeń, jakie tkwią w umysłach, zarówno męskich, jak kobiecych. Poszukawszy przecież przyczyny tych uprzedzeń, znajdujemy ją właśnie w jednostronności, jaka zwykle bywa wadą wychowania. Najczęściej się zdarza, iż rodzice, pragnący córce dać wyższe umysłowe wykształcenie, zapominają o wszystkiém inném dla dopięcia tego jednego celu. Z tego powodu kobieta uczona bywa złą gospodynią, matką opuszczającą dzieci, dla oddawania się ulubionym studjom, do których jedynie zaprawioną była za młodu. Boimy się jęj, jak ognia, zapominając, że błyskotliwe wychowanie na nowożytnych językach i talentach oparte, również nie kształci żon i matek i kobietom płytkim, posiadającym jedyną umiejętność podobania się, powierzamy bez trwogi los naszych synów i braci. Taka nielogiczność trudna jest do zrozumienia. Trzeba mieć nadzieję, że w bliskiej przyszłości pojęcia zmieniają się; ale na to trzeba, by matki dzisiejsze zrozumiały dobrze, iż wychowanie córek nie powinno być jednostronne i ograniczać się jedynie do wymagania sfery towarzyskiej.

Owszem pomiędzy naukami należałoby koniecznie pomieścić znajomość praw i ustaw krajowych, którym, zarówno kobieta, jak i mężczyzna, podlega. Nie mówię tu bynajmniej o znajomości prawa szczegółowej, ale o tych wiadomościach zasadniczych, które posiada każdy wykształcony mężczyzna. Niech pauna wie, co to jest instytucja hipoteki, towarzystwa kredytowego, co są obroty papierów publicznych, co banki, giełda, prawo wekslowe, jaka jest różnica prawa cywilnego i kryminalnego, jakie są obecne stosunki włościańskie, jaki jest początek praw obowiązujących obecnie, zmiany, które w nich w ostatnich

czasach zaprowadzone zostały; jakie wreszcie są atrybucyje sądów gminnych, a jakie sprawy ich atrybucyje przechodzą.

Byłoby nader pożądaném, by się ktoś zajął wydaniem podręcznika popularnego, zawierającego wiadomości, odnoszące się do powyżej wzmiankowanych gałęzi życia społecznego; podręcznika, któryby mógł dać kobiecie pojęcie o głównych czynnikach i podstawach bytu narodów. Jój nieświadomość i obojętność w tój materji przechodzi wszelkie granice. Panna, któraby się wstydziła wyznać, iż nie zna podania o Romulusie i Remusie, zapyta z bardzo naturalną miną; co to jest hipoteka? albo i nie zapyta wcale, choć nie wie, gdyż ją to bynajmniej nie obchodzi. Dotąd gotów twierdzić nie jeden, że taka nieświadomość warunków materyjalnych i społecznych jest w pannie zachwycającą. Kto jednak poważniej na rzecz tę się zapatruje i wie, ile razy kobieta niezamężna, lub wdowa, postawiona jest w konieczności prowadzenia interesów i jak je zwykle niedołąźnie prowadzi; ten uzna, że panna dorosła powinna, nie tylko umieć zarządzić domem, ale i znać warunki prawa bytu społecznego, na którym i byt jednostek się opiera. Nie twierdzę, żeby znajomość taka pobieżna i ogólna tylko miała dać kobiecie umiejętność radzenia sobie, jeżeli ją los postawi u steru rozległych interesów; ale przynajmniej do zrozumienia ich pomoże i da jój w rękę nić przewodnią, która ją z labiryntu nie jednéj sprawy wywiedzie.

Ileż to bowiem fałszywych kroków popełnia się codziennie z powodu zupełnéj nieznajomości prawa! Ile to nielegalnych testamentów, zapisów niejasnych, spadków przechodzących w ręce, w które nie chciano ich oddać! Kodeks zapowiada, że nikt nie może tłómaczyć się nieznajomością prawa, a ogromna połowa wykształconej ludzkości — ogół kobiet, nawet zasadniczych, najgłówniejszych praw nie zna i narażona jest na popełnianie tysiącznych bezsensów, na wpadanie w ręce zręcznych wydrwigruszów jedynie z powodu swojej nieświadomości, której często same kobiety nie domyślają się nawet i postępują w interesach na oślep, jak gdyby prawo nie istniało na świecie. Nieświadomość ta prowadzi je naturalnie do lekceważenia praw najważniejszych, do odkładania ich na później, do nieporządnego utrzy-

mywania rejestrow, kwitów, korespondencyj, do nieoględnego udzielania podpisów na aktach, podsuwanych sobie bez zbadania ich osnowy i znajomości skutków, jakie z nich mogą wyniknąć.

Prawnicy utrzymują, że niema uciążliwszej i nieznosniejszej rzeczy nad rozmowę o interesach z kobietą, wdową, która przez rodziców odsuwana od życia praktycznego, następnie przez męża utrzymywana w stanie dziecięcej nieznajomości zewnętrznego życia warunków—nie nie rozumieć, wszystkiego się lęka, a o niczem nie ma najmniejszego pojęcia.

Bo niech nikt nie sądzi, że nielogiczność i niedołęstwo jest wrodzoną wadliwością kobiecego umysłu. Po co wymyślać przyczynę dalszą i przypuszczalną, kiedy mamy pod ręką najbliższą i dotykalszą? Jest to wada, wychowania, które tak odsuwa kobietę od praktycznego życia i praktycznej użytecznej nauki, że w końcu niedołęstwo zaszczenia ję na cale życie. Mężowie z różnych przyczyn zostawiają kobietę w tym stanie nieświadości. Niektórzy, pragnąc ją otoczyć samemi kwiatami życia, odsuwają z ję drogi wszystko, coby ją utrudzić mogło — cały ciężar biorą na siebie. Inni, przekonani, że kobiety do rozsądnego zapatrywania się na *interesa* nie są zdolne, ukrywają przed żoną stan materyjalny rodziny. Inni, prowadząc zawikłane sprawy, niechęć w nie wtajemniczać żon swoich. Inni znowu, z jakiegobądź powodu, wystawiwszy raz fałszywie narzeczonę, lub młodej małżonce stan majątkowy już ją zawsze utrzymują w nieświadości prawdy. Inni czynią to samo z egoistycznych pobudek, lękając się kontroli nad własnemi wydatki. Inni wreszcie, obawiając się rozrzutności żony, umniejszają w ję oczach dochody i fałszywie stan majątkowy ję przedstawiają. To też mało jest małżeństw, wktórychby, pod względem materyjalnego bytu rodziny, panowała zupełna otwartość. Żona zwykle niedokładne i bardzo pobieżne ma o nim pojęcie. Jest w tém wina zarówno jej niedołęstwa, jak i lenistwa, oraz braku przewidywania ze strony męża, któremu się nie chce kształcić pod tym względem matki swych dzieci, mogacęj przecież, w razie jego śmierci, zostać ich jedyną opiekunką.

Gdyby pauna, idąca za męża, nie była zupełnie pod względem życia praktycznego ograniczoną; gdyby znała warunki ma-

teryj alnego bytu i była wstanie zdać sobie sprawę z ich znaczenia; niepozwolilaby się oszukiwać słabemu mężowi, w silniejszym wzbudziłaby zaufanie i pragnienie podzielenia z nią kłopotów lub majątkowych niepowodzeń.

Słyszę już zarzut, że takie oswajanie dziewczeczki ze sprawami dotyczącemi bytu materyjalnego, uczynić ją może zimną, goniącą za mieniem, spekulantką wytrawną. Nie wierzymy temu. Wszak roje dzisiejszych, wypieszczonych i naiwnie nieświadomych panien, uganiania się za dobrymi partyjami, idzie za starców i ludzi, do których czuje wstręt nieprzeparty, byle ci byli w możności usłać jej gniazdo w złotej klatce. Przyszwycajone do życia z dnia na dzień, do wygod i zbytku, nie umiejąc pracować i czując, że w żadnym razie radyby sobie nie dały, rozbawione panny na wydaniu, szukają wygodnego bytu i stanowiska, na którym wiedzą, że piękne białe ich rączki nie zgrubieją w pracy domowej. Życie schodzi im na pieszczeniu się z własną osobą. Znam dwie staruszki, które nigdy od kolébki, aż do dziś dnia, nie uczesały się same; służące ubierały je zawsze jak lalki, począwszy od włożenia im pończoch, aż do zapięcia rękawiczek. Nigdy same nie odbyły najkrótszój nawet podróży. Taka istota niedołężna, czyż nie potrzebuje koniecznie dostatków? Cóżby poczęła w późniejszym życiu, gdyby jej los nie był zesłał bogatego męża? Dzisiejsze panny z zamożnych domów, niedołężne fizycznie, umieją po większój części czesać się i ubierać same; ale za to, powiedzmy prawdę, są niedołężne moralnie. Nie dziw więc, że gonią za dostatkami. Kto jednak czuje w sobie rzeźwą i zdrową energiją, nie uginającą się przed materyjalnem niepowodzeniem; pewność nieustraszoną, że w każdym położeniu rada w oświeconym umyśle i czynnych rękach się znajdzie; ten śmielej pozwoli sobie pójść za głosem serca, nie bacząc na ciężar życia pracowitego. Ślub z ubóstwem lekkim sercem się czyni, gdy się wie, że umiejętność pracy ubóstwu nie pozwoli zamienić się w nędzę.

Jednëm z najważniejszych w kobiećcem wychowaniu jest pytanie, czy należy kształcić je w domu, czy lepiej powierzyć je pensyi?

Pragnę na to zagadnienie odpowiedziéć, o ile można bezstronnie i dla tego przypuszczam, że pensyja, na którą dziecię ma być oddane, jest wyjątkowym zakładem, gdzie dzieci otrzymują pokarm obfity i zdrowy, gdzie względy fizycznego wychowania są wzięte pod ścisłą uwagę, a nauka wykładana systematycznie i sumiennie; że pensyja ta jest o tyle doskonała, o ile zakład wychowawczy publiczny doskonałym być może. Uczennice ją chwala, rodzice są zadowoleni, pensyja cieszy się uznaniem ogólném, wychowanki jój, jako nauczycielki, poszukiwane są i cenione, przewodniczka jest osobą znanych przekonań i godna największego uznania. Lecz przypuściwszy taką pensyją doskonałą, przypuśćmy z drugiej strony, że matka, mająca dziewczynkę do wychowania, jest kobietą zącną, rozsądną, pełną dobrych chęci, a nadto jest dobrą żoną, rządną gospodynią i ma środki materyjalne dostateczne do kształcenia córki w domu. Otóż gdyby mię ta matka zapytała, czy ma oddać córkę, niemającą jeszcze lat 16-tu lub 17-tu na tę pensyją uznanéj doskonałości, odpowiedziałabym jój stanowczo: nie.

Ależ pensyja jest wyborna, wydała już znakomite nauczycielki! Nie wątpię o jój zaletach, lecz przekładam zawsze dom rodzinny, jako szkołę dla dziewczynki.

Najprzód pensyja każda musi ze swéj natury być zakładem wykształcającym raczéj umysł, niż charakter. Niedostateczność wpływów moralnych oddawna zarzucają szkołom męskim; przy obmyślaniu zaś środków poprawczych dla dzieci występných, starano się zastąpić wpływ rodzicielski przez sztuczne stwarzanie im rodziny, przez danie każdemu z nich nielicznego rodzeństwa i moralnego ojca, mieszkającego w osobnym domku z przybrancmi dziećmi i ojcem przez nie nazywanego. Rodzina tedy niczém zastąpioną być nie może i tam, gdzie jój niéma, sztucznie stworzyć ją trzeba. Nie dziw więc, że pensyja nie może pod tym względem iść z nią w zawody. Dziecię, które matka zna do gruntu, którego wady starała się przytłumiać, a przymioty kształcić, wpada w różnolity zastęp towarzyszek i, jako

indywidualność, niknie w nim zupełnie. Przełożeni nie znają przeszłości tej młodej duszy, nie śledzą jej rozwoju, gdyż w tłumie innych, badanie drobnostkowe jednostki jest niepodobne. Wyżej już powiedzieliśmy, że nie tyle czyn sam godzien jest uwagi, ile uczucie, które go podyktowało; pensyja zaś, nawet najlepsza, niemoże schodzić do takiej subtelnej analizy. Dla niej czyn — jest wszystkim. Musi z zasady wynagradzać dobremi stopniami postępy uczennicy, chociażby dumnej, pysznej i zarozumiałej i temi nagrodami duszę jej w pysze utwierdzać; z zasady musi upokarzać biedne dziewczę, niezdolne i nie mogące za innymi podążyć; nie kontroluje uczuć dziewczęcia chciwego i nieużytego, które wprawdzie odnosi karę w nieprzyjaźni koleżanek, ale nie dotyka go dobrodziejstwo tkliwiej, serdecznej pracy macierzyńskiej, pragnącej siłą uczucia otworzyć źródło w skale zatwardziałości dziecięcej. Dziewczynka lekkomyślna i rozrzutna, lubiona przez wszystkich, nie spotyka się z widokiem pracy rodzinnej, zapobiegliwości macierzyńskiej, pragnącej spożytkować oszczędnie rzecz każdą; nie widzi wytrwale sztukowanych sukienek, łątanych koszulek rodzeństwa, troskliwie chowanych skrawków, rozmyślenia nad użyciem najpraktyczniejszym kwoty dochodowej, przysporzeniem dochodu przez racjonalną pracę domową, gospodarską na wsi, a w mieście czysto ekonomicznej natury. Przyodziewek pensjonarki, dostarczany być musi podług przepisu szkolnego, bieliznę jej utrzymuje gospodyni; na pensyjach zaś klasztornych — zakonnica; bieliznę tę ma sobie podawaną w dniach przepisanych regulaminem i nawet o przygotowaniu jej z wieczora na dzień następny myśleć nie potrzebuje. Na liczniejszych pensyjach naprawa bielizny wcale do dziewczęcia nie należy; w godzinach, na ręczne roboty przeznaczonych, wychowanki oddają się robotom fantazyjnym. I trudno, by było inaczej. Każda z uczennic nie może tracić czasu rozdzielonego akuratnie na przeglądanie bielizny, rachowanie jej, oddawanie do prania i odbieranie z niego.

Od wszelkich zajęć domowych dziewczę z konieczności musi też być usunięte. Nie wie o przygotowaniu jedzenia, nie ma pojęcia ani o kombinowaniu dochodu z wydatkiem, ani o wartości spożywanych artykułów, ani o przyrządzaniu nabiału,

konserw zimowych, ani o po porządném utrzymaniu spiżarni, ani o praniu i prasowaniu, ani o roli, jaką odgrywają w gospodarstwie kobiećem systematyczność porządek.

Wszystko to dla niej jest abstrakcją. Bo nawet, jeżeli na pensyi znajdują się wykłady chemii gospodarczej, nawet gdy z najwyższej klasy panienki uczą się niby gotować; zaręczyć można z przykładów żywych, jakie na to znaleźć łatwo, że dla największej części dziewcząt bez żadnej to pozostaje korzyści.

Pensyja tedy nie usposabia dziewcząt do przyszłej pracy domowej; mniej też, niż rodzina, usposabia do czekających kobietę obowiązków macierzyńskich. Daje wprawdzie w najwyższej klasie lekcye pedagogii, co jest wielce korzystne i racjonalne, ale praktyki żadnej.

Pensyonarki klas wyższych, zwykle młodszych do swego towarzystwa nie dopuszczają; zatem dziewczę nie ma tam wprawy, jaką w domu mieć może przy pracy wychowawczej nad młodszym rodzeństwem.

Wpływ towarzystwa koleżanek jest prawie zawsze niekorzystny.

Dzieci, przyjmowane przez zakład wychowawczy, rozmajcie były prowadzone; wyniosły często z domu zły przykład i skrzywione pojęcia. Często na pensyją oddane zostały dla wad niezdolnych, trudnych do zniesienia w domu. Złe, jakie się krzewi w ich duszy, daleko łatwiej się przyjmuje w sercach koleżanek, niż dobre skłonności.

Wiadomości zakazane obiegają pensyją i wciskają się do duszy. Myśl dziewczęcia zaczyna się brudzić. Dowiaduje się o miejskiem zepsuciu z ust równych sobie wiekiem dziewcząt, zatem zło, zawarte w wiadomości, nie jest zażegnane przez sposób przedstawienia. przez pogląd krytyczny, jaki mogłaby jęj dać matka. Zło to w umyśle dziecięcia przybiera dziwaczne formy. Wyobraźnia uderzona obrazami miłości, namiętności, zmysłowości, wszędzie dopatruje się czegoś, co z temi obrazami zostaje w związku. Dziewczyna, przedwcześnie z myśli dziecinnych wyprowadzona, w każdym męskiem spojrzeniu dopatruje się czegoś bardzo znaczącego. Uścisk ręki ma dla niej wagę wyznania, grzeczne słówko na oświadczyń urasta. — „On się w tobie kocha! — On

się we mnie kocha! Żebyś wiedziała, jak on na mnie spojrział!" —Oto często między pensjonarkami powtarzane słowa. Dziwaczne wiadomości i spostrzeżenia w szeptach obiegają klasę i dziewczynka, nie tylko wechodzi w zakres marzeń niezdrowych, nie tylko przychodzi to dla niej przedwcześnie, ale prawda życiowa przeinaczona i przekształcona, a zatem nieprawdziwa, występuje przed nią, nie jako objaw woli Bożej i mądrości przyrody, ale w formie owocu zakazanego, pochłanianego w tajemnicy, którego podniecający smak żadnym innym zneutralizować się nie daje. Na każdej też pensyi zdarzyć się mogą dziewczęta, które pochwycną w sekrecie złą książkę miały już w rękę.

Dodać jeszcze należy, że podstawa wychowania—nauka religii, nie na wszystkich pensyjach wpływ pobożnej matki może zastąpić.

Niektóre pensyje, lubo nie u nas, zarażone są nihilizmem; do naszych zaś przedziiera się materjalizm pod różnemi postaciami, a przejawia się w lekceważeniu, jeżeli nie przeczeniu prawd religii. Czasem dziwić się trzeba, skąd pensjonarki czerpią idee nie wygłaszane im, ani przez nauczycieli, ani przez kierunek nauki. Słyszałam panienkę, ledwie pasowaną na uczennicę klasy najwyższej, siedemnasto-letnie dziewczę, najpoważniej rezonujące o prawdopodobieństwie pochodzenia człowieka od małpy. Teoryja ta—nawet przez swoich wyznawców nieśmiało stawiana i tylko jako hipoteza przed umysłem uczonych materjalistów występująca, była naturalnie w młodej głowie dogmatem, choć nader mglisto przedstawiającym się jój pojęciu. Dziewczyna nie zdawała sobie sprawy z tego, co mówiła; był to raczej popis erudycji, niż przekonanie na wywodach naukowych oparte; ale jój umysł był już opanowany obłędem. Był to posiew dopiero, plon może zbiorą jój dzieci.

Ksiądz Chaumot, w świeżo wydaném dziele *), nie radzi córek na pensyję oddawać. Arcybiskup Fénelon w *Radach dla pewnej damy*, powiada: „Daleko lepiej jest, gdy córka przyzwy-

(*) L'education, ses difficultés et son but.

czaja się powoli do życia przy matce pobożnej, która jej z niego to tylko pokaże, co córka widzieć może, bez szkody dla charakteru. Matka nauczy ją używać świata z umiarkowaniem, wskaże jej jego wady. Wysoko cenię wychowanie na dobrych pensyjach klasztornych, ale liczę więcej na wychowanie dobrej matki, gdy mu się oddać może".—

Pani Campan, która spędziła życie na kierownictwie zakładów wychowawczych dla dziewcząt i zasłynęła, jako przewodniczka młodych panieniek, pisze w swém dziele o wychowaniu: — „Niema pensyi, choćby najlepiej prowadzonej, niema narodowego zakładu, choćby najmądrzej zorganizowanego, niema klasztoru, jakakolwiek jest jego zakonna reguła, któryby mógł dać wychowanie, równające się temu, jakie córka od matki otrzymuje, kiedy ta matka jest wykształcona, kiedy znajduje najmiłsze zajęcie i szuka jedynéj chwały w wychowaniu córek swoich."

A jednak pensyje mają niezawodną przyczynę bytu. Są w społeczeństwie nieodzownie potrzebne; są oświatą daną sierocie, mającej grosz potrzebny na opłacenie nauki, ale dla której źródło macierzyńskich darów moralnych jest na wieki zamknięte. Niosą opiekę i światło tym dzieciom, które w rodzinném gnieździe miałyby przykład rozterki, próżniactwa, lub były opuszczone przez matkę, zajętą pracą na chleb, pochłaniającą jej cały czas, lub przez światową wietrznicę, zostawiającą domowe ognisko wygasłym.

Niezgodne stadło odsuwa dzieci z domu, czując, jak zgubny przykład im daje; matka uboga duchem, czująca się niezdolną do wyboru nauczycielki i kierownictwa domowego dzieckiem, przelęwa swoje prawa na pensyją; czyni to także, jeżeli nie potrafiła ustalić swéj władzy nad dzieckiem i widzi, że jest ono nieposłuszne, lekceważące i nie szanujące rodziców.

Dziewczę niezamożne na pensyi znajduje uzdolnienie do przyszłego nauczycielskiego zawodu; zakłady przeto naukowe żeńskie, niezawodnie wielkie usługi społeczeństwu oddają; lecz nie zapominajmy, że są tylko surogatem, zastąpieniem rodziny; nigdy wszakże o lepsze z nią walczyć nie mogą. Stąd wypada, że mając do wyboru posyłanie codzienne córki na pensyją, lub

oddanie jęj tam zupełne, pierwsze przełożyć należy, by dziecię w ciągłym z rodziną własną zostawało stósunku; nad takie zaś wychowanie przełożyć wypada zostawienie dziewczęcia w domu i nauczanie domowe, jeżeli rodzicełożyć na nie są wstanie przynajmniej do lat 16-tu, to jest do chwili, w której już poglądy panny stają się mniej chwiejne, a charakter i przekonanie pewną siłę odporną nabyły. Wcześniejsze usunięcie dziewczęcia z pod wpływu matki rozsądnej i cnotliwej, musi mu przynieść szkodę. W kobiecie, matce, leżą żywe źródłiska życia, zarówno fizycznego, jak moralnego; z nich tylko córka, wzięwszy życie ciała, może czerpać zdrowe życie ducha, pozwalające jęj na przekazanie własnym dzieciom tradycyi niewieściej działalności i cnót domowych.

Wpływ zakładu wychowawczego, pozbawionego z swęj natury miłości macierzyńskiej, oddziaływającej na miłość dziecięcą, musi wyglądać bardzo blado, porównany z wpływami rodziny.

Dopiero gdy w 16-tu lub 17-tu latach córka, jako indywidualność do pewnego stopnia się wyrobi, można wyższy zakład naukowy uznać dla nięj za korzystne ze wszech miar dopełnienie wychowania.

Dla tego pozwólmy sobie na reformatorską mrzonkę:

Gdyby mogła być urządzona w Warszawie szkoła wyższa dla kobiet z kursem czétoletnim; gdyby wymagane egzamina wstępu ściśle określały stopień wykształcenia, potrzebny do słuchania kursów; dziewczęta wychowane w domu do lat 16 tu lub 17-tu, mogłyby w tęj szkole pobierać wyższe naukowe wykształcenie; te zaś, które po jęj skończeniu i odebraniu świadectwa odbytego egzaminu, chciałyby nauczycielkami pozostać, przedstawiałyby kwalifikacje zupełne do przygotowania dziewcząt do owęj szkoły wyższęj.

Pensyje wszelkiego rodzaju, miałyby tęż określony zakres działalności: musiałyby uzdatniać wszystkie dziewczęta do wstąpienia do owęj szkoły wyższęj i byłyby tēm, czēm jest gimnazjum dla uniwersytetu, z tą tylko różnicą, że egzamina na pensyi, nie uwalniałyby od egzaminu wstępnego do szkoły wyższęj. Domowe wychowanie musiałoby tęż być prowadzone systematycznięj i mieć określone pole pracy naukowej, jeżeliby rodzice chcieli

dziewczynkę wyżej naukowo kształcić. Tym sposobem wychowanie intelektualne, czyto pensjonarskie, czy domowe, byłoby pod pewną kontrolą. Ale zwracam się z drogi reformatorskich moich marzeń. Gdy się jest bezsilną do ich urzeczywistnienia, trzeba mieć przynajmniej powagę głosu, której sobie nie przypisuję.

Naznaczywszy pannie miejsce czynnego członka w rodzinie, uznawszy jej obowiązek i prawo do pracy; należy powiedzieć że jakkolwiek jest ona częstką rodziny nierozzerwalnie połączoną, z jej życiem, sama przecież w sobie jest całością, której winniśmy poszanowanie. Jest ona istota „z nas, lecz nie dla nas zrodzoną”.

Wychowanie nie jest tworzeniem, ale tylko uprawą, udoskonaleniem; tego zapominać nie należy. Mianowicie w wychowaniu córek strzedz się trzeba zapomnienia tej prawdy.

Syn, kształcący się poza domem, może swą indywidualność za wyzwoloną uważać; swoboda indywidualności w córce, po największej części zamala jest uwzględniana. Nawet dzisiejsze niedołężne wychowanie, zanadto niweluje skłonności i na jeden wzór wszystkie panny urabia. Strzeżmy się jednak, byśmy zmieniwszy ideał, nie przykrawali do niego znowu niewolniczo naszych córek. Pamiętajmy, że „one, to nie my”. Zakreślić granicę pomiędzy wolnością dziecięcia a prawem rodziców, to rzecz niesłychanie trudna i, jakśmy to już mówili, usamowolnienie powinno następować powoli i logicznie tak, by w końcu obok naszej indywidualności, stała się indywidualność naszej córki, traktowana przez nas z poszanowaniem, jakie jej się należy. Wprawdzie daliśmy jej z siebie niesłychanie wiele, jest nam bliską; ale może być różną od nas pod względem serca i umysłu, jak różną jest w zewnętrznej swjej postaci.

Jeżeli zachęcaliśmy matki do rozwijania córek swych wszechstronnie, do uprawiania ich zarówno do pracy naukowej, jak do zajęć gospodarskich, rodzinnych i robót ręcznych; to w części i dla tego, że dziecię jednostronnie kształcone, dorosłszy, z trudnością odkrywa w sobie powołanie, a często mija się z niem

w skutek samowolnego kierunku rodziców. Prawa wychowawcy stoją do istoty wychowywaney w takim samym stósunku, jak obowiązki przeznaczeniowe do indywidualnej wolności człowieka. Przeznaczenie ogólne, a powołanie osobiste—to często dwie różne rzeczy. Kobięty przeznaczeniem jest zostać matką; ale ta, któraby kochając mężczyznę, odrzuciła jego rękę i szczęście rodzinne dla jakiegokolwiek idei, dla nauki, czy sztuki—byłaby w swojem prawie. Moglibyśmy nie podzielać jęj przekonań, ale powinniśmy szanować w jęj czynach prawo osobistęj wolności.

Ta indywidualna wolność córek naszych zostaje z ich kształceniem się zawodowém w nierozzerwalnym stósunku. Matka ma obowiązek ukształcić w córce przede wszystkiém człowieka, zaszczerpić w nięj zamiłowanie pracy i zajęć, do jakich powołuje ją przeznaczenie; uszlachetnić jęj serce i umysł za pomocą nauki, rozwinać w nięj uczucia obywatelskie, wstręt do gnuśnego i egoistycznego próżniactwa,—ale co do zawodu, ten córka powinna obrać sobie sama. Ona jedna może wśród własnych pragnień i popędów rozstrzygać o swém powołaniu. Dla tego z obraniem go dla córki nie należy się spieszyć, a potém zostawić jęj swobodę wyboru, o ile ten nie wkracza w dziedzinę szalonych i niepraktycznych zamiarów.

Powiedziałam wyżej, iż matka nie ma obowiązku popychać córki na drogi nowe, szukać dla nięj uniwersytetu zagranicznego, by jęj wiedzę rozwinać w kierunku zawodowym; ale z drugięj strony, widząc w nięj nienasycone pragnienie wiedzy, wybitnie skierowane ku pewnej gałęzi naukowej, musi, choęby miała wstręt do takiego kierunku, uznać ją wolną, w zaspokojeniu intelektualnego pragnienia.

„Dla mężczyzn — powiada Legouvę — bodźcem w suchych studyjach jest ambicyja, konieczność, interes, powołanie do jakiegoś stanu. Ale młodęj kobięcie brak tych wszystkich sprężyn. Dla nięj nauka ma tylko jeden cel—rozwiniecie umysłu. Ona dla nauki czuć tylko może bezinteresowną miłość”. — Takięj bezinteresownęj miłości, czystemu, niezamąconemu nadzieją zysku pragnieniu nauki, tamy stawiać nie można. Niech powołana idzie gdzie ją prowadzi jęj miłość, a choć kobięta, jako teoretyk prawnik, lub inżynier-amator, byłaby pewnego rodzaju anomaliją,

prawo wolności osobistej nie zostawia nam wątpliwości, co do macierzyńskiego obowiązku w tym razie. Rodzice muszą się zgodzić z powołaniem córki, głos doradcy tylko sobie zostawiając.

Dziś takie rzucenie się młodej dziewczycy na drogi nowe może być tylko wyjątkowym wypadkiem; dla tego nad kierunkiem podobnym powołania kobięcego nie zatrzymuje się dłużej.

Jeżeli nauka właściwa mało niewiast liczy w swoich szeregach; literatura i sztuki poważny wykazują ich zastęp. Artystek i autorek wszelkiego rodzaju, we wszystkich krajach, widzimy wiele, choć genijuszów między niemi nie znajdzie. Natomiast nie brak talentów. Artyzm i autorstwo niewieście wyrobiło już sobie obywatelstwo na całym świecie; ponieważ jednak są to raczej dary natury, niż wychowania, nadmienić więc wypada, że obowiązek rodziców jasno i dokładnie jest tu wytknięty. Wybitnej zdolności dziecka należy dać jak najsilniejszą, jak najgruntniejszą pomoc naukową, a co następnie z tym darem bożym uczyni człowiek dorosły, to już dotyczy jego sumienia i bogactwa uposażenia naturalnego. Wszakże przy kształceniu artysty nie trzeba zapominać, że w wychowaniu, jak w życiu, jedna przyczyna wywołuje często wielorakie skutki i że talent ma prawo być przedmiotem starań wychowawcy, do tego tylko punktu, do jakiego bez przyniesienia uszczerbku moralnej stronie uprawianym być może. „Cele wieczne” — jak je nazywa Dzieduszycka — powinny być zawsze na pierwszym planie, a wyrobienie człowieka występować ma przed wyrobieniem artysty.

Bądź co bądź, artyści są i będą zawsze wyjątkami w narodzie; dzieci, obdarzone wybitnym talentem są wyjątkami w rodzinach; powyższe więc słowa do małej tylko liczby rodziców się odnoszą. Ogół trudniejsze ma do rozwiązania zadanie, gdy mu przyjdzie pomyśleć o mnogim zastępie niezamożnych kobiet, w których liczbie i ich córka znaleźć się może i o nielicznych polach działania otwartych przed niewiastą.

Praca samotna i niezależność na niej oparta, są tak wielkimi darami, uposażenie duchowe nieograniczone żadnemi wyłącznemi prawami, a rozwijające umysł aż do granic naturalnej możebności, są tak piękną i godną zazdrości rzeczą, iż dziwić

się nie można, że zamknięcie przed kobietami wszystkich tych dobrodziejstw, oburza te z nich szczególnie, które nie mają podpory męskiego ramienia, a o własnej sile stanąć nie mają prawa.

Los kobiety z życiem niezapełnioném rodzinnymi obowiązkami jest smutny, zarówno przez brak tych obowiązków, jak przez brak pracy dającej niezależność. Przyznać należy, iż w tym razie los kobiet niewykształconych jest stósunkowo lepszy od losu tych, które umysłową pracę podjąćby mogły. Praca ręczna kobięca, jakkolwiek mniej popłacająca, niż męska, przecież w naszym kraju, chętnym dłoniom przedstawia łatwy zarobek. Rzemiosła, przemysł, handel — nie zapięrają wrót swych przed kobietą; znajduje w nich ona oddawna pole pracy korzystnej; szkoły specjalne, jakich próby mamy już w naszym kraju, powiększą jeszcze zastęp pracowni.

Nauczanie dziewczęcia chlebobajnego rzemiosła i wprowadzenie go na drogę pracy, jest zapewnieniem mu niezależności wrazie niepójścia za mąż. Rzecz wydaje się jasną. Przecież rodziny ubogie, nie mogąc dać córkom wykształcenia, a mające tradycyje dawniej zamożności i stósunków, wołają córki wychowywać na niepożyteczne nikomu i wiecznie utyskujące istoty, niż wstyd, z przyczyny ich pracy rzemieślniczej, ponosić. Wiele matek, mających zamożnych krewnych, woli swe, ledwo dorastające córki, skazać raczej na smutną rolę rezydentek, niż żeby pracą ręczną zarabiała na życie. Ale walka z przesądem jest najnie wdzięczniejszą i kiedy smutny los ubogich, a niczém niezajętych panien, nie wystarcza na wyleczenie z dawnych uprzedzeń; słowa tém mniej na nie wpłynąć potrafią. Jeżeli jednak dziwić się i potępiać trzeba matki ubogie i nie mające środków kształcenia córek swoich, że pracy rzemieślniczej dla nich się boją; matkom zamożnym i córkom wykształconym nie można mieć za złe, że się do niej nie garną. Różnica zajęć musi wpływać z różnicy majątku i wychowania; zrozumieć więc łatwo, że kobiety wykształcone, a niezamężne, skarżą się na brak pracy niezależnej w zawodach naukowych. Nie wszystkie mają powołanie do nauczycielskiego zawodu, choć przyznać trzeba, że dla kobiety niema nad tę właściwszej pracy.

W Ameryce dziewięć dziesiątych publicznych posad nauczycielskich zajmują kobiety, a ich współobywatele, podróżni europejscy, równie jak oddają im największe pochwały. Wynagrodzenie ich jest stósunkowo bardzo niskie, a przecież oddają one największe usługi społeczeństwu; nie wzbudzają też, jak u nas, politowania filantropów, ani same mają się za najnieszcześniejsze pod słońcem istoty.

Wziąwszy nawet na uwagę wszelkie niekorzyści stanu nauczycielki domowej, wszystkie przykrości, jakie ją w obcej rodzinie wyjątkowo spotkać mogą; przyznać należy, że skargi nauczycielek i objawy współczucia dla nich ze strony ludzi myślących, nastrojają się często u nas na zbyt wysoką nutę i że smutki wpływające z położenia kobiety niezamężnej, a zatem bezdzietnej, często kładzione są na karb nauczycielskiego zawodu. Upředzenie do pracy, jaką kto podejmuje, - jest złem do niej przygotowaniem, a jednak z upředzeniem, często posunięciem do egzaltacyi, przystępują nauczycielki do tego zaszczytnego zawodu. Młode panny, przygotowujące się do niego, naprzód ubolewają nad przyszłym swém położeniem. Jest ono trudne, to prawda; ale jest pełne zasługi moralnej, a i materyjalnie opłaca się dobrze.

Wziąwszy 400 rubli za przeciętną zapłatę dobrej nauczycielki, możemy to tylko zaznaczyć, że mnóstwo naukowych powołań męskich nie opłaca się w ten sposób, by po odtrąceniu wszystkich (z wyjątkiem ubrania) potrzeb życia, zostało jeszcze 400 rubli na pojedynczą osobę. Materyjalne korzyści są więc bardzo wystarczające, a co do przykrości... toć przecie w każdym położeniu i zawodzie ma się ich tysiące. Choćbyśmy nawet przypuścili, że zawód nauczycielski jest ze wszystkich najprzykrejszy, to i tak jeszcze kobieta mężna duchem i w pracy gorliwa, może go podjąć z nadzieją, że byle się ze swych uczuć egoistycznych wyzuła, może i na téj drodze znaleźć odrobinę szczęścia dla siebie.

W braku swoich, wychowywać będzie dzieci cudze, da im częsteczkę własnego ducha, co także niemałą jest pociechą, a od nich obok możliwych przykrości, odbierze też i uczucia trochę. Tylko więcéj odwagi i dobrych chęci, pracy, sumiennosci i wiary,

a mniej podejrzliwej nieufności i zniechęcenia. I w obcej rodzinie można znaleźć przyjaciół i serca chętne dla nieznajomój. A szczęście? Skąd takie uroszczenie? Wszak na wszystkich stanowiskach nieszczęśliwych bez liku! Spójrzycie na żony, na matki, ileż między nimi oplakanych położań, od których ucieczki niema, podczas kiedy nauczycielka z miejsca swego niezadowolona, otrząsać może proch z obuwia swego i u innego ogniska szukać znośniejszych bytu warunków. To też pomimo wszystkiego, co na niekorzyść nauczycielskiego zawodu powiedzieć można i głęboko przeciw niemu zakorzenionych przesądów, zachęcam matki zamożniejsze, a zatem mogące naukowo kształcić swe córki, do sposobienia ich na nauczycielki.

Raz dla tego, że jest to jedyna praca dostępna dla wykształconej kobiety, a powtóre, że nauczycielek dobrych niesłuchanie jest mało; poszukiwania zaś ich z każdym dniem się zwiększają.

Obok tego, specjalność ta w każdym razie kobiecie przydać się może, bo jeżeli pójdzie za mąż i zostanie matką, własne jój dzieci korzystać będą z jój uzdolnienia; umiejętność więc nauczania stawiam w wychowaniu zawodowem na pierwszym planie, tak jak ją już na nim stósunki społeczne postawiły. Trzeba tu dodać, że dobra nauczycielka niekoniecznie w obcej rodzinie umieszczać się musi. Może, uzdolnwszy się specjalnie w jednym przedmiocie, wyklądać go na pensyjach, lub dawać lekcye prywatne, co może nie oplaca się tak dobrze, jak nauczycielstwo domowe, ale daje swobodę ruchów i własny dom zapewnia.

Uważałam, że największe skargi na zawód nauczycielski wychodzą z ust złych nauczycielek.

Nie mówię tego z ironią; jest to bowiem rzecz naturalna. Tylko zamiłowanie, ukochanie obowiązku i pracy, jakieś się poświęcamy, może nam dopomódz do jój dobrego spełnienia. Rozróżnić wszakże trzeba dwa rodzaje złych nauczycielek. Jedne, złe nauczają i czują się nieszczęśliwe dla tego, że nie mają powołania, choć mają dostateczną wiedzę; — drugie, a tych liczba nieakończona większa, złe nauczają, bo same nie dobrze nie umieją i podręcznik naukowy jest dla nich alfą i omegą wiadomości w danym przedmiocie.

Czuja swą nieudolność, zniechęcają się machinalną pracą i użalają na trudne położenie, zamiast utyskiwać na swoją nieumiejętność.

Otóż od takiego nauczycielstwa strzeżmy córki nasze.

Czy bowiem może dać zaspokojenie grosz mozolnie zarobiony na smutném oszukiwaniu siebie i rodziców, powierzających nam dzieci? To ów podaniowy kamień, za ciężki na słabe barki, który przecież nosić trzeba przez życie, uginając się i upadając pod jego brzemieniem. Wmawiać drugim to, w co się samemu nie wierzy—co za smutne przeznaczenie! I jakże się dziwić, że się skarży na swój los taka nauczycielka? Zaręczyć można, że większa część tych biędnych ofiar złego wychowania, odrazu odzyskałyby spokój i zadowolenie, gdyby jaka wróżka przyniosła im w darze wiedzę, na jakiej im zbywa. Ale wróżki nie obdarowują już ludzi i tłum biędnych nauczycielek do swęj pracy nieprzygotowanych, ciągnąć będzie, jak dotąd, ciężką taczkę żywota. Lecz te, które umleając, nienawidzą nauczania — te są prawdziwymi ofiarami społecznego porządku. Na inném polu mogłyby stać się użytecznymi i szczęśliwymi. Pola tego niema i czy otworzy się kiedy? Wielkie pytanie!

Owóż, zachęcając matki do kształcenia córek na nauczycielki, pragnęłabym, aby obok nauki ogólnej, obrały przedmiot jeden, do którego największą okazują zdolność i pociąg i w tym przedmiocie wyjątkowo córkę wykształciły.

Najeczęściej się zdarza, że dziecię od pierwszych chwil okazuje zdolność taką. Jedno posiada zdumiewającą lingwistyczną intuicyją; inne rozwiązuje z łatwością i zamięłowaniem zadania arytmetyczne; inne znowu ledwie pisać zaczyna, już jest autorem; nad innego kolébką „anioł muzyki białe skrzydła rozwinął” — i już kierunek wskazany.

Żyjemy w epoce specyjalności. Już dziś nie wiem, czy sam Leonardo da Vinci nie musiałby zwrócić swęj zdumiewającęj wszechstronności na jednę gałąź wiedzy, czy sztuki. Ci z uczonych, którzy nas jak Buckle, Humboldt, Spencer, Bain zadziwiają swą wiedzą uniwersalną i głęboką; zdobywają ją pracą całego żywota i nie naukę na korzyść życia, lecz życie na korzyść nauki zużywają. Gdy przecież chodzi o chlebobójne zajęcie, o usposo-

bie nie córki na nauczycielkę, należy, uważając życie, a nie naukę za cel główny, dać jej taki jeden *gradus ad Parnassum*, na którym, obiema nogami silnie stanąwszy, mogłyby się czuć panią zupełną przedmiotu. Taka jedna gałąź, wyjątkowo uprawiana, zawsze, obok innych traktowanych dostatecznie, przynosi człowiekowi wielkie zadowolenie.

Spojrzyjmy do koła siebie.

Ten muzyk, uczeń znakomitego konserwatoryjum, jest teoretykiem i wykonawcą jedynie; dar twórczy nie został mu dany; ale jakże on pojmuje, jak kocha muzykę? Na jego stoliku spostrzegasz kilka pism muzycznych, oszczędności jego wszystkie idą na nuty; drży na samą wieść, że Gounod napisał nową operę, i że on doczeka się rozkoszy odczytania jej na swoim instrumencie, a może usłyszy ją przedstawioną w teatrze.

Tam znowu nauczycielka domowa, wśród obecnej rodziny żywot pędząca, z radośnym drżeniem oczekuje paru godzin samotności wieczornej, jaką sobie wymówiła na wyłączną własność. Co ją do tej samotności pociąga?

Czy jałowe marzycielstwo, przynoszące jej przez cud wyobraźni te wszystkie radości, jakich odmówiło jej życie? Tęsknoty, którym z taką namiętnością oddają się istoty słabe, nerwowe i wrażliwe?

Nie, ona w tej samotnej godzinie nie rozstrojenie, lecz siłę do życia czerpie.

Otwiera szufladę ze skarbami swojemi i oto wydobywa z niej gruby tom, wydobywa kajet, ściśnięty pismem i nad ulubioną gałęzią wiedzy pracować zaczyna. Nie ma męża, nie ma rodzinnych radości, ale ma swoją cichą pracę i ta ją broni od zwątpienia, apatyi, rozpacz. Choć czuwała długo z wieczora, rano zrywa się żwawo i ochoczo. Trzeba co najwcześniej lekcye dziecinne rozpocząć, odbyć pracę obowiązkową w przeznaczonych godzinach, by ani minuty ulubionym studjom nie odjąć. Ta miłośnica wiedzy, nie posunie jej ani na krok jeden. Czyż byłaby owładnięta jakąś nieprodukcijną manią? Ah! ona mądrość prawdziwą zdobyła. Własnymi ustami wydobyła ze skały małe źródło szczęścia i z niego czerpie czysty, uśmierający wszystkie cierpienia napój.

Często słyzy się dziewczynkę pcwtarzającą: — „Jak ja lubię historyją, albo geografiją, rachunki...” — Takie zamiłowanie do danego przedmiotu wiedzy to już pierwszy krok do zdobycia jęj, jako specyjalności, którąbym pragnęła widzieć w posiadaniu każdej dorosłej panny. Taka specyjalność nie zaszkodzi nauczycielce domowej, a dla nauczycielki, dającęj lekcyje na godziny, będzie warsztatem pracy korzystym i przyjemnym.

Wreszcie co do korzyści intelektualnej, wziętęj oderwanie, zapytajeie uczonych, a powiedzą wam, że jeden przedmiot zgłębiony dokładnie, wart dla umysłu stokroć więcęj, niż dziesięć traktowanych pobieżnie.

A teraz dodajmy, że jak gospodarstwo i umiejętność obchodzenia się z dziećmi, tak i sztuka nauczania nie na samęj teoryi zasadać się powinna. Teoryja bez praktyki—to dusza bez ciała. Dziewczę dorastające i dorosłe, powinno już nauczać obowiązko-wo. W wielu rodzinach starsza siostra wprawi się do tego, dając korepetycyje młodszemu rodzeństwu. W mieście, panna dorosła, może wyświadczyć prawdziwe dobrodziejstwo jakiej ubogięj dziewczynce, podejmując się przez parę godzin dziennie uczenia jęj systematycznie; na wsi zaś każda, która tylko zechce, znajdzie uczennicę, lub ucznia, bo niéma dworu, gdzieby się nie znalazło, chętne dziecię, któreby mogło korzystać z dobrodziejstwa elementarnęj nauki.

Logiczne i konsekwentne rozwijanie wychowania trudnem jest niezawodnie, zarówno dla matki zamożnej, jak i ubogięj; pierwsza jednak w urzeczywistnieniu ideału wychowawczego nie spotyka żadnej przeszkody; podczas gdy druga, musi stósować się do swych szczupłych dochodów. Stąd dla ostatnięj trudnięsza rola przypada, szczególnięj, jeżeli sama wzrastała w dostatkach i beczynności. W takim razie bowiem potrzebuje ona wielkiego spokoju, rozwagi, siły moralnęj i logiki, żeby wychowanie zastósować do przypuszczalnęj przyszłości córki i nie wykoleić jęj ze stósunków, w jakich pozostać musi, a co tak często się trafia

wśród ludzi, którym wychowanie dało pragnienia wyższe nad możność ich zaspokojenia.

Gdy więc matka nie ma środków wykształcenia naukowo swęj córki, niech ją odważnie sposobi na sumienną, biegłą rzemieślniczkę. Obok udzielania jęj w ojczystym języku nieodzownych w życiu wiadomości, praca ręczna stać się musi głównym wychowania celem: pranie, prasowanie, gotowanie, umiejętność usłużenia i zaradzenie sobie we wszystkiem, hartowanie sił przez obowiązkowe zajęcia ręczne, oto przygotowanie do przyszłego zawodu.

Ale żadnych nierozsądnych z jęj strony utyskiwań nad przyszłością dziecięcia!

Próżniactwo tylko jest wstrętne i godne pogardy; każda zaś praca ma prawo do uznania i szacunku ludzi. Tylko ta z nich unieszczęśliwia, do której z uprzedzeniem i bez należytego przygotowania przystępujemy. W tém wszelkie nieudatne próby mają swe źródło.

I tak, ktoś zakłada szwalnię, fabrykę kwiatów, lub magazyn krawiecki. Zakład taki trwa zwykle chwilę. Założycielka nie zna się na wyrobach swego handlu, nie umie prowadzić rachunków, daje się oszukiwać, lekceważy rzeczy główne, przeceenia drobiazgi, nie ma pojęcia o ekonomii przemysłowej, przygotowuje, jako towar, rzeczy niepożyteczne i nie mogące mieć zbytu, natomiast brak pokupnych w jęj składzie; bilansu nigdy dokładnego ułożyć nie może, ludzi się nadziejami, zapomina mnóstwo rzeczy, nie wie, jak i czego od robotnic wymagać, w stosunku z publicznością taktu zachować nie umie, rzuca się na wszystkie strony, zaciąga długi nieogłędnie, w końcu wierzyciele zabierają, co zabrać można, a biedna ofiara wychowania, które do żadnego zawodu jęj nie przygotowało, wpada w głęboką nędzę, z której już powstać nie może.

Ta znowu, dla swęj ucieiwości przyjętą została, jako panna sklepowa. W krótkim czasie właściciel sklepu, mówi z oburzeniem:—„A cóż mi z tęg ucieiwości? Wolałbym prawie malwersacyje, niż takie niedołęstwo. Publiczność źle obsłużona, lekceważenie, zapominalstwo, opuszczanie się w obowiązku, odkładanie wszystkiego na później, nieporządek, codzienna niezgodność rachunków,

apatyczna niechęć do pracy. A jakie to dumne, drażliwe, wiecznie skwaszone i wiecznie wzdychające! Takiej uczciwej niedołęgi trzymać dłużej nie mogę”.

Inna jeszcze obiera zawód bony. Najprzód sama ta nazwa już ją obraża; lubi powtarzać, że nie jest boną, lecz nauczycielką do początków, że jej rodzice byli z wyższego stanu i ma krewnych bogatych i wysoko położonych. W lada słowie podejrzewa chęć uchybienia sobie, w powozie na przodzie jeździć nie może; dzieci ją nudzą, służących traktuje z góry, wyrzeka wciąż na trudne położenie, obowiązki swoje spełnia źle i niechętnie.

Nieskończyłabym, gdybym chciała te istoty nieszczęśliwe *bez powołania*, śledzić we wszystkich położeniach. Każdy je zna, gdyż nie brak ich nigdzie. Starajmy się przynajmniej nie powiększać ich liczby przez nierozsądne wychowanie naszych córek i myślimy lepiej i praktyczniej o ich przyszłości.

Jak znajomość higieny jest konieczną do życia, możemy się łatwo przekonać, spojrzawszy na nasze społeczeństwo. Statystyka wykazuje, ogromną różnicę śmiertelności, wypływającą z warunków otaczających człowieka i jego pożywienia. Wszakże nie tylko przyczyny od nas niezależne, nie tylko niedostatek, nędza, brak powietrza w zaciśniętych mieszkaniach i ulicach, wydziera codziennie tysiące ofiar; prawie równie zabiera je nieumiejętność obchodzenia się z własnym zdrowiem — nieznanomość higieny.

Pomińmy ofiary nędzy — ubogi lud miejski, a wejdźmy między naszych włościan. Warunki sanitarne tu lepsze, dobrobyt w ostatnich czasach znacznie podniesiony, a jakaż niepomiarna śmiertelność, nie tylko wśród starszych, pracujących często zbyt wiele, żywiących się nieodpowiednio; ale niemowląt, znajdujących w piersiach zdrowych matek daleko lepsze pożywienie, niż je dać mogą swym dzieciom niedokrwiste i ogólnie słabowite kobiety warstw wykształceńszych. Śmiertelność ta pochodzi jedynie, z nieumiejętnego obchodzenia się z *biędnym ludem* niemowląt, poddanym barbarzyńskiemu sposobowi postępowania. Star-

szych zabija niestrawność, zaziębienia, znachory i znachorki; niemowlęta zaś, zabijają własne matki.

Nie rozszerzając téj kwestyi poza obręb dotykального przykładu, powiedzieć można, że to wszystko, co ogół oświecwszy wie o higienie więcej od włościanina, jest wobec nauki bardzo małą zdobyczą. To, co się nam wydaje niedarowanym błędem, budzącym politowanie w postępowaniu włościanina; popełniamy sami na każdym kroku, w mniejszych rozmiarach, to jest, pominiawszy najgrubszą niewiadomość; dajemy jednak ludziom więcej od nas umiejącym ten sam widok nieznanomości i błędów, jakim się gorszymy, patrząc na włościan.

Niech jednak matki nie sądzą, że higiena, jaką znać ogółowi kobiet należy, jest trudną, niedostępną, specjalną, wymagającą nadmiernéj pracy, nauką. Tak bowiem nie jest. Niektóre pensyje żeńskie już ją nawet u nas pomieściły w swoim programie. Jest ona bardzo ważną, jedną z najważniejszych wiadomości, jakich nabycie uchronić nas może od tysiąca chorób i wpłynąć starannie na całe nasze życie. Dla kobiety zwłaszcza, jako przyszłej matki, wiadomości te są nieocenionéj wagi. — „Tysiące istot ludzkich, które umierają przedwcześnie—mówi Spencer—setki tysięcy, które, jeżeli pozostają przy życiu, to na to jedynie, by dźwigać ciężar nadwątłego zdrowia; milijony, wzrastające z konstytucyją mniej silną, niżby ją miéj powinny, dają nam miarę zła, zrządzonego przez rodziców, nieznających praw życia.”

Żądając od kobiety znajomości głównych praw higieny, bynajmniej nie jestem oryginalną.

Wszyscy prawie pedagogowie nowocześni żądają wprowadzenia téj nauki do wychowania kobiet i dziwią się, że w naukach szkolnych dla mężczyzn pomieszczoną nie została.

Higiena potrzebna jest kobiecie, jako wychowawczyni młodego pokolenia i, jako gospodyni, żywicielce domowników swoich. Ona dysponuje obiadem w domach bogatszych, gotuje go w uboższych.

Potrzeba jej przeto znać własności rozmaitych pokarmów, wiedzieć, które ich gatunki stósowne są dla chorych i przycho-dzących do zdrowia, jakie potrawy przedstawiają się, jako lek-kostrawne, a jakie do niestrawnych zaliczyć należy.

Oprócz nieświadomości, mamy jeszcze mnóstwo higienicznych przesądów. Wiele matek (włoszianki wszystkie) wyobraża sobie, że surowe mléko dzieciom szkodzi; że cukier podburza robaki, a miód je truje, i t. d. Można by bez końca wyliczać takie uprzedzenia higieniczne, które stały się powszechnym prawie przesądem.

Niektóre wiadomości fizyologiczne, znajomość własnego organizmu i jego potrzeb, dałyby kobięcie wiedzę konieczną, jako opiekunce chorych, którzy między rodziną, czy domownikami się znajdują.

Matka jest sprawozdawczynią przebiegu choroby wobec doktora. Ona dzień i noc przy łóżku chorego dziecka przebywając, śledzi postęp i objawy cierpienia. Lecz jakże niedołężnie często je obserwuje! Nie wie wcale, co może być ważnem, a co jest objawem bez znaczenia; jednak jęj sprawozdanie jasno i rozumnie lekarzowi podane, mogłoby nieraz wyrzucić wielki wpływ na przebieg choroby. Czy byłoby zbyt cennem, aby takie wiadomości, jakie ma np. każda płatna opiekunka chorych lub siostra miłosierdzia, miała panna dorosła podane sobie w treściwym wykładzie? Uchroniłoby to ją od wielu błędów, popełnianych w leczeniu dzieci, a które są wszystkich przemądrzałych i zarozumiałych matek udziałem. Każdy lekarz ma sposobność przekonania się w swęj praktyce, jak często matki, zamiast zjednoczyć z nim swe usiłowania w celu ratunku dziecka, szkodzą mu raczej, nie spełniając ściśle przepisów.

„Gdy matka dziecię swoje przez nieświadomość zabije, czy będzie to dla nięj pociechą, że może czytać Dantego w oryginale? —zapytuje Spencer, wykazując nielogiczność uczenia kobiety kilku języków, a zaniechania najelementarniejszych wiadomości z higieny i fizyologii. Dziś jeszcze, w wychowaniu domowém szczególnie, niezmierna jest trudność zasilenia dziewczęcia na życie, tak pożytecznemi wiadomościami. Łatwiej w istocie znaleźć nauczycielkę, cztery języki posiadającą, niż taką, któraby się podjęła uposażyć dziewczętkę w owę mądrość tak potrzebną do życia.

Słyszymy często i powtarzamy sami, że towarzystwo w młodości jest jednym z wpływów najsilniej działających. Nie nad to prawdziwszego! To też z tym potężnym czynnikiem rodzice koniecznie liczyć się powinni.

Nie zważając na względy przyjaźni i stóśunków rodzicielskich, dziewczynkę można otaczać tylko takiem towarzystwem, jakieśmy za stóśowne dla niej uznali. Zdarzają się wprawdzie i tu od nas niezależne wypadki.

Ktoś ze znajomych przyjeżdża, czy przychodzi z panienką — mniej więcej w wieku córki naszej będącą i ta kilku słowy rzuca w duszę dziewczynki ziarno szkodliwe; albo przy odwiedzaniu towarzyszki, na zaprzyjaźnienie się z którą matka pozwoliła, spotyka dziewczę towarzystwo najzupełniej dla niej niestóśowne. To są wpływy nieprzewidziane, wymagające koniecznie oddziaływania matki za pomocą ufności i szczeroci, jaką wzbudzić w córce powinna, przynajmniej co do wrażeń, jakie ją spotkały.

W zwykłym jednak położeniu matka tak jej wydzielać może pożywienie duchowe, że będzie ono tylko tém, czém je sama uczynić zechce. — „Jak wielu zostałooby dobrymi, albo stałoby się o wiele szlachetniejszymi i zdolniejszymi do każdej wyższej czynności, gdyby lepsze otoczenie — mówi Niemcyer — znaleźli. Samo zbliżenie się do dobrego i szlachetnego lub złego i niskiego charakteru człowieka wywiera wpływ potężny. Budzą się myśli, któreby się nigdy nie zbudziły; skłonności, które przez całe życie pozostałyby w uspieniu; sympatyje, których inaczejby się nie znało”.

Nie będę się tu wdawać w podawanie środków praktycznych postępowania matki, co do otaczania dziewczęcia właściwem i dobrem towarzystwem, gdyż te zależne są od stóśunków każdej rodziny i okoliczności zewnętrznych; pragnę tylko zwrócić uwagę na to, co za dobre i złe towarzystwo uważać trzeba.

Mądre przysłowie nasze: „Kto z kim przestaje, takim się staje”, daje nam wyborną wskazówkę, co do wyboru towarzystwa dla naszych dzieci. Wszakże rzadko kiedy dziewczynka spotka się u nas z wpływem psującym bezpośrednio; z osobistością, któraby w niej podkopać mogła wiarę w prawdy objawione,

w cnotę, w rodzinę, jako podstawę społeczeństwa; z osobistością mówię, któraby w dziecięciu naszym osłabić chciała pogardę dla występku, występku ubrać w powaby, cnotę odrzec z jej aureoli, zetrzeć w niej wstyd, i dumę dziewiczą. Tacy propagatorzy zepsucia znajdują się może, ale chwała Bogu, nie każdy ich na swój drodze spotyka. Zwykle złe ziarna przychodzą do naszych dzieci w innej formie, mianowicie w formie próżności, kokieterii, rozmarzenia i lekkości.

Dziewczę, które staraliśmy się zrobić podniosłem duchowo, przed którym usiłowaliśmy postawić najczystsze ideały: wiary, zasługi, prawdy i uszlachetniającej pracy; winno być odsuwane od wszystkiego, co ideały te przed jego wzrokiem zmienić może.

Przebywanie więc w towarzystwie dziewcząt przesiąkniętych próżnością, marzących tylko o świetnych strojach, balach, karawalach, podróżach, bogatych partyjach, jest wpływem niezmiernie dla nich szkodliwym. Takie dziewczęta mogą być bardzo *dobrze wychowane* w znaczeniu, w jakim dobre wychowanie zwykle pojmują; mogą mówić kilkoma językami, grać, śpiewać i malować i być bardzo przyjemne w rozmowie; niemniej wolabym, jako towarzystwo dla mojej córki, dziewczeczki mniej świetnie wychowane, uboższe i mniej w towarzystwie przyjemne; ale zacne, pracowite i niewiedzące, co to jest świat próżności, na którego targowisku panna tylko tyle warta, ile wynosi jej posag.

Któż z nas nie słyszał rozmowy takich światowych panien? Co za nędza!

Świetne tualety, zadziwiająca przepychem czyjaś wyprawa, bogate małżeństwo, marzenie o pałacach, podróży, wreszcie obmowa znajomych i nieznajomych—oto temat do ich towarzyskiej rozmowy. Wszakże i w tym świecie znajdzie się często jakaś dusza wyższa, estetyczna, mająca szlachetniejsze dążenia i pragnienia wiedzy. Takić towarzystwo tylko uzacniać może, tém bardziej, że wdzięk form zewnętrznych, połączony z wyższością duszy, są bardzo pięknem zjawiskiem.

Z drugiej strony, próżność i pretensyje gnieźdzą się często i w ubogich rodzinach, a gdziekolwiek wyrosną, gdziekolwiek

grunt moralny przesiąkły jest tym pospolitym, a zabijającym wszelką wyższość i samodzielność pierwiastkiem, tam niezdrowo przebywać dziecięciu.

Obok próżnych, zmateryjalizowanych, występuje inny gatunek panien, tak zwanych: *kumoszek*. Te już nietylę myślą o świetnej partyi, ile o intrydze miłosnej. Układają plany, swatają, podpatrują tajemnice drugich, lub się ich domyślają, szepcą po kątach z towarzyszkami, kolportują wiadomości niezmordowanie. Małżeństwo nie występuje przed ich wzrokiem, jako rzecz poważna, nakładająca odpowiedzialność wobec Boga i ludzi; lecz jako zabawka, jako romans ciekawy, którego kartki przerzucić chciałoby się jak najprędzej. Kumoszki, jako towarzystwo, są mniej szkodliwe od panien próżnych, a pociągających większą oglądą i wdziękiem; ale i one wciągają w swoje koło i odzierają myśl dziewczęcia z czystej i szlachetnej prostoty. W ich towarzystwie dziewczę uczy się nadawać wyrazom własnym i wyrazom przez młodzież męską wyrzeczonym, znaczenie zupełnie różne od tego, jakie im dotąd przypisywało; staje się ciekawe, budzi się w niem zalotność, nieufność do rad macierzyńskich, ma tajemnice własne i cudze i chęć do intryg powstaje w młodym umyśle. Gmach prawości czystej, wzniosłych aspiracyj duchowych, podkopany zostaje przez tego rodzaju małostki. Jest to jednak zaraza chwilowa, z którą walka łatwiejsza i która nie wytępią jeszcze wszystkich zasobów duchowych, jak to czyni próżność rozwielniająca się tak łatwo i pochlaniająca całą naszą istotę, że wszystko — naukę, przymioty, samą nawet cnotę wyeksplloatować na swą korzyść potrafi. Przestajemy już bowiem w czynach naszych szukać innej korzyści nad korzyść zadowolenia próżności.

Obok wyżej wspomnianych rodzajów źle wychowanych panien, oddziaływających szkodliwie na dorastające dziewczęta spotykają się jeszcze inne szkodliwe i chorobliwe wpływy, jak apostołstwo źle zrozumianego równouprawnienia kobiet i inne mrzonki.

Towarzystwo użacenia lub psuje, stósownie do tego, z jakich żywiołów się składa. Dobrze — oświeca, daje znajomość świata i ludzi, łatwość obejścia i wysłownienia, obznajamia wresz-

cie z warunkami społecznymi i ekonomicznymi kraju, wiadomościami tak niezbędnymi dla wszystkich. Jakie skutki złe towarzystwo wyrządza, o tém szerzej rozpisywać się nie warto. Jak pierwsze tak drugie ma to do siebie, że pociągnąć ku sobie może, a więc tém bardziej wpływać na tych, którzy w niém zasmakują. Francuzi mówią: — „Powiedz mi z kim obcuje, ja ci powiem jakim jesteś.” — Jest to wielką prawdą. To też matki wszelkich starań dokładać powinny, aby ich córki wcześniej już zasmakowały w towarzystwie, któreby im jedynie korzyść moralną przynosić mogło.

„Chłopey między sobą się poprawiają — dziewczęta wzajemnie się psują.” Jakkolwiek ten frazes Legouvé’go w całości jest paradoksem, w drugiej swój połowie zawiera wiele prawdy. Zrobiłam w mojem życiu nieraz spostrzeżenie, że dziewczęta z towarzystwa swoich rówieśniczek mało wynoszą pożytku i dlatego radziłabym matkom, aby córek swoich nie przyzwyczajały wyłącznie do towarzystwa koleżanek. Niech dorastająca i dorosła panna należyć do towarzystwa w ogóle; niech ją interesują rozmowy starszych, niech w nich nawet bierze udział, byle zdania swego nie stawiała z arogancją. Są domy, w których panny ze swojemi młodemi gośćmi zawsze są gdzieś na uboczu, nigdy razem ze starszymi; stąd wszelkie kwestyje poważniejsze, jakie roztrząsane bywają w towarzystwie są dla nich — *nudziarstwem*. Towarzystwo starszych traci na tém, bo ożywienie i wesołość młodzieży usposabia je do dobrego humoru, ale bez porównania więcej traci młodzież.

Dawniej rozmowę starszych uważano dla młodzieży za szkołę życia i niezawodnie ona najlepiej może rozwijać poglądy na życie praktyczne i na warunki bytu społeczeństwa, wśród którego się żyje. Młodzież dzisiejsza, mianowicie dziewczęta, inaczej się na to zapatrują. To też dla nich sprawy krajowe — to *nudziarstwo*, polityka — *nudziarstwo*, handel, przemysł, gospodarstwo, sztuki piękne, literatura poważniejsza — *nudziarstwo*. Dzięki temu usposobieniu z kolei i rozmowa poważna z rodzicami *nudziarstwem* się staje, a panny za mąż wychodzące, w swych poglądach na świat i życie są do zdumienia naiwne. Ile traci na tém pożycie małżeńskie, ile stąd rozczarowań, za-

wodów, boleści — pojąć łatwo, tём bardziej, że widzi się je codziennie.

Panny nudzą się śmiertelnie w towarzystwie starszych mianowicie kobiet. Jeszcze starszy mężczyzna, przeplatający rozmowę żartem, komplementem, podnoszący słówka i nadający im wartość wyjątkową, cierpiany jest przez panny; ale wyraz *starsze panie* oznacza nudy do niezniesienia. Jeżeli są śmieszne, przynajmniej nażartować się z nich i naśmiać można, ale jeżeli są, broń Boże, poważne i rozumne, to już się od nich o sto mil ucieka. — „Uciekajmy! bo tam siedzą starsze panie.” — „Takie tam były nudy, bo były tylko starsze panie.” — Wiem, że panie starsze bywają czasem bardzo nudne; ależ nawet wtedy, gdy niemi nie są, panny żadnej przyjemności w ich towarzystwie nie znajdują. To jest wadą wychowania. Jak trzeba dziecię przyzwyczajać do umiejętności odczuwania małych przyjemności, by się one składały na szczęście codzienne, zwyczajne, a jednak osładzające życie; tak trzeba się starać zainteresować je do wszystkiego. Rozwijanie umysłu za pomocą nauki o rzeczach, rozmów, czytania, powinno mu być dać tę żywość umysłu, który wybiega naprzeciw każdej kwestyi i chętnie ją przyjmuje za ośnowę swych myśli.

Jakże drogocennym przymiotem byłoby w dziewczęciu tak łatwe zajmowanie się wszystkiém i czerpanie ze wszystkiego korzyści! Starajcie się przelać w córki wasze żywy interes do tego, co wykracza z granic czczej paplaniny i plotek, a wchodzi w zakres doświadczenia, wiedzy życia, umiejętności jakiegokolwiek: wtedy *starsze panie* przestaną być postrachem dla młodych dziewcząt.

Co to za nieoszacowany dar ta żądza umysłu przyswajania sobie wiadomości pożytecznych! Rozmowa poważna, naukowa, literacka, zajmuje, kształci, uczy; ale dla tego, że się ją tylko co słyszało, nie należy pogardzać rozmową niedaleko widzącej kobieciny, która ci będzie mówiła o gospodarstwie i dzieciach. Kwasi ona ogórki w pewien sposób wyborny, sobie tylko wiadomy; ale byle ją zachęcić, gotowa się z sekretu wygadać. Śmiecie się, moje panny! Wszakże wam powiem, że i to jest interesujące, bo co w jakibądź sposób z życiem się łączy, nie

może dla człowieka być obojętne. Starajcie się tylko obudzić ku wszystkiemu ciekawość, a w każdym najskromniejszym człowieku znajdziecie coś takiego, co was zająć i nauczyć czegoś potrafi.

Ale i tu niestety! próżność staje na zawadzie. Trzebaż na coś wyższego pozować. Pospolite sprawy nudzą; potrzeba koniecznie jakiegoś pieprzyku towarzyskiego, jakiejś areny dla swych przymiotów, holdów młodzieży męskiej, popisu próżności przed towarzyszami, czegoś, coby wykluczało to, co ma wartość bezwzględna, a miało wartość tylko przez podnoszenie nas samych w obliczu naszej próżności.

Książka działa na wyobraźnię i dopiero za jej pośrednictwem wpływa na charakter. Jest to najsubtelniejszy pokarm, jaki się dostaje do naszego umysłu. Dzieło fantazyi, powieść, jest niby obrazem życia, a przynajmniej życie zawsze za wzór bierze i jakkolwiek nadzwyczajne wymyśla wypadki i sytuacje, można przypuścić, iż życie nie ustępuje jej w niczem co do różnorodności i grozy swych przejawów. Ale życie ma brutalną wymowę, ma nagość form, która rzadko pozwala oku na złudzenie. Widzimy jasno jego cienie i światła; półcienia zaś, albo osłonięte są tajemnicą, albo nam się zdają, gdy patrzymy na nie z punktu naszych przekonań, cieniem zupełnym lub zupełną jasnością. Do takiej bezwzględności sądu młodość szczególniej ma wielką pochopność. Są dla niej aniołowie i szatany — pośrednich istot niema. Wyrozumiałość — to pocieszycielka lat późniejszych, zbieramy ją, stąpając po cierniach życia, jeżeliśmy dobrze chodzić po nich umieli. Taka z jednej strony surowość dla zła, z drugiej uwielbienie dla dobra, jest przymiotem tak naturalnym młodości, że z nim walczyć byłoby zapoznaniem tych samych wpływów, jakimi poiliśmy dziecię od pierwszej chwili i jakie gruntowaliśmy w niem codziennie, składając mu ręce do modlitwy, okazując mu zachwyty dla dobra i piękna, a wstręt do występku.

Życie widziane zdaleka nie gorszy dziecięcia, chyba żeśmy atmosferą zepsucia oddychać mu kazali, ale fakt widziany w ca-

łój swój nagości, zachwyca je, lub przejmując zgrozą. Człowiek, który zdradził przyjaciela, nie dotrzymał przyrzeczeń narzeczonej — to człowiek podły. Inny, który się poświęcił dla idei szlachetnej — to gozdzien uwielbienia bohater. Im postępek brzydszym lub piękniejszym przedstawia się młodemu, tćm potępienie lub pochwała jest wyraźniejsza. Nawet w tych razach, w których postępowanie bliźniego mogłoby dla wytrawnego umysłu przedstawiać niejakić wątpliwości, co do kierujących nim pobudek, więc co do rzeczywistój wartości człowieka; dla młodój dziewczęcej duszy jest zawsze złćm lub dobrćm, bo nie zna ona jeszcze żadnych dróg wymijających, pobocznych, żadnych składanych pojęć w sprawach dotyczących moralności.

Zdarzyło mi się słyszeć w towarzystwie bardzo wyraźnie występujące posądzienia względćm młodój, światowój kobiety. — „O to nieprawda! — zawołała, przysłuchująca się rozmowie młoda panna—ja codziennie widuję ją w kościele” — a w głosie jej zawdzwiećzała wiara, z najgłębszego przekonania płynąca. Dziewczę nie mogło przypuścić, by osoba, codziennie uczęszczająca do przybytku bożego, mogła źle postępować, lub kłamać. Wiele osób rozśmieszył ten dowód, dający wymowne świadectwo o niewinności dziewczyny; lecz znaleźli się i tacy, co na nią spojrzeli z rozrzewnieniem, przypominając sobie własne lata młodości, lata wiary w szlachetną ludzką naturę. Jeżeli więc zgodzimy się na to, iż życie, widziane zdaleka, rzadko kiedy zgorszyć może dziewczę do zepsucia wychowaniem nie przygotowane; to musimy przyznać, że sama treść powieści opowiedziana po prostu, sam fakt życiowy w nią zawarty, rzadko kiedy mógłby źle wpłynąć na charakter, dorastającej, czy dorosłej panny. Skądże więc taka obawa złych książek, takie na nie napadanie moralistów? — Bo nie treść sama książki wywiera wpływ szkodliwy, ale sposób, w jaki ją autor naszej wyobraźni przedstawia. W tćm właśnie tkwi zło i zaraza, choć jakże mało matek to pojmuje! — Kontrolując książkę, którą mają podać dziewczęciu, szukają tego jedynie, czy treść nie przedstawia obrazów nieprzyzwoitych, zmysłowych. Chętnie się zgadzam na klątwę rzuconą na wszystkie zbyt jaskrawe, a podniecające wyobraźnię i zmysły, obrazy. Ale żądać należy od

matek głębszego zastanowienia, osądzenia ducha, nie formy. Często autor tak występek przedstawia, iż go rzeczywiście czyni nienawistnym i wstrętnym i wtedy nas utwór nie gorszy; ale gdy nam go podaje okrytym kwiatami uczuć, paradoksalnych usprawiedliwień; wytępia w nas właśnie tę świętą młodości surowość, czyni nas miękkimi wobec pokus, uczy zawierania z własnym sumieniem wygodnych tranzakcyj, dopasowywania jego wymagań do naszych zachcianek, rozluźnienia tęgości tych zapór moralnych, które bronią złemu przystępu.

Jest jeszcze innego rodzaju wpływ, jaki zła książka wy-
wywiiera, mianowicie gdy życie w fałszywych barwach przedstawia. Na taki wpływ dziewczęta najbardziej są narażone, bo często książka nie zawierająca w sobie nic gorszego, zawiera potężną dozę tych barw zwodniczych, które porównane z życiem, jakie nas otacza, czynią je mdlę, niezajmującym, niedorastającym do miary naszych pragnień i rzekomej idealności i anielskości naszej duszy. Młoda osoba, po przeczytaniu takiej książki, czuje się osamotnioną w rodzinie, stworzoną do innego życia; nie umie się już zadowolić tem, co posiada i od zwykłych, dawniej chętnie spełnianych zajęć i obowiązków, wybiega myślą ku idealnym światom, których atrakcyja odciąga ją od trzeźwój pracy rodzinnej.

Jakże często spotyka się młode osoby, tak wytrącone ze zwykłej kolei żywota, przez świat powieściowy Jerzych Sand'ów, Balza'ców i t. p. Czasem najpiękniejsza pod względem artystycznym i literackim powieść nosi na sobie piętno bajronizmu, tak łatwo wnikać do młodej duszy. Nasza literatura powieściowa nie wiele posiada niemoralnych książek; jednak zważywszy, jaki wpływ na młodą wyobraźnię mieć mogą, powiem, że ton sarkastyczny i sceptyczny, jakim niektórzy nowsi przemawiają pisarze, przytępiać może w młodych czytelnikach czysty zmysł poetyczny i podniosłe aspiracje; a jeżeli zbyt podniecenie wyobraźni jest szkodliwe, realizm powieściowy nie jest też stworzony dla młodych dziewcząt. Nastrój autora udziela się czytającej dziewczęce; czuje się naraz odartą ze złudzeń młodości, z jakimi patrzyła na życie, a to odarcie, jest tem szkodli-

wsze, iż nie przychodzi z własnego doświadczenia, ale niejako narzuconem zostaje.

Tyle jest rzeczy pięknych, czystych, zdrowych do czytania, że matka może być wymagającą, wybredną nawet w wyborze.

Z rad praktycznych w tym przedmiocie podam tylko jedną: książki, którą uznamy za niewłaściwą dla naszej córki, nie należy nigdy zostawiać nieschowanej. Nie każda dziewczyna jest niepohamowaną w swój ciekawości, ale są i takie, których na pokuszenie nie należy wystawiać.

Czy potrzeba dowodzić, że zamięłowanie do czytania poważnego, naukowego, jest nieocenionym na całe życie nabytkiem? Do takiego zamięłowania można dziewczę przygotowywać powoli, prawie od dzieciństwa. Wielu uczonych w dziełach swych stara się o tak przystępną formę, że ta, nawet mniej rozwiniętym umysłem, zrozumienie treści ułatwia. Byle więc poszukać, można i dla dzieci znaleźć dzieła naukowe, a jednak dostępne i zajmujące. Najłatwiej też zaprawić dorastającą dziewczę do zamaskowania w przedmiotach poważnej treści przez wspólne z niem czytanie. To zamięłowanie, szczególnie w późniejszym życiu wyda owoce zbawienne. Nad czytaniem matka rozciągnąć może kontrolę i uczynić je posilnem, a nie szkodliwem dla ducha; gdy jednak panna zostanie mężatką, może łatwo, jako młoda i niedoświadczona, przez czytanie złych książek zejść na błędne manowce. Balzac, ten znawca serc ludzkich, zwłaszcza niewieściech, wytrwale w swych powieściach przeprowadza typ młodej kobiety, zepsutej przez świat, którą, po kilku latach małżeństwa, ogląda się za nową miłością — gdyż jest dojrzałą już do namiętności. Wyznać należy, że jest wiele prawdy w tém spostrzeżeniu francuskiego pisarza. Lecz co ową dojrzałość sprowadza? Zapewne, że oprócz powodów, tkwiących w życiu samém, iż obok braku religii, pracy i obowiązkowości, jedną z najczęstszych przyczyn jest jeszcze czytanie niemoralnych, a wykończonych artystycznie powieści. Namiętność jest w nich przedstawiona w sposób poetyczny, egzaltowany, wzniosły, rozbudzający wyobraźnię, poruszający jakieś instynkta dotąd zostające w letargu, okazujący owoc zakazany w świetle powabném, wobec którego małżeństwo wydaje się zimnym związkiem, przy-

kuwającym lodowemi kajdanami obowiązku. Za wyobraźnią idzie często uczucie — i oto jedna więcej nieszczęśliwa istota, wybiegająca sercem poza progi rodziny; jeden więcej dramat rozgrywający się w piersi ludzkiej, rozwiązany jeszcze pomyślnie, jeżeli tylko jedną istotę pozbawił szczęścia i spokoju.

Matka, która wpoila w córkę zamięłowanie poważnego czytania, rzuciła może pod jej stopy deskę zbawienia, mającą ją uchronić od prądu zgubnej namiętności.

Jest to fałszywe i zgubne mniemanie, że mężatka już wszystko czytać może. Dla wyobraźni mężatki, zwłaszcza młodej, potrzebny jest równie, jak dla panny, kordon sanitarny. Przynajmniej z rąk matki nie powinna nigdy otrzymywać książki niemoralnej.

Ci, co okiem badawczém spoglądają na dojrzewanie wewnętrzne człowieka, uważają, że chwila przejścia od dzieciństwa do epoki młodości jest stanem wyjątkowego spotęgowania się serca i umysłu, w której przebudza się to wszystko, co jest najszlachetniejszém w naturze ludzkiej; słowem jest chwila, w której życie pełnym kwiatem wystrzela.

Być widzem takiego budzenia się indywidualizmu i wkraczania w najpiękniejszą, najbogatszą i najniebezpieczniejszą epokę życia, a do tego być matką — jest to zaprawdę wzruszającym do głębi.

Serce matki szczególniej drży, gdy idzie o córkę.

Syn? Ależ przed nim świat stoi otworem, może do każdych drzwi, do każdego serca zapukać, walczyć i zdobywać i byle moralnie nie upadł zbyt nisko — podnieść się może z każdego upadku.

Świat otacza wyrozumiałością niektóre z jego postępów, pozwala mu na dłuższą młodość, zatem na dłuższą epokę bezobowiązkowości i doświadczenie życia. Matka boi się wprowadzić o niego, ale nie czuje ciężającej na sobie odpowiedzialności za jego czyny, jako dojrzałego sercem i umysłem człowieka; wreszcie, jako kobieta, nie mogąc we własném życiu odnaleźć tego

psychologicznego procesu, jaki się w uczuciach syna dopełnia, nie jest wstanie także i całej jego doniosłości zrozumieć.

Lecz córka? Matka pamięta jeszcze ów stan własnej duszy, dla którego określenia zapożyczę się u pani Necker de Saussure: — „Niema dla dziewczęcia dorastającego nie zupełnie nowego, a jednak wszystko oddziaływa na nią w sposób inny, niż dawniej. Te same przedmioty mogą ją zajmować, te same obrazy mogą się w jej myśli zarysowywać, a przecież wywierają silniejsze na nią wrażenia. Słowa mają znaczenie głębsze i silniej ją wzruszają. Wyrazy, które byłaby dawniej wymówiła bez namysłu, zatrzymują się na jej ustach i jej wyrażenia są często o tyle obojętne, o ile uczucia są żywsze. W ten sposób powstaje to umiarkowanie, ten spokój, który towarzyszy godności dziewiczej. Co dawniej było skutkiem wychowania, dziś staje się objawem jej natury i nieznacznie ideał kobiety urzeczywistniać się w niej zaczyna.”

Wdzięk niebezpieczeństwa tego nowego stanu duszy, to zdolność uwielbiana i kochania, która się prawie nadmiernie rozwija. Wspaniałość przyrody większe na dziewicy wywiera wrażenie i głębsza sympatya dla przyjemności i smutków cudzych wzrusza jej serce. Każde z jej ukochań staje się tkliszem; imiona córki, przyjaciółki, siostry są jej droższe; poświęcenie staje się dla niej potrzebą. Z tego połączenia uczuć rodzi się rodzaj poezyi wewnętrznej — cichy hymn, którego tajemnica zdradza się tylko w spojrzeniu.

Co z tą uroczą poezją młodości uczyni życie? Czy dziewczę na wylanie tego nadmiaru uczuć, przepełniającego jej serce znajdzie upust w cichym świecie własnej rodziny? Jakim będzie ten świat, a przede wszystkiem człowiek, który ją weń wprowadzi? Matka o to wszystko zapytuje siebie, cierpi wewnętrznie, i często w jej obojętności, sposobie postępowania z córką przebija niecierpliwość, nietaktowność, wywoływana pragnieniem uposażenia dziewczęcia kilkonastoletniego w pięćdziesięcioletnie doświadczenie.

Z takiego stosunku wyradza się nieufność z jedną, rozdrażnienie z drugiej strony i wpływ matki, tak ważny w tej epoce, staje się raczej szkodliwym, niż dobroczynnym. Ogrodnik

nie nie może uczynić dla rozwijającego się pączka i musi czekać cierpliwie chwili, którą przyroda na rozkwit przeznaczyła; zasłania więc go tylko przed wiatrem i zimnem, daje podporę przeciwko burzy, ocienia przed zbytnim żarem słonecznym. Matka też niech pilnie nad tém czuwa, by w epoce, poczynającego się rozkwitu nie zabrakło córce takiej osłony i podpory, przeciw wszystkim błędom wyobraźni i uczuciom, szukającym ujścia dla siebie, a którą dla niej najsukuteczniejszą znajdzie w nauce i pracy, jeżeli do nich wdrożoną poprzedniem wychowaniem została.

Nadto matka dla córki dorastającej jest uosobieniem doświadczenia, jakby sumą tych wszystkich nieujętych i rozrzuconych wartości życiowych, które powolnie i niedostrzeżenie wnikają w jej serce umysł. Matka zatem w swych czynach, słowach, obejściu się, powinna być uosobieniem prawdy życia, nieodwołalnej, logicznej, konsekwentnej; ale powinna być jej obrazem żywym, to jest przedstawiać ją córce w każdej chwili życiem własnem, a nie przygotowanym i do okoliczności stosowanym morałem.

Młodość ma wstępną doświadczenia starszych, obleczoną tylko w martwą szatę słowa. Szczególniej w owej epoce przejściowej jest ona niesłychanie drażliwą i przed narzucającą się radą zimnego doświadczenia zamyka się w sobie i zwiija listki, jak roślina *czułkiem* zwana, która cierpi za każdym dotknięciem.

Spojrzyjmy na dorastającą panienkę. Lada słowo, lada wejrzenie, lada uśmiech, a oblicze jej staje w płomieniach; nasz *czułek* zwiija listki. Powiadają, że są ptaszyny opuszczające gniazdko i nigdy już do niego nie wracające, skoro tylko oko ludzkie zajrzało w jego zaciszną kryjówkę. Taką niedyskrecyją, płoszącą nazawsze ufność i otwartość dziewczęcia, jest chęć matki, ciągłego kierowania jej uczuciami. Każdy stan wyjątkowy ducha, jeżeli nie poniża człowieka, godzien jest poszanowania i matka przeradzanie się indywidualności córki również szanować powinna, nie gwałcąc jej nadużyciem rodzicielskiej władzy i zważając baczenie, gdzie się kończą prawa tej władzy, a zaczynają prawa indywidualności dziecięcej. Delikatność

uczuc matki, powinna się dostroić do owój przejściowej drażliwości uczuc córki. Niech matka nie zauważa czasem jój rumieńca, niech oszczędza dającą się łatwo podrażnić jój miłość własną i zawsze przeciwstawia niepokojom, budzącój się młodości, spokój własny, nieskazitelnosć życia, dobroć szlachetną i rozsądną i stałosć, zdobytych trudami życia, przekonań.

Jeżeli matka nie jest pewna, jakie uczynią jój słowa na córce wrażenie, niech ich lepiej nie wypowiada. Jest to wiek, w którym jedno słowo tak głęboko w serce zapada, że niekiedy pozostaje tam na całe życie. My starsi, ostudzeni tysiącem rozczarowań, doświadczeń i przejść życiowych, często dotkliwie odcierpieć musimy lekkie zadraśnięcia uczuc naszych; umiejmyż oszczędzać młodzieńczego wieku uczucia, stokroć drażliwsze, bo podniecone bujną wyobraźnią i krewkością.

Byłoby do życzenia, by dziewczę nie pokochało w tój epoce życia. Panny starsze rozumują i, nim pokochają, mogą ocenić przysioty mężczyzny; młodsza przeciwnie, kocha, bo kocha, a taka miłość często jest początkiem nieszczęścia całego życia. Jak wybór powołania, tak i wybór męża nie powinien być narzucany córce przez rodziców; niechże więc go uczyni wtenczas, gdy dojrzałosć umysłu daje już rękojmią, że się nie pomyli w wyborze. Dawniej rodzice zwykle wybierali męża i córka przyjmowała tego, kogo dać jój chcieli. Dziś wybiera sama; czy przeto rola rodziców zupełnie bierną ma pozostać? Stanowieć despotycznie — nie mogą; ale mają prawo oddziaływać na jój serce i umysł, wspierając ją doświadczeniem i radą o tyle, o ile zdolali ją natchnąć ufnością i wiarą ku sobie. Szczególniej zaś z tego wpływu należy im korzystać, gdy idzie o uratowanie i osłonięcie dziecka przed miłością upokarzającą, przed niebezpieczeństwem oddania ręki człowiekowi niegodnemu jój serca, zwłaszcza, gdy wiedzą, że ten może zdeptać najświętsze jój uczucia i zwichnąć przyszłosć jój dzieci.

Jeżeli jednak sami rodzice, zapominając o swych obowiązkach, sprzedają córkę dla zapewnienia jój materyjalnego bytu?... Wtedy popełniają grzech, nie tylko przeciw enocie, prawdzie i moralności, ale i ze względu na szczęście córki.

Dobrobyt ma niezaprzeczoną wartość, ale wtedy jedynie, gdy się łączy ze względami moralnemi, gdy służy za środek do uszlachetnienia i wyzwolenia ducha, a nie uczynienia z niego niewolnika bogactw i próżności. Niech więc rodzice przy wyborze męża dla córki kładą na szali przymioty moralne, do których przede wszystkiem zaliczyć należy umiejętność pracy i specjalne uzdolnienie, które zabezpiecza od nędzy. Kobięta usposobiona wychowaniem do zamykania życia obowiązkowego, będzie się czuła szczęśliwą przy boku człowieka kochającego i ukochanego, choćby nawet nie otoczył jęj zbytkiem i zapewniał tylko skromny dobrobyt.

Wszyscy myśliciele, badający przyczynę zmniejszającęj się liczby małżeństw, za jedną z nich uznają zbytne wymagania kobiet, nie pozwalające mężczyznom na zakładanie rodzinnego ogniska. — „Nie mogę pozwolić sobie tego zbytku — mówi nie jeden. — „Moje dochody, wystarczałyby zaledwo na toaletę żony.” — Gdy się spojrzy na życie nie jednę z kobiet naszych, widzi się, że żona częstokroć bywa rzeczywiście *kosztownym zbytkiem*. Matka, któraby dała córce przygotowanie do życia pracowitego i skromnych wymagań, ułatwiłaby jęj znalezienie człowieka, mogącego jęj szczęście zapewnić, a któryby się na małżeństwo odważył, gdyby widział, że jego skromne mienie wybranęj szczęście zapewni.

Nie lekceważmy miłości, jako pierwszego warunku związków małżeńskich. Bóg, dając ją ludziom, chciał, by na jęj podstawie wznosiła się rodzina. Żadne inne uczucia zastąpić jęj nie mogą, a najmniej umiłowanie w człowieku jego dóstatków.

O ile tylko można, niech dziewczę w domu rodzicielskim, widuje takich ludzi, którym serce oddaćby mogło, bez upokorzenia wypiastowanych w duszy ideałów dobra i cnoty. Młode uczucia i wyobrażenia błędzą łatwo i rodzice, którzy dom swój starają się oczyścić z młodzieży próżniaczęj i zepsutęj, nietylko synów strzegą od złęgo przykładu, ale i córki od upokarzającęj miłości.

Tylko miłość na szacunku oparta może szczęście zapewnić, tylko na takięj podstawie można budować przyszlęj rodziny związek. Miłość — według angielskiego poety — jest posiewem czynów szlachetnych; słońcem, w którém to wszystko, co zacne

dojrzewa. Ale tak działać może tylko miłość, która w niezłomnych przekonaniach czerpie swą siłę.”

Życie jest sztuką trudną—mówi K. J. Weber;—małżeństwo jest najtrudniejszą i najbardziej skomplikowaną jej częścią. Kiedy życie pojedyncze jest tak trudne, o wiele trudniejszym być musi życie we dwoje! Dwoje ludzi, a jedno życie! Bo wszystko, co stanowi życie duszy, cierpienie i radość, nadzieja i zawody, trudy i nagrody, odczuwane wspólnie przez dwoje ludzi, czyż to się jednym nie nazywa życiem? A przecież dwie głowy, które myślą, dwa serca które czują, dwie różne natury i organizmy spotykają się i krzyżują w tysiącnych sprawach mniejszej i większej wagi.”

Córka ani się domyśla tych trudności, wypływających z połączenia dwóch egzystencji w jedno życie; lecz matka zna je dobrze i dla tego to małżeństwo córki, musi być dla niej jednym z najcięższych przejść. Obawa, niepewność rozdzierają jej serce; rozłączenie z córką, przeraża ją myślą osamotnienia; wszakże powinna nakazać milczenie własnym uczuciom, bo nie o nią tu idzie. Ona zostaje na uboczu. Spełniwszy zadanie, musi pozostać, jak roślina, która wydawszy ziarno, widzi je uniesione daleko od siebie; sama zaś оголоcona z liści, czeka zimy, która przyjdzie niebawem.

Czy matka może co dla szczęścia swjej córki uczynić, gdy ta już jest mężatką?

Mogła za pomocą wychowania położyć fundament przez danie jej ograniczonych materyjalnych wymagań; przez uprawę serca do owego szczęścia wewnętrznego, którego burze życia naruszyć nie mogą; przez usposobienie do zamięłowania pracy i przyjętych na siebie obowiązków; mogła ze swego doświadczenia dać jej dział taki, jaki córka przyjąć chciała i mogła;—ale wobec spełnionego faktu małżeństwa i po za niem występujących praw męża, matka jest bezsilną i musi bezczynną pozostać, ograniczając się do roli bardzo oględnej doradczyni.

Są wyjątkowe i rzadkie bardzo wypadki, w których matka, zamieszkawszy u córki zamężnej, może się do jej pomyślności przyczynić. Ale jako zasadę ogólną postawić należy, że rodzice nie powinni stawiać się zależnymi od swych dzieci, zwłaszcza

przez zamieszkanie razem z niemi. Jeżeli życie we dwoje jest trudne, to we troje, lub czworo przedstawia jeszcze większe trudności.

Zięć lub synowa, ci przybysze w rodzinie, są obcy rodzicom duchem, charakterem, przyzwyczajeniami; naginanie się do nich byłoby dla rodziców przykrością i uwłaczaniem ich powadze. Widok znowu niezadowolenia rodziców, dla kochającej córki lub syna, stanowi o nieszczęśliwem pożyciu: są bowiem przykrości które samemu znieść można; lecz wyrządzone rodzicom, stają się krzywdą, której darować nie jesteśmy w stanie.

Miłość, łącząca młode małżeństwo, młodość, łatwiej naginająca się do wymagań nowego trybu, ułatwiają córce, czy synowi szkołę życia we dwoje; lecz obecność ciągła rodziców pozbawia małżonków koniecznego warunku: ułożenia do równowagi różnych żywiołów, jakie każde z nich do życia wspólnego z sobą przynosi.

Mała niecierpliwość męża wydaje się żonie nieszczęściem, jeżeli w rodzicach ma świadków. Matka nie zdaje sobie sprawy, że często jedno słówko czulsze, szepnięte przez męża do ucha córki, już ję wynagrodziło wyrządzoną przykrość.

Matka nie wie, jaka siła tkwi w uczuciu ję dzieci, które często w jednem spojrzeniu zawrzeć umie przebaczenie, lub gorącą prośbę o darowanie winy, i rozrania sobie serce macierzyńskie bolesnem i długiem rozpamiętywaniem najmniej znaczącego słówka, najbliższego zdarzenia. Wesolość córki bierze za chęć oszczędzenia ję widoku smutku, płynącego z zawiedzionego uczucia; stąd w ich stósunek zakrada się nieufność; zięć spostrzega w obejściu i wzroku matki naganę dla swych postępów: ta trzecia osoba przy ognisku, ten ciągły świadek jego czynności staje mu się ciężarem. Czuje się skrępowany tym wzrokiem badawczym matki, zazdrośnej o szczęście córki i przez sam nadmiar uczucia skłonnęj do przesady i niesprawiedliwości. Córka często nie wie, komu przyznać ma słuszość—matce, czy mężowi? Mąż, w chwilach samotnych, umie bardzo wymownie usprawiedliwiać się, a matce przypisywać winę. W samęj rzeczy, staje się ona winną, bądź to przez zbytke uczucia, bądź przez niewyrozumiałość dla przybysza, który po-

siadł serce jęj córki. Bardzo często najrozumniejsza we własnej rodzinie kobięta staje się drażliwą przy ognisku, którego nie jest panią. Zarządzała domem własnym, gdzie wszystko stósowało się do nięj; dziś w domu córki bezczynność ją męczy i nudzi. Nie znając siebie, pragnęła spoczynku, bo się jęj zdawało, że można nagle porzucić zajęcía, do których zaprawiło ją życie i nie tęsknić za niemi.

Tak nagła zmiana stósunków pozbawia nieraz rodziców dotychczasowej równowagi. Zdarzyło mi się widzięć nie jednokrotnie podobne wykołejenie rodzicielskich, już nie powiem uczuć, ale usposobienia, temperamentu, zwyczajów. Gdy się znaleźli w zależności od własnych dzieci, z ludzi pełnych taktu stawali się wymagający, obraźliwi — słowem trudni w pozyciu.

Zaledwie wspomnę tu o niewdzięczności dzieci. U włóścian naszych spotyka się ona często. W klassie oświeceńszej zło jest mniej widoczne, rzadsze, lecz mówmy szczerze, i między nami spotykają się niewdzięczne dzieci i uczucie to rodzi się najczęściej wtedy, gdy rodzice zdali się na ich łaskę.

Ojciec bywa lekceważony przez syna, u którego obrał mieszkanie; synowa tćhnie czasem do tęcicia źle ukrywaną niechęcią. Rodzice więc, którzy zdali się na łaskę dzieci często cierpią—lecz nie o to tu chodzi. Oni, co gorsza, wnoszą w rodzinę uczucia mętne i niedobre; oni wnukom dają widok niewdzięczności synowskiej.

Wnuczęta—te najmilsze dziadów pociechy—są często powodem nieukontentowania rodziców. Wady dzieci przypisują niewłaściwemu postępowaniu babki; dziadek je psuje, pozwala na wszystko; żeby nie te pieszczoty, dzieci byłyby anioły. Często jest w tęp dużo prawdy; częściej jednak zupełna niesprawiedliwość ze strony młodych małżonków, szukających tylko wymówki dla własnych błędów, popelnionych w wychowaniu dzieci i znajdujących ją gotową w podziale władzy z babką, lub dziadkiem wychowawców.

Przy wspólném życiu tyle jest sposobności rozmaitych niezadowolienia! Małżonkowie znoszą je, bo znosić je muszą; nadzieja przyszłości, dzieci, wspólność interesów—wszystko ich wiąże.

Po wąskiej ścieżce idą, ująwszy się pod ręce, czując, że jedną do przebycia mają drogę. Kroki ich równe, życie pełne sił, postępują rażno i odważnie. Podążający za nimi ojciec lub matka, zmęczeni życiem nie mogą im nastarczyć. Nużą się droga i ustają, a idący przodem czują się związani tymi towarzyszami. Serce im nakazuje zwolnienie kroku, życie popycha ich naprzód i obie strony czują nierówność sił, zmęczenie, wywołane potrzebą oglądania się wzajemnie na siebie.

Po moralnych, występują względy materyjalne. Rodzice dla dobra moralnego rodziny, powinni zapewnić sobie materyjalną niezależność życia.—„Dzieci dzisiejsze mają nieposkromioną żądzę otrzymania spadku po ojcu za jego życia; to jest: objąć po nim jego fabrykę, dom handlowy, kancelaryją, skoro tylko prawo im na to pozwoli. Dewizą prawie wszystkich synów jest pospolite, a tak okropne w swęj pospolitości wyrażenie:— *„Usun się stąd niech ja wejdę”*.*)

Nie zawsze i nie we wszystkich rodzinach, ale i u nas zdarza się owa niecierpliwosć dzieci, spragnionych ujęcia we własne ręce mienia rodzicielskiego. Myśl, że rodzice wszystkiego dla swych następców wyrzecby się powinni, występuje w ich umyśle może niejasno i nieśmiało, niemniej przecież powraca wytrwale. Ani się temu dziwmy. Młode siły pragną warsztatu do pracy, młode głowy przeceniają własną zdolność prowadzenia interesów, a niedość ufają umiejętności rodzicielskiej. Dzieci dorosłe powiadają sobie, że wzięwszy majątek rodzicielski, otoczyliby rodziców wygodą i dostatkiem, szacunkiem i miłością—i byłoby błogo wszystkim, bo młode siły i zasoby umysłowe potrafiłyby majątek podwoić, dochody nieskończenie powiększyć.

Intenccyje więc z początku są najlepsze i nie z winy dobrych chęci majątek w rękach niedoświadczonych przepada, lub dochód tak się umniejsza, że na wypłatę zadeklarowanego procentu rodzicom nie staje. Niech więc rodzice, jeżeli miłość dla dzieci nakłania ich do poświęceń, oddadzą im dobra ziemskie, fabrykę, dom handlowy, ale niech sobie zostawią potrzebny do życia ka-

*) E. Legouvé: Ojcowie i dzieci w XIX wieku.

pisał, zabezpieczając go w obcych, a nie w rękach swych dzieci. Jeżeli dzieci potrzebują większego poświęcenia, niech rodzice ograniczą się więcéj, niech obszerniejsze mieszkanie na szczuplejsze zamieniają, obiad zmniejszą o jedną potrawę, wreszcie swoje potrzeby zredukują do minimum; będzie to dla nich nie ofiarą, lecz zadowoleniem serdeczném. Ale niech zachowają kąt własny, choćby najskromniejszy, najciaśniejszy. Niech nie zdają się na łaskę zięciów i synowych, a nawet synów i córek. Niech w ich rękach nie umieszczają fortunki, jaką sobie zostawili. Legouvé, z wielką trafnością tłómaczy powód zasady powyższej. Posłuchajmy słów jego: — „Dożywotnia pensya, tém samém, że jest trwałą, staje się powoli, dla płacącego, powodem do rozdrażnienia, chociażby dla tego, że się jednostajnie powtarza. Po upływie pewnego przeciągu czasu, pensya rodzicielska traci w oczach dzieci charakter długu, a przyjmuje charakter darowizny. W końcu sprzykrzy się im ciągle ją dawać. Co się zaś stanie, gdy przy złym obrocie interesów wypłata zacznie być męczarnią; gdy pochłonięty lub zmniejszony kapitał, zmieni obowiązkową wypłatę w ofiarę? Wtedy następują opóźnienia, prośby o umorzenie, przy każdym nadejściu nowego kwartału: — *Jakto już?* — zapytują w końcu zdziwieni, bo nie bardziéj nie skraca czasu, jak termin wypłaty”.

Gdyby rodzice narażali tylko siebie, nie należałoby może im doradzać takiej oględności; ale narażają oni swój stósunek moralny do dzieci, budząc w ich sercach mniej szlachetne uczucia. Jeżeli przeto miłość rodziców doradza im oddanie dzieciom więcéj, niż zostawiają dla siebie, zgoda; niech im oddadzą wszystko, co przekracza miarę najskromniejszego życia; ale niech oddawszy pałace, jeżeli je mieli, zostawią sobie zółwią skorupę dla zaspokojenia swéj starości, swoich przyzwyczajéń, nałogów, upodobań i wygód.

Oto reguła ogólna.

Wyjątki od niej muszą być liczne — nie przeczę. Ubogie rodziny muszą najczęściej całe przy jednym warsztacie pracy się gromadzić. Pracują tam nietylko dzieci, ale i rodzice i wspólność pracy zbliża wszystkich i skupia. Stara matka pilnuje wnuków i gospodarstwa, podczas gdy córka zarabia na życie pracą po-

zadomową. Stary ojciec wnosi do rodziny małą emerytalną pensją, która jest jedynym stałym dochodem wszystkich, lub zarabia jakimkolwiek innym sposobem. Bywają tam kłótnie i swary, ale nerwy ciężko pracujących ludzi są wytrzymalsze; małe burze nie stanowią nieszczęścia i pogoda po nich nastaje; wreszcie rodzice żadnych żalów w sercu nie żywią, nie dzieciom nie dali, ciężka praca utrzymywała ich w zależności przez całe życie, niezależności zatem nie utracili. Wiąże ich z dziećmi wspólny interes, niema tam mowy o dożywotnich wypłatach, wszyscy czerpią ze wspólnej kassy; praca zabija subtelności, sentymentalizmy; nie pozwala na ważenie każdego słowa na szali wyrafinowanej delikatności.

Wyjątek stanowi rzadki dobór charakterów, które rozkosz, nie trud, we wspólnym życiu znajdują. Bywają idealni zięciowie, synowe lepsze od córek, tak jak bywają zjawiska nadzwyczajne, zdarzające się raz w przeciągu wieku całego.

Rodzice więc spełnili już wszystko, gdy córki za mąż wydali, a synów wyposażyli? Więc należy im tylko pod brzemieniem wieku schylać się coraz więcej ku ziemi, w której znajdują wieczny spoczynek? U nas większa część rodziców tak się zapatrauje na resztki życia swojego. Pozwalają starości zapanować nad sobą, nad ciałem, nad uczuciami, pędzą życie beczynne, schodzą w pełni sił z pola życiowej pracy, zasklepiają się w sobie, wygasają powoli w uczuciach i pozwalają duszy umrzeć przed ciałem.

A jednak i starość ma swoje do spełnienia zadanie. Bóg nie mógł jej uczynić bezpłodną, obdarzając ją skarbem doświadczenia, wytrwałego sądu i beznamiętnych poglądów.

By korzystać z tych darów trzeba podtrzymywać w sobie ogień żywotny, potrzeba umieć kochać, nie tylko siebie jedynie. Ludzie, oddający się z zamyłowaniem jakiegobądź pracy społecznej nie mają starości. Śmierć zastaje ich na stanowisku. Pijus IX z całą przytomnością władz umysłowych zstąpił do grobu, otoczony błogosławieństwami świata; Thiers umiera, wywiązując się chlubilnie do końca z położonego w nim zaufania narodu; Maryja

Carpentier, w późnym już wieku, odbyła podróż do Indyj dla urządzania tam dobroczynnych zakładów; Moltke'go plany dają narodowi zwycięstwo; D'Izraeli, na schyłku dni swoich schwycił ster rządu żelazną prawicą; Hugo tworzy z uczuciem młodzieńca; Kraszewski z coraz bogatszą fantazyją wskrzesza przeddziejowe i młodociane życie narodu, hojną do zdumienia ręką kręśli obrazki społeczne, zasila wszystkie pisma i żadna struna w nas nie zadrga, któraby nie znalazła pierwój w jego sercu oddźwięku.

My zaś, po latach pięćdziesięciu, zaczynamy się uważać za starych i rozpoczynamy okres wegetacyjnego istnienia. Czynimy się starymi z upodobaniem, choć jeszcze nie jesteśmy nimi w rzeczywistości, a przecież gdy się chce, można ze starością walczyć długo, nim ona w końcu, jako zwycięzca, w progi nasze zawita. Stary żołnierz trzyma się prosto, chociaż już w szeregu nie staje: przyzwyczajenie strzeże jego ciało od przygarbienia starości. Takim przyzwyczajeniem w świecie moralnym — jest praca. Byle się z nią zrosnąć i rąk od niej nie odrywać, zostanie ona najmiłszą towarzyszką starości, jak była młodości piastunką. Dzieci mają zapał, energiją, rodzice zimną krew i doświadczenie; szanse są więc prawie równe i dla tego ci, co wcześniej schodzą na nieprodukujących członków społeczeństwa, są godnymi politowania, są to przed śmiercią — umarli.

Na to, by zgrzybiałość była świadectwem dobrego życia, by wzbudzała cześć i szacunek, by ją otaczała aureola zasługi, tryskająca jeszcze niezgasłym światłem i żywym prądem przykładu; trzeba, by starość nie usuwała się z koła żyjących i nie porzucała pracy.

Rodzice, wyposażając dzieci, mogą być jeszcze w pełni sił. Choć włos ich przypruszyła siwizna, a czoło pooraly zmarszczki, młodość wewnętrzna może jeszcze nie być wygasła i to wczesne układanie się z upodobaniem do spoczynku znamionuje słabość charakteru i fałszywe ocenienie szczęścia, upatrywanego nie w pracy, lecz w bezczynności. Rodzice mają obowiązki względem siebie, względem społeczeństwa, mają je też do końca życia względem swych dzieci.

Człowiek do śmierci uczy się i kształci; do śmierci odczuwać jest wstanie wpływ innéj osobistości, a gdy wpływ ten po-

chodzi od rodziców, gdy przewodniczy mu miłość dziecięca, jakże do końca wielkim, jak potężnym być może! Lecz nie trzeba pozwalać sobie porastać skorupą beczynności. Nietylko bowiem umysł i ciało odczuwają rdzę próżniactwa, ale i charakter, poglądy zatracają pod nią wszelką żywotność i, jak słońce za chmurami ginie dla naszego wzroku, tak prąd żywego wpływu rodziców rozkłada się w ich beczynności. Dzieci kochają ich, ale to uczucie jest podobne do tego, jakie żywi matka dla niemowlęcia; jest połączone z litością dla słabości. Dzieci dorosłe mimowoli odczuwają, że odpoczywający rodzice odeszli przed wieczorem, nie dożywszy zagona i mają ich za robotników opieszających. Nie ufają im, gdy mówią o życiu, które jest walką i pracą. Jest to nietylko naturalny wynik martwoty słów, którym przykład nie towarzyszy, nie tylko nieufność do teorii nie zastósowaniej w praktyce, ale słuszne niedowierzanie poglądom ludzi, wykolejonych z dotychczasowego życia, którzy sami wytrącili sobie z rąk kierunek pracy. Gdy tego kierunku zabraknie życiu pędzonemu czynnie, wszystko w wyobrażeniach i usposobieniu wykrzywia się, bo poczucie w sobie siły, bez możności lub chęci jej użycia, spowodza wewnętrzne bankructwo i utratę równowagi.

Jeżeli więc rodzice nie są jeszcze zgrzybiali, lub niedołężni zupełnie, niech nie ustają w pracy, czy ona jest zarobkowaniem na byt własny, czy jakim bądź społecznym zajęciem. Tym tylko sposobem utrzymają wpływ na swe dorosłe dzieci, nie przez wymaganie bezwzględного posłuszeństwa, lecz oddziaływanie doświadczenia, wytrwałości, indywidualnych przymiotów i miłości. A jakże często oddziaływanie to potrzebne jest dzieciom; jak w każdym niebezpieczeństwie, nieszczęściu, niepowodzeniu, zawodach — zwracają one wzrok ku rodzicom! Nie jedna matka pogodziła córkę swoją, poważnioną z mężem, nie jeden ojciec dał dzieciom radę skuteczną w chwilach niepowodzenia. Dla wnuków dom patryjarchalny dziadków bywa szkołą życia. Nie raz we wspomnieniu zostaje im nazawsze pamięć dziadka, otoczonego szacunkiem i niosącego jeszcze dań pracy społeczeństwu i rodzinie; obraz babki, pełnej młodzieńczości uczuć pod znękaną laty i życiem powłoką, zapominającej o dolegliwościach starości,

garnącej do swego serca wszystkich, którym służyć może. Każdy dom, do którego ta para starców wchodzi, uczuwa jakby spływające błogosławieństwo boże. Miłość ich dzieci łączy się z czcią, najgłębszą. Ci starcowie, trwający na placówce obowiązku, to relikwie. Samo zbliżenie się do nich ulepsza i uzacnia; a gdy wreszcie niemoc zgrzybiałości uczyni ich niezdolnymi zupełnie, wówczas mogą pozwolić dzieciom otoczyć swą słabość silnym ramieniem i dać im uczuć szczęście pielęgnowania podeszłych lat rodzicielskich. Dzieci te same już są ojcami i matkami; ich uczucia przeszły owo wielkie przetworzenie rodzicielstwa, które nazwać by można—odkupieniem miłości.

Zgrzybiali wreszcie rodzice są znikającymi cieniami. Oni już odchodzą. Każdy dzień ich pobytu na ziemi jest darowany. Ich siwiejące dzieci starają się podtrzymywać gasnące życie. Jest to jakby chwila pożegnania tém droższa, że ostatnia. — Starość niesamolubna niesie w sobie naukę, niesie ją i zgrzybiałość, wzbudzająca cześć i będąca żywą przestrogą, że każda młodość w nią się kiedyś zamieni, jeżeli nie zniknie przed czasem i wtedy życie tylko tyle będzie warte, o ile było pożyteczne i dobre.

Sama śmierć ma swoją wymowę i naukę.— „Nauczę mego syna umierać”—mówi idealny ojciec Legouvé’go.

Zbliżenie się rodziców w podeszłym wieku do grobu, owo *zасыпianie w Bogu*, rzuca w duszę żyjących wielkie i głębokie myśli. Śmierć cnotliwego zachęca do cnoty. Rodzice wydarcy są dzieciom, ale ich pamięć żyje pośród nich i często, w godzinie wahania się między dobrem a złem, ku pierwszemu zachwiane ich kroki kieruje.

Przykład więc i cnota rodziców i z poza grobu przemawiają jeszcze do serca ich dzieci.

ROZDZIAŁ XVII.

Ogólny sposób nauczania. Nauka rysunku. Nauka czytania i pisania. Nauka języka ojczystego. Języki obce. Nauka rachunków. Nauki przyrodzone. Geografia. Historia.

Wychowawca, przystępujący do kształcenia umysłu wychowanka, przede wszystkim powinien sobie jasno zdać sprawę z tego, czém jest umysł ludzki, jakie są drogi, które przebyć musi w swoim rozwoju i jakie prawa zaznaczyła natura dla jego postępu.

Jakkolwiek trudno zakreslić granice tego rozwoju, „sztuka w swém działaniu musi się liczyć z owemi przyrodzonymi prawami. Drogi natury, czyli forma rozwoju, jakiej poddany jest umysł, sama w sobie jest niewzruszona i wieczna i dla sztuki, jaką jest wychowanie, musi być pierwowzorem”.*) Badając ową nieomylną mistrzynią, widzimy, że zmysły są pośrednikami, za pomocą których otrzymujemy wrażenia, składające w umyśle naszym obrazy, z których dopiero wysnuwają się pojęcia. Dziecię od pierwszych chwil prawie wyteża słuch i wzrok, wyciąga ręce, by dotknąć wszystkiego, co widzi. Zmysły jego budzą się pierwsze i wpływ natury na nie przyczynia się do dobrego umysłowego rozwoju. Powoli z pojęć prostych, powstają pojęcia złożone, ale „umysł nie może posiadać nic, coby nie było podaném mu początkowo przez zmysły.”**)

*) Pestalozzi. *Wie Gertrud ihre Kinder lehrt.*

**) Schumann, *Leitfaden der Pädagogik.*

W swoim więc rozwijaniu się nienaturalnem, w swęj własnej, nie kierowanej przez nikogo prac umysłowej, dziecko postępuje bezwiednie sposobem—*indukcyjnym*. Od obserwacyi częściowych i wyobrażeń przechodzi do pojęć coraz więcej złożonych, jakie swą inteligencyją ogarnąć może.

Człowiek, zdobywający jakąkolwiek wiedzę, nie inaczej ją zdobywa, jak tylko ze spostrzeżeń doraźnych, tworząc sobie później teorię naukową. Abstrakcyja wszelka musi nastąpić dopiero, jako wynik badań częściowych. Gramatyka tylko na podstawie praktyki językowej się tworzy; filozofiją musiało uprzedzić życie, musiała uprzedzić historyję; śpiewano i grano przed utworzeniem kontrapunktu i harmonii; geografija dla pierwszego człowieka była tylko znajomością najbliższych okolic i dopiero zwolna ludzie zbudowali tę ogromną naukę, która nam ziemię w jej całokształcie, jak i w najdrobniejszych szczegółach opisuje.

Tylko więc za pomocą indukcyi ludzkość krok za krokiem zdobywała sobie wiedzę, w jaką dzisiaj jest tak bogata. I ona, jak dziecię od kolébki poczynając, szła ową przez naturę wyznaczoną drogą, bo zarówno postęp jednostki, jak i społeczeństw, tym samym podlegać musi prawom. I „jakkolwiek świat w ogóle ciągle idzie naprzód, młodzież musi zawsze od początku zaczynać i człowiek, jako indywiduum, musi przebiec wszystkie epoki postępu.” *)

Wskazówki więc z życia i natury czerpane, doprowadziły myślicieli pedagogów do wniosku, że tylko za pomocą metody indukcyjnej podawana nauka może być zgodna z przyrodzonym rozwojem umysłu ludzkiego; że zdobywanie praktyki przed teorią, obserwowanie pojedynczych zjawisk przed teoretycznym wykładem przyczyn, doświadczenia empiryczne przed uogólnianiem ich za pomocą sformułowanego prawa — jest najwłaściwszym sposobem postępowania z młodocianym umysłem. Światło indukcyi, przyświecające ludzkości w jej cywilizacyjnym pochodzie powinno również przewodniczyć tej wielkiej pracy, jaką w młodości

*) Goethe. Dichtung und Wahrheit aus meinem Leben.

umysł ludzki przebywać musi, aby sobie przyswoił, choćby pewną gałąź nauki.

Dla ułatwienia téj późniejszej pracy, pierwsze lata dziecięcia spożytkować należy na kształcenie zmysłów, przedstawiając im jak największą ilość wrażeń. To, co w przyrodzie znajduje się rozproszone, zbierając i podając w porządku; co oddalone, zbliżając; wreszcie co zawikłane, rozplątując dla przedstawienia zmysłom dziecka w przystępnej szacie. Kształcone zmysły nabięrają coraz większej wrażliwości i siły; stąd coraz większą ilość pojęć do umysłu przenoszą.

Wrażenia, chwymane przez nie, stają się dokładniejsze i znaczą się trwalej w myśli, rozbudzając czynność jej doraźną i przygotowując w niej grunt do późniejszej pracy.

W wieku pierwszego dzieciństwa wszystkie wrażenia, udejadające zmysły, powtarzają się wielokrotnie. Nie są to obrazy, znikające po jednorazowym okazaniu się, przeciwnie, powtarzają one codziennie swoje działanie na zmysły. Światło, ciemność, dźwięki głosu ludzkiego, przedmioty miękkie, twarde i różne ich kształty, wywierają wpływ na dzieci wprzód dosyć długo, nim ono je rozpozna dokładnie. Tak samo przy nauczaniu początkowym, na pojęciach elementarnych, pierwiastkowych, na najniższych stopniach, nauczyciel winien długo się zatrzymywać i nie postąpić ani kroku dalej, póki owe podstawowe pojęcia nie wnikną w umysł dziecka tak głęboko, że ich nie wzruszyć nie zdoła. Jeżeli są chwiejne i powierzchowne, nie trzeba iść dalej, bo gmach budowany na podwalinach kruchych nigdy trwałym nie będzie; bo nadto nauka, przekraczająca obręb pojęcia wychowawca, jest budowaniem w powietrzu. Nie chcąc tedy tego błędu popełnić, należy od początku badać naturę umysłu i uzdolnienie wychowawca; uwzględniać jego indywidualność; zdawać sobie dokładną sprawę ze stopnia rozwoju, na jakim umysł jego się znajduje i z tego, w jakim stopniu już przyswoił sobie umiejętność danej gałęzi wiedzy.

Powtarzanie jest tu nieodzownym warunkiem. Oprócz wierszy i prozy, których się dziecko uczy dla kształcenia pamięci i które, jako środek pomocniczy zapominane przez nie z czasem

być mogą; wszelka inna nauka, raz przyswojona, powinna pozostać w umyśle w ciągu dalszego nauczania.

Postępując w nauczaniu zawsze od przedmiotu bliskiego do oddalonego, od łatwiejszego do trudniejszego, od pojedynczego do złożonego; podając naukę powoli, stopniowo i dokładnie; możemy, nie wysilając władz intelektualnych dziecka, iść w nauczaniu równoległe z rozwijającym się jego umysłem.

Przez lekcję dzisiejszą, uczeń tak powinien być przygotowany do lekcji jutrzejszej, ażeby mógł sam następne odkryć jej ogniwo. Dziecię, przyzwyczajone do myślenia i kombinacyj przez naukę o rzeczach, nabiera upodobania w wyprowadzaniu konsekwencyj do tego stopnia, że prawda, wygłoszona przez nauczyciela, a przygotowana poprzednimi lekcjami, wydaje mu się wynikiem naturalnym i racjonalnym do którego samo wprzód już instynktowo dochodzi.

Takie nauczanie można porównać do powolnego wstępowania na wyżynę, które nie męcząc, odkrywa dla oka coraz nowe widoki i, prowadząc zwolna do szczytu, wzbudza ciągle zajęcie i wewnętrzne zadowolenie. Zadowolenie to, towarzyszące zawsze naturalnemu przyswajaniu sobie pojęć, jest zarówno bodźcem w nauce, jak i czynnikiem ułatwiającym jej zdobycie, bo rozbudzając czynność umysłu, usposabia go tém samém do jej przyjęcia. Nauczyciel przeto powinien tak wybierać i przygotowywać pracę, jaką daje do odrobienia uczniowi, by ta budziła w nim zajęcie i ochotę do jej wykonania.

Że jednak nauczanie, nie tylko samą wiedzę powinno mieć na celu, ale i kształcenie charakteru i przekonań ucznia; zatem interes, wzbudzony nauczaniem, musi być bezpośredni, to jest wywołany samym przedmiotem i musi przedmiot ten wyłącznie mieć na celu. Działanie wychowawcze nauki osłabia się, gdy obudza pośredni tylko interes i służy nie za cel, ale jako środek do jego osiągnięcia wiodący. Nauka, gdy ochotę do niej podnieca nadzieja nagrody, obawa kary, pragnienie wyróżnienia się przez otrzymanie dobrej cenzury i t. p., ma nader wątpliwą pedagogiczną wartość, bo wyklucza взгляд na moralne wykształcenie, które cel główny stanowi.

Względ ten na ogólne wykształcenie, na rozwinięcie i spożytkowanie wszystkich władz umysłowych, jakimi uczeń rozporządza, wymaga, by wiadomości, które mu podajemy, nie były odosobnione, lecz ściśle połączone ze sobą. To wcale nie znaczy, że wykład nauki ma w sobie cały zakres wiedzy obejmować, ale że przedmioty naukowe nie powinny pozostawać w umyśle, oddzielone jedne od drugich. W nauczaniu, mianowicie początkowym, należy wyprowadzać jeden szczegół z drugiego, łączyć pokrewne sobie przedmioty, bo w wychowaniu wszystko powinno wspierać się i dopełniać wzajemnie. W przyrodzie widzimy tę zależność wzajemną przedmiotów, to związanie ich w tak nierozzerwalny łańcuch, że przeskok gwałtowny nigdzie zauważyć się nie daje. Odbieranie wrażeń ze świata zewnętrznego wywołuje ciągle kojarzenie się jednych wrażeń z drugimi—nie odosobnionego nie występuje. Nauczanie, również prawom tej ciągłości odpowiadać powinno. Przy takiej metodzie wychowanie uczy się kombinować, kształci swój sąd i tém łatwiej cel nauki pojmuje, gdy mu się ona nie przedstawia w odosobnionych i luźnych zarysach.

Nauki ścisłe większej jeszcze i innego rodzaju wymagają po nauczycielu zdolności, niż nauki społeczne. Do tych ostatnich można obudzić interes, ułatwić je stopniowaniem i urozmaicaniem wykładu; przy nauczaniu zaś pierwszych można bystrość ucznia do tego stopnia rozwinać, że ten sam dochodzi do wykrywania prawd wyższego rzędu, na mocy prawd pierwój poznanych. Samopomoc ta, od najmłodszego wieku stósowana w nauce, przynosi nieobliczone korzyści.

Dziecku podają się środki i prostujące wskazówki; ale również daje mu się sposobność odkrywania prawd samemu. Metoda ta ani na chwilę nie pozwala na mechaniczną czynność umysłu i tym sposobem ułatwia naukę, że daje taką siłę i trwałość wrażeniom, jaką tylko doświadczenie własne dać może. Każda prawda, którą uczeń sam odkrył, każde zagadnienie, które rozwiązał, staje się trwałą jego zdobyczą, której wartość rzeczywistą z całą świadomością we własném przekonaniu ocenia.

Nauka, w ten sposób prowadzona, jest nietylko trwałym nabytkiem, lecz zarazem obudza i chęć do dalszego postępu.

Obok tego, spotęgowana zdolność myślenia logicznie, wytrwałość w poszukiwaniu prawdy, dopóki ta przed nami nie wykryje się w całości, zatrzymanie w umyśle, już poprzednio zdobytej wiedzy, bez czego wszelki postęp jest niemożliwy; oto korzyści, jakie otrzymujemy z nauki, podobną prowadzonej metodą, która, jako zgodna z naturą, nie może tém samém wyczerpywać sił wychowawca.

Takie rozwijanie sił umysłowych samo z siebie wypływające, jest ideałem pedagogiki obecnych czasów.

Rzecz niezawodna, że przy coraz nowych odkryciach i wzrastających wymaganiach naukowych, jedynie tym sposobem można uzdolnić umysł ludzki do objęcia coraz większych nabytków wiedzy i, czyniąc naukę przyjemną, nie osłabiać ciała przez nadmiar pracy umysłowej.

Dla dania dotykального przykładu, czém owa samopomoc w nauczaniu być może, wypada powiedzieć, że np. miary i wagi, powinny być dziecku okazywane w naturze i że ono samo powinno ich podziału dochodzić, oraz poznać zastosowanie według wskazanego mu sposobu ich użycia. Jest to rzecz elementarna, wszakże mnóstwo dzieci, mówiących o korcach, garncach, centnarach, łutach, łokciach, calach, prętach, miar tych i wag nie widziało; są więc one dla nich abstrakcją. Rachunek początkowy ma być podobnież na przykładach dotykalnych prowadzony. Niech dziecię rachuje choćby fasolę, byle liczby, które wymawia, nie były dla niego pojęciem oderwaném. Spencer, Tyndall i inni radzą uczyć stereometrii na figurach kartonowych; używać sześciątów, dających się rozkładać na części, aby uczeń mógł w praktyce odkryć te prawdy, które później formuły mu uogólnią. Tyndall opowiada, że będąc nauczycielem matematyki, odrzucił zupełnie rutynę książkową i otrzymywał „postępy zdumiewające”, wyzyskując własną inicjatywę dzieci. Musiały one wszystko same odkrywać i znajdować. — „Dzieci te, raz zakosztowawszy rozkoszy, jaką daje każda zdobycz intelektualna, szukały sposobności do nowych odkryć”, były niemi uszczęśliwione, a nauka stała się dla nich „zdrowém i radosném rozwijaniem sił umysłowych”.

Dziecię więc, uczące się w ten sposób, jest szczęśliwe. Nie czuje ciężaru nauki, natężenie jego umysłu jest dobrowolne, naturalne; szuka znajduje i to je przejmuje radością! Gdyby nauczanie tą metodą żadnej innej nad dawną rutyną nie miało wyższości tylko tę jedną, że dziecku daje zadowolenie i że jego lata chłopięce ozlaca promieniem radości, jużby matki powinny wdzięczne dłonie ku takiemu nauczaniu wyciągać i, o ile to się okaże możliwem, w wychowanie domowe je wprowadzić.

Wykładana podług dawniej metody nauka jest męczarnią dla dziecka. Nie pojmuje ono wcale, na co jest mu ona potrzebna, na co na przykład uczy się ułamków prostych i dziesiętnych, na co mu się każą uczyć części mowy, z których każda występuje określona formułą, nim się dziecko nauczy rozróżniać ją w języku? Jest to wyprzedzanie następstw naturalnej logiki, zmuszanie umysłu do przeskakiwania całej ogromnej przestrzeni, która dzieli spostrzeżenia doraźne od ogólników, będących ich ostatecznym wynikiem.

Jeszcze dzisiaj można spotkać dzieci, o których rodzice mówią, że umieją cztery działania. I rzeczywiście mechanicznie i bezmyślnie umieją one dodawać całe kolumny cyfr, wypisanych jedna pod drugą i odejmować długie rzędy liczb jednych od drugich, oraz mnożyć, a nawet, jak się jedna matka chwaliła przede mną, dzielić przez dziewięć; ale nie umieją objaśnić sobie tych działań, a często i stosować ich do najłatwiejszego przyładu.

Wprawdzie użyteczność dodawania i odejmowania niektórych dzieci rozumieją intuicyjnie; ale czém właściwie jest mnożenie lub dzielenie, tego one nie wiedzą, ani pragną dochodzić umysłem, przygnębionym fałszywą nauką.

Takich dzieci jeszcze można setkami, tysiącami naliczyć. Do tych należą także te nieszczęśliwe istoty, które od reguł gramatycznych zaczynają naukę języka! Ileż z nich trawi smutne i ciężkie godziny nad tą pracą niewdzięczną, którą nazwałby można gwałciicielką przyrody. Sylabizowanie kwitnie jeszcze w najlepsze w tych domach, gdzie rodzice, mając mało styczności ze światem wiedzy i postępu, nie domyślają się nawet innego sposobu nauki czytania. Geografija rozpoczyna się

nieodmiennie od wyliczania części świata, oceanów, rzek, gór, miast i t. d. w wieku, w którym uczeń nie jest wstanie pojąć ziemi, jako sfery, podzielonej na lądy stałe i wody.

Dodać do tego należy, iż rzadko w którym domu globus się znajduje. Znałam sześciolletnią dziewczynkę, którą babcia na pamięć uczyła wszystkich krajów Europy, oraz ich miast stołecznych. Dziecina z namaszczeniem powtarzała: „Miasto stołeczne Francyi—Paryż; miasto stołeczne Hiszpanii—Madryt i t. d. I cóż to znaczy miasto stołeczne?—zapytałam dziewczynki. Nie umiała mi odpowiedzieć na to pytanie. Czy to dom, ogród, czy tam są ludzie, czy też las może? Dziecię nie wiedziało. Wychowana na wsi, nie była nawet nigdy w mieście większem, a mała mieścina, którą znała, nie mogła jęj dać pojęcia o tém, co to jest miasto. Tém mniej mogła wiedzieć, co jest stolica kraju. I tu, jak w innych razach niestety, dałyby się przytoczyć słowa Mann'a:— „Nauka sama jest dobrą dla umysłu ludzkiego, tylko nauczanie może ją uczynić złą i niewłaściwą”.

Inne dzieci powtarzają długie ustępy poezyi, której rozumieć nie są wstanie. To wszystko składa się na przytępienie umysłu do tego stopnia, że dziecko nie czuje nawet potrzeby rozumienia tego, co usta machinalnie powtarzają. I nie może być inaczej, gdy każda nauka zaczyna się od zapytania—czém ona jest i jakie jęj zadanie? Niezliczone pokolenia wychowały się na tym systemie; pytano zawsze dziecka na samym wstępie:— „Co to jest geografia? Co jest gramatyka? A uczeń, jak nakręcona maszynka, odpowiadał bez zająknienia:—„Geografia jest to opisanie ziemi, na której mieszkamy i t. d.”

Ileż to dzieci, odpowiadających tak płynnie, nie rozumiało treści swęj odpowiedzi, a nauczycielowi wcale o zrozumienie nie chodziło!

Dzisiaj ruszamy ramionami na wspomnienie tych czasów, tak niedawno ubiegłych. Dzisiaj wołamy: ależ takie określenie nauki, to jest wniosek, jaki można uczynić dopiero po jęj poznaniu! Gramatyka, nauczywszy nas zasad języka i jęgo poprawności, ułatwiwszy dobrze nim pisanie i mówienie, wtedy dopiero cel swój nam ujawni. Cóż więc za potrzeba uczenia dziecka

wstępne frazesu, który dla niego musi być pojęciem abstrakcyjnym jedynie?

Pierwsze lata dziecięcia, spożytkowane na rozwinięcie jego zmysłów, mających z umysłem bezpośredni stósunek, powinny były obudzić czynność doraźną myśli, pragnienie tłómaczenia sobie wszystkiego, co za pomocą owych pośredników naturalnych, powinno było poruszyć działalność samego umysłu. Tymczasem uczenie się formulek, bez ich rozumienia dokładnego, jest jakby obliczone właśnie na przecięcie stósunku między zmysłami a umysłem. Ucho przeprowadza wyrazy do pamięci, w takim kształcie, w jakim je podano; ale pomiędzy umysłem a pamięcią wznosi się powoli mur chiński i podczas, kiedy pamięć wyrabia się machinalnie, umysł pozostaje beczynnym. Wiemy wszakże, że jedyny sposób rozwijania organów, polega na ciągłym wprowadzaniu ich w czynności. Wyrazy zawierające pojęcia abstrakcyjne, owe kwiaty mowy cywilizacyi, które zdobywała sobie, przygotowawszy pierwój dla wyrazu—ciało żywego uczucia, pojęcia, lub wiedzy; takie wyrazy nie mogą być zrozumiane przez dziecko, którego umysł nie został przygotowany poprzednio przez takie same poszukiwania, z jakich pomocą ludzkość je zdobyła.

Czy jest sposób udzielania odpowiedzi jasnej i zrozumiałej, pięcioletniemu dziecku, pytającemu nas na przykład:—„Co to jest rezygnacyja, poświęcenie, przestrzeń i t. p.?” — Czy można dać pojęcie prawdy, przedstawionej pod postacią abstrakcyjną, wprzód, nim ją damy poznać w formie konkretniej? Będzie to zawsze wyobrażenie niejasne, luźnie w umyśle zostające, nie związane bynajmniej, z szeregiem pojęć, jakie się złożyły na jego wydanie. Tak samo rzecz się ma z formułami, które będąc uogólnieniem faktów pojedynczych, mają racyjną bytność dopiero po uprzednim owych faktów poznaniu. Spostrzeżenia empiryczne, doraźne, uprawiają w umyśle dziecka grunt pod teorię. Bez nich jest ona odcięta w umyśle od ciała, które ją wydało.

A zatem fakta przed ogólnikami, wiadomości pojedyncze przed teorią, pojęcia proste przed pojęciami złożonemi, przykłady przed zasadą, forma konkretna przed formą abstrakcyjną.

Oto są zasadnicze prawa dzisiejszej metodyki. Czy przyszłość położy na nich swoją sankcją? Odgadnąć trudno. W każdym razie są one tak stanowczym postępowaniem odnośnie do dawniej, zabójczej w nauczaniu rutyny, iż dziś żadnej wątpliwości w umyśle nie zostawiają co do nieomyślności zasady, jaką się kierują. Dość jest przyjrzeć się dzieciom i ich naturalnemu usposobieniu, żeby się o tém, gdzie leży prawda przekonać.

„Ludzie rysowali długo przed tém, nim pisać zaczęli. Gdy Hiszpanie przybyli do Meksyku, jego mieszkańcy nie mieli alfabetu. Opowiadanie ich o wyładowaniu Hiszpanów, przesłane do Montezumy, było wyrażone pismem malowaniem, czyli za pomocą obrazów, wystawiających wypadek. W piśmie chińskim dwie kobiety zwrócone twarzą do siebie znaczą: klótnię; ptak na gnieździe: zachód słońca i t. d. Od rysunku zaczynała ludzkość, od rysunku zaczyna dziecię w swoich naturalnych popędach, gdy kręda, ołówek, węgiel, służą mu do niezgrabnego odwzorowania przedmiotów, gdy wszystkie znalezione lub wyproszone kawałki papieru okrywa rysunkami, widząc rzeczywiste kształty ciała ludzkiego i zwierzęcego w postaciach niezgrabnych figur, wytwarzanych przez się z takim upodobaniem.

Wiele upłynęło czasu, nim się spostrzeżono, iż z tej dziecięcej skłonności należy korzystać, że zadaniem wychowania jest dać pomoc wrodzonym usiłowaniom dziecięcia. Dotąd wszakże mało osób zdaje sobie sprawę z użyteczności rysunku i z rodzaju korzyści, jakie kształcenie się w nim przynosi, jak również ze sposobu, w jaki udzielać go wypada. Rysunek uważa się zwykle w wychowaniu, jako talent; zatem, jako przedmiot dodatkowy, nie przynoszący nic prócz przyjemności i towarzyskiego popisu; nauczanie go jest więc odkładane do czasu, na który przypada, tak zwane *dokończenie edukacji*. Wówczas matki starają się dać córkom nauczyciela rysunku i wtedy to wychodzą z pod palców dziewczyńskich mozolnie odtwarzane z wzorów kwiaty, widoki i głowy, spoczywające następnie w jakiejś zapomnianej szufladzie i do żadnego rezultatu artystycznego nie doprowadzające młode osoby.

Później sama dziwi się sobie, jak mogła narysować tę głowę! Zapomina, że nauczyciel daleko więcej, niż ona do jęj odtworzenia się przyczynił.

O nauce rysunku elementarnój niema mowy w naszym wychowaniu domowém, chociaż pedagogowie uznają ją za niezbędną. — „Nauka rysunków w wychowaniu elementarném niema sposobie dziecka na malarza lub sztukmistrza; ale jak każdy przedmiot, którego celem jest kształcić władze umysłowe, dążyć winna głównie tylko do tego, aby budzić i rozwijać uśpione w dziecku zdolności do tworzenia i składania pewnych form i figur. To znowu, budzi z czasem uczucie piękna i symetrii, z tego zaś wypływa konieczne uczucie i zamięłowanie czystości, ładu i porządku. Krom tego nabywa tu uczeń stopniowój wprawy i zdolności do rysowania tego wszystkiego, czego po nim stósunki, w których się znajdzie, i przyszły zawód jego wymagać będą.” *)

Czas byłoby zreformować dotychczasowy stan rzeczy, rozszerzając aż do kółek rodzinnych pojęcia, znajdujące już zastosowanie w wielu szkołkach elementarnych; czasby się spostrzedz, że skłonność dziecka do rysunku wyzyskać koniecznie należy, że inaczej siły, złożone w niem przez naturę, nie rozwiną się wpelni, ale owszem stłumione zostaną przez wychowanie fałszywe, usiłujące rozwinąć to, czego w dziecku niema, a nie biorąc w rachunek naturalnych jego popędów.

Nie każde dziecię śpięwa lub wygrywa sobie na fortepianie, znane ze sluchu piosenki; lecz każde bez wyjątku rysować lubi. Popęd to naturalny w każdym dziecięciu i, byle dobra wola rodziców, byle możność dania pomocy naukowój, a przybywa w wychowaniu srodek wielkiej wagi i pożytku. Dla chłopców w wielu zawodach rysunek jest koniecznie potrzebny; kobięta, jako przyszła wychowawczyni, mająca za jedno z głównych zadań zaszczepienie uczucia piękna, oraz utrzymanie porządku domowego i ładu, znać się na nim bezwarunkowo powinna. Poczynanie w późniejszym wieku od sztrychów, linij

*) August Jeske: *Pedagogika*.

i t. d., a kończenie na głowach starców i pięknych klasycznie kobiet, nie daje właśnie tój korzyści, jaką dzisiejszy elementarny rysunek zapewnia, ani też dopomaga do kształcenia oka i ręki. Nadto nie wyzyskuje tych zdolności i upodobań, jakie natura dała dziecięciu; wreszcie w daleko niższym stopniu budzi uwagę i rozwija pojęcie piękna i symetrii. W nauczaniu elementarném, idzie przede wszystkim o wykształcenie oka, o rozwinięcie zmysłu spostrzegawczego. Dziecię, załedwie ołówek lub krédę utrzymać w ręku jest w stanie, już odtwarza na papierze lub tablicy otaczające je przedmioty.

Przy pomocy wyobraźni wystawia sobie, iż wyrysowało dom rodzinny, konia, na którym ojciec jeździ, człowieka, psa lub krowę. Trzeba więc z tego popędu skorzystać i zachęcić je do rysowania z natury, ale rzeczy łatwiejszych. Domy, okna, książka, lampa, ławka, zegar, konewka i t. p. przedmioty w wysokim stopniu zajmują dziecię, uczą je rozróżniać kierunek linii, patrzeć uważnie, a skoro mu się raz i drugi wskaże sposób postępowania, wtedy nawet szybko pewnej wprawy nabywa. Z kolei można przejść do ludzi i zwierząt. Niech dziecię rysuje na papierze nieglansowanym, ołówkiem miękkim, żeby nabywało od razu lekkości i pewności ręki. Wzory rysunkowe zastępują tylko naturę, nigdy jednak nie zastąpią okazów żywych. Nie trzeba wszakże dziecku wzbraniać przerysowywania obrazków, jeżeli ma do tego ochotę. Również jego namiętność do ich oglądania trzeba wyzyskać, zwracając jego uwagę na najdrobniejsze szczegóły i nie pozwalając na bezmyślne przewracanie kart książki, gdy dziecię ledwo okiem rzuci na obrazek i już szuka nowego.

Owszem niech dziecię często powraca do oglądanego już obrazka; niech za każdym razem wykrywa jakiś szczegół, a gdy mu się zdarzy przyjemność widzenia nowego rysunku, niech matka lub nauczyciel zwróci jego uwagę na nieznane dotąd piękności i szczegóły, a nawet błędy. Umićć patrzeć — to już połowa zdobytej do rysunku wprawy.

Zajęcie się nauczyciela wzbudza zajęcie i w dziecku; niech więc ono widzi, że jego kierownik nie patrzy obojętnie i z lekceważeniem na jego pracę, że się nie wyśmiewa z jego

próbek, że niezasłużenie ich nie chwali. Obok niedołęznego konia, nakreślonego przez dziecko, niech nauczyciel wyrysuje drugiego i wskaże różnice, błędy i braki; na przechadzce zaś niech porówna te rysunki z kształtami konia żywego i, o ile można, zaprawia dziecię do umiejętnego patrzenia, porównywania i śledzenia natury linii i konturów. Kształcąc tak oko, trzeba zawsze iść od przedmiotów o liniach prostych do linii krzywych; od powierzchni płaskich do bryłowych; od konturów, jak najmniej skomplikowanych, do trudniejszych, nie tamując przecież popędów naturalnych ucznia i stósując się do rodzaju jego upodobań i zdolności.

Pierwsze próby rysownicze małego dziecka, pierwsze ujęcie przez nie ołówka i usiłowanie odtworzenia, którego z otaczających je przedmiotów, już jest pierwszą lekcją rysunku. — Nie należy tylko wymagać od dziecka zbytnej dokładności, równości linii i piękności odrobienia. Zachęcać — nie zniechęcać je trzeba. Jego mała rączka nie może mieć dostatecznej pewności; wreszcie pewność ręki znajdzie się z czasem, byle oko nauczyło się chwytac kształty, kontury, linije; byle tak umiało patrzeć na formy przedmiotów, by raz widziane, mogły się wyrzyć w pamięci.

Lekcye rysunku niech w dziecku obudzają uczucie przyjemności. Widziałam dzieci spieszące do nich, jak na zabawę i jeżeli naukę muzyki trudno zajmującą uczynić, bo czytanie nut i gamy, nużą niesłychanie cierpliwość dziecka, to naukę rysunku można zrobić interesującą i przyjemną.

Na sposób siedzenia, trzymania papieru i ołówka od razu zwracać trzeba uwagę, i nie pozwalać na nabywanie złych przyzwyczajeń, co jest stokroć łatwiejsze, niż odzwyczajanie od nich później. Takie od razu nabyte dobre przyzwyczajenia dadzą stopniową wprawę ręce. Nie ulega wątpliwości, że gimnastyka palców, jaką daje początkowe rysowanie, jest do późniejszego rysunku bardzo potrzebną. Im bystrzejszym wzrokiem dziecię chwytac będzie kształty przedmiotów, im je dokładniej odrabiać potrafi; tém palce większej nabywać będą wprawy. Dopiero późniejsza, wyższa nauka, może zaprawić do pewności sztrychu, do odrobienia od ręki wzoru w tych samych rozmiarach, w jakich

się oku przedstawia; do zmniejszania i powiększania przedmiotów, w miarę żądania; do perspektywy, cieniowania, uwagi na padające światło, na cień rzucany na przedmioty, co najlepiej wskaże sama natura. Rysunki ornamentacyjne należą już do właściwej nauki, która bada styl, piękno linii, kompozycję, jej zalety, odnośnie do estetycznych wymagań.

O téj wyższej szkole rysunkowej mówić nie będziemy. To już sztuka i to jedna z najpiękniejszych. Matka niech stara się tylko przez elementarną naukę rozwinąć wrodzone dziecka zdolności; niech jego oko nauczy się patrzeć, ręka być posłuszną wskazówkom wzroku, umysł i serce odczuwać piękno.

Mówiliśmy przed wszystkimi innemi naukami o rysunku, bo ten jest naturalnem przygotowaniem do nauki pisania bo kształcąc oko i rękę, ułatwia o wiele zadanie. Prowadzony systematycznie, np. podług metody Froebła, zaznajamia dziecko ze wszystkimi zasadniczymi kształtami, z których powstają litery pisma.

Za pomocą téj metody dziecięce uczy się poznawać różne kierunki linii: pionowy, poziomy, ukośny, czyli pochyły od ręki prawej i pochyły od ręki lewej; wreszcie różne ich kształty: półkole, koło, półkole zwrócone od ręki prawej, półkole zwrócone do ręki lewej i t. p. Za zrozumieniem wyrażen idzie wykonanie, kształcące oko i rękę. Stopniowo przechodzi do pisania liter.

Że czytanie z pisaniem zostaje w najbliższym związku, gdyż jest bezpośredniem jego następstwem, więc téż obie nauki, w początkach jednocześnie prowadzone być winny. Gdy dziecięce umie już czytelnie pisać samogłoski, powoli wprawia się łączyć z niemi spółgłoski. Ustosunkowanie postępu jest nader ważną rzeczą. Trzeba od sylab dwuzgłoskowych, przechodzić do trzygłoskowych, wybierając najprzód najłatwiejsze i tak prowadzić ucznia stopniowo, by nigdy złożenie sylaby trudniejszej, nie przyszło mu niespodzianie, bez poprzedniej znajomości kombinacyj łatwiejszych.

Każdy nowy, w ostatnich czasach wydany elementarz, może być pomocą w usystematyzowaniu początkowego pisania

i czytania. Na tym pierwszym stopniu nauczania dziecię uczy się tylko pisania alfabetu i to ułatwia mu zadanie. Nadmienię tu wypada, że spółgłoski nie powinny być przez dziecię wymawiane podług ich nazwy w alfabecie przyjętęj; ale podług ich brzmień właściwych; inaczej występuje wszędzie już potępione sylabizowanie. Dziecię nie może zrozumieć, dla czego dźwięk *be* i dźwięk *a* składają sylabę: *ba*, i uczy się mechanicznie, powtarzając jedynie to, co nauczyciel wskazuje. Przy pisaniu dziecię odrazu powinno wymawiać każdą sylabę wyraźnie, nie sylabizując jęj, czyli składając z pojedynczych, oddzielnie nazywanych dźwięków. Te wszakże dzieci, które bądź same czytać się nauczyły, bądź przy pierwszych wskazówkach okazują intuicyjną do niego zdolność; te dzieci mówię, niech idą za popędem wrodzonym, przy czém czytanie musi o wiele prześcignąć pisanie, które długo zostanie niekształtnem i mozolnie odbywanem zajęciem.

Gdy już dziecię zrozumieć składanie pojedynczych dźwięków w sylaby; tworzenie z nich łatwiejszych wyrazów, oraz postęp w nauce pisania, musi podlegać innemu kierunkowi i wtedy to powinno poznać litery drukowane i wprawiać się w czytanie druku. Jak tylko uczeń przezwyciężył pierwsze trudności i nabył w czytaniu niejakię wprawę, pozwalającęj mu na treść zwrócić uwagę, wtedy treść ta staje się dla niego materiałem umysłowym i środkiem zdobywania wiadomości. Logiczne i estetyczne czytanie wypływać musi z dokładnego rozumienia treści i dla tego nie trzeba nigdy dawać dziecku rzeczy, napisanych stylem dla niego niedostępnym, lub zawierających pojęcia dla dziecka niezrozumiałe. Niech ośmioletnie dziecko czyta tylko najłatwiejsze dziecinne powiastki i opowiadania, któreby je zajmowały. Niech malec z ciekawością wybiega myślą naprzeciw każdemu słowu, inaczej może się wprawdzie nauczyć płynnego czytania, ale nauczy się zarazem rzeczy złęj bardzo: czytania mechanicznego, w którém myśl nie bierze najmniejszego udziału. Tak czytają u nas dzieci w szkołkach wiejskich, lub uczone przez nieoświeconych rodziców. Wziawszy raz do nauki syna ekonoma, chłopca umięjącego już płynnie czytać, musiałam najpród przedsięwziąć mozolną pracę oduczenia go od bezmyśl-

nego czytania. Najłatwiejsze dziecinne powiastki czytał, jak gdyby po chińsku były pisane, nie rozumiejąc, bo myśl przy czytaniu wcale czynną nie była.

Jeżeli ośmioletnie dziecko z trudnością tylko może myśl przywiązać do powiastki, przeznaczonej dla jego wieku; należy mu dobiierać utwory łatwiejsze, jak np. wierszyki Chęcińskiego z „Malowanki”, którą dzieci tak lubią, ale niech czytanie odrazu będzie celem, nie środkiem, niech zajmuje, uczy, lub bawi, nie ograniczając się do technicznego procesu czytania.

Ci rodzice, którzy wybierają rzeczy trudne, dla tego, aby, jak mówią, dziecko wprawić do czytania wyrazów mniej używanych, są w błędzie i, pragnąc dobra swego dziecka, złą mu raczej oddają usługę. Czytanie powinno być zawsze zastosowane do stopnia rozwinięcia umysłowego czytelnika. Nauka czytania niema się kończyć z chwilą zupełnego zwyciężenia strony jego technicznej. Pozostaje jeszcze krok do uczynienia naprzód; trudność do pokonania największa, cel do osiągnięcia najpiękniejszy, to jest czytanie głośnie, pojęte jako sztuka piękna. Mało kto u nas jest w stanie przeczytać jakibądź utwór tak, aby go z przyjemnością słuchać można było, a jednak czytanie takie, aby w niem myśl autora uwydatniła się żywo odczuta. a wygłoszona słowem dźwięcznem, dobitnem, urozmaiconem i nie monotonnem; takie czytanie jest jednym z najprzyjemniejszych towarzyskich talentów.

Uczeń, zaprawiony do spostrzegania różnic między kształtami przez naukę przygotowawczą rysunku, posiadający już niejaka pewność ręki, przechodzi od czytelnego pisania liter, do pracy nad ich pięknem wykonywaniem.

Często nie zdajemy sobie sprawy przy nauce kaligrafii, jak ważną rzeczą jest piękne i czytelne pismo; zapominamy, że celem pisania jest, aby było czytane i lekceważymy kaligrafią, powtarzając sobie na pociechę, że wiele ludzi, po większej części, brzydko pisali. A jednak wiele to niedoczytanych listów, wiele myśli fałszywie pojętych, wyrażen przekręconych w druku, z powodu nieczytelnego pisma!

Dla tego w elementarnem nauczaniu należy zwracać ciągle baczność na kaligrafią, gdyż wtenczas to dzieci nabywają

złych przyzwyczajęń, wpływających na charakter późniejszego ich pisania, uczą się: źle trzymać pióro, rękę, papier, garbić się i pochylać, co wpływa szkodliwie na zdrowie.

Do chwili odłączenia nauki pisania od czytania, dziecię mogło posługiwać się ołówkiem, lub tabliczką z rysikiem; skoro wszakże nauczyciel uznał, że ma dostatecznie wyćwiczoną uwagę i wprawę oka i ręki do pięknego i kształtnego pisania; wtedy już pióro zastąpić powinno ołówek. Papier, na którym dziecię pisze, niech będzie gładki i dobry; na papierze bowiem złego gatunku trudniej nabywa się lekkości i pewności ręki. Z początku dziecię pisze w dwóch liniach podług wzorów, wypisanych ręką nauczyciela, lub jakie każdy elementarz podaje. Uczeń powinien siedzieć prosto, ciałem i twarzą do stołu obrócony, nie dotykając go piersiami, i trzymając głowę i ciało o tyle tylko pochylone, o ile wymaga tego wzrok piszącego, którego bystrość bywa rozmaita. Im zaś jest krótszy, tém pochYLENIE SIĘ nad papierem musi być większe. Najlepiej jest, gdy światło pada na papier od lewej strony; w wieczór, jeżeli uczeń pisać jest zmuszony, czego jednak unikać wypada, najlepiej, by miał lampę zawieszoną nad stolikiem, przy którym pracuje i by światło padało z góry; jeżeli posługuje się światłem świecy, jedna da mu go za mało i dwie mieć koniecznie powinien, dość wysoko umieszczone, by światło padając wprost, nie raziło oczu swym blaskiem. Papier, nieco ukośnie leżący, ma być przytrzymywany lewą ręką, podczas gdy prawa, od łokcia na stole oparta, powinna swobodnie się poruszać, a dłoń i palce piszącego opierać lekko na końcu małego palca. Pióro, przynajmniej o cal od końca ostrego, trzymane palcem wielkim i średnim, ma być z wierzchu naciskane lekko palcem wskazującym, który zupełnie wyprostowany na piórze leżeć powinien.

Obok liter małych i dużych, dziecię powinno się uczyć pisać znaki pisarskie i liczby, zawsze poczynając od rozmiarów większych, w dwóch liniach, schodząc stopniowo do mniejszych. Na jednej linii dopiero wtedy można dziecku pozwolić pisać, gdy się już we dwóch wprawilo do pisma kształtnego i równego. Przez cały czas początkowej nauki pisania uczeń, w godzinach pracy, nie powinien być pozostawiony samemu sobie. Obec-

ność nauczyciela jest tu konieczną, jest zachętą dla dziecka, chroni je od nabywania złych przyzwyczajęń. Nawet później, gdy wypracowania i tłumaczenia w nieobecności nauczyciela odrabia, lub gdy pisze dyktando, należy od niego wyraźnego i kaligraficznego pisma wymagać — inaczej zepsuje sobie charakter.

Pewność i wprawa ręki, nabyta w dzieciństwie, ułatwia w wysokim stopniu późniejszą pracę ucznia, w której tyle pisania od niego wymagać będą; oszczędza też wzrok, tak nadwątlony w dzisiejszém pokoleniu. Amerykanin Carstair powiada, że wprawa piśmienna więcej od wyćwiczenia ręki, niż oka zależy. Tak jest w istocie. Człowiek, który wiele pisał w życiu, prawie z zamkniętymi oczami pisać może. Ludzie, dotknięci utratą wzroku, mogą i wtedy jeszcze pisać, gdy czytać nie są już w stanie. Szajnocha, zupełnie ociemniały, pisywał jednak z pomocą linijki, którą obsuwał za każdym napisanym wierszem. Nie lekceważmy tego sposobu, w jaki uczeń trzyma pióro, i rękę, i w jaki sam przy pisaniu się trzyma, bo wprawa ręki od tego w wielkiej części zależy.

Nauka ortografii od początku z czytaniem i pisanem łączyć się powinna. Wyraźne, wierne i dobitne czytanie, ułatwia dziecku zrozumienie porządku następujących po sobie głosek, składających zgłoskę. Pisanie rozpoczęte, jak mówiliśmy od sylab dwugłoskowych, ułatwia zrozumienie zasad pisowni, prowadząc dziecię od wyrazów łatwiejszych do wyrazów, w których rozróżnienie dźwięków po sobie następujących, jest trudniejsze. W tym razie, nie tylko posługuje wprawa ucha, ale i oko przenosi do pamięci taką pisownią wyrazów, jaką ją w książce i przykładach piśmiennych znajduje. To też dawanie uczniowi przykładów umyślnie błędnie pisanych dla tego, by je poprawiał, jest najzupełniej potępione przez dzisiejszych pedagogów. Dziecię, ani w książce, ani w piśmie nauczyciela z błędami ortograficznymi spotykać się nie powinno. Przepisywanie łatwych zdań, pisanie z pamięci wyuczonych poprzednio ustępów, wreszcie dyktowanie wyrazów i zdań najłatwiejszych, jest pracą przygotowawczą do ortografii, opartą na zasadach gramatycznych.

Przy początkowém przepisywaniu i dyktandzie można dawać dziecku niektóre łatwe do zastosowania wskazówki, mianowicie przyuczać je do zwracania uwagi na wyrazy pochodne, dające się urabiać od wyrazu, co do którego pisowni nasuwa mu się wątpliwość. Np. mamy wyraz: *jabluszek*, więc nie *japko*, ale *jablko* pisać należy; mówi się kubek, kubeczek, więc kubka a nie *kupka*; wreszcie róg, nie rók bo jest w rogu, rogiem i t. p.

Znaki pisarskie, zachowywane od początku przy dyktandzie, przygotowują późniejsze zrozumienie ich użycia, co dopiero przy nauce o zdaniach osiągnięte być może.

Mowa, jaką dziecię słyszy, jest dla niego pierwszą nauką ojczystego języka; dlatego starać się należy otoczyć je osobami mówiącymi poprawnie, akcentem wolnym od prowincjonalizmów, wyrażającymi się szlachetnie i jasno. Żadna późniejsza znajomość gramatyki nie jest w stanie praktyki zastąpić. Tylko za jej pomocą poznaje się duch języka, jego właściwości, zwroty, charakter i bogactwo.

Lecz i tu stopniowanie postępu jest konieczne. Język poprawny i jasny, którym się do dziecka przemawia, powinien być zupełnie zastosowany do jego pojęć i stopnia umysłowego rozwoju, ze zwróconą bacznie uwagą, czy dziecię rozumie i jak rozumie dawane mu określenia przedmiotów.—„Wychowawcy za mało przywiązują wagi do wyobrażeń, jakie dzieci zdobywają o tém, co je otacza — mówi Zschocke.—Przywykliśmy mniemać, że dzieci w ten sam sposób wystawiają sobie rzeczy dla tego, że taką samą, co i my dają im nazwę. Gdybyśmy częściej żądali od nich, by nam ze swych wrażeń zdawały sprawę, wtedy przekonalibyśmy się zdziwieni, że w ich umyśle wyrazy, których za naszym używają przykładem, zupełnie nie odpowiadają wyobrażeniom przez nie zdobytym. Tego jednak nie domyślamy się nawet. A przecież jest to koniecznem. Dzieci używają wprawdzie naszego języka, ale ucząc się go, nie mogły zarazem przyswoić sobie wyników naszej wiedzy i doświadczenia.”

W tém spostrzeżeniu jest wiele prawdy; dla tego ważną wprawą początkową dla dziecka jest zachęcanie go do opowiadań, dotyczących przedmiotów spostrzeganych, obrazków, zwierząt, wydarzeń codziennych. Takie opowiadania pozwalają nam poznać, jakie znaczenie przywiązuje dziecko do wyrazów używanych przez siebie; dają możność prostowania jednocześnie pojęć i wyrażań i nadawania każdemu przedmiotowi właściwej nazwy tak, aby dziecię współmiernie, a jednak coraz dokładniej, rozszerzało zakres swych pojęć i znajomości języka. — „Chciałbym — powiada Claude Fleury — by dziecko przyzwyczajano wcześniej do zdawania sobie sprawy z własnych myśli i wyrażenia ich, o ile można, jasno i dobitnie. Da się to osiągnąć, gdy przywyknie każdą rzecz dokładnie rozróżniać od innych i dawać jęj nazwę właściwą”. — Każda nauka powinna za pomocą wykładu, udzielanego w mowie poprawnej, być jednocześnie nauką języka; każdy też krok, postawiony naprzód, w jakiej bądź gałęzi wiedzy, winien być postępem w mowie.

Pierwszą wprawą językową, obok małych opowiadań, nie mających nawet cechy lekcyi i systematycznej pracy, może być umiarkowanie podawana nauka wierszyków, jeżeli uczeń chętnie i z przyjemnością się jęj oddaje. Dziecię wymawiające tylko krótkie frazesy, często jakające się i zacinające w opowiadaniu, lub fałszywie układające wyrazy w zdania, na wierszykach uczy się płynnej i poprawnej mowy. Nie należy tylko dziecku dawać wierszy, którychby nie rozumiało. Dzieci, deklamujące wyższą poezyją, to istne papugi, wprawiające się w wymawianie ludzkiej mowy bez jęj rozumienia. Popisy dziecinne z deklamacyją są niestósowne ze względu na próżność, jaką w nich rozwijają; że jednak często z podobnemi popisami spotkać się można, wynosi się z nich spostrzeżenie, iż zwykle tylko matka rozumie, wymawiane przez dziecko wyrazy; dla innego słuchacza jest to dźwięk jednostajny głosu dziecięcego, mruczenie piskliwe, wśród którego jakiś wyraz oderwany zaledwie staje się dotykającym dla obcego ucha. Jeżeli dziecię uczy się wierszyków, trzeba, aby, rozumiejąc je, mówiło powoli, dokładnie, z właściwemi przestankami i oddechami. Deklamacyi uczuciowej wymagać nie można; uczucie wyuczone jest zawsze źle wyrażonem uczuciem; ale dokładność,

czystość i wyrazistość mowy, to już stanowi stronę techniczną, którą dobra nauka wykształcić może.

Gdy dziecię już zwyciężyło pierwsze techniczne trudności i nieco wprawy w pisowni nabyło, można mu zadawać do obrobienia krótkie i do jego pojęć zastosowane stylistyczne wypracowania. Najłatwiejszém, a zatém najstósowniejszém na początek będzie dla dziecka streszczenie kawałków łatwój prozy, której się poprzednio na pamięć wyuczyło. Następnie, gdy się z tego wywiązuje zadowalająco, można mu dawać do napisania łatwą, maluchną powiastkę, lub tylko część powiastki, którą nauczyciel kilka razy dziecku poprzednio dobitnie i z należytym wyrazem przeczytał, a potém dziecię samo jeszcze ją raz, lub dwa razy opowiedziało. Zamienianie wierszy, kilka razy przeczytanych na prozę, streszczanie poznanych prozaicznych ustępów, wszystko to daje wprawę w styl, w którym stopniowo, bez przeciążania pracą dziecka kształcić należy. Dla osiągnięcia tego celu nauczyciel powinien dobrze zbadać stopień umysłowego rozwoju ucznia i nigdy w zadaniach nie przekraczać miary jego wiadomości i doświadczenia. Prostota stylu niech odpowiada prostocie myśli dziecięcych i dopiero z ich rozszerzaniem niech wytworniejszą przybiera szatę. Bogactwo stylu nie może być udziałem dziecka, nie odpowiada szczupłym rozmiarom jego inteligencji.

Z systematyczną nauką gramatyki nie potrzeba się spieszyć. Przekonanie, że gramatyka nie należy do nauk początkowych, coraz powszechniej się ustala. Ludzie długo mówili i pisali, nawet tworzyli arcydzieła, nim dla własnego języka utworzyli kodeks, złożony z praw, w zjawiskach językowych wykrytych. Dojrzałość językowa, poprzedziła wszędzie gramatykę. Takiej dojrzałości przez długi czas nie spostrzegamy w dziecku. Niektórych czasów nie spostrzegamy nawet w jego mowie: *był-bym był, byłabym była wiedziała, będący, idąc* i t. d. są to zwroty nie używane przez dziecko, a zatém nie zrozumiałe dla niego. Ciężenie umysłu dziecka ku pojęciom prostym, pojedyńczym, objawia się i w jego języku; gramatyka zaś, jako nauka natury filozoficznej, zawierająca mnóstwo pojęć składowych, musi mieć pod swoją uprawę grunt należycie przygotowany. Wszędzie spotykamy się z żądaniem, by dziecku przed rozpoczęciem nauki,

dać jak najwięcej pojęć za pomocą metody poglądowej. Owóż przed nauką gramatyki trzeba mu dać jak najwięcej form językowych, przez opowiadania i wprawę piśmienną, aby jak najdokładniej zrozumiało zastosowanie trybów, czasów, imiesłówów, zaimków, nim się nauczy właściwym terminem je oznaczać.

Czém jest gramatyka dla mowy, nie tylko wcale nieznaną, ale i znaną niedokładnie, przekonać się można na tych, którzy, pomimo długoletniego uczenia się i przepisywania konjugacji, najfałszywiej używają czasów, gdy mówią i piszą po francusku. Większa połowa, używających u nas tego języka, nie czuje różnicy pomiędzy czasem: *imparfait a passé défini*, a trzy czwarte niema pojęcia o używaniu czasu przeszłego trybu łączącego. Gramatyka więc nie daje zrozumienia subtelności językowych, tylko je podprowadza pod pewne prawa. Przygotowaniem do ich przyswojenia sobie są przykłady—praktyka językowa, która koniecznie powinna poprzedzać teorią. Wszakże i gramatyka może być nauczana doraźnie. Pojęcia językowe, które dziecię już przyswoiło sobie dokładnie, mogą być łączone w jedną grupę, czyli formułę gramatyczną. Stopniowo zebrać je można i związać węzłem definicyi. Jeżeli imiesłów (którego dzieci nigdy nie używają), jest trudnym dla nich do zrozumienia, to rzeczownik i jego rodzaje dziecię pojmuje z łatwością; jeżeli zaimek, przymek, przysłówek spójnik — to labirynt, w którym dziecię z niechęcią błądzi; to wykrzyknik jest odpoczynkiem, na który myśl się raduje. Ale niestety, ta ukochana przez dzieci część mowy, we wszystkich niemal gramatykach, znajduje się dopiero na końcu całego szeregu nieważnych elementów! Otóż nie rozumiem, dla czego by jej nie można podać dziecięciu przed innemi? Takie powolne, częściowe grupowanie wyrazów w jego umyśle, byłoby przygotowaniem do późniejszej, systematycznej nauki gramatyki.

Wszystko zresztą, co daje dziecku jakąbądź językową wiadomość—w gruncie jest gramatyką. „Nie mówi się *robimy*, ale *robimy*, bo nie można powiedzieć *on robie*, tylko *on robi*; nie mówi się *ta razą*, lecz *tym razem*, bo *ten raz*, nie *ta raza*. Podobne wskazówki dziecię, jak tylko zdobędzie jaką taką wprawę w mówieniu, rozumie. Czy to nie gramatyka? Gramatyka, tylko wypływająca doraźnie z praktyki językowej. Bardzo wiele takich

pojęć nagromadzić można w umyśle dziecka, nim się przystąpi do systematycznego wykładu. Nie inaczej też prowadzić go należy., jak według metody indukcyjnej, zaczynając nie od reguł, sformułowanych abstrakcyjnie, lecz od jak najliczniejszych przykładów, z których owa reguła dopiero wypływać powinna. Reguła każda musi najdokładniej przez ucznia być zrozumiana, ale trzeba ją umysłowi jego przyswoić za pomocą powtarzania stosownych ćwiczeń ustnych i piśmiennych, „bo teoretyczna znajomość gramatyki bez ćwiczeń jest kwiatem bez owocu”.*)

Stopniowanie ćwiczeń od prostszych do trudniejszych, ułatwi uczniowi zrozumienie wszystkich trudności języka tak, że rozbiór gramatyczny, zwykle męczący umysł dziecka, gdy mu się każe go robić, bez należytego przygotowania, stanie się rzeczą łatwą i prostą.

Ćwiczenia gramatyczne można rozpocząć od zamiany w zdaniach liczby pojedynczej na mnogą, pierwszej osoby liczby pojedynczej na pierwszą liczby mnogiej, oraz i na inne osoby kolejno; dalej czasu teraźniejszego na przeszły, lub przyszły; wreszcie, zamieniając zdania twierdzące na przeczące lub skracając je za pomocą imiesłówów np. *Wituś, który szedł drogą* na: *Wituś, idący drogą*. — Nadto ważną jest także odmiana rzeczowników przez przypadki, byle branych nie w oderwaniu, ale w zdaniach, do których materiału dostarczyć mogą znane dziecku przedmioty, oraz wykonywane przez nie czynności. Takie zdania można stopniowo uzupełniać i rozszerzać przez inne części mowy, ucząc na nich praktycznie zawisłości i zgody, wchodzących w skład ich wyrazów. Nie trzeba tylko dawać uczniowi do poprawiania zdań błędnych, bo to bałamuci go i tłumi w nim poczucie poprawności stylowej i gramatycznej, nabytą przez słyszenie i czytanie dobrej mowy.

Ćwiczenia piśmienne przez długi czas powinny być tylko opisywaniem tego własnymi słowy, co uczeń poprzednio przeczytał, lub miał sobie opowiedziane. Dopiero, gdy w nim spostrzeżemy do tego stopnia rozwinięty zmysł spostrzegawczy,

*) Schumann: Lehrbuch der Pädagogik.

wprawę językową i siłę myślenia, że możemy być pewni, iż wypracowania samoistne nie będą dla niego wyczerpującem zajęciem; wtedy dopiero możemy przystąpić do zadań, w których oprócz podanego tematu i wskazówek co do jego rozwinięcia, wszystko już dziecko z siebie czerpać powinno. I tu z początku szukajmy tematów najłatwiejszych. Niech nam uczeń opowie jakieś wydarzenie, które zaszło w jego obecności, przejażdżkę, przez się odbytą; słowem coś, co się raczej odnosi do świata zmysłowego, niż do dziedziny pojęć i uczuć. Gdy zaś doprowadzimy go do tego stopnia, że i ta sfera stanie się dla niego dostępną; wtedy dobierajmy mu tematów, które mogą mu dać sposobność do wypowiedzenia i uczuć, ale takich jedynie, których już doznał lub w swoim wieku doznać jest w stanie.

Głębie nieznanych namiętności, bóleści, czy radości, pojęcia wzniosłością przechodzące miarę poglądów młodocianych: nie są właściwemi przedmiotami do ćwiczeń dla młodzieży.

Samoistne wypracowania gdy do nich dorósł umysł dziecka są praktyczną szkołą logiki. Wnoszą do myśli młodzieńca światło i porządek, zmuszając go do przygotowania sobie i uporządkowania materyjału, nim myśl swoją zamknie w słowie piśmieniu; przyzwyczajają go do umysłowej pracy, samodzielności i wytrwałości, bo wymagają skupienia i natężenia myśli; umacniają i rozszerzają wiadomości o rozmaitych przedmiotach przez zastanawianie się nad ich stosunkami, w jakich zostają odnośnie do innych przedmiotów, oraz względami, pod jakimi rozważane być mogą. Względy praktyczne, wynikające ze stosunków życia, również zaniedbywane być nie powinny. Do tych więc celów i zadania piśmienne stosować należy.

Niech uczeń dowie się od nauczyciela: jak się piszą listy w interesie; jaka ma być intytulacja listu do osoby nieznanej; jak się ta intytulacja zmienia, względnie do stanowiska adresanta; jakie jest przyjęte zwyczajem zakończenie listu do osoby starszej, nieznanej, lub znanej bardzo mało; w jaki sposób adresuje się listy stosownie do urzędu, tytułu i stanowiska osoby, do której się pisze; jak się piszą kwity, zaświadczenia z odbioru przysłanego sprawunku, posyłki pocztowej, i t. p.

Wyjątkowe dzieci, mające upodobanie do pisania listów, dzienników, powiastek na swoją rękę, można do dalszych usiłowań zachęcać, ale nigdy zmuszać. Przede wszystkiem zaś trzeba umieć pozyskać ich ufność, któraby nam pozwoliła kierować początkowym prac tych rozwojem, nie mówiąc jednak nie o nich przed obcymi przy dziecku, gdyżby to mogło w niem próżność i zarozumiałość obudzić.

Nie potrzebujemy dodawać, że gramatyka języka ojczystego powinna być poznana przed gramatyką języka obcego. Dziecię, znające doskonale język własny praktycznie, a następnie poznawszy go gramatycznie, umieć sobie już zdawać najzupełniej sprawę, nie tylko z tego, czem jest gramatyka względem pojedynczego języka, ale nadto łatwiej pojmuje różnice, jakimi się mowa obca w swych formach i budowie od języka ojczystego odznacza. Gramatyka łacińska nie będzie już dla niego abstrakcją, bo ją z nauki własnego języka zrozumie. To samo odnieść należy do dziewczynek, uczących się gramatyki francuskiej. Jest to największą nielogicznością uczyć zasad języka, który dziecię zna gorzej, zaniedbując zasady, które są dla niego dotykane w mowie ojczystej. Gramatyka języka obcego oszczędza połowę trudności uczniowi, który przed tem swój się nauczył.

Dwa są sposoby nauczania obcego języka: pierwszy polega na przyswojeniu sobie mowy przez ciągłe jej słyszenie; drugi, za pomocą książek, metody gramatyki. Wyższość sposobu pierwszego oddawna uznana w praktyce została.

Światło indukcji, wprowadzone do wszystkich gałęzi nauczania i w tej sferze w całej pełni, bijąc w oczy natychmiastową korzyścią. Kto więc za pomocą ciągłej konwersacji przyswoić chce dziecku mowę obcą, nie spychając własnej na plan podrzędny, niech mu da to nieporównane ułatwienie uczenia się najprędszego i całkiem naturalnego, bez odczuwania natężenia umysłu, bez zdawania sobie sprawy z nabytków pamięciowych i słuchowych. Języka własnego nie można znać dokładnie bez poparcia nauki praktyką, a praktyki teorią,

czyli gramatykę; obcy potrzebuje również takiego dopełnienia, ale w wieku, w którym już uczeń rozumie znaczenie gramatyki.

Nauczanie obcej mowy sztuczne, to jest za pomocą prawideł, przedstawia dla dziecka nader wielkie trudności. Tym razem język obcy jest dla niego czystą abstrakcją. Nie mu nie pomoże wiadomość, że nim mówi naród żyjący; dla niego w praktyce pozostaje on martwym. Pracując nad nim codziennie, zdobywa mozolnie słowa pojedyncze, nie rozumiejąc ducha i właściwości języka, nie mogąc nawet przełamać trudności wymowy. W wielu jednak wypadkach nauka języka obcego nie może być inną, musi ograniczać się godzinami przeznaczonemi na wykłady. W takim razie trzeba się starać, ile można, zbliżyć ją do wskazówek natury, nie przeładowywać dziecka regułami i formami, lecz starać się uprzystępnąć mu przede wszystkiem zrozumienie języka. Z metod dotychczasowych, metoda Robertsona najlepiej odpowiada zadaniu. Do nauki dzieci młodszych można ją stosować, dając do uczenia się na pamięć, łatwiejszy ustęp prozaiczny, któryby im się poprzednio wytłómaczyło gruntownie; następnie zawartych w nim wyrazów używa się w innych zdaniach dopóki dziecko nie pojmie ich zastosowania i znaczenia. Pierwsze lekcye nie powinny obciążać pamięci dziecka więcej jak trzema, lub czterema wyrazami i z pomocą tych należałoby robić wszelkie możliwe kombinacyje. Dopiero po doprowadzeniu dziecka do rozumienia należytego łatwiejszych ustępów z prozy, można z niem teorią zaczynać.

Co do wyboru, który z obcych języków wprowadzić do wychowania należy? — dałabym przed innemi francuskiemu pierwszeństwo. Jest bowiem najwięcej upowszechnionym językiem. Posiadając go, można całą Europę przejechać, nie będąc w żadnem mieście większem narażonym na przykre położenie człowieka, którego nikt nie rozumie. Literatura francuska jest jedną z najpierwszych i upowszechnioną też we wszystkich krajach do tego stopnia, że każdy naród, wyższą cywilizacją posiadający, ma jakby dwie literatury: swoją i francuską i księgarnie całego świata przepelnione są francuskimi dziełami. Oprócz tego język francuski jest językiem międzynarodowym i ję-

zykiem wyższych towarzystw, w których łatwo można się z cudzoziemcami spotykać.

Z innych języków obcych, żyjących, po francuskim, najwłaściwiej byłoby do wychowania wprowadzić język niemiecki. Jego literatura tak bogata co do treści, odkrywa nieprzebrane skarby dla każdego, kto jakąkolwiek gałąź wiedzy uprawia, a choć znajomość języka angielskiego nie mniej bogatą skarbnicę wiedzyby nam odkryła; musimy przecież językowi niemieckiemu dać pierwszeństwo ze względu na nasze geograficzne położenie i sąsiedzkie stosunki.

Języki angielski i włoski, wprowadzone wyjątkowo do wychowania, przedstawiają każdy innego rodzaju korzyści. Twarda i trudna w wymowie angielszczyzna jest mową jednego z największych narodów i jedną z najbogatszych literatur; dźwięczny i słodki język włoski jest kochankiem muzyki i sztuki.

Bardzo często bładzimy, nie zdając sobie sprawy z pojęć, jakie być mogą dla umysłu dziecka przystępne, a jakie przechodzą jego pojęcie. Nie zastanawiamy się nad tem na przykład, czém dla niego jest liczba oderwana, cyfra pisana, i każemy mu najprzód rachować do 10, 20 i t. d.; następnie liczby te pisać, po czém naraz przystępujemy do czterech działań arytmetycznych.

Już czteroletnie dzieci rachują do pewnej liczby, a rodzice przypuszczają bezzasadnie, że one nie powtarzają tych liczb mechanicznie, ale wiedzą czém jest rachunek. Odrzućmy wszakże całą nabytą wiedzę i doświadczenie własne i postawmy się w położeniu dziecka, któremu każą rachować do dwudziestu, powtarzając to codziennie. Czy ono może wiedzieć, do czego je ten rachunek prowadzi? Czy może rozumieć, czém jest każda liczba? My, ludzie dorośli, i wykształceni, znajdując się za granicą, długo nie możemy pojąć wartości względnej i rachunku obcych pieniędzy, z jakimi się spotykamy. Wchodzimy np. do sklepu i zapytujemy o cenę podanego nam przedmiotu, gdy zaś ją kupiec oznaczy, obliczamy wprzód, ile żądane pieniądze

wynoszą na złotówki lub ruble, a dopiero wówczas pojmujemy wartość względną wzmiankowanej kwoty. Mówimy nieraz: „Nie rozumiem tych funtów szterlingów, franków, marek, reńskich...

I powoli dopiero umysł zaczyna się oswajać z nową monetą i jej wartością, chociaż zawsze miarą porównania zostaje nam pieniądź własnego kraju.

U nas samych trafiają się ludzie młodzi, którzy z trudnością rachują na złotówki, jak niemniej dobrze już starsi, dla których rachunek na ruble nie od razu jest zrozumiały. Pierwsi każdą sumę wykazaną w złotych i groszach zamieniają sobie na ruble i kopiejki, ażeby pojąć, co właściwie cyfra ta oznacza; drudzy przeciwnie, w tym samym celu, zamieniają ruble i kopiejki na złote i grosze.

Jeżeli więc umysł ludzi dojrzałych z taką trudnością się oryentuje; jakże możemy od dziecka wymagać, żeby, nie mając żadnej miary porównania, żadnych danych praktycznych, mogło pojąć oderwane liczenie jak: jeden, dwa, trzy, cztery i t. p.? Jak możemy wymagać, aby dziecko pojęło cyfrę napisaną?

Spróbujmy pokazać kartę geograficzną naszemu włościaninowi, czy on zdoła pojąć, że papier ten przedstawia kraj, w którym mieszka, ziemię, po której chodzi?

Taką samą abstrakcją niepojętą, jak karta geograficzna dla nieoświeconego włościanina, jest cyfra pisana dla naszego dziecka, jeżeliśmy go poprzednio nie przygotowali, przez danie mu żywego o ilości pojęcia.

Dziecku wypisujemy cyfry, każemy je czytać, dodawać, mnożyć i dzielić, kiedy uczeń ani przybliżonego nawet nie ma pojęcia o ich rzeczywistym i praktycznym znaczeniu.

W matematyce wyższej uczeń, wsparty na prawach już zdobytych poprzednio, pojmuje dobrze znaczenie równań z samych znaków algebraicznych złożonych, lubo w nich niema oznaczonych w cyfrach wartości; ale dla dziecka, które o ilości niema najmniejszego pojęcia, samo machinalne liczenie jest tylko stratę czasu przynoszącem zajęciem.

Żadna elementarna nauka nie jest tak źle wykładana, jak rachunki. Nauka, która najdzielniej może umysł rozwijać, staje

się w naszych rękach poprostu środkiem zakuwania głów dziecięcych. Obecnie mamy już przecież podręczniki, wskazujące właściwą metodę nauczania. „*Arytmetyczka*” i „*Arytmetyka*” Jeskego podaje bardzo dobrze wskazówki. Nie ukrywamy wszakże przed matkami, że nie każdy nauczyciel, potrafi się zastosować do tych podręczników. Wynika to z samej natury takiej nauki, jak arytmetyka. Dziecko tylko wtedy nabywa do niej zamiłowania, gdy w samém początkowém kształceniu damy mu gruntowne jej podstawy. Uprzystępnienie jej zaś dla dziecięcego umysłu, jest daleko trudniejszém zadaniem, niżby się na pozór zdawało. Potrzeba tu niemałej znajomości przedmiotu i doświadczenia pedagogicznego, by podołać zadaniu.

Matematyka nadto jest przedmiotem, tak różniącym się od wszystkich innych wykładanych nauk w gimnazyjum, że potrzebuje odrębnej niemal umysłowej uprawy. Rzućmy tylko okiem na program gimnazyjalny, a przekonamy się, iż tak jest rzeczywiście.

Języki, geografia, historia i t. d. nadają umysłowi całkiem inny, niż matematyka kierunek. Jeżeli więc w wychowaniu domowém nie rozwiniemy w dziecku władzy kombinowania i nie damy mu jasnego o prawdach zasadniczych w téj nauce pojęcia; natenczas możemy być pewni, iż do jego umysłu nazawsze dla niej zamknijemy przystęp i zabijemy w niem zdolności, które przy umiejętnój metodzie dałyby się rozwinać.

Nauczanie niech będzie pogładowe. W tym celu trzeba dać dziecku dokładne pojęcie jedności, ukazując mu pojedyncze przedmioty w pokoju, ogrodzie i t. d. Jeżeli dziecko znałoby to zrozumieć, należy mu dać pojęcie ilości, dodając do jedności — edność drugą tegoż samego gatunku, a wszystko to na przedmiotach podpadających pod zmysły np. pręcikach, guzikach, orzechach, jabłkach, fasolach i t. p. Na tych przedmiotach, nietylko można dziecku dać pojęcie ilości, ale nadto wyuczyć je 4rech działań arytmetycznych, oraz udostępnić mu pojęcie całego systemu liczenia.

Z danych przykładów i własnego doświadczenia dziecię powinno wyciągnąć regułę, wykryć ją samo drogą powolnego dochodzenia i kombinowania. Niech reguła na kombinowaniu się

opiera, by rachunek był pracą myśli i rozwagi, a nie pamięciowem stosowaniem reguł, którychby dziecko zrozumieć nie było wstanie. Samodzielność bowiem czynności przy dochodzeniu prawd jest kształceniem umysłu i zdolności myślenia za pomocą rachunku elementarnego. Każdy postęp nowy niech będzie wynikiem pracy poprzedniej i tak z nią ściśle się łączy, by w całości żadnej przerwy nie było. Nigdy przeskoków gwałtownych, tylko powolne posuwanie się naprzód, z zatrzymywaniem na każdym stopniu, przy każdym nowem działaniu, dopóki go sobie uczeń nie przyswoi dokładnie.

Początkowe liczenie od 1 do 100 powinno trwać długo i wyczerpywać wszelkie możliwe kombinacyje na przykładach dotykalnych; dopiero po takiem przygotowaniu i zdobytej wprawie można z uczniem do rozwiązywania tych samych zadań w cyfrach na papierze, lub tablicy przystąpić. Czém jest litera odnośnie do dźwięku mowy, tém cyfra w stosunku do ilości. — Od dokładnego zrozumienia znaczenia cyfry, jako umówionego znaku, oraz znaczenia jej względnej wartości, stosownie do miejsca, jakie w danej liczbie zajmuje, zależy możność przejścia od praktycznego do piśmiennego rachunku.

Przykłady, zadawane dziecku, powinny dotyczyć przedmiotów, które uczeń zna: wag, miar, monet i t. p., których zastosowanie dobrze z praktyki rozumieć. Dziecię, na wsi mieszkające, niech w przykładach kupuje i sprzedaje zboże, zasięwa daną ilość morgów, daną ilością ziarna, zbiera plony, wypłaca robotnikom; mieszkające w mieście, niech kupuje bułki i mięso, sprzedaje, lub kupuje towary, opłaca doróżkarza, kursa omnibusowe i t. d.

Nietylko cztery działania, lecz i ułamki zwyczajne i dziesiętne, a nawet reguła trzech może być wykładana powyżej wskazanym sposobem.

Nieporównaną zdobyczą dla umysłu jest możność wytłomaczenia sobie najdokładniej i zrozumienia najgruntowniej każdego z działań, służących do rozwiązywania zadań. Iluż to z nas, w działaniach arytmetycznych postępuje wedle wyuczonych niegdyś formulek, nie rozumiejąc zgoła, jakim sposobem one powstały. Wrazie zapomnienia której z nich, tracimy całą naszą

wiedzę arytmetyczną i nie umiemy sobie radzić, gdy do jęj uży-
cia jesteŝmy w praktyce zmuszeni.

Zdumiewający rozwój nauk przyrodzonych w ostatnich cza-
sach, jak z jednęj strony w pewnych kołach obudził przesadzone
obawy, do tego stopnia, że na nie rzucono klątwę, powodującą
zupełne wykluczenie ich z programu szkolnego, tak z drugięj
znowu, zanadto przeceniono ich znaczenie, przyznając im siłę
wszechmocną, mającą wytłómaczyć potęgę twórczą, działającą
w przyrodzie. Człowiek uznał w sobie moc zbadania i ukłęknał
przed własną hipotezą.

Upojenie uczonych udzieliło się całym stronnictwom: spóle-
cznym, politycznym i literackim; zaprzeczono istnienia ducha
i starano się dowieŝć, że nauki przyrodzone stwierdzają w pełni
teoryją materyjalizmu. Takie dowodzenie obudziło ku tym nau-
kom nieufność społeczeństwa, czującego się zagrożonęm w tęp,
co stanowiło jego przekonania najdroższe.

Czy jednak nauki przyrodzone były temu winne? Bynaj-
mniej.

Jeżeli w jakieję nauce, to w nauce przyrody na każdym
kroku, w każdym z tych cudów, mnożących się do nieskończo-
ności przed wzrokiem badacza i niewyczerpujących nigdy swych
bezmiernych bogactw, widzi się wielkie imię Boga i kształci się
ducha przez uczucie uwielbienia dla Niego. Materyjaliŝci nie do-
strzegają Go w przyrodzie, nie dostrzegają Go nigdzie, bo nie
zdolni Go ucuć we własném sercu.

Teoryja ich nie jest teoryją nową. Zmieniła tylko nazwę,
formę, lecz pozostała częm była przed wiekami: dążnością nie-
których umysłów do odrzucenia praw ducha, krępujących zmy-
słowe i samolubne popędy człowieka, a zawierzenia tylko pra-
wom ciała, potrzebom materyi, które nazwano prawami przyro-
dzonei, wyszukując dla nich w dzisiejszych czasach przyczyn
i naukowych sprawdzań w przyrodzie.

Lecz czy za obłądy umysłów ludzkich można oskarżać
bożą księgę natury? Czy można przypuŝcić, aby rodzaj wiedzy

najwznioślejszój spiskował przeciwko naszemu moralnemu udoskonaleniu? Czy z drugieój strony można znaleźć korzyść w niewiadomości i tém lepiej używać darów największych Stwórcy, darów przyrody, im mniejby się je znało? Myśl taka byłaby najsmutniejszą nielogicznością.

Zapoznanie znaczenia nauk przyrodzonych w wychowaniu intelektualném byłoby obaleniem zupełném metody indukcyjnej, zbudowanėj na początkowém kształceniu zmysłów.

Wszak przyjęliśmy za zasadę żadnego zapytania dziecka nie pozostawić bez odpowiedzi, ale owszem zaspakając jego naturalną ciekawość, zwróconą najczęściej ku dziełom przyrody, lub jēj prawom. Czyżbyśmy chcieli nagle zagrozić mu drogę do dalszego postępu w chwili, gdy umysł przez naukę o rzeczach i rozbudzenie umysłu spostrzegawczego jest przygotowany do przyjęcia prawd, empirycznie poznanych, i oczekujących tylko ostatecznego wyjaśnienia i usystematyzowania za pomocą nauki? Zaprawdę, znaczyłoby to wprowadzić w wychowanie bezmyślność, na jaką narzekamy w teorii.

Każda nauka kształci pewne strony umysłu; nauki przyrodzone uprawiają tak wybitnie i tak wyjątkowo władze umysłu, iż brak ich niczém zastąpić się nie da. Nie o to właściwie téż idzie, czy nauki przyrodzone w systemie wychowania są potrzebne, ale o to, jak do innych nauk ustósunkowane być powinny. Jakóż, jak w innych razach, tak i w tym względzie potrzeba kierować się umiarkowaniem: żyjemy bowiem w epoce krańcowości, jakeśmy już o tém wspomnieli, mówiąc o humanitarném wychowaniu chłopców.

Strzeżmy się zatem przesady, gdy idzie o wyznaczenie roli, jaką nauki przyrodzone mają w wychowaniu odegrać. Nie zapominajmy ich wysokiēj pedagogicznėj wartości; ale téż nie przypisujemy im wszechmocnej nad umysłem potęgi. Zarówno bowiem usunięcie ich z planu, jak i wyznaczenie im piérwzorzędnego miejsca w wychowaniu byłoby błędem niepowetowanym — bo prowadzącym do jednostronności.

Od przekonań nauczyciela, jego poglądu filozoficznego na przedmiot wykładany, ducha podręcznika, jakim przy wykładzie się posługuje, zależy umocnienie dziecka w macierzyńskiej wierze lub napojenie go najbardziej krańcowym materjalizmem. Nie

nauk przyrodzonych obawiać się potrzeba, lecz poglądów na nie i wniosków nauczycieli i autorów. Materyjalistyczne naukowe traktaty nie powinny mieć wstępu do domu, gdzie są dorastające dzieci.

Nauczanie ma być prowadzone metodą indukcyjną.

„Najkorzystniej, najdokładniej przedstawiają się dziecięciu skarby wiedzy przyrodniczej, jeżeli nie będą zamknięte jedynie w granicach godzin lekcyj, lecz wykładane przy każdej sposobności, mianowicie pod otwartym niebem wobec natury. Jakaż to gruntowna podstawa do zbudowania pierwszych pojęć o historii naturalnej może być położona wśród zabawy dziecka, gdy się jego oczy zwraca na wszystkie skarby, jakie pola, góry, lasy i wody rozciągają przed nim w takiej mnogości! To też rodzice bardzo grzeszą względem swych dzieci, gdy, posiadając dostateczną ku temu wiedzę, przez lenistwo i lekceważenie swych obowiązków nie obracają jej na korzyść dziecięcia i pozostawiają jego nauczanie płatnemu nauczycielowi, mającemu wyznaczoną na to godzinę. Jakżeby im było łatwo wpoić w serce dziecka najczystsze i najwznioślejsze uczucie miłości przyrody, gdyby je nauczili znać jej bogactwa i prawa. Bo wraz ze znajomością przedmiotu obudza się miłość ku niemu.

Jest to prawie koniecznością wtedy, gdy dziecko wzrasta w wielkiem mieście, gdzie ptaki tylko w klatkach, kwiaty w wazonach, kamienie w bogatej oprawie widuje.... Stąd wychowawcom miast brak tak często zmysłu do ocenienia piękności natury i stąd tak często nauka, wykładana w sali szkolnej, prowadzi do wstrętu, lub obojętności względem nauk przyrodzonych. Jakże inaczej się dzieje, jeżeli dziecko wcześniej nauczyło się karmić swą duszę widokiem dzieł bożych, wśród cudów natury, jeżeli mu się serce, umysł i oczy otwarło na niezliczone bogactwa, w jakie obfituje świat boży! Bo—powtórzmy to jeszcze: wraz ze znajomością, powstaje miłość. A zatem Wychodźmy z ciasnych izb jak najczęściej, niech dziecko, przez wychowawcę za rękę oprowadzane wśród żywój natury, uczy się patrzeć i sercem jej piękności odczuwać.*)”

*) Friedrich Ascher. Die Erziehung der Jugend.

Nauka o rzeczach stanie się czémś więcej, niż rozbudzeniem w dziecku zmysłu spostrzegawczego. Przy obcowaniu dziecka z naturą możemy je zaprowadzić do systematycznej, samoistnej pracy. Należy tylko obrać sobie pewną gałąź wiedzy przyrodniczej.

Niektórzy uczeni za najwłaściwszą uważają botanikę i za jej pomocą, radzą systematycznie władze umysłowe dziecka rozwijać. Rzeczywiście świat roślinny ze wszech miar stósownym polem dla badań dziecięcych się wydaje. Inne działy wymagałyby nagromadzenia okazów kosztownych, lub doświadczeń trudnych i zawiłych. Badanie zwierząt na okazach żywych może być niebezpiecznym, a nawet trudnym, zwłaszcza gdy idzie o ptaki, ryby, gady i robaki. Samo schwytanie zwierzątka sprawia mu widocznie mękę, a cóż dopiero badanie jego organizmu? Roślina zaś nie ucieka, nie skarży się, nie cierpi; stósunek z nią rzadko bywa niebezpieczny, rozczłonkować pozwala się bez oporu, nie wydziela nieczystości a prawie nigdy niezdrowych wyziewów. Sama obfitość materiału naukowego, dającego się łatwo zebrać, przemawia za botaniką. Każdy las, każdy ogród — to niewyczerpane pole badań. A co piękności, co wdzięku w tym świecie roślinnym! — Jak, żyjąc z nim, możemy wykształcić w sobie poczucia estetyczne i zamiłowanie piękna; jak umocnić zdrowie, oddychając świeżym powietrzem!

Nauczyciel winien pamiętać, że książka, gdy idzie o wiedzę przyrodniczą, jest raczej dla niego samym potrzebnym przypomnieniem, usystematyzowaniem, ułatwieniem, niż materiałem naukowym dla ucznia, który materiału tego ma szukać w przyrodzie, o ile tylko to jest możebne. Dziecię każde jest samoukiem w elementarnym tej nazwy znaczeniu. Zna zwierzęta domowe, ich użyteczność, obyczaje, wie jakiego potrzebują pożywienia, rozróżnia ssące od ptaków i ryb, mięsożerne od roślinożernych i t. d. Roślinność, jaką dziecię w koło siebie widzi, nauczyła je wiele: rozróżnia drzewa od krzewów, traw, roślin pnących się, grzybów mchów, porostów; zna kwiaty, owoce, liście tych roślin; wie, że niektóre z nich parzą, kołają, czepiają się ubrania, mają skrzydlate, strączkowe, w pochewce lub kłosie zawarte nasiona; wie, że deszcz spadający pokrywa ziemię wilgocią, słyszało grzmot,

widziało błyskawice, chmury; zna wiatr, uczucie zimna i gorąca, gatunkową ciężkość wielu przedmiotów, zastosowanie praw ruchu i t. p. Nauka winna na podstawie wiadomości, już zdobytych przez dziecię, budować dalej i w tym samym kierunku, to jest, nie odrywając od spostrzeżeń doraźnych i doświadczalnych, kierować je, prostować, wspierać, porządkować i w systematyczną ujmować całość. Nazwa techniczna niech podawana będzie dziecku wtedy, gdyż już poznało zjawisko, lub przedmiot, którego owa nazwa dotyczy. Wiedza przyrodnicza niech będzie, o ile tylko można, poznaniem samych przedmiotów, nie tego, co o nich w książce lub przez nauczyciela powiedzianem zostało; niech daje pojęcia przyswojone uczniowi przez obserwację, doświadczenie, badanie i własnych zmysłów świadectwo. Wykład niech się zawsze wspiera na doświadczeniu.

Przy wyborze treści wykładu „uwzględniamy szczególnie takie zjawiska i przedmioty, które w zwykłym domowym życiu są ważne”.*) Wskazując uczniowi przedmioty, wybierać należy te, które umysł jego najłatwiej przyswoić sobie potrafi i, od tych zaczynając, ukazywać mu następnie trudniejsze do pojęcia. Niech się dziecię uczy poznawać naprzód rośliny, zwierzęta, kamienie i metale, znajdujące się w naszym kraju, nim przejdzie do innych. Życie, natura chwyтана na gorącym uczynku, a nie martwa nauka—oto zawsze i wszędzie początek pracy przyrodniczej. Określenia, ogólniki — to konieczne uporządkowanie i ugrupowanie nieskończonych i nieprzeliczonych tworów, niech przychodzi dopiero po zbadaniu naoczném okazów; niech się dziecię dowiaduje o rodzinie dopiero po poznaniu osobnika. Nie należy nigdy przedładowywać umysłu dziecka zbyt obfitą treścią wykładu. Wybięrajmy dla dokładnego zbadania przedmioty charakteru typowego, a około nich dopiero grupujemy pochodne i pokrewne. Doktor Nowicki, w zoologii swój, wydanej świeżo w Krakowie, (w piątą edycję), przedstawia uczniowi 21 osobników zwierzęcych i koło nich grupuje tyleż gromad. Każdego podanego przez siebie osobnika opisuje dokładnie, według cech jemu właściwych

*) Schumann: Leitfaden der Pädagogik.

i stawia na pierwszym planie; grupując następnie koło niego zwierzęta pokrewne, nie uwydatnia już ich znamion rodowych, lecz ogranicza się tylko na wskazaniu różnic. W taki sposób, od grupy do grupy przechodząc, uczeń poznaje cały świat zwierzęcy, mając ułatwione przedstawienie go sobie przez małą stosunkowo ilość osobników typowych.

Taka sama metoda, oparta na badaniu pojedynczych faktów przed ogólnymi, daje się zastosować z równą korzyścią, do innych gałęzi nauk przyrodzonych.

Tu należy także zaznajomienie ucznia z własnym jego organizmem, z prawami jego rozwoju, aby umiał zachowywać go w stanie zdrowia, znał szkody, jakie mu wyrządza nieprawidłowy tryb życia i nadużywanie sił, złożonych w nas przez naturę.

Nauka elementarna fizyki, jaką wychowanie domowe popolicie dziewczętom podaje, musi być prowadzona umiejętnie, ażeby, badając prawa natury na doraźnych dowodach, nie rozpraszała się w drobiazgach, ale owszem dawała dokładne pojęcie o zasadniczych i najgłówniejszych zjawiskach.

Chemija elementarna niech będzie wykładana ze szczególniejszym względem na życie praktyczne, higienę, gospodarstwo, kuchnię, bo w stosunku do życia codziennego najwięcej kobiecie przydać się może, a nawet do pewnego stopnia jest jej koniecznie potrzebną.

Jeżeli pogadanki, czyli tak zwana „nauka o rzeczach” przygotowuje dziecko do wszystkich umiejętności, rozwijając jego zmysł spostrzegawczy; to dla nauki geografii jest ona najwyborniejszym przewodnikiem.

Ten wielki organizm, jaki kula ziemską w swęj całości przedstawia, składa się ze szczegółów przystępnych dla umysłu dziecinnego; szczegóły te nastroczają najbogatszy przedmiot do owych pogadanek. Wschód i zachód słońca, położenie miejscowości względem siebie, bieg rzeki lub strumienia, oznaczenie jego prawego i lewego brzegu, znaczenie, dolin, gór, jezior, sama wreszcie roślinność, a nad tém wszystkiém sklepienie niebieskie: oto

są przedmioty, które mają bezpośredni stósunek bądźto z fizyczną, bądź z polityczną lub ekonomiczną geografiją.

Gdy się zbliża czas uczenia geografii, wychowawca powinien, zwrócić wyjątkową uwagę na przygotowanie do niej dziecka po za obrębem szkolnego pokoju. Przechadzki w tym celu odbywane przynoszą korzyść ogromną. Nauczyciel, któryby z dzieckiem odbył pieszą przechadzkę od źródła najmniejszego strumyka, aż do jego ujścia, dałby dziecku nazawsze wyobrażenie o tém, czém jest rzeka o nierówném i krętém łóżysku, jakie sobie tworzy, napotykać na różne przeszkody; jak niektóre z tych przeszkód zwalca, a do innych swój bieg stósuje; dałby dziecku pojęcie o wyspach i półwyspach, które tenże sam strumyk tworzy na małą skalę.

Często mówimy o górach, o wzniesieniu ich nad poziom morza dzieciom, które nie tylko morza, ale i góry nie widziały; mówimy im o cieśninach, przylądkach, kataraktach, wulkanach, nie troszcząc się o to, czy mają choćby przybliżone o nich pojęcie. Jeżeli nie możemy pokazać im tego wszystkiego na okazach dotykalnych, starajmy się przynajmniej, by nasze tłumaczenie, rysunek, porównania objaśniały rzecz uczniowi, o ile tylko można dokładnie; by słowa nasze określały przedmiot właściwie i abyśmy niemi dziecku, o ile to podobna, praktykę zastąpili. Mierzmy z niem: grunt, dom, oznaczmy mu przypuszczalną wysokość pagórka, budynku, by miało miarę porównania; rysujmy na tablicy ów pagórek, a obok niego Łomnicę, Mont-Blanc, Dawaladżyry i t. d. Zbudujmy wspólnie z dzieckiem okręt, choćby z łupiny orzecha i puśćmy go na wodę, byle wyobrażenia dziecka miały dotykalny przedmiot, do którego przywiązaćby mogły porównawczą pracę myśli.

Oprócz naukowego celu mają nadto przechadzki inne, łatwo dające się osiągnąć zadanie, to jest: rozbudzenie w dziecku ochoty i zamięłowania do nauki geografii, zaciekawienia go przedmiotem i dania mu odrazu pojęcia czém jest ta umiejętność. Zamiast rozpoczynania podawnemu geografii od pytania: „Co jest geografija?”, przystępujemy z dzieckiem od razu do praktyki: tę ziemię, która mu podpada pod oczy, samo sobie opisuje. Gdy już dziecko zdobyło wszystkie pojęcia, jakie z najbliższego otoczenia

i przechadzek wypłynąć mogły; trzeba się starać dać mu dokładne wyobrażenie o karcie geograficznej, oraz o sposobie, w jaki powierzchnię ziemi przedstawia.

Nauczyciel powinien rozpocząć od nakręślania dziecku planu domu, który zamieszkuje; dalej otaczających go zabudowań, dziedzińców, dróg, ogrodów. Na dużej tablicy czarnej najlepiej się tego dokonywa. Takie plany, z oznaczeniem stron świata, rozszerzające się stopniowo, stósownie do rozwijającego się w dziecku pojęcia o przedmiocie powinny długo służyć za podstawę i treść wykładu. Dziecko niech samo rysuje plany. Zna ono okolicę, w której mieszka, a karta topograficzna wsi, gminy, czy parafii, wypracowana przez nauczyciela, nie będzie dla niego literą martwą. Dość jest spojrzeć na dziecko, które uczono geografii według dawniej metody i porównać je z innem, prowadzonem według metody dzisiejszej, aby się o wyższości tej ostatniej przekonać. Dziecko uczone błędnie, przygnębione okręśleniami, których znaczenia nie rozumie, nazwami, które obciążają jedynie pamięć, nie rozwijając umysłu; odpowiada machinalnie na zapytanie, naprzód wyuczone pamięciowo; podręcznik naukowy był dla niego wszystkiem, tak dalece, że nie wychodziło poza obręb wyrażen używanych w książce, — mapa czystą abstrakcją.

Racyjonalnie prowadzony wykład geografii inaczej zajmuje. Gdy nauczyciel rysuje plan dobrze znanej wsi lub gminy, dziecię śledzi uważnie zakrety linii, oznaczeń miejscowości: — „Pan zapomina, że tam jest droga, a tu las” — woła malec uszczęśliwiony, iż lepiej od nauczyciela zapamiętał położenie. Dziecię, dla którego litera o tyle ma znaczenie, o ile jest znakiem dobrze rozumianego pojęcia, nie odbiega myślą od przedmiotu, nie przyjmuje nic od nauczyciela, czego by nie rozumiało gruntownie, a co w nauczaniu jest już ogromną zdobyczą.

Plan wsi, gminy, rozszerza się powoli do mapy powiatu, która nie potrzebuje być szczegółową, ani dokładną. Nie jest to mapa dla specjalisty, lecz obznajomienie dziecięcia ze sposobem odtwarzania sobie w umyśle położenia kraju, odczytywania go z mapy. Skoro własny powiat dostatecznie dziecku jest znany, skoro już samo potrafi nakręślić jego plan, chociażby najbardziej pobieżny; nauczyciel oprowadza je dalej po własnym

kraju. Ośmielę się przecież wyrazić przekonanie, że zbyt drobiazgowa geografia, choćby własnej ziemi, jest niepotrzebnym obciążaniem pamięci dziecka. Podział na gubernije zachować należy, ale szczegółowe zarysy wszystkich powiatów — to już zawiele. Mniemam, iż znajomość gubernij i w każdej z nich więcej wsławionych i wybitniejszych miejscowości, o których nauczyciel miałby sposobność pomówić dłużej, byłaby dla dziecka wystarczającą. Nazwy powiatów wkraczają już w dziedzinę częściej nomenklatury, nie uczą właściwie niczego, a danie dzieciom wyobrażenia, w jaki sposób ludzie rozdzielili ziemię, w jaki sposób rząd w niej prowadzą, nie potrzebuje takiej drobiazgowości nazw; w późniejszym wychowaniu jest ona pożyteczną, dla dziecka zbyteczną.

Zadaniem nauczyciela jest także ustósunkowanie geografii fizycznej, politycznej i ekonomicznej tak, by żaden z tych działów nie cierpiał na rozszerzeniu zbytecznym drugiego. Błędem najpospolitszym jest takie przekraczanie miary w geografii politycznej, bez uwagi, że to są rzeczy najbardziej zmienne i najmniej rozwijające. Obok podziału ludzkiego, w zarysach nie bardzo szczegółowych, ukażmy dziecku powierzchnię ziemi, jak ją stworzyła ręka Boga i jak ją praca ludzka urobiła. Każdy fakt większej wagi powinien zatrzymywać dłużej uwagę ucznia.

Umiejętność narysowania łańcucha Karpat, Wisły w jej biegu kapryśnym, z oznaczeniem główniejszych miast nadbrzeżnych, daleko jest korzystniejszém, niż wyliczanie szczegółowe powiatów i znajdujących się w nich miasteczek.

Kartografia w ostatnich czasach znaczne zrobiła postępy i dziś już nauczyciel skarżyć się nie może na brak map wszelkiego rodzaju. Globusy, mapy wypukłe, mapy ślepe, wszystko to nauczyciel może mieć pod ręką i nauczyć dziecię, jak się ma właściwie z niemi obchodzić. Od kraju własnego należy przejść do geografii Europy, następnie innych części świata, a im od nas są dalsze, tém mniej szczegółową nauka być winna. Opis ziemi, jako kuli, otoczonej atmosferą i należącej wraz z innymi planetami do systemu naszego słońca, może być dziecku w ogólnych tylko objaśnionych zarysach.

Już wtedy, gdy dziecię zapytuje, dlaczego słońce rano w okna sypialni zagląda, a po obiedzie posyła swe promienie do jadalnego pokoju, można mu wytłómaczyć kulistość ziemi i jej bieg koło słońca. Zmiany pór roku, różność klimatu — są to wszystko rzeczy, które najprzód zwracają myślącego dziecka uwagę. Najmnień oświecona niańka już mówi mu: „o ciepłych krajach”, do których wędrują ptaki; najelementarniejsza książka dziecinna pokazuje mu lwa, słonia, papugę i t. d. Dziecię pyta, dla czego tych zwierząt niema u nas? — „Bo one żyją tylko w ciepłych krajach.” — „A dla czego nasz kraj nie jest krajem ciepłym?” — Wychowawca musi to wytłómaczyć. Dlaczego więc, kiedy dziecię widzi kopułę niebieską po nad sobą, doskonale zaokrągloną linią horyzontu, poza którą świat zdaje się kończyć, dla czego nie powiedzieć mu przyczyny tego zjawiska, gdy skutki obudzają jego uwagę. Niech w tym razie o zakresie podawanej wiedzy stanowi tylko rozwój pojęcia ucznia.

Umiejętność geografii jest tak obszerna, że niema umysłu, któryby ją we wszystkich jej działach zgłębić potrafił; u szczytu zaś swego rozgałęzia się i na specjalne części rozpada. Inną jest dla fizyka, geologa, historyka, topografa, meteorologa i służy już tylko jako środek pomocniczy do badań naukowych innego rodzaju.

Historyja jest jednym z przedmiotów, które tak zależą od sposobu wykładu, że niepodobna oznaczyć wieku, od którego wypada jej naukę rozpocząć. Najprzód trzeba by wiedzieć, co nauczyciel chce wziąć z bezmiernego obszaru przeszłości, co z niej podać istocie, którą dla przyszłości wychowujemy. Dzieje, to skarbiec niewyczerpany, odsłaniający ciągle nowe bogactwa, z którego czerpać można zarówno najpiękniejsze, jak i najbrzydsze obrazy. Dla tego to, o ile historyja traktowana umiejętnie, może mieć wysoką wartość pedagogiczną i dać wychowawcy jeden środek oddziaływania na dziecię; o tyle historyja, traktowana bez względu na pożytek duchowy, jaki z niej otrzymać można, staje się niezdrowym i niestrawnym pokarmem.

Podręczniki historyczne, jakie posiadamy, nie odpowiadają po największej części zadaniu: traktują bowiem historję dla historii, a nie historję, jako posiłek dla młodocianego umysłu. Dziecię uczy się z nich imion następujących po sobie królów, cesarzy, z datą ich panowania i śmierci; widzi barwną tkanę wypadków, których często, ani pojąć, ani wytłómaczyć sobie nie umie; uczy się historii, jak bajki, której początku zapomina stopniowo, w miarę tego, jak się zbliża do końca. Taka historja jest szkieletem historycznym, dobrym dla dorosłego człowieka, który na takim szkielecie za pomocą badania, rozmyślenia i pracy, buduje filozofję historii, czyli tę jej stronę, która mieści w sobie prawdziwy i jedyny dla człowieka pożytek. Nie zapoznajemy pożytku tego dla ludzi dorosłych, zapoznajemy go przecież, gdy idzie o dzieci.

Dzieci jednak nie mogą dochodzić same do filozoficznych wniosków; nie mogą w ogóle, ani pojąć, ani zajmować się tą najgłębszą z prac ludzkich, jaką jest filozofja historii; mogą przecież z niej czerpać nie same tylko fakta i wypadki dziejowe. Pszczoła z wonnego kielicha wypija tylko pokarm, jaki ma ją żywić; i my powinniśmy, jak ona, wybierać z rozległego pola historii te tylko kwiaty, które w swym kielichu zawierają słodki miód mądrości dla naszego dziecięcia.

Nie sądźmy, że nie dając młodszemu dziecku systematycznego kursu historii, spowodowujemy dla niego wielką stratę, choćby tylko tej konwencyjonalnej wiedzy, jaką zawierają podręczniki historyczne. Spójrzjmy na ogół kobiet;—one od dzieciństwa śleczwały właśnie nad ową historję, przyswajaną jedynie pamięciowo. Cóż im z niej pozostało? Chaos, z którego wydobywają się niektóre imiona, niektóre wypadki. O systemacie żadnym mowy niema. Taką też jest i historja, której zwykle uczymy dzieci. Zapomną ją niebawem; nie uczynimy im więc krzywdy, opóźniając tego rodzaju wykład dziejów.

Że jednak, o poglądzie ogólnym na dzieje, o filozoficznym ich wykładzie, nie może być mowy dla dziecka młodszego; więc nauczyciel powinien z historii wybierać tylko te obrazy, z których dla ucznia może wypłynąć korzyść moralna. Ludzkość w kolébce nie inną karmiła się historją. Postacie bohaterów,

urastających w zabobonnej wyobraźni na postaci półbogów, były ideałami człowieczeństwa. Ku nim zwracała się myśl człowieka-dziecięcia dla wyrobienia sobie pierwiastków idealnych duchowych, oraz tych uczuć etycznych, których w nim dzikość i materjalizm pierwotnego życia nie byłyby w stanie rozwinać. Skarbiec historyi może dla dziecięcia dzisiejszego dostarczyć bohaterskich rapsodów, uderzających wielkością jego wyobraźnią; dostarczyć ustępów, budzących wszystkie wzniosłe uczucia, jakie drżemą w piersi człowieka. Czyny wielkie, szlachetne poświęcenia, zasługi, na jakięmbądź polu położone, a wszystko to obleczone z powagą prawdy, staje się dla myśli dziecka posilnym, zdrowym pokarmem.

Do lat 14-tu ucznia, historyja może być traktowana epizodycznie (wyłączam tu historyję dziejów ojczystych, którą dziecię powinno umieć wcześniej i dokładniej). Dobry nauczyciel może takie epizodyczne wiadomości ugrupować do pewnego stopnia w umyśle ucznia; — za tło do opowiadania szczegółowego o jednej postaci, dać w kilku słowach skręśloną historyję całego narodu lub epoki. Na dowód, że to jest możebne, przytoczę tu opowiadanie znajdujące się w jednym z pism francuskich dla dzieci.*). Opowiadanie to, obejmuje na kilku stronicach, historyję narodu francuskiego. Dzieci słuchają jęj z największą ciekawością i zajęciem; nie obciąża ona bynajmniej ich pamięci, bo nie zawiera, ani nazwisk, ani dat. Pozwolę sobie tu opowiedzieć ją w skróceniu, dla dania matkom naszym próby opowiadania historycznego systematycznego, a nie obciążonego nazwiskami i chronologiją.

Proboszcz, otoczony wiejskimi dziećmi, pokazuje im w lesie wielki kamień, wzniesiony na trzech innych i tworzący nihy stół. Dzieci dziwią się, przyglądają i wypytują do czego mógł służyć ten kamień? Ksiądz opowiada im, że w wielu miejscowościach Francji znajdują się podobne kamienie, że pochodzą z epoki najdawniejszej, o jakiej historyja tego kraju zachowała

*) Les récréations instructives. (Dziełu temu przyznany został medal na powszechnej międzynarodowej wystawie w Londynie, w r. 1862).

wspomnienie, że Galowie, owocześni mieszkańcy, na tych kamieniach składali ofiary ze zwierząt i ludzi. Tu proboszcz przystępnie i zajmująco opowiada obyczaje Galów, ich dzikość, stan ówczesny kraju i dla zaznaczenia tój epoki w pamięci dzieci nazywa ją epoką: *kamienia wzniesionego*.

Podczas opowiadania, przychodzi ze wsi robotnik, który kopiąc studnię, znalazł był garnek pełen sztuk złota i pragnie się dowiedzieć, jaka jest ich wartość. Ksiądz ogląda je wraz z dziećmi i powiada małym słuchaczom, że to są rzymskie monety. Wypytywany przez nie, opowiada o najściu Galii przez Rzymian, o ucisku i niewoli mieszkańców, wreszcie o wierze chrześcijańskiej, wraz z legijonami rzymskimi wchodzącą do Galii. Tę epokę związaną z wykopaniem monetami, nazywa proboszcz epoką: *rzymskich sztuk złotych*.

Słuchający opowiadania tego stary Szymon, mówi, że nie tylko złote monety znajdują się w ziemi; — on kiedyś wykopał żelazny krzyż, dziwacznie wyrobiony. Proboszcz prosi go o przyniesienie tego krzyża, zdejmuje z niego warstwę gliny, oskrobuje rdzę i odkrywa rękojeść pałasza. Przypatrzwszy się uważnie, znajduje, że jest to bardzo ciekawy zabytek, mający styczność z epoką, jaka nastąpiła po epoce: *sztuk złotych rzymskich*. Opowiada tedy, że przeszło w 400 lat po narodzeniu Chrystusa, Rzymianie opuścili Galiją, lecz nie uczynili tego dobrowolnie, ale wypędzeni przez ludy, równie dzikie, jak niegdyś byli Galowie przed przybyciem Rzymian. Między temi ludami był jeden dzielniejszy i silniejszy, który pobił inne, zwany ludem Franków, od którego cały kraj później nazwano. Stąd powstało nazwisko Francyi, a naród francuski utworzył się z mieszaniny narodu frankońskiego i innych dzikich ludów, z dawnymi mieszkańcami — Galami. Rękojeść pałasza, odkopana w ziemi, była kiedyś własnością jakiegoś wojownika frankońskiego. Zapytany przez dzieci proboszcz, po czém to poznaje? odpowiada im, że na wierzchu rękojeści wyrzeźbiona jest głowa człowieka z długimi włosami, związanymi przepaską przez czoło, z wąsami bardzo długimi, spadającymi po obu stronach twarzy. Pisarze owocześni, zostawili opisy dowódców frankońskich, malujące ich zupełnie podobnymi, do tego wizerunku na

staręj rękojeści pałasza. Długie włosy były u Franków oznaką szlachetnego rodu i dowództwa. Proboszcz robi przypuszczenie, że musiała być kiedyś bitwa, między Rzymianami i Frankami, na płaszczyźnie, na której wykopano ten pałasz. To daje księdzu sposobność do powiedzenia, jakim sposobem waleczono w owych czasach.

Złanie się tych nowych przybyszów z dawnemi plemionami nie nastąpiło od razu. Potrzeba było na to znowu lat 400tu niezgody, walk i bitew. Wyszedł z nich nareszcie naród francuski, żeby zająć pierwsze miejsce między najznakomitszemi ludami na świecie. Tę epokę trzecią, z której zostały miecze, wykopywane dotąd na polach, francuskich nazywa proboszcz epoką: *miecza frankońskiego*.

Wśród rozmowy ksiądz pokazuje następnie dzieciom ruiny zamku warownego, sterczące na pobliskiem wzgórzu. Stary Szymon przypomina sobie, że takich mniej lub więcej zrujnowanych zamków widział wiele, a proboszcz opowiada, jak po uformowaniu się narodu francuskiego, nastąpiło panowanie tych, którzy mieli ziemię w swém posiadaniu. Władza, honory, bogactwa należały do nich. Byli to po największej części potomkowie dowódców frankońskich. Każdy taki właściciel ziem, zamknięty w swoim warownym zamku, miał prawo życia i śmierci nad ludem, mieszkającym na jego ziemi; bronił go za to od napaści i zaborów. Duch wojowniczy tych panów pobudzał ich do ciągłych kłótni i wojen między sobą. Zameczki ich wytrzymywały częste napady, a potężniejsi wojowali nawet z królami. Na okrzyk dzieci, że lud przy takim stanie rzeczy musiał być bardzo nieszczęśliwy, proboszcz stara się im nakreślić dokładny obraz położenia, ostrzegając, by nie sądziły zbyt pośpiesznie. Opowiada o stopniowem podnoszeniu się przemysłu, o wynalezieniu papiéru i druku, o tém, jak wszelki postęp musi przychodzić bardzo wolno i bardzo wolno dojrzewać.

Wreszcie człowiek, coraz więcej otrzásając się ze swęj dzikości, zaczął myśleć więcej i głową pracować. Koniec wieku 15 jest końcem epoki: *zamku warownego*, a zaczyna się wiek 16ty zwany: *wiekiem odrodzenia*. Tu proboszcz opowiada o wynalazkach i pracach, w owym wieku dokonanych i podkopujących potęgę

panów feudalnych, która to potęga przenosi się do rąk królów, mających jej bardzo mało w epoce: *zamku warownego*.

Epokę władzy królewskiej proboszcz nazywa epoką *kwiatu lilii*, z tej bowiem epoki pozostało tysiące zabytków, opatrzonych tem godłem królewskim. Noszą je na sobie bramy pałaców i zamków, widać je w salach rezydencyj królewskich, rzeźbione na gmachach i pomnikach. Monety z owej epoki noszą ich odciski, wreszcie widzi się je na oprawie książek i na rycinach, a nawet haftowane na materyjach, wyrabianych dla użytku królów.

Proboszcz powiada, jak w tej epoce lud wzrastał w siły, jak nareszcie stał się postrachem dla królów, którzy w nim ujrzeni rywala; jak walka trwała czas jakiś głucha, aż wreszcie wybuchła groźna i okrutna. Staruszek ksiądz, widział, gdy był dzieckiem, dobrego króla umierającego za winy swych przodków i od tej to chwili, zaczyna się dla Francyi: *epoka rewolucyi*. Lud nie może dobrać sobie formy rządu, burzy się i szuka coraz nowych panów, lub strąca naruconych sobie przemocą. Proboszcz kończy życzeniem, by—*epoka rewolucyi*, trwająca dotąd, sprowadziła—*epokę braterstwa*, w którejby ludzie znaleźli nakonec szczęście i zadowolenie.

Wszystko to opowiedziane tak zajmująco, z taką znajomością tego, co dzieci najwięcej zainteresować może, a jednak z unikaniem obrazów jaskrawych, że mały słuchacz, zachęcony przez matkę, lub nauczyciela, do powtórzenia tego, co miał opowiedziane, może się łatwo wywiązać z zadania.

Dziecię, mając tak ogólne pojęcie o dziejach jakiegoś państwa, już posiada niejako ramy do umieszczania w nich pojedynczych obrazów. Dziecię francuskie na przykład, które zapamiętało podział na epoki wyżej wspomniane i poznało tych epok wybitny charakter, na każdym kroku może spotkać coś, co mu każdą z nich przypomni.

Ruiny zamku uprzytomnią mu dzieje wojowników i zuchwałych panów; lilija na stariej monecie przywiedzie mu na myśl powolnie zdobywaną władzę królewską. Monety pierwszego i drugiego cesarstwa przypomną mu epokę rewolucyj, bo jak pierwsze tak drugie, było stanem przejściowym jedynie, zaczynało się bowiem i kończyło rewolucyją. Przypuszczam teraz, że dziecię

owo przeczyta lub usłyszy historiją, którego z królów lub bohaterów Francyi. Wtedy nie będzie to dla niego szczegół zupełnie oderwany, bo samo umieszczenie go w jednej z wymienionych epok, już mu da pojęcie, w jakich mniej więcej okolicznościach żył ów bohater. Gdy będzie mowa o Karolu Wielkim, a nauczyciel powie dziecięciu, że żył on na samym początku epoki *zamku warownego*, że swemi ustawami późniejszy stan rzeczy przygotował; już dziecko wie, w jakie ramy włożyć postać wielkiego króla. Jeżeli będzie mowa o Napoleonie Iym (któreż dziecko francuskie o nim nie wie?...) a powie się małym słuchaczom, że panował on w epoce rewolucyj, już dzieci potrafią wyobraźnią postać tę oddzielić od szeregu królów, to jest od epoki *kwiatu lilii*.

Przy odrobinie pracy matka wykształcona mogłaby w ten sposób opowiedzieć dzieciom historiją ojczystą, historiją grecką, rzymską i przy ciągłym powtarzaniu dojść do tego, że dziecko będzie miało, wprawdzie pobieżne, a jednak systematyczne pojęcie o dziejach.

Ułatwiłoby mu to naukę epizodyczną, uczyniłoby opowiadanie dziejów rzeczywiście korzystnem, bo rozświecającem coraz bardziej rzeczy znane w zarysach ogólnych, a więc pewną całość tworzące.

Wszystko jest jeszcze do zrobienia na tym polu, bo podręczników tego rodzaju nie mamy i dopiero trzeba ich od przyszłości oczekiwać. W nowoczesnym sposobie pisania dziejów dla starszych podobny kierunek już się stanowczo ustala. W pojmowaniu ich strony najdonioślejszej, dającej wskazówki życiowe najpotrzebniejsze, dawniejsze szczegóły coraz mniej zwracają uwagi.

Życiorysy osobistości, dzierżących władzę, królów i książąt, schodzą na drugi plan. Dawniej stanowiły one treść kronik i podręczników historycznych; dziś zostawione są specjalistom a na ich miejscu staje historija życia społeczeństw, postępu, cywilizacyi, ducha epok, rozwoju umysłowego narodów. Że historija musi być w ten sposób wykładana, na to każdy się zgodzi.

Nietylko że w tej formie podana więcej rozwija umysł, niż gdy tylko pamięć ćwiczyła, ale jeszcze ułatwia zrozumienie całości dziejów, uczy życia, jego obyczajów daje wreszcie możliwość, śledząc dzisiejsze przewroty, dopatrywać w nich logicznego następstwa przeszłości, oraz szukać wskazówek przyszłych ludzkiego ducha kierunków.

Taka tylko nauka przeszłości przynosi dla teraźniejszości pożytek.

Jeżeli zapytamy n. p. człowieka pięćdziesięcioletniego o jego historiją, pojętą w znaczeniu poważnem tak, by z niej pytający mógł wyciągnąć naukę dla siebie; niezawodnie nie zacznie on od wymienienia nam nazwiska swęj mamki, bony, daty szczegółowej ich przybycia i odejścia, ani nam będzie podawał drobne, nie nieznaczące fakta, które na jego życie nie wywarły żadnego skutku; nie powie nam, że ojciec był niski a matka wysoka, że jego siostra była brunetką; że w ogrodzie rodzicielskim więcej było lip, niż kasztanów; ale powie, jakim od natury obdarzony został charakterem, jakie było jego wychowanie, postępy naukowe i moralne; wreszcie jakie wydarzenia, spowodowały zmiany w jego życiu;—powie, jakim sposobem doszedł do stanu majątkowego, w jakim się znajduje; jakie zdobył przekonania, czyli własność moralną, której go nikt nie jest w stanie pozbawić i t. p.

Dzieje narodów porównać można do życia pojedynczego człowieka i dopatrzyć w ich historii, owych na rozwój ich wpływających czynników, nie mających nic wspólnego z tēm, jakie imiona nosiły królowe, jakie bitwy wygrywali królowie.

Gdy przyszłe generacyje coraz więcej od początku czasów historycznych oddalać się będą takie ujęcie dziejów w formę filozoficzną coraz konieczniejszēm się okaże. Szczegółowe opisy historyczne czasów nowych przybierają tak olbrzymie rozmiary, iż pamięć ludzka, mająca od natury nakreślone granice, nie byłaby nawet w stanie objąć wszystkiego.

Epoka przedhistoryczna, ta, którą odczytujemy z wykopalisk, grobów, czaszek ludzkich i zwierzęcych, mieszkań nadwodnych, po-

przełupywanych kości, przedstawia nam skończony obraz, choć nie wiemy nic o nazwiskach ówczesnych wodzów i wielkich myśliwych.

Epoka kamienia, bronzu i t. d. stanowi dla nas łańcuch, łączący się z późniejszymi dziejami. Dzisiejsze usiłowania zbadań ducha epok są poszukiwaniem niezmiernie podobnym do tego, jakiemu oddaje się uczony, odbudowujący umarłą przeszłość z owych resztek ludzkich i zwierzęcych. Kroniki, będące najczęściej stronnicią bijografią królów, zaczynają w tych poszukiwaniach podrzędną odgrywać rolę. Uczeni badają język danej epoki, szczątki budownictwa, przemysłu, wyrobów użytkowych i toaletowych, korespondencyje prywatne ludzi pojedynczych, często nawet nieczem nie wsławionych—słowem to wszystko, co historiją ducha ludzkiego rozświecić może i z tego dopiero urasta pogląd na dzieje, mogący, co do życia dzisiejszego, dać pouczające wskazówki.

Podręczników, w ten sposób traktujących historiją dla dzieci starszych, niema. Przyszłość dopiero nam ich dostarczy, a jestem też przekonana, że i w tém, jak we wszelkim postępie, nie może być przełomu gwałtownego, tylko stopniowe i powolne odstępowanie od dawnych uprzedzeń. Są wprawdzie wielkości dziejowe, konwencyjonalne, o których wiedzieć trzeba, nie dla tego, by na losy ludzkości wpłynęły w sposób wyjątkowy, ale że dobrowolną ugodą społeczeństw zyskały sobie prawo obywatelstwa i występują w literaturze dramatycznej i powieściowej, śpiewają na wszystkich scenach świata przez usta sopranów, tenorów i barytonów; rzeźba i malarstwo odziały je w idealne kształty, zatem ignorowanie ich jest niepodobne. Don Karlos hiszpański, Maryja Stuart, Semiramida, Kleopatra i t. d. są to postacie przez wieki utrwalone w pamięci ludzkiej i z tego względu godne uwagi.

Pomyślmy, jakąby się okrył śmiesznością, człowiek, któryby nie wiedział, że Nabuchodonozor, jako wół rozkoszował się pastwiskami swęj ojczyzny, że Krezus miał nieprzebrane bogactwa, że Lukulus był człowiekiem, który najlepsze jadał obiady, że zła żona Sokratesa nazywała się Ksantypą i t. d. Dopóki więc, przy postępie wieków i te postacie, wystające z obrazu nie

znikną w pomroce; dopóty trzeba, zmieniając system uczenia historyi, dać uczniowi o nich wiadomości, bardzo nieliczne zresztą, ale które przez utarty zwyczaj zajęły w epizodycznej i oderwanej od całości historyi, miejsce niezasłużone, ale wybitne. Jest to ustępstwo, jakie należy się uczynić dla dostrojenia umysłu i wiedzy wychowanka do wiadomości ogólnych, byle obok nich, przyswoił sobie na własność pojęcia jasne i wyraźne o całości, jakie bynajmniej nie mieszczą się w zwykłym nauczaniu, pozostawiającem w umyśle, po upływie krótkiego czasu, bezład, jaki-by strzępkami historycznymi nazwać można.

Około 15go roku dziecka historyja może już stawać się rozumowaną historyją, na tle podręcznikowego skieletu budowaną. Stopniowo zarysy powinny się rozszerzać coraz bardziej; nauka, jaką dzieje dają pokoleniom dzisiejszym, coraz lepiej się wydawniać, aż póki młodzieniec nie stanie na wyżynie, na której już własny pogląd na dzieje jest możebny.

Historyja więcéj może, niż inne nauki, daje pole do poglądów dowolnych; widzi się w niej często dowody, jakie się widzieć pragnie; czerpie się naukę, jaką się chce czerpać. Stąd to bezstronność historyczna jest tak bardzo rzadka, stąd tyle dzieł historycznych, nacechowanych namiętną stronniczością. Nauczyciel, szukający dla dziecka epizodów pouczających, lub wykładający mu ogólną charakterystykę danéj epoki, będzie miał pole gruntuowania w niem tych poglądów, jakie sam w sobie wyrobił; przekonania więc nauczyciela historyi zwrócić powinny uwagę rodziców.

Drugim względem, o jakim wspomnieć się ośmielę, jest stósowanie epizodycznych opowiadań historycznych do usposobienia dziecka. Dzieciom zimnym, egoistycznym z natury, można i trzeba rozgrzewać ducha i wyobraźnię wielkimi bohaterскими czynami przeszłości; można z niej wybierać obrazy, działające potężnie na uczucia.

Ale są dzieci skłonne do egzaltacyi, do widzenia wszystkiego w świetle niezwykłym; upajające się tak niesłychanie pięknymi i bohaterскими czynami przeszłości, że terażniejszość wydaje im się zmałą i niegodną uwagi. Takie usposobienie źle przygotowuje do życia; namiętność zaślepia; wreszcie mały

człowiek uczy się z zewnętrznego świata brać tylko czarne i unieszczęśliwiające pierwiastki i nosić w swojej duszy ideał, zbudowany na fałszywej podstawie, mianowicie na rzekomej doskonałości dawnych czasów i ludzi, przewyższającej o całe niebo naszą dzisiejszą pospolitość. Dla takich egzaltowanych dzieci, historyja powinna przybrać więcej realistyczne cechy, odziać się w surową prawdę życia.



T R E Ś Ć:

ROZDZIAŁ I.

Str.

Obowiązki matki zaczynają się przed urodzeniem dziecka. — Matka wiele może dla zdrowia swych dzieci. — Wpływ zachowania się matki ciężarnej na dziecię, które nosi w łonie.

7

ROZDZIAŁ II.

Niemowlę zaraz po urodzeniu. — Obchodzenie się z niem. — Karmienie uważane, jako wpływ moralny na dziecię i na matkę. — Matka jest właściwszą mamką dla dziecięcia. — Czas odłączenia dziecka od piersi i żywienie go po odłączeniu. — Ubranie niemowlęcia. — Łóżeczko, czy kołyska? — Przedwczesne zmuszanie do siedzenia i chodzenia. — Pielęgowanie skóry. — Mieszkanie. — Hartowanie. — Manija leczenia. — Lekarz. — Pożywienie. — Ubiór. — Strój.

13

ROZDZIAŁ III.

Zabawa i zabawki. — Gimnastyka. — Trzymanie się prosto. — Systematyczność w wychowaniu fizycznem.

42

ROZDZIAŁ IV.

Pierwsze ocknięcie się inteligencji w niemowlęciu. — Jego otoczenie jest pierwszą jego szkołą. — Władza assimilacji. — Matka od razu swój wpływ zaznaczyć powinna. — Karmienie, jako wpływ moralny na dziecię i matkę. — Zbyt wczesne rozwijanie dzieci jest szkodliwe. — Matka powinna poważnie do zadania wychowawczego się przysposobić. — Ojciec względem niemowlęcia ma obowiązki. — Siła moralna i jednostajność humoru są warunki ustalenia wpływu wychowawczego. — Wpływ pobożności matki.

53

ROZDZIAŁ V.

Wyjście z niemowlęstwa.—Łakomstwo.—Poszanowanie cudzej własności.—Grzeczność.—Temperament i dziedziczność.—Nieposłuszeństwo i upór.—Kłamstwo.—Prawda jest podstawą wychowania.—Wyobrażenia dziecka.—Próżność systematycznie rozwijana.	Str. 71
--	------------

ROZDZIAŁ VI.

Ciekawość wrodzona dzieci.—Opowiadanie.—Umiejętność słuchania.—Nauka o rzeczach.—Nauczanie początkowe.—Czytanie dziecinne.—Szkodliwy wpływ bajek na małe dzieci.—Bona.—Nauka obcego języka.—Moda francuszczyzny.	86
--	----

ROZDZIAŁ VII.

Obowiązki matki postronne.—Światło wiedzy.—Poczucie obywatelskie.—Praca na byt rodziny.—Zarząd domowy.—Obowiązki towarzyskie.—Gościnność.—Równoważenie w wychowaniu wpływów światowych przez oświecony wpływ rodzicielski.—Co przez postęp rozumieć należy? . .	109
---	-----

ROZDZIAŁ VIII.

Wiek chłopięcy.—Religija.—Miłość rodzinna.—Wpływ ojca w rodzinie.	125
---	-----

ROZDZIAŁ IX.

Miłość bliźniego.—Miłość ojczyzny i rzeczy ojczystych.—Prawda.—Sumienie.—Honor.—Szczęście.	137
--	-----

ROZDZIAŁ X.

Nauka nie jest wszystkiem.—Charakter.—Pracowitość.—Wola.—Odwa—ga.—Porządek.—Dobroć.	162
---	-----

ROZDZIAŁ XI.

Kary i nagrody.—Pieszczoty.—Posłuszeństwo.—Rozkład czasu.—Waka—cyje.—Zabawa w wieku chłopięcym.—Czytanie.—Teatr.	186
--	-----

ROZDZIAŁ XII.

Nauczyciele domowi, — prawa ich i prawa rodziców.—Przekonania i charakter nauczycieli.—Korepetycje i korepetytorowie.	207
---	-----

ROZDZIAŁ XIII.

Charakter chłopców i dziewcząt wcześniej swe właściwości ujawnia.—Duma męska chłopca.—Zaufanie do rodziców nie może być obowiąz—	
--	--

kiem. — Matka powinna wziąć na siebie nauczanie choćby jednego przedmiotu. — Objawy zewnętrzne uszanowania. — Listy do dzieci oddalonych. — Wpływ matki na syna, chodzącego do szkół. — Drażliwość chłopca na sądy ludzkie, jako wpływ wychowawczy, spożytkować należy. — Rodzice wobec niepowodzeń naukowych chłopca. — Zwyczaj przymówek i docinków. — Oględność postępowania wobec drażliwości chłopięcej. — Poszanowanie indywidualności chłopca. — Ratowanie go wraz z upadku i moralnego. — Starszy brat wobec młodszego rodzeństwa. — Kwestyja kobięca odnośnie do chłopca. — Wiadomość o zepsuciu niesie w sobie zarazę zepsucia. — Co jest dobre towarzystwo? — Złe książki. — Miłość piękna jest obroną przeciw zepsuciu. — Kształcenie poczucia piękna. — Roboty ręczne. — Formy towarzyskie. — Wiadomości pedagogiczne dla chłopców. — Pragnienie dobrobytu i używania. — Wpływ ojca. . . 223

ROZDZIAŁ XIV.

Szkoła. — Przysposobienie umysłu do nauki szkolnej. — Rodzice wobec szkoły. — Nauki humanitarne. — Kierunek realny. — Wybór szkoły średniej. — Wybór powołania. 278

ROZDZIAŁ XV.

Wpływ matki na córkę i powołanie kobiety. — Zdrowie. — Nowicjaty macierzyństwa. — Gospodarstwo domowe. 304

ROZDZIAŁ XVI.

Oświata i praktyczność. — Pensyje. — Wychowanie zawodowe. — Hygiena. — Towarzystwo. — Przejście z dzieciństwa do młodości. — Wybór męża. — Rodzice po wyposażeniu synów i córek. — Zgrzybiałość ich, a nawet śmierć, przynoszą dzieciom naukę. 327

ROZDZIAŁ XVII.

Ogólny sposób nauczania. — Nauka rysunku. — Nauka czytania i pisania. — Nauka języka ojczystego. — Języki obce. — Nauka rachunków. — Nauki przyrodzone. — Geografja. — Historyja. 376

Religion

Trichosporium - Morphosi - 

Hauke

[illegible]

Lythra

Учѣбное

Longw.
Nether.
My first.

W. H. M. M.
Hawaii,

Intelligence.
Hobart.
Mills & Co.

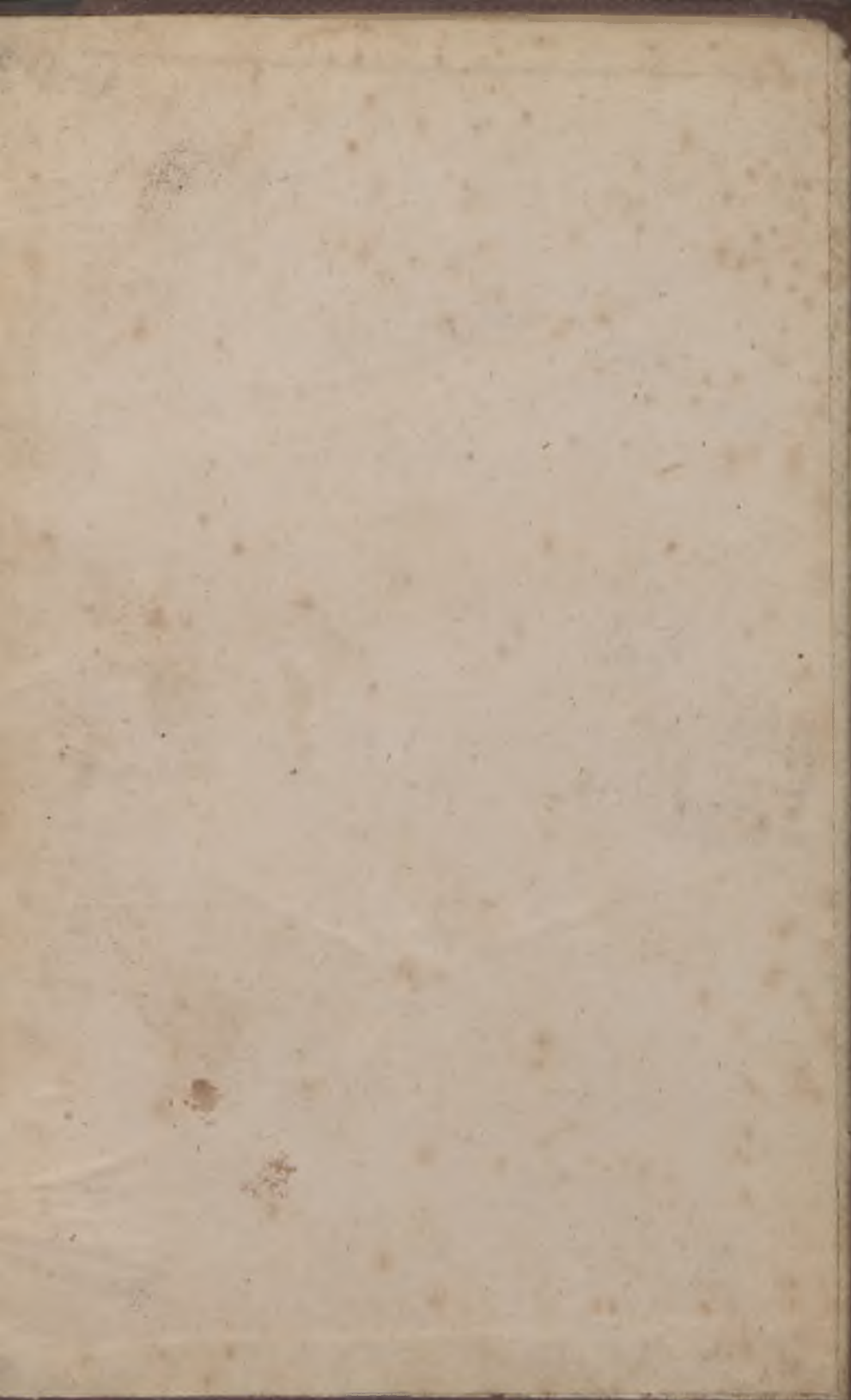
Manuscript
p. 24.

90 gr. opus v. parietum
 historia opus v. naci
 100 gr. opus v. parietum
 100 gr. opus v. naci

Produkt
n. d. h.
- p. r. o. d.

geogr. opus v. positum
historia opus v. nesci

Kallst. - i p. 1. f. 1.
 Kallst. - i p. 1. f. 1.



NIE POŻYCZA SIĘ
DO DOMU

Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka
w Gdańsku

29071



29071